

# LISA JACKSON

Autorka bestsellerów numer 1  
„New York Timesa”  
dla miłośniczek Tess Gerritsen

URODZONA  
DLA ŚMIERCI



# **Jackson Lisa**

Montana [Lisa Jackson] 03

## **Urodzona dla śmierci**

## Prolog

Raz na wozie, raz pod wozem.

Tego wieczoru Shelly Bonaventure wyraźnie czuła, że jest pod wozem, i to leży pod nim plackiem i nie może się wygrzebać.

Otworzyła drzwi do mieszkania, cisnęła torebkę na stolik w przedpokoju i nagle poczuła przeszywający ból żołądka.

Głośno zaczerpnęła tchu i zgięła się w pół.

Nagle.

Boleśnie.

- Au - jęknęła, gdy ból ustąpił na tyle, że zdołała dojść do kanapy. - Co jest, do cholery?

Ciągle obolała, choć dolegliwości nieco zelżały, oddychała głęboko. Czy cierpi tak bardzo, że może wezwać karetkę, czy powinna sama pojechać na ostry dyżur?

- Nie wygłupiaj się - mruknęła pod nosem, ale nie mogła pozbyć się wrażenia, że dzieje się coś bardzo, bardzo złego. - Weź się w garść - sapnęła, zrzucając z nóg buty na wysokim obcasie. Może za dużo wypła, zjadła coś zepsutego albo po prostu dostanie okres kilka dni wcześniej.

Niemożliwe, to nie ten ból.

Na chwilę zamknęła oczy. Czuła, jak nad górną wargą zbierają się kropelki potu. Jeśli ma w domu środek na zgagę, zaraz weźmie kilka łyków, a jeśli nie, wytrzyma do rana. Otarła pot i rozejrzała się w poszukiwaniu kota.

- Lana? - zawołała. Cisza. Dziwne. Zazwyczaj kotka przybiegała truchtem z ukrycia, ledwie usłyszała odgłos otwieranych drzwi.

Hm.

- Lana? No chodź, kiciu... - Nasłuchiwała uważnie, ale nadal niczego nie słyszała. Trudno; pewnie kotka się z nią bawi i lada chwila,

kiedy Shelly będzie się tego najmniej spodziewała, wyskoczy z najciemniejszego zakamarka, strasząc swą panią do szaleństwa. Już dawniej tak bywało.

Powoli powlokła się do łazienki, mało brakowało, a potknęłaby się o dywanik, który kupiła... Boże, czyżby to było już siedem lat temu?

- No chodź już, wychodź! Gdzie się ukryłaś? - nawoływała. -Chodź, kici, kici, pani wróciła! Brzęk!

Dźwięk dochodził z patio.

Zaskoczona Shelly odwróciła się na pięcie.

Czyżby dostrzegła cień za szybą?

Z sercem w gardle podeszła bliżej, wyjrzała przez przeszklone drzwi i przekonała się, że cień, owszem, był, ale rzucały go liście palmy, którymi kołysał wiatr i sprawiał, że zdawały się tańczyć w świetle latarni.

Idiotka! Nie wpadaj w paranoję! Więc skąd ten hałas? Czy to kot? Ale gdzie?

Nadal lekko spięta, Shelly wmawiała sobie, że to nic takiego. Pewnie ten staruszek piętro wyżej, Bob czy jak mu tam. Ciągle coś upuszcza.

Szarpnęła nią kolejna fala mdłości. Zaciśnęła zęby i czekała, aż ból ustąpi. Boże, co się z nią dzieje?

Złapała się oparcia kanapy, odetchnęła, rozejrzała się po saloniku. Czy naprawdę już prawie dziesięć lat minęło, odkąd wprowadziła się do tego mieszkanka? Biernie obserwowała, jak mijają kolejne lata, zmarszczki na jej twarzy pogłębiają się, a role, na które tak bardzo liczyła, uciekają jej sprzed nosa?

Odkąd rozwiodła się z Donovanem...

O nie, o tym nie będzie teraz myśleć, nie dzisiaj. Pozytywne nastawienie, oto, czego jej trzeba. I jeszcze czegoś, żeby uspokoić rozszalały żołądek. Po prostu wypła trochę za dużo w Lizards, U Jaszczurów, knajpie, oddalonej o niecałe dwie przecznice, która nazwę zawdzięczała nie tyle gadom, co klientom. Tego wieczoru nie pilnowała się, powtarzała sobie, że powita trzydzieste piąte urodziny z otwartymi ramionami i wypła trochę za dużo.

Ale tylko trochę.

Prawda?

Ale jak mogła nie pić, skoro ten facet, którego dzisiaj poznała przy barze, postawił jej kilka kolejek mai tai i wydawał się naprawdę zain-

teresowany, gdy usłyszał, że ma wkrótce urodziny? Naprawdę zainteresowany. A do tego był przystojny, seksowny i mówił takim niskim, zmysłowym głosem, od którego przechodziły ją ciarki. Wydawał się też jakby znajomy, a kiedy dotknął wierzchu jej dłoni, poczuła dreszczyk oczekiwania. Miał głębokie, szare oczy z ciemnoniebieskimi, niemal czarnymi paskami na tęczówkach, wąskie usta i cień zarostu na twarzy, podkreślający jego męskość. I jeszcze uśmiech, krzywy i bardzo seksowny, kiedy z nią rozmawiał. O tak, stylizację na buntownika i zawa-diakę miał w małym palcu, opanował ją do perfekcji. Powiedziała mu nawet, że ma zabójczy uśmiech. Bardzo go to rozbawiło. Stwierdził, że jeszcze nikt nigdy go tak nie określił. Zaśmiał się nisko, gardłowo.

Oczami wyobraźni widziała już, jak wyglądała bez koszuli, już niemal czuła jego usta, namiętne i niecierpliwe, na swoich wargach, już widziała siebie, jak ochoczo, bez oporów wskakuje z nim do łóżka, wtulona w jego silne ramiona.

No tak, ale został w barze, prawda?

A ty wróciłaś tutaj. Sama.

Oczywiście, że wróciła sama. Przecież w ogóle go nie знаła. I chyba dobrze, że wyszła akurat wtedy, zwłaszcza że teraz czuła się tak fatalnie, a jutro musi wstać o piątej i pod żadnym pozorem nie wolno jej zasnąć.

Agent cudem załatwił jej przesłuchanie do roli w nowym serialu, który jesienią pokaże telewizja Fox. Przesłuchanie odbędzie się jutro rano i zależało jej, żeby wyglądać jak najlepiej. Albo nawet lepiej. Bo jeśli nie dostanie tej roli, to koniec... no, chyba że zdoła się wkręcić do kolejnej edycji „Tańca z Gwiazdami” albo innego reality show, dzięki któremu jej przygasła kariera nabierze nowego blasku.

Więc skąd to złe przeczucie? Boże drogi, czy ona się poci? Niedobrze, bardzo niedobrze.

Jakkolwiek by było, niewykluczone, że ten serial to jej ostatnia szansa, zważywszy na to, jak w Hollywood postrzega się wiek.

I co, nie deprimujące?

Shelly Bonaventure musiała odnieść sukces, po prostu musiała i już. Nie wróci przecież do tej zabitej dechami dziury w Montanie z podkulonym ogonem. W końcu to ona, została królową balu maturalnego w szkole Sycamore High, wygrała też w głosowaniu na absolwentkę, która ma największe szanse odnieść sukces. I wyjechała stamtąd, zostawiając za sobą małomiasteczkową duchotę najszybciej, jak to było możliwe. I rzeczywiście, przynajmniej na początku, jej gwiazda

świeciła jasno, wschodziła szybko, rozbłysła za sprawą kilku znaczących drugoplanowych ról. A potem - stały angaż w operze mydlanej, i to zanim skończyła dwadzieścia lat! Pracowała z największymi, z Tomami - Cruisem i Hanksem, z Gwyneth i Meryl... ba, nawet z Bra-dem-Pieprzonym-Pittem! Owszem, to były tylko małe rólki, ale mimo wszystko... I dublowała Julię Roberts! A potem był serial o wampirach, *Krew za krew*, w telewizji kablowej. Miała swoje chwile chwały, o tak. Ale, stwierdziła z goryczą, te cudowne momenty należały do przeszłości, a ostatnio jej działalność ograniczała się do roli trupów w kolejnych odcinkach *CSI*, występów w reklamach i podkładania głosu w niskobudżetowych filmach animowanych.

Jeśli nie dostanie roli Estelle w tym nowym serialu, może się pożegnać ze swoją i tak marną karierą i ustawić się w kolejce do reality show dla hollywoodzkich nieudaczników. Wzdrygnęła się na samą myśl.

Hollywood, pomyślała z goryczą kraina wygniecionych kanap w pokojach przesłuchań i utraconych złudzeń.

Wzdrygnęła się, gdy przeszła ją kolejna fala bólu, tak intensywna, że ugięły się pod nią kolana.

- Boże - sapnęła i zgięta w pół powlokła się do małej kuchenki. Otworzyła drzwiczki lodówki, zajrzała do środka, zobaczyła jej skromną zawartość i znowu poczuła się gorzej. Wyjęła butelkę mleczka na zgagę, odkręciła, upiła kilka łyków różowego płynu.

Rozdygotana, zamknęła butelkę, odstawiła z powrotem do lodówki, osunęła się na podłogę, wyprostowała nogi i oddychała powoli, głęboko.

Jezu, ależ źle się czuje.

Może jednak powinna zadzwonić do lekarza, chociaż nagrać się na sekretarkę? Powoli, z trudem, wstała i po raz kolejny zaintrygowało ją gdzie podziała się Lana?

Cóż, z pewnością nie było jej na kuchennym blacie, za to stały na nim naczynia z trzech dni - brudne kubki po kawie, szklanki i puste opakowania po dietetycznych daniach do odgrzania w mikrofalówce.

Ciągle obolała, poczłapała do łazienki. Powtarzała sobie, że nie pozwoli, by Hollywood ją pokonało, o nie.

Czyż nie uporała się z bulimią?

Czyż nie robiła wszystkiego, co trzeba?

I choć nie była klasyczną piękną, nieraz słyszała, że na jej twarzy malują się charakter i inteligencja. Jej kasztanowe włosy nadal

lśniły; jej jasnej karnacji nie znaczyło zbyt wiele zmarszczek, a zielone oczy i pełne usta nadal przyciągały uwagę. Przelotnie zerknęła na swoje odbicie w lustrze nad umywalką, skrzywiła się i weszła do malutkiej łazienki. Może sobie mówić, co chce - nie zmieni to faktu, że mijające lata zostawiły na niej swoje piętno, choć na razie mało widoczne. Używała coraz więcej kosmetyków, by zachować nieskazitelną cerę, a nie miała ochoty na botox. Na razie. Choć go nie wykluczała. No, ale powiedzmy sobie szczerze, nie wykluczała niczego, co powstrzymałoby zapędy czasu o krok czy dwa.

Ale to nieubłagany skurczybyk, pomyślała, naciągając skórę na policzkach, żeby się przekonać, czy już musi się podciągnąć.

Jeszcze nie, dzięki Bogu. Nie miała pieniędzy na żadne zabiegi. I nie była jeszcze gotowa, by napisać książkę, choć jej agent coś o tym przebąkiwał. Na miłość boską nie skończyła jeszcze trzydziestu pięciu lat, w każdym razie jeszcze przez kilka dni; nie dojrzała jeszcze do tego, by wszystko ujawnić. Bo też, szczerze mówiąc, nie bardzo miała co ujawniać; w porównaniu z losami rówieśników, jej życie było w sumie bardzo nudne.

Zauważyła, że ma lekko przekrwione oczy, więc wyjęła szkła kontaktowe i znalazła w apteczce buteleczkę kropli Visine. Odkręciła wieczko, przechyliła głowę do tyłu, zakropiła oczy, zakręciła buteleczkę i odstawiła ją na miejsce. Kiedy zamykała apteczkę, w jej lustrzanych drzwiczkach dostrzegła cień za plecami.

Co?

Serce podskoczyło jej do gardła. Odwróciła się gwałtownie. W pomieszczeniu nie było nikogo. Przez otwarte drzwi widziała salonik i przeszklone drzwi na patio.

Okryła się gęsią skórką.

- Lana? To ty? - zawołała, wracając do saloniku. Widziała wszystko niezbyt wyraźnie; oczy nie dostosowały się jeszcze do sytuacji bez soczewek, krople jeszcze nie zadziałały. - Kici, kici? - Gdzie się podział ten cholerny kot, którego nazwała na cześć ukochanej gwiazdy filmowej? - No chodź już do pańci! - nawoływała, jednak doszła do wniosku, że kotka, która bardzo lubiła taką zabawę w chowanego, zapewne czai się gdzieś w ciemności, gotowa do skoku. Już nieraz Lana wyskakiwała na nią zza oprawionych fotografii na półkach - oczywiście szkło pryskało w drobny mak, a Shelly umierała ze strachu, gdy rzucał się na nią nastroszony kot, dwa razy większy niż zazwyczaj. Straszenie jej to ulubiona rozrywka Lany. - Kici, kici, kici...

Lana, ma się rozumieć, zgodnie ze swoim niezależnym kocim charakterem, nie pokazała się.

Shelly stała boso pośrodku saloniku. Wyczuwała w mieszkaniu coś dziwnego, ciszę, która zdawała się mówić, że nie ma tu nikogo, nawet kota.

Bez sensu.

Kiedy wychodziła, Lana spała na kanapie, była tego pewna, pamiętała, jak kotka leniwie machnęła ogonem, leżąc zwinięta w kłębek na miękkich poduszkach kanapy.

Więc dlaczego ma wrażenie, że w pomieszczeniu nie ma żywego ducha? Słyszała, jak za oknem, na patio, wiatr buszuje wśród suchych liści, widziała, jak brązowe strzępy wznoszą się gwałtownie.

Na miłość boską co się z nią dzieje? To tylko wiatr i suche liście, do cholery. A mimo to czuła, jak włoski na rękach stają jej dęba.

Weź się w garść.

I kolejny bolesny skurcz żołądka.

- Au. - Zgięła się w pół pod wpływem bólu. Tym razem nie czekała. Poczłapała do torebki i zaczęła szukać telefonu.

Nie było go w kieszonce, do której zazwyczaj go wkładała.

- No, gdzie jesteś? - Nie czas teraz na gubienie telefonu. Drżącymi rękami przeszukiwała torebkę, a gdy ból przybrał na sile, wysypała jej zawartość na podłogę. Klucze, futerał na okulary, portfel, paragony z zakupów, drobne, paczka papierosów, pudełeczko na tampony i spray z gazem pieprzowym - to wszystko rozsypało się po wyłożonej terakotą posadzce.

Telefonu nie było. Co?

Miała go w barze. Pamiętała, jak wyciszyła dzwonek, włączyła wibrację i... chyba wsunęła z powrotem do torebki? A może zostawiła w barze, na kontuarze pokrytym imitacją wężowej skóry?

- O Boże - szepnęła. Czuła pot na czole, czuła, jak coraz szybciej bije jej serce. Nie miała telefonu stacjonarnego, nie miała jak wezwać pomocy, chyba że....

Trzrzrzrzk.

Suchy, przeciągły dźwięk niósł się echem w jej głowie.

Co to było, do cholery?

Kotka?

- Lana? - zawołała nerwowo i nagle zobaczyła, że przesuwane drzwi są otwarte, minimalnie uchylone.



A przecież były zamknięte?

Na pewno. Pamiętała, jak je zasuwiała, choć oczywiście blokada nie działała, bo Merlin, pieprzony dozorca, jeszcze nie zdążył jej zreperować.

O Boże. Czowała mrowienie na głowie, serce waliło jej coraz głośniejsze, choć powtarzała sobie, że niepotrzebnie panikuje. Nikogo tu nie ma, nikt nie czai się w mieszkaniu, nie dybie na nią.

Zbyt wiele razy brałaś udział w castingach do kiepskich horrorów. Ale mimo wszystko...

Wyteżając słuch, z rozszalałym sercem, zerknęła na drzwi do sypialni, lekko uchylone. Ruszyła w tamtą stronę, gdy nagle, kątem oka, dostrzegła ruch, ciemną postać przy drzwiach na patio, po drugiej stronie szyby.

Włamywacz! O nie!

Już otwierała usta do krzyku.

I zamknęła je, gdy poznała faceta z baru. Trzymał w dłoni jej komórkę. Położyła dłoń na rozszalałym sercu.

- Śmiertelnie mnie przeraziłeś! - rzuciła, otwierając drzwi. - Skąd masz mój...

Ale domyśliła się, zanim odpowiedział:

- Zostawiłaś w barze.

- Jak mnie znalazłeś?

I znowu ten leniwy, krzywy uśmieszek.

- Twój adres jest w książce adresowej. Pod hasłem: Dom.

- Och. Tak.

Naprawdę wyglądał zabójczo: kwadratowy podbródek, ciemne włosy i oczy z diabelskim błyskiem w granatowej głębi.

- Większość ludzi podeszłaby do drzwi frontowych i zapukała. - Nie do końca panowała nad irytacją, zresztą nadal czuła się fatalnie.

Jego usta drgnęły.

- Nie jestem taki jak większość ludzi.

Nie mogła nie przyznać mu racji w tym względzie; nawet nie próbowała się sprzeciwić, zwłaszcza że kolejna fala bólu niemal zwała ją z nóg. Zatoczyła się niezdarnie.

- Au... o Jezu. - Podparła się na szklanym blacie stolika i wstrzymała oddech. Znowu się pociła, z trudem oddychała.

- Dobrze się czujesz?

- Nie. - Przecząco pokręciła głową. - Wiesz co, lepiej już idź. Przykro mi, ale... au! - Wstrzymała oddech. Tym razem ugięły się pod nią kolana, ale zaraz otoczył ją silnymi ramionami.

- Potrzebujesz pomocy.

Zanim zdążyła zaprotestować, wziął ją na ręce i od razu skierował się do sypialni.

- Ej, chwileczkę....

- Połóż się - polecił spokojnie.

Nie miała wyboru. Pokój wirował jej przed oczami, lampa zdawała się tańczyć nad głową. Jezu, ależ jej niedobrze... O rany... Gdy ułożył ją na zmierzwionej narzucie, poczuła nową falę paniki. Materac ugiął się lekko pod jej ciężarem.

- Nie sądzę... - Odszedł na chwilę i zastanawiała się, czy nie uciekać. W tym, jak zjawił się pod jej drzwiami, było coś dziwnego, mrocznego. Wyczuwała to mimo bólu przewiercającego jej wnętrzności. To, że poznali się w barze, jej choroba, to, jak zjawił się na patio...

Jezu, czy on odkręcił prysznic? Słyszała szum wody i bulgotanie starych rur, gdy zakręcał kurek. Co to ma znaczyć?

Wrócił, zanim zdążyła się poruszyć. Podał jej telefon.

- Już wybrałem numer alarmowy - powiedział, gdy bezskutecznie wyciągała rękę po aparat. Usiłowała podnieść rękę, ale bezwładne palce odmawiały posłuszeństwa i dłoń jak martwa upadła na posłanie.

O Boże, Boże, Boże, musi stąd uciec, musi... tutaj dzieje się coś bardzo, bardzo złego....

Przyłożył jej komórkę do twarzy, ułożył na narzucie, którą jej babka własnoręcznie uszyła ze skrawków, gdy Shelly miała dziesięć lat....

Spojrzała na niego z łóżka, wtulona w narzutę i prześcieradło, i zobaczyła, że znowu się uśmiecha, ale tym razem w tym grymasie nie było rozbawienia, tylko lodowata satysfakcja. Jego twarz, do niedawna przystojna, teraz wydawała się demoniczną.

- Co ty zrobiłeś? - chciała zapytać, ale z trudem formowała słowa.

- Słodkich snów. - Podeszedł do drzwi. Zatrzymał się w progu, a Shelly przeszył dreszcz zimny jak śmierć.

- Tu centrum alarmowe - odezwał się kobiecy głos w słuchawce. - Proszę podać nazwisko i określić...

- Pomocy - sapnęła Shelly nerwowo, ledwie słyszalnym szeptem. Usta odmawiały jej posłuszeństwa, język, gruby i obcy, nie reagował na polecenia mózgu.

- Słucham?

- Potrzebuję pomocy - spróbowała jeszcze raz, głośniejszym głosem, ale sama słyszała ledwie zrozumiałe bełkot.

- Przykro mi, nie słyszę. Proszę mówić głośniej. Dlaczego wzywa pani....

- Pomocy! Błagam! Przyślijcie kogoś! - próbowała rozpaczliwie, w skrajnej panice. Boże, ratunku! Pokój wirował jej przed oczami, słowa, które chciała wypowiedzieć, zostawały w głowie. Udało jej się wyciągnąć rękę w stronę telefonu, ale aparat zsunął się na podłogę.

Choć głowa opadła jej na bok, cały czas widziała go, jak stoi w progu i przygląda się jej. Z jego twarzy zniknął zabójczy uśmiech; jego miejsce zajęła czysta, nieukrywana nienawiść.

Dlaczego? Dlaczego ja?

W oczach, które zaledwie kilka godzin temu wydawały się jej fascynujące, lśniło zło.

W ostatnich chwilach życia zrozumiała, że jej śmierć nie jest przypadkowa; z nieznanego jej powodu wybrał właśnie ją. Spotkanie przy barze to nie zbieg okoliczności.

Pomóż mi, Boże, pomyślała i poczuła, jak po jej policzku spływa łza. Wiedziała już, że śmierć nadchodzi. Tajemniczy nieznajomy obserwował ją z progu, gdy oddychała płytko, powoli.

W telefonie na podłodze ktoś coś mówił, ale głos dobiegał z daleka, z odległości setek kilometrów. Patrzyła, jak mężczyzna podchodzi do łóżka i kładzie przy niej fiolkę tabletek. A potem cały czas patrząc jej w oczy i mówiąc bez słów, że to on spowodował jej śmierć, zaczął ją powoli, metodycznie rozbierać...

## Rozdział 1

Z kubkiem kawy i orzechowo-czekoladowym ciasteczkiem z miejscowej kawiarenki Joltz w jednej ręce i torbą na laptop w drugiej, doktor Acacia „Kacey” Lambert szła po chodniku szybkim krokiem. Świtało już, ale latarnie nadal zalewały ulice światłem, cały czas paliły się ozdobne świąteczne lampki, kołysząc się na lodowatym wietrze, który hulał po małym miasteczku Grizzly Falls.

Tego roku zima przyszła wcześniej, zaatakowała z impetem, sypnęła śniegiem, skuła lodem, co oznaczało ciągłe problemy z dostawami elektryczności i kłopoty z dojazdem.

Podobnie jak rok wcześniej, pomyślała.

Tyle jeśli chodzi o globalne ocieplenie.

Samochody płynęły równym strumieniem; w tej części Montany właściwie zaczynała się godzina szczytu. Wszystkie zmierzały w stronę zjazdu na autostradę - ludzie spieszyli się do pracy. Przechodnie, w grubych kurtkach, wełnianych czapkach i szalikach, z rumieńcami chłodu na policzkach, przemykali się szybko, zostawiając za sobą obłoczki oddechów.

Tutejsze zimy są ostre, o wiele chłodniejsze niż w Seattle, ale kochała ten zakątek i ani przez chwilę nie żałowała, że wróciła do miejsciny, w której dorastała.

W przychodni, położonej w dolnej części miasteczka, zaledwie kilka przecznic od gmachu sądu i rzeki, wyjęła klucze z kieszeni i otworzyła drzwi wejściowe. Lodowaty podmuch wiatru przewiał ją na wylot i pognął dalej, do rzeki w wąwozie, po drodze brzęcząc okiennicami.

Zimny jak cycki czarownicy, jak powiedziałby jej dziadek. Alfred Lambert, z psotnym błyskiem w niebieskich oczach za okularkami

w drucianych oprawkach, nigdy nie oduczył się soczystego języka, choć Bess, jego żona, wiecznie suszyła mu o to głowę.

Boże, ciągle za nimi tęskniła. Czasami tak bardzo, że aż bolało. Mieszkała na farmie, na której spędzili razem ponad pięćdziesiąt lat, nic dziwnego więc, że często o nich myślała.

Minęła ją półciężarówka. Okno od strony pasażera było lekko uchylone mimo mrozu; ze szpary wyglądał psi nos i dobiegały dźwięki piosenki *Jingle Bell Rock*.

- Za wcześnie na to - mruknęła, otwierając drzwi. Weszła do pustego holu w niskim budynku, w którym mieściła się jedna z dwóch przychodni lekarskich w miasteczku. Pod ścianami stały rzędy podniszczonych plastikowych krzeseł, na stolikach poniewierały się czasopisma, w kącie dogorywała usychająca palma, koło recepcji piętrzyły się zabawki dla najmłodszych pacjentów.

W kantorku recepcjonistki paliło się światło. Heather Ramsey była już na posterunku, siedziała za długim kontuarem, który stanowił jej miejsce pracy. Z nosem niemal przyklejonym do ekranu komputera, Heather szybko przebiegała wzrokiem kolejne strony.

Ale nie były to historie choroby, spisy pacjentów czy cokolwiek związanego z funkcjonowaniem przychodni.

Heather jak zwykle czytała rubryki towarzyskie i portale plotkarskie, dopiero później zabierała się do pracy.

- Przygotuj się - mruknęła, nie odrywając wzroku od monitora.

- Na co?

- Nie żyje twoja siostra bliźniaczka - oznajmiła ponuro. - Samobójstwo.

- Moja siostra bliźniaczka? - Kacey pytająco uniosła brew. - Czyli kto dokładnie, bo jestem jedynaczką?

- Shelly Bonaventure!

- Jaka Shelly? Ach, ta aktorka z... Boże, nie mogę sobie przypomnieć tytułu tego filmu. - Ale przypomniawszy sobie twarz Shelly, ładną, o regularnych rysach, z wielkimi zielonymi oczami, małym noskiem, wąskim podbródkiem i wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi. Porównanie Heather to komplement.

- Grała w wielu filmach, ale nie była gwiazdą. Z tego, co pamiętam, mogłaś ją zobaczyć w *Joint Custody* i *Sorority Night*, choć to filmy sprzed paru lat, i jeszcze... już wiem, *Thirty Going On Fifteen!* - Zerknęła na ekran, przeczesywała tekst wzrokiem w poszukiwaniu dalszych informa-

cji. - Przede wszystkim zapamiętano ją z tego serialu o wampirach, *Krew za krew*, no wiesz, tego, od którego zaczęła się kariera Joeya Bannera.

- Nigdy tego nie oglądałam - przyznała Kacey, ale w sumie nic dziwnego, że rzadko oglądała telewizję; po prostu nie miała czasu. College, studia na medycynie, staż i specjalizacja... jasne, że przegapiła, jak się wydawało, całą generację w kulturze popularnej.

- O rany, to sporo straciłaś, ale możesz go obejrzeć na DVD lub na Blue-Ray. Wszystkie sezony, od pierwszego. Był super. Ona też. -Heather rozpędzała się coraz bardziej. Była bardzo ożywiona. - Wiesz, że pochodziła z tych okolic? Naprawdę nazywała się Michelle Bentley. -Podniosła głowę. W jej piwnych oczach odbijało się światło lampy. - Miała zaledwie trzydzieści pięć lat, czy raczej - skończyłaby w tym tygodniu.

Kolejna wspólna cecha.

- I popełniła samobójstwo? - zapytała Kacey. - Okropne.

- No, tak. To znaczy, nie zostawiła listu pożegnalnego, albo policja tego nie ujawnia, no wiesz. - Heather znacząco zniżyła głos i uśmiechnęła się szeroko, prezentując w pełnej okazałości aparat ortodontyczny na zębach.

- Wiem. - Kacey przeszła już do pokoju badań, włączyła światło. - Wielka szkoda.

- Dziwne to. Ale ona naprawdę jest... to znaczy była... bardzo do ciebie podobna.

- Tak, tak, wiem. - Kacey weszła do gabinetu. Było to niewielkie pomieszczenie pełne regałów z książkami, z jednym oknem, wychodzącym na parking. Ciągłe ciemne niebo zalewało ulice deszczem ze śniegiem; krople monotonicznie bębniły o szyby. Kacey postawiła laptop na biurku, wyjęła z futerału, podłączyła do prądu, włączyła. Czekając, aż ożyje, ustawiła żaluzje tak, że sama widziała, co się dzieje, ale z zewnątrz nikt nie mógłby zajrzeć do gabinetu, i przeglądała pierwsze wiadomości, jedząc śniadanie - ciastko z kawą.

Pierwsi pacjenci zjawiają się dopiero za godzinę - miała więc dość czasu, by nadrobić zaległości papierkowe, odpowiedzieć na maile i przygotować się na kolejny dzień w szczycie sezonu grypowego. Oddzwoniła do kilku osób, słyszała, jak w przychodni zjawiają się kolejni pracownicy, zerknęła w okno i widziała, jak nad szczytami gór Bitterroot kłębią się ołowiane chmury.

Odłożyła właśnie słuchawkę po konsultacji z kolegą w Spokane w sprawie pacjentki z rakiem piersi, gdy Heather zajrzała przez drzwi, uchylone przez większość dnia, i oznajmiła:

- Dzwoniła pani Ingles, odwołała wizytę, wyjaśniła, że musi zaopiekować się siostrzeńcem.

- W porządku. - Helen Ingles zmagala się z cukrzycą typu II i na ten dzień zaplanowano dalsze badania.

- I jeszcze coś. Wydrukowałam ci ten artykuł o Shelly Bonaventure. Kacey spojrzala na nią znad okularów.

Heather polozyła jej na biurku plik kartek.

- Tak, tak, wiem, czas zabrać się do pracy, ale sama rozumiesz. -Wzruszyła szczupłymi ramionami. - W końcu to była lokalna gwiazda, zresztą popatrz tylko, jak bardzo jest do ciebie podobna.

- Dość tego - ucięła Kacey i odsunęła od siebie artykuł. Od wielu lat słyszała, że jest podobna do różnych hollywoodzkich aktorek. Jej szeroki uśmiech porównywano do uśmiechu Julii Roberts. Nawet jej były mąż, Jeffrey Charles Lambert, nie, chwileczkę, JC dla przyjaciół - zapewniał ją że jej twarz ma taki sam kształt jak twarz Jennifer Garner, choć to wcale nieprawda. A jeśli chodzi o Shelly Bonaventure, według niej podobieństwo ograniczało się do oczu o podobnym kształcie i kolorze, oczywiście zakładając, że Shelly nie nosiła barwionych soczewek kontaktowych.

- No dobrze, już dobrze... rozumiem. - Heather rozłożyła pojednawczo ręce i wyszła z gabinetu. - Pani Whitaker już jest.

- Super. - Constance Whitaker to hipochondryczka, która miała za dużo wolnego czasu i poświęcała go na wyszukiwanie chorób w Internecie, po czym zawsze stwierdzała u siebie nowe schorzenie.

- A doktor Cortez? - Kacey narzuciła fartuch.

- Dzwonił piętnaście minut temu, jedzie ze szpitala. - W tej chwili na parkingu błysnęły światła i range rover Martina Corteza zahamował gwałtownie. - Czy raczej - dojechał. W rekordowym czasie.

Kacey pokręciła głową.

- Bywało lepiej. Kiedy jeździł porsche.

- Pamiętam. - Heather westchnęła.

Sportowy wóz przetrwał jedną zimę - potem Martin Cortez zmienił go na ekskluzywny model suva, któremu niestraszne górskie wyboiste drogi i surowe zimy.

Rozdzwonił się telefon. Heather wróciła do recepcji. Tylne drzwi otworzyły się i zaraz zamknęły. Doktor Martin Cortez stawiał się w pracy.

Kacey zerknęła na artykuł o Shelly Bonaventure. No dobra, musiała przyznać, rzeczywiście jest trochę podobna do aktorki, ale tylko trochę.

Cisnęła artykuł do śmieci. W tej samej chwili Martin wsadził głowę do gabinetu. Był już w fartuchu. Uśmiechnął się ciepło.

- Masz dzisiaj dla mnie karmelową mokkę na potrójnym espresso z dodatkową bitą śmietaną?

- Chyba w twoich snach. - Był to ich codzienny poranny żarcik. Co jakiś czas Kacey zaskakiwała go, kupując mu dziwną ekstrawagancką kawę, ale nie tego dnia.

- I jak ja mam tu przeżyć? - Położył sobie dłoń na piersi i spojrzał w sufit, jakby szukał tam natchnienia.

- Łatwo nie będzie, ale dasz radę - mruknęła. - Do boju.

- Postaram się. - Błysnął zębami w zaraźliwym uśmiechu. Nic dziwnego, że połowa wolnych kobiet w hrabstwie traciła dla niego głowę. Spoważniał, opuścił rękę i ponownie wcielił się w wiejskiego lekarza. - Zerknęłaś na kartę Amelii Hornsby? - Martin znał nazwiska niemal wszystkich pacjentów. Amelia miała osiemdziesiąt lat i zmagала się z infekcją gardła, której nie zdołały pokonać kolejne dawki różnych antybiotyków.

Randy Yates, młody pielęgniarz tuż po szkole, zajrzał do gabinetu.

- Ej, medycy, do roboty! - uśmiechnął się szeroko. Ciemne włosy golił niemal na zero, ale nadrabiał to starannie wypielegnowaną hiszpańską bródką. - Pacjenci czekają w jedynce, dwójce i trójce! Gotowi do badania!

- Biorę panią Whitaker - zdecydował Martin.

Kacey zerknęła na kartę pacjenta z dwójki. Elmer Grimes.

- Ja dwójkę - powiedziała i wyszła z gabinetu, żeby zająć się pierwszym pacjentem.

Detektyw Jonas Hayes z LAPD - policji Los Angeles - nie wierzył w samobójstwo Shelly Bonaventure. Nie uwierzył poprzedniej nocy, gdy dyspozytorka wysłała go do mieszkania aktorki, i nie wierzył dzisiaj, gdy siedział za biurkiem i przeglądał w komputerze fotografie z miejsca zbrodni. Posterunek tętnił życiem, wszędzie dzwoniły telefony, otaczał go gwar rozmów i odgłosy kroków, słyszał też monotonne stukanie w klawiatury komputerów, a nieco dalej smętnie buczała drukarka.

Hayes upił łyk kawy, którą kupił w Starbucks kilka przecznic od posterunku, i zmusznie przebijał się przez zeznania spisane poprzedniej nocy. Po raz kolejny. Przejrzał je pobieżnie o czwartej rano; teraz, pięć godzin później, czytał je uważnie.



Wczoraj w nocy od pierwszej chwili, gdy przekroczył próg mieszkanca Shelly Bonaventure, miał wrażenie, że prawda jest inna, niż na to wygląda. Od razu się zorientował, że miejsce zbrodni upozorowano tak, by kojarzyło się z samobójstwem Marilyn Monroe sprzed mniej więcej pięćdziesięciu lat. Minęło pół wieku, a teorie spiskowe i wątpliwości co do śmierci aktorki nadal nie zostały wyjaśnione. Nie chciał, by tak samo skończyło się dochodzenie w sprawie Shelly Bonaventure. Nie, póki to jego sprawa.

A w tej sprawie od początku czuł, że coś jest nie tak.

I wczoraj, i dziś.

Właściwie już to samo w sobie było dziwne. Hayes, człowiek mocno stąpający po ziemi, wierzył tylko w konkretne, niezbite fakty. Nie przekonywały go przeczucia czy podszepty instynktu. Przyjmował, że prawda kryje się w dowodach.

Ale ta sprawa była inna.

Po pierwsze, wątpił, by Shelly zadzwoniła po pomoc nagusieńka jak ją pan Bóg stworzył, nieważne, w jakim teoretycznie była stanie psychicznym. Skoro miała dość oleju w głowie, by wzywać pogotowie, dlaczego nie narzuciła na siebie chociaż szlafroka? Czy chciała w ten sposób zwrócić na siebie uwagę mediów? Czy nagość zwiększa oglądalność? Czy chciała umrzeć w atmosferze sensacji?

Gdzie, w takim razie, jest, do cholery, list pożegnalny?

Rozmasował zdrętwiały kark i tęsknie pomyślał o papierosie, choć rzucił palenie kilka lat temu, ulegając naciskom Delilah. Jezu, jak mu tego brakowało. Prawie tak samo jak jej.

Zmarszczył brwi i ponownie skoncentrował się na sprawie. Podejrzewał, że gdy w końcu otrzyma raport z toksykologii, okaże się, że w krwi aktorki była mieszanka alkoholu i różnych tabletek. Xanax, jeśli zażyła swoje pigułki. Buteleczka tego środka stała przy jej łóżku, a nie w apteczce jak reszta lekarstw na receptę. Zostały w niej zaledwie trzy tabletki, choć, jeśli wierzyć informacji na etykiecie, odebrała ją z apteki w sobotę.

To jasne, że przedawkowała.

Więc dlaczego nie mógł jakoś uwierzyć w tę teorię? Mogła przecież trzymać tabletki przy łóżku, tłumaczył sobie, a była naga, bo zapewne niedługo przed śmiercią brała prysznic, świadczyły o tym mokra zasłona prysznicowa i krople wody w brodziku.

Ale jej skóra i włosy były suche jak pieprz; makijaż rozmazał się tylko odrobinę; co dowodziło raczej tego, że po prostu starł się w ciągu dnia, niż tego, że go celowo zmyła. Co prawda czepek w łazience był wilgotny, więc może tak starannie schowała włosy, nawet niesforne kosmyki przy twarzy, że ani jeden się nie zamoczył... może.

A kot był nie w mieszkaniu, lecz na zewnątrz. Czy naprawdę popełniłaby samobójstwo, zostawiając kotkę na dworze? Nie wierzył w to, choć oczywiście niczego nie można wykluczyć. Może uznała, że lepsze to niż zamykać kota w mieszkaniu z gnijącym trupem.

W zadumie stukał gumką do ścierania o blat biurka i przeglądał zdjęcia z miejsca zbrodni. Shelly leżała na łóżku, z prawą dłonią zaciśniętą na telefonie, jakby dzwoniła po pogotowie kilka minut przed tym, jak straciła przytomność i umarła.

Jonas pokręcił głową żeby rozluźnić napięte mięśnie, i analizował w myślach minione dwanaście godzin. Dostał wezwanie koło północy, pojechał do mieszkania ofiary, gdzie funkcjonariusz z patrolu już zaczął wstępne czynności zabezpieczające.

Hayes i Gail Harding, jego młodsza, niższa stopniem partnerka, czekali na chłopaków z kryminalistyki i biura koronera.

Potem ciało Shelly przewieziono do kostnicy, technicy wykonali swoją robotę i odjechali, powiadomiono najbliższą rodzinę denatki i media, które już rano podały wiadomość o śmierci aktorki. Dziennikarze z tabloidów wydzwaniali od świtu, bo pani Bonaventure okazała się o wiele ciekawsza po śmierci niż za życia. Agent Shelly wygłosił krótkie oświadczenie, w którym wychwalał jej talent, karierę i dobre serce, i prosił opinię publiczną o nie niepokojenie rodziny zmarłej.

Wszyscy, z którymi rozmawiał, twierdzili, że była pełna życia, energii, nigdy nie cierpiała na depresję. W mieście, w którym antydepresanty i środki uspokajające zajada się jak dropsy, a odwyk to styl życia, Shelly wydawała się stosunkowo stabilna i czysta.

Hayes przeglądał zeznania. Według sąsiada z góry Shelly szukała kota niecałe pół godziny przed tym, jak zadzwoniła po pogotowie. Słyszał też, jak jej drzwi frontowe otworzyły się i zamknęły koło jedenastej.

A czterdzieści minut później już nie żyła.

Teoria o samobójstwie wydawała się zbyt oczywista. Zbyt prosta. I Shelly bardzo szybko zmarła po zażyciu tabletek, jakby wszystkie połknęła tuż po powrocie do domu. Ale może się myli; trzeba jeszcze

sprawdzić billingi telefoniczne, porozmawiać z przyjaciółmi, sąsiadami, byłymi chłopakami. Opadł na oparcie fotela i spojrzał na fotografię córki, Maren. Uczyła się w liceum. Odziedziczyła po matce urodę i szeroki uśmiech. Miała karnację koloru czekolady, ciemne, błyszczące oczy i zwierzyła mu się, że chciałaby zostać aktorką; widziała siebie jako nową Angelę Bassett, Halle Berry czy Jade Pinkett Smith.

I naprawdę była dobra.

Ale, o Boże, jego córeczka? W Hollywood?

Oderwał wzrok od uśmiechniętej twarzy Maren, wrócił spojrzeniem do ekranu komputera, do Shelly Bonaventure o poszarzałej skórze i sinych ustach, już dotkniętej śmiercią. Co Hollywood miało wspólnego z jej odejściem, zastanawiał się.

Może nic.

Może wszystko.

Hayes wstał i usłyszał dziwne, obce szmery - włączono ogrzewanie, co zdarzało się bardzo rzadko, bo nawet w zimie temperatura w budynku, w którym mieścił się wydział zabójstw, rzadko potrzebowała regulacji.

Usłyszał kroki Harding, zanim wyszła z za rogu. Zamyślona, ściągała starannie wyregulowane brwi.

- Masz coś?

- Niewiele - odparła. - W końcu udało mi się skontaktować z barmanem, który pracował wczoraj na nocnej zmianie w knajpie Lizards, lokalu dla nocnych gadów, jeśli wierzyć tandetnej reklamie w Internecie. U nich po raz ostatni widziano Shelly żywą.

- I?

- Była pijana - oznajmiła Harding. - Facet, z którym ją widziano, co chwila stawiał jej drinka z okazji nadchodzących urodzin.

- Przyjaciół?

- Facet. Może go poderwała, barman nie wiedział. Ale zapamiętał gościa. Trzydzieści parę lat, przystojny, ciemne włosy, średniego wzrostu, biały, ale śniady. Nie pamięta koloru oczu ani żadnych cech szczególnych poza tym, że wydawał się bardzo zainteresowany Shelly, do tego stopnia, że barmana zdziwiło, że nie wyszli razem. Ostro z nią flirtował.

- Facet pewnie nie płacił kartą kredytową?

Uśmiechnęła się, odsłaniając nie do końca proste zęby i jakby za duże siekacze.

- Aż tyle szczęścia nie mamy.

- Tak myślałem.

- Zresztą, uważamy, że to było samobójstwo, prawda? - naciskała.

- No, tak - odparł bez przekonania. Postanowił przyjrzeć się ostatnim dniom życia Shelly Bonaventure, sprawdzić jej znajomych i przyjaciół. Interesowało go także, kto skorzystałby na jej śmierci. Jeśli wierzyć plotkom, była kandydatką do jednej z głównych ról w nowym serialu, mówiło się też, że już właściwie podpisała umowę na książkę, w której zdradzi wszystkie sekrety branży. Zacznie jednak od ostatniej osoby, która widziała ją żywą.

- No to jak, wierzysz, że nieświadomie przedawkowała? - Harding nie dawała za wygraną. Gdy nie odpowiadał, zmrużyła oczy i skinęła głową, jakby potwierdzając to, co już wcześniej podejrzewała. - Nadal uważasz, że to zabójstwo.

- Nie wiem, co uważam, jeszcze nie - przyznał. - Na razie po prostu niczego nie wykluczam. Pogadajmy z tym barmanem twarzą w twarz. Może coś mu się przypomni o tym tajemniczym facecie.

- Ty tu rządzisz - burknęła z ledwo wyczuwalną nutą ironii.

- Tak jest - odparł żartobliwie i zdjął marynarkę z wieszaka przy biurku. Wsunął glocka do kabury pod pachą. - A ty o tym nie zapominaj.

- Jak mogę, skoro nie ma dnia, byś mi o tym nie przypomniał?

- I po co się tak nadymasz?

- Phi - prychnęła. - Chodźmy już.

Stare stopnie trzeszczały cicho pod jego ciężarem, gdy schodził do piwnicy mieszczącej się pod domem od strony garażu, pod domem, który zbudowano na przełomie wieków - i to nie na ostatnim przełomie.

W piwnicy, chłodnej i szczelnej, dawniej stał wielki piec i przechowywano drewno na opał; teraz był to po prostu składzik. Skrzynie, stare meble, zepsute lampy, słoje po przetworach i fotografie z minionych lat tylko gromadziły kurz.

Nikt tu nigdy nie zaglądał.

Poza nim.

A i on schodził tylko wtedy, gdy był sam.

Z odkrytych belek sufitu zwisały pajęczyny. W garażu, nad jego głową, stał wiekowy traktor marki John Deere, nieuruchamiany od jakichś dziesięciu lat. Nie zwracał uwagi na drapanie malutkich pazurków o cegły posadzki. Nie przeszkadzały mu myszy, szczury, wiewiórki czy inne gryzonie, które tu mieszkaly. Właściwie nie miałyby nic

przeciwko obecności jednego czy dwóch grzechotników. Wszystko, byle mieć pewność, że nikt nie ośmieli się tu zajrzeć.

Minął skrzynie pełne rdzewiejących narzędzi i podszedł do drzwi swego tajnego pokoju. Dawniej była to komórka na jabłka i warzywa na zimę. Separator mleka należący do jego prababki, machina nieużywana od pięćdziesięciu lat, nadal strzegł ciężkich, masywnych drzwi zamkniętych na kłódkę. Rdzawe zacieki na ścianach znaczyły miejsca, którymi dawniej biegły rury doprowadzające wodę do wyżymaczk i pralki, stojących w rogu. Schylił się, żeby nie zahaczyć głową o sznury, na których dawno, dawno temu wieszano w zimie bieliznę, by wyschła.

Otworzył kłódkę i szarpnął stare drzwi, które przed wielu laty zbudował jego prapradziadek, w czasach, gdy jeszcze nie było lodówek. Drzwi były szerokie prawie na pół metra, wypełnione trocinami. Po zamknięciu doskonale tłumiły wszelkie dźwięki z wewnątrz.

W środku zamknął drzwi, zapalił jarzeniowe światło nad głową. Pomieszczenie od razu zalało niesamowite niebieskie światło i miał wrażenie, że w ułamku sekundy przeniósł się w czasie o sto pięćdziesiąt lat do przodu. Pod trzema ścianami widniały blaty z nierdzewnej stali; w jednym rogu uwagę przykuwał ogromny monitor, modem do Internetu bezprzewodowego i inne gadżety, zapewniające bezpieczeństwo i prywatność.

Jedną ze ścian zajmowała ogromna mapa Stanów Zjednoczonych. Była to mapa polityczna, przedstawiała granice stanów, miasta i drogi. Jej gładką powierzchnię znaczyły czerwone główki szpilek. W sumie trzydzieści siedem. Każda oznaczała miejsce, w którym mieszkała jedna z uzurpaterek. Jak krople krwi szpecące powierzchnię mapy, główki szpilek przypominały mu, ile jeszcze pracy go czeka i jak mało czasu mu zostało.

Te szpilki to poważna, bardzo poważna sprawa.

Za dużo ich, pomyślał. W mapie tkwiły też inne szpilki, z czarnymi łebkami, oznaczające śmierć. Przymocował nimi fotografie, odwrócone przodem do mapy tak, że teraz widział jedynie białe prostokąty z wypisanymi datami urodzin i śmierci. Pisał je drukowanymi literami czarnym długopisem. Te czarne szpilki także były powtykane na całym obszarze Stanów. Na razie było ich sześć.

Ale robił postępy - powoli, ale stale. Powoli, bo mógł liczyć tylko na siebie; boleśnie się o tym przekonał.

Z uśmiechem wyciągnął czerwoną szpilkę z okolic Kalifornii Południowej, podszedł do drukarki i wziął wydrukowaną wcześniej fotografię. Patrzyła na niego przerażona twarz Shelly Bonaventure. Uśmiechnął się ponownie, zadowolony przerażeniem na jej twarzy. Wiedziała już, że zaraz umrze. Pstryknął jej zdjęcie telefonem komórkowym tuż przed tym, jak wymknął się z jej mieszkania tylnymi drzwiami, i od razu przesłał je tutaj.

Zajęła mu za dużo czasu; kiedy wychodził i oddalał się szybkim krokiem, słyszał wycie karetki pogotowia.

Ale udało mu się uciec.

Znowu.

Wyjął nożyczki z szuflady, wyciął zdjęcie z kartki, odciął niepotrzebne krawędzie, staranie wypisał na odwrocie daty jej urodzin i śmierci i przykleił do mapy czarną szpilką. Mały arkusik przykrył zdjęcie z jej strony internetowej.

Idealnie.

Podziwiał swoją pracę, patrzył na te, które zginęły przed Shelly, i te, które jeszcze żyją które czekają na swoją kolej. Na swój sposób były atrakcyjne, wszystkie między dwudziestym ósmym a trzydziestym szóstym rokiem życia. Głównie brunetki, choć było też kilka farbowanych blondynek i rudych.

Najwięcej zdjęć widniało na północnym zachodzie. Dwie w Kolumbii Brytyjskiej, niedaleko Vancouver, jedna w Albercie, kilka w stanie Waszyngton, sporo w Oregonie, parę w Kalifornii. Trzy w Newadzie, dwie w Arizonie, garstka w Montanie. Jedna zawędrowała aż do Delaware, sześć trafiło na środkowy zachód, w tym trzy do Chicago.

Najbardziej martwiły go te, które mieszkały w jednym stanie czy okręgu, bo wystarczy odrobina nieuwagi, a ich śmierć może wydać się podejrzana. Ryzykowne było nawet samobójstwo Shelly. Pozostałe zgony uznano za wypadki i nikt niczego nie podejrzewał, nie zadawał żadnych pytań.

Idealnie.

Wszystko tak wspaniale zaplanował. Ale zostało ich jeszcze tak wiele.

Gniewnym spojrzeniem omiół szpilki wokół Missoula i Grizzly Falls. Do tych uzurpaterek będzie miał łatwy dostęp, mieszkały przecież w pobliżu.

Tylko że władze zainteresują się, gdy zaczną ginąć dwudziestolatki i trzydziestolatki.

Chyba że dojdzie do wielkiej tragedii i wszystkie zginą razem, oczywiście wśród innych ofiar, żeby nie budzić podejrzeń. A on sam będzie musiał albo być daleko od katastrofy, albo, co bardziej prawdopodobne, brać w niej udział i wyjść z niej nie całkiem bez szwanku.

To będzie trudne, ale krew krążyła mu żywiej w żyłach na myśl o tym, jaki jest sprytny i przebiegły. Wyprowadzi policję w pole, wyjdzie na bohatera, okryje się sławą... nie! Nie, musi wtopić się w tło, nie może sobie pozwolić na chwałę w blasku reflektorów, nie może dopuścić, by jakiś wścibski dziennikarzyna zaczął węszyć....

Podszedł do szafki na dokumenty i wysunął szufladę. Wewnątrz znajdowały się starannie posegregowane teczki z informacjami o poszczególnych uzurpatorkach. Jedne cieńsze, inne grubsze, ale to wszystko bez znaczenia.

Otworzył pierwszą i poczuł, jak boleśnie skręca mu się żołądek, gdy patrzył na fotografię wśród papierów.

Doktor Acacia Lambert.

Była wyjątkowa. Dziewczyna z małego miasteczka w Montanie, na tyle zdolna, że skończyła studia i medycynę. Przez krótki czas była żoną Jeffrey'a Lamberta, kardiochirurga, który do dzisiaj mieszkał i pracował w Seattle w stanie Waszyngton.

Do pomyłki.

Kiedy stał się zbyt wygłodniały, zbyt spragniony krwi, zbyt niecierpliwy, by zniszczyć jedyną osobę, która mogła wszystko zepsuć. I to zadanie poszło nie tak. Kacey przeżyła.

Czego nie można jednak powiedzieć o jej małżeństwie. Po rozwodzie postanowiła zacząć praktykę w małym miasteczku, tym samym, w którym jej dziadkowie przeżyli całe życie.

Wzruszające.

I bardzo wygodne.

Po tym, jak wymknęła mu się z rąk, właściwie sama do niego przyszła.

Ale tym razem nie będzie błędu; tym razem załatwi sprawę do końca.

Czuł, jak budzi się w nim wściekłość, gdy wpatrywał się w jej zdjęcie. Zaciśnął zęby, patrząc na gęste, kasztanowe włosy, wysokie kości policzkowe, pełne usta i zielone oczy, które nawet na malutkiej fotografii zdawały się błyszczeć inteligencją.

Obserwował ją.

Śledził.

Poznał jej zwyczaje.

Mieszkała w starym domu dziadków na obrzeżach miasteczka. Dom był niewidoczny od drogi, osłaniały go drzewa rosnące wzdłuż długiej alei, co bardzo ułatwi sprawę...

Ale Kacey musi poczekać.

Niestety, przed nią musiał się zająć innymi.

Za to, kiedy przyjdzie jej kolej, już on dopilnuje, żeby uświadomiła sobie w pełni swoje grzechy. Nie będzie się spieszył.

Przeglądał teczki kolejnych uzurpaterek. Żadna z nich nie miała pojęcia, że je obserwuje. Wybrał te, które mieszkały w pobliżu Kacey.

Ciekawe, czy kiedykolwiek się spotkały.

A jeśli tak, czy domyślały się, że łączy je jedna wspólna cecha.

Wszystkie urodziły się po to, by umrzeć młodo.

Z jego ręki.



## Rozdział 2

Państwa dziecko nie było dzisiaj w szkole...

Detektyw Regan Pescoli czuła, jak krew zastyga jej w żyłach, gdy usłyszała w słuchawce nagraną wiadomość ze szkoły, w której teoretycznie powinna być jej córka Bianca.

- A niby dlaczego nie? - szepnęła po nosem i wyłączyła komórkę. Osobiście odwiozła córkę pod budynek szkoły, a Bianca była zbyt młoda, by sama usiąść za kółkiem.

Regan wybrała numer telefonu córki - i od razu włączyła się poczta głosowa. No jasne. Żadne z jej dwojga dzieci nigdy nie odbierało telefonu. Szybko wystukała wiadomość tekstową: „Gdzie jesteś? Dzwonili ze szkoły, że nie ma cię na lekcjach. Zadzwoń do mnie!”

- Super - mruknęła pod nosem i odsunęła swoje krzesło od biurka w biurze szeryfa okręgu Pinewood. Zerknąwszy na zegarek, poszła do pokoiku Seleny Alvarez. Jej partnerka pochylała się nad biurkiem, przytrzymywała słuchawkę ramieniem, i przeglądała stertę papierów przed sobą. Czarne włosy Alvarez, zebrane w ciasny kok na karku, mieniły się błękitem w ostrym świetle lampy.

Widząc Pescoli, znacząco uniosła palec.

- Tak, wiem, ale już od kilku tygodni czekamy na wyniki tych testów - rzuciła do słuchawki, zaciskając usta w wąską linię. Alvarez nie tolerowała tylko jednego - niekompetencji. - Tak, tak, wiem, wszyscy jesteśmy przepracowani, rozumiem... Co? Tylko tyle możecie zrobić? Dobrze... tak, jutro wystarczy. - Rozłączyła się, wyraźnie zdenerwowana. - Założę się o każdą sumę, że jutro też się nie dowiem, co było w krwiobiegu Donny McKinley - mruknęła, opadła na oparcie i wbiła wzrok w ekran monitora, na którym widniało zdjęcie wspomnianej kobiety. - No wiesz, chciałabym już mieć to z głowy.

Pescoli wiedziała, a jakże. Obie chciały mieć pewność, że śmierć Donny McKinley to głupi wypadek, że zasnęła za kierownicą i dlatego straciła panowanie nad samochodem. Że z jej śmiercią nie miał nic wspólnego jej chłopak, recydywista Barclay Simms, który, tak się składa, wykupił Donnie ubezpieczenie na życie warte sto tysięcy dolarów zaledwie trzy tygodnie wcześniej. I to z zasiłku dla bezrobotnych.

Alvarez westchnęła głośno.

- Przepraszam.

- Nie ma sprawy. Chciałam cię tylko uprzedzić, że wychodzę. Muszę odnaleźć córkę.

- Wagary?

- Na to wygląda. - Pescoli pokręciła głową. Jeszcze rok temu Bianca była piątkową uczennicą z wzorowym zachowaniem, dumną ze swoich osiągnięć, z tego, że jest „tą dobrą córką”, jak nieraz o sobie mówiła. Aż do zeszłego roku, w gimnazjum. Zaczęła dostawać coraz gorsze stopnie. Obiecywała, że w liceum, „gdzie to naprawdę ma znaczenie”, ponownie weźmie się do roboty. Na razie na obietnicach się skończyło.

- Nie ma sprawy, poradzę sobie - odparła Alvarez. Nie przesadzała. Jako typowa pracoholiczka rzadko wychodziła z pracy o czasie. Była singielką i Pescoli miała wrażenie, że właściwie nie prowadzi żadnego życia towarzyskiego, a szkoda. Dzisiaj jednak nie miała czasu, by się nad tym zastanawiać.

- Odwdzięczę się.

- Jasne. - Alvarez prychnęła pod nosem.

Po raz setny, pomyślała Pescoli, wkładając kurtkę, szalik i czapkę. Wyszła z gabinetu, minęła świetlicę, w której Joelle Fisher rozpakowywała pudła dekoracji świątecznych. Na pustych stołach zalegały srebrne gwiazdy, sztuczne płatki śniegu, sznury lampek i nawet Mikołaj, który rok w rok przyprawiał Pescoli o dreszcz niepokoju. Joelle tymczasem

kombinowała, w którym miejscu umieścić „odrobinę świątecznej atmosfery”. Pescoli nie pojmowała, dlaczego właściwie szeryf Dan Grayson pozwala jej na te bzdury, ale Joelle, wiecznie uśmiechnięta, z krótkimi blond włosami, wielkimi kolczykami, na wysokich obcasach, chyba nigdy nie zauważyła, że kolegom z pracy bynajmniej nie udzielał się jej świąteczny zapach i entuzjazm.

- Regan! Cześć! - zawołała za nią stukając obcasikami w korytarzu. Na jej piersi widniała broszka - renifer Rudolf ze świecącym czerwonym nosem. - Pamiętasz, że w poniedziałek rano odbędzie się losowanie? No wiesz, kto komu kupi prezent na święta.

- A ty pamiętasz, że do Gwiazdki zostało jeszcze sześć tygodni?

- Czas szybko mija - zauważyła Joelle poważnie. - W przyszły czwartek Święto Dziękczynienia, a świętować można zacząć trochę wcześniej.

- Nie licz na mnie na Gwiazdkę w lipcu.

- Nie bądź taka marudna! - Udawała, że marszczy groźnie brwi, ale starannie umalowane usta drgnęły w uśmiechu. - Będiesz tu w poniedziałek, prawda? O ósmej?

- Jasne, przyjadę saniami - sapnęła Pescoli. Trudno cieszyć się na święta, gdy nie wiesz, gdzie się podziewa twoja córka.

- I z reniferami! - Joelle zachichotała z własnego żartu i na szczęście wróciła do świetlicy, żeby ponownie zająć się dekorowaniem.

Szaleństwo, pomyślała Pescoli, otworzyła drzwi i weszła na chodnik przecinający bury trawnik. Nawet gdyby śnieżne zasy nie przypominały jej, że tu, w zachodniej Montanie, już jest zima, sprawiłby to wiatr, bezlitośnie szarpiący łańcuchem na maszcie.

Podeszła do dżipa, wsiadła do środka i powstrzymała się, by nie sięgnąć do schowka po paczkę marlboro light, które wozila ze sobą „na wszelki wypadek”. Oficjalnie rzuciła palenie w styczniu zeszłego roku, po tym, jak o mały włos nie zginęła z ręki szaleńca, ale co jakiś czas, kiedy sprawy zbyt się komplikowały, pozwalała sobie na jednego papierosa. I powtarzała sobie, że nie będzie z tego powodu czuła się winna.

Nie uważała, by wagary córki były dostatecznym powodem, by zapalić, ale dzień się jeszcze nie skończył. Niewykluczone, że Bianca wpakowała się w jeszcze większe tarapaty. Starła się nie myśleć o koszmarach, których codziennie była świadkiem w pracy; o makabrycznych wypadkach drogowych, oszalałych mężach, psychopatach. Wrzuciła wsteczny bieg, wycofała samochód i w ostatniej chwili ominęła Corta Brewstera, zastępcę szeryfa, który akurat wjeżdżał na parking. Nie

dogadywali się najlepiej, i to od zawsze, a gdy ich dzieci zaczęły romansować, wina za wszystko, w co pakowała się Heidi, idealna, ukochana córka Brewstera, spadała na Jeremy'ego, syna Pescoli.

- Idealna, jasne - prychnęła Pescoli pod nosem. Wyjeżdżając z parkingu, nawet nie skinęła Brewsterowi głową. Uważała go za zarozumiałego hipokrytę i modliła się, żeby tylko nie wylosować jego nazwiska, kiedy Joelle w poniedziałek zarządzi losowanie. Pescoli nie przeżyje, gdy będzie musiała kupić mu uroczy prezencik i ukryć go w jego samochodzie albo na biurku.

Jak to było? Potnę się suchą bułą? I to ochoczo, bez znieczulenia. Przyznała w duszy, że jest małostkowa, włączyła się do ruchu i po raz kolejny zadzwoniła do córki. I oczywiście usłyszała pocztę głosową.

- Bianca, odbierz, do cholery - zamruczała pod nosem. Zmrok zapadał szybko.

Zadzwoniła do domu - nadal mieli telefon stacjonarny. Ktoś podniósł słuchawkę po czwartym sygnale.

- Halo? - burknął jej syn bez cienia emocji, a Pescoli, która właśnie zwalniała na skrzyżowaniu, na chwilę odetchnęła z ulgą. Choć właściwie dlaczego Jeremy, który w lecie wyprowadził się z domu, odebrał telefon? Ale nie czas na takie pytania. Jeszcze nie.

- To ja. Jest Bianca?

- Tak. Dzięki Bogu!

- Nic jej nie jest?

- No... chyba nie.

- Daj ją do telefonu.

- Śpi.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Cholera, nie musisz od razu wrzeszczeć.

- A ty przeklinać.

- Spoko.

Światło zmieniło się na zielone, Pescoli ruszyła z miejsca, mijała właśnie Boxer's Bluff, najwyższą położoną część Grizzly Falls, gdy w słuchawce rozległy się szmery i trzaski i w końcu zaspany głos córki.

- Co się dzieje? - zapytała Pescoli.

- Nic. Śpię - burknęła Bianca.

- Dzwonili ze szkoły, powiedzieli, że nie było cię na lekcjach.

- Źle siem poczułam.

- Się - poprawiła Pescoli automatycznie, skręcając w ulicę prowadzącą za miasteczko. - Źle się poczułam.

- Nieważne.

- Jak dotarłaś do domu?

- Z Chrisem.

Chłopakiem, z którym od czasu do czasu się spotykała.

- Chris nie ma prawa jazdy.

- Przywiózł nas jego brat, Gene.

Siedemnastolatek, który już zdążył mieć wypadek. Pescoli wiedziała wszystko na ten temat; na własne oczy widziała, co zostało z kilkunastoletniej hondy accord, gdy samochód wyrzwał w skrzynkę pocztową, a potem w drzewo. Cud, że kierowca w ogóle przeżył, ostatecznie skończyło się tylko na kilku zadrapaniach i złamanym obojczyku.

- Jadę do domu, to pogadamy. - Zerknęła w lusterko i zjechała na drugi pas, żeby nie wjechać w ekipę robotników, którzy rozkopywali kawał szosy.

- Już pogadałam. Z tatą.

Kolejna dobra wiadomość, nie ma co.

- I co powiedział? - zapytała przez zęby. Lukę „Lucky” Pescoli nie był bynajmniej wzorem rodzica.

- Żebym odpoczywała. Po prostu świetnie.

- Będę w domu za piętnaście minut. A teraz daj mi brata.

- Twoja kolej - powiedziała przeciągle Bianca i z wyczuwalną radością oddała bratu słuchawkę.

Pescoli po raz kolejny zastanawiała się, czy jednak nie zapalić, ale zrezygnowała, bo za oknami samochodu sklepy powoli ustępowały domom.

- No? - odezwał się Jeremy.

- Tak się tylko zastanawiam, co właściwie robisz w domu? - Kiedy w lecie wyprowadzał się od niej, z małej chatki w lesie, jedyne domy, jakie kiedykolwiek miała, czuła zarazem ulgę i żal.

- No, bo... bo to jest mój dom.

- Wyprowadziłeś się. Nie chciałam tego, ale się uparłeś - przypomniała. - Myślałam, że jesteś w pracy.

- Wyłączyli mi gaz, nie ma ogrzewania. Chyba... no... chyba czek nie dotarł do nich na czas. Choć to bzdura, bo wczoraj im go wysłałem. Nie moja wina, że jeden ze współlokatorów nie dał mi pieniędzy na czas.

- A praca? - Zdobyła się na anielską cierpliwość.

Chwila wahania.

- Lou mnie dzisiaj nie potrzebował.

- Czyżby? - Jeremy pracował na stacji benzynowej Corky's Gas and Go i od dziewięciu miesięcy zastanawiał się, czy chce iść do college'^ czy nie. - Jer? - ponagliła, gdy nie odpowiedział od razu. - Błagam, nie mów, że straciłeś pracę.

- Dobrze, nie powiem. - Krótko, obronnym tonem.

Niech to wszystko szlag trafi. Szkoda, że Joe nie żyje. Ojciec Jere-my'ego, też policjant, świetnie sobie radził w sytuacjach kryzysowych. Oczywiście póki nie zginął na służbie, gdy jego synek był zbyt mały, by go zapamiętać. Tym sposobem Pescoli musiała zastąpić synkowi oboje rodziców, póki nie popełniła błędu pod tytułem: małżeństwo z Luke'em, który starał się wejść w rolę ojca i tylko pogorszył sprawę.

- Poczekaj na mnie, zaraz będę w domu. Mógłbyś nakarmić psa, zanim przyjadę?

- Skończyło się psie żarcie.

- Więc je kup.

- Nie mam pieniędzy.

- Super.

- Muszę kończyć, Heidi do mnie napisała.

- Jeremy, poczekaj... - Ale w słuchawce już zapadła cisza. Nie zdążyła nawet po raz kolejny poprosić go, żeby trzymał się z daleka od Heidi Brewster. Boże, i pomyśleć, że łudziła się, że ten nastoletni romans wypalił się już w zeszłym roku.

Zdaje się, że jej modlitwy nie zostały wysłuchane. No, ale czy to takie dziwne?

Może popełniła błąd, gdy nie zgodziła się zamieszkać ze swoim partnerem, ale uważała, że byłoby to nierozsądne. To, że facet doprowadza ją do szaleństwa w łóżku, to niewystarczający powód, by ściągać go do domu z etykietką OJCZYM na szyi. I choć bardzo go kochała, uznała, że na to za wcześnie. Na razie.

Oczywiście niewykluczone, że po prostu jest związkofobką czy jak to się tam nazywa, ale miała za sobą dwa małżeństwa i może to wystarczy.

Na razie.

Póki dzieci nie podrosną. Albo póki nie poczuje się pewniej w tej sytuacji. Możesz go stracić, odezwał się wewnętrzny głosik. Najeżyła się. W takim razie nie byli sobie pisani.

Na następnym skrzyżowaniu zatrzymała się przy małym sklepiku, kupiła paczkę psiej karmy, galon mleka i dwa batoniki Snickers, które ukryła w schowku przy kierownicy, razem z papierosami.

Tak na wszelki wypadek.

Ponownie wjechała na szosę.

Dwadzieścia minut później zostawiła samochód w garażu i szła do domu. Cisco, kundel z domieszką teriera, zerwał się z kanapy, błyskawicznie przebiegł salonik i witał ją radośnie, czekając z przejęciem i wijąc się u jej stóp.

- Tak, ja też się cieszę, że cię widzę. - Postawiła zakupy na blacie, schyliła się i głaskała psiaka po szorstkim łebku, drapała za uszami. Wyprostowała się, minęła kącik jadalny i weszła do saloniku. Tam na kanapie rozwalał się jej syn w całej okazałości prawie dwóch metrów wzrostu. - Choć o tobie chyba nie mogę tego powiedzieć.

- Dzięki, mamó - burknął, nie odrywając wzroku od ekranu telewizora. Oglądał kolejne reality show.

- Opowiedz o pracy.

- Nie ma co opowiadać.

Boże, tak bardzo przypominał swojego ojca. Te same ciemne włosy, intensywne spojrzenie, dwudniowy zarost na silnej, męskiej szczęce, ciemniejsza plama malutkiej bródki tuż poniżej ust.

- Wylali cię?

W końcu na nią spojrział - jak na idiotkę.

- Nie, tylko zmniejszyli mi liczbę godzin w tygodniu.

- Będzie ci trudno zapłacić czynsz i rachunki.

Wzruszył ramionami. Najchętniej wykrzyczałaby mu to w twarz, otworzyła oczy na konsekwencje takiego zachowania, ale Jeremy zawsze uczył się na błędach. Kiedy odetną mu gaz i ogrzewanie, będzie miał solidną nauczkę.

Poklepała go po ramieniu.

- Wiesz przecież, że cieszę się, że cię widzę. Wołałabym tylko, żebyś przyjechał tu, żeby się ze mną zobaczyć, a nie dlatego, że u ciebie tyłek przymarza ci do kanapy.

- Tak, wiem - mruknął po chwili.

- Zajrzę do Bianki. - Ponownie poklepała go po ramieniu. - A ty nakarm Cisco. Kupiłam karmę.

- Dobrze. - Nawet nie drgnął.

- Fajnie byłoby zrobić to jeszcze w tym stuleciu.

- Bardzo zabawne - bąknął, ale uśmiechnął się leniwie pod nosem. Zupełnie jak jego ojciec. Właściwie nic dziwnego, że Heidi Brewster nie dawała mu spokoju.

Jeremy w końcu wstał i gwizdnął na psa, a Pescoli skrzyła w wąski korytarzyk i zapukała do drzwi, zanim weszła do pokoju córki. W dawnym pokoju Jeremy'ego w piwnicy ściany nikły pod plakatami koszykarzy i rockmenów; pokój Bianki to kobiece królestwo, poczynając od łóżka z baldachimem, ozdobionym świątecznymi lampkami, po toaletkę, na której poniewierało się co najmniej dziesięć różnych pędzli do makijażu i niezliczone tubki i pudełeczka szminek, cieni do oczu i Bóg jeden wie, czego jeszcze. Ściany pomalowano na jej ukochany intensywny różowy kolor.

Bianca leżała pod srebrzystą kołdrą z butelką pepsi one w zasięgu ręki i stertą kolorowych pisemek na kolanach. Jednym okiem zerkała na film na laptopie i jednocześnie pisała esemes.

- Co się stało? - zagadnęła Pescoli, gdy córka podniosła głowę i obdarzyła ją słodkim uśmiechem. Rdzawozłote loki okalały buzię z kilkoma piegami na małym nosku i wielkimi piwnymi oczami. Jeremy był niemal idealną kopią ojca - Joe Stranda - a Bianca bardzo przypominała swego - Luke'a Pescolego. Na szczęście - przynajmniej do niedawna - była od niego o wiele mądrzejsza.

Czas pokaże, czy tak będzie dalej.

- Ale o co ci chodzi? - zapytała niewinnie.

- Nie udawaj głupiej. Wiesz doskonale, o co mi chodzi. Dlaczego nie jesteś w szkole? Skoro źle się czułaś, mogłaś iść do sekretarki. Zawiadomiłaby mnie.

Bianca przewróciła oczami.

- Nie zawsze możesz po mnie przyjechać, taką masz pracę. A Chris obiecał, że mnie podrzuci.

- Chcesz powiedzieć: jego brat, Gene.

- A czy to ważne?

- Tak, i to bardzo. Chris nie ma prawa jazdy, a to, że ma jego brat, to istny cud.

- Zmrużyła oczy. - A może już nie ma?

Bianca unikała jej wzroku. Milczała, co było odpowiedzią samo w sobie.

- Proszę cię, Bianca, nie jesteś chyba aż tak głupia. Gdyby Gene Schultz spowodował kolejny wypadek albo...

- Ale nie spowodował, tak? - warknęła.



Pescoli odsunęła gazety na bok i przysiadła w nogach łóżka.

- Nie możesz chodzić na wagary.

- Jer też to robił.

- No właśnie. - Pescoli skinęła głową. - Iteraz właściwie nie ma wyboru. Nie powtarzaj jego błędów. - Widząc, że nie tędy droga, zmieniła temat. - Więc dlaczego wróciłaś do domu?

Bianca westchnęła.

- Po prostu byłem zmęczona.

- To nie powód, żeby...

- Dziwnie się czułam. Sama nie wiem, jakbym złapała grypę. Zachorowały już Kara White i Shannon Anderssen, Monty Elvstead chyba też, a mam z nimi hiszpański. No więc wróciłam do domu. Też mi afera. - Gniewnie łypnęła na matkę. - Nie mogłam do ciebie zadzwonić. Zawsze pracujesz. A nie chciałam bez końca siedzieć w sekretariacie, nie chciałam, żeby pani Compton, wicedyrektorka, dziwnie na mnie patrzyła.

- Nie macie izolatki?

- Jeszcze gorzej! Tam jest... okropnie! Chciałam do domu. To chyba nie jest wbrew prawu czy coś takiego?

- Mierzyłaś temperaturę?

- Nie! I nie zmierzę!

- Co ci jest? Boli cię żołądek? Gardło? Mięśnie?

- Wszystko naraz, OK? - Wtuliła się w kołdrę i gazety posypały się na podłogę. - Nie możesz po prostu dać mi spokoju?

- Nie, jeszcze przez kilka lat - nie. Mam cię na głowie.

- Co? Tym dla ciebie jestem? Obowiązkiem? Wiesz, mam, jesteś taka... - Na szczęście koniec zdania zagłuszyła kołdra, którą Bianca naciągnęła sobie na głowę. Spod przykrycia wysunęła się smukła dłoń, ale Pescoli ubiegła ją i przechwyciła telefon.

- To ci nie będzie potrzebne - stwierdziła, wsunęła aparat do kieszeni i schyliła się, by pozbierać z podłogi gazety, które spadły z łóżka.

Jej uwagę zwrócił nagłówek: „Śmierć Shelly Bonaventure to samobójstwo, orzeka policja”. Pod napisem widniało zdjęcie ładnej kobiety o promiennym uśmiechu, z niepokornym błyskiem w oczach. Miała ciemną karnację i wzburzone kasztanowe loki. I minę, jakby wygrała los na loterii.

A tymczasem Shelly Bonaventure, aktorka z serialu o wampirach, który, jak sobie teraz przypomniała Pescoli, kilka lat temu Bianca namiętnie oglądała, stała się kolejną pozycją w statystykach policyjnych, kolejną bezsensowną śmiercią w Hollywood.

A zatem wszędzie źle się dzieje.

Wsunęła pisemko pod pachę i wyszła z pokoju, zostawiając naburmuszoną córkę pod kołdrą.

### Rozdział 3

Jocelyn Wallis czuła się fatalnie. Zerknęła przez okno na pociemniałe niebo. Śnieg nie padał... na razie, ale zapowiadano burzę, a na jezdni i parkingu przed jej mieszkaniem widniały śnieżne zaspę. Termometr wskazywał temperaturę poniżej zera, a jeśli wierzyć prognozie pogody, słupek rtęci miał się jeszcze obniżyć.

Jeśli teraz nie pójdzie pobiegać, przez następnych kilka dni może nie mieć kolejnej szansy, pomyślała.

A w przyszłym tygodniu Święto Dziękczynienia; u ciotki na pewno obje się nieprzyzwoicie, więc lepiej zawczasu trochę poćwiczyć.

Zresztą lada chwila się ściemni; przed budynkiem, który nazywała domem, już zapłonęły latarnie uliczne.

Jako nauczycielka miała niewielkie szanse na dużo słońca w środku zimy, więc w tygodniu pozostawała jej tylko domowa bieżnia i jogging w weekendy, o ile pozwalała na to pogoda.

Może jednak nie dzisiaj. Ostatnio kiepsko się czuła. To nie grypa, ale miała coraz mniej sił i coraz częściej nagle słabła.

Wypiła łyk zaparzonej rano kawy, resztkę wylała do zlewu, zerknęła na zegarek, zmarszczyła brwi i przy okazji mało brakowało, a przewróciłaby kocią miseczkę z wodą. Kotka, znajda, którą przygarnęła cztery tygodnie wcześniej, dwa dni temu zniknęła bez śladu. Jocelyn szukała jej, martwiła się, dzwoniła do schroniska - bez rezultatu. Najpierw pójdzie pobiegać, a potem znajdzie Kicię, choćby się waliło i paliło. I może w końcu wymyśli jej jakieś imię.

Odepchnęła od siebie myśli o kocie, szybkim krokiem przeszła do pokoju, w którym, powiedzmy sobie szczerze, upychała to wszystko, co nie mieściło się w saloniku. Na desce do prasowania piętrzyły się ciuchy i książki, na toaletce, którą miała, odkąd skończyła dziesięć lat, stał stary telewizor, w rogu leżały worki ubrań, których już nie nosiła, gotowe do oddania organizacji dobroczynnej, a na wielkim gościnnym łóżku poniewierało się kilka podarków świątecznych, które już kupiła na szkolnym kiermaszu.

Gościnnym? Niby dla kogo?

Bo prawda była taka, że odkąd dwa lata temu, po drugim rozwodzie, przeprowadziła się do Grizzly Falls, nikt jej nie odwiedził.

- Żałosne - mruknęła pod nosem.

W kącie mieścił się jej gabinet - na starym biurku stały komputer i drukarka, tam też przechowywała wszelkie dokumenty. Szafa pękała w szwach od ubrań, w które miała nadzieję się jeszcze kiedyś zmieścić, kiedy w końcu schudnie, i przyborów papierniczych na zajęcia plastyczne w tym roku szkolnym.

Szybko, zanim zdążyła zmienić zdanie albo zanim śnieżycy mogłaby pokrzyżować jej plany, Jocelyn ściągnęła dzinsy i sweter i włożyła spodnie od dresu, sportową bluzę i polarową kurtkę. Zebrała włosy z tyłu głowy i gumką związała w koński ogon, założyła czapkę baseballową, wsunęła stopy w ulubione buty Nike. Omiotła wzrokiem pomieszczenie w poszukiwaniu telefonu komórkowego, ale go nie dostrzegła; od wczoraj nie mogła go znaleźć.

Nie lubiła bez niego wychodzić, ale nie miała wyboru, nie, jeśli chciała dotrzymać danego sobie słowa i trochę poćwiczyć.

- Trudno - mruknęła pod nosem.

Po chwili była już na dworze. Zaczęła od rozgrzewki na małym ganku, potem wsunęła w uszy słuchawki iPod, włączyła muzykę taneczną. Teraz albo nigdy!

Ruszyła biegiem, uderzając stopami o chodnik w rytm piosenki *Bad Romance* Lady Gagi, miarowo machając rękami. Przyspieszyła, osiągnęła całkiem przyzwoite tempo, gdy z nieba posypały się pierwsze płatki śniegu.

Dotarła do bramy wjazdowej na osiedle, skręciła na południe, ruszyła swoją starą trasą biegową. Przebiegnie cztery albo sześć kilometrów, po drodze zdecyduje, kiedy zawróci. Dzisiaj obiecywała sobie, że pokona całą dłuższą trasę. Może kiedy się porządnie rozgrzeje, rozrusza mięśnie, pozbędzie się wrażenia, że dopada ją grypa, która zbierała obfite żniwa w szkole podstawowej Evergreen, w której pracowała.

Wpadła w równomierny rytm; muzyka dudniła jej w uszach, oddychała miarowo, biegnąc przez śniegową breję, ustępując drogi nielicznym samochodom na szosie. Granatowa półciężarówka towarzyszyła jej od kilku przecznic, trzymała się za nią. Zerknęła na kierowcę, gdy w końcu przyspieszył. Jednak nie zobaczyła go - pochylał się nad telefonem albo odtwarzaczem CD, w każdym razie nie patrzył przed siebie.

Kretyn, pomyślała, gdy w końcu ją wyprzedził i skręcił w przecznice kilkadziesiąt metrów przed nią. Odprowadzała wzrokiem czerwone tylne światła.

Podkreśliła głośność iPoda i skoncentrowała się na trasie. Nadal kiepsko się czuła. Może to jednak grypa. Trwał właśnie sezon grypowy, a szkoła podstawowa to wymarzone miejsce dla wirusa.

A może złe samopoczucie to efekt nadmiernego ulegania słabości do fast foodów. W tym tygodniu naprawdę sobie pofolgowała, objadała się czipsami, pizzą, a z okazji świąt pozwoliła sobie nawet na lody, miętowe i owocowe.

Idiotka.

Miała trzydzieści pięć lat i w ciągu minionych czterech przytyła pięć kilogramów, wszystko, odkąd zaczęła pracować w szkole podstawowej Evergreen, gdzie uczniowie byli wymagający, a rodzice... cóż, o nich wołała nie myśleć. Roszczeniowi to mało powiedziane! Połowa zdawała się uważać, że ona, Jocelyn, nie ma pojęcia o swojej pracy; druga połowa zachowywała się, jakby nie wiedzieli, że ich dzieci w ogóle chodzą do szkoły. Po prostu nie życzyli sobie, by czymkolwiek zwracano im głowę.

Czasami zastanawiała się, czemu nadal tu tkwi.

Bo uwielbiasz te dzieciaki.

Bo czujesz, że coś zmieniasz.

Bo odpowiada ci pensja i dodatkowe przywileje.

I bardzo, ale to bardzo podoba ci się, że masz wolne na Boże Narodzenie i prawie całe lato!

Więc dlaczego w kółko musi to sobie powtarzać? Zastanawiała się nad tym, mijając żywoplot, któremu przydałoby się porządne strzyżenie. Zanim przebiegła przez jezdnię, obejrzała się za siebie.

Wydawało jej się, że znowu widziała granatowego pikapa, co od razu wzbudziło jej czujność, bo była na ulicy sama jak palec, a tu, na obrzeżach miasta, domów było coraz mniej.

Jednak samochód skręcił w boczną uliczkę i Jocelyn odetchnęła z ulgą.

Nie daj się ponieść wyobraźni.

Mimo wszystko była trochę spięta, czuła, że jej nerwy są napięte bardziej niż zazwyczaj. Zmrok nadciągał szybciej, niż się spodziewała, otaczało ją przenikliwie zimne powietrze, drzewa zdawały się drzeć, nagie gałęzie kołysały się w rytm piosenki zespołu Black Eyed Peas.

Skoncentruj się na oddychaniu.

Kolejny raz zerknęła za siebie. Po samochodzie nie było śladu, za to śnieg padał coraz mocniej. Super!

Dyszała ciężko. Brak oddechu zwałała na papierosy. Już dwukrotnie rzuciła palenie, ale wróciła do nałogu po zerwaniu z Trace'em O'Halleranem jakieś pół roku temu. Krew nadal szybciej krążyła jej w żyłach na wspomnienie seksownego kowboja, z którym wiązała tyle nadziei, choć przecież byli razem tak krótko. Wysoki, męski, o szerokich barkach i leniwym uśmiechu, ze śladem dołeczka w policzku, gdy coś go naprawdę rozbawiło... zapadł jej w serce na dobre. W zeszłym roku uczyła jego synka, którego wychowywał samotnie. Od razu, od pierwszego dnia szkoły, zwróciła na niego uwagę.

I to był błąd, oczywiście. Nie powinna była się z nim wiązać. Ale jeśli chodzi o facetów, zawsze skakała na głęboką wodę bez namysłu. Najlepszym tego dowodem są dokumenty rozwodowe, prawda?

Kolejna próba romansu z Trace'em, którą podjęła nie tak dawno temu, też skończyła się fatalnie. Czerwieniła się na samo wspomnienie swoich nieudolnych zalotów i jego reakcji. Boże, do dzisiaj czuła na nadgarstkach jego silne dłonie, gdy pchnął ją na ścianę i zamiast pocałować, powiedział stanowczo:

- Dość, Jocelyn. Wystarczy. Posłuchaj, to naprawdę kiepski pomysł. - A potem puścił ją gwałtownie i wyszedł.

Zatrzasnęła za nim drzwi. Ich trzask nadal niósł się echem w jej wspomnieniach.

Człowiek uczy się całe życie, pomyślała z goryczą rozejrzała się na boki i ruszyła pod górę - zaczynała się najtrudniejsza część jej trasy. Ale warto się tak męczyć, powtarzała sobie, bo kiedy dotrze na szczyt, pobiegnie wzdłuż klifu, z widokiem na rzekę i wodospad, choć myślami cały czas wracała do Trace'a. Zastanawiała się, czy teraz, gdy już nie uczy Eliego, mogliby spróbować jeszcze raz?

Może zawiezie mu jakieś domowe smakołyki na święta. Ciasteczka? Nie, zbyt kiczowate. Świąteczne wino? Od razu przejrzy ją na wylot.

Czyż nie próbowała już podejścia „zostańmy przyjaciółmi”. I jak to się dla niej skończyło? Ile razy do niego dzwoniła, odkąd zerwali? Trzy razy? Cztery? Osiem? Głupia, głupia, głupia! Zresztą tak naprawdę wcale nie zerwali, bo właściwie nigdy nie byli razem, mimo tego, co jak idiotka napisała na Facebooku zaledwie po dwóch randkach.

Takie są skutki nadmiaru wina i słuchania przyjaciółek, które wypłyły jeszcze więcej. Chaos.

Trace, który dowiedział się o tym, ni mniej, ni więcej, tylko od swojego synka, nie był zachwycony, i to był początek końca. Niepotrzebnie do niego zadzwoniła i teraz skrzywiła się na myśl, że przecież wczoraj znowu wybrała jego numer i rozłączyła się, ledwie włączyła się poczta głosowa.

Weź się w garść i zapomnij o nim. Sajeszczycy inni faceci, nawet tutaj, w Grizzly Falls.

Rozejrzała się, przeszła przez jezdnię na drugą stronę, tak, żeby biec wzdłuż urwiska, zanim dotrze do zagajnika, w którym zawróci.

Minęły ją samochody, reflektory odbijały się w mokrej szosie, spod opon tryskały brudne strumienie wody. Zaciśnęła zęby i biegła dalej, oddychała coraz głośniej, gdy skręciła do parku, poprzecinanego ścieżkami i alejkami. Jeszcze tylko kawałek, powtarzała sobie. Dyszała ciężko, w łydkach poczuła pierwsze skurcze.

W końcu dotarła do grzbietu i biegła po równym terenie asfaltową alejką wzdłuż urwiska. Kamienny murek wysokości zaledwie metra wzniesiono ponad sto lat temu. Nie ograniczał widoku na wąwóz, którego dnem płynęła rzeka, pieniając się biało na wodospadzie prawie sto metrów poniżej miejsca, w którym stała. Najstarsza część miasteczka Grizzly Falls znajdowała się na brzegu rzeki poniżej wodospadu; latarnie uliczne lśniły w popołudniowym mroku jak szlachetne kamienie.

Skoncentrowała się na alejce i biegła dalej, aż dotarła do rozwidlenia i skręciła w głąb parku, z dala od ulicy. Spocona mimo zimnego wiatru, kierowała się w stronę samotnego wiązu, który zawsze otaczała i wracała tą samą drogą.

Jej oddech unosił się białym obłoczkiem, krew dudniła w żyłach.

Prawie na miejscu!

Była sama; chyba nikt więcej nie byłby równie szalony ani zdesperowany, żeby biegać w taką pogodę. Boże, ależ zimno. Palce jej zdrętwiały mimo rękawiczek.

Jeszcze jeden zakręt i zobaczyła potężne drzewo wyciągające nagie gałęzie do ciemnego nieba.

Zwolniła na chwilę, dysząc ciężko z wysiłku, i na moment wyjęła słuchawki z uszu. Pochyliła się, oparła dłonie na kolanach. Zazwyczaj nie zatrzymywała się w połowie drogi, ale dzisiaj musiała zaczerpnąć tchu.

Przez rozszalałe bicie serca i głośny oddech słyszała zawodzenie wiatru i odległy szum rzeki. Już sięgała po słuchawki, gdy usłyszała coś jeszcze. Kroki? Czyżby biegł tu ktoś oprócz niej?

Gwałtownie uniosła głowę.

Niby nic takiego, a jednak była czujna.

Ostrożna.

Pewnie inny zapalony biegacz. Może nie ty jedna byłaś taka głupia.

Wsunęła jedną słuchawkę w ucho i ruszyła, słuchając z jednej strony piosenki Beyonce, z drugiej - odgłosów nadciągającej nocy.

Tak na wszelki wypadek, żeby mieć pewność, że wszystko jest w porządku.

W kanionie hulał jak zawsze lodowaty wiatr, zdawało jej się, że słyszy też posępne pohukiwanie sowy, i jeszcze regularny, rytmiczny odgłos stóp uderzających o asfalt za jej plecami.

Tak, jeszcze jeden biegacz.

I to szybki, sądząc po rytmie kroków.

Zerknęła za siebie, nie zobaczyła nikogo i przyspieszyła kroku. Czas wracać do domu, wejść pod gorący prysznic i poczuć się lepiej. Do przerwy świątecznej zostały jeszcze trzy dni lekcji i...

Kroki były coraz bliżej.

Biegły. Bardzo szybko.

Znowu zerknęła za siebie.

Ścieżka była pusta.

Włosy na karku stanęły jej dęba.

To tylko twoja wyobraźnia, Jocelyn. Nie dzieje się nic złego.

Nie zwracając uwagi na palenie w płucach i skurcze w łydkach, przyspieszyła do sprintu, pędziła wśród drzew. Było już ciemno, nieliczne latarnie rzucały blade światło, drzewa o czarnych pniach wyrastały z burej zimowej trawy, ledwie widoczne, gdy mijała je pędem.

Nie panikuj, nie masz ku temu powodów. Co z tego, że nie masz telefonu? Nic złego się nie dzieje.

Cała ociekała potem.

Szosa ciągnąca się wzdłuż urwiska była blisko, tuż za zakrętem... Och!

Kątem oka dostrzegła innego biegacza, wysokiego, umięśnionego mężczyznę, ubranego na czarno do stóp do głów. Jego twarz zasłaniała czarna kominiarka.



Serce podeszło jej do gardła.

Nie ma się czego bać. Przepuść go przodem.

Adrenalina pulsowała jej w żyłach. Odrobinę przyspieszyła kroku, biegła coraz szybciej, jej stopy coraz mocniej uderzały w ścieżkę. Oddychała szybko, płytko.

Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze...

Na pewno?

Był coraz bliżej.

Ogarnęła ją panika.

Był na tyle blisko, że słyszała jego oddech, równy, głęboki... Potknęła się i runęła do przodu, rozpaczliwie machając rękami. Udało jej się odzyskać równowagę, zanim upadła, ale wybiła się z rytmu.

- Ostrożnie - odezwał się męski głos za jej plecami. O Boże. Był tylko dwa kroki za nią.

Zacisnęła usta. Powtarzała sobie, że musi zachować spokój. Czyżby skądś znała jego głos? Serce waliło jej jak szalone.

Wybiegła z parku na ścieżkę prowadzącą nad urwisko. Miała nadzieję, że mężczyzna skręci w przeciwną stronę, ale nie, był o krok za nią zmierzał w tym samym kierunku. Może powinna zatrzymać się i puścić go przodem.

Dlaczego nie wzięła tego cholernego telefonu?

Albo sprayu z gazem pieprzowym, który miała w torebce.

- Po prawej - rzucił. Dogonił ją zwolnił do jej tempa. Powinna się teraz zatrzymać. - Dobrze się biegnie, Josie?

Josie? Mało brakowało, a potknęłyby się po raz drugi. Znał ją? Boże, gdzie już słyszała ten głos?

- Powinnaś bardziej uważać - poradził. Trącił ją barkiem. Straciła grunt pod nogami, osuwała się, ale nagle przytrzymał ją zacisnął silne palce na jej przedramieniu.

- Mówiłem, żebyś uważała! - burknął, mocno, boleśnie wpijając palce w jej ciało.

- Proszę mnie puścić! Kim pan jest? - zapytała, gdy stanęli oboje. Dyszał ciężko za kominiarką.

- Nie wiesz? - Jego uścisk przybrał na sile.

- Kim pan jest? Au! Mówiłam, żeby pan mnie... Ej! - Z całej siły szarpnął ją za rękę. - Co pan wyprawia? - Ale już wiedziała. W jednej

przeróżającej chwili zrozumiała - chciał ją zabić! - Puść mnie! - Utraciła równowagę, gdy pchnął, i zanim zorientowała się, co się dzieje, znalazła się na skraju urwiska, przy niskim kamiennym murku. - Nie! O Boże, nie! Pomocy! Ratunku! - Szarpała się, pewna, że wie, co sukinyś chce zrobić. Nie, Boże, nie!

Nerwowo machała rękami, starała się odzyskać równowagę, gdy pchnął ją na barierkę, aż przenikliwy ból przeszył jej piersi.

- Nie! - Walczyła co siłą, ale na darmo. Napierał całym ciałem i nagle znalazła się za barierką. Przeróżona, histerycznie machając rękami, runęła w dół, w coraz gęstszy ciemność.

Krzyczała, póki z głuchym hukiem nie upadła na twarde zbocze. Trzask!

Uderzyła głową o kamień; świat zawirował, gdy spadała coraz niżej, koziółkowała, turlała się, usiłowała przytrzymać się czegoś, szukała palcami korzeni, głazów, ziemi, osuwając się coraz niżej.

Boże, dopomóż...

Ból wędrował wzdłuż kręgosłupa. Gdzieś w oddali słyszała szum wody, coraz głośniejszy, gdy spadała, coraz niżej, coraz szybciej, zakrwawiona, zagubiona w wirującym świecie.

Ale widziała go, jak stoi wysoko, na szczycie wzgórza, ciemna sylwetka na tle nocnego nieba, i patrzy w dół.

Czeka.

Na jej śmierć.

## **Rozdział 4**

Trace O'Halleran był wkurzony.

Szczerze mówiąc, był po prostu wściekły, jadąc z nieprzepisową prędkością ze szkoły podstawowej Evergreen, z której odebrał synka, a teraz gnali do przychodni na prześwietlenie, bo Eli miał wypadek na placu zabaw.

Najwyraźniej ktoś nie dość uważnie go pilnował i kiedy tylko Trace upewni się, że małemu nic nie będzie, ten ktoś będzie się musiał gęsto tłumaczyć!

- Trzymaj się, bracie - szepnął do synka, który zajmował fotel pasażera w wiekowym pikapie.

Eli skinął główką i pociągnął nosem, nie wiadomo, czy dlatego, że starał się nie płakać, czy też dlatego, że we znaki dawało mu się przeziębienie, którego od tygodnia nie mógł zwalczyć.

Trace wpatrywał się w jezdnię, nad którą tańczyły pierwsze płatki śniegu i jechał w sznurze samochodów w dół wzgórza, znanego jako Boxer Bluff, do niżej położonej części miasteczka, na brzegu rzeki Grizzly.

Eli, w wieku aż siedmiu lat, tulił do siebie lewą rączkę, usztywnioną i na temblaku, co zawdzięczał szkolnej pielęgniarce, która jego ojcu poradziła:

- Małego musi zobaczyć lekarz. Dzwoniłam już do przychodni przy A Street, nie powinniście zbyt długo czekać, krócej niż w przychodni Pinewood czy szpitalu St. Bartholomew. Proszę dopilnować, żeby zrobili mu prześwietlenie. Ręka raczej nie jest złamana, ale nie można wykluczyć pęknięcia kości. W przychodni mają aparat rentgenowski. A skoro już tam będziecie, niech lekarz zajrzy mu też do noska i uszu. Mierzyłam mu temperaturę - jest podwyższona, trzydzieści siedem i sześć.

Trace nie protestował, nie uśmiechało mu się wcale zabieranie synka do szpitala. Kiedyś siedział tam w poczekalni przez bite pięć godzin, zanim ktoś w ogóle obejrzał jego poharataną rękę. Podczas zbiorów pszenicy zahaczył obrączką ślubną o koło zębate w kombajnie. Zanim zdołał ją wyłączyć, maszyna prawie urwała mu rękę. Lekarzom udało się uratować ramię, jednak w grę wchodziła amputacja serdecznego palca. Koniec końców palec został, ale uszkodzenia nerwów były tak poważne, że właściwie stracił w nim czucie. Wtedy obiecał sobie, że nigdy więcej nie włoży obrączki na palec. Zresztą to i tak nie miało już znaczenia. Leanna, matka Eliego, już zbierała się do odejścia.

Nie, Trace nie chciał, żeby jego synek siedział na niewygodnych plastikowych krzesłach w poczekalni szpitala St. Bartholomew, nie, jeśli mógł tego uniknąć. Zaczną od przychodni, starego, niskiego budynku, w którym przyjmowano pacjentów od siedemdziesięciu lat. Oczywiście nawet za jego życia remontowano go kilkakrotnie.

Pamiętał, jak ojciec zabrał go tam prawie trzydzieści lat temu, gdy zrzucił go Rocky, niesforny gniady wałach, którego ociec dostał w zamian za trzy sztuki bydła. Rocky był dawniej koniem ujeżdżanym podczas rodeo i gdy dziewięcioletni Trace wskoczył mu na grzbiet, obudził się w nim dawny ogień i natychmiast wysadził go z siodła, co w przypadku Trace'a skończyło się wstrząśnieniem mózgu i radą starego doktora Mallory'ego po pobieżnym badaniu:

- Na miłość boską, synu, trzymaj się z dala od dzikich koni!

A teraz Trace patrzył na synka, który tulił do siebie bolącą rękę i wpatrywał się w okno.

Eli zaciskał małe usta; miał oczy czerwone od łez, których nie chciał wypłakać. Okno do strony pasażera zasnuło się mgielkajego oddechu, a już wcześniej zostały na nim odciski psiego nosa. Zostawił je Sarge, kundel, który nie wiadomo skąd zjawił się na ich progu mniej więcej rok temu. Mieszaniec owczarka australijskiego z Bóg jeden wie czym szybko stał się członkiem ich małej rodziny. Dzisiaj, gdy Trace odebrał telefon ze szkoły i biegiem puścił się do samochodu, Sarge pognął za nim i rozczarowany zatrzymał się przy rampie, gdy Trace kazał mu zostać. Było zimno, ale pewnie kiedy wrócą do domu, pies będzie czekał na nich na dworze, choć mógłby przecież schronić się w ciepłej oborze.

Eli chyba poczuł na sobie wzrok ojca.

- Nienawidzę Cory'ego Detera! To dupek! - sapnął.

- Cory ci to zrobił?

Eli wzruszył chudymi ramionkami.

- Stary, mnie chyba możesz powiedzieć.

Eli bazgrał coś paluszkami zdrowej ręki na zaparowanej szybie, zaniósł się kaszlem, skrzywił się i wyjaśnił:

- Popchnął mnie. Byliśmy na drabinkach, na samej górze, i nagle tak po prostu mnie popchnął.

- I spadłeś.

- No.

- A gdzie byli nauczyciele?

- Na werandzie. - Zerknął na ojca z ukosa. - Pani Wallis nie było.

- Nie pytałem o nią - odparł Trace ostrzej, niż zamierzał. Włączył wycieraczki.

- Wiem. - Kolejne wzruszenie ramion.

Trace poczuł się jak idiota. Co on sobie myślał, umawiając się w zeszłym roku z nauczycielką Eliego? To był błąd, zresztą zorientował się od razu, gdy tylko zaprosiła go na kolację. Wmawiał sobie, że chodziło o Eliego, że chciała porozmawiać o synku i jego problemach w szkole, ale w głębi serca wiedział, co jest grane, wyczuwał to.

A mimo to spotkał się z nią cztery razy. No, pięć, jeśli dodać ostatnie spotkanie i kłótnię, do której doszło, gdy próbowała na nowo rozpałcić ogień, którego tak naprawdę nigdy nie było.

Zawiódł wszystkich, w tym samego siebie.

Westchnął. Jocelyn Wallis sądziła, że okaże się kobietą, która uleczy rany pozostawione przez matkę Eliego, gdy odeszła od męża i synka. Nie uwierzyła, gdy Trace zapewnił, że nie interesuje go związek, że nie ma problemu z samotnym ojcostwem.

Nie ona jedna. Eli jakoś nie mógł wybić sobie z głowy tych kilku randek, na które ojciec wybrał się z jego nauczycielką.

O tak, spieprzył wszystko, aż miło.

A teraz synek podniósł głowę.

- Nie było jej dzisiaj w szkole.

- Pani Wallis? Nie szkodzi. Był ktoś inny i miał was pilnować na placu zabaw.

- Był pan Beene, zastępował panią Wallis, bo jej nie było. On często przychodzi na zastępstwa.

- Muszę z nim porozmawiać.

- To nie jego wina - zapewnił mały. - To wszystko przez tego głupka Cory'ego Detera!

- Zdaję sobie sprawę, że jesteś zdenerwowany, ale bez wyzwisk, dobrze?

- Kiedy on naprawdę jest głupi. - Eli wytarł nos rękawem kurtki i stanowczo zacisnął usta. - To głupi dupek.

- Eli, to naprawdę nieładnie mówić tak o...

- Kiedy on mnie popchnął!

- To bardzo nieładnie - przyznał Trace.

- No właśnie! - Eli patrzył na niego z oburzeniem i żalem, że ojciec nie zdaje sobie sprawy, jak karygodnie zachował się Cory Deter.

- No dobra, może to rzeczywiście głupi dupek. Eli trochę się uspokoił.

- Ale niech to zostanie między nami, jasne? - Trace znacząco wskazał palcem najpierw chłopca, potem siebie, i kilkakrotnie powtórzył ten ruch. - To będzie nasza tajemnica.

- Przecież wszyscy wiedzą że to dupek.

- No dobra, niech ci będzie, ale nie musisz tego w kółko powtarzać.

- Ale Becky Tremont i jej koleżanka Tonia się ze mnie śmiały. - Eli poczerwieniał gwałtownie. Zawstydził się. Nawet w wieku siedmiu lat człowiek przejmuje się tym, co sobie myślą dziewczyny.

- Nie martw się tym teraz - uspokajał Trace. - Trzymaj się, bracie. Już prawie jesteśmy na miejscu. - Byli u stóp wzgórza i dojeżdżali właśnie do przejazdu kolejowego, gdy rozległ się sygnał ostrzegawczy

i szlaban odciął im drogę, a po torach mknął pociąg towarowy, ciągnąc wagony upstrzone graffiti i puste składy. Trace zaciskał zęby. Sznur samochodów wydłużał się.

Szybciej, szybciej, zaklinał Trace w myślach, wściekły, że coś ich zatrzymuje. Martwił się o synka, nie wiedział, jak poważne są jego obrażenia.

- Już prawie jesteśmy na miejscu - powtórzył i poklepał Eliego po drobnych plecach.

W końcu pociąg przejechał, szlaban uniósł się i pokonali tory w sznurze pozostałych samochodów. Jeszcze tylko jedno skrzyżowanie i dojadą do przychodni.

- Mamy nagły przypadek. - Heather zajrzała do gabinetu Kacey. - Eli O'Halleran. Siedem lat, wypadek na placu zabaw. Szkoła zawiadomiła ojca i wysłała go do nas.

- To nasz pacjent? - Nie przypominała sobie tego nazwiska. Siedziała za biurkiem. Przed chwilą otworzyła kubeczek jogurtu jagodowego na lunch. Odkąd rano poszła do dwójki, nie miała wolnej chwili. Elmer Grimes, pierwszy pacjent tego dnia, zajął więcej czasu, niż przypuszczała, i cały czas miała opóźnienie.

- Eliego O'Hallerana wcześniej u nas nie było, jego pediatrą był doktor Levoy w Middleton.

- Póki w zeszłym roku nie przeszedł na emeryturę - dokończyła Kacey i odstawiła na bok kubeczek po jogurcie. Przeszło do niej już kilkunastu małych pacjentów, bo ich rodzice nie byli zadowoleni z nowego lekarza, który objął praktykę po starym pediatrze. Choć była in-ternistką, zajmowała się pediatrią podczas studiów, lubiła dzieci i rozważała kolejną specjalizację, właśnie z tej dziedziny. Potem jednak w jej życiu osobistym rozpętało się piekło i postanowiła wrócić do Grizzly Falls.

- Dzwonili ze szkoły, wysyłają go do nas, nie do szpitala, bo jesteśmy bliżej - wyjaśniła Heather. - Przyjechał z ojcem pięć minut temu. Załatwiłam już papierkową robotę i zadzwoniłam do gabinetu Levoy. Poprosiłam, żeby przesłali nam jego dokumentację medyczną-uśmiechnęła się znacząco. - Pomyślałam, że jakoś go wciśniemy przed pacjentami zapisanymi na popołudnie. Wiedziałam, że nie odeślesz go z kwitkiem.

- No dobra, rzućmy na niego okiem. - Kacey odsunęła się od biurka.

- Czeka z tatą w trójce. Podstawowe dane są w komputerze.

- Świetnie. - Kacey sięgnęła po fartuch, który dopiero co zdjęła. Przywykła już, że praca ingeruje w najmniej oczekiwanych chwilach. Uroki życia wiejskiego lekarza. - Rozmawiałaś z kimś ze szkoły?

- Tak, z pielęgniarką szkolną Eloise Phelps. - Heather wróciła do recepcji, a Kacey podeszła do pokoju zabiegowego, zapukała lekko i pchnęła drzwi.

Na stole siedział szczupły chłopczyk z niesforną ciemnoblond czupryną. Był bardzo blady, wyraźnie walczył ze łzami i siorbał nosem, tuląc do siebie rękę na temblaku.

Ojciec stał obok z ponurym wyrazem twarzy.

Miał na sobie sfatygowane dżinsy, koszulę w kratę i stare kowbojki - typowy strój w tej części Montany. Był wysoki, miał prawie dwa metry wzrostu, szerokie barki i silne ciało. Kwadratowa szczęka ginęła pod kilkudniowym zarostem. Spojrzał na nią głęboko osadzonymi, gniewnymi oczami. Skrzyżował ręce na piersi. Przeszywał ją wzrokiem.

- Jestem doktor Lambert - przedstawiła się chłopcu, zerknęła na ekran laptopa, który przyniosła Heather, i dodała: - A ty jesteś Eli, tak?

Mały skinął główką i zacisnął usta. Starał się być dzielny. Domyślała się, że jest bardziej przerażony niż obolały.

- Trace O'Halleran - przedstawił się kowboj. Wyciągnął do niej rękę i spojrzał na identyfikator przypięty do jej fartucha. „Dr Acacia Lambert”. Miał dużą, silną dłoń pokrytą odciskami. Opalona, ogorzała od słońca twarz, jasne kosmyki w ciemnych włosach zdradzały, że spędza dużo czasu na świeżym powietrzu. Oczy w zadziwiającym odcieniu błękitu, mocna szczęka, nos, złamany zapewne więcej niż raz, śmiertelna powaga, bez cienia uśmiechu. - Ojciec Eliego.

Uścisnęła mu rękę i cofnęła dłoń.

- Co się właściwie stało?

- Wypadek na palcu zabaw - wyjaśnił Trace. - No, powiedz pani doktor - zachęcił synka.

- Spadłem z drabinki. - W ciemnych oczach chłopca pojawił się gniewny błysk.

- Opowiesz mi dokładnie, a ja sobie obejrzę rękę, dobrze? Eli spojrzał na ojca, który twierdząco skinął głową.

No.

Umyła ręce w małej umywalce, wytarła papierowym ręcznikiem, włożyła lateksowe rękawiczki i podeszła do chłopczyka. Ostrożnie zdję-



ła temblak i usztywnienie, odwinęła bandaż, watę i kompres lodowy i zauważyła, że pobrał jeszcze bardziej.

- Boli, co?

Nie odpowiedział, tylko skinął głową. Miał oczy pełne łez, przez co najwyraźniej jeszcze bardziej się zawstydział.

- Powiesz mi, jak to się stało?

- Corey Deter zepchnął mnie z drabinki! - Mrugał rozpaczliwie, zaciskał usta. - To dupek!

- Cóż, jeśli to zrobił, to rzeczywiście dupek - przyznała. - A co było potem?

- Spadłem! I... i wyciągnąłem ręce przed siebie, o tak! - Wyprostował rączki, skrzywił się, wstrzymał oddech. Opuścił lewą rękę i poszarzał na twarzy.

- No dobrze, czyli zamortyzowałaś upadek, wyciągając ręce. - Skinęła głową. - Kiedy to się stało? - Spojrzała na ojca.

- Nie wiem dokładnie - odparł. Przyglądał się jej uważnie, jakby chciał ją rozgryźć. - Zadzwonili do mnie mniej więcej pół godziny temu, zakładam, że zaraz po wypadku.

- No, dobrze - zwróciła się miękko do chłopczyka. - Muszę teraz dokładniej obejrzeć twoją rączkę. Mogę?

Małec przyglądał się jej podejrzliwie.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił ojciec i przykrył jego rączkę swoją ale łypał równie podejrzliwie jak syn.

- No - mruknął Eli.

Delikatnie badała małego, sprawdzała ruchliwość, obmacywała mięśnie i stawy, obserwowała reakcje dziecka. Trace nie oddalał się ani na krok.

- Chyba nie ma złamania - orzekła w końcu. - Ale nie mogę mieć pewności, póki nie zrobimy prześwietlenia. Nie można wykluczyć pęknięcia kości.

Na szczęście Trace'a zadrżał mięsień.

- To samo powiedziała szkolna pielęgniarka. Wspomniała też, że ma gorączkę. Ciągnie się za nim przeziębienie.

- Skoro już tu jesteś, zmierzmy temperaturę i zbadamy też gardło i uszy, dobrze? - odezwała się do chłopca.

Eli zgodził się niechętnie. Miał trzydzieści siedem stopni, lekko powiększone węzły chłonne, zaczerwienione bębniaki słuchowe i gardło tak czerwone, że wzięła wymaz, żeby sprawdzić, czy to nie paciorkowce.

- Chyba nie obejdzie się bez antybiotyków - orzekła. - Pewnie bardzo cię boli gardziółko?

- Bardzo. - Z przejęciem skinął głową. Trace zmarszczył brwi.

- Nic mi nie mówiłeś.

- Bo wcześniej nie bolało - wyjaśnił Eli.

- Infekcja może rozwijać się bardzo szybko. Wygląda mi to na obustronne zapalenie ucha, obawiam się też, że w gardle również coś znajdziemy - powiedziała do Trace'a i wróciła wzrokiem do chłopczyka. - Za kilka dni poczujesz się lepiej - zapewniła go. - A teraz prześwietlimy rączkę, dobrze? Laboratorium jest w sąsiednim budynku. - Pochyliła się nad laptopem, zapisała coś i spojrzała na Trace'a: - Niech pan tam z nim pójdzie, od razu zrobią prześwietlenie i prześlą mi zdjęcia, to nie potrwa długo. Obejrzę je i zdecydujemy, co dalej. Jeśli uznam, że przydałaby się konsultacja z ortopedą umówię pana do doktor Belding w Missoula. Chyba że wołałby pan kogoś innego - uśmiechnęła się z otuchą ale nie odpowiedział tym samym. - Znam doktor Belding, jest naprawdę dobra.

Trace lekko skinął głową.

- Dziękujemy. - Spojrzał na synka. - Idziemy, bracie. Heather przyniosła skierowanie do laboratorium, gdy pomagał

chłopcu zejść ze stołu, na którym badała go Kacey.

- Mogę jeszcze jakoś pomóc? - zapytała lekarka.

- Chyba mamy już wszystko - odparł.

Heather wyszła, a Kacey podała Trace'owi plik dokumentów i zwróciła się od chłopca, chcąc złagodzić jego obawy:

- Wiesz co? Znam pewien skrót, pokażę go wam, dobrze? - uśmiechnęła się do małego. - No wiesz, na wypadek, gdyby twój tatuś zabłądził.

- Nie zabłądzi! Był wojskowym zwiadowcą! Trace zachnął się. Był już przy drzwiach.

- Kilka lat temu.

- Ale byłeś! - Eli nie dawał za wygraną.

- W średniowieczu - mruknął, gdy szli przez labirynt korytarzy do tylnych drzwi. Na zewnątrz wiatr bawił się jej fartuchem i smagał lodowatymi podmuchami.

- To już tutaj - zapewniła, przytrzymując dłonią poły fartucha. Szła szybkim krokiem. Wyciągała rękę do drzwi, ale Trace uprzedził ją, przytrzymał je i puścił ją i synka przodem.

Wewnątrz ogrzewanie pracowało oczywiście pełną parą a z głośników płynęły świąteczne piosenki.

- No dobrze, dalej pójdziecie już sami - powiedziała. I przekazała ich laborantowi. - Zobaczmy się mniej więcej za godzinę, kiedy dostanę gotowe zdjęcia.

- Jasne - mruknął, a gdy spojrzał jej w oczy, dostrzegła w nich coś nieokreślonego, coś mrocznego.

To tylko twoja wyobraźnia.

Może po prostu martwi się o synka. Jednak w jego reakcji kryło się coś więcej, wyczuwała w nim głęboką nieufność, nieadekwatną do sytuacji. Jakby nie do końca jej wierzył. Może zresztą nie ufał wszystkim lekarzom. Choć właściwie nie miała czasu, żeby zawracać sobie głowę jego obawami, jeśli w ogóle je odczuwał.

W towarzystwie pielęgniarka Randy'ego zajmowała się niemal godzinę kolejnymi pacjentami: Cathy Singer zmagala się z trądzikiem mimo dorosłego wieku, dwoje dzieci miało objawy grypy, matka Kevina Thomasa była święcie przekonana, że jej synek ma wszy, bo w szkole był przypadek wszawicy; nawet Helen Ingles, która najwyraźniej znalazła kogoś, kto zaopiekuje się jej siostrzeńcem, zjawiała się w przychodni, by dowiedzieć się czegoś więcej o swojej cukrzycy.

Godzinę później dwaj panowie O'Halleran wrócili z trzema kliszami rentgenowskimi, z których wynikało, że w kości łokciowej jest małe pęknięcie.

- Bez gipsu się nie obejdzie - powiedziała i pokazała im cieniutką rysę na kliszy.

- Więc Eli, wybierasz kolor. Różowy czy niebieski?

- Różowy? - Eli z niesmakiem zmarszczył nosek. - Nie ma mowy!

- A więc niebieski - stwierdziła z uśmiechem, a Randy wyciągnął zestaw do gipsowania z szafki i pomógł jej założyć opatrunek. Eli ze swojej strony był bardzo dzielny, prawie się nie krzywił i usiłował naśladować stoickie opanowanie ojca.

Kiedy gips był na miejscu, a Randy uprzątał opakowanie po opatrunku, Kacey pouczała ojca i syna:

- Najważniejsze, żebyś nie uraził tej rączki, więc przez jakiś czas musisz bardzo uważać. - Spojrzała na niego znacząco. - Na razie koniec ze wspinaczkami po drabinkach i przepychanek z Corym Jak-Mu-Tam. - Schyliła się tak, że ich oczy były na tej samej wysokości. - Dasz radę?

Eli skinął głową i spojrzał na opatrunek.

- Może pani mu to powie? To dupek. Trace westchnął zrezygnowany.

- O ile pamiętam, to miała być nasza tajemnica, zapomniałeś już?

- Przecież wszyscy wiedzą - mruknął Eli.

- Czyli prawda wyszła na jaw. - Kacey uśmiechnęła się szeroko i dodała: - Ale na twoim miejscu nie martwiłabym się też o Cory'e-go... no...

- Detera - podsunął Eli.

- No właśnie. Myślę, że twój tata dopilnuje, żeby ci już nie dokuczał. Słyszałam, że był wojskowym zwiadowcą a z tego, co mi wiadomo, to prawdziwi twardziele.

- Tak! - zawołał Eli, a Trace wyglądał, jakby najchętniej zapadł się pod ziemię.

- No dobrze, dość już tego - rzucił i sięgnął po kurtkę synka, gdy ten wypalił:

- A pani wygląda jak pani Wallis.

Kacey spojrzała na ojca. Skrzywił się nagle.

- A to dobrze?

- Tak. Chyba. - Trace nie wydawał się przekonany.

- Super. - Najpierw Shelly Bonaventure, teraz ta pani Wallis. Zdaje się, że to jej tydzień sobowtórów.

- To dziewczyna mojego taty - wypalił Eli.

Wydawało się, że w ciele Trace'a zeszywniały wszystkie mięśnie.

- Eli, mówiłem ci, że pani Wallis nie jest moją... nie spotykamy się. Nie jest moją dziewczyną. - Speszony, dodał: - Przepraszam za to. Pani Wallis uczyła Eliego w zeszłym roku, w pierwszej klasie.

- I chodziłeś z nią na randki! - Eli spojrzał na niego gniewnie. Trace odnalazł wzrok Kacey.

- Owszem, byliśmy na kilku randkach, a pani rzeczywiście jest do niej trochę podobna.

- Taka moja uroda, że wydaję się do wszystkich podobna.

Na moment przymknął oczy i pokręcił głową. Światło odbijało się w jasnych pasemkach w jego włosach.

- No dobrze, to czy teraz, kiedy zostałem już totalnie upokorzony, może mi pani powiedzieć, jak okiełznać rozbrykanego siedmiolatka?

- To raczej niemożliwe; za to ty, Eli, musisz pamiętać, żeby zwolnić. Żadnego brykania, jasne? - Znowu pochyliła się nad malcem i zajrzała mu prosto w oczy.

Z przejęciem skinął głową.

- Obiecujesz? Słowo harcerza?

- Nie jestem harcerzem.

- No dobra, i tak ci wierzę - odparła, unosząc brwi, jakby przychodziło jej to z trudem.

- Naprawdę! Obiecuję! - zapewnił Eli.

- Dobrze, bo twój tata mi wszystko powie - uśmiechnęła się do Trace'a, który już-już miał odpowiedzieć tym samym, ale spochmurniał, kiedy powiedziała, że gdyby ból dokuczał małemu tak bardzo, że nie wystarczą leki bez recepty, ma do niej natychmiast zadzwonić. Z powagą skinął głową. Wypisała receptę i dodała: - Zadzwonię, kiedy będziemy mieli wyniki posiewu. A z tobą młody człowieku - wskazała Elięgo długopisem - zobaczymy się za jakieś dziesięć dni, może być? - Chłopiec energicznie kiwał głową. - Dobrze. - Wyrwała receptę z bloczka, podała ojcu. - Wszystko będzie dobrze, choć uważam, że przez kilka dni powinien go pan teraz zatrzymać w domu.

- Tak jest! - Eli triumfalnie pomachał zdrową ręką a Kacey domyślił się, że już czuje się lepiej.

- Proszę do mnie dzwonić, gdyby bardzo go bolało albo pana zdaniem coś było nie tak. Jeśli nie ja, pomoże panu doktor Cortez.

Trace wsunął receptę do kieszeni. Wydawał się nieco mniej spięty niż poprzednio, gdy po raz pierwszy badała jego synka. Narzucił małemu kurtkę na ramiona.

- Eli, będziesz grzeczny, prawda? Słuchaj taty, nie sprawiaj mu kłopotów i trzymaj się z daleka od łobuzów - dodała.

- Dzięki. - W błękitnych oczach Trace'a malowała się szczerłość. Ponownie uściskał jej dłoń i wydawało jej się, że przytrzymał ją chwilę dłużej niż zazwyczaj. Z drugiej strony, może sobie to tylko wmawiała.

Wyszła, Randy jeszcze uzupełniał wpisy w kartotece, a potem w ślad za nią poszedł do dwójki. Starła się nie myśleć o przystojnym kowboju, gdy badała Delores Sweeney, matkę czwórki dzieci, która wiecznie zmagala się z przeziębieniem, grypą, anginą czy inną infekcją.

## Rozdział 5

Dzisiaj rano było świąteczne losowanie! - Joelle skarciła Pescoli, ledwie ta weszła do świetlicy po kubek kawy. Było wczesne popołudnie. Całe pomieszczenie padło, jak to określała Pescoli, ofiarą Joelle. Wszędzie, w każdym kącie mrugały świąteczne lampki, na stołach piętrzyły się

stroiki z bałwankami, nad drzwiami wisiały świerkowe girlandy ozdobione wstążkami, a przy ekspresie do kawy miejsce zwykłych białych serwetek zajęły świąteczne, czerwono-zielone.

A Pescoli miała przecucie, że to jeszcze nie koniec; wkrótce świąteczny kicz zaleje korytarze, gabinety i hol, w którym już czekała trzymetrowa choinka, na razie bez ozdób. Stała koło kuloodpornej szyby, zainstalowanej w zeszłym roku, która oddzielała policjanta dyżurnego od petentów.

- Przyszłam o siódmej, później pracowałam w terenie - wyjaśniła i zaraz ugryzła się w język. Przecież nie musi się tłumaczyć sekretarce.

- Nie ty jedna się spóźniłaś. - Oczy Joelle zabłyśły i Pescoli jęknęła w duchu, wiedząc, że nie ma już dla niej ratunku. Więc... - Chwyciła koszyczek, ozdobiony małymi reniferami, i podniosła wysoko nad głowę, jakby naprawdę obawiała się, że Pescoli będzie oszukiwała i spróbuje odczytać nazwiska nabazgrane na karteczkach.

- Naprawdę? Wszyscy się w to bawią? - upewniła się Pescoli podejrzliwie.

- Oczywiście!

- Szeryf też?

- Ma się rozumieć.

- A Rule? - Kayan Rule, zabójczo przystojny Afroamerykanin, nie zawracał sobie głowy bzdurami. Kto jak kto, ale Rule, jeden z bardziej niezależnych funkcjonariuszy, na pewno nie dał się wciągnąć w głupkowate gierki Joelle.

- Losował dzisiaj rano, podobnie jak Selena.

Super, pomyślała Pescoli, uznała jednak, że zbyt wiele razy zarzucano jej, że nie chce się integrować, podniosła rękę, sięgnęła do koszyczka i wybrała jeden z nielicznych pozostałych tam kawałków papieru.

- Cudownie! - Joelle była z siebie bardzo zadowolona. - Ipamiętaj, masz podrzucać tej osobie małe prezenciki co najmniej raz w tygodniu aż do świąt!

Pescoli rozłożyła skrawek papieru i poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła, gdy zobaczyła nabazgrane na nim nazwisko: „Cort Brewster”.

- Muszę głosować jeszcze raz! - sapnęła.

Joelle błyskawicznie zabrała koszyczek i pogardliwie uniosła idealnie wyregulowaną brew.

- Nie ma powtórek, moja droga. Tak to jest, jak się człowiek spóźnia na losowanie.

Pescoli chciała zaprotestować, uznała jednak, że nie będzie kruszyć kopii o coś tak banalnego. Wyszła ze świetlicy, pełnej wesołych bałwanów i migoczących lampek, i mało brakowało, a zapomniałaby kawy, idąc do gabinetu Alvarez.

Partnerka jak zawsze była pogrążona w pracy.

- Zamienimy się? - zaproponowała Pescoli.

- Co? - Alvarez podniosła głowę.

- Na losy. Zamieńmy się.

Alvarez wyjątkowo roześmiała się na cały głos.

- O, nie.

- Mówię poważnie.

- Ja też.

- To idiotyczna zabawa - burknęła Pescoli.

- Więc nie zwracaj sobie tym głowy, kup cukierki, płytę czy inny drobiazg, podrzuć Brewsterowi na biurko i po sprawie.

- Skąd wiesz?

- Jestem policjantką. Nikt inny nie wprawiłby cię w tak podły humor - uśmiechnęła się znacząco. - Wiesz przecież, że mogłabyś się nieźle przy tym zabawić.

- To nie takie proste - mruknęła Pescoli, Wspominała, jak kiepsko dogadywała się z zastępcą szeryfa od zeszłorocznej katastrofy, jaką było aresztowanie Jeremy'ego. Był wtedy z Heidi Brewster i jej ojciec interweniował. Pescoli natomiast nie i syn nigdy jej tego do końca nie wybaczył. Podobnie jak Cort. Zdaje się, że miał do niej pretensje o wybryki jej syna i swojej córki.

- Ależ owszem. Wycofaj się.

- Joellepowiedziała...

- Że to obowiązkowe? Ta cała zabawa? Nie sędzę, ale sprawdzę w zasadach zatrudnienia.

- Zrób to. - Pescoli była wyraźnie zdenerwowana.

Alvarez uśmiechnęła się jeszcze szerzej i powoli pokręciła głową.

- A niby od kiedy słuchasz Joelle?

- Odkąd nie chcę wечно wychodzić na tę, która próbuje obalać system.

- Więc nie marudź więcej. - Alvarez ponownie pochyliła się nad stertą papierów na biurku. - Nie znoszę, kiedy mażesz się jak dziecko.

- Nie mieści mi się w głowie, że tak łatwo to przełknęłaś, akurat ty - zauważyła Pescoli i nagle dostrzegła, że partnerka spoważniała, a jej oczy pociemniały. - Co to jest, poważny posterunek czy kółko brydżowe?

- Może odrobina świątecznej atmosfery dobrze nam zrobi - przyznała Alvarez i dodała: - Ale ty, zdaje się, masz większe problemy na głowie?

- Nie no, skądże, nic a nic. - Jasne; praca, później spotkanie w szkole, żeby ustalić, dlaczego Bianca tak mało uwagi poświęca nauce. I Jeremy... wiecznie Jeremy.

- Więc nie zwracaj sobie głowy mikołajkami. Kogo to obchodzi? Zapewne miała rację, przyznała Pescoli, wracając do swego gabinetu

i pijąc wystygłą kawę. to nic takiego, a jednak denerwowała się tym. Nie dość, że musiała pracować z Cortem Brewsterem, ba, był jej zwierzchnikiem, teraz jeszcze miała mu podrzucać uroczę świąteczne drobiazgi.

- Zresztą może być gorzej - mruknęła Alvarez.

- Nie sądzę.

- A jeśli Joelle wylosowała ciebie?

Pescoli zamknęła oczy i wzdrygnęła się, widząc oczami wyobraźni setki plastikowych elfów, muzyczne kartki z kolędami, nakręcane dziadki do orzechów i czekoladowe renifery, które Joelle już zapewne zgromadziła w zastraszających ilościach. A jeśli część tych paskudztw wkrótce trafi na jej biurko? Każdego dnia będzie się na nim pojawiać kolejny świąteczny drobiazdek, ukryty wśród makabrycznych fotografii z miejsca zbrodni.

- Oby nie - sapnęła i podeszła do biurka, na którym, na szczęście, jeszcze nie było żadnych niespodzianek od tajemniczego Mikołaja.

- Musisz odpuścić. - Gail Harding podeszła do Hayesa nie wiadomo kiedy, cichutko zbliżyła się do jego biurka. Posterunek tętnił życiem, odgłosy rozmów przenikały cienkie ściany, telefony dzwoniły niemal bez przerwy. Jonas Hayes prawie jej nie zauważył. Myślał intensywnie.

Na jego biurku leżały akta sprawy Shelly Bonaventure. Na wierzchu widniał akt zgonu, jednak jego wzrok przykuwała fotografia, portret zrobiony zaledwie w zeszłym roku.

- Niczego nie odpuszczę, jeszcze nie.

- Uznano, że popełniła samobójstwo. - Harding wskazała odpowiednią rubrykę w akcie zgonu. - Widzisz? Przyczyna śmierci: prawdopodobnie samobójstwo.



Prawdopodobnie. To słowo kluczowe.

- Sprawa jest zamknięta. To już koniec.

Hayes przecząco pokręcił głową i odgarnął włosy z czoła.

- Nic się nie stanie, jeśli nad tym jeszcze popracuję, sam w wolnym czasie. - Wstał i od razu nad nią górował, i to o trzydzieści centymetrów. Zdawał sobie sprawę, że dziwny z nich zespół. On, były sportowiec, potężny czarnoskóry mężczyzna, który nadal dbał o formę - grał w piłkę i dźwigał ciężary. I ona, drobna biała dziewczyna o nastroszonych rudych włosach i wielkich oczach.

- Jadę obejrzeć wypadek na Sepulveda, kilka przecznic od lotniska. Motocyklista z pasażerem na siodełku włączył się do ruchu - pod prąd. Z pierwszych ustaleń wynika, że nie było żadnych racjonalnych powodów, wygląda na to, że kierowca zrobił to celowo. Zderzył się z suwem. Jedziesz?

Skrzywił się.

- Nie mógłbym sobie tego darować.

Po raz ostatni zerknął na akta, przejrzał je pobieżnie, zamknął i poszedł w ślad za Harding do windy. Pewnie miała rację. Czas zapomnieć o samobójstwie Shelly Bonaventure, jednak jakoś nie mógł się na to zdobyć.

Przesłuchali większość jej przyjaciół i krewnych, z których nikt nie spodziewał się, że Shelly może popełnić samobójstwo. Owszem, czasami była mowa o depresji, i rzeczywiście, jej kariera nie rozwijała się po jej myśli, a od roku właściwie nie miała życia erotycznego, ale i tak wydawało się, że samobójstwo nie wchodzi w grę.

Barman w Lizards wspominał, że flirtowała z facetem, który płacił gotówką i którego nie było dokładnie widać na taśmach z monitoringu. Ale wyszedł po Shelly i jeśli wierzyć zapisowi z kamery nad drzwiami, poszedł w przeciwnym kierunku niż ona dwadzieścia minut wcześniej.

Przypadkowe spotkanie w barze? Czy coś więcej?

- Ej! - zawołała Harding. Otworzyli drzwi i znaleźli się w ciepłym zimowym słońcu. Na dworze ponad dwadzieścia stopni, a w witrynach sklepowych już roilo się od zimowych dekoracji, wszędzie widniały sztuczne choinki i jeszcze bardziej sztuczny śnieg. Na niemal każdej wystawie kusily renifery, elfy, Mikołaje i domki z piernika, a przecież jeszcze nawet nie było Święta Dziękczynienia.

Łagodna bryza od Pacyfiku kołysała koronami palm, których nie opleciono kolorowymi sznurami świątecznych lampek. Boże Narodzenie w Los Angeles.

Wsiadł do samochodu Harding. Otworzył okno, bo w aucie panował dławiący upał.

- No dobra, powiesz mi w końcu, czemu uważasz, że Shelly Bonaventure zamordowano? - zapytała.

- Sam nie wiem.

- Nie miała żadnych wrogów, nie było rozżalonych eks, nie miała też ubezpieczenia na życie, nie zostawiła testamentu, a na koncie miała niecałe trzysta dolarów. Nie posiadała nic cennego poza toyotą z 1995 roku i kotem. Kto niby miałby życzyć jej śmierci?

- Nie wiem - powtórzył, gdy wyjeżdżali z parkingu. Harding docisnęła pedał gazu.

- Jeszcze nie wiem - poprawiła, gdy skręcili w stronę Sepulveda. -Nie dokończyła zdania. Jeszcze nie wiesz. Nie odpuścisz.

- Chciałbym po prostu osobiście pogadać z tym facetem z baru. Ostatni widział ją żywą. Może coś sobie przypomni.

- No to powodzenia. Znasz przysłowie o igle w stogu siana, tak?

- Tak.

Uśmiechnęła się pod nosem i ostro wzięła zakręt.

- Może nigdy go nie odnajdziesz. Wyjątkowo nie zaprotestował.

Nadal jednak chciał pogadać z tajemniczym facetem z baru.

Trace sięgnął po telefon komórkowy po trzecim dzwonku. Spojrzał na wyświetlacz - dzwoniła szkoła podstawowa Evergreen. Szkoła Eliego. Dochodziła czwarta po południu.

- Halo? - rzucił do słuchawki.

- Pan O'Halleran? Tu Barbara Killingsworth, dyrektorka szkoły podstawowej Evergreen. Dzwonię, żeby się dowiedzieć, jak się czuje Eli.

Oczywiście wyobraźni już ją widział: po czterdziestce, niewiarygodnie chuda, ze ściągniętą twarzą i szerokimi ustami wiecznie wykrzywionymi w sztucznym uśmiechu.

- W porządku - odparł. Zerknął na synka. Malec spał na kanapie z rączką w gipsie, przed telewizorem, którego nie oglądał, z psem skulonym w nogach. - Ale chciałbym się dowiedzieć, kto pilnował dzieci

na placu zabaw. - Przeszedł do kuchni i zamknął za sobą drzwi do saloniku. Nie chciał obudzić Eliego.

- Kilku nauczycieli.

- I żaden z nich nie dostrzegł niebezpieczeństwa, gdy... - Nie dokończył pytania, starał się zapanować nad gniewem. Zresztą, jaki to ma sens? Zdawał sobie sprawę, że wypadki się zdarzają. Nauczyciele w szkole podstawowej Evergreen nie mieli przecież złych zamiarów, ba, nie byli nawet nieuważni. Dzieciaki po prostu się bawiły, a jego synek ucierpiał, koniec, kropka. Nie chciał oczywiście wyjść na nad-opiekuńczego dupka, ale jeśli chodziło o Eliego...

- Bardzo mi przykro.

- Tak, wiem. Proszę posłuchać, wygląda na to, że Eli ma obustronne zapalenie ucha środkowego i być może też infekcję gardła, więc na kilka dni zatrzymam go w domu.

- Poproszę nauczycielkę, żeby skontaktowała się z panem mailowo Proszę przekazać Eliemu, że wszyscy o nim myślimy.

- Jasne. - Rozłączył się, bo usłyszał warkot silnika pod domem. Zerknął w okno i zobaczył pikapa Eda Zukova. Toczył się długim podjazdem.

Sarge, który do tej pory smacznie spał, czujnie podniósł kudłaty łeb i szczechnął nisko.

- Cicho! - Trace już szedł do tylnych drzwi.

Ed i jego żona Tilly mieszkali kilkaset metrów dalej, wzdłuż drogi. Byli najlepszymi przyjaciółmi jego ojca, mieli teraz ponad siedemdziesiąt lat i Trace znał ich właściwie całe życie. Szedł przez kuchnię w stronę tylnych drzwi. Sarge deptał mu po piętach.

Wiatr wzmagał się, sprawiając, że skrzydła starego wiatraka trzeszczały głośno, kołysał nagimi gałęziami drzew w sadzie. Zaczął też padać śnieg, pokrywał ziemię białym całunem, gdy stary pikap zatrzymał się przy pompowni.

Tilly, energiczna jak trzydziestolatka, wysiadła z kabiny kierowcy w tej samej chwili, gdy jej mąż zgasił silnik.

- Słyszeliśmy o Elim - powiedziała, poprawiła czapkę baseballową na głowie i obeszła wiekowego dodge'a. Niosła koszyk z prowiantem, co w jej wypadku nie było niczym dziwnym. W razie kryzysu Tilly Zukov zabierała się do gotowania.

- Nic mu nie będzie. - Ponieważ Tilly była mistrzynią świata w zamartwianiu się, nie wspomniał o zapaleniu ucha. - Skąd wiecie?

- Moja siostrzenica pracuje w kuchni w jego szkole.

- No tak, świat jest mały. - Ed, potężny facet z wielkim brzuchem i ramionami jak pnie drzewa, zatrzasnął drzwiczki samochodu i w ślad za żoną pokonał dwa schodki prowadzące na werandę. - Jezu, ale zimno!

- Ed, ile razy ci mówiłam, żebyś nie wzywał imienia pańskiego nadaremnie! - skarciła go Tilly, gdy weszli do kuchni. Była drobna, o połowę mniejsza od męża, ale było jasne, że to ona rządzi w tym związku. Miała siwe, drobne loczki po trwałej, na zadartym nosku przycupnęły okulary bez oprawek. W ciemnych oczach błyszczała inteligencja. Była ubrana grubą kurtkę i sprane dżinsy. Spojrzała na Trace'a i dodała: -Przywiozłam gulasz i świeży chleb kukurydziany, i jeszcze kruche ciasteczka, bo Eli bardzo je lubi.

- Przywiozła też placek - dodał Ed. Ściągnął z głowy czapkę, odsłaniając tym samym łysinę w wianuszku siwych włosów, rozpiął puchową kurtkę, pod którą miał ogrodniczki i flanelową koszulę.

- Nie mogłam inaczej! - oburzyła się Tilly. - Musiałam wypróbować ten nowy przepis, który znalazłam w zeszłorocznym świątecznym wydaniu *Better Homes and Gardens*. Z dyniowym musem i kremem waniliowym.

Trace pochłaniał ciasto wzrokiem.

- Brzmi smakowicie, ale nie musiałaś tego robić.

- Oczywiście, że nie musiałam. - Tilly już wstawiła placek do lodówki. - Ale chciałam je wypróbować, zanim podam je na Święto Dziękczynienia. Cara, siostra Eda, jest bardzo wybredna, więc będziecie moimi królikami doświadczalnymi.

- Nie wiem, co ci się nie podoba w starym przepisie - sapnął Ed.

- Tym z puszki z musem dyniowym? - upewniła się Tilly. - Nic, oprócz tego, że jemy ten placek od czterdziestu pięciu lat! Czas spróbować czegoś nowego.

- Tradycja. - Ed był niewzruszony. Tilly przewróciła oczami.

- Odrobina oryginalności jeszcze nikomu nie zaszkodziła, Ed!

- Carze smakuje stary placek - zauważył.

- A co ona tam wie!

- A ty starasz się jej zaimponować.

- Sama nie wiem dlaczego - przyznała Tilly. - Pamiętasz jej placek z kremem bananowym? Wilgotny spód, przejrzałe banany. Okropny, po prostu okropny!

- Więc przestań kombinować, jak jej zaimponować, i zrób stary placek według przepisu na puszcze. - Ed uśmiechnął się szeroko, wyszczerzając zęby poźółkłe od wieloletniego żucia tytoniu. - Zawsze mówię: lepsze jest wrogiem dobrego.

- Dużo rzeczy mówisz, a ja większości z nich nie słucham. A teraz przestań marudzić, a ja podgrzeję gulasz.

- Despotyczne babsko, co? - mruknął Ed do Trace'a.

- A ty to uwielbiasz! - Mimo ostrego tonu spojrzała na niego czule, tak samo jak zawsze od pięćdziesięciu dwóch lat, od czasów szkoły średniej.

- Wydaje się, że dobrze wam z tym - zauważył Trace.

- Bo Ed zawsze robi, co mu każe.

Tilly krzątała się przy kuchni, a Ed powiedział:

- Pomyślałem sobie, że pomogę ci przy zwierzętach. Tilly zamartwiała się w domu, obawiała się, że nie poradzi sobie ze wszystkim, mając Elię na głowie.

Tilly spoważniała i spojrzała na Trace'a.

- Po prostu nie wyobrażałam sobie, jakim cudem zdołasz jednocześnie opiekować się małym i oporządzić zwierzęta.

- Tato? - zawołał Eli z saloniku.

- Już idę, bracie! - Trace stanął w progu i zobaczył zaspanego synka w samych skarpetkach. - Wszystko w porządku?

- Tak. Kto przyszedł?

- Państwo Zukov. Chodź do kuchni.

- Czy to mój smyk? - zawołała Tilly głośno i Eli uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia.

Zdażył już odrzucić koc, zanim Trace dodał:

- Zdaje się, że coś ci przywiozła.

- Słyszałam to, a jakże, i oczywiście, że coś ci przywiozłam! - podniosła głos i dodała: - Eli, chodź tu do mnie i siadaj! Zjemy po ciasteczku, napijemy się mleka i zagramy w warcaby. Chyba że boisz się, że cię pokonam.

- Wygram! - Eli już biegł do drzwi, wpadł do jadalni i zdjął z półki pudło z warcabami.

- No cóż, zaraz zobaczymy... o rany, pokaż ten gips! Ed, popatrz tylko! - Tilly zdażyła już postawić na stole talerz ciasteczek i nalać Eliemu szklanę mleka, - Niebieski jak letnie niebo!

- W rzeczy samej - przyznał jej mąż.

Eli rozpromienił się, wgramolił na krzesło i wyjął planszę ze sfatygowanego pudełka.

Ed, który ukradkiem porwał ciasteczko, był już przy drzwiach.

- Chodźmy do bydła.

Trace zdjął dżinsową kurtkę z wieszaka przy drzwiach, włożył buty i w ślad za Edem ruszył asfaltową ścieżką, która przechodziła w ubitą dróżkę za bramą, dzielącą podwórze przed domem od placyku przy oborze.

Nadal padał śnieg, pokrywał ziemię cienką warstwą przez którą jeszcze przebijały kępy trawy. Krowy były już w oborze. Kiedy Trace otworzył dwuskrzydłowe drzwi, powitała go mieszanina zapachów -siana, kurzu i krowiego nawozu.

Wszedł na stryszek, dźwięcząc podszewkami o metalowe szczeble drabinki, a krowy muczały głośno. Zrzucał z góry bele siana przez otwór w podłodze. Spadały z głuchym dudnieniem. Ed rozcinał sznurek, którym były związane, i rozkładał siano w żłobach. Krowy rasy Hereford i Angus niecierpliwie czekały na posiłek.

Kiedy bele znalazły się w stodole, zanieśli część z nich do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie wysoki dach podtrzymywały drewniane słupy, a pod ścianami stały poidła i żłoby.

Krowy wierciły się i kręciły, na czarnych i rudych grzbietach miejscami lśniły plamy wilgoci, tam, gdzie jeszcze niedawno były płatki śniegu. Ich oddechy zasnuwały zimne powietrze mlecznymi obłoczkami.

Po krowach przyszedł czas na konie. Ed i Trace przeszli do stajni i wszystko zaczęło się od początku, ale tym razem poszło o wiele szybciej, bo Trace miał tylko cztery konie. Dosypali owsa do żłobów. Poklepał siwka po chrapach i podrapał za uszami kasztanka, który odrzucił łeb do tyłu. W ciemnych ślepiach błyszczał ogień.

Kiedy wrócili do kuchni, powietrze wypełniały już smakowite zapachy czosnku i rozmarynu. Na kuchence bulgotał gulasz Tilly. Wyglądało na to, że Eli pobił swoją nauczycielkę w warcabach.

- Na pewno nie oszukujesz? - zapytała żartobliwie Tilly.

- Skądże! - zapewnił Eli. Wypił połowę mleka, a sądząc po okruszkach na stole, zjadł też co najmniej jedno ciasteczko Tilly.

Trace akurat zdjął buty, gdy rozdzwonił się jego telefon komórkowy.

- Już drugi raz, odkąd poszliście do krów - rzuciła Tilly, a tymczasem Eli z satysfakcją zadał jej ostateczny cios na szachownicy.

- Zobaczą, kto to. - Trace przybił piątkę z rozpromienionym synkiem i odebrał telefon po czwartym sygnale. - Halo?

- Trace? Tu Mia Calloway. Jestem sekretarką w szkole podstawowej Evergreen.... W której uczy się pański syn. Jak on się czuje? Eli?

- Lepiej, dziękuję. Już rozmawiałem z dyrektorką. - Przeszedł z kuchni do saloniku, żeby mieć choć namiastkę prywatności.

- Tak, tak, wiem. Właściwie nie dzwonię w związku z Elim - przyznała. Wydawała się bardzo zdenerwowana. - Chodzi o Jocelyn Wallis.

Jego żołądek ścisnął się boleśnie, ale milczał, słuchał, jak paplała bez ładu i składu.

- Nie przyszła dzisiaj do szkoły, nie dzwoniła, nie zostawiła planu na zastępstwo, nic. Nikt nie wie, co się z nią dzieje, ale ja wiem, że.. Cóż, mówiła, że się spotykacie i pomyślałam sobie, że może pan coś wie... - mówiła coraz ciszej.

- Nie mam pojęcia, czemu nie przyszła do szkoły - odparł.

- Och... No cóż... Martwię się o nią i tyle. Przyjaźnimy się. Pojechałam do niej do domu, ale wszystkie okna są zasłonięte, nie mogłam zajrzeć do środka. Światło było zapalone, ale to właściwie nic nie znaczy. To znaczy, wiem, że ostatnio nie czuła się najlepiej, dzwoniłam do niej, ale sekretarka włącza się po pierwszym sygnale. I... sama już nie wiem, co myśleć. Wyjechała? Jest zbyt osłabiona, by odebrać telefon? -Nie dokończyła, a gdy Trace milczał, dodała: - Jak powiedziałam, po prostu chciałabym się dowiedzieć, co się z nią dzieje.

- Jeśli się do mnie odezwie, dam pani znać.

- Och... No dobrze. Jeszcze jedno, a nie ma pan przypadkiem klucza do niej do domu? Bo może warto byłoby tam pójść i rozejrzeć się, zanim wezwiemy policję, czy co tam się robi w takich wypadkach?

- Nie mam klucza - odparł. - Nie widziałem się z Jocelyn od kilku miesięcy.

- Och... Zdawało mi się, że mówiła, że wczoraj do pana dzwoniła...

- Nie dzwoniła.

- W takim razie... przepraszam, że zawracałam panu głowę. Ale jeśli się do pana odezwie, przekaże jej pan, żeby zadzwoniła do Mii?

- Nie odezwie się, ale tak, jasne. Do szkoły?

- Do szkoły też, ale przede wszystkim na moją komórkę. - Mia wydawała się naprawdę zaniepokojona. - To zupełnie nie w jej stylu. Nie znam równie zaangażowanej, oddanej pracy nauczycielki jak

Jocelyn. To do niej niepodobne, bez słowa uprzedzenia zostawić uczniów na lodzie. Nic z tego nie rozumiem. W każdym razie dzięki.

Rozłączył się, odwrócił i zobaczył Tilly w progu. Nawet nie ukrywała, że podsłuchiwała.

- Ze szkoły, tak? W sprawie Jocelyn Wallis?

- Jej przyjaciółka - przyznał. Tilly spochmurniała.

- Wiem od siostrzenicy, że nie było jej dzisiaj w pracy. To dziwne.

- Wszystko przez siostrzenicę - wtrącił Ed.

- Ta przyjaciółka mówiła, że Jocelyn wczoraj do mnie dzwoniła, ale nie zostawiła żadnej wiadomości. - Nagle zobaczył, jak Eli kuli się na krześle. - Prawda?

Chłopczyk skinął głową, ale Trace i tak podszedł do staroświeckiego telefonu z automatyczną sekretarką, który wisiał na ścianie. Nie migała żadna dioda, nie było żadnych wiadomości, ale kiedy sprawdził ostatnie połączenia, na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko J. WALLIS.

- Pani Wallis zostawiła wiadomość? - zapytał synka, ale Eli zaprzeczył stanowczo.

- Nie, nie nagrała się. - Wydawał się załamany. Trace mu uwierzył. Wybrał numer i czekał, ale w słuchawce odpowiedziała mu cisza. Poczł zimny dreszcz na plecach. Odłożył słuchawkę i spojrzał na Tilly.

- Może jednak powinienes tam pojechać - powiedziała. - A my zajmiemy się Elim.

- Ja też chcę jechać - nalegał synek.

- Co? - Tilly oburzyła się komicznie. - I pozbawić mnie szans na rewanż? O nie, mój panie! Muszę się odegrać! - Posłała Trace'owi znaczące spojrzenie. Zrozumiał.

- Wkrótce wrócę - powiedział i ruszył do drzwi. Sarge pobiegł za nim. - Dobra, niech ci będzie - mruknął do psa. Otworzył drzwiczki pikapa i pies od razu wskoczył na swoje ulubione miejsce - fotel pasażera.

Trace usiadł za kierownicą, odpalił silnik starego chevroleta i zastanawiał się, co też zastanie w mieszkaniu Jocelyn Wallis.

- Pewnie nic - mruknął, wrzucił odpowiedni bieg, włączył wycieraczki. Ale cały czas nie dawało mu spokoju wrażenie, że gdy patrzył w mrok za szybą zaglądał w nieprzenikniętą niepojętą ciemność, która zaraz ogarnie i jego.



## Rozdział 6

Córka Pescoli po raz kolejny nie przyszła do szkoły.

- Zakładałam, że pani wie, że Bianki dzisiaj nie było. - Pedagog, panna Unsel, siedziała za potężnym biurkiem zavalonym dokumentami uczniów i ulotkami reklamowymi uniwersytetów. Światło dzienne sączyło się z wysoko umieszczonych okien. W pokoju panował lekki zaduch stęchlizny.

- Odwiozłam ją do szkoły przed pierwszym dzwonkiem. - Pescoli nie ukrywała zdenerwowania.

Pani Unsel poprawiła gruby ciemny warkocz na ramieniu i bezradnie rozłożyła ręce.

- Nie było jej na pierwszej lekcji. Pan Cohn wpisał jej nieobecność, podobnie jak wszyscy inni nauczyciele.

- Czyli chce mi pani powiedzieć, że nie było jej przez cały dzień.

- Tak. - Peony Unsel skinęła głową tak energicznie, że końcówka warkocza podskoczyła na pasiastej kamizelce, którą miała na sobie. - Czy może mi pani wyjaśnić, co się dzieje?

- Właśnie dlatego tu jestem. Miałam nadzieję, że pani mi to powie, A właściwie nam, bo moja córka też miała tu być.

Pedagog założyła okulary w grubych oprawkach i przez chwilę wpatrywała się w monitor komputera.

- Prawdopodobnie nie zaliczy dwóch przedmiotów, hiszpańskiego i algebry, z pozostałych jest niewiele lepiej. - Spojrzała na Pescoli znad oprawek okularów. - Ale dzisiaj nie pisała dwóch ważnych klasówek, z historii Stanów i angielskiego.

Pescoli czuła, jak serce podchodzi jej do gardła.

- A będzie mogła napisać je w innym terminie? Twierdzące skinienie głową.

- Jeśli będzie miała sensowne usprawiedliwienie i nauczyciele się zgodzą nie widzę problemu. Naszym zadaniem jest pomóc uczniom wyrosnąć na wartościowych obywateli. - Posłała Pescoli promienny uśmiech, w którym Regan od razu wyczuła nutę fałszu.

- Jeszcze tylko jedno pytanie, z czystej ciekawości. Czy Chris Schultz był dzisiaj w szkole? - zapytała Pescoli.

- Chwileczkę. Zdaje pani sobie sprawę, że to poufne informacje.

- Chris jest chłopakiem mojej córki.

- Wiem, ale...

- Jestem policjantką.

- To też wiem, ale mamy określone zasady dotyczące prywatności naszych uczniów... - Pani Unsel pochyliła się nad klawiaturą, uderzyła kilka klawiszy i westchnęła. Spojrzała na Pescoli. Nic nie powiedziała - nie musiała.

- Dzięki. - Pescoli zaczęła się naprawdę martwić.

Wyszła z gabinetu, szła długim korytarzem pełnym szafek i ławek i wspominała, jak sama nie znosiła szkoły i często chodziła na wagary. Ale nigdy nie pozwoliła sobie na opuszczenie się w nauce, nie zaprzepaściła swoich szans na przyszłość.

A właśnie to robi Bianca.

Przekreśla swoją przyszłość.

Zupełnie jak jej starszy brat.

Na zewnątrz postawiła kołnierz kurtki dla ochrony przed wiatrem i obserwowała grupkę uczniów. Jedni szli do samochodów, inni biegli do sali gimnastycznej, niosąc torby treningowe. Zapadał zmrok. Gęsty śnieg już niemal przysypał ślady opon, które zostawiła, wjeżdżając na parking, a biały puch sypał nadal.

Usiadła za kierownicą, odpaliła silnik, włączyła wycieraczki i napisała esemes do córki.

„Gdzie jesteś?”

Wysłała i czekała.

Nic.

- Do cholery, Bianca! - Nie wytrzymała, gdy telefon nagle rozdzwonił się w jej dłoni. - Pescoli - rzuciła do słuchawki, przekonana, że usłyszy skruszoną córkę.

- Santana - odparł Nate, naśladując jej oschły, rzeczowy ton.

- Och. Cześć. Myślałam, że to moja córka. - Ale jej głos złagodniał. Zachichotał i zaraz zobaczyła go oczami wyobraźni: ostre rysy

i śniada karnacja, dowód, że gdzieś wśród jego przodków zaplątał się Indianin. I oczy, głęboko osadzone, o tak przenikliwym spojrzeniu, że czasami zastanawiała się, czy Nate jest w stanie zajrzeć do środka jej duszy. Z tym że, ma się rozumieć, wcale nie wierzyła w takie romantyczne bzdury.

- Nie jestem rozczarowana, tylko zmartwiona - zaznaczyła. - Znowu była na wagarach.

- Z chłopakiem.

- Na to wygląda.

- Wygląda też na to, że potrzebuje ojca.  
- Lepszego ojca. Nie zapominaj, że ma Lucky'ego.  
- Wie o wszystkim?  
- Jeszcze z nim nie rozmawiałam - przyznała. Przednia szyba, wreszcie odśnieżona, zasnuła się parą.  
- Moglibyśmy zamieszkać razem. Wszyscy - zaproponował. Czują, jak coś w niej mięknie. Kusił ją.  
- Słuchaj, wiesz, co powiem. Póki dzieci nie dorosną...  
- Można by pomyśleć, że rezygnujesz z własnego życia ze względu na dzieci.  
- To się nazywa odpowiedzialne rodzicielstwo.  
- Czyżby?  
- Słuchaj, nie mam dzisiaj nastroju na psychologiczne gierki. Przed chwilą rozmawiałam z pedagogiem szkolnym i powiedzmy, że nie było to zbyt budujące doświadczenie. A teraz muszę odnaleźć córkę.

Milczał. Na chwilę zamknęła oczy.

- Santana, nie rób tego, dobrze? Nie teraz. Później zadzwonię. -Rozłączyła się, zanim zdążył zaprotestować, choć wiedziała, że nie zrobiłby tego. Kiedy wyjeżdżała z parkingu, czuła wewnętrzną pustkę, jakby z własnej woli przekreślała swoje szanse na szczęście.

Może Nate Santana miał rację.

Może powinna zrobić to, na co ma ochotę, a dzieciaki będą musiały się z tym pogodzić i już. A może jednak nie.

Trace przeczuwał, że nic dobrego z tego nie wyniknie, ale mimo to wjechał na parking przed domem Jocelyn Wallis i zaparkował na jednym z nielicznych miejsc dla odwiedzających.

Podczas jazdy dzwonił dwukrotnie, ale nie odbierała. Kątem oka dostrzegł swoje odbicie w lusterku i przeraziło go, jak bardzo jest spięty. Nie podobało mu się, że tu jest; to błąd, czuł to. Podobnie jak czuł, że nie powinien był się z nią wiązać ani na chwilę. To było fatalne, zarówno ze względu na niego, jak i na Elięgo, który, choć nigdy nic nie mówił na ten temat, na pewno dostrzegł podobieństwo Jocelyn Wallis do swojej matki.... Jak to się nazywa? Przeniesienie czy jakoś tak.

Rozglądał się po zaśnieżonym terenie, a okna jego samochodu powoli zachodziły mgłą. W mieszkaniu Jocelyn paliły się światła, w sypialni i saloniku, ale okna zasłaniały zaciągnięte kotary.

Podszedł do drzwi wejściowych, zapukał, odczekał. Nic.

Z mieszkania nie dobiegały odgłosy telewizora, nie słyszał muzyki. Pewnie powinien od razu pójść po dozorcę albo zadzwonić do siostry Jocelyn, ale zdecydował, że skoro już tu jest, równie dobrze może sam zajrzeć do mieszkania. Wiedział, gdzie przechowywała zapasowy klucz -na belce podtrzymującej dach nad gankiem. Wszedł na ławeczkę przy drzwiach i zobaczył kluczyk na gwoździu.

Sięgnął po niego bez namysłu, zeskoczył z ławki, zapukał jeszcze raz i po chwili otworzył drzwi.

Ciepło uderzyło go jak obuchem, ale ledwie przekroczył próg, wyczuł, że jest tu sam. Świadczyła o tym idealna cisza.

- Jocelyn? - zawołał głośno. - Halo? - Wiedział jednak, że to bezcelowe. Szedł z pokoju do pokoju, widział jej torebkę na kuchennym blacie i plecak z książkami i zeszytami na wysokim barowym stołku.

Łóżko było rozścielone, na nocnym stoliku stała pełna do połowy szklanka wody i opakowanie po lekarstwie na gripę dostępnym bez recepty, obok dostrzegł książkę i ładowarkę do komórki. Z kosza na brudną bieliznę przy drzwiach do sypialni wręcz wylewały się ciuchy, na zmierzwionej narzucie leżał pilot do małego telewizora.

Nagle huknęła muzyka.

Przerażony, obrócił się błyskawicznie. W pierwszej chwili myślał, że jednak ktoś jest w domu, zaraz jednak zorientował się, że to zapewne telefon komórkowy. Kierując się dźwiękiem, poszedł do saloniku, zbliżył się do kanapy. Muzyka ucichła nagle, ale zaczął szukać i w końcu znalazł aparat pod krzesłem.

Sprawdził listę nieodebranych połączeń. Pierwszego numeru nie znał, potem widział dwukrotnie swoje nazwisko, szkołę Evergreen, kolejne nazwiska, z których znał tylko część. Przejrzał wiadomości; we wszystkich proszono Jocelyn o kontakt.

- Gdzie ty jesteś, do cholery? - zapytał na głos. Jego słowa niemal niosły się echem w małym mieszkanku. Nie było śladów włamania, wszystko wydawało się w porządku. Telewizor, laptop, nawet drobne na blacie kuchennym - wszystko było na miejscu. Na podłodze, w małej miseczce, powoli wysychało kocie żarcie z puszki.

Wrócił do małego przedpokoju i sprawdził, że jej klucze, do domu i do samochodu, leżą na tacce przy drzwiach. Dziwne.

Wyszła i zapomniała kluczy?

Raczej mało prawdopodobne, zwłaszcza że zasuwana była zamknięta.

Nie ma tu nic więcej do roboty, musi zadzwonić do jej przyjaciółki i powiedzieć, co znalazł - nic. Kolejny krok, jak się domyślał, to zawiadomić rodzinę Jocelyn i chyba policję.

Zamknął drzwi za sobą odłożył klucz na miejsce, wrócił do samochodu i miał szczerą nadzieję, że Jocelyn jest cała i zdrowa.

Choć miał złe przeczucie, że tak nie jest.

Było już po siódmej, gdy Kacey skręciła fordem edge w boczną drogę prowadzącą na farmę dziadków. Od kilku godzin dokuczał jej ból głowy, burczało też w brzuchu.

Zerknęła w lusterko. Samochód, który od jakiegoś czasu za nią jechał, przemknął przodem. Okazało się, że to furgonetka z choinką na dachu. Niezbyt groźna. Chyba że uważa się, że ustawianie choinki przed Świętem Dziękczynienia to przesada. Kacey nie miała wyrobionego zdania na ten temat.

Za furgonetką jechały ciemny pikap, podstawowy w tych okolicach środek transportu, i jasny sedan. Żaden nie wzbudzał podejrzeń, oba pojechały dalej, między wzgórz. Zazwyczaj nie panikowała, czasami jednak zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś poczuje się w pełni bezpieczna. Ilekroć była sama, powracały wspomnienia i obawy.

To tylko twoja wyobraźnia. Znowu. Weź się w garść! Do napaści doszło prawie siedem lat temu. Czy do końca życia zamierzasz co chwila zerkać za siebie? Jesteś tutaj, w Grizzly Falls, a nie w Seattle. Tu jesteś bezpieczna.

Zacisnęła zęby i policzyła do dziesięciu. Reflektory rzuciły snopy światła na prawie pięciocentymetrową warstwę śniegu na ziemi, wyczarowały z ciemności miliony padających płatków.

Jej oczom ukazał się stary wiejski dom, w którym mieszkała i mało brakowało, a uśmiechnęłyby się - w błękitnym świetle lampki awaryjnej dom zdawał się bezpieczny i przytulny. Wzniesiony prawie sto lat temu, miał spadzisty dach, dwie sypialnie i werandę otaczającą cały budynek. W dwóch oknach paliły się światła, w saloniku i gabinecie. Zaprogramowała je tak, by nie wracać do ciemnego domu.

Wcisnęła guzik otwierający drzwi do garażu i otworzyły się leniwie, wpuszczając samochód do środka. Dopilnowała, żeby zamknęły się ponownie, zanim wysiadła z auta. Była ostrożna, o wiele bardziej

niż dawniej, gdy tu dorastała, czy gdy jako studentka śmiało dążyła do sukcesów. Miała świetne stopnie, sportowe stypendium w małym college<sup>^</sup> i była nieustraszona.

Co okazało się powodem jej klęski.

Zabrała torbę z laptopem i wyszła z garażu, Zamknęła za sobą drzwi, szybkim krokiem pokonała niewielką odległość do tylnej werandy, gdzie zawsze paliła się mała lampka. Zostawiała za sobą ślady na śniegu, ale urwały się, gdy weszła na schodki prowadzące na werandę. Otworzyła drzwi, otrzepała buty ze śniegu, weszła do domu i zasunęła za sobą rygiel.

Nieraz zastanawiała się, czy nie wziąć psa, ale nie uśmiechała jej się myśl, że biedak zostawałby sam przez cały dzień, gdy ona pójdzie do pracy. Zdarzało się, że wychodziła przed szóstą rano, a wracała o ósmej wieczorem. A ponieważ mieszkała sama, nie byłoby w porządku zostawiać psa samego na tak długo. Z drugiej strony, mogłaby inaczej zorganizować sobie dzień pracy, mogłaby też znaleźć kogoś, kto wychodziłby z nim na spacer, albo zabierać go do psiego przedszkola w centrum miasta. W każdym razie do tej pory nie zdecydowała się na psa, ale może czas to zmienić?

Rozejrzała się po kuchni, która stanowiła część jej życia, odkąd sięgała pamięcią. Jako dziecko często tu przyjeżdżała, do tego małego domku na farmie dziadków. A na farmie nigdy nie brakowało psów pasterskich i zwyczajnych przybłędów, czasami mieszkały tu nawet trzy jednocześnie, pamiętała je ze spędzanych na farmie wakacji i ferii zimowych. Psy stanowiły nieodłączną część tej ziemi, tego domu.

Później, gdy wyszła za mąż i pracowała na zmiany, na zamianę z mężem, mieli starego teriera bostońskiego, którego odziedziczyła po matce, kiedy ta przeprowadziła się do apartamentu, w którym nie można było trzymać zwierząt. Biało-czarny piesek przeżył z nimi dwa lata, a kiedy odszedł, ich małżeństwo zbliżało się do końca i nigdy nie zadali sobie trudu, by poszukać nowego.

Albo ratować związek.

Zdjęła płaszcz i szalik, odwiesiła je do szafy przy tylnych drzwiach, ściągnęła buty i przy okazji straciła pięć centymetrów wzrostu.

Nalała wody do kubka, wstawiła do mikrofalówki, zajrzała do lodówki i znalazła tam dwa kawałki pizzy, którą kupiła trzy dni temu, i paczkę sałaty.

- Cudownie - mruknęła pod nosem i upomniała się, że jutro już naprawdę musi iść po zakupy. W zastraszającym tempie topniały jej zapasy papieru toaletowego, płynu do zmywania naczyń i kawy.

Mikrofalówka zadzwoniła. Zaparzyła sobie herbatę, zaniósła do sypialni, ukrytej pod spadzistym dachem. Sączyła gorący płyn i zdjęła spodnie i sweter, które miała na sobie od rana. Już sięgała po piżamę, kiedy jej uwagę przykuł strój sportowy - czarne legginsy i stara bluza z długim rękawem.

Może jednak?

Naprawdę?

Mimo bólu głowy?

Ostatnie, na co miała ochotę, to machanie ciężarkami przed telewizorem, choć na którymś kanale na pewno są powtórki *Gotowych na wszystko* i mogłaby sobie pozwolić na grzeszną przyjemność. Tłumaczyła sobie, że bezmyślne oglądanie telewizji pomaga jej się odprężyć, a jeśli przy okazji może poćwiczyć - tym lepiej.

- O cholera - mruknęła pod nosem, ale już sięgała po dresy. Wisiały na wieszaku, na którym je zostawiła.

Wróciła na parter, dopiła herbatę, zjadła pół banana, włączyła telewizor w gabinecie, przytulnym pokoiku, oddzielonym od holu podwójnymi drzwiami. Przy odrobinie wyobraźni nadal czuła tu zapach fajki dziadka i potpourri babki, która liczyła, że mieszanka cynamonu, wanilii i owoców zagłuszy woń tytoniu.

Oczywiście te zapachy nadal tkwiły w jej pamięci, w jej wspomnieniach. Zerknęła na wiadomości, ale uznała, że są zbyt deprymujące. Zmieniła kanał i zaczęła ćwiczyć. Na pamięć znała kombinację i układ. Na ekranie *Gotowe na wszystko* gospodynie domowe na wysokich obcasach, obwieszane biżuterią przeżywały codzienne dramaty, a Kacey wymachiwała ciężarkami, które trzymała w szafce pod telewizorem z płaskim ekranem. Jednocześnie balansowała na treningowej pilce, którą trzymała w szafie.

Tęsknie pomyślała o bieźni, która została w Seattle wskutek rozwodowego podziału majątku. Kiedy się rozstawali, Jeffrey upierał się, że musi zachować całe wyposażenie ich domowej siłowni, a ona była w tak fatalnym stanie emocjonalnym, że nie miała siły, by kłócić się o coś tak mało istotnego. Chciała zacząć nowe życie z dala od niego.

A teraz, w środku zimy, gdy o bieganiu na dworze nie mogło być mowy, bardzo żałowała, że nie ma tu bieźni i jest skazana na taśmę treningową z lat dziewięćdziesiątych.

Dokończyła trening i nawet się trochę spociła. Serial się skończył, sięgała już po pilota, by wyłączyć telewizor, gdy na ekranie pojawił się

zwiastun programu informacyjnego w którym omawiano najnowsze wiadomości ze świata show biznesu, i Kacey patrzyła na uśmiechniętą twarz Shelly Bonaventure, a dziennikarka zapowiadała radośnie:

- A teraz najnowsze doniesienia na temat śmierci Shelly Bonaventure. - Zaczęło się od serii zdjęć przedstawiających życie Shelly, od dzieciństwa po lata w Hollywood, i choć Kacey wcale się to nie podobało, musiała przyznać, że Heather miała rację - Shelly naprawdę była do niej podobna. Spikerka pobieżnie przedstawiła życie aktorki i wspomniała, że pierwsze pięć lat życia spędziła w Helenie, w stanie Montana, zanim jej rodzina przeniosła się do Kalifornii Południowej.

- Hm. - A więc aktorka z filmów średniej klasy urodziła się w tym samym mieście co Kacey i też pochodziła z Montany. Mało przekonujący zbieg okoliczności. To, że pochodzą z tej samej okolicy i są do siebie trochę podobne, jeszcze o niczym nie świadczy. No dobra, to trochę dziwne, może nawet więcej niż trochę, ale to jednak tylko zbieg okoliczności.

- I choć sprawę uznano za samobójstwo, jeden z miejscowych policjantów nie przyjmuje tego do wiadomości - ciągnęła dziennikarka. Na ekranie pojawił się przystojny ciemnoskóry mężczyzna w eleganckim garniturze i okularach przeciwsłonecznych. Stał na dworze, z palmami za plecami. Spikerka mówiła dalej: - Detektyw Jonas Hayes służy w miejscowej policji od piętnastu lat.

Na ekranie oprócz policjanta pojawiła się dziennikarka.

- Detektywie Hayes, jakiś komentarz co do uznania śmierci Shelly Bonaventure za samobójstwo?

Hayes zmarszczył brwi.

- Nie.

- Wiemy z pewnego źródła, że nie wierzy pan w jej samobójstwo.

- Bez komentarza.

- Ale detektywie Hayes! - Dziennikarka nie dawała za wygraną, biegła za wysokim policjantem, który szedł w stronę parkingu pełnego samochodów. - Czy możliwe, że Shelly Bonaventure została zamordowana?

Kacey widziała, jak nagle zeszywniały jego szerokie ramiona opięte drogim materiałem marynarki. Odwrócił się powoli, przesywając dziennikarkę przenikliwym spojrzeniem zza ciemnych szkieł okularów. Wycedził powoli:



- Dochodzenie w sprawie śmierci Shelly Bonaventure zostanie zamknięte dopiero wtedy, gdy poznamy wszystkie fakty. Zawsze w ten sam sposób prowadzimy nasze sprawy.

- A zatem nie wyklucza pan udziału osób trzecich? - Dziennikarka podchwyciła trop.

Hayes wcisnął przycisk na breloczku samochodu i wzruszył ramionami.

- A czy kiedykolwiek można go wykluczyć? - rzucił retorycznie i wsiadł do samochodu.

Ostatnie ujęcie przedstawiało niknące światła jego samochodu, gdy wtopił się w sznur pojazdów w Kalifornii Południowej, a na ekranie ponownie pojawiła się prowadząca.

- A zatem nic nowego - podsumowała jasnowłosa dziennikarka. - Jak wiadomo, Shelly znaleziono w okolicznościach bardzo podobnych do tych, w jakich pół wieku temu zginęła Marilyn Monroe. Doprawdy zadziwiające podobieństwa. - Ekran wypełniło biało-czarne zdjęcie Monroe, które zaraz przeszło w kolekcję fotografii zmarłej ikony filmu, a na zakończenie pokazano zdjęcie z miejsca jej śmierci, sypialni w domu w Brentwood.

- Brukowa telewizja - mruknęła Kacey, mając na myśli sensacyjny wydzwięk reportażu.

A jednak, zapewne właśnie z tego powodu, przeszył ją dreszcz i niespokojnie spojrzała w okno, w ciemność.

Przypomniała sobie własną rozpacz i strach, paraliżujące przerażenie w chwili, gdy jej życie było w niebezpieczeństwie, gdy była pewna, że zaraz umrze, gdy stanęła oko w oko ze złem.

Przez jedną koszmarną chwilę przypomniała sobie ostatnie słowa wypowiedziane przez mężczyznę, który chciał wbić jej nóż w serce. Wzdrygnęła się, cały czas słysząc to, co powiedział, zataczając się i uciekając:

To nie koniec... jesteś jedną z nich.

To oczywiście nic nie znaczyło, ot, bełkot psychopaty, którego obłąd nie wiadomo dlaczego skoncentrował się na niej. Nie myśl o tym. To już koniec!

Odepchnęła te wspomnienia od siebie i skoncentrowała się na ekranie telewizora.

Prowadząca program, blondynka, która wydawała się żywą wersją lalki Barbie, wymieniła filmy, w których wystąpiła Shelly, jej

domniemanych kochanków i podkreślała co chwila, że choć oficjalnie uznano jej śmierć za samobójstwo, policjanci z LAPD nie wykluczają udziału osób trzecich.

Z błyszczącymi ustami i nieskazitelną fryzurą dziennikarka rozważała teorię zabójstwa ze swoim gościem, młodym, przystojnym mężczyzną w ciemnym garniturze i sterczącymi włosami.

Kacey wyłączyła telewizor.

Zaczęła się rozbierać w drodze do łazienki i była już naga, gdy weszła do małego pomieszczenia. Odkręciła wodę, włączyła radio i weszła do staroświeckiej wanny na nóżkach w kształcie lwich łap. Zaciągnęła zasłonę prysznicową.

Strumienie gorącej wody obmywały jej skórę, czuła, jak wypłukują napięcie z mięśni, namydliła się, nuciła pod nosem piosenkę Katy Perry i starała się nie myśleć o Trasie O'Halloranie. Ilekroć miała wolną chwilę, stawał jej przed oczami, choć w dniu pełnym pacjentów, w środku sezonu grypowego, nie pozostawało wiele czasu na zadumę.

A jednak w tych nielicznych chwilach przyłapywała się na tym, że myśli o nim, o matce Eliego, o nieznajomej panie Wallis, jego „dziewczynie”, jeśli wierzyć małemu.

- Daruj sobie - powiedziała na głos i zakręciła kran. Nawet nie był w jej typie. Nigdy nie kręcili jej samce alfa w spranych dżinsach i grubych swetrach, którym przydałaby się maszynka do golenia.

Tak? I co ci niby z tego przyszło? Pamiętasz eleganckiego, wyrafinowanego Jeffrey'a Charlesa Lamberta, kardiochirurga, dla którego straciłaś głowę? Co, może on był bardziej w twoim typie? I nie najlepiej się to skończyło, co? Spójrzmy prawdzie w oczy, Acacio, jeśli chodzi o facetów, masz naprawdę fatalny bilans.

- Och, dość już tego - mruknęła pod nosem, zniesmaczona takim obrotem myśli. Może po prostu zbyt często snuje w samotności jałowe rozważania. To chyba odpowiednia chwila, by ponownie przemyśleć sprawę psa.

No dobrze, więc O'Halleran to najprzystojniejszy kowboj, jakiego kiedykolwiek poznała. No dobrze, wygląda na to, że bardzo dba o synka. No dobrze, jej zegar biologiczny oszalał, bije tak, że na wszelki wypadek omijała szerokim łukiem oddział położniczy w szpitalu. No i co z tego?

Stare rury zaskrzypiały. W radiu paplał prowadzący, ale wydawało jej się, że usłyszała coś, czego nie powinna. Wzięła ręcznik, owinęła się nim, wyszła z wanny i nasłuchiwała czujnie.

Nic.

Czyżby w domu ktoś był?

A może to tylko jej wyobraźnia?

Ciągle ociekając wodą, z sercem w gardle, wytarła się szybko, zdjęła szlafrok z haczyka na drzwiach łazienki, wsunęła ręce w miękkie rękawy i nasłuchiwała przez cały czas. Nic. Zawiązała pasek w talii i ostrożnie wyszła na korytarz.

Wszystko wydawało się w porządku.

Trzaaask.

Serce podeszło jej do gardła. Cichutko skradała się korytarzem w stronę, z której dobiegał odgłos. To nic takiego... A jednak okryła się gęsią skórą, jakby ostrzegawczo. Wyrzała zza rogu i zobaczyła wszystko tak samo, jak kilkanaście minut wcześniej, zanim stamtąd wyszła. Piłka do ćwiczeń nadal leżała na środku pokoju, obok niej, na dywanie - pilot do telewizora.

Wyszła zza rogu, szła do kuchni, gdy dźwięk rozległ się bardzo blisko. Odwróciła się gwałtownie, w panice przeczesując wzrokiem ciemny pokój, z sercem na ramieniu.

Trzaaask! O szybę starego okna. Mało nie krzyknęła, widząc szkie-letowate palce pukające w okno.

- O Boże! - odskoczyła, czując, jak w jej gardle narasta krzyk -i nagle zorientowała się, co to jest - bezlistna gałąź krzaka rosnącego pod oknem po wschodniej stronie domu.

Osunęła się ciężko na kuchenny stołek. Więc jednak wybujała wyobraźnia i ukryte lęki wzięły górę nad rozsądkiem. Jest lekarką, kobietą wykształconą, szkoloną by zachować spokój w sytuacji kryzysowej, a wystarczyła jedna głupia gałąź, by niemal pobiegła po dziadkową dubeltówkę.

- Weź się w garść - powiedziała sobie. Czowała się jak idiotka. - To śmieszne.

Uspokoila się trochę, wyjęła pizzę z lodówki, podgrzała w mikrofalówce, przesypała sałatę do miski, naląła sobie czerwonego wina z butelki, którą otworzyła trzy dni temu, zaniósła to wszystko do gabinetu, włączyła telewizor i powtarzała sobie, że jej życie jest dokładnie takie, jakiego pragnęła, gdy rozstała się z Jeffreyem.

Wyrzała w ciemność za oknem.

Nikt nie czaił się w mroku, poza polem jej widzenia.

Była tu bezpieczna. Nareszcie w domu.

Tak przynajmniej sobie mówiła, opuszczając wszystkie żaluzje. Nie chciała patrzeć w okna zasnuwane mrozem.

Ale w głębi serca, w najgłębszym, najbardziej posępnym zakamarku duszy wiedziała, że tak naprawdę uciekła. Nie tylko od niewiernego męża, lekarza z kompleksem Boga, ale też od przeszłości i tej nocy, o której starała się zapomnieć.

Problem w tym, że nie zdołała uciec.

Gdziekolwiek była, wspomnienie tamtej nocy towarzyszyło jej na każdym roku, warczało, kąsało po łydkach, ból i strach nie dawały o sobie zapomnieć.

Ukryty w zaroślach, ustawił ostrość lornetki tak, że wyraźnie widział stary dom, jednak i to nie pomogło, wszystko zasłaniał gęsto padający śnieg. Owszem, widział ją w gabinecie i w kuchni, na kilka minut zapaliło się też światło w łazience, ale jej postać była niewyraźna, a twarz właściwie zupełnie niewidoczna, a gdy zaciągnęła zasłony, już zupełnie niczego nie widział.

Oczywiście pozostawał jeszcze przekaz audio, sprytnie poukrywał w jej domu miniaturowe mikrofony, w miejscach, które nigdy nie przyjdą jej do głowy, ale nie udało mu się zainstalować żadnej kamery i to nie dawało mu spokoju, bo z największą przyjemnością obserwowałby ją z oddali, dowiadywał się o niej coraz więcej, odkrywał, jak wygląda jej dzień, co tak naprawdę dodaje jej sił.

Zdawał sobie sprawę, że jego fascynacja graniczyła z obsesją gdy tak stał w kępie drzew na skraju pola niedaleko jej domu, ale nie mógł się opanować.

Była wyjątkowa; ze wszystkich uzurpaterek właśnie ona była najgroźniejsza. Mądra i piękna, Acacia Collins Lambert, ni mniej, ni więcej, doktor nauk medycznych.

Schował lornetkę do futerału i odszedł tą samą drogą którą przyszedł, przez pobliski las do bocznej drogi, którą przyjechał, gdy śledził ją po wyjściu z przychodni. Powtarzał sobie, że musi być cierpliwy i brnął w coraz głębszym śniegu.

Już niedługo.

## Rozdział 7

Masz szlaban - syknęła Pescoli do córki, ledwie Bianca wślizgnęła się do domu.

- Ale dlaczego? - Bianca szła do siebie. Cisco, który do tej pory smacznie spał na poduszce na kanapie, zeskoczył na podłogę i radośnie machał ogonem.

- Chyba żartujesz. - Pescoli miała tego po dziurki w nosie. - Byłaś na wagarach.

- Mówiłam ci, że siem kiepsko czuję.

- Się.

- Nieważne. - Bianca zębami ściągnęła rękawiczki, łaskawie poklepała psiaka po łebku i od razu podeszła do lodówki. Rzuciła rękawiczki na stolik, obok sterty listów, otworzyła lodówkę, zajrzała do środka. - Nie ma nic do picia?

Pescoli poszła za nią i otwartą dłonią zatrzasnęła drzwiczki lodówki.

- Ej, uważaj! - Bianca odskoczyła i odwróciła się do matki. Była blada, miała sińce pod oczami. Ściągnęła czapkę i cisnęła na stolik obok rękawiczek. - O co ci chodzi?

- O to samo chciałam cię zapytać.

- Powiedziałaś przecież, że jestem chora. Jezu! - Patrzyła na matkę takim wzrokiem, jakby Pescoli była głupia jak but i co najmniej równie interesująca.

- Nie zadzwoniłaś do mnie, nie wróciłaś do domu.

- Byłam u Chrisa.

- Zamiast w szkole? - Pescoli cofnęła się. Bianca znowu miała dostęp do lodówki.

- Źle się czułam. - Wyjęła puszkę dietetycznej pepsi, otworzyła Sssyk.

- Kiedy się źle czujesz, powinnaś zgodnie z zasadami zadzwonić do mnie i powiedzieć, że albo: a - podniosła palec - musisz wracać do domu, albo, b - podniosła drugi palec - iść do lekarza. Innej opcji nie ma.

- Mogłabym też zadzwonić do ojca. - Bianca upiła łyk z puszki.

- A zrobiłaś to?

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Chyba dlatego że nie jest to jedna z opcji. - Kolejny łyk.

- Podobnie jak to, co zrobiłaś, czyli przesiadywanie w domu twojego chłopaka. Jego rodzice byli w domu?

- Nie no, skądże. Byli w pracy.

- No właśnie.

- Przecież nie potrzebuję niańki.

- Nie byłabym taka pewna - mruknęła Pescoli. - Co właściwie robiliście?

Córka ściągnęła brwi.

- Nic. A co ty myślałaś? Och, już wiem. Myślałaś, że uprawialiśmy seks czy coś takiego.

Żołądek Pescoli fuknął salto.

- Tak, myślę, że kiedy spędzasz z chłopakiem sama kilka godzin, kiedy kłamiesz wszystkim na temat tego, gdzie jesteś, mogę pomyśleć, że pakujesz się w niezłe kłopoty! - Słyszała oskarżycielskie nuty w swoim głosie i wzięła się w garść. - No dobrze... posłuchaj, powiedz mi po prostu, co robiliście? Tak, wiem, byliście razem, ale uściślijmy, co to właściwie znaczy.

- Oglądaliśmy telewizję, graliśmy w gry wideo, pożyczyliśmy film... Nic szczególnego.

- Poza tym, że mieliście być w szkole - dokończyła Pescoli cichym, surowym tonem. - Owszem, to poważna sprawa, Bianco. Bardzo poważna. Nie wiem, co cię łączy z Chrisem, ale wiem jedno - nieważne, co to jest, nie warto w imię tego urywać się ze szkoły i opuszczać w nauce.

- Przesadzasz! My tylko oglądaliśmy filmy! - Chciała wyjść z kuchni, naburmuszona, jakby ją obrażono. Pescoli złapała ją za łokieć i odwróciła siłą.

Patrząc jej prosto w oczy, wycedziła piętnastolatce w twarz:

- Bianca, nie rozmawiamy teraz o mnie, nie odwracaj kota ogonem. Tu chodzi o ciebie, twoje zachowanie, konsekwencje i, byłabym zapomniała, resztę twojego życia. Bo wydaje się, że bardzo ci zależy, żeby ją spieprzyć.

- Daj mi spokój!

- Nie, jeszcze przez kilka lat ci nie dam. Bianca wyrwała rękę.

- Wiesz co? Mogłabym zadzwonić na telefon zaufania! Nie wolno ci podnosić na mnie ręki!

- Chris ci to powiedział?

- Nie wolno ci!

Pescoli podeszła do telefonu, podniosła słuchawkę, przysunęła córce do ucha.

- Proszę bardzo, dzwoń. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Jeśli ci uwierzą, zabiorą cię stąd, i dokąd pójdziesz? Do ojca? Czy do rodziny zastępczej? Tego chcesz?

- Być może!

- W takim razie, proszę, dzwoń - rzuciła Pescoli mimo bólu w sercu. Bianca zerknęła na telefon i przez moment Regan obawiała się, że córka przejrzała ją na wylot i wie, że blefuje. I przez kolejną chwilę wcale jej to nie obchodziło. Piętnastolatka nie będzie jej przecież straszyć szantażem emocjonalnym. Sama podała Biance słuchawkę.

- Oni... nikt mi nie uwierzy! - Bianca zacięła się. - Jesteś policjantką! Wszystko wykręcisz na swoją korzyść! - Cisnęła słuchawkę na widełki i tym razem wyszła z pokoju, prosto do siebie.

- Trzaśnij drzwiami, a zdejmę je z zawiasów! Mówię poważnie, Bianco!

Trzask! Dom zatrzęsł się w posadach. Cisco zapiszczał.

- A niech mnie - mruknęła pod nosem, odłożyła słuchawkę i poszła do garażu. Znalazła starą ponaddwudziestoletnią skrzynkę z narzędziami Joe i zabrała do domu.

Drzwi frontowe otworzyły się i do domu wszedł jej syn w całej swojej prawie dwumetrowej okazałości, w towarzystwie podmuchów wiatru i Cisco znowu oszalał. Piesek szczekał i kręcił się szaleńczo dokoła własnej osi.

- Cześć, Cis. - Jeremy pochylił się i podniósł rozanielonego psa dłońmi w rękawiczkach. Cisco mimo jedenastu lat sądził ciągle, że jest szczeniakiem i z radości polizał Jeremy'ego po twarzy. - Co na kolację?

- Jeszcze nie wiem - odparła Pescoli.

- A co tu robią narzędzia taty?

- Miałam właśnie zdjąć twojej siostrze drzwi z zawiasów.

- Rany, mamó, nie rób tego. - Postawił psa na ziemi, ściągnął rękawice, wepchnął je do kieszeni puchowej kamizelki.

- Dlaczego nie?

- Kiepski pomysł.

- Trzaska nimi tak głośno, że i tak z trudem trzymają się we framudze.

Ściągnął czapkę z głowy i naelektryzowane włosy otoczyły jego twarz aureolą dodając mu parę centymetrów i sprawiając, że wydawał się jeszcze bardziej zaskoczony.

- Mógłbyś mi pomóc.

- Nie, nie wtrącam się w wasze awantury.

- A co ty tu właściwie robisz? Nie powinieneś być w pracy? Nagle speszony, zajął się wygładzaniem włosów. Starannie unikał jej wzroku.

- Co się stało? Zawahał się.

- No dobra, zwolnili mnie. Serce stanęło jej w piersi.

- Dlaczego?

Wzruszył szerokimi ramionami.

- Sam nie wiem. Przez kryzys. Chyba.

- Chyba? - Nie, nie teraz, jeszcze tylko tego jej brakowało.

Jeremy westchnął ciężko i opadł na kanapę. Stare sprężyny zajęczały. Cisco wgramolił mu się na kolana i Jeremy odruchowo pogłaskał go po łebku.

- Wylali mnie - przyznał.

- Wylali - powtórzyła spokojnie.

- Lou twierdzi, że podkradałem pieniądze z kasy. Że bilans się nie zgadza. - Miał schyloną głowę, ale spojrzał na nią spode łba. - Przysięgam na wszystko, mam, to nie ja. - Grdyka wędrowała mu po szyi, zacisnął duże dłonie na kolanach w nogawkach dżinsów.

- Powiedziałeś to Lou?

- I to ze sto razy! Wiesz co? Myślę, że to albo Manuel, albo sam Lou. Może w ten sposób ratuje własny tyłek. Manuel to porządny chłopak, uczciwy, ale o Lou też tak myślałem. Cholera! - Zacisnął zęby. - Jak mogło do tego dojść?

Serce waliło jej jak młotem, gniew mieszał się ze strachem.

- Nie wiem, Jer, ale musisz to załatwić. Dowiedz się, co się stało. Jeśli to nie ty....

- Jeśli? Naprawdę? Nie wierzysz mi? - Był zaskoczony i urażony. Zacisnął usta w wąską linię. - No wiesz, mam? - Uderzył pięścią w oparcie kanapy i oznajmił z przekonaniem: - Nie jestem złodziejem! Ktoś mnie wrabia!



- Nie dałeś mi dokończyć, Jer. Chciałam powiedzieć, że jeśli tego nie zrobiłeś, musisz się dowiedzieć, kto to. Udowodnić mu winę. To chyba nie jest aż takie trudne? Na stacji są kamery i dowody wszystkich transakcji.

- Oszalałaś? Myślisz, że pozwolą mi to przejrzeć?

- Będą musieli, jeśli ich pozwiesz. Twój prawnik...

- Nie mam prawnika i nie stać mnie na niego. Zejdź na ziemię! -Odwrócił się w stronę schodów.

- Dokąd idziesz?

- Do siebie.

- Wyprowadziłeś się, zapomniałeś już?

- To nadal jest mój pokój. - Na schodach rozległy się jego kroki.

- Chciałam sobie tam urządzić pokój do szycia.

- Przecież ty nie szyjesz! - zawołał przez ramię. Trzasnął drzwiami, choć bez pasji i oburzenia Bianki.

- Jestem beznadziejną matką - poinformowała psa. - Totalnie, całkowicie beznadziejną.

Otworzyła skrzynkę z narzędziami i zaczęła szukać śrubokrętu, którym mogłaby wykręcić zawiasy we framudze pokoju Bianki. Odkładała na bok rzadko używane nożyce do metalu, obcęgi i kombinerki i w końcu znalazła wielki śrubokręt, którym podważała puszki z farbami, o czym świadczyły kolorowe plamy, i przymierzała się do ataku na drzwi, gdy rozdzwonił się jej telefon.

- Pescoli - rzuciła.

- Alvarez - odparła partnerka. - Przyjeżdżaj pod urwisko Boxer Bluff. Wygląda na to, że jakaś biegaczka poślizgnęła się i spadła. Nie miała przy sobie żadnych dokumentów.

- Nie żyje?

- Prawie. Reanimują ją. Prawdopodobnie to wypadek. Strasznie tu ślisko.

- Mało ci pracy z tym, co już mamy? - burknęła Pescoli. - To jeszcze nawet nie trup, a co dopiero zabójstwo.

- Hm... jeszcze.

- Cóż, lepsze to niż to, co dzieje się tutaj - przyznała. - Już jadę. - Pescoli rzuciła śrubokręt do skrzynki i rozłączyła się. - Bianca, co się odwlecze, to nie uciecze. Ja tu wrócę. - Wyjątkowo nie siliła się na żalowaną imitację głosu Arnolda Schwarzeneggera.

Czuła, że dzisiaj jej wysiłki nie spotkają się z aprobatą.

Cisco towarzyszył jej do drzwi.

- Nie teraz - powiedziała do niego, zapięła ocieplaną kurtkę, założyła buty. Poklepała go po kudłatym łebku. - Dzisiaj ty tu rządzisz. -Energicznie zamerdał ogonkiem. A Pescoli poszła do garażu, gdzie na jej dziupie jeszcze nie do końca stopniał śnieg.

Otworzyła drzwi, usiadła za kierownicą i wycofała samochód. Jeremy parkował tam gdzie zawsze, jakby w ogóle się nie wyprowadził. Z jednej strony chciała, żeby wrócił do domu, ale wiedziała, że to emocjonalna reakcja matki. Miała dość rozumu w głowie, widziała, jak jej znajome pozwalały dzieciom wyprowadzać się i wracać do domu.

To nie dla niej.

Młody musi zacząć podejmować dorosłe decyzje.

Odpaliła silnik, wcisnęła przycisk pilota i patrzyła, jak drzwi do garażu się zamykają.

Jak do tego doszło? Dlaczego wiecznie kłóci się z dziećmi, dlaczego oboje z maniackim uporem dokonują niewłaściwych wyborów? Rok temu, gdy porwał ją szaleniec, gdy myślała, że już nigdy ich nie zobaczy, przysięgała sobie, że im to wynagrodzi, że albo rzuci pracę, albo zmieni sposób postępowania, nie będzie siedziała w pracy po godzinach, a rodzina będzie dla niej najważniejsza. Dzieci także obiecywały, że się zmienią że będą grzeczne i dobre, zaczną się uczyć i nie będą jej martwić.

Wszystkie noworoczne postanowienia poszły w zapomnienie w okolicach walentynek i wszystko potoczyło się starym torem.

Może jednak popełniła błąd, nie zamieszkując z Santaną. Może Jeremy'emu i Bianca dobrze zrobi silny męski wzorzec.

- Nigdy nie jest za późno - powiedziała sobie. Najwyraźniej sama już sobie nie radziła.

Na przedmieściach, w blasku neonów, zmusiła się, by chwilowo nie myśleć o własnych problemach, zapomnieć o dzieciach i skoncentrować się na tym, co zaraz zobaczy.

Na szczycie Boxer Bluff stały już wozy policyjne i karetka pogotowia, kolorowe światła przecinały ciemność czerwono-niebieskimi snopami. Na miejscu wypadku uwijali się policjanci i strażacy. Alvarez, w przydziałowej policyjnej kurtce, stała przy niskim murku i rozmawiała z funkcjonariuszem.

Pescoli zaparkowała na skraju parku i patrzyła, jak sanitariusze niosą nosze z nieprzytomną kobietą. Nieco dalej stała grupka około piętnastu gapiów, wszyscy wyęźali wzrok i komentowali coś cicho.

Wóz transmisyjny i ekipa kamerzystów śledziła każdy ruch medyków, którzy nieśli ranną.

Pescoli machnęła identyfikatorem przed nosem funkcjonariusza, który, zdaje się, pilnował miejsca zdarzenia.

- Co jest? - zapytała partnerkę.

- Żyje, ale ledwo. Wygląda na to, że biegała i albo się poślizgnęła, albo potknęła i wypadła za ogrodzenie. - Alvarez wskazała wzruszony śnieg na kamiennym murku, wysokim na niecały metr, zbudowanym ponad sto lat temu.

Poświeciła latarką na zgnieciony śnieg i dalej, w dół urwiska.

- Upadła na półkę skalną i jakimś cudem nie poleciała dalej, do rzeki. Cud, że w ogóle żyje. - Światło latarki błąkało się po zboczu.

- Przytomna?

- Nie. Nie wiadomo, ile tam leżała ani jak poważne odniosła obrażenia, ani czy przeżyje. - Alvarez zmarszczyła brwi i przeniosła snop światła na ścieżkę. - Za dużo odcisków, za dużo śniegu. Nie sposób ustalić, czy była sama.

- Nie mamy nazwiska? Samochodu?

- Jej bieg się tutaj zakończył, nie zaczął.

- A twoim zdaniem to coś więcej niż wypadek.

- Nie wiem. - Ale Alvarez wyraźnie coś trapiło. Wpatrywała się w zdeptaną ścieżkę. - Chłopcy z kryminalistyki robią co mogą starają się wyodrębnić jej ślady, szukają też innych odcisków.

- Miała przy sobie coś, dzięki czemu moglibyśmy ustalić jej tożsamość?

- Tylko klucze i iPod. Żadnej komórki, nic.

- Może się po prostu potknęła.

- Może. - Oddech Alvarez był białym obłoczkiem na zimnym powietrzu.

- Żadnych świadków?

Alvarez przecząco pokręciła głową.

- Kto ją znalazł? Błagam, tylko nie mów, że Ivor Hicks albo Grace Perchant. - Wymieniła dwoje mieszkańców Grizzly Falls, którzy mieli zadziwiającą łatwość do pakowania się w kłopoty. Ivor zaklinał się, że przed laty porwali go kosmici, a Grace Perchant twierdziła, że kontaktuje się z duchami. Pescoli nie wierzyła żadnemu z nich.

- Nie - odparła Alvarez. - Iris Fenton, wybrała się na spacer. - Wskazała kobietę otuloną puchową kurtką. Miała też rękawiczki

i czerwoną czapkę, spod której wysypały się siwe loki. - Mieszka po drugiej stronie parku z chorym mężem. Już ją sprawdziłam.

Pescoli skinęła głową.

Alvarez zerknęła na odjeżdżającą karetkę.

- Miejmy nadzieję, że odzyska przytomność i powie nam, że straszna z niej niezdara. - Spojrzała na murek, strome zbocze i rzekę, kotłującą się na dnie wąwozu.

- Fatalne miejsce, żeby poślizgnąć się tak nieszczęśliwie, że wypadasz za murek akurat tutaj, na szczycie, gdy krawędź urwiska jest tak blisko. Kilka lat temu osunęła się część zbocza. - Poświeciła latarką, podkreślając swoje słowa. Po obu stronach od miejsca, gdzie doszło do wypadku, było więcej krzaków, tylko w tym miejscu straszyla otchłań. - Trzeba mieć nie lada pecha.

- W takim razie gdzie chłopcy z kryminalistyki? Skinęła głową.

- Dzwoniłam do wydziału poszukiwań osób zaginionych. Może tym sposobem dowiemy się, kto to. A tymczasem chciałabym pojechać do szpitala i pogadać z lekarzem, który ją badał, dowiedzieć się, czy obrażenia pasują do wersji wypadku.

- W który nie wierzysz.

- Przysięgli jeszcze obradują - mruknęła Alvarez i sięgnęła do kieszeni po kluczyki. - Jedziesz ze mną?

- Spotkamy się na miejscu.

## Rozdział 8

Wczesnym rankiem następnego dnia Trace wyjrzał przez okno i zobaczył monotonnie padający śnieg. Gromadził się przy słupkach ogrodzenia, zasypał werandę od frontu.

Eli nadal spał, miał za sobą ciężką noc, co kilka godzin budził go ból w uszkodzonej rączce i uporczywy kaszel. W końcu koło trzeciej nad ranem Trace zniósł go na dół i we trzech, z Sarge'em drzemiącym przy kominku, spędzili noc na rozkładanej kanapie. O piątej trzydzieści Trace wstał, wypuścił psa na dwór, a gdy Sarge załatwił swoje sprawy, sam włączył wodę na kawę i sięgnął po pilota do telewizora, żeby poznać prognozę pogody.

Pierwsze, co zobaczył, to dziennikarka w niebieskiej kurtce z kapturem obsypanym śniegiem i mikrofonem w dłoni, przy wejściu do par-

ku na Boxer Bluff. Za jej plecami widniały wozy policyjne, strażackie i karetki pogotowia, migały światłami w ciemności, barwiły padający śnieg. Mówiła coś do kamery, ale nie słyszał ani słowa.

Ponownie sięgnął po pilota i zwiększył głośność.

Zaledwie godzinę temu znaleziono nieprzytomną biegaczkę na skalnym występie, niemal pięćdziesiąt metrów poniżej skraju urwiska.

Kamera odsunęła się i w kadrze zobaczył strome zbocze wąwozu. Nad spienioną wodą rzeczywiście wystawała wąska skalna półka, nad którą zawisł ratownik górski w specjalistycznej uprząży. Na półce dało się dostrzec wiele odcisków stóp, a także, jak się domyślał, zarys ciała biegaczki, dopóki jej nie zabrano.

- Jak państwo widzą, kobieta miała wielkie szczęście - ciągnęła dziennikarka. - Gdyby zsunęła się z półki, runęłaby do rzeki. - Zbliżenie na wodospad Grizzly Falls, białą spienioną wodę, mknącą bystro pod stuletni most i dalej, w stronę miasteczka.

W obiektywie znowu znalazła się dziennikarka.

- Nia Del Ray - przedstawiła się i oddała głos do studia, w którym siedziało dwoje prowadzących. Jasnowłosa redaktorka wyjaśniła:

- Ten materiał nakręciliśmy wczoraj wieczorem, według najnowszych wiadomości ze szpitala stan kobiety nadal jest krytyczny, nadal też nie ustalono jej tożsamości.

Trace wpatrywał się w ekran i czuł, jak wraca złe przeczucie, które nie dawało mu spokoju w mieszkaniu Jocelyn. Nie zastanawiał się, która godzina, sięgnął po telefon i zadzwonił do Eda Zukova. Potrzebował pomocy sąsiada; ktoś musiał przez kilka godzin zaopiekować się jego synkiem. Nie chciał, by Jocelyn Wallis okazała się anonimową biegaczką która straciła równowagę i być może życie na Boxer Bluff, ale musiał się tego dowiedzieć.

Telefon Pescoli rozdzwonił się tuż przy jej uchu.

Z jękiem przewróciła się na bok, po omacku znalazła diabelskie urządzenie na szafce nocnej i przy okazji straciła na podłogę okulary do czytania.

- Super - mruknęła, zapaliła nocną lampkę i rzuciła do telefonu: - Pescoli.

- Przyjeżdżaj - powiedziała Alvarez. Pescoli zerknęła na zegarek. Czerwone cyferki wskazywały 5:57.

- Dokąd? Na posterunek? Jezu, Alvarez, jeszcze nie ma nawet szóstej. O której ty wstajesz, do cholery? - Jak można być tak przytomną i rześką o tej porze?

- Tak, na posterunek. Chyba wiem, kim jest nasza Jane Doe.

- Daj mi pół godziny. - Pescoli wygramoliła się z łóżka, poczłapała do łazienki, ściągnęła z siebie koszulkę z logo drużyny Montana Grizzlies i weszła pod zdecydowanie za zimny prysznic.

Dwadzieścia osiem minut później weszła na posterunek tylnymi drzwiami. Nie zwracała uwagi na burczenie w brzuchu ani na roztańczone płatki śniegu, które Joelle umieściła w oknach, otrzepała buty ze śniegu i skierowała się prosto do gabinetu Alvarez. Jej partnerka była pogrążona w rozmowie z wysokim mężczyzną w rozpiętym polarze, spranych dżinsach, koszuli roboczej, z kilkudniowym ciemnym zarostem. Siedział na krześle dla gości, ale na jej widok zerwał się na równe nogi.

Alvarez podniosła wzrok.

- To moja partnerka, detektyw Pescoli, a to - ruchem głowy wskazała mężczyznę - Trace O'Halleran. Twierdzi, że wie, kim jest nasza Jane Doe.

O'Halleran zacisnął usta w wąską linię. Podał rękę Pescoli.

- Po prostu uważam, że to coś więcej niż zbieg okoliczności, że moja znajoma znika bez śladu mniej więcej w tym samym czasie. Co więcej, ona też biega. Byłem u niej wczoraj, bo dowiedziałem się, że nie przysłała do pracy.

Alvarez wskazała mu krzesło i słuchała jego opowieści. Kilka razy umówił się z Jocelyn Wallis, nauczycielką którą poznał w szkole podstawowej Evergreen, bo uczyła jego synka, na randkę, ale ich związek zakończył się, zanim się jeszcze na dobre rozpoczął. Aż wczoraj niespodziewanie zadzwoniła jej przyjaciółka, też pracownica szkoły, od której dowiedział się, że Wallis nie przysłała do pracy. Widział, że do niego dzwoniła, ale nie zostawiła żadnej wiadomości, więc pojechał do jej mieszkania, rozejrzał się w środku - wszedł, bo wiedział, gdzie trzyma zapasowy klucz - i niczego nie znalazł. Jej torebka i samochód były w domu, podobnie jak telefon. Zdziwiło go to, bo to do niej niepodobne. Z tego, co wiedział, Jocelyn Wallis jeszcze nigdy nie opuściła ani jednego dnia pracy.

- A potem oglądałem poranne wiadomości - zakończył. - O tej kobiecie, którą znaleziono pod urwiskiem... Jocelyn tamtędy biega. Więc przyszedłem.

Pescoli obserwowała go uważnie. Wydawał się szczery, przejęty i zmartwiony. Zaciskał dłonie między kolanami, nerwowo ruszał prawym kciukiem. Nie dzwonił do jej krewnych, nie chciał ich niepokoić, choć może szkoła powinna kogoś zawiadomić. Liczył, że Jocelyn się odezwie.

Podkreślał, że nie byli parą. Nie było żadnego spektakularnego zerwania; po prostu przestali się spotykać. To on zakończył ten romans.

Pescoli bardzo chciała mu zaufać. Przystojny w specyficzny, niedbały sposób, który niemal wydawał się seksowny, spędzał dużo czasu na dworze, o czym świadczyła zimowa opalenizna. Ciemne włosy opadały na kołnierzyk kurtki, na wielkich, pokrytych odciskami dłoniach dostrzegła kilka białych blizn. Samotny ojciec, którego, jak sam przyznawał, zostawiła żona. Wydawał się uczciwy, zgłosił się sam, ale to jeszcze o niczym nie świadczy.

Widziała już, jak nieśmiali, bogobojni mężczyźni okazywali się brutalnymi zabójcami.

- No dobrze, więc czy to jest Jocelyn Wallis? - Alvarez pokazała mu zdjęcia poturbowanej kobiety.

O'Halleran wstrzymał oddech.

- Boże, mam nadzieję, że nie - rzucił z przejęciem, ale przyjrzał się im uważnie.

- Ja... nie wiem. Może. O Jezusie.

- Mam kilka fotografii Jocelyn Wallis - powiedziała Alvarez.

- Ze strony internetowej szkoły? - domyśliła się Pescoli.

- Z wydziału komunikacji. - Alvarez pochyliła się nad klawiaturą i po chwili na ekranie pojawiło się prawo jazdy. Kobieta na fotografii miała trzydzieści parę lat, promienny uśmiech i długie kasztanowe włosy.

- Może. - Pescoli zerknęła na O'Hallerana. - Jakies znaki szczególne? Tatuaze? Blizny? Znamiona?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Nie widział jej pan nago? - zapytała Pescoli. - Nie wspominała o żadnych operacjach? O tatuazach?

- Nie doszliśmy tak daleko.

- Nie spał pan z nią? - upewniła się.

Zawahał się, wbił wzrok w swoje dłonie, zanim ponownie na nią spojrział.

- Raz. U niej w domu. Niczego nie widziałem. O niczym nie wspominała, ale nosiła kolczyki. Chyba trzy w jednym uchu, dwa w drugim.

- To już coś - powiedziała Pescoli. - Więc może pojedzie pan z nami i zobaczy, czy to ona?

- W szpitalu nie będą mieli nic przeciwko? - upewnił się.

- Mamy wysoko postawionych przyjaciół.

Poderwał się z miejsca. Alvarez już sięgała po kurtkę, torebkę i broń.

- Ja prowadzę - powiedziała Pescoli. Chciała zobaczyć jego reakcję na widok rannej. Później sprawdzi jego wersję wydarzeń.

A jeśli okaże się, że ranna to nie Jocelyn Wallis, nadal będą miały na głowie zaginioną nauczycielkę. Jeśli O'Halleran mówił prawdę.

- Dzięki Bogu! Doktor Lambert! Tak bardzo się bałam! O Boże! -Rosie Alsgaard dramatycznie przyciskała dłoń do piersi, biegnąc korytarzem na pierwszym piętrze małego szpitala. Pielęgniarka z OIOM-u, w fartuchu, ze stetoskopem wystającym z kieszeni jak dwugłowy wąż, biegła po błyszczącym linoleum w stronę Kacey. - Jezu, tak bardzo się bałam. Jak my wszyscy.

- Bałaś się? Ale dlaczego?

- Z powodu tej pacjentki, którą przywieźli wczoraj wieczorem, zanim zaczęła się moja zmiana! Jest do ciebie bardzo podobna i Cleo była pewna, że to ty! Ta Jane Doe.

- Cleo?

- Salowa, która wczoraj pracowała na OIOM-ie. Zresztą nie tylko ona tak uważają też. Zobaczyłam tę pacjentkę i... to niesamowite! -Rosie dyszała ciężko, wyrzucała z siebie słowa bez ładu i składu. - No wiesz, jasne, jest posiniaczona i zapuchnięta, ma złamany nos, ale włosy. .. wygląda jak ty. Kiedy rano ją zobaczyłam, byłam pewna... Obawiałam się, że to ty spadłaś i...

- Rosie! Powoli! - Kacey uniosła rękę. - Iod początku.

Minął je sanitariusz z naręczem kart chorobowych, przeszła też pielęgniarka, weszła do windy znajdującej się na końcu korytarza w niedawno oddanym do użytku szpitalu St. Bart's.

- Dobrze już, dobrze. - Rosie nie była już taka blada, odetchnęła głęboko. - Wczoraj w nocy przywieziono do nas pacjentkę. Podobno biegła i spadła do wąwozu nad rzeką. Nie miała przy sobie żadnych dokumentów, była... nadal jest - w bardzo złym stanie. Uraz głowy, złamana miednica, pęknięte piszczele, skręcony nadgarstek, pęknięte żebra, uszkodzona śledziona, mnóstwo zadrapań. Jest w kiepskim sta-



nie, chyba koziołkowała ze zbrocza, uderzała o kamienie, korzenie i Bóg jeden wie, co jeszcze. Rzecz w tym, że jest do ciebie bardzo podobna. Ta sama budowa ciała, a wszyscy wiemy, że biegasz, czasami też po parku... Mieliśmy nadzieję, że to nie ty, ale i tak umieraliśmy ze strachu.

- Przecież mogliście do mnie zadzwonić.

- Wczoraj było tu urwanie głowy. Przyjechała policja. Do tego mieliśmy dwa karambole, wszystko przez ten śnieg, więc nie było na to czasu. Postanowiłyśmy z Cleo, że jeśli nie zjawisz się na obchodzie, zadzwonimy do przychodni.

- Gdzie ta Jane Doe?

- Na OIOM-ie, ale pewnie przewiozą ją do Spokane albo Misso-ula. Na razie jednak nie chcą jej ruszać.

- Zajrzę do niej po obchodzie. Rosie uśmiechnęła się nieśmiało.

- Cieszę się, że to nie ty.

Kacey zaczęła obchód i zastanawiała się, czy naprawdę jest cała i zdrowa. Po raz drugi w tym tygodniu osoba bardzo do niej podobna albo nie żyje, albo walczy o życie. Dziwne. Jednak póki nie zobaczy pacjentki, nie ma pewności, że Rosie po prostu nie poniosła bujna wyobraźnia.

Godzinę później, gdy sprawdziła stan nielicznych swoich pacjentów w szpitalu, poszła na OIOM.

Dyżur miała Anita Bellows, drobnutka czterdziestoletnia pielęgniarka, której energii mogłyby pozazdrościć kobiety o połowę od niej młodsze. Podczas studiów uprawiała akrobatykę, do dzisiaj biegała w maratonach i trenowała przez okrągły rok, by nie wypaść z formy. Miała ciemne krótkie włosy, promienny uśmiech i rzęsy ociekające tuszem. Przeprowadziła się tu z Missoula, gdy szpital St.Barfs otworzył podwoje po remoncie, stanowiąc konkurencję dla wiekowego szpitala okręgu Pinewood.

Dzisiaj, podobnie jak Rosie Alsgaard, Anita odetchnęła z ulgą widząc, jak Kacey wchodzi na oddział. Anita siedziała za półokrągłym kontuarem, od którego kolidowały się oddzielane zasłonami stanowiska dla pacjentów.

- Bogu dzięki - szepnęła i nakreśliła pospieszny znak krzyża na chudej klatce piersiowej, na której połyskiwał mały złoty krucyfiks. - Myślałam... Bałam się... - Z westchnieniem wskazała głową kobietę na jednym z dwóch zajętych łóżek. - Cieszę się, że to nie ty.

- To ta Jane Doe?

- Tak. Przywieźli ją wczoraj wieczorem. Kacey podeszła do łóżka oddzielnego zasłaną.

Serce ścisnęło jej się w piersi, gdy patrzyła na opuchniętą twarz kobiety. Dostrzegła podobieństwo mimo licznych obrażeń i zapewne złamanego nosa. Wysokie kości policzkowe, głęboko osadzone oczy, teraz zamknięte, twarz w kształcie serca, kilka piegów, tak podobnych do tych na jej twarzy. Pacjentka miała ciemne, kasztanowe włosy, opadające niesfornymi falami na ramiona, tak samo jak włosy Kacey, choć kobiecie na szpitalnym łóżku zgolono część włosów, by umieścić w czaszce cewnik, mający zmniejszyć napięcie wewnątrzoponowe. Miał monitorować ciśnienie w czaszce i odprowadzać nadmiar płynu.

Zły znak. Cewnik, kroplówka, EKG to dopiero początek. Jej ciało nikło pod kołdrą jedna noga była w gipsie, ale od Rosie i Anity Kacey wiedziała, że były podobnego wzrostu i figury.

Dotknęła dłoni nieprzytomnej kobiety. Kim jesteś?

Przeszył ją dziwny dreszcz. Powtarzała sobie, że to głupota, że zachowuje się nieprofesjonalnie. Tylko dlatego, że Rosie, która bynajmniej nie słynęła z pragmatyzmu, uznała, że są do siebie podobne? I co z tego? A jednak, gdy patrzyła na nieprzytomną pacjentkę, przez ułamek sekundy zobaczyła siebie na jej miejscu. Oczami wyobraźni widziała siebie, nieprzytomną na progu śmierci, w otoczeniu lekarzy i pielęgniarek, którzy walczą o jej życie.

- Rozumiesz teraz? - zapytała Anita. Kacey wzruszyła ramionami.

- Może rzeczywiście jest do mnie trochę podobna.

- Trochę? Raczej: bardzo. - Anita poprawiła kołdrę, nie odrywając wzroku od pacjentki. - Ciężki przypadek. Już się wydawało, że udało nam się ją ustabilizować, a znowu ma kryzys. - Zagryzła usta, myśląc intensywnie. - Pewne symptomy nie przystają do obrażeń, doktor Henner usiłuje ustalić, jakie dokładnie odniosła urazy wewnętrzne. No wiesz, rentgen, tomograf, USG.... - Zerknęła na monitor laptopa podłączonego do aparatury. - Jest nieprzytomna, więc nie możemy zapytać, co się właściwie stało, a nikogo z nią nie było, w każdym razie nikt się do tej pory nie zgłosił. Nie wiemy, jak bardzo ją boli, czy brała jakieś leki, czy miała atak... tyle pytań bez odpowiedzi. Lada chwila powinny przyjść wyniki z laboratorium, wtedy będziemy wiedzieć coś więcej. Wieczorem były tu policjantki, obiecały, że rano wrócą.

- Policjantki? - Znowu ten dreszcz.

- Tak, dwie funkcjonariuszki, które badają sprawę wypadku. - Zerknęła na zegar na ścianie, zmarszczyła brwi i dodała: - Pewnie zaraz znowu tu będą więc zajrzę do laboratorium. Może już coś wiadomo. Przecież ktoś powinien jej szukać. Miała na sobie drogie sportowe ciuchy, biżuterię i iPoda w kieszeni. Nie przymierała głodem. Uwierz mi, ktoś szuka naszej Jane.

Kacey także zerknęła na zegarek.

- Muszę już iść. Powiedz wszystkim, którzy myślą że to ja tu leżę, że jestem cała i zdrowa i nie jestem Jane Doe.

- Jasne. - Anita wracała na stanowisko, gdy rozległ się dzwonek oznaczający gości na oddziale.

Anita otworzyła drzwi przyciskiem i na OIOM wkroczył Trace O'Halleran z twarzą jak chmura gradowa. Nieogolony, rozczochrany, w roboczym ubraniu pod kurtką wydawał się poruszony i niezbyt zadowolony z tego, że znajduje się w szpitalu. Tuż za nim szły dwie kobiety. Wyższa, rudowłosa, sporo po trzydziestce, przedstawiła się jako detektyw Pescoli. Niższa, ciemnowłosa, Latynoska, nazywała się Alvarez. Obie otaczała rzeczowa aura policjantek na służbie.

Na Anicie to wszystko nie zrobiło wrażenia.

- NA OIOM wpuszczamy jedną osobę naraz. Co on tu robi? -Spojrzała na farmera.

O'Halleran odnalazł wzrok Kacey i dostrzegła błysk w jego głęboko osadzonych oczach. Rozpoznał ją. Co takiego powiedział jego synek? Że wygląda jak dziewczyna ojca? Przeszył ją dreszcz.

- Trace O'Halleran - przedstawiła go Pescoli. - Prawdopodobnie jest w stanie zidentyfikować kobietę, którą do was wczoraj przywieziono.

Anita nie dawała za wygraną.

- Jedna osoba naraz. - Podniosła rękę, jakby chciała siłą zatrzymać policjantki. - Mamy tu więcej pacjentów i nie możemy zakłócać ich spokoju. - W poszukiwaniu wsparcia zerknęła na Kacey. - Doktor Lambert zaprowadzi pana O'Hallerana do łóżka pacjentki, a panie poczekają tutaj, przy drzwiach.

Policjantki chyba chciały zaprotestować, i Kacey zmusiła się do uśmiechu. Nagle zrobiło jej się lodowato. O'Halleran i Jane Doe?

- Proszę za mną - powiedziała i poszła przodem. Powoli uniosła zasłonę, tak że zobaczył leżącą kobietę.

Wzdrygnął się na jej widok, zacisnął zęby, na ułamek sekundy zamknął oczy, zaraz jednak ponownie uniósł powieki i przyjrzał się kobiecie uważnie.

- Jezu - szepnął pod nosem, a głośniejszym głosem powiedział: - To Jocelyn. - Odwrócił się od posłania, spojrzał na Kacey. - Jocelyn Wallis. Nauczycielka Eliego, o której wspominał. - Nie zagłębiał się w szczegóły mimo obecności policjantek i Kacey domyśliła się, że już to omówili. Wrócił wzrokiem do nieprzytomnej kobiety na łóżku. Kąciki jego ust opadły. - Jakim cudem spadła?

- Tego właśnie chcemy się dowiedzieć - powiedziała Pescoli. - Musimy się dowiedzieć o niej jak najwięcej. - Wyższa policjantka już szła w stronę posłania, ale Anita zastawiła jej drogę.

- O, nie, rozmawiać możecie na zewnątrz. - Choć najmniejsza z nich wszystkich, to ona tu dowodziła i nie przerażały jej nawet policjantki. - Mówię poważnie. Proszę wyjść. Aleja też potrzebuje pewnych informacji. - Zerknęła na O'Hallerana. - Medycznych. Rodzinnych.

- Ja nie... Nie znam jej zbyt dobrze. - Potarł kark dłonią i Kacey zaczęła się zastanawiać, co właściwie ukrywa. Jak bardzo był związany z Jocelyn Wallis? - Zdaje się, że ma siostrę w Kalifornii.

- Kalifornia to spory stan - zauważyła Alvarez.

- Tylko tyle wiem. W Kalifornii. Mówiłem już, że nie... że nie znam jej zbyt dobrze. - Ale myślał intensywnie. - Jej panięskie nazwisko brzmi Black, jej rodzice mieszkają gdzieś w Idaho... w okolicach Pocatello? - zastanawiał się na głos. - Kilka razy wspominała o ojcu... Zaraz, jak on ma na imię? Cedric? Nie, Cecil. - Pstryknął palcami. - Tak jest, Cecil Black, imienia matki nie pamiętam. W szkole powinni wiedzieć więcej. Skontaktujcie się z dyrektorką Barbarą Killingsworth.

Anita skinęła głową i wyprowadziła ich z oddziału. O'Halleran spojrzał na Kacey i w tym momencie jeden z monitorów zaczął wariować. Anita odwróciła się na pięcie.

- Cholera, kryzys! Wyjść stąd i to już - krzyknęła do policjantek. Już wcisnęła guzik alarmowy, by wezwać pomoc. Kacey tymczasem podeszła od Jane Doe - czy raczej Jocelyn Wallis - gotowa udzielić jej pierwszej pomocy i błagać niebiosy, by kardiolog i zestaw reanimacyjny zjawili się na czas.

Zacząła sztuczne oddychanie - dwa oddechy i masaż serca. No dawaj, dawaj, Jocelyn, zostań ze mną nie odchodź, zaklinała w myślach i liczyła na głos.

- Raz, dwa, trzy, cztery, pięć...

Kobieta na sekundę uniosła powieki. Kacey głośno zaczerpnęła tchu - podobieństwo było uderzające.

- Kacey!

Nagle usłyszała krzyk Anity i zdała sobie sprawę, że straciła rachubę.

- Piętnaście, szesnaście, siedemnaście - podsunęła pielęgniarka i Kacey znowu zaczęła liczyć. W tej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i na oddział wpadło dwoje lekarzy i trzy pielęgniarki. Prowadzili wózek ze sprzętem reanimacyjnym.

- Zabierzcie ich stąd! - krzyknął stanowczy męski głos. Kątem oka Kacey widziała, jak Anita wyprowadza Trace'a O'Hallerana i policjantki. - Ja się nią zajmę - powiedział ten sam głos. Podniosła wzrok i zobaczyła doktora Wesa Lewisa, szybkim krokiem podchodził do łóżka, odczekał, aż doliczy do trzydziestu, zastąpił ją przy pacjentce, pielęgniarka tymczasem przysunęła wózek z defibrylatorem. Lewis wydawał polecenia szybko, stanowczo, z tą samą lekkością jak na boisku podczas studiów. Potężny, ciemnoskóry, zazwyczaj pogodny, teraz był bardzo rzeczowy, ale Kacey wiedziała, że już za późno. Wyczuła to, często wiedziała, że pacjent odchodzi. Nie wiedziała, jak to się dzieje, ale przychodziła chwila, gdy ciało się poddawało.

- Święty Piotr go wzywa - szepnęła jej do ucha babcia Ada, gdy zapłakana patrzyła, jak jej ukochany stary koń wydaje ostatnie tchnienie w swoim boksie w stajni.

Dziadek zerknął na żonę, jakby chciał zaprotestować, ale jej wzrok kazał mu zachować dla siebie to, co chciał powiedzieć.

- Świętemu Piotrowi potrzebne konie? - zapytała dziewięcioletnia wówczas Kacey. Gardło ścisnęło jej się tak bardzo, że z trudem wykrztusiła te słowa.

- No jasne - zapewniła babcia i przytuliła ją do siebie tak mocno, że zapach stajni - ostra woń moczu, kurzu, siana i ciepły, ciężki zapach koni - zszedł na dalszy plan. Nozdrza Kacey wypełniał tylko słodki aromat polnych kwiatów w ulubionych perfumach babci. - Jasne, że tak.

A teraz, pomyślała, patrząc na reanimowaną pacjentkę, święty Piotr najwyraźniej wezwał Jocelyn Wallis.

## Rozdział 9

Wyraz twarzy doktor Lambert nie pozostawiał wątpliwości, pomyślał Trace.

Zaciskała usta w wąską kreskę, z ponurą miną szła korytarzem do miejsca, w którym czekały dwie policjantki. Minęło zaledwie pół godziny, odkąd kazano im wyjść z oddziału, ale najwyraźniej sprawy nie potoczyły się najlepiej.

- Jocelyn Wallis nie przeżyła - oznajmiła. Policjantki niecierpliwiły się w poczekalni, rozmawiały przez komórki, przechadzały się nerwowo, zerkwały na zegarki, rozmawiały półgłosem i sączyły darmową lurę z papierowych kubeczków. Wypytywały go o jego związek z nauczycielką. Opowiedział o ich ostatnim spotkaniu, o tym, że Jocelyn chciała, by został na noc.

Popełnił błąd, idąc do niej tamtego wieczoru. I nie zamierzał go powtarzać.

Uległ jej urodzie, uśmiechowi i, powiedzmy sobie szczerze, własnemu pożądanemu, które dawno nie znalazło ujścia. Ale uległ słabości tylko raz, jeśli to cokolwiek zmienia.

Co jak co, ale dżentelmenem nie był. I widział niewypowiedziany zarzut w oczach Alvarez, niższej policjantki, gdy notowała jego słowa.

Przezeszał włosy palcami i słuchał, co mówiła Kacey.

- Odniosła zbyt wiele obrażeń, zbyt wiele wewnętrznych urazów, do tego uraz głowy... Zaraz przyjdzie doktor Lewis, który ją badał w nocy. Odpowie na wszystkie pytania. - Spojrzała na Trace'a i ruszyła w stronę wind.

- Proszę tu zostać - rzuciła Pescoli, jakby wyczuła, że chciał odejść. - Mamy jeszcze parę pytań.

- O Jocelyn? - zapytał, ale wyczuwał, że chodzi o coś więcej. Pescoli skinęła głową. Alvarez mierzyła go otwarcie podejrzliwym wzrokiem. Zrozumiał.

- Myślicie, że to nie był wypadek? - domyślił się, czując nową falę gniewu. - I że ja coś wiem na ten temat?

Pescoli pokręciła głową.

- Nic takiego nie powiedziałyśmy.

- Ale to sugerujecie.

Alvarez włączyła się do rozmowy.

- Sprawdzamy różne wersje wydarzeń. Niewykluczone, że naprawdę poślizgnęła się i spadła z urwiska. To całkiem możliwe. Chcemy jednak sprawdzić wszystkie możliwości - uśmiechnęła się, jednak jej oczy pozostały poważne. - Proszę się nie przejmować; to tylko formalność. - Ale wrodzony instynkt samozachowawczy ostrzegł, żeby nie wierzył jej sztucznej pogodzie; tu chodziło o coś więcej; przecież obie pracują w wydziale zabójstw.

- Mam na głowie chorego dzieciaka i całe ranczo. Powiedziałem wam już wszystko, co wiem o Jocelyn Wallis. Jeśli macie jeszcze jakieś pytania, możecie do mnie zadzwonić.

Myślał, że będą chciały go zatrzymać, jednak w tej chwili z OIOM-u wyszedł potężny czarnoskóry mężczyzna w lekarskim kitlu i uwaga policjantek skupiła się na nim.

Świetnie.

Trace przeszedł do wind i poczuł ukłucie rozczarowania, że Kacey już znikła. To oczywiście bez znaczenia, tłumaczył sobie, wsiadając do windy, w której był już sanitariusz. Pchał wózek inwalidzki, na którym siedziała kobieta w gipsie. Trace obszedł sterczącą złamaną nogę i czekał, aż drzwi windy zamkną się z cichym szumem.

Dziwnie się poczuł na myśl, że Jocelyn nie żyje. Widział ją zaledwie przed trzema miesiącami, kiedy zaprosiła go do siebie i próbowali jeszcze raz - czy raczej ona próbowała. Nie interesowała go, ale chciał, by rozstali się w przyjaźni. Koniec końców zaprosiła go na noc. Kusilo go, ale wiedział, że pójście z nią do łóżka to kiepski pomysł. Kiedy powiedział, że musi już iść, że ich związek to kiepski pomysł, przede wszystkim ze względu na Eliego, wpadła w furję. Była naprawdę wściekła.

Winda zatrzymała się gwałtownie. Drzwi otworzyły się - byli na parterze w głównym holu. Trace przepuścił przodem kobietę na wózku inwalidzkim, wyszedł, skierował się w stronę drzwi wejściowych.

Znowu padał śnieg, lodowaty wiatr niósł zapowiedź zimnego grudnia. Postawił kołnierz kurtki i szybkim krokiem szedł w stronę swego pikapa. Otwierał już drzwiczki, gdy kątem oka dostrzegł postać w szarej kurtce.

- Panie O'Halleran?

Jeszcze zanim odwrócił się i zobaczył, jak stara się omijać zamarznięte kałuże, rozpoznał głos lekarki. Płatki śniegu osiadły na rudych lokach, które wysunęły się spod kaptura.

- Trace - poprawił. Zarumieniła się z zimna.

- Chciałam tylko zapytać, jak się czuje Eli.

- Chyba lepiej. - Oparł się o otwarte drzwiczki swego pikapa. - Wczoraj zaszałał, pozwoliłem mu na słodycze i telewizję.

Uśmiechnęła się z trudem.

- Według moich zaleceń. - Przeszepowywała z nogi na nogę. Spojrzała w stronę szpitala. - Ja... przykro mi z powodu Jocelyn. - Chyba mówiła szczerze. Zielone oczy zaszały mgłą. - To pewnie było straszne.

Poczuł, jak sztywnieją mu mięśnie karku, gdy skinął głową.

- Eli bardzo to przeżyje.

- Zadzwońisz do tej siostry w Kalifornii?

- Niech policja sama się z nią skontaktuje. Tak naprawdę nic mnie nie łączyło z Jocelyn. Pakowałem się w to wszystko tylko dlatego, że jej przyjaciółka zadzwoniła do mnie i pytała, czy wiem, gdzie jest. Zaintrygowało mnie to. Ponieważ wiedziałem, gdzie chowa zapasowy klucz, pojechałem do niej do domu. Samochód stał tam, gdzie zawsze, torebka była w mieszkaniu. Kiedy usłyszałem o biegacze, która spadła z urwiska w parku Boxer Bluff, skontaktowałem się z policją. - Wrócił wzrokiem do budynku szpitala. Wznosił się na wysokość trzech pięter na tle ołowianego nieba, wyrastał pośrodku zaszypanego śniegiem parkingu.

- I poprosiły cię, byś ją zidentyfikował.

- Tak.

- To policjantki z wydziału zabójstw.

- Wiem i tego nie rozumiem - przyznał. - Przecież żyła, kiedy ją tu przywieziono, zresztą myślałem, że to był tylko nieszczęśliwy wypadek.

- Ja też. - Na chwilę zmarszczyła brwi, zaraz jednak uśmiechnęła się ponownie. - Pozdrów ode mnie Eliego.

- Oczywiście.

Wtedy odeszła, stukając obcasami czarnych butów, kierowała się w stronę srebrnego forda edge. Otworzyła drzwiczki i pomachała do niego, zanim wsiadła do środka. Niecałą minutę później odjechała, mignęła tylnymi światłami i włączyła się w ruch uliczny.

Aż do tej chwili, póki samochód nie zniknął mu z oczu, Trace nawet nie zdawał sobie sprawy, że odprowadza ją wzrokiem. Dopiero wtedy wsiadł do chevroleta i odpalił silnik.

Zabawne, że spodobała mu się akurat lekarka Eliego.

Na samą myśl zmarszczył brwi i upomniał się, że to kobieta nie dla niego. Zresztą coś w niej przywodziło na myśl Leanne, matkę Eliego,



i już to wystarczyło, by przeszła mu ochota na romanse. Ich małżeństwo było na szczęście krótkie; na pamiątkę został mu syn, choć biologicznie Eli nie był jego dzieckiem. Nieważne.

Zmienił biegi, włączył wycieraczki, patrzył, jak odgarniają grubą warstwę śniegu z przedniej szyby. Zanim wyjechał z parkingu, zerknął jeszcze raz na szpital i pomyślał o Jocelyn Wallis, nauczycielce synka, kobiecie, z którą się kochał. Która nie żyła. Zacisnął usta. To nie fair. Czy naprawdę potknęła się i runęła w przepaść? A może ktoś jej w tym pomógł, licząc, że zatrzyma się dopiero na dnie potoku?

Bo niby dlaczego w szpitalu zjawily się policjantki z wydziału zabójstw?

A może ktoś trącił ją niechcący, pchnął przez murek, a potem w panice uciekł? Czy zrobił to celowo? Była przypadkową ofiarą czy celem mordercy?

Śnieg padał coraz mocniej, gęste białe płatki ścieliły się na ulicach, otulały drzewa i krzewy. Zamiast, jak planował, od razu wrócić na ranczo, skręcił w drogę prowadzącą nad urwisko, do parku. Szosa była stroma, stary silnik rzęził, opony ślizgały się na śniegu. Na szczycie zaparkował, wysiadł i poszedł piechotą do miejsca, z którego spadła Jocelyn.

Wbił dłonie w kieszenie kurtki i wyjrzał za niski, oblodzony, podniszczony murek. O wiele niżej kotłowała się rzeka, jej gniewny huk wypełniał mu uszy. Nad wodą widniała skalna półka. Zauważył, że śnieżna kołderka jest na niej naruszona, dostrzegając jeszcze liczne ślady, choć powoli już zasypywał je świeży śnieg.

- Co się właściwie stało? - szepnął. Jego oddech unosił się mgiełką, huk rzeki zagłuszał słowa. Nie wiadomo dlaczego poczuł ukłucie wyrzutów sumienia. A gdyby był w domu, kiedy dzwoniła? A gdyby się z nią spotkał? Może coś, co mógł zrobić, pozornie nieistotny drobiazg, zmieniliby przebieg wydarzeń? Może żyłaby dalej, gdyby wszystko potoczyło się inaczej?

- Przepraszam - powiedział na głos, choć sam właściwie nie wiedział, co go do tego skłoniło. Jej śmierć wydawała się taka niepotrzebna.

Można jej było zapobiec? Któż to wie?

Oderwał wzrok od rzeki, patrzył teraz na park, na kępy drzew iglastych spowitych szadzią, na nagie gałęzie osiki. Minęły go dwie grupki energicznych kobiet w ciepłych czapkach i rękawiczkach, nieco dalej

przebiegł mężczyzna, widział spacerujące małżeństwo z dzieckiem w nosidełku. Pozornie takie spokojne miejsce.

Zimowy raj.

Nie licząc naruszonego śniegu na skalnej półce, na którą upadła Jocelyn Wallis w drodze po śmierć.

Tyle pytań na temat kobiety, której prawie nie znał. Wrócił do samochodu, wyjechał na ulicę i skręcił w szosę, prowadzącą za miasto, na farmy. Musiał zająć się synkiem i odciążyć Eda i Tilly. Mieli przecież własną farmę na głowie.

Przez całą drogę do domu myślał o Jocelyn, Leannie i teraz Acacii Lambert, lekarce, która przypominała mu dwie pozostałe kobiety z jego życia, przede wszystkim jednak zastanawiał się, jak powie synkowi, że jego nauczycielka, pani Wallis, odeszła na zawsze.

- Niewiele mogę paniom powiedzieć ponad to, że Jocelyn była wspaniałą nauczycielką - oznajmiła Barbara Killingsworth zza szerokiego biurka w gabinecie, na którego ścianach widniały oprawione arcydzieła małych artystów ze szkoły podstawowej Evergreen. Proste domki nabazgrane kredkami i wypieszczone akwarelki, i szkice ołówkowe, pejzaże i martwe natury.

Pescoli i Alvarez siedziały na krzesłach dla gości. Dyrektorka, szczupła kobieta o surowych rysach i bladej karnacji, położyła dłonie na biurku. Siedziała sztywno wyprostowana, jakby miała metalowy pręt zamiast kręgosłupa, w starannie wyprasowanej bluzce, brązowym sweterku bez cienia zmechaconego paproszka, z idealnie zaczesanymi włosami; nawet jeden kosmyk nie śmiał opaść na czoło.

Pescoli cisnęły się na usta słowa: wymuskana, perfekcjonistka i nerwica natręctw.

Za biurkiem podręczna biblioteczka ugięła się pod ciężarem książek poświęconych psychologii dziecięcej, wychowaniu i zarządzaniu oświatą. Na biurku panował nieskazitelny porządek; było puste, nie licząc małego wazonika z gałązką ostrokrzewu, oprawionej fotografii, przedstawiającej dyrektorkę z przyjaciółkami na tropikalnej wyspie. Za ich plecami błękitny ocean lśnił w słońcu, a kobiety wznosiły toast kolorowymi drinkami. Na blacie była też gruba teczka podpisana WALLIS, JOCELYN.

- O ile mi wiadomo, dwukrotnie wychodziła za mąż, nie miała dzieci, jej rodzice mieszkają w Twin Falls w Idaho. Jej siostra, zdaje się, mieszka w San Francisco. Była u niej w zeszłe wakacje. - Brwi dyrektor Killingsworth zbiegły się w wąską linię na czole. - Siostra ma na imię. Jacqueline. Zapamiętałam, bo podobne do imienia Jocelyn. Ale zdaje się, mówiła, że to jej siostra przyrodnia. Starsza o chyba dziesięć lat? Jocelyn wspominała, że jej ojciec był poprzednio żonaty, ale tego nie jestem pewna. - Jej oczy pociemniały od smutku, gdy unosiła drżącą dłoń o pomalowanych paznokciach do ust. - To bardzo bolesny dzień dla całej społeczności szkoły podstawowej Evergreen.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia - powiedziała Alvarez. Killingsworth skinęła głową i nagle uważniej przyjrzała się Alvarez.

- Panie sąż policji. Podejrzewacie, że jej śmierć to coś więcej niż nieszczęśliwy wypadek?

- Sprawdzamy wszystkie tropy. - Pescoli udzieliła standardowej odpowiedzi, ale dyrektorki to chyba nie przekonało. Umówiła je z Mią Calloway, sekretarką i zarazem przyjaciółką Jocelyn Wallis, i dwiema nauczycielkami nauczania początkowego, które wraz z Jocelyn tworzyły zespół. Obiecała też, że zastąpi je, gdy te będą rozmawiały z policjantkami.

Niewiele się dowiedziały o Jocelyn Wallis, tylko to, że dwukrotnie wyszła za mąż, nie miała dzieci, ojej byłych niczego nie wiadomo, a poza flirtowaniem w Internecie, jedynym mężczyzną z którym spotykała się publicznie, odkąd zamieszkała w Grizzly Falls, był Trace O'Halleran.

W końcu wyszły ze szkoły Evergreen. Akurat zadzwonił dzwonek i dzieci biegły na zadaszony plac zabaw.

Wsiadły do dżipa Pescoli i Alvarez przerwała milczenie.

- Chodźmy na kawę. - W tej chwili rozdzwoniła się jej komórka. Jedną ręką sięgnęła po telefon, drugą zapięła pas bezpieczeństwa. Pescoli tymczasem wyjechała z parkingu pełnego samochodów nauczycieli.

Kilkaset metrów dalej wypatrzyła sieciową kafejkę, jedną z tych, które zdawały się wyrastać na każdym rogu jak grzyby po deszczu. Alvarez skończyła rozmawiać z dozorcą swego budynku o niedziałających latarniach przed domem, a Pescoli podjechała do okienka dla zmotoryzowanych i odrobinę opuściła szybę. Czekwała cierpliwie, aż dziewczyna w okienku przyjmie zamówienie od pasażerów samochodu po drugiej stronie przeszkłonej budki. Wpatrywała się we włosie anielskie oplatające framugę i naszkicowane na szybie płatki śniegu. Wielki

czerwony szyld z uśmiechniętym Mikołajem zachęcał do kupowania kart upominkowych.

Okienko otworzyło się i kelnerka, na oko osiemnastolatka z warkoczami spływającymi spod staroświeckiego czepka, zawołała:

- Co paniom podać? Mamy w promocji latte dyniowe, specjalność tego tygodnia! - uśmiechnęła się promiennie.

- Dla mnie espresso - rzuciła Pescoli.

- Latte na chudym mleku - dodała Alvarez, wychyliła się, żel widzieć dziewczynę. - Bez syropu.

- Ale latte dyniowe jest w promocji.

- Bez syropu - powtórzyła Alvarez i sięgnęła do portfela po banknot pięciodolarowy.

Dziewczyna wydawała się rozczarowana, jakby dostawała nagrodę od każdej sprzedanej kawy tygodnia. Pescoli zamknęła okno, gdy rozległo się przeciągłe wycie ekspresu do kawy.

Pescoli otworzyła schowek przy kierownicy, wygrzebała dość drobnych, by zapłacić za kawę i spojrzała na Alvarez, zanim ta otworzyła usta.

- Powiedz, dlaczego tak bardzo chcesz dowieść, że Jocelyn Wallis została zamordowana?

Alvarez poprawiła okrągły kolczyk w lewym uchu.

- Po prostu mam przecucie. Coś tu jest nie tak.

- Może.

- Warto to sprawdzić.

Za ich samochodem zatrzymał się czerwony dodge dart, na oko z połowy lat siedemdziesiątych, i w tej samej chwili kelnerka zapukała w szybkę. Trzymała dwa kubki z plastikowymi wieczkami.

Pescoli otworzyła okno, wzięła oba kubki, wyjęła z palców Alvarez banknot pięciodolarowy, zapłaciła i zostawiła napiwek.

- Jezu, ależ gorące. - Alvarez upiła pierwszy kontrolny łyk.

- W taki zimny dzień akurat tego nam trzeba. Alvarez wtuliła się w siedzenie i objęła kubek dłońmi.

- Mam pytania, mnóstwo pytań.

- O sens życia. Uśmiechnęła się lekko.

- Wystarczy mi, jeśli się dowiem, dlaczego Jocelyn Wallis, o ile nam wiadomo, sprawna i silna młoda, doświadczona biegaczka, spadła z urwiska. - Zmrużyła oczy, a Pescoli zahamowała na światłach. - Być może ktoś jej w tym pomógł.

- Być może.

Alvarez skinęła głową, zdjęła wieczko z kawy, dmuchała na parujący płyn.

- A być może nie. - Upiła kolejny łyk. - Pewnie się tego dowiemy. Może już w jej mieszkaniu.

- Oby - mruknęła sceptycznie Pescoli, ale już jechała w stronę osiedla Jocelyn Wallis.

Znalazły klucz tam, gdzie mówił O'Halleran, otworzyły drzwi i weszły do małego mieszkania, które nauczycielka nazywała domem.

Według Pescoli w mieszkaniu denatki wszystko było w porządku. Jocelyn Wallis nie miała telefonu stacjonarnego, ale jej komórka leżała przy kanapie, klucze do domu i samochodu były na tacce w korytarzu, przy drzwiach. Jej torebka i plecak z książkami leżały na jednym z dwóch wysokich barowych stołków, niedaleko stolika z laptopem. Lekarstwo na grype, dostępne bez recepty, i chusteczki w koszu na śmieci zdradzały, że ostatnio nie czuła się najlepiej, ale mimo to poszła pobiegać. Dziwne, ale z drugiej strony był sezon grypowy, a zapaleni sportowcy nie zawsze chcieli czekać, aż w pełni odzyskają siły.

Dziesięcioletnia jetta stała na wąskim parkingu przed budynkiem, w którym mieściły się cztery mieszkania. Nie było natomiast zwierzaka - kota, sądząc po puszkach w spiżarni. Na podłodze stały miseczki z wodą i karmą w łazience znalazły kuwetę z piaskiem. Czystym, bez śladu kota.

- Gdzie kot? - zapytała Pescoli.

- Najwyraźniej zaginał - mruknęła Alvarez. Rozglądała się dokoła. - Nic nie sugeruje włamania, nie widać śladów walki. Wszystko wskazuje na to, że Jocelyn po prostu postanowiła trochę poćwiczyć. Nawet jeśli ktoś ją napadł, miało to miejsce nie tutaj, ale już na trasie.

Pescoli podążyła za jej wzrokiem. Mieszkanie wyglądało dokładnie tak, jak mieszkanie kogoś, kto wyszedł pobiegać.

A jednak Alvarez nie mogła uwierzyć, że Jocelyn Wallis potknęła się czy poślizgnęła i dlatego zginęła.

- Coś tu jest nie tak - powtórzyła. Stały pośrodku saloniku, który przepełniał zapach odświeżacza powietrza podłączanego do kontaktu.

- Niby od kiedy polegasz na przeczuciach i intuicji? - zapytała Pescoli. Podczas lat współpracy Alvarez dała się poznać jako osoba bardzo pragmatyczna, stąpająca twardo po ziemi, którą przekonywały jedynie suche fakty i namacalne dowody.

- Odkąd śmierć Jocelyn Wallis po prostu nie trzyma się kupy. -Alvarez podeszła do biurka. Zainteresował ją laptop denatki, jej telefon komórkowy i plik rachunków.
- Poświęćmy temu trochę czasu. Nie uważasz, że warto się dowiedzieć, kto skorzysta na jej śmierci?
  - To rzeczywiście może być ciekawe.
  - Więc do roboty - zdecydowała Alvarez.

## Rozdział 10

Dla Pescoli Święto Dziękczynienia zapowiadało się na tradycyjny koszmar. W tym roku dzieci miały spędzić je z Luke'm i jego lalką Barbie - żoną o imieniu Michelle. Michelle nie miała jeszcze trzydziestu lat, za to jasne włosy długie do połowy pleców i figurę klepsydry, którą podkreślała zmysłowymi ciuchami. Była tak dziewczęca, jak tylko się dało i udawała głupiotką i naiwną. Pescoli podejrzewała jednak, że pod różową szminką grubą warstwą tuszu do rzęs i wiecznie zdziwioną, seksowną minką kryje się bystra kobieta, która z niezrozumiałych dla niej powodów upatrzyła sobie Luke'a, który był, owszem, przystojny i choć niezbyt wykształcony, dość bystry, tyle że bez cienia ambicji. Miał własną ciężarówkę, którą jeździł, kiedy mu się podobało, a kiedy nie miał ochoty albo nie pozwalała na to pogoda, grał w golfa i łowił ryby. Albo oglądał telewizję.

- Stworzeni dla siebie - mruknęła pod nosem, czekając na dzieci. Pescoli nalegała, by spędzali święta z ojcem, choć Bianca znowu udawała chorą a Jeremy burczał, że Luke nie jest jego prawdziwym ojcem.

- No, to masz pecha - prychnęła bez cienia zrozumienia.

Ze względu na dzieci, a także dlatego, że w zeszłym roku mało brakowało, a by zginęła, Pescoli i Luke postanowili zakopać topór wojenny. Ich rozwód nie należał do najprzyjemniejszych i teraz, z perspektywy czasu, przyznawała, że to był błąd. Jednak niełatwo jest się pozbyć starych nawyków, zwłaszcza z taką przeszłością jak oni. Już zachowanie poprawnych stosunków okazało się trudne; o przyjacielskich w zaistniałych okolicznościach mowy być nie mogło. Pescoli jednakże wyznawała zasadę „uśmiechaj się i cierp”; a to dlatego, że święcie wierzyła też w powiedzonko: „jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie”. Luke Pescoli był przystojnym, czarującym gawędziarzem. Był też kobiecica-

rzem, hazardzistą i żył w przekonaniu, że cały świat kręci się dokoła niego.

Michelle bynajmniej nie złapała Pana Boga za nogi. Pchnęła drzwi do pokoju córki i w tej samej chwili naburmuszona Bianca wyszła na korytarz.

- Robisz to, bo jesteś na mnie wściekła - burknęła oskarżycielsko, dziecinnie wydymając dolną wargę.

- Robię to, bo tak się umówiłam z twoim ojcem.

- Mnie nikt nie pytał o zdanie. - Bianca niechętnie weszła do saloniku.

- Z takim nastawieniem ciesz się, że jeszcze masz drzwi. Jeremy, który właśnie pokazał się u szczytu schodów do piwnicy, mruknął:

- Mnie też nikt nie pytał.

- Więc możecie oboje pograć się w rozpacz i uzalać się, jakie to niesprawiedliwe - i zrobić to w drodze do ojca. Aha, poczekajcie, zobowiązałam się, że dołożę się do uczyty świątecznej. - Zajrzała do spiżarki, wyjęła starą puszkę sosu żurawinowego, którego Lukę nie znosił, i wcisnęła ją w wyciągniętą dłoń Jeremy'ego. Oczami wyobraźni już widziała jak zastygły sos wyslizguje się na talerz, naznaczony karbowaną puszką. - Proszę bardzo.

Jeremy pochwycił jej wzrok.

- Mamo, jesteś okropna.

- Ja tylko dotrzymuję słowa. Jeremy wcisnął puszkę do plecaka.

- Moglibyśmy przecież zostać w domu - marudziła Bianca, wpatrzona w ekran telefonu; czytała wiadomość tekstową.

- Nie. Muszę pracować, a dzięki temu będę miała wolne na Boże Narodzenie i wtedy was podręcę.

- Bardzo zabawne - burknęła Bianca, włożyła kurtkę, naciągnęła czapkę na sprężyste loki, poprawiła wiązanie pod trójkątnym podbródkiem. - Ale aż cztery dni... - Nie dawała za wygraną. - Ja tam umrę.

- Trzy noce. Wracacie w niedzielę rano. Potraktuj to jako urlop ode mnie.

Bianca przewróciła oczami chyba po raz dwudziesty, odkąd zwlekła się z łóżka. Prychnęła pogardliwie, aż uniosła się świeżo obcięta grzywka.

- Jedź ostrożnie! - upomniała syna.

- Jak zawsze - odparł.

- To właśnie chciałam usłyszeć. - Nie wierzyła mu ani przez chwilę. Zobaczyli, że Cisco już kręci się przy drzwiach, gotów pobiec za Jeremym, więc wzięła go na ręce, a psiak wynagrodził ją mokrym psim całusem. Radośnie wymachiwał ogonkiem i kręcił małym kuperkiem. -Pożyczcie ojcu i Michelle wesołych świat ode mnie.

- Jasne, bo tego właśnie im życzysz - zachnął się Jeremy.

- Ależ owszem. Mam nadzieję, że będziecie się dobrze bawić. -Z psem w objęciach odprowadzała ich wzrokiem, jak brnęli przez śnieg do pikapa Jeremy'ego. Oczami wyobraźni widziała ich takimi, jacy byli kiedyś - Jer, wysoki, chudy starszy szczerbaty brat w wiecznie opadających skarpetkach, i Bianca, z burzą niesfornych rudych loków, dziecinnie pulchna, rumiana, biegnąca za ukochanym bratem.

Kiedy ten czas zleciał? Ze ściśniętym ze wzruszenia sercem patrzyła, jak Jeremy pomaga Biance wsiąść, zatrząskuje jej drzwiczki, obchodzi wóz i wsiada od strony kierowcy.

Pikap ożył, silnik warczał miarowo, gdy Jeremy wyjeżdżał z podjazdu. Stała jeszcze przez chwilę, patrzyła, jak samochód znika wśród drzew okalających szosę, a potem zamknęła drzwi frontowe.

- I co ty na to? - zapytała psa, stawiając go na podłodze. - W końcu sami, tylko ty i ja. Pomyśl tylko, ile możemy nabroić.

Psiak jakby rozumiał, kręcił się wokół jej nóg i zaraz pognał do szafki, w której przechowywała jego smakołyki.

- No dobrze, dobrze, w końcu mamy święto. - Cisnęła mu psie ciasteczko. - Ale pamiętaj, to nie jest nowa tradycja.

Naprawdę musiała zajrzeć na posterunek - nie kłamała. Alvarez chciała za wszelką cenę udowodnić, że Jocelyn Wallis została zamordowana. Miały przejrzeć wyniki sekcji zwłok - prawdopodobnie przesłano je wczoraj wieczorem.

A potem wybierała się do Santany. Na tę myśl uśmiechnęła się pod nosem. Jedno mogła o nim powiedzieć na pewno - zawsze był interesujący.

A to nic złego.

O nie.

Trace zawołał synka w połowie schodów.

- Ej, Eli, ruszaj się! Cisza.

Zatrzymał się na półpiętrze.



- Eli?

Zaczerpnął głęboko tchu i wszedł na piętro starego wiejskiego domu. Eli był wyjątkowo milczący, odkąd powiedział mu, rozpaczliwie szukając słów i starając się zarazem mówić pewnie i spokojnie, że pani Wallis miała wypadek i teraz jest w niebie. Eli nie zareagował, więc Trace zapytał go, czy wie, czym jest niebo. Mały odpowiedział od razu:

- To miejsce, do którego idzie się po śmierci. Jeśli było się grzecznym.

- No... tak - mruknął Trace, nie bardzo wiedząc co dalej, ale Eli już przejął sprawy w swoje ręce i oznajmił, że chce pooglądać telewizję. Od tej pory nie wracali do tego tematu.

A teraz Trace zastanawiał się, czy czeka go dłuższa rozmowa o śmierci. W myślach przeklinał Leannę za to, że od nich odeszła. Nie żeby za nią tęsknił, ale czasami, na przykład teraz, przydałaby mu się pomoc w wychowaniu ich synka.

- Ej, bracie, co jest? - Wszedł do pokoju Eliego. - Idziemy do państwa Zukov na wieczerzę z okazji Święta Dziękczynienia. Mniam, mniam. Indyk. No, chodź. - Pokój Eliego znajdował się od frontu. Trace wszedł do środka i zobaczył, że mały siedzi na podłodze, w otoczeniu klocków Lego, i tuli do siebie rączkę w gipsie. - Boli?

- Musimy iść? - zapytał Eli. Podniósł wzrok na ojca i Trace dostrzegł łzy w jego oczach.

- Co jest, bracie? - Ukucnął przy nim, ale Eli tylko pokręcił główką. Podbródek mu drżał, otarł oczy wierzchem zdrowej rączki. - Chodzi o panią Wallis? Ona już jest w lepszym świecie, synu.

Eli przełknął z trudem i podniósł na Trace'a smutne, poważne oczka.

- Gdzie jest mamusia?

Trace starał się nie reagować, choć czuł, że serce mu pęka. Był idiotą, łudząc się, że mały zapomniał o odejściu Leanny. Rozumiał oczywiście, że te myśli wywołała śmierć nauczycielki, ale i tak cierpiał.

- Właściwie nie wiem, gdzie teraz jest - przyznał.

- Powinna tu być. Chcę z nią porozmawiać. No pewnie, że powinna.

- Nie wiem, co możemy na to poradzić. - Sięgnął po kurtkę leżącą na rozścielonym łóżku. Chciał uspokoić synka. - W każdym razie nie teraz. Ale jeśli chcesz, postaram się czegoś dowiedzieć.

- Nie wiesz, gdzie jest?

- W tej chwili? Nie. - Serce mu się ściskało. Szczerze mówiąc, liczył, że Leanna już nigdy się tu nie pojawi. Wolałby, żeby syn dorastał bez niej, bo na pewno zepsułaby mu dzieciństwo.

A może przemawia przez niego egoizm? Może lepiej, żeby poznał matkę, choćby kłamczuchę, która odeszła od niego bez słowa?

- Czasami ja też chciałbym z nią porozmawiać - mruknął Trace, choć było to wierutne kłamstwo.

- Ale ja chciałbym teraz.

- Postaram się ją odnaleźć, tylko tyle mogę ci obiecać. A teraz chodźmy już, Tilly i Ed na nas czekają.

- Obiecujesz? - dopytywał się Eli. Nie miał zamiaru mu odpuścić.

- Obiecuję. - Obiecał, choć wiedział doskonale, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Pomógł małemu włożyć kurtkę. Zdrowa rączka bez problemu mieściła się w rękawie, ale z drugiej strony pusty rękaw powiewał smętnie nad gipsem. Eli miał na sobie ocieplaną bieliznę, bluzę z długim rękawem i puchową kamizelkę, więc nie zdąży zmarznąć przez te kilka chwil na dworze. Mocował się z zamkiem kurtki, ale po chwili dał sobie spokój. Przecież państwo Zukov mieszkają tuż obok. Zazwyczaj spędzali Święto Dziękczynienia tylko we dwóch. Grali w różne gry, oglądali telewizję i jedli uroczystą kolację, którą zamawiał na wynos w Wild Will's, swojej ulubionej restauracji, ale w tym roku postanowił skorzystać z zaproszenia starszych sąsiadów. Uznał, że Eli pewnie ma już dosyć siedzenia w domu i dobrze mu zrobi zmiana otoczenia. Zwłaszcza teraz gdy dowiedzieli się o śmierci pani Wallis.

Teraz, kiedy schodzili z piętra, zastanawiał się, czy dobrze zrobił. Pokręcił głową. Dzisiaj Eli nie po raz pierwszy pytał o matkę - ani nie ostatni. Ilekroć jednak pojawiał się temat Leanny, coraz trudniej było mu odpowiadać szczerze na bolesne pytania.

Najwyższy czas przywyknąć. To nie będzie łatwiejsze z czasem.

Szli przez kuchnię. Sarge ułożył się na ulubionym miejscu pod stołem. Na ich widok zamachał radośnie ogonem. Eli i Trace wzięli czapki i rękawice z wieszaka przy drzwiach.

- Powinna zadzwonić. - Eli myślał intensywnie, co zdradzał mars na jego buzi. - Do mnie.

- Owszem, powinna. - Trace usiłował od początku być wobec niego uczciwy, choć to nie zawsze było łatwe, zwłaszcza przy bardziej skomplikowanych pytaniach.

- A ty? Możesz do niej zadzwonić? Teraz?

Krew zastygła mu w żyłach. Powoli założył kurtkę.

- Nie wiem - odparł, patrząc synowi w oczy. - Myślę, że lepiej będzie, gdy to ona się odezwie. Wie, gdzie nas szukać.

- Musisz do niej zadzwonić. Może jest ranna. Może nie żyje, jak pani Wallis!

- Żyje - zapewnił Trace.

- Skąd wiesz?

- Gdyby coś jej się stało, ktoś by nas zawiadomił. - Nasadził kowbojski kapelusz na głowę.

- A jeśli nie ma naszego numeru?

Trace położył synkowi ręce na ramionach. Nawet w ciepłym, zimowym ubraniu Eli wydawał się drobny i kruchy.

- Po Świącie Dziękczynienia zadzwonię do niej.

- Powiedz jej, żeby wróciła.

- Porozmawiam z nią. Eli, to nie takie proste.

- Dlaczego nie? Trace westchnął.

- Bo... bo dorośli zawsze wszystko komplikują. Eli wysunął brodę do przodu.

- A nie powinni.

- Pewnie nie. - Otworzył drzwi na werandę i do domu zaraz wtargnął zimowy chłód.

- Powinna tu być.

- Powinna, ale jej nie ma - uśmiechnął się z trudem. - Ale my, ty i ja, jesteśmy, prawda? - Palcem w rękawiczce uniósł podbródek małego. - Prawda?

- Tak - mruknął Eli bez przekonania i po raz kolejny Trace złapał się na tym, że w myślach przeklina była żonę za to, że tak zraniła synka.

- Już dobrze? - zapytał, wiedząc doskonale, że to nieprawda. Eli wzruszył zdrowym barkiem.

Trace wziął go za rączkę i sprowadził ze schodów.

- Dobra, chodźmy do Tilly i Eda. - Brnęli przez śnieg do pikapa. - Zdaje się, że Tilly wspominała coś o tym, że chciałyby zagrać partyjkę w warcaby.

- Przegra - stwierdził Eli.

- Gadanie.

- Zobaczysz! - Po raz pierwszy tego dnia Eli prawie się uśmiechnął.

- Nie ja mam zobaczyć, tylko ona. - Widząc, że kolejna emocjonalna burza została zażegnana, podsadził synka do kabiny. Chłopiec potrzebował matki, ale nie będzie przecież szukał kobiety tylko po to, by pomogła mu go wychować.

Nie ma takiej potrzeby.

Przez moment wrócił myślami do tej lekarki, Acacii Lambert. Miała kasztanowe włosy, jak Leanna, i taki sam szeroki uśmiech - i na tym kończyły się podobieństwa. Leanna miała oczy niebieskie, a Kacey - zielone, z inteligentnym błyskiem.

Myślał o niej, zastanawiał się, jak spędza Święto Dziękczynienia i pokonując samochodem krótki odcinek drogi do sąsiadów, poczuł żal na myśl, że tak rzadko się widują.

- Idiotyczne - mruknął i skręcił z odśnieżonej szosy w wyboistą drogę. Na posesji Zukovów stało już kilka samochodów.

- Co? - zapytał Eli.

- A nic, tak sobie myślałem - powiedział i zaparkował pod zimową jabłonką. Czerwone owoce wabiły wzrok wśród bezlistnych, ośnieżonych gałęzi.

- O czym?

- O tym, co w tym roku chciałbyś dostać na Gwiazdkę.

- Ale powiedziałaś: idiotyczne! - zauważył malec. Trace zgasił silnik.

- No tak, bo pomyślałem sobie, że może chciałbyś dostać rower górski.

- Super! - zawołał Eli, ale zaraz spoważniał i zmierzył ojca niespokojnym spojrzeniem. - Ale dlaczego to idiotyczne?

- Bo przecież masz rękę w gipsie, smyku! - Zmierzwił mu i tak niesforne włosy.

- Przecież to idiotyzm, sadzać cię na rowerze, kiedy masz złamaną rękę!

- Ale do tego czasu wszystko się już zrośnie! - Eli odpiął pas, otworzył drzwiczki i wyskoczył na zaśnieżone podwórko. Zanim Trace wysiadł, chłopiec już biegł do drzwi.

Jego radość była zaraźliwa i Trace czuł naprawdę minimalne wyrzuty sumienia, że go oszukał. Nie chciał jednak, by chłopiec poznał gorzką prawdę. Sam też wolał o niej nie myśleć.

A prawda była taka, że nie mógł przestać myśleć o Acacii Lambert.

A to oznaczało kłopoty, po prostu.

Kłopoty, których wcale nie potrzebował.

## Rozdział 11

Kacey nie podobało się to miejsce.

Nieważne, ile miało gwiazdek czy słoneczek, czy czym tam określa się standard domów spokojnej starości - Rolling Hills nie spełniało jej wyobrażeń o samodzielnym mieszkaniu. To jednak bez znaczenia - jej matka była zachwycona luksusowym, stuletnim hotelem, przekształconym w apartamenty. Z jej dwupokojowego mieszkania na najwyższym piętrze roztaczał się wspaniały widok na dachy miasta Helena, a daleko, na horyzoncie, majaczyły góry.

W kompleksie był basen i spa, siłownia, samochód z szoferem, jeśli pensjonariusz nie miał własnego wozu, choć każdy apartament miał przydzielone miejsce parkingowe w podziemiach hotelu.

Budynek był ogromny, wyposażenie najwyższej klasy, a mimo to Kacey opanowało uczucie nostalgii za domem, w którym mieszkała z rodzicami, małym bungalowem z wielkim ogrodem.

O to chodzi, stwierdziła. Rzecz po prostu w tym, że Rolling Hills to nie dom, w którym dorastała, w którym, po wylewie, umarł jej ojciec.

- Pani mama zaraz przyjdzie - zapewniła recepcjonistka, drobniutka kobieta w wąskich okularach do czytania, z ustami koloru żurawiny. -Może zechce pani spocząć... - Wskazała kilka foteli i kanapę przed potężnym kominkiem, wznoszącym się na wysokość dwóch pięter. Kacey pokonała przestronny hol i stanęła przy palenisku oddzielonym szybą, rozkoszowała się ciepłem pieszczącym jej tydki.

Od rozwodu, czyli od trzech lat, spędzała tu Święto Dziękczynienia i nic nie mogła poradzić na to, że czasami dopadała ją nostalgia. Nie zaczynaj znowu, nie upiększaj dzieciństwa. Sama wiesz, jak było...

Maribelle, jej matka, konsekwentnie odrzucała wszystkie zaproszenia córki, za to nalegała, żeby ta przyjechała do Heleny.

- Musisz, po prostu musisz - mówiła. - Mitchell, nasz szef kuchni, wyczarowuje istne cuda, nie będziemy musiały godzinami sterczeć nad garami. Zresztą, nie czuję się na siłach, żeby jechać tak daleko.

To akurat było wierutne kłamstwo. Kacey nie pojmowała, czemu matka tak chętnie posługiwała się argumentem wieku, nie mając jeszcze siedemdziesięciu lat. Maribelle Collins miała więcej energii niż niejedna kobieta o połowę od niej młodsza i zazwyczaj była bystra i lotna jak dawniej. Kacey podejrzewała raczej, że matka była królową Rolling Hills i ani na chwilę nie chciała opuszczać swoich włości.

Doszła także do wniosku, że łatwiej będzie pojechać do Heleny niż bez końca namawiać matkę.

- Jesteś, skarbie! - Głos matki niósł się echem po przestronnym holu. Kacey otrząsnęła się z zadumy i patrzyła, jak matka idzie w jej stronę w srebrzystej sukni, na wysokich obcasach.

Wysoka i władcza, Maribelle uśmiechała się promiennie i serdecznie uściśnęła dłonie córki na powitanie. Kacey była trochę zaskoczona -kiedy ostatnio się widziały, Maribelle bez końca narzekała i marudziła. Miała sześćdziesiąt pięć lat, a teraz była pełna życia i energii i wyglądała, jakby wybierała się na zakupy na nowojorskiej Piątej Alei. Miała siwe włosy, starannie ostrzyżone na pazia, błyszczące niebieskie oczy za oprawkami modnych okularów i mocno zarysowany podbródek znamionujący siłę i upór.

- Już nie mogłam się doczekać! No, chodź! - Prowadziła Kacey do jadalni na tyłach budynku. W oknach widniały świerkowe girlandy, spomiędzy igieł mrugały jasne lampki, na kominku buzował ogień, na stołach, nakrytych białymi obrusami, ustawiono biało-czerwone świąteczne stroiki z gwiazdy betlejemskiej.

Mieszkańcy ośrodka zajmowali tylko część stolików - niektórzy siedzieli parami, Kacey dostrzegła też grupkę przyjaciół i kilka samotnych osób.

- Cudownie, prawda? - zachwycała się Maribelle. - Trochę przesadzają w okolicach Bożego Narodzenia, ale z drugiej strony, właściwie dlaczego nie? O, tu jest mój stolik. - Wskazała miejsce pod oknem i przy okazji rozejrzała się dokoła po twarzach pozostałych mieszkańców. - Wielu osób dzisiaj nie ma, pojechali do dzieci, rodziny i tak dalej, więc mamy cały stolik dla siebie! - Po raz pierwszy od dawna wydawała się pogodna i podekscytowana. - No, siadaj. - Wskazała Kacey wyściełane krzesło, sama także usiadła i wyjęła z kieliszka lnianą serwetkę.

- A teraz opowiadaj. - Starannie rozłożyła ją na kolanach. - Co słychać w pracy?

- Jestem bardzo zajęta - zaczęła Kacey. Usiłowała zrozumieć zmianę, jaka zaszła w matce. Bez śladu zniknęła naburmuszona, posępna pesymistka; jej miejsce zajęła pogodna, radosna istota, kochająca cały świat. Zainteresowana córką. - Nie dalej jak wczoraj przywieźli kobietę. Spadła z urwiska Boxer Bluff, wiesz, wysoko nad rzeką. Chciała tam pobiegać, ale podobno potknęła się i spadła do wąwozu.

- Co za tragedia. Mam nadzieję, że postawisz ją na nogi. - Maribelle błysnęła zębami w uśmiechu i szybko zmieniła temat. - Zerknij tylko na menu. - Paznokciem pociągniętym żurawinowym lakierem wskazała jadłospis na talerzu Kacey. Tyle, jeśli chodzi o zainteresowanie pracą córki i zdrowiem pacjentki. - Popatrz tylko, mamy do wyboru pieczonego indyka albo stek wołowy. Do wyboru, wyobrażasz to sobie? To zasługa Mitcha, naszego nowego szefa kuchni. - W dziękczynnym geście podniosła ręce do nieba. - To dar z nieba po tej strasznej Crystal. Nie pojmuję, jakim cudem w ogóle dostała tu pracę... Chociaż właściwie, co mnie to teraz obchodzi? Nie wiem jak ty, ja wezmę indyka. Tradycja zobowiązuje!

Co się z nią stało, zastanawiała się Kacey, gdy matka skinęła na kelnerkę imieniem Loni i złożyły zamówienie. Maribelle ponownie rozejrzała się po sali i łaskawie pozwoliła nalać sobie kieliszek chardonnay, które przyniosła Loni.

Podano kolację. Sączyły wino, gawędziły, zajadały - zupę dyniową, sałatkę z orzechami laskowymi, fetą i borówkami i pięknie pokrojonego, wilgotnego indyka ze słodkimi ziemniakami z masłem, fasolką szparagową i delikatnym nadzieniem z sosem. Nie był to domowy posiłek, jaki na Święto Dziękczynienia serwowała Ada Collins, babka Kacey - indyk z farszem z chleba kukurydzianego, zapiekanka z fasoli z puszki Campbell's i bataty zapiekane z piankami, ale dało się zjeść.

Co ważniejsze, matka była pogodna, radosna, w nastroju niemal świątecznym, w przeciwieństwie do tamtych świąt na „farmie teściów”, którą teraz Kacey nazywała domem.

Dzisiaj matka uśmiechała się pogodnie i podtrzymywała rozmowę, zabawiała ją anegdotami z „życia seniorów”. Póki konwersacja dotyczyła Maribelle, wszystko wydawało się w porządku.

Niestety Kacey nie zdawała sobie sprawy, że matka zastawia na nią pułapkę, choć właściwie mogła się tego spodziewać.

Po daniu głównym Maribelle zadała pytanie, które zapewne od samego początku chodziło jej po głowie, może nawet od trzech lat.

- Powiedz - zagała przyjaźnie, patrząc na córkę nad stołem - co słyhać u Jeffrey'a?

Ach, więc to tak, pomyślała Kacey. Pułapka.

- Nie wiem.

Maribelle zrobiła zatroskaną minę.

- Może powinnaś do niego zadzwonić.

- Po co?  
- Z grzeczności. - Maribelle niewinnie wzruszyła ramionami. - Są święta.  
- Mamo, rozeszliśmy się. Trzy lata temu.  
- Och, skarbie, myślisz, że tego nie wiem? Ale... czasami ludzie do siebie wracają, są w stanie uporać się z przeszłością. - Maribelle spoważniała, odłożyła widelec na talerz. - Wiesz, zawsze go lubiałam.  
O tak, dobrze o tym wiedziała.  
- Nie ułożyło się nam.  
- Nie dałaś mu dość czasu. Trzy lata? Mój Boże, to tyle co nic. Z twoim ojcem spędziliśmy razem trzydzieści pięć lat! A uwierz mi, nie zawsze było różowo.  
Kacey wierzyła bez problemu.  
- Powinnaś się do niego odezwać.  
- Nie ma mowy, mamo. - Kacey odsunęła od siebie talerz. Matka westchnęła dramatycznie. W tej chwili podeszła do nich kelnerka z propozycjami deseru.  
- Ja poproszę sernik z dynią, z sosem karmelowym, i kawę bez-kofeinową - zdecydowała Maribelle szybko.  
- Dla mnie kawa z mlekiem - zawtórowała Kacey.  
- Skarbie, musisz wziąć deser. Jest w cenie posiłku i jest... nie-wy-o-bra-ża-l-ny - zapewniła matka i spojrzała na kelnerkę. - Czy Mitch robił dzisiaj creme brulee?  
- I to kawowy. - Loni uśmiechnęła się znacząco. Oczy Maribelle rozbłysły.  
- Mój ulubiony! Ale chyba jednak zostanę przy serniku! - Zwróciła się do córki:  
- Weź creme brulee i zjemy po połowie. Nie przesadzam, jest po prostu boski. Gdyby nie to, że jako tradycjonalistka chcę zjeść deser dyniowy, wzięłabym właśnie creme brulee.  
- Nie sądzę...  
- Och, Acacio! Są święta, na Boga! - Podniosła wzrok na kelnerkę. - Poprosimy i jedno, i drugie. W końcu są święta, a rzadko się widujemy. - Nakryła dłoń Kacey swoją wąską i chłodną, jakby wspólny posiłek miał je bardziej zbliżyć.  
- No dobrze. - Kacey dała za wygraną.  
- Nie pożałujesz. - Matka poklepała jej dłoń. Co się dzieje? Maribelle nie słyszeła z publicznego okazywania czułości.  
Kelnerka zniknęła za drzwiami do kuchni.



- Wiesz, myślę, że powinnaś dać Jeffreyowi drugą szansę. - Maribelle nie dawała łatwo za wygraną.

- Nie jestem zainteresowana, zresztą, zdaje się, jest zaręczony.

- Naprawdę? - Ciemne brwi Maribelle powędrowały w górę.

- Nie wiem na pewno i szczerze mówiąc, nie bardzo mnie to interesuje, ale moja przyjaciółka z Seattle, Joanna... chyba ją poznałaś? W każdym razie dzwoniła niedawno i mówiła, że Jeffrey żeni się w przyszłym roku.

- No cóż... - Maribelle bawiła się serwetką na kolanach. Świeca na stole rzucała cień na jej twarz i trochę ją postarzała. - Bo widzisz, bardzo chciałabym mieć wnuka.

- Naprawdę? - Kacey nie ukrywała zaskoczenia. Sama była jedynaczką i nieraz słyszała, że nie była planowanym dzieckiem. Owszem, wiedziała, że matka ją kocha, ale Maribelle nigdy nie była zbyt rodzinna, nigdy nie zależało jej na wnukach. Do dziś.

- Masz kogoś? - zapytała z nadzieją w głosie.

Niesforne myśli Kacey pomknęły do Trace'a O'Hallerana, ale zaraz wróciła na ziemię.

- Nie.

- Nie ma nikogo w szpitalu? Żadnego lekarza?

- Powiedziałam przecież...

- A randki internetowe? Widzę w telewizji mnóstwo reklam portali randkowych, a córka Judy Keller poznała miłość swojego życia na portalu matrymonialnym dla chrześcijan. Na pewno jest też taki dla osób z wyższym wykształceniem. Ba, ja to wiem, sprawdziłam.

- Nie mam na to czasu.

- Ależ oczywiście, że masz. To kwestia priorytetów, ot co! Zresztą na twoim miejscu nie przekreślałabym jeszcze Jeffreya. To powszechnie szanowany chirurg, napisał książkę, jeździ z wykładami po całym kraju.

- A skąd ty to wszystko wiesz? - zdziwiła się Kacey. Maribelle nawet nie drgnęła powieka.

- Skarbie, mam Internet. To cudowna sprawa. A na stronie Jeffreya nie ma żadnej wzmianki o jakiejś kobiecie w jego życiu.

Podano kawę i desery, ale uwagi Kacey nie uszło rozczarowanie w oczach matki. Maribelle uwielbiała Jeffreya Lamberta od pierwszej chwili.

- Kardiochirurg - szepnęła do córki z błyskiem w oku. - Ido tego taki przystojny.

Nieważne, że Kacey miała wkrótce skończyć medycynę. Ani że Jeffrey miał iście napoleońskie ego.

Wszystko sprowadzało się do tego, że w oczach matki doktor Jeffrey Lambert był nie lada kąskiem, a córka pozwoliła mu uciec. Podnosząc do ust łyżeczkę z creme brulee, Kacey zastanawiała się, jak Maribelle zareagowałaby na wiadomość, że teraz jej myśli zaprzętał prosty farmer z siedmioletnim synkiem.

Wreszcie, gdy matka była w siódmym niebie, pomrukując z rozkoszy nad sernikiem, Kacey poruszyła temat, który nie dawał jej spokoju.

- Powiedz, mam, ciotka Helen miała dzieci?

- Nie, skądże. - Maribelle podniosła głowę. - Nie mogli z Billem mieć dzieci, wiesz przecież.

- A ze strony taty?

- Nie, żaden z jego braci się nie ożenił. To przecież też wiesz.

- Może się nie ożenili... ale mieli dzieci, o których się nie mówiło? A może po prostu o nich nie wiesz?

Matka kręciła głową jakby było to nie do pomyślenia.

- O ile wiem, nie prowadzili bujnego życia towarzyskiego.

- Czyli twierdzisz, że nie mam żadnych... kuzynów, o których nigdy nie słyszałam? Ponieważ nigdy nie byliście z Helen zbyt blisko, pomyślałam...

- Co? Że cię okłamałam? Niby dlaczego miałabym to robić? - Matka, urażona, starannie rozprostowała serwetkę. - Mówię ci, nie masz żadnych kuzynów. Wiesz o tym doskonale. Nie rozumiem, dlaczego nagle o to pytasz.

- Dobrze, już dobrze. Wiem, że zabrzmiało to dziwnie, ale pamiętasz tę pacjentkę, o której ci opowiadałam, tę, która spadła podczas biegnięcia i wylądowała na OIOM-ie?

- Tak. Z Boxer Bluff. - A więc Maribelle jednak słuchała.

- Niestety nie przeżyła. Nazywała się Jocelyn Wallis, była nauczycielką i jak się okazuje, urodziła się w tych okolicach. I była do mnie bardzo podobna, tak bardzo, że część pracujących ze mną pielęgniarek wpadła w panikę, że to ja.

Matka umilkła po raz pierwszy od początku spotkania, a Kacey opowiadała dalej. Maribelle zdążyła jeszcze dwukrotnie złożyć i rozłożyć serwetkę, zanim córka przeszła do Shelly Bonaventure, kolejnej kobiety bardzo do niej podobnej i urodzonej w tych okolicach.

- Wiem z telewizji, że nie żyje. Jeśli chcesz znać moje zdane, kiepska z niej była aktorka - skomentowała Maribelle. - Rzeczywiście, chyba była do ciebie trochę podobna, ale co z tego? - Pokręciła głową. - Co ty sugerujesz? Że ich ojcami byli twoi stryjowie? - Przewróciła oczami. - A potem co? Adoptowano je i ślad po nich zaginął?

- A może tata, zanim cię poznał...

- Acacio, dość tego! Przestań w tej chwili! Myślisz, że nie wiedziałabym, gdyby Stanley miał inne dzieci? - oburzyła się.

- Może sam nie wiedział.

- Na Boga, mówimy o twoim ojcu! Nie pamiętasz go? - Posłała córce ostre spojrzenie. - Umarłby ze wstydu, gdyby tu z nami był! A teraz pewnie przewraca się w grobie! - Wzdrygnęła się teatralnie. - Twoi znajomi mają wybujałą wyobraźnię albo za mało roboty. - Odchyliła się do tyłu, zmierzyła córkę surowym wzrokiem, potrząsnęła głową. -Doprawdy, Acacio! Ilu, twoim zdaniem, kuzynów przed tobą ukrywamy?

- Może żadnego, nie wiem, mówię tylko, że to dziwne.

- W życiu tyle rzeczy wydaje się dziwnych, jest tyle zbiegów okoliczności .... - Zrobiła cudzysłów w powietrzu i machnęła ręką zbywając temat jako nieważne bzdury, ale nonszalancki stosunek nie do końca maskował niepokój w oczach, który Kacey dostrzegła, gdy matka dodała: - Pomyśl tylko, ludzie wszędzie dostrzegają podobieństwa. Niektórzy robią karierę dzięki temu, że są podobni do celebrytów. No dobrze, koniec tych głupot! - Ponownie skoncentrowała się na cieście. - Mitch tym razem naprawdę przeszedł samego siebie. Spróbuj odrobinę, tylko koniecznie z bitą śmietaną!

- Niezły unik, mamó - mruknęła.

- Spróbuj wreszcie ciasta i skończ to idiotyczne przesłuchanie...

- To nie przesłuchanie, ja tylko pytam o naszą rodzinę.

- A ja ci odpowiedziałam, więc skończmy już ten temat.

I nagle matka stała się tą Maribelle Collins, którą Kacey знаła od lat: zaciśnięte wargi, wysunięty podbródek, zmrużone oczy, lekko pochylona głowa. Wiedziała już, że niczego więcej się nie dowie. Nie dzisiaj, nie od matki.

Maribelle nie zdawała sobie sprawy z czegoś innego - zamiast odwrócić uwagę córki od tego tematu, tylko podsyciła jej zainteresowanie, niejako zmusiła do dalszych poszukiwań. Jest wiele sposobów; można sprawdzić na przykład akty urodzenia, do których, jako lekarz,

miała ułatwiony dostęp. Na razie da matce spokój, nie ma powodu, by ją denerwować. Ale na pewno nie zrezygnuje z dalszych poszukiwań.

Dorastając, nauczyła się, że jest pewna granica, dalej już niczego z matki nie wyciągnie. Na razie więc nie naciskała. Zresztą to i tak bez znaczenia. Jeśli Maribelle nie chciała o czymś rozmawiać, po prostu milkła i tyle.

Czas więc zamarkować pokój, choć wcale nie zamierzała przestać.

- Dobrze - mruknęła i uniosła łyżeczkę do ust. - Przekonajmy się, czy sernik Mitcha jest tak pyszny, jak twierdzisz. - Pochyliła się nad stołem, nabrała ciasta na łyżeczkę i widziała, jak pod srebrnym jedwabiem ramiona matki rozluźniają się. - Rzeczywiście pyszny - orzekła, udając zachwyconą karmelowym smakiem. W rzeczywistości zastanawiała się, dlaczego matce tak zależało, by zmienić temat i nie rozmawiać dalej o ojcu, kuzynach i rodzinie. O ile przedtem nie miała tego uczucia, teraz wiedziała na pewno, że w rodzinnej szafie kryje się niejeden kościotrup.

## Rozdział 12

A co ty tu jeszcze robisz?

Głos szeryfa niósł się echem w pustym korytarzu.

Alvarez, siedząca za biurkiem, ze wzrokiem wbitym w monitor komputera, podniosła głowę, gdy Dan Grayson wszedł do jej pokoiku.

Poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła, jak zawsze, gdy przebywała z nim sam na sam. Najdziwniejsze, że to nie dlatego, że był jej szefem; pracowała, odkąd skończyła piętnaście lat, miała różnych zwierzchników i nigdy tak na nich nie reagowała, ale w Graysonie było coś, co stawiało ją do pionu i nie bardzo jej się to podobało.

- Musiałam dokończyć parę starych spraw. - Odwróciła się z krzesłem i zobaczyła, że stoi za nią.

Wypełniał sobą całe drzwi, był potężny, o szerokich barach i wąsach przyprószonych siwizną. Tuż za nim stał jego pies, czarny labrador, Sturgis, weteran policyjny.

- Zdajesz sobie sprawę, że dzisiaj święto?

- Tak, coś słyszałam, Święto Dziękczynienia.

Zachichotał nisko, gardłowo. Lubiała ten dźwięk i nagle sama zapragnęła się uśmiechnąć. Boże drogi, co się z nią dzieje?

- Nie pozwoliłem na nadgodziny.
- A ja nie prosiłam, prawda?
- Ani korzystanie ze służbowego komputera. Skinęła głową.
- Jak powiedziałam, nadrabiam zaległości.
- Idź do domu. Dzisiaj święto - powtórzył.

Wzruszyła ramionami. Szczerze mówiąc, nigdy nie zwracała szczególnej uwagi na święta. Większość jej rodziny mieszkała w Woodburn, w Oregonie, a jej małe mieszkanie było tylko miejscem do spania, nie domem, do którego chciałaby zaprosić nielicznych przyjaciół bliskich na tyle, by spędzać z nimi czas. Zresztą wszyscy mieli swoje rodziny, swoje tradycje. Wcześniej do pracy zajrzała Pescoli i gdy się dowiedziała, że Alvarez nie ma na dzisiaj planów, zaprosiła ją z obowiązku. Alvarez odmówiła, ale poczuła głupie uczucie żalu, że jest sama jak palec, zwłaszcza gdy Pescoli odeszła szybko, żeby spotkać się z Santaną. Alvarez przez okno odprowadzała wzrokiem jej dżipa, jak brnął przez śnieg, i westchnęła głośno. Wyobrażała sobie Pescoli i Nate'a Santanę, jak jedzą kolację we dwoje, przy kominku, w wiejskiej chacie Santany, gdzie w piecu dochodzi indyk, a potem kochają się do późna w noc.

Ta myśl nią wstrząsnęła.

Czas sprawić sobie zwierzaka, stwierdziła i ponownie zajęła się pracą tutaj, na posterunku.

Teraz, czując na sobie wzrok Graysona, powiedziała:

- Spokojnie tutaj, kiedy jestem sama i nikt mi nie przeszkadza, mogę więcej zrobić.

- A później? Jakie masz plany?

- Chińczyk na wynos.

Uśmiechnął się, widziała, jak jego usta drgnęły pod węsami.

- Brzmi świetnie, ale może wpadłabyś do mnie? - Jej głupie serce zabiło żywiej.

- Wpadnie kilku przyjaciół, koło szóstej. Na luzie.

Więc nie byłiby sami. Dobrze.

- Może wpadnę. Znowu zachichotał.

- Zabrzmiało jak niezbyt zawoalowane: nie, dzięki.

- Bez przesady, z nutą nieśmiałości i niekategoryczne.

- Trzymam cię za słowo. - Przyglądał się jej uważnie oczami brązowymi jak jej własne i bez słów zarzucał, że go splawia. - A teraz uciekaj stąd. - Jakby sam sobie przyznawał rację, skinął głową.

zagwizdał na psa i wyszedł tylnymi drzwiami. Słuchała cichnącego echa jego kroków i stukania psich pazurów.

Opadła na oparcie krzesła i upomniała się w myślach, że Grayson to jej szef. No dobra, podobał jej się, działał na nią ten niechlujny, farmerski urok. Żyłasty i muskularny, miał długie nogi, szerokie barki i wąskie biodra kowboja. O ile wiedziała, prawie całe życie spędził w tej okolicy. Kiedyś był żonaty, ale niewiele wiedziała na ten temat; Grayson mało o sobie mówił, co było zresztą kolejnym powodem, dla którego go lubiła. Pod tym względem byli do siebie bardzo podobni.

Dzisiaj jednak nie kłamała. Na posterunku panowała cisza, jeśli nie liczyć monotonnego szumu ogrzewania i ciepłego powietrza płynącego traktem wentylacyjnym. Wreszcie mogła w spokoju popracować, nie rozpraszały jej rozmowy kolegów, dzwoniące telefony, buczące faksy i co chwila przychodząca poczta elektroniczna. Jednak nie nadrabiała zaległości, wbrew temu, co powiedziała Graysonowi.

Przeglądała wyniki sekcji zwłok Jocelyn Wallis i wyniki testu toksykologicznego.

Z autopsji wynikało, że nauczycielka cierpiała na chorobę serca, poważniejszą niż mogło się wydawać. Zdaniem patologa jej żyły przypominały naczynia krwionośne kobiety dwukrotnie starszej - skutek kiepskich genów i niewłaściwego trybu życia. Nieleczona, doznałaby pewnie zawału serca i niewykluczone, że umarłaby młodo. Nie było śladów niedawnych czynności seksualnych, natomiast w jej organizmie wykryto, oprócz leków bez recepty, które brała na gripę, ślady arszeniku.

Przejrzała raport z zawartości żołądka i nie znalazła niczego wyjątkowego. Rosół z warzywami, kawa i nic więcej.

Dziwne. Sekcja, zamiast rozwiać jej wątpliwości, tylko je umocniła. Spojrzała na zdjęcie denatki i zapytała na głos:

- Co się właściwie stało??

I, co ważniejsze, kto za tym stał?

Jocelyn miała dwóch byłych mężów, jeden mieszkał na przedmieściach Laramie w Wyoming, drugi w Kanadzie, w Edmonton w prowincji Alberta. Obaj mieli murowane alibi, zresztą wyglądało na to, że właściwie nie utrzymywali kontaktów z byłą żoną. Nie mieli powodów - nie łączyły ich ani wspólne dzieci, ani interesy.

Co więcej, Jocelyn nie miała wysokiego ubezpieczenia na życie; była to sumka tak mała, że ledwie pokryje koszty pogrzebu. A zatem i tutaj nie było powodu do podejrzeń. Samochód był na kredyt, więc

nikt go nie odziedziczy. Zaintrygowały ją natomiast bilingi rozmów telefonicznych. Jocelyn rozmawiała z przyjaciółkami, ale kilka razy wybrała też numer Trace'a O'Hallerana, choć chyba ograniczała się do zostawiania wiadomości, bo połączenia były bardzo krótkie.

Czy to mogło coś oznaczać, zastanawiała się. O'Halleran pojechał do mieszkania Jocelyn, sam to powiedział; zapewne znajdującego odciski palców wśród tych zabezpieczonych na miejscu. Był jedną z nielicznych osób, które wiedziały, gdzie trzyma zapasowy klucz, choć właściwie każdy mógłby go znaleźć.

Ale mimo wszystko... był ostatnim mężczyzną z którym się spotykała, którym była zainteresowana. To właśnie do niego zadzwonili ze szkoły, gdy martwili się o nią.

Wydawał się normalny, ale nawet spokojni, przeciętni ludzie są zdolni do przemocy, gdy się ich sprowokuje.

Warto przyjrzeć mu się dokładniej.

Wyłączyła komputer i uznała, że może jeszcze chwilę popracować. Mimo święta w laboratorium pracowało kilka osób, więc zadzwoniła i umówiła się z Mikhailem Slatkinem, dyżurnym technikiem, w mieszkaniu Jocelyn Wallis. Teraz, gdy miała dowód, że Wallis nie zginęła dlatego, że się potknęła, chciała dokładniej przyjrzeć się jej domowi, jej życiu, jej pracy.

Włożył czarne spodnie, białą wykrochmaloną koszulę i sweter, przeczesał włosy przed lustrem i uznał, że wygląda doskonale, idealnie na spektakl pod tytułem rodzinne Święto Dziękczynienia.

Szczerze mówiąc, nie znosił świąt, wszelkich świąt, ale robił dobrą minę do złej gry, przyklejał uśmiech do twarzy i jechał w śniegu do domu siostry, potężnego gmaszyska nad jeziorem, w stanie wiecznego remontu.

Jego liczna rodzina gromadziła się tu co roku w trzeci czwartek listopada, więc i on musiał się pojawić - i zawsze to robił. Udawał, że interesują go ich przyziemne problemy, ba, nawet bawił się z siostrzenicami i bratankami, i zrećźnie unikał pytań o życie osobiste i kobiety, z którymi się spotykał.

Bo wiedział, że nic ich to nie obchodzi. Nie ufali mu. Zawsze był i zawsze będzie wyrzutkiem, outsiderem. Choćby nie wiadomo jak bardzo starał się stać częścią zżytej grupy.

Cmoknął siostrę w policzek, wręczył jej butelkę drogiego wina, które wzbudziło zachwyty jej i jej męża. Podniósł pulchną siostrzenicę,

aż zachichotała z radości. Nic dziwnego, był przecież tym fajnym wujkiem. Ba, posunął się aż do tego, że wraz z siostrzeńcem wyszedł na dwór i brnął przez śnieg, by podziwiać jego bałwana i igloo, do którego małej, oczywiście, wstęp był wzbroniony.

Po wejściu do domu był czarujący, ścierpiał nawet kolejną opowieść siostry o tym, co w tym roku zmieniają w domu - tym razem był to remont łazienki gościnniej w południowym skrzydle i wymiana rur kanalizacyjnych w tej części posiadłości.

- Mam nadzieję, że do Bożego Narodzenia skończymy. Mój Boże, to już za pięć tygodni! - stwierdziła, patrząc na ziejące pustką dziury po sedesie i umywalce. Ze ścian i posadzki zbito kafelki i terakotę, zostało jedynie pęknięte lustro. Westchnęła dramatycznie. - Chyba muszę pogonić ekipę!

- Będzie cudownie - zapewnił z wymuszonym entuzjazmem.

- Mam taką nadzieję. Wtedy u nas zostaniesz! Będziesz miał własny apartament, a dzieci będą zachwycone! - Jej oczy pociemniały odrobinę przy tym kłamstwie. - Ja też. - Dotknęła jego ramienia, jej dłoń została na nim chwilę za długo. Cofnęła ją ledwie wszedł jej mąż o tubalnym głosie.

- Witaj w naszym koszarze. Odwiecznym koszarze.

Wrócili na parter. Pod byle pretekstem pozbył się siostry i jej głupekowatego męża i zadbał, by muzyka grała cały czas, by wszyscy mieli co pić, by ojciec nigdy nie siedział sam. Oczywiście to on dostąpił zaszczytu pokrojenia indyka, pozwolił nawet ubrać się w idiotyczny fartuch szwagra.

Podczas posiłku przy, zdawałoby się, nieskończenie długim stole, uśmiechał się i żartował, i sprytnie unikał co bardziej osobistych pytań. Znad kieliszka z winem puścił oko do kuzynki i ona, która przyglądała mu się przez cały wieczór, zarumieniła się i odwróciła wzrok.

Siostra oczywiście dostrzegła to i wyduła usta z dezaprobatą.

Cała rodzina była ciekawa, jak wygląda jego życie miłosne, a on dawał im tylko tyle informacji, by podsycać tę ciekawość, choć tak naprawdę bawiło go obserwowanie, jak usiłują wyswatać go z różnymi kobietami.

Jakby był zdany na ich łaskę.

W tym roku zaczęła jego siostra, opowiadając o przyjaciółce, która była w trakcie burzliwego rozwodu. Przyjaciółka była ładna, zgrabna,



miała dobrą pracę i żadnych dzieci. I niewykluczone, że zgarnie kilkaset tysięcy, jeśli nie oszuka jej ten drań, jej mąż.

Potem była mowa o byłej dziewczynie jednego z braci, która jakoby wróciła do miasta, znowu sama. Matka to podkreśliła, jednak ojciec zaraz dodał, że akurat ta kandydatka ma już troje dzieci, z których najstarsze chodziło już do liceum.

- A ta koleżanka z pracy? Jak jej na imię? No wiesz, która. Prawniczka, zdaje się? I taka ładna. I bystra.

Co za szkoda, że ze względu na pracę on musi tak często wyjeżdżać.

Powinien się ustatkować, pouczał ojciec. Czyżby się bał? Czyżby coś podejrzewał?

Może w przyszłym roku trochę zwolni, będzie spędzał tu więcej czasu...

Pozwalał, by rozmowa toczyła się swoim torem, uśmiechał się miło, paplał o nadchodzących świętach, o wspólnej Gwiazdce, choć z każdą chwilą było mu ciężiej.

Siostra odciągnęła go na bok, gdy pomagał znosić naczynia po kolacji, i zwierzyła się, że martwi się o ojca. Nie wiadomo, czy staruszek doczeka kolejnego Święta Dziękczynienia. Każdy dzień jego życia to cud, czy nie zdaje sobie z tego sprawy?

Przyszły rok? Nie bardzo to sobie wyobrażała.

Pewnie, że nie. Kto wie, jaki remont do tego czasu wymyśli?

On jednak był gotów postawić pięć do jednego, że stary przeżyje wszystkie swoje dzieci, a to nie lada wyczyn.

Począł, aż ojciec dopił szkocką whisky i wraz z żoną wpakował się do czekającego cadillaka, z szoferem, ma się rozumieć. Uściskał mu rękę. Dłoń ojca była równie silna jak zawsze.

- Powiedz coś do mamy - nalegała siostra i, kłamiąc jak z nut, zapewnił staruchę, że wygląda promiennie i że już nie może się doczekać wspólnych świąt Bożego Narodzenia.

Ledwie zniknęli na podjeździe za śnieżną kurtyną pomknął myślami do przyszłości. Pożegnał się szybko, tłumacząc wczesnym lotem następnego dnia, i niemal pobiegł do samochodu.

Dopiero gdy stary dom zniknął mu z oczu, pozwolił sobie na chwilę odprężenia i stał z twarzy sztuczny uśmiech, który gościł na niej od pięciu godzin. Potarł bliznę pod zarostem, spochmurniał.

Nie miał czasu na święta ani inne bzdury.

Z radia płynęła durna piosenka świąteczna. Wyłączył je, wpatrzony w szosę, w snopy światła z reflektorów, przecinające śnieżną ciemność. Kilometry upływały zbyt wolno.

Nie miał czasu do stracenia.

Miał jeszcze tyle do zrobienia.

A ci niewdzięcznicy, jego krewni, nie mieli o tym pojęcia. I nigdy się nie dowiedzą. Nigdy.

## Rozdział 13

To by było tyle - stwierdziła Alvarez, gdy wraz ze Slatkinem i jego asystentką Ashley Tang zapakowali i zanieśli do furgonetki wszystko, co chcieli przebadać, z mieszkania Jocelyn Wallis. Oczywiście uprzednio wszystko obfotografowali, opisali i skatalogowali, dopiero potem zataszczyli ścieżką wydeptaną w śniegu do policyjnego wozu.

Mikhail Slatkin, niespełna trzydziestoletni, wysoki, grubokościsty, inteligentny i zamknięty w sobie, był pod względem fizycznym całkowitym przeciwieństwem swojej współpracownicy. Tang, drobna Azjatka, ważyła, na oko Alvarez, niecałe pięćdziesiąt kilogramów, i to w zimowych butach i ocieplanej kurtce. Jeśli wierzyć plotkom, ukończyła uniwersytet Stanford w wieku dwudziestu jeden lat, a teraz, mając dwadzieścia osiem, była bystra i skoncentrowana na pracy, co Alvarez rozumiała aż za dobrze.

We trójkę przeszukali mieszkanie, zbierali dowody, które wcześniej mogły ujść ich uwagi - przecież do niedawna nie wiedzieli, że ofiara była podtruwana i, według Alvarez, zamordowana, choć nie do końca jeszcze rozumiała, jak do tego doszło.

Fakt, w jej ciele znaleziono truciznę, ale przecież przyczyną śmierci były obrażenia po upadku. Czy zrobiło jej się słabo i dlatego potknęła się i runęła w przepaść? A może zabójca był w pobliżu i nie chcąc czekać, aż trucizna zrobi swoje, pchnął ją w otchłań?

Slatkin otworzył drzwiczki białej furgonetki, teraz poszarzałej od brudu, na którym ktoś napisał palcem: UMYJ MNIE.

- Muszę to mieć jak najszybciej - rzuciła Alvarez, gdy Slatkin pakował materiał dowodowy do samochodu.

Zatrzasnął drzwiczki.

- Też mi nowina.

Tang zajęła fotel pasażera. Jej oddech unosił się białym obłoczkiem na mroźnym powietrzu.

- Zaraz się tym zajmiemy - zapewniła.

Alvarez szła do swego dżipa, gdy pod wiatę wjechał starszy model niebieskiego plymoutha, a z auta wysiadła kobieta koło osiemdziesiątki, otulona wielkim płaszczem. Ledwie postawiła stopy na asfalcie, z samochodu wyskoczył szaleńczo energiczny i radosny jamnik w idiotycznym swetrze w tym samym odcieniu, co szalik jego właścicielki. Pies szarpał się na smyczy, szczekał zajadle i biegał dokoła swojej pani - a potem spojrzał na Alvarez i znieruchomiał. Ciemne ślepia przyglądały się jej podejrzliwie.

- Grzeczny piesek, Kaiser, tak, tak. - Właścicielka uspokoiła go, otworzyła bagażnik i wyjęła torbę z zakupami.

Kaiser zawarczał na Alvarez, aż właścicielka spojrzała na nią znad okularów i zachichotała.

- Proszę nie zwracać na niego uwagi - powiedziała. - Tylko warczy, nie gryzie. - Zatrzasnęła bagażnik i zagwizdała na psa. - Idziemy, Kaiser.

- Przepraszam, czy pani tu mieszka?

- Tak, w Jeden C. - Wskazała drzwi - tuż obok mieszkania Jocelyn Wallis.

- Jest pani sąsiadką Jocelyn Wallis.

Kobieta wykrzywiła usta w podkówkę, ściągnęła brwi nad ciemnymi oprawkami okularów.

- Tak jest. Biedaczka. Słyszałam, co się stało, widziałam w telewizji. Wie pani, akurat nie było mnie w mieście, byłam u Frannie. Jezu, ależ z niej beznadziejna kucharka. To moja siostra i bardzo ją kocham, ale myśli pani, że kiedykolwiek raczyła zajrzeć do książki kucharskiej albo chociaż sprawdzić przepis w Internecie? A skądże. Co roku to samo, wsadza tego nieszczęsnego indyka do pieca i trzyma tam, aż wyschnie na wiór - to znaczy mięso, ale nie farsz. Jakim cudem można wysuszyć indyka i zarazem nie dopiec farszu, który jest paskudnie lepki? - Jakby zdała sobie sprawę, że papła bez sensu, wzięła się w garść. - Bardzo mi szkoda Jocelyn. To była bardzo miła dziewczyna, to znaczy kobieta, taka trochę... - Nie bardzo wiedząc, co chce powiedzieć, wzruszyła ramionami, szarpnęła smycz i pociągnęła Kaisera w stronę domu.

- Bardzo panią przepraszam. - Alvarez wyjęła odznakę i przedstawiła się. - Jeśli pani nie ma nic przeciwko temu, chciałabym chwilę

porozmawiać o pani Wallis. - W rzeczywistości właściwie nie rozmawiali z sąsiadami, zakładali przecież, że śmierć nauczycielki była przypadkowa.

- Ależ oczywiście. - Kobieta dokładnie przestudiowała jej legitymację. - Nazywam się Lois Emmerson... ale zapraszam do środka, będzie nam cieplej. - Przełożyła zakupy do drugiej ręki, podeszła do drzwi mieszkania sąsiadującego z apartamentem Jocelyn Wallis, otworzyła je i wprowadziła Alvarez do schludnego przedpokoju.

Postawiła zakupy na kontuarze oddzielającym kuchnię od saloniku, zdjęła Kaiserowi smycz, odwiesiła na miejsce, zdjęła płaszcz, rękawiczki, szalik i czapkę. Pod wierzchnią warstwą odzieży krył się czerwony sweter w białe grochy - taki sam jak psa.

- Robi pani na drutach - stwierdziła Alvarez.

- Namiętnie! Nie ma takiego kłębka, którego bym nie pokochała! - Pies zaglądał ciekawie do spiżarni, więc dała mu psie ciasteczko i zaproponowała: - Zaparzę herbatkę.

Alvarez usiłowała podziękować - na darmo. Lois Emmerson orzekła, że obie muszą się rozgrzać i gdy podgrzewała wodę w mikrofalówce, stawało się coraz bardziej jasne, że starszej pani doskwierała samotność. Była sama, nie miała dzieci, tylko Kaisera do towarzystwa i tę nieszczęsną nieumiejącą gotować Frannie za siostrę. Wyglądało na to, że chce pogadać, więc Alvarez zdjęła kurtkę i położyła ją na kuchennym stolku.

- Wspominała pani, że coś w Jocelyn Wallis nie dawało jej spokoju.

- Nie, właściwie nie. - Zadzźwięczała mikrofalówka. Lois uwijała się jak w ukropie, zwinnym gestem, przeciwiczonym zapewne tysiące razy, wyjęła dzbanek z kuchenki mikrofalowej i nalała wrzącej wody do dwóch porcelanowych filiżanek, odbarwionych od niezliczonych porcji herbaty. Do swojej wrzuciła używaną już torebkę i zwróciła się do Alvarez: - Pomarańczowa czy earl grey?

- Pomarańczowa - zdecydowała policjantka, żeby nie przerywać rozmowy. Stała przy kontuarze i patrzyła, jak Lois wyjmując z szafki paczkę herbaty liściastej i wsypuje łyżeczkę do filiżanki.

Wywar nabierał mocy. Starsza pani przesunęła filiżankę w stronę Alvarez.

Policjantka nie dawała za wygraną.

- Powiedziała pani: to była miła dziewczyna, kobieta właściwie, tylko trochę... i nie dokończyła pani. Co pani właściwie chciała powiedzieć?

- Och. No cóż. - Jakby nagle pogrążona w myślach, Lois machinalnie wyciągała i zanurzała swoją herbatę, w końcu jednak zostawiła ją w filiżance. - Jocelyn była skomplikowana, choć nie znałam jej zbyt dobrze. - Wycisnęła herbatę do sucha i cisnęła do kosza na śmieci. Kaiser natychmiast wsunął długi nos do otwartego kubła. - O nie, mój panie! Wiesz, że tam nie wolno!

Jamnik uciekł z kuchni z podkulonym ogonem. Lois szła za nim. Wskazała Alvarez wiekowy fotel.

- Jak to: skomplikowana?

- Może użyłam złego słowa. - Lois dmuchała na swoją filiżankę i usadowiła się na miękkim krześle. Oparła łokcie na stole. - Jocelyn była młoda i... może nie szalona, ale zdesperowana, rozpaczliwie poszukiwała miłości. Była już mężatką wie pani? I to dwukrotnie, a ile miała lat? Trzydzieści cztery? - Usta Lois wykrzywiły się z dezaprobatą.

- Trzydzieści pięć - poprawiła Alvarez. - W dzisiejszych czasach wiele osób ma w tym wieku za sobą kilka poważnych związków.

- Och, tak, wiem, wiem i wcale jej nie osądzam. - Lois energicznie pokiwała głową i dodała: - Ale miałam wrażenie, że rozpaczliwie szukała miłości. Mężczyzny. Wchodziła na portale randkowe, i był jeszcze ten ojciec jednego z jej uczniów. Była zdesperowana. - Upiła łyk herbaty. - Powtarzam, to tylko moje zdanie.

- Wielu mężczyzn ją odwiedzało?

Lois sączyła herbatkę, więc tylko machnęła ręką jakby nie wiedziała, jak na to odpowiedzieć. Może tak, może nie.

- Kilku widziałam, ale nie jestem wścibska, więc właściwie nie wiem. Był ten farmer, ojciec jednego z jej uczniów. Chyba już o nim wspominałam. Wysoki, przystojny. Trask, Trevor albo...

- Trace O'Halleran.

- Tak jest, właśnie on. Ale to było już dawno. - W zadumie wydeła usta. - Chyba bardzo się na nim zawiodła. Jej zegar biologiczny tykał coraz głośniejsze.

- A ostatnio? Spotykała się z kimś?

- Nikim konkretnym, ale było chyba kilku mężczyzn. Jeden, wysoki i umięśniony, wyglądał mi na ciężarowca, wie pani, chodził tak sztywno wyprostowany. Jeździł ciemnym pikapem, tak mi się wydaje. Zapamiętałam, bo ten łobuz Kaiser obsikał mu przednią oponę. Michelin, to pamiętam.

- Miał tutejsze numery rejestracyjne?

- Och... nie wiem. - Pokręciła głową. - Kiedy Kaiser to zrobił, zaraz zabrałam go do domu.

- Pamięta pani może, jaki to był samochód? - wypytywała Alvarez. To pewnie nic takiego, ale i tak nie miała żadnego punktu zaczepienia.

- Nie, ale był duży, nie taki mały.

- Krajowej produkcji? Wzruszyła ramionami.

- Pamiętam tylko, że był ciemny, czarny, granatowy albo grafitowy, i w miarę nowy, bez żadnych zadrapań, i miał ładne opony. - Zdławiła uśmiech, jakby jej pies był tyleż bystry, co niesforny.

- Ale nie widziała pani jego twarzy.

- Nie.

- A coś więcej? Był biały? Ciemnoskóry? Latynos?

- Chyba biały, nie jestem pewna.

Tyle, jeśli chodzi o tajemniczego mężczyznę.

- Często tu bywał?

- Nie wiem, po prostu kilka razy zauważyłam jego samochód. Widziałam go raz, jak szedł do drzwi, a ja byłam tuż za nim z Kaiserem. - Uśmiechnęła się ze skruchą. - Przykro mi.

- Mówiła pani, że był ktoś jeszcze?

- Och... może tak, może nie. - Zamyśliła się. - Właściwie chyba tylko ten z ciemnym pikapem.

Alvarez zadała jeszcze kilka pytań, ale nie dowiedziała się niczego nowego. Pani Emmerson niewiele wiedziała o przyjaciółkach Jocelyn, choć wydawało się, że jej znajomi ograniczali się do pracowników szkoły Evergreen. Podobno miała siostrę gdzieś poza granicami stanu i rodziców. Sąsiadki spotykały się właściwie tylko przy skrzynce pocztowej i na parkingu, gdy Jocelyn biegała, a Lois wyprowadzała Kaisera. Wszystko, co wiedziała, poskładała z drobnych strzępów informacji.

Alvarez dowiedziała się wszystkiego, co mogła, choć nie było tego wiele, i dopiła herbatę. Zbierała się do wyjścia, gdy Lois spojrzała na nią pytająco.

- Mogę pani powrócić?

- Słucham?

- Z fusów w filiżance. Właśnie dlatego dostała pani herbatę sypaną żeby mogła powrócić.

- Umie pani? - Alvarez nie wierzyła własnym uszom. Odkąd zamieszkała w Grizzly Falls, poznała Ivora Hicksa, który zaklinał się, że

przed laty porwali go i badali kosmici, i Grace Perchant, która z kolei utrzymywała, że komunikuje się z duchami i widzi przyszłość, a teraz jeszcze to... Kobieta o wyglądzie emerytowanej bibliotekarki będzie jej wróżyć z herbacianych fusów?

- Pewnie, że umiem.

- Proszę bardzo - mruknęła, choć Lois nie czekała na zgodę, zdążyła już wstać i obejść stół i teraz zaglądała do jej filiżanki. Odwróciła ją do góry dnem, tak, żeby resztki płynu wsiąkły w serwetkę, a potem postawiła na stole i przyglądała się fusom na dnie.

- Och, no tak... hm...

Alvarez nie dała się złapać na tak prostą przynętę.

- A to ciekawe - mruzczała Lois do siebie, a gdy Alvarez nadal nie reagowała, dodała: - Zdaje się, że zanoszą się na zmiany... w życiu zawodowym? A może nie. Na pewno jest też miłość, ale... - Zmarszczyła brwi.

Nie pytaj! Ale słowa same cisnęły się na usta.

- Ale co?

- Widzę też niebezpieczeństwo.. .zło. - Wskazała zwitek liści przy krawędzi filiżanki. - To terazniejszość, a serce jest tutaj, w przyszłości... - Uniosła siwą brew.

- Nowy chłopak?

- Nie sądzę. - Alvarez wzięła kurtkę ze stołka.

- Pani pewnie z tych niewierzących.

- Zależy w co. - Zakładała kurtkę, gdy Kaiser, który do tej pory grzecznie leżał pod stołem, zerwał się na równe nogi. Ujadając wściekle, podszedł do przesuwanych drzwi, wspiął się na tylne łapy i drapał w szybę z gniewnym warczeniem.

- Spokój, Kaiser! Przestań! - Lois odsunęła krzesło od stołu. - Co na miłość boską...? - Wstała, podeszła do drzwi. - O rany. - Podniosła rękę do piersi, wpatrzona w szybę.

Alvarez podążyła za jej wzrokiem i zobaczyła przemarzniętego kota siedzącego na stole na werandzie. Wielkie oczy bez mrugnięcia wpatrywały się w głąb mieszkania.

- Dobry Boże, przecież to kotka Jocelyn! Na miłość boską nie mogę jej wpuścić ze względu na Kaisera. Rozerwie ją na strzępy... ale biedaczka zamarźnie.

- Ja ją wezmę.

- O nie, nie pozwolę oddać jej do schroniska! Znajdziemy jej dom. -Głęboko poruszona Lois schyliła się i wzięła na ręce pobudzonego psa.

- Wezmę ją do domu.

- Och, w takim razie - świetnie!

Kaiser nadal szczekał i warczał, jakby zobaczył samego diabła. Lois wyniosła go z pokoju.

- Jego kojec jest w mojej sypialni - zawołała przez ramię i skarciła psa: - No, panie Kaiser, co to za zachowanie? - Jej głos cichł w korytarzu, a kotka z oszronionymi wąsami popatrzyła na Alvarez.

Odblokowała drzwi, uchyliła je. Zwierzak bez wahania wślizgnął się do środka. Był czarny, nie licząc białych skarpetek i krawatki pod szyją. Od razu zaczął się ocierać o nogawkę jej dżinsów.

- Cześć. - Pochyliła się, pogłaskała wyprężony grzbiet i przepadła z kretesem, gdy kotka zaczęła wywijać ósemki wokół jej kostek.

Gdzieś daleko trzasnęły drzwi.

- On naprawdę nienawidzi kotów! - sapnęła Lois, wracając do pokoju. - O widzę, że już się panie zaprzyjaźniły. Biedaczka pewnie umiera z głodu.

- Nakarmię ją.

- Dobrze, bardzo dobrze! - Lois chciała ją pogłaskać, ale kotka uciekła pod kanapę. - Aha, teraz jesteś taka nieśmiała! Wie pani co, mam zapasowy transporter z czasów, gdy Kaiser był szczeniakiem. Możemy ją w niego zapakować.

- Jeśli da się złapać.

- Niech pani spróbuje, a ja pójdę po transporter.

Ku zaskoczeniu Alvarez kotka prawie nie protestowała; dziesięć minut później siedziała za kierownicą samochodu i jechała do domu, a jej towarzyszka miauczała przeraźliwie z transportera na tylnym siedzeniu.

Niosąc Jane Doe, jak tymczasowo ochrzciła kotkę, do drzwi wejściowych, zastanawiała się, czy zdoła oddać ją do schroniska, czy też odziedziczyła ją po Jocelyn Wallis na dobre. Przed oczami stanęli jej Lois Emerson i jej pies w takich samych sweterkach i nagle widziała siebie za kilkadziesiąt lat. Czy czeka ją ten sam los? Będzie sama, ze zwierzakiem zastępującym jej dziecko, z kotem w kolorowym ubranku?

- Nigdy - obiecała sobie, otworzyła drzwi i weszła do nieskazitelnego studia, które nazywała domem. Nakarmiła kotkę jedzeniem z puszki, którą zabrała z mieszkania Jocelyn Wallis, urządziła jej prowizoryczne posłanie na złożonym ręczniku i wypuściła, by zbadała teren. Jane Doe buszowała po mieszkaniu, Alvarez tymczasem nasypała żwirku,



też z mieszkania denatki, do niskiego pudełka i wstawiła do niego kotkę. - Pamiętasz to, Jane? - zapytała. Kotka w odpowiedzi czmychnęła z łazienki. - No, świetnie.

Alvarez szybko wzięła prysznic, wytarła się, włożyła czarne spodnie i rudy golf, dodała okrągłe kolczyki i wyjątkowo nie upięła długich czarnych włosów.

W małej ciasnej kuchence wyjęła ze spiżarni zakurzoną butelkę caberneta, wytarła ją pobieżnie i patrzyła, jak kotka wskakuje na kuchenny blat.

- Przesadzasz - poinformowała ją, a Jane w odpowiedzi ziewnęła szeroko, demonstrując zęby ostre jak igiełki. - Bądź grzeczna.

Chyba żartujesz. Niemal słyszała odpowiedź kota. Sama tymczasem założyła szalik i rękawiczki i zanim zdążyła wybić to sobie z głowy, wsunęła butelkę wina do torebki i wyszła.

Śnieg padał miękko, w świetle latarni tańczyły miliony płatków.

Powtarzała sobie, że jest idiotką ale i tak brnęła przez śnieg do dżipa. Dopiero w kabinie zawahała się.

Naprawdę chce to zrobić?

Naprawdę skorzysta z zaproszenia Dana Graysona?

Naprawdę zostawiła w mieszkaniu cudzego kota?

Z kluczykami w dłoni zamknęła oczy i policzyła do dziesięciu.

- A niech to - mruknęła. Co niby mogło się stać w najgorszym wypadku? Naje się wstydu? Zastanie go sam na sam z inną kobietą? Albo samego, bo nie spodziewał się gości?

Któż to wie?

Jest ryzyko, jest zabawa. Albo, inaczej, *Nada aventurado, nada adquirido*, jak mawiała jako nastolatka, a jej babka tylko kręciła głową z dezaprobatą.

Wsunęła kluczyk do stacyjki i odpaliła silnik. Kilka minut później wyjechała z parkingu, mknęła przez śnieżycę i zastanawiała się, co właściwie powie szefowi, kiedy ten otworzy jej drzwi.

## Rozdział 14

Już to przerabialiśmy. - Pescoli oparła się na łokciu w wielkim łóżku Santany, w blasku kominka migoczącego za otwartymi drzwiami sypialni. Westchnęła, zmęczona targającymi nią sprzecznymi emocjami,

i spojrzała na mężczyznę, którego kochała, do czego sama przed sobą nie chciała się przyznać. Jezu, ależ z niej idiotka. Zwłaszcza jeśli chodzi o niego.

W powietrzu zapach chili - z indykiem, co podkreślił z dumą - mieszał się z aromatem palonego drewna. Tegoroczna wieczerza z okazji Święta Dziękczynienia była co najmniej nietypowa - i bardzo go za to kochała. Większość czasu spędzili tutaj, w wielkim łóżku. Jego pies, potężny husky o imieniu Nikita, leżał na podłodze w nogach posłania. Na dworze miękko padał śnieg i przez kilka godzin wydawało się, że są na świecie całkiem sami.

Santana był nagi, podobnie jak ona. Jego śniada skóra kontrastowała z białą pościeli, zmierzwione czarne włosy opadały na czoło, oczy pociemniały mu z pożądania. Był cholernie pociągający. Nadal. Po ponad roku razem.

Drań miał czelność uśmiechnąć się leniwie. Błysnął zębami w ciemnym pokoju.

- I mam przeczucie, że jeszcze nieraz do tego wrócimy, zanim sama przed sobą przyznasz się wreszcie, że mnie potrzebujesz.

- Potrzebuję? Ciebie?

- Owszem. Tak właśnie jest. Pogódź się z tym.

- Ja nikogo...

- Nie potrzebuję - dokończył za nią. - Tak, wiem, już nieraz to słyszałem.

- Więc czemu naciskasz? - Znowu namawiał, żeby zamieszkali razem. Znowu. Rok temu, gdy dochodziła do siebie fizycznie i psychicznie po starciu z psychopata przyznała, że to rzeczywiście dobry pomysł. Sądziła, że to bezpieczne. Rozsądne. Kuszące. Ale teraz...

- Proszę cię, Regan, co w tym złego? - Poczula na żebrach jego ciepłe, twarde odcisków dłonie. Zadrzała, gdy jej dotknął, krew żywiej krążyła jej w żyłach. - Byłoby cudownie. - Podciągnął się wyżej i dotknął jej sutka językiem. Czula na wilgotnej skórze jego ciepły oddech. - Pomyśl tylko, kochalibyśmy się codziennie, późno w nocy i rano...

Poczula w sercu znajomą tęsknotę. Jakby w odpowiedzi pochylił się, wsunął dłoń między jej nogi, opuszkami palców muskał najbardziej wrażliwe miejsca.

- Pomyśl tylko - szepnął z ustami na jej piersi.

- Wiesz, kowboju, czasami naprawdę straszny z ciebie dupek.

- Lata praktyki. - I znowu ten język, Szybki ruch, który sprawiał, że cała się rozplątywała.

Jęknęła, czując, jak nabrzmiewają jej cholerne sutki. Santana zdawał się czytać w jej myślach. Zachichotał, błysnął zębami w ciemności.

- Mówię poważnie.

- Ja też. - Szybki i zwinny jak kot, nakrył ją sobą, przygwoździł do materaca. W jego oczach płonął ciemny ogień. - Już od dawna rozmawiamy o tym, żeby razem zamieszkać.

- Wiem o tym, ale mam dzieci w domu...

- Którym przydałby się mocny męski wzorzec.

- Och... - westchnęła, ale wystarczył jego ciężar, ucisk jego ciała dokładnie w tych miejscach, co trzeba, by miała kłopoty z koncentracją. Co się z nią dzieje, do cholery? Nagle, w okolicach czterdziestki, jest napalona jak nastolatka. W każdym razie z pieprzonym Santaną a najgorsze, że drań o tym wiedział!

- Dobrze jest, jak jest - mruknęła.

- Ale mogłoby być lepiej.

- Albo gorzej. - Nie dawała za wygraną.

- Proszę cię, Regan, zaryzykuj. - Jego oczy pociemniały w nocy. Nakrył jej usta swoimi, pocałował mocno, ugryzł w dolną wargę.

- Jeśli myślisz, że tym sposobem nakłonisz mnie do zmiany zdania, to... och... - Jego dłoń znowu zawędrowała między jej uda. Instynktownie napała na nią czując, jak krew szybciej krąży jej w żyłach, a serce przyspiesza. Zaciśnęła palce na prześcieradle i odpłynęła, zamknęła oczy i z jękiem poczuła, jak w nią wchodzi, poczuła znajomy, a jednak ekscytujący dreszcz, który rodził się u nasady pleców i wędrował coraz wyżej. Santana oddychał szybko, nerwowo, na jego skórze lśnił pot.

Czy to coś złego, że myśli o przyszłości? O reszcie życia z nim?

W tej chwili nie mogła o tym myśleć, nie chciała nawet próbować. W tej chwili po prostu rozkoszowała się tym, co niosła noc.

Kacey spojrzała w wysokie okna Rolling Hill i uznała, że już najwyższy czas zakończyć świąteczny posiłek w towarzystwie matki. Cały czas padał śnieg, lekkie płatki tańczyły w świetle latami rozmieszczonych na całym terenie. Nieco dalej wzrok kusila altanka, opleciona białymi lampkami, oraz świerk ze świątecznymi dekoracjami.

Inni rezydenci też już wstawali od stołów. Zanim wyszli, machali do Maribelle, podchodzili do ich stolika, życzyli jej wszystkiego najlepszego z okazji Święta Dziękczynienia. Maribelle przedstawiała wszystkim córkę i życzyła pięknych świąt, tych i nadchodzących.

Kacey już miała wstać, gdy przy ich stoliku zjawił się nagle wysoki, potężny mężczyzna ogolony na łyso, z wojskową posturą i swobodnym uśmiechem.

- To twoja córka? - zapytał i Maribelle szybko przedstawiła ją Dawidowi Spencerowi, który orzekł, że jest nią oczarowany. Jakby byli na planie filmu z lat pięćdziesiątych. - Widzę, że odziedziczyła pani urodę po mamie - powiedział i mrugnął do Maribelle, która, o dziwo, zarumieniła się. - Nikt tutaj, ba, w całym mieście, nie gra w brydża tak jak ona. Bardzo mi miło, Acacio. - Czule poklepał matkę po ramieniu i zniknął za dwuskrzydłowymi drzwiami do głównego holu.

- Rozumiesz teraz, dlaczego tak mi się tutaj podoba? - Matka odprowadzała wzrokiem wyprostowaną sylwetkę Spencera.

- Owszem. A także, dlaczego tak ci zależało, żebym to ja do ciebie przyjechała. Chciałaś, żebym go poznała, tak?

Matka zamierzała zaprzeczyć, ale tylko wzruszyła ramionami.

- Przyłapałaś mnie.

- To coś poważnego?

- Och, nie! - Maribelle roześmiała się perliście. Kacey od lat nie słyszała tego dźwięku. - Mówię o nim: komandor - zwierzyła się z przejęciem.

- Zakochałaś się?

- Cóż, nic mi o tym nie wiadomo.

- Mamo, nie kłam, widzę to czarno na białym. Dlaczego wcześniej nic o nim nie słyszałam?

- Właściwie nie było o czym mówić. - Jednak błysk w jej oku zadawał kłam słowom. - Ico sądzisz?

- O nim? O tobie?

- O nas.

- Ja tylko chcę, żebyś była szczęśliwa - powiedziała Kacey, jednak w głowie roilo jej się od pytań, między innymi: dlaczego podczas tylu lat małżeństwa matka nigdy nie pokazała tej radosnej, beztroskiej strony swojego charakteru ani córce, ani mężowi? Dlaczego Kacey wyczuwała napięcie w związku rodziców niemal tak dawno, jak sięgała pamięcią? Doszła do wniosku, że matka nigdy nie kochała ojca, że we własnym

mniemaniu popełniła megalomanię, wychodząc za robotnika, choć miała wykształcenie, dobrą pracę i zapewne większe aspiracje, których spełnienie widziała teraz w Dawidzie Spencerze.

Zastanawiała się, na ile właściwie zna matkę. I kiedykolwiek znała. Maribelle była pełna tajemnic, a prawda kryła się głęboko.

- Coś takiego! Jednak przyszedł!

Dan Grayson uśmiechał się od ucha do ucha. Stał w progu i serdecznym gestem zapraszał Alvarez do środka.

Mało brakowało, a zawróciłaby, gdy zobaczyła na jego podejździe obcy samochód, tak dokumentnie przysypany śniegiem, że nie sposób było odgadnąć marki i modelu. Ale wyglądał na coś małego.

- Ej, Hattie, mamy towarzystwo! - zawołał przez ramię, a żołądek Alvarez fiknął salto. - Proszę, proszę, zimno dzisiaj jak diabli. - Odsunął się, żeby mogła wejść, a ona uśmiechnęła się z wysiłkiem.

Zaprosił ją ze zwykłej uprzejmości, i tyle, ale teraz nie było już odwrotu; będzie musiała trochę odsiedzieć i wyjść pod byle pretekstem. Weszła do holu i usłyszała tupot.

Zza rogu wybiegły dwie dziewczynki, bliźniaczki podobne do siebie jak dwie krople wody, mniej więcej siedmioletnie. Jedna, ubrana na różowo, miała we włosach opaskę tego samego koloru. Druga, w zieleni, zebrała je w koński ogon, który lada chwila miał się rozsypać, a kiedy się uśmiechnęła, zaprezentowała szczerbę po mlecznym zębie.

- Dziewczynki, to jest detektyw, to znaczy, pani Alvarez. - Spojrzał na nią. - Seleno, przedstawiam ci McKenzie i Mallory.

- Dzień dobry - powiedziała grzecznie dziewczynka w różowym - McKenzie. Jej siostra łypała na Alvarez spod zmarszczonych brwi, a tymczasem w oddali rozległ się stukot obcasów i w korytarzu zjawiła się kobieta, która mogłaby być bliźniaczką June Cleaver. Wysoka, szczupła, na obcasach, w eleganckiej sukni, uśmiechnęła się na widok Alvarez.

- Hattie - przedstawiła się z ciepłym uśmiechem. Na szyi miała sznur pereł, na sukni - jeden z tych cienkich, bezużytecznych fartuszków, który tylko podkreślał talię osy. Włosy upięła eleganckim grzebieniem. Wyglądała, jakby zesza z planu filmowego z lat pięćdziesiątych.

- Seleno - mruknęła Alvarez. Czowała się niezręcznie, wręczając wino tej kobiecie, która najwyraźniej pełniła rolę gospodyni.

- Jak to miło, że wpadłaś. W idealnym momencie! - Spojrzała na Graysona: - Mógłbyś wziąć od niej płaszcz. Rany, Dan, czasami się zastanawiam... - Zerknęła na wino. - Cabernet! Moje ulubione!

Litości, pomyślała Alvarez i w myślach klęła na czym świat stoi, idąc za nią do jadalni. Stary stół znikł pod świeżo wyprasowanym obrusem, pośrodku stał stroik ze świeżych gałązek, żurawin i białych świec. Cztery nakrycia - wyszczerbiona porcelana na spranych serwetkach - zdawały się krzyczeć, że nikt się jej tu nie spodziewał.

- Dan, otworzysz? - zapytała Hattie, puściła do niego oko i zniknęła za drzwiami do, ma się rozumieć, kuchni.

- Jasne. - Spojrzał na Alvarez. - Hattie jest... była... moją szwa-gierką. A to jej córeczki, moje siostrzenice.

- Och. - Niewiele jej to mówiło. A on chyba wyczytał zagubienie z jej oczu, bo wyjaśnił: - Hattie to siostra mojej byłej żony.

Jezu, to coraz bardziej skomplikowane.

Weszli do kuchni, gdzie Hattie już wyjęła dodatkowe nakrycie, a na szafce czekał idealnie upieczony indyk i otwarta butelka chablis koło dwóch niedobraných kieliszków.

Alvarez skrzywiła się w duszy, gdy Hattie wyjęła dodatkową serwetkę z szuflady.

Zaciśnij zęby i wytrzymaj, powtarzała sobie. Jeszcze tylko godzinka, góra dwie. Uśmiechaj się. Tak, to sytuacja jak z koszmaru, ale dasz radę. Jakkolwiek by było, luźna rozmowa to nic w porównaniu z szukaniem śladów w sprawie Jocelyn Wallis albo analizowaniem miejsca zbrodni, na którym działał brutalny psychopata. To tylko kolacja, na miłość boską!

- Dan, zajmij się indykiem - poprosiła Hattie, gdy Grayson otworzył czerwone wino.

- Dobrze.

Alvarez ukryła się za kieliszkiem, który jej podał. Takiego Graysona nigdy nie widziała - zrelaksowanego członka rodziny. Dobry Boże, co ona sobie właściwie myślała?

Hattie doskonale zapiekła ziemniaki i w ostatniej chwili podgrzała sos. Był mus żurawinowy, na blacie stygł placek dyniowy - jak dla Alvarez za bardzo to wszystko trąciło Perfekcyjną Panią Domu. Dlaczego właściwie tu przyszła... czy raczej, przeszkodziła w rodzinnym spotkaniu?

Usiedli do stołu - Alvarez naprzeciw dziewczynek, Grayson i Hattie na jego krańcach, i Selena gorączkowo szukała sposobu ucieczki.

Hattie nalegała, żeby dziewczynki zmówiły modlitwę. Mallory naburmuszyła się, natomiast McKenzie wyrecytowała modlitwę, której, jak domyślała się Alvarez, nauczyła się na pamięć, przewidując, że dojdzie do takiej sytuacji.

Kolacja była pyszna, indyk soczysty, ziemniaki idealne, wręcz rozpływały się w ustach, a jednak Alvarez nie była w stanie rozkoszować się smakołykami.

Hattie podała deser, uśmiechając się promiennie do Graysona, a Alvarez ukradkiem wyciągnęła komórkę i wcisnęła przycisk dzwonka. Ledwie telefon się rozdzwonił, podniosła go do ucha.

- Alvarez - rzuciła. Udało jej się przybrać zatroskany wyraz twarzy. Podniosła palec, odsunęła krzesło od stołu. - Tak? Tak, oczywiście, idź... - Wyszła na korytarz i wydawała typowe konwersacyjne odgłosy, aż po trzech minutach zakończyła „rozmowę” i wróciła do jadalni. -Przykro mi, muszę iść - powiedziała. - Nie wstawaj, sama wyjdę.

- Kłopoty? - Grayson już się poderwał.

- Nic poważnego. - Przynajmniej teraz nie kłamała.

- W takim razie zostań chociaż na kawę i ciasto. - Idealnie sklezione brwi Hattie zbiegły się nad czołem w grymasie zatroskania, nad nimi pojawił się mały mars. McKenzie naśladowała minę matki, Mallory tymczasem eksperymentalnie zanurzyła palec w bitej śmietanie na swojej porcji dyniowego placaka na talerzu.

- Niestety, nie mogę. Dziękuję za kolację, była wspaniała. - Alvarez unikała wzroku Graysona, bo nie znosiła kłamstwa i zawsze szczyliła się tym, że wali prawdę prosto z mostu. Nie umiała kłamać.

Grayson odprowadził ją do drzwi, podał płaszcz.

- Przecież to może poczekać.

- Nie sądzę. Złapał ją za łokieć.

- Co się dzieje?

- Nic takiego, ktoś pomylił wyniki. - Dał spokój, a ona z trudem opanowała westchnienie ulgi. - Mówiłam ci, że to nic takiego, po prostu chcę jak najszybciej to wyjaśnić. - Wsunęła dłonie w grube rękawy i poczuła się jak idiotka, gdy Grayson pomagał jej założyć kurtkę. Jedną ręką ściągnęła swój szalik z wieszaka, drugą odnalazła kłamkę. - Dziękuję za kolację, była wspaniała - zapewniła i wyszła na dwór.

Dobiegła do samochodu, odwróciła się i zobaczyła, że Grayson nadal stoi w progu, odprowadza ją wzrokiem.

- Dan? - Ze środka dobiegł stłumiony głos Hattie.

Alvarez wsunęła kluczyk do stacyjki, odpaliła silnik i włączyła wycieraczki, żeby pozbyć się śniegu, który zdążył zasłonić całą przednią szybę. Wrzuciła wsteczny bieg, nacisnęła pedał gazu. W tylnym lusterku widziała, jak drzwi do chaty Graysona zamykają się i zimowej nocy nie rozjaśnia już ciepły blask.

Rozczarowanie boleśnie ścisnęło za serce. A czego niby się spodziewała, wyrzucała sobie w duchu. Że zjedzą we dwoje romantyczną kolacyjkę, a potem będą sączyli wino, które przyniosła, może nawet się pocałują?

Nie znosiła tych myśli. Wjechała na szosę - i drogę zablokował jej pług śnieżny. Spychał śnieg na pobocze, drapał o lód.

Alvarez zwolniła do trzydziestu kilometrów na godzinę i obiecała sobie, że już nigdy nie będzie taka głupia.

Nadal jej nie było.

Wiedział to, bo na podjeździe nie było śladów opon, a także dlatego, że w oknach paliły się tylko te lampy, które zaprogramowała, by włączały się o określonej porze. Lampa na biurku w gabinecie włączała się co rano, o piątej, ta na stole w holu - o szesnastej trzydzieści. Dzień w dzień.

Spomiędzy drzew nie widział innych świateł. Wiosną i latem jej dom był niewidoczny od drogi, zasłaniały go gęste gałęzie drzew, ale o tej porze, gdy osiki, wiśnie i topole gubiły liście, widział wszystko wyraźnie. Owszem, dom znajdował się prawie pół kilometra od szosy, dzieliły go pola i pasmo drzew, ale nawet w zimową noc widział blask świateł.

Zachował daleko posuniętą ostrożność, bo nie wiedział, czy miała wrócić jeszcze dzisiaj, a nie chciał, żeby na śniegu zostały jego ślady. Zdawał sobie sprawę, że musi działać rozważnie, że gdyby zaatakował ją teraz, sprawa mogłaby wywołać większe zainteresowanie, niż byłoby mu to na rękę, ale zarazem uważał, że trzeba korzystać z okazji, jeśli sama pcha się w ręce. Święta to doskonały moment, wzmożony ruch na ulicach, powszechne zabieganie i roztargnienie. Na razie w jej domu nie było systemu alarmowego, psa ani współlokatora, jednak to wszystko mogło się zmienić z dnia na dzień. Musiał działać szybko, póki to było możliwe.

Jadąc powoli, minął drogę prowadzącą do jej domu, zawrócił, przejechał jeszcze raz i dopiero gdy upewnił się, że jeszcze nie wróciła, postanowił zaryzykować.



Zaparkował trzy kilometry dalej, w starym kamieniołomie, za stertą głazów, i przypiął narty biegowe. Na szczęście jej farma graniczyła z lasem, rezerwatem przyrody, więc miał niewiele ogrodzeń do sforsowania. Las pełen jałowców, sosen i modrzewi przecinało wiele szlaków turystycznych. Wybrał ten przebiegający najbliżej jej posesji.

W goglach z noktowizorem brnął ostrożnie przez cichy las. Spłoszył śnieżnego zająca, który uciekł w białe zarośla.

Krew pulsowała mu w żyłach, gdy nasłuchiwał czujnie i przeczesywał wzrokiem biały krajobraz. Dostrzegł jelenia, który znieruchomiał, gdy go mijał, mignęła mu sowa.

Wbijał kijki w śnieg i wędrował przez las, aż doszedł do najdalszego skraju jej posesji. Zawahał się, wyteżał słuch, wpatrywał się w teren w poszukiwaniu oznak życia. Gdy nabrał pewności, że jest sam, zdjął narty i założył rakiety śnieżne, a potem sforsował płot oddzielający teren prywatny od rządowego lasu.

Za ogrodzeniem poruszał się cicho i szybko, jak przed laty, na pustyni, w oddziałach marines. Trzymał się płotu, żeby jego trop nie rzucał się w oczy i bezgłośnie zbliżał się do zabudowań. Mimo zimna ociekał potem, jego nerwy były napięte jak postronki, mięśnie spięte. Gotowe.

Za szopą zatrzymał się, odetchnął głęboko, a potem, cały czas trzymając się zabudowań, podszedł do domu i po raz kolejny zobaczył jasną plamę światła w oknie saloniku.

Uśmiechnął się pod nosem.

Bawiły go jej amatorskie, naiwne próby udawania, że w domu ktoś jest.

Znalazł się na podwórzu, zwolnił, zerknął na dom, żeby się upewnić, że nikogo nie ma, a potem przedarł się przez krzaki i zatrzymał przy garażu.

Cały czas padał śnieg, nocną ciszę zakłócały jedynie jego oddech i bicie serca. Tylko to. Był bezpieczny. Nie wiedział jednak jak długo.

Szybko odpiął rakiety śnieżne, przebiegł przez podwórze do garażu. Zaryzykował, zapalił latarkę i zajrzał przez boczne drzwi. Pusto.

Nie wróciła. Jeszcze.

Powoli, cierpliwie, stawiał stopy w te same miejsca co uprzednio i doszedł do werandy i do drzwi. Z kieszeni narciarskiej kurtki wyjął pęk kluczy, znalazł duplikat, który dorobił wcześniej, i uśmiechnął się na to wspomnienie - najpierw wyłączył jej piec, usunął jedną część, a potem udawał fachowca i twierdził, że skończyły mu się części i musi skoczyć po nie do miasta. Przy okazji zabrał jej klucze z torebki przy biurku. Dorobił duplikat, wrócił, odłożył klucze na miejsce i naprawił piec, wstawiając część, którą wcześniej sam wymontował. Takie to proste, takie łatwe. A teraz z łatwością otworzył sobie drzwi.

Zdjął buty, schował za meblami ogrodowymi i, bosy, w samych skarpetach, wszedł do domu Acacii. Otoczyły go zapachy - kawy ścielącej się ciemną warstwą na dnie ekspresu, aromatyzowanych świec rozstawionych w całym domu, nawet jej perfum, ciągle obecnych w powietrzu.

Wyjął z kieszeni fiolkę i wsypał jej zawartość do pojemnika z mieloną kawą na półce koło ekspresu. A potem, tak jak się tego nauczył podczas służby w Afganistanie, umieszczał mikroskopijne mikrofony w jej sypialni, saloniku, kuchni i gabinecie. Były zdalnie sterowane, odbiornik mógł znajdować się nawet dość daleko, rozmowy można rejestrować i podsłuchiwać.

Doskonałe.

Umieścił ostatni mikrofon pod jej łóżkiem i uśmiechnął się do siebie. Ciekawe, co takiego usłyszy.

A potem zerknął na zegarek i wyszedł z domu tak samo, jak do niego wszedł, spokojny, że śnieg zasypie jego ślady. Zamknął za sobą drzwi, założył buty, wycofał się, pilnując, by wracać po własnych śladach. Musiałaby wrócić w przeciagu pół godziny, żeby zorientować się, że tu był. Nie zwróci przecież uwagi na to, że jej stopy są mniejsze niż jego ślady.

Och, oczywiście, była bystra, ale Acacia Lambert nie miała pojęcia, z kim przyjdzie jej się zmierzyć.

Żadna z nich nie miała, a jeszcze tyle innych czeka, aż się nimi zajmie.

Uśmiechnął się pod nosem, poprawił gogle na nosie i sięgnął po rakiety śnieżne - były tam, gdzie je zostawił.

Oczami wyobraźni już ją widział, jak rano parzy sobie kawę. Nie miała szans w starciu z nim.

I wkrótce to zrozumie.

Ale wtedy będzie już za późno.

## Rozdział 15

Kacey jechała do domu i patrzyła, jak śnieg opada wielkimi, gęstymi płatkami. Gdyby była w lepszym humorze, ten widok wprawiłby ją w zachwyt, teraz jednak zainteresowanie matki Dawidem Spencerem nie dawało jej spokoju. To nie tak, że nie chciała, by Maribelle była szczęśliwa, ale przez wiele lat matka była wiecznie niezadowolona i skwaszona; posłuszna, acz obojętna żona człowieka, którego ledwie tolerowała. Kiedy ojciec Kacey przeszedł wylew, po którym nigdy w pełni nie doszedł do siebie, sprzedali dom i przeprowadzili się tutaj, do Rolling Hills. Maribelle opiekowała się mężem przy pomocy personelu, i przez cały ten czas rzadko kiedy zdobywała się na uśmiech.

Umarł po kilku latach i dopiero wtedy okazała jakiekolwiek emocje.

A Kacey i tak podejrzewała, że Maribelle bardziej zależało na tym, by pokazać się światu jako umęczona wdowa, niż szczerze opłakiwać śmierć schorowanego męża.

- Przestań - skarciła się, wpatrzona we wstążkę drogi przed sobą. Matka jest szczęśliwa i tylko to się liczy, powtarzała sobie, zadowolona, że jest już blisko domu. Jeszcze tylko kilka kilometrów. Właściwie powinna być wdzięczna losowi, że Maribelle kogoś ma.

A jednak czuła niedosyt i nie mogła zrozumieć, czemu matka unikała odpowiedzi na najtrudniejsze pytania.

W tym, jak wymijająco odpowiadała na pytania o niewierność męża i prawdopodobieństwo innych dzieci w rodzinie było coś dziwnego, co nie dawało Kacey spokoju.

Matka kłamie. Zmarszczyła brwi, pochwyciła swoje odbicie w lusterku tuż przed tym, jak zobaczyła reflektory nadjeżdżającego samochodu. Matka cię okłamuje.

- Ale dlaczego? - zapytała na głos.

Może to nie jej ojciec miał nieślubne dzieci, tylko Maribelle? Ale czy to w ogóle możliwe?

Reflektory oślepiły ją facet za kierownicą włączył długie światła, w blasku których tańczyły niezliczone płatki śniegu.

Cóż, milczenie matki jej nie powstrzyma. Jako lekarka Kacey miała dostęp do danych, które pomogą jej rozwiązać tę zagadkę, a jeśli sama sobie nie poradzi, skorzysta z pomocy pewnego pacjenta, który kiedyś, pod wpływem środków odurzających, twierdził, że potrafi się włamać do każdej bazy danych. Stwierdziła, że jeśli sama nie zdobędzie tych

informacji, nie zaszkodzi przekonać się, czy Tydeus Chilcoate mówił prawdę, czy tylko pod wpływem miejscowego znieczulenia uważał się za komputerowego półboga. Była gotowa zaryzykować i poprosić go o pomoc, do tego stopnia rozżłościła ją opór i uniki matki.

Co takiego powiedziała Maribelle? Och tak, sugerowała, że pytania Kacey to przesłuchanie. Jasne. Zwał winę na kogoś innego, odwróć uwagę od głównego tematu. Zwody, zwody, zwody.

Zirytowana, patrzyła, jak kretyn za nią w jasnej furgonetce, wjeżdża na sąsiedni pas i z rykiem silnika, wzniesając tumany śniegu spod opon, podjeżdża do niej.

Oszalał czy co?

Zwolniła, żeby ją wyprzedził.

- Kretyn - mruknęła po nosie. W kabinie siedziały dwie osoby, kobieta i mężczyzna. Kobieta, w fotelu pasażera, paliła papierosa, spojrzała na Kacey i powiedziała coś do kierowcy.

Facet nagle stracił panowanie nad wozem. Furgonetka zjechała na jej pas.

- Niech to szlag! - Z całej siły nadepnęła na hamulec i skręciła w stronę obramowania oddzielającego szosę od głębokiego rowu.

Serce stanęło jej w gardle. Samochód wpadł w poślizg.

Zacisnęła dłonie na kierownicy tak mocno, aż pobieleły jej kłykcie. Starła się zachować spokój.

- Dalej, do cholery! - Poczwała krople potu na czole. Samochód obracał się jak w zwolnionym tempie. Furgonetka minęła ją wzniesając tumany śniegu.

Poddawaj się, nie próbuj niczego zmieniać. Przypomniała sobie słowa dziadka, które wbijał jej do głowy, odkąd pierwszy raz usiadła za kierownicą. Jednak w tej chwili wydawało się, że jazda prosto na sterty śniegu na poboczu to kiepski pomysł.

Nie panikuj!

Z duszą na ramieniu usiłowała za wszelką cenę wrócić na właściwy pas, i już niemal jej się to udało, gdy koło zjechało z asfaltu na pobocze, wzbijając w powietrze drobinki lodu.

Cholera!

Chciała skorygować położenie wozu i wszystko zaczęło się od nowa, szalone piruety, drzenie i poślizg, prosto na przeciwległy pas. Zalśniły reflektory.

O Boże.

Tuż za nią był pikap!

W panice szarpnęła kierownicą.

Samochód przejechał bokiem, a Kacey znowu nacisnęła hamulec. Rozpaczliwie usiłowała usunąć się z drogi pikapa. Ryk klaksonu przeciął nocną ciszę.

- Jezu! - Serce niemal stanęło jej w piersi. Cholerne hamulce zablokowały się.

A mały suv sunął ślizgiem, ustawiony bokiem, stroną kierowcy do potężnego zderzaka pikapa nacierającego na nią z impetem.

- Sukinsyn! - Kacey w panice nacisnęła pedał gazu, cały czas mocując się z kierownicą. Samochód szarpnął się w przód. Koła kręciły się jak szalone. - No, dawaj, dawaj!

Ociekała potem.

Pikap napierał, był już tak blisko, że widziała twarz kierowcy. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy i nagle wydawało jej się, że go poznaje, że już gdzieś kiedyś widziała tę twarz. A potem przygotowała się na uderzenie. Kierowca odwrócił głowę i zatraił. Pikap wpadł w poślizg, kierowca zaczął hamować.

Nacisnęła pedał gazu.

Jej samochodzik wyrwał do przodu, koła wreszcie znalazły oparcie. Mały suv wyprysnął do przodu, odzyskała nad nim panowanie, ale w ostatniej chwili pikap uderzył w jej tylny zderzak. Bum!

Cały wóz zadrżał. Kacey poczuła, jak pas bezpieczeństwa wpija jej się w ciało. Nacisnęła hamulec. Samochód przeciął oba pasy, wzbijał tumany śniegu i lodu. Za szybą lśniła atramentowo-czarna noc.

- No dalej, błagam cię - zaklinała samochodzik, jakby myślała, że ją zrozumie. Mocowała się z hamulcami i kierownicą usiłowała zapanować nad wozem, z trudem opanowała mdłości.

Rozszalała ciemność ustąpiła odrobinę.

Ośnieżone drzewa, jeszcze przed chwilą roztańczona, rozmazana masa, teraz były wyraźnie widoczne.

Miała wrażenie, że droga staje się prosta. Aż w końcu ford edge znieruchomiał. A żołądek Kacey przestał wariować.

- A niech to - szepnęła. Serce biło jej głośno, puls oszalał. Oddychała głęboko. Czowała, jak na skórze zasycha pot.

Jej samochód odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, stał pod prąd na niewłaściwym pasie. Na szczęście szosa była pusta. Pikap zatrzymał się nieco dalej, tylne światła błyskały czerwienią odbijały się w brudnym śniegu na szosie.

Dłonie jej drżały, gdy wcisnęła pedał gazu i starała się odzyskać panowanie nad wozem, wróciła na właściwy pas za pikapem. Jechała teraz w przeciwnym kierunku, oddalała się od domu, ale przynajmniej była po właściwej stronie jezdni, choć na razie na szczęście szosa była pusta.

Bez względu na to, czy jej się to podobało, czy nie, musiała porozmawiać z brunetem w pikapie i wyjaśnić, co się stało, spisać dane ubezpieczenia, ale kiedy snop światła z jej reflektorów odnalazł tył pikapa, stojący do tej pory samochód odjechał tak energicznie, że spod kół buchnęły tumany śniegu.

- Ej! - zawołała za nim. Co do cholery?

Przez chwilę rozważała, czy za nim nie pojechać. Jej samochód ucierpiał, niewykluczone, że pikap także. Technicznie rzecz biorąc, wina była po jej stronie, o ile nie znajdzie kierowcy, który ją wyprzedzał i niemal zepchnął z szosy. Nacisnęła pedał gazu, ale koła zakreśliły się bezsilnie, a pikap zniknął w nocnym mroku. Widziała jedynie fragment zabrudzonej tablicy rejestracyjnej z Idaho, rozróżniła tylko trójkę -a może to była ósemka?

Dlaczego kierowca wydawał się jej znajomy? Przez ciemne włosy? Spojrzenie? Czy coś jeszcze?

Chcąc za wszelką cenę dostrzec numer rejestracyjny odjeżdżającego wozu, w pierwszej chwili nie zauważyła kobiety na skraju szosy, zaraz jednak kątem oka dostrzegła ruch i zdała sobie sprawę, że nie jest sama. Szczupła, wysoka kobieta o jasnych włosach przyprószonych siwizną które wysypywały się spod białej czapki, szła ścieżką z głębi lasu. Grace Perchant. Miejskowa dziwaczka, która twierdzi, że komunikuje się z duchami i widzi przyszłość. U jej boku dreptał pies, potężny zwierzak o szorstkiej, szaroburej sierści i bystrym spojrzeniu drapieżnika. Półkrwi wilk, jeśli wierzyć lokalnym plotkom. Kacey wierzyła.

Grace podeszła do samochodu. Kacey uchyliła okno.

- Widziała to pani? - zapytała. Starsza kobieta skinęła głową. -Nie pojmuję, czemu uciekł.

- Nie przejmuj się tym.

Pies, a może wilk, zawarczał nisko, gardłowo, wpatrzony w las oczami równie jasnymi jak oczy jego pani.

- Cicho, Bane! - burknęła Grace. Posłuchał. Kacey cały czas myślała o tajemniczym kierowcy.

- Ale jeśli jego samochód jest uszkodzony... A mój...

- Twój jest w porządku. - Grace spojrzała w ciemność, tam, gdzie niknął pikap.

- Powinnam z nim porozmawiać.

- Nie. - Grace wróciła wzrokiem do Kacey. W jasnozielonych oczach malowała się troska. - Nigdy z nim nie rozmawiaj.

- Dlaczego? Zna go pani?

Grace potrząsnęła głową i ponownie spojrzała na skute lodem pasmo szosy, niknące w mroku.

- Wiem tylko, że jest zły - powiedziała. Jej oddech unosił się w powietrzu mlecznym obłokiem. - Ima wobec ciebie złe zamiary.

- Odjechał! Chyba nie chciał we mnie uderzyć! Grace ponownie spojrzała na nią.

- Uważaj - powiedziała, zagwizdała na psa i przeszła na drugą stronę, tam, gdzie rów był płytszy i ścieżka prowadziła w głąb lasu.

- Dziwne - mruknęła Kacey pod nosem, ciągle poruszona, a potem z pewnym wysiłkiem zawróciła i ostrożnie pokonała ostatnie kilometry dzielące ją od miejsca, które nazywała domem. Na podjeździe piętrzył się śnieg, ale jej samochód, choć uszkodzony, dzielnie brnął przez biały puch i wkrótce wjechała do garażu.

Dochodziła jedenasta, kiedy w końcu odzyskała oddech i słuchała cichnących obrotów silnika. Wysiadła, zapaliła górne światło i obejrzała uszkodzenia wozu.

Wgnieciony z jednej strony zderzak, kilka zadrapań na karoserii i małe wgniecenie - to wszystko, naprawi się bez problemu. Ale miała szczęście, że wyszła z tego cało, mogło się skończyć o wiele gorzej. Powiedziała sobie, że zajmie się tym wszystkim rano, zamknęła drzwi do garażu i ruszyła w stronę kuchennego wejścia do domu. Wokół panowała cisza, śnieg padał nieprzerwanie, już częściowo zasypał ślady, które niedawno zostawiła, ale widziała je jeszcze wyraźnie, trafiała stopami w głębokie odciski. Na ganku zawahała się i rozejrzała dokoła. Sama nie wiedziała, dlaczego, po prostu przez cały wieczór czuła dziwny niepokój. Sprawy nie poprawiły zajście na drodze ani błyskawiczne zniknięcie pikapa.

Co takiego powiedziała Grace o kierowcy? Ze jest zły? Ze ma wobec Kacey złe zamiary?

Bzdury! Nie zaczynaj! Spieszył się i tyle. A jednak wstrząsnął nią dreszcz, przypomniała też sobie, że wydawało jej się, że już go gdzieś kiedyś widziała.

- Wmawiasz to sobie - mruknęła. - Weszła do środka i upewniła się, że drzwi są dokładnie zamknięte na zasuwę.

Zapaliła światło. Nie mogła pozbyć się idiotycznego wrażenia, że ktoś był w domu.

- Na miłość boską! - Na wszelki wypadek zajrzała do każdego pokoju, jeszcze w kurtce i w szaliku uchylała wszystkie drzwi, dopiero potem odwiesiła ubranie na wieszak przy drzwiach wejściowych.

Znikąd nie wyskoczył zamaskowany szaleniec z nożem w garści. Nigdzie nie czaił się mroczny cień.

Mrucząc niewyraźnie pod nosem, poszła na górę. Na podeście pół-piętra zawahała się, pewna, że wyczuwa coś dziwnego, obcy zapach w małej wnęce, w której wisiał portret dziadków na starej tapecie, której obiecała sobie nigdy nie zmieniać. Do tej pory tego nie zrobiła. Babci bardzo podobał się wzór w pastelowe róże i Kacey nie miała ani czasu, ani serca, by zmienić wystrój.

Podniosła palec do ust i dotknęła nim uśmiechniętych twarzy dziadków. Ciekawe, czy wiedzieli coś o kobietach tak bardzo do niej podobnych. Jocelyn Wallis i Shelly Bonaventure, jej sobowtórach, które mieszkały w tej okolicy.

Poszła dalej. Trzeci stopień od szczytu zatrzeszczał jak zawsze. Uśmiechnęła się. Przypomniała sobie, że jako dziecko zawsze go mijała - najpierw uważała to za złą wróżbę, a później nie chciała budzić chrapiącego dziadka i babci śpiącej lekkim snem, kiedy wykradała się z domu w upalne noce Montany, gdy powietrze przesycił zapach świeżo skoszonego siana i kurzu, a ona jeździła na oklep wśród wzgórz skąpanych w świetle księżyca.

Wydawało się, że od tego czasu minęła cała wieczność, dzieciństwo kogoś zupełnie innego niż kobieta, którą się stała, ambitnej studentki medycyny, która padła ofiarą szaleńca i mało brakowało, a jej kariera skończyłaby się, zanim w ogóle na dobre się zaczęła.

Kogo chciała oszukać?

Odkąd tamten psychopata napadł ją na podziemnym parkingu, już nigdy nie była taka sama.



Po dziewczynie, która w blasku księżyca galopowała na końskim grzbiecie, nie było śladu; zniknęła ta, która huśtała się na linie rozpiętej nad górską rzeką i z pluskiem wpadała do wody, która śmiało przemierzała górskie szlaki... Wieczne narzekania i krytykanctwo matki i tamten straszliwy napad sprawiły, że pewność siebie Kacey niemal całkiem znikła.

Z czasem odzyskała ją przynajmniej częściowo, lepiej, niż mogła przypuszczać, zniosła koszmar rozwodu, ale w głębi serca, w miejscu, do którego rzadko zaglądała, nadal kryła się przerażona kobieta, która teraz, w tej chwili, uniosła drżącą głowę.

Nie pozwól na to! Na miłość boską nie pozwól, by byle świr wyprowadzał cię z równowagi. A Grace Perchant wierzy, że komunikuje się z duchami, na Boga!

Dodając sobie w myślach otuchy, weszła do pokoju, w którym mieszkała, odkąd sięgała pamięcią. Nigdy nie przeniosła się do sypialni dziadków, nie wiadomo, dlaczego wydawało jej się to świętokradztwem. Nie zapalając światła, podeszła do okna i spojrzała na wzgórza w blasku księżyca.

I znowu poczuła ten dziwny, złowrogi dreszcz, choć w pokoju panowała cisza. Pomyślała o kierowcy pikapa, przypomniała sobie moment, gdy widziała jego twarz. Znała go? A może myliła się przez jedną straszną chwilę?

To tylko rozszalała wyobraźnia, tłumaczyła sobie, ale ani przez chwilę w to nie uwierzyła.

## **Rozdział 16**

Chwileczkę, nie tak szybko. - Pescoli, siedząca naprzeciwko Alvarez przy stoliku w Wild Will's, uniosła ręce i lekko przechyliła głowę. Był piątek po Święcie Dziękczynienia i umówiły się w knajpie położonej w centrum Grizzly Falls. - Pozwoliłaś, żeby kobieta, ubrana tak samo jak jej pies, wróżyła ci z fusów, a potem ukradłaś kota denatki?

- Adoptowałam. Być może tylko przejściowo. Pescoli przyglądała się jej z niedowierzaniem.

- Kim jesteś i co zrobiłaś z moją partnerką? - zapytała teatralnie, sięgnęła po butelkę keczupu i wycisnęła sporą porcję sosu na swój talerz. - Ani się obejrzę, a wmówisz mi, że kosmici zabrali cię na

audiencję u Crytora czy jak mu tam było, jaszczurzego generała, który przed laty porwał Ivora Hicksa.

Alvarez grzebała widelcem w resztkach sałatki z tuńczykiem. Po namyśle doszła do wniosku, że musi powiedzieć prawdę. Jeśli tego nie zrobi, niewykluczone, że Pescoli dowie się od kogoś innego. Wyznała więc, że w Święto Dziękczynienia pojechała do Dana Graysona.

- Rany boskie. - Pescoli nie wierzyła własnym uszom. - W Święto Dziękczynienia wpakowałaś mu się w rodzinną kolacyjkę i...

- Zaprosił mnie, nie słyszałaś?

- Z litości.

Alvarez groźnie łypnęła na partnerkę.

- Tak, to był błąd, wiem - teraz. Powiedziałam ci tylko dlatego, żebyś nie robiła wielkich oczu, gdy szeryf coś o tym wspomni. - Wbiła widelec w liść sałaty. - A ty co robiłaś?

Ku jej zdumieniu Pescoli naprawdę zarumieniła się, obficie poląła kanapkę sosem i wbiła w nią zęby.

- Tak myślałam. - Alvarez pilnowała się, by w jej głosie nie było słychać zazdrości.

- Dowiedziałaś się czegoś ciekawego od sąsiadki? Oczywiście poza tym, że znalazłaś sobie kota? - zapytała i popiła kanapkę dietetyczną colą.

- Może się okazać, że szukamy ciemnego pikapa. Pescoli zerknęła na nią z ukosa.

- A kiedy niby nie szukamy ciemnego pikapa? Alvarez wzruszyła ramionami.

- Numery rejestracyjne? Znaki szczególne? Bagażnik? Skrzynka na narzędzia?

- Niewykluczone, ale Lois niczego nie widziała albo nie pamięta.

- Lois, czyli szalona sąsiadka od wróżenia z fusów i jamnika w identycznym pulowerku?

- Tak. - Alvarez zachowała anielską cierpliwość.

- Hm. Niezbyt wiarygodny świadek. - Pescoli dopiła swoją colę i zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Sandi, właścicielka i kelnerka w jednej osobie, postawiła przed nią kolejną szklankę. - Dzięki, już wystarczy.

- Dolewki na koszt firmy. - Sandi, wysoka i trochę za chuda, uśmiechnęła się od ucha do ucha. Ani na chwilę nie wychodziła z roli. Dostała lokal po bolesnym rozwodzie z Williamem Aldridgem, któremu knajpa zawdzięczała swoją nazwę, i włożyła mnóstwo serca i pracy, by

z zapyziałego lokaliku zrobić restaurację specjalizującą się w lokalnych przysmakach, takich jak jagoda amerykańska, dziczyzna i pstrąg, a następnie urządziła lokal tak, by przypominał myśliwską chatę. Zamiast żyrandoli pod sufitem wisiały drewniane koła z umocowanymi żarówkami. Z drewnianych ścian patrzyły na gości szklistym wzrokiem wypchane łby kozic, antylop, jeleni, a nawet łoś. Zdaniem Alvarez było dziwaczne i trochę obrzydliwe, ale idealnie wpisywało się w tutejszy styl życia.

Sandi puściła do nich nieco zbyt wymalowane oko i podeszła do stolika, przy którym dwoje rodziców męczyło się z trójką dzieci w wieku od dwóch do sześciu lat. Dorośli pogubili się zupełnie w tym, kto co pije, co gdzie jest i o co pyta który z synków. Sandi tymczasem wyjęła z kieszeni fartucha małe książeczki do kolorowania, z sąsiedniego stolika zgarnęła słoik pełen kredek i, gdy chłopcy z zapalem oddawali się sztuce, przyjęła zamówienie od rodziców.

- Powiedz mi jeszcze raz o tej truciźnie. - Pescoli wbiła zęby w kanapkę, a Alvarez powtarzała, co znalazła w mieszkaniu Jocelyn Wallis i jak doszła do wniosku, że nauczycielka padła ofiarą morderstwa.

Pograżone w rozmowie, zapłaciły rachunek, założyły kurtki i wyszły, mijając po drodze Grizza, wypchanego niedźwiedzia grizzly, który witał gości wchodzących do Wild Will's. Grizz, na zawsze zastygły z wyszczerzonymi kłami, zazwyczaj był przystrojony zgodnie z porą roku i tak było tym razem. Na burym łbie miał biały czepek i kołnierz, przez co wyglądał jak jedna z pierwszych białych osadniczek w Ameryce. Przy jego łapach o wielkich pazurach leżał wielki róg obfitości, z którego wysypywały się smakołyki, a pomiędzy suchych pędów kukurydzy i wielkich dyń wyglądał wypchany indyk.

- Słodkie - mruknęła Pescoli pod nosem.

Alvarez pchnęła ramieniem ciężkie drzwi i lodowaty powiew wiatru uderzył w nią z całą siłą. Spojrzała pod nogi. Chodnik był odśnieżony i posypany solą, spod lodu miejscami wyglądał ciemny asfalt. Grzmot wodospadu docierał tu nawet mimo ulicznego ruchu. Przechodnie okutani kurtkami i paltami, w czapkach głęboko naciągniętych na uszy, z szalikami na szyjach, w zimowych butach, przemykali się szybko. Niektórzy ciągnęli za sobą dzieci, inni taszczyli siatki z zakupami. Nieliczni kulili się przy drzwiach sklepowych i palili ukradkiem koło wystaw, na których już królowały girlandy, kokardki i małe lampki - zwiastuny

nadchodzącego Bożego Narodzenia. Śnieg na razie przestał padać, ale chmury wisiały nisko, spowijając wszystko szarym całunem, skutecznie blokując promienie słoneczne.

Przyjechały osobno. Alvarez od świtu siedziała na posterunku i stamtąd zadzwoniła do Pescoli, która zgodziła się na spotkanie.

- Wiesz, że dzisiaj mam wolne - podkreśliła, gdy doszły do jej samochodu.

- Myślałam, że będziesz chciała wiedzieć, co się dzieje.

- W sumie masz rację. I tak dzieci są z Lukiem, więc to żaden problem. Dzisiaj Czarny Piątek, rozumiesz. Michelle zabiera Biankę na zakupy.

- Przecież mówiłaś, że jest chora.

- Czy ty nic nie rozumiesz? Czarny Piątek, największe święto za-kupoholiczek. Nic ich nie powstrzyma. - Pochyliła się z kluczykiem w dłoni. - A ty oczywiście pracujesz.

- Tak.

- W dzień i w nocy.

- No wiesz, w święta zawsze sporo się dzieje. - Od tej reguły nie było wyjątków. Wystarczy zgromadzić kilku krewnych pod jednym dachem, dać im jeść i pić i zaraz otwierają się stare rany. Teraz jeszcze tylko podać to alkoholem, dać komuś pistolet do ręki i sprawy szybko wymykały się spod kontroli. Czyż nie doświadczyła tego we własnej rodzinie? - Uwierz mi, nie nudzę się.

Pescoli otworzyła drzwiczki i zawahała się.

- Informuj mnie na bieżąco.

- Jasne.

Pescoli wsiadła do samochodu i odjechała, a Alvarez poszła nieco dalej, w boczną uliczkę, gdzie zostawiła swój wóz.

Nawet w taką pogodę przy barierce nad rzeką stali wędkarze, wpatrzeni w spławiki niknące w ciemnej, wzburzonej wodzie. Nieliczni przechodnie przemykali szybko. Odwróciła się od rzeki i spojrzała w drugą stronę, na urwisko Boxer Bluff. Nie wiedząc, czemu to robi, przesunęła wzrok na park i niski murek, z którego Jocelyn Wallis spadła i zginęła.

Spadła albo ją zepchnięto.

Czy mordercy tak bardzo zależało na jej śmierci, że nie chciało mu się nawet zaczekać, aż zadziała trucizna w kawie? Niewykluczone, że nie wiedział, że chorowała na serce. Właściwie możliwe, że sama Jocelyn nie zdawała sobie sprawy, że cierpi na tak poważne schorzenie.

Ale jedno zabójca musiał wiedzieć - że prędzej czy później arszenik, którym szpikował jej kawę, pozbawi ją życia.

- Kim ty jesteś, do cholery? - zapytała na głos, a jej oddech barwił powietrze na białe.

Oderwała wzrok od urwiska, otworzyła drzwiczki samochodu. Może sukinsyn obawiał się, że zaniepokojona złym samopoczuciem pójdzie do lekarza, zanim umrze. Może żyłaby nadal, gdyby wcześniej zaczęła działać.

Czy tylko nerwy kazały mu przyspieszyć bieg wypadków, czy może miał powód, dla którego porzucił początkowy plan z trucizną?

Oczywiście jeśli naprawdę ktoś ją popchnął, upomniała się Alvarez. Tego, jakże istotnego faktu, jeszcze nie ustalili na sto procent.

- Jeszcze - powtórzyła, wsiadła do samochodu, odpaliła silnik i po raz ostatni zerknęła na skarpe. Niemal widziała, jak Jocelyn Wallis spada, koziółkuje, obija się o kamienie z twarzą wykrzywioną bólem i strachem. A tajemniczy napastnik patrzył. Napawał się, szczycił swoim sprytem.

Zbierało jej się na mdłości.

- Dopadnę cię, sukinsynu - mruknęła pod nosem, choć przecież nie wiedziała nawet, czy na pewno tam był.

Ale dowie się. Tak czy inaczej.

- Twoja matka na drugiej linii - oznajmiła Heather, gdy Kacey skończyła badać siódmego tego dnia pacjenta z gripą. - Wszystko w porządku?

Szczerze mówiąc, nie, bo miała za sobą fatalną noc. Budziła się co chwila, spała najwyżej dwadzieścia minut za jednym razem. Budziło ją wszystko, każde skrzyknięcie, każdy podmuch wiatru i stukanie gałęzi w okna. Śnił jej się napad, budziła się złana potem. Dwukrotnie, zła na siebie za taką słabość, wstawała i upewniała się, że wszystkie drzwi i okna są dokładnie pozamykane. Ba, poszła nawet na strych, żeby sprawdzić, czy stara dubeltówka dziadka jest tam, gdzie zawsze, w schowku pod belką stropową zaledwie kilka kroków od jej pokoju.

Źle spała, a gdy o piątej zadzwonił budzik, z trudem zwlekła się z łóżka.

Nawet dwie filiżanki kawy przed pracą nie dały jej kopa, na który liczyła, i przez cały dzień powłóczyła nogami. A miała pełne ręce roboty. Prócz umówionych uprzednio pacjentów przyjęła siedmiu dodatkowych

z objawami grypy, w tym starszą panią w tak poważnym stanie, że od razu odesłała ją do szpitala.

Wszędzie panował chaos, w poczekalni tłok, wszyscy byli podminowani. Do tego dochodziło zmęczenie dodatkową pracą, prawie dwugodzinna awaria komputerów i to, że Martina coś zatrzymało w szpitalu.

- Nic mi nie jest, ale jestem strasznie zmęczona - skłamała. Od rana dokuczał jej żołądek. - Powiedz jej, że oddzwonię.

Heather skrzywiła się.

- Już próbowałam. No wiesz, pani doktor teraz bada pacjentów, oddzwoni do pani za godzinę lub dwie, ale... - Zrezygnowana pokręciła głową, aż jasne, proste włosy zalśniły w sztucznym świetle. - Nie dała się na to nabrać.

- Odbiorę - zdecydowała Kacey, zaskoczona nagłym zainteresowaniem ze strony matki. Przecież widziały się zaledwie wczoraj, a czasami nie rozmawiały przez tydzień lub dwa.

Weszła do gabinetu, opadła na krzesło za biurkiem, podniosła słuchawkę przestarzałego telefonu i zaczęła:

- Cześć, mamó. Jak ci mija Czarny Piątek?

- Nie myślisz chyba, że jak cała reszta tego kraju uganiem się po sklepach? - Nawet cienia uśmiechu po drugiej stronie kabła. - Wiesz, Acacio, tak sobie myślałam... - zaczęła, a Kacey ugryzła się w język, żeby nie skomentować złośliwie matczynych procesów myślowych. Wyczuła, że Maribelle nie jest w nastroju do żartów.

- O czym?

- O naszej wczorajszej rozmowie.

Kacey usiadła wygodnie i spojrzała w okno. Na dworze znowu padał śnieg, pokrywał krzewy wokół przychodni świeżą warstwą białego puchu.

- Tak? - Była gotowa się założyć, że nie chodziło o Komandora czy, tym razem, jej życie erotyczne. Nie, wczoraj dotknęła czułego punktu.

- Wiesz, nie daję mi spokoju, że mogłaś pomyśleć, że twój ojciec... no wiesz, miał inne dzieci, albo że coś takiego zrobił ktoś z naszej rodziny. Chyba nie do końca zdajesz sobie sprawę, jakie to idiotyczne. - Mówiła ze śmiertelną powagą. - Wiem, że przejęłaś się śmiercią tych kobiet podobnych do ciebie i chciałam się po prostu upewnić, że wszystko jest w porządku.

Czytaj: że nie będziesz więcej węszyć.

- Dzięki, mamó, wszystko jest w porządku.

- Więc... wszystko wróciło do normy?

Nie.

- Na tyle, na ile to możliwe.

- Dobrze. - Głośne westchnienie ulgi. - Bardzo dobrze. Czytaj: Cieszę się, że dasz sobie spokój.

Maribelle, która nie do końca wierzyła w zapewnienia córki, ale dla świętego spokoju postanowiła udawać, że tak jest, dodała jeszcze:

- Bardzo się cieszę, że wczoraj u mnie byłaś. Zaraz idę na kolację. Mam randkę z Komandorem, wyobrażasz to sobie? W moim wieku?

- Super, mammo.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Tym razem mówiła szczerze. Jeśli ten mężczyzna ma uszczęśliwić Maribelle - proszę bardzo.

- Ja też. Więc biegnę się przygotować.

Czytaj: nałożyć makijaż i bieliznę wyszczuplającą.

- Biegnij, mammo.

- Niedługo zadzwonię.

- Pa.

Kacey odłożyła słuchawkę i wbiła wzrok w okno. Nagle poczuła wewnętrzną pustkę. Dlaczego akurat jej trafiła się taka dziwna, raz oziębła, raz serdeczna matka, skoro tyle kobiet ma normalne, bliskie, ciepłe układy ze swoimi? Miała wrażenie, że ona i Maribelle są sobie obce, a to co najmniej dziwne. I niewłaściwe. Och, oczywiście, bywają związki o wiele gorsze, bardziej bolesne i krzywdzące, ale to wcale nie łagodziło bólu starych ran, jeszcze z dzieciństwa. Bez rodzeństwa, z obojętną matką troskliwym, ale wiecznie zapracowanym ojcem... Gdyby nie dziadkowie...

Zniesmaczona takim obrotem myśli, starała się dostrzec pozytywne strony tej sytuacji. Może to nie takie złe, że nie są z matką zbyt blisko. Dzięki temu może spokojnie badać historię rodziny. Nie miała oporów, że skala dobre imię krewnych, że zepsuje rodzicom reputację.

- Jest, jak jest - powiedziała na głos. Zastanowiła ją łatwość, z jaką okłamała matkę. Bo tak naprawdę, już zaczęła działać. Zanim zjawił się pierwszy pacjent, napisała maile do szpitali i urzędów stanowych. Chciała się dowiedzieć, ile kobiet - na razie chodziło o same kobiety -urodzonych w przedziale trzech lat od jej narodzin w Helenie w Montanie, zginęło tragicznie, być może w podejrzanym okolicznościach. Zerknęła na nowe wydanie plotkarskiego pisemka, które kupiła w sklepie, z fotografią Shelly Bonavenrure aa okładce. W artykule natknęła się na nazwisko policjanta prowadzącego tę sprawę. Był to niejaki Jonas

Hayes z LAPD. Postanowiła, że kiedy znajdzie wspólny punkt, o ile go znajdzie, skontaktuje się z nim. Mimo że śmierć Shelly Bonaventure uznano za samobójstwo.

Niewykluczone, a nawet bardzo prawdopodobne, że wyciąga pochopne wnioski. Być może Shelly Bonaventure naprawdę postanowiła popełnić samobójstwo, a Jocelyn Wallis naprawdę potknęła się nieszczęśliwie i dlatego runęła kilkadziesiąt metrów w dół.

Do tej pory nie doczekała się żadnej odpowiedzi na wysłane maile i zapewne nie miała na co liczyć przed końcem świątecznego weekendu. Jeśli w ogóle...

Kacey siedziała za biurkiem z marsmem na czole i nerwowo bębniła palcami o blat. Nie chciała dopuścić do tego, by nerwy znowu wzięły górę, nie chciała, by powtórzyła się miniona noc. Zerknęła na zegar na ścianie. Siedemnasta siedemnaście, miejscowe schronisko dla zwierząt zamyka podwoje o osiemnastej, już to sprawdziła, a podczas kwadransa na lunch, jedząc kanapkę z serem, pobieżnie obejrzała też zwierzaki do adopcji. Zmieniła zdanie o sto osiemdziesiąt stopni i teraz uważała, że pies jest jej niezbędny i gdzieś tam, w schronisku, jest zwierzak, który rozpaczliwie na nią czeka. Później się zastanowi, jak pogodzić pracę z opieką nad czworonogiem, ale poczuje się pewniej, mając u boku psa, który dotrzyma jej towarzystwa i zaalarmuje, gdy ktoś będzie chciał włamać się do domu.

Odbija ci, stwierdziła w myślach i mało nie zemdląca, gdy ktoś trzasnął tylnymi drzwiami przychodni. Serce waliło jej jak oszalałe. Bez powodu.

- Weź się w garść - mruknęła. Cały czas było jej niedobrze. Przez okno widziała, jak Randy Yates wsiada do dziesięcioletniego chevroleta tahoe, z bagażnikiem na narty na stałe zainstalowanym na dachu wiekowego suva. Kilka minut później pożegnała się Heather i drzwi trzasnęły po raz kolejny.

Została sama.

- Najwyższy czas przywyknąć - mruknęła pod nosem, zażyła tabletkę na zgagę, sięgnęła po kurtkę, włączyła alarm i zgasiła światła.

Kolejny cel: miejscowe schronisko dla zwierząt. Mimo wcześniejszych oporów postanowiła adoptować psa.

Na dworze było już ciemno, światło z latarni ulicznych ścieliło się miękkimi plamami na śniegu. Na wystawach sklepowych wesoło migotały świąteczne lampki, odbijały się w oszronionych szybach.



Kacey właściwie tego nie zauważała, idąc szybkim krokiem do samochodu. Lodowaty wiatr przenikał ją na wskroś i zdążyła przemarznąć, zanim wsiadła do auta. Włączyła ogrzewanie na pełny regulator, nastawiła ulubioną stację radiową w której oczywiście puszczano kolędy, tym razem w wersji country, i starała się nie szczekać zębami. Kierownica parzyła lodem nawet przez rękawiczki, więc jakoś nie bardzo czuła świąteczną atmosferę.

Mimo korków na drodze dotarła do schroniska w piętnaście minut, czyli wtedy gdy wnętrze samochodu wreszcie nagrzało się trochę i temperatura była odrobinę wyższa od podbiegunowej.

Zastała zamknięte drzwi, więc obeszła budynek i weszła od strony przychodni weterynaryjnej. Powitała ją kakofonia psich głosów. W wielkim, podobnym do stodoły budynku powietrze przesycił zapach moczu, z którym nie do końca radził sobie sosnowy odświeżacz powietrza. Gdy weszła, rozległ się dzwoneczek nad drzwiami. Szczekanie dobiegało z długiego pomieszczenia widocznego za holem z recepcją.

Dziewczyna, chyba jeszcze nastolatka, stała za długim kontuarem i układała paragony kasowe.

- Słucham panią? - Podniosła głowę. Odłożyła dokumenty na bok, przyglądała jej się ze zdziwieniem w piwnych oczach pod niesforną czupryną. - Przyszła pani odebrać zwierzaka? - zapytała zdziwiona, prezentując aparat korekcyjny na zębach.

- Och, nie. Chciałabym adoptować psa.

- Och... oczywiście. - Dziewczyna znacząco zerknęła na zegar ścienny, chcąc w ten sposób przypomnieć Kacey, która jest godzina. - Oczywiście. Psy są tam. Musi pani to wypełnić. - Znalazła plik papierów UMOWA ADOPCYJNA, położyła jeden egzemplarz na blacie, dodała długopis i ponownie zajęła się papierami.

Kacey zabrała się do wypełniania formularza, a tymczasem w otwartych drzwiach za recepcją stanęła wysoka kobieta. Ciemne włosy zebrała w luźny kok na karku. Śniada karnacja zdradzała indiańską krew w żyłach. Kacey poznała miejscową lekarz weterynarii, doktor Jordan Eagle.

- Amber - oznajmiła, idąc szybkim krokiem. - Przed chwilą dzwonił Trace O'Halleran. Zaraz tu będzie z psem, jakiś wypadek. Dotrze w ciągu dziesięciu minut.

O'Halleran tu będzie? Głupie serce Kacey zabiło żywiej. Amber naburmuszyła się, zwiesiła ramiona i kolejny raz zerknęła na zegar.

- Ale ja...

- Poczekaj na niego, proszę, później sama zamknę. - Lekarka mówiła surowo, stanowczo i Amber, pokonana, wzruszyła ramionami.

- Dobrze.

- Dokończ robotę papierkową i idź, kiedy tylko przyjadą. - Jordan Eagle przeniosła wzrok na Kacey i wypełniane przez nią formularze. -Chce pani adoptować psa? - Jej spojrzenie odrobinę złagodniało.

Kacey skinęła głową i sprecyzowała, o co jej chodzi:

- Nie chcę szczeniaka. Zależy mi na psie średniej wielkości, który jest nauczony czystości i dobrze znosi obecność dzieci i innych zwierząt. - Nagle przypomniała sobie swoje przerażenie na myśl, że ktoś był w domu i powód, dla którego, mimo wcześniejszych oporów, zdecydowała się na psa. - Chciałabym psa, który wygląda na groźniejszego, niż jest w rzeczywistości, który będzie szczekał na obcych, ale nie zaatakuje dzieciaków sąsiadów na rowerze i nie obudzi całej okolicy, obszczekując wiewiórki na dachu.

Lekarka uśmiechnęła się pod nosem.

- Jasna sprawa, szuka pani psa idealnego.

- Tak, chyba tak.

Amber przewróciła oczami, zamykając kasę. Nawet jeśli lekarka to zauważyła, nie dała niczego po sobie poznać. Skinęła głową w stronę pomieszczenia za recepcją i powiedziała:

- Zapraszam na zaplecze. Zaraz przedstawię pani Bonziego. Amber ożywiła się natychmiast.

- Och! Bonzi jest... cudowny!

- To prawda. Zadzwoń po mnie, kiedy O'Halleran przywiezie swojego psa - poprosiła i spojrzała na Kacey. - Tędy proszę. - Szła szybkim, energicznym krokiem, prowadziła Kacey przez labirynt korytarzy. - Niestety teraz mamy sporo psów - mruknęła, gdy mijały pokój zabiegowy, salę operacyjną i łazienkę, w której kapano zwierzęta.

Koty i psy w klatkach, pacjenci kliniki, odprowadzały je wzrokiem, gdy szły dalej do pomieszczenia, w którym przebywały zwierzęta do adopcji.

Słyszac dźwięk otwieranych drzwi, psy zaczęły szczekać i piszczeć.

- Bardzo radosne towarzystwo - zauważyła lekarka. Znalazły się w ogromnym pomieszczeniu z kilkoma rzędami klatek. - Tu mieszkają zwierzęta, dla których zabrakło domów tymczasowych - wyjaśniła Jordan. - Wszystkie są przebadane i zaszczepione. Teoretycznie przebywają

tu chwilowo, staramy się, by wszystkie zwierzęta do adopcji przebywały w domach tymczasowych, zanim trafią do nowych właścicieli, ale teraz mamy straszny tłok. - Szła krótkim korytarzem, głaszcząc psie mordki i mokre nosy. - Gdyby to było możliwe, sama adoptowałabym wszystkie, ale... robimy, co w naszej mocy. Proszę bardzo, oto Bonzi, rasy mieszanej, choć według mnie to mieszanka boksera, pit bulla, może też ma w rodowodzie jakiegoś labradora. Ma trzy- cztery lata, jest łagodny i słodki, choć jego szczekania można się przestraszyć. Cześć, Bonz. -Otworzyła klatkę, przypięła mu smycz do obroży. - Tędy. - Poklepała go po wielkim łbie i poszła dalej, do przestronnego pomieszczenia, w którym wyprowadzano psy na spacer i ćwiczenia.

Nie licząc białych skarpetek różnej długości na wszystkich łapach, Bonzi miał krótką sierść koloru karmelu. Przede wszystkim jednak jej uwagę przykuły jego oczy. Ciemne, mądre i dobre.

W kłębie sięgał jej do kolana.

- On jest średni? - zapytała.

- No cóż, średnio duży - przyznała lekarka. - Waży niecałe czterdzieści kilo.

Było to o dwadzieścia kilo więcej, niż planowała, ale i tak Kacey straciła dla niego głowę. Był spokojny i przyjazny, z mocnym, przypominającym pejcz ogonem, który, jak się domyślała, jednym ruchem sprzątnie wszystko z niskiego stolika.

- Jego właściciele rozeszli się i teraz oboje mieszkają na osiedlach, na których nie można trzymać zwierząt. To trudna sytuacja, bardzo nie chcieli się z nim rozstawać, ale nie mieli wyjścia. Ale są też dobre strony - Bonzi spędził pierwsze lata życia z drugim, mniejszym psem, dwoma kotami i małą dziewczynką i ze wszystkimi świetnie się dogadywał. Robili, co mogli, by go nie oddawać, ale to po prostu nie było możliwe. - Rozbrzmiał dzwonek, Bonzi zaszczekał nisko, głośno, a lekarka stwierdziła: - To mój pacjent!

Ranny pies Trace'a O'Hallerana. Kacey odruchowo spojrzała na drzwi prowadzące do przychodni weterynaryjnej.

- Zostawiam was, żebyście się zapoznali. Amber zaraz przyjdzie i odprowadzi Bonziego, a jeśli zechce go pani adoptować, zadzwoni pani jutro.

- Chcę - zapewniła, ale Jordan już nie było, jej kroki nikły za drzwiami. Kacey spojrzała na średnio dużego psa i kucnęła na cementowej podłodze. - No dobra, Bonzi, to co mi powiesz?

W odpowiedzi ziewnął, prezentując imponujące uzębienie, westchnął, okręcił się w kółko, ułożył koło niej i położył jej na udzie wielki łeb. Podrapała go za uszami. Sapnął głośno i spojrzał jej w oczy.

Pies stróżujący? Wątpliwe, choć szczekał naprawdę groźnie, a kiedy wyobraziła sobie włamywacza w domu, widziała, że z psem na pewno poczuje się bezpieczniej. Zresztą i tak już podjęła decyzję. Czując na udzie ciężar psiej mordy, wiedziała, że ten prawie czterdziestokilowy czworonóg zostanie z nią do końca swego życia.

## Rozdział 17

Acacia Lambert była ostatnią osobą którą Trace O'Halleran spodziewał się zobaczyć w przychodni weterynaryjnej, gdy wraz z synkiem czekali na diagnozę Sarge'a. A tu proszę, oto pani doktor we własnej osobie, ze spojrzeniem równie bystrym jak w jego wspomnieniach, i równie piękna. Wkurzało go, że w ogóle to zauważył.

- Cześć - rzuciła z lekkim uśmiechem na ustach, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego. - Jak się masz, Eli? Jak tam ręka? - Wychodząc, zapewne mijając Jordan Eagle, widziała Sarge'a, i jej zatroskana mina nie wróżyła niczego dobrego.

- Sarge jest chory! - wyrzucił z siebie Eli z buzią wykrzywioną strachem, tak samo jak wtedy, gdy zakrwawiony pies kusztykał do domu. Łapa, rozszarpana do kości, krwawiła obficie.

- Wiem, widziałam - powiedziała spokojnie. - Ale jest z nim doktor Eagle, a to naprawdę dobry lekarz. - Kucnęła przy chłopczyku, ale patrzyła na Trace'a. - Co się stało?

- Właściwie nie wiadomo, wygląda na to, że Sarge stoczył przegraną walkę z nie wiadomo czym, mógł to być szop, niedźwiedź, a nawet puma. Po południu, jak zawsze, towarzyszył mi w stajni, a potem, jak to on, zajął się własnymi sprawami. Zawołałem go i czekałem, spieszyłem się do domu, żeby nadmiernie nie obciążać pani, która w tym czasie opiekowała się Elim, więc zacząłem go szukać, i wtedy sam się zjawił. - Zacisnął usta na wspomnienie Sarge'a kusztykającego do tylnych drzwi, znaczącego śnieg krwią z rozharatanej łapy. Było mu szkoda psa, a jeszcze bardziej synka, który z trudem powstrzymywał niewypłakane łzy. Jakby już był dorosły. To dosłownie łamało Trace'owi serce. - Zadzwoniliśmy do weterynarza.

- Bo jest bardzo chory! - Eli poczerwieniał, dolna warga mu drżała. - Nie może umrzeć!

- Nie myśl o tym - poprosił Trace miękko.

- Ale pani Wallis umarła!

- Wiem, synku. - Wiedział, a jakże. Wszyscy mieli za sobą ciężki tydzień. - Ale Sarge to twardziel.

- Doktor Eagle zrobi co w jej mocy, by go uratować. - Kacey pospieszyła mu z pomocą.

- Nie umrze?

Uścisnęła jego zdrową rączkę.

- Tego nie wiemy, musimy być dobrej myśli. - Wróciła wzrokiem do Trace'a. - Może pójde z Elim do Dino i zamówię mu pizzę czy coś takiego? A ty do nas dołączysz, gdy tu wszystko się wyjaśni.

Pizzeria Dino była po przeciwnej stronie ulicy, więc pomysł lekarzki przypadł mu do gustu. Nie było sensu, żeby Eli siedział tu z nim i zamartwiał się, póki nie okaże się, jak rozległe są obrażenia Sarge'a. A gdyby doszło do ostateczności i trzeba było psa uspić, wolał załatwić to sam, nie w obecności synka.

- To chyba dobry pomysł - przyznał. Wiedział, że Eli polubił lekarkę. - Co ty na to? - zwrócił się do niego.

Eli spojrział na Kacey. Zaniknęła jego mała dłoń w swojej.

- Może nawet zamówimy lody jeszcze przed pizzą?

- I zjemy? - upewnił się. Zerknęła na Trace'a.

- Jak chcecie. Zaraz do was dołączę - powiedział. Wyszli razem. Powiew zimnego powietrza oznajmił ich wyjście, podobnie jak dzwoneczek nad drzwiami.

Odprowadzał ich wzrokiem, patrzył przez okno, jak Kacey przeprowadza jego synka przez jezdnię. Rozejrzała się dokoła i zerknęła za siebie z grymasem niepokoju na twarzy.

Dlaczego?

Obawiała się ruchu na prawie pustej ulicy? A może chodziło o coś więcej?

Nie szukaj problemów tam, gdzie ich nie ma. Jest po prostu ostrożna i tyle.

Ważne było co innego - to, jak troskliwie prowadziła chłopczyka. Przez chwilę serce ścisnęło mu się boleśnie na myśl, że biologiczna matka Eliego chyba nigdy nie poświęcała mu tyle uwagi.

Cóż, z drugiej strony Leanna nigdy nie była idealną matką.

Zabawne, pomyślał, patrząc, jak Kacey otwiera drzwi do restauracji, wyróżniającej się nowoczesnym wystrojem wnętrza w miasteczku pełnym klimatów rodem z westernów. W oknach, udekorowanych na nadchodzące święta, bałwany płci obojga rozwoziły pizzę na łyżwach. Zaskakujące, jak bardzo Kacey przypominała mu Leannę. Dziwny, złowrogi dreszcz prześlizgnął mu się wzdłuż kręgosłupa i usadowił w żołądku, gdy przyłapał się na tej myśli. Czy nie to samo przemknęło mu przez głowę w związku z Jocelyn Wallis?

Dziwne, pomyślał, zaskoczony obrotem myśli, ale w tym momencie otworzyły się drzwi na zaplecze i w progu stanęła Jordan Eagle z poważną miną.

- Jest źle - stwierdził, zanim otworzyła usta, by poinformować go o stanie psa.

- Cóż, w każdym razie nie jest dobrze.

- Przeżyje?

- Raczej tak, ale martwię się o łapę. Mięśnie i ścięgna są poważnie uszkodzone. -

Patrząc na niego szczerym spojrzeniem ciemnych oczu, tłumaczyła, że chce spróbować operacji, zobaczyć, co da się uratować.

- Rób, co w twojej mocy - powiedział Trace. Dorastał na farmie, widział cierpienie zwierząt, widział ich śmierć, widział, jak jego ojciec własnoręcznie „usypiał” chore i słabe, czasami pistoletem, czasami strzelbą. Śmierć to część życia i Trace to rozumiał. Ale cieszył się, że Sarge przeżyje. Nie chciał, żeby Eli musiał zmierzyć się dodatkowo z utratą psa. Nie teraz, gdy przypomniał sobie o matce, która go porzuciła, i dowiedział się, że jego nauczycielka nie żyje.

- Rób, co w twojej mocy - powtórzył.

- To może okazać się kosztowne. Zacisnął usta.

- Informuj mnie na bieżąco.

- Oczywiście.

- Dzięki. - Nałożył kapelusz na głowę i wyszedł. Przypomniał mu się Sarge, wtulony w koc, z bystrymi zazwyczaj

ślepiami zasnutymi bólem, pod nogami Eliego na podłodze pikapa, gdy jechali do przychodni. Jezu, oby z tego wyszedł. Trace wbił ręce w kieszenie, przebiegł przez jezdnię w niedozwolonym miejscu i zajrzał przez przeszkłone drzwi do pizzerii, pełnej piątkowych gości, zajmujących długie stoły, na których leżały otwarte pudła z pizzą i stały dzbanki piwa.

Kacey wzięła Elię na ręce, żeby lepiej widział smaki lodów za długą ladą. Obok nich grupka dziewcząt w obcisłych dżinsach i obszernych bluzach także zastanawiała się nad wyborem.

Otworzył drzwi i nagłące przecucie, że coś jest nie tak, weszło do restauracji w ślad za nim. Powietrze było gęste od rozmów i zapachów - oregano, pomidorów, chleba i piwa. Wśród stolików i za kontuarem uwijało się kilku nastolatków, za barem królował mężczyzna koło siedemdziesiątki, z bujnymi siwymi wąsami. Nalewał wino i piwo i czujnie zerkał na kasę.

Eli usłyszał odgłos otwieranych drzwi, jakby miał szósty zmysł. Gwałtownie podniósł głowę, odwrócił się, zobaczył ojca. Wysunął się z objęć Kacey i podbiegł do niego.

- Sarge będzie zdrowy? - zapytał niespokojnie, z troską na buzi.

- Chyba tak, ale musi mieć operację. - Trace wziął go na ręce. - Doktor Eagle bardzo się stara.

- Zostawiłeś go! - W oczach synka zalśniły oskarżycielskie łzy. Eli, speszony, usiłował wytrzeć je paluszkami wystającym z niebieskiego gipsu.

- Tylko na dzisiaj. Pani doktor powiedziała, że jutro do nas zadzwoni.

- Ale będzie zdrowy?

- Chyba tak.

- Mogę go zobaczyć? - zapytał Eli, a potężna dziewczyna nawoływała przez mikrofon:

- Czterdzieści siedem. Zamówienie Brown. Czterdzieści siedem.

- Mogę go zobaczyć? - powtórzył Eli.

- Może jutro, poczekamy.

Mały chciał zaprotestować, Trace widział to w jego spojrzeniu, więc postanowił zmienić temat, żeby przerwać niekończące się pytania.

- Co powiesz na kolację?

- Powiedziała, że mogę zjeść lody! - Eli wskazał Kacey rączką w gipsie.

- Tak jest - odparła. - Izdaje się, że masz ochotę na „święteczny obłęd ciasteczkowy”, tak?

- Tak!

- Brzmi... ciekawie - mruknął Trace.

- Na pewno są pyszne - orzekła Kacey. - Niemożliwe, żeby było inaczej, skoro są w nich ciasteczka oreo, płatki miętowe i lody miętowe. Pycha! - W jej oczach błyszczał śmiech. - Ja chyba wezmę dwie gałki!

- Ja też. - Eli wyrwał się z objęć Trace'a i podbiegł do lady z lodami.  
- Trzydzieści dziewięć - zawołał tubalny kobiecy głos. - Państwo Rosenberg.  
Trzydzieści dziewięć. - Potężna nastolatka wstała od stolika i podeszła do kontuaru energicznym krokiem, aż podskakiwał jej blond kucyk.  
- A ty? - Kacey przeniosła wzrok na niego. - Ile gałek? Dwie?  
- Mnie wystarczy piwo. Uśmiechnęła się szerzej.  
- W rożku?  
- Co powiesz na „mięsną ucztę”? - Wskazał menu wypisane na tablicy na ścianie. Pod nią chudy nastolatek, ogolony na zero, z trądzikiem, w grubych okularach, nakładał lody do wafelków i czekał, co zamówią a dziewczyny w rurkach usiadły przy sąsiednim stoliku. - Ja stawiam - dorzucił.

Czytała menu.

- A może zamówimy pizzę na pół, „mięsną ucztę” i „wegetariańskie szaleństwo”, i podzielimy się rachunkiem - zaproponowała.

- Pod warunkiem że sama zjesz pół.

- Pół pizzy i dwie gałki lodów - zapewniła. Poczł, jak kąciiki jego ust unoszą się w uśmiechu.

- Wiesz co? O to, kto zapłaci, posilujemy się na rękę.

- Nie zgadzaj się! - uprzedził Eli. - Mój tato jest bardzo silny.

- Naprawdę? - uśmiechała się od ucha do ucha. - No, to chyba się przekonamy.

Ja też jestem silna - powiedziała z przekonaniem.

- Nie! - Eli energicznie pokręcił głową. - Nie taka silna jak on!

- Jasne. - Mrugnęła okiem. - Silniejsza. Dzieciak za ładą niecierpliwił się.

- Coś podać?

- Poprosimy dwa razy po dwie gałki ciasteczkowego obłędu... w rożkach. - Spojrzała na Eliego. Z zachwytem kiwał główką.

- I posypką!

Kacey uśmiechnęła się.

- I posypką. - Zerknęła na Trace'a i nagle zauważył, jakie ma gęste rzęsy, jak zieleń jej oczu zmienia się w zależności od oświetlenia. - A ty?

- Mnie wystarczy pizza.

Zamówił pizzę, dwa piwa i napój gazowany i kolejną godzinę spędził w coraz bardziej zatłoczonej pizzerii, siedząc na niewygodnej ławie i coraz lepiej poznając tę kobietę, cholerną lekarzkę, która tak dobrze



dogadywała się z Elim. Okłamała ich jednak, jeśli chodzi o apetyt - zjadła zaledwie dwa kawałki swojej pizzy, podczas go on i Eli sprzątnęli wszystkie z mięsem. A właściwie to sam je wciągnął, poprawił się, bo po lodach mały nie miał już apetytu. Dokładnie tego było mu trzeba po tak okropnym tygodniu.

- Nie zdążyłem zapytać: co właściwie robiłaś u weterynarza? - Wskazał głową budynek po przeciwnej stronie zaśnieżonej ulicy.

- Chcę adoptować psa - wyznała.

- Jakiej rasy?

- Ten, który mi się spodobał, to mieszaniec boksera z pitbullem, tak twierdzi doktor Eagle. Kawał zwierzaka.

- Pies stróżujący? - zapytał. Przypomniawszy sobie, jak rozglądała się dokoła godzinę wcześniej, przechodząc z Elim przez ulicę.

- To jedno z kryteriów. - Spojrzała w bok, gdzie Eli z grupką dzieci bawił się przy automatach do gry. - Ja... mieszkam sama. - Sięgnęła po szklanekę. - Towarzystwo mi nie zaszkodzi.

- Tak. - Skinął głową pomyślał o Sarge'u i w myślach prosił los, by pies wyżył.

- Jesteś z tych okolic? - zagadnęła. Zmieniła temat. Odsunęła od siebie talerz z nieskończonym kawałkiem pizzy.

- Tak, mieszkam tu prawie całe życie z wyjątkiem studiów i kilku lat w wojsku, a potem odziedziczyłem farmę i uznałem, że to fajny sposób na życie. A ty?

- Urodziłam się i dorastałam w Helenie, ale moi dziadkowie tu mieszkali i wszystkie wakacje spędzałam na ich farmie - uśmiechnęła się tęsknie, pogrążona we wspomnieniach, wpatrzona w szklanekę, choć myślami była zapewne daleko stąd, w młodości. Przez moment zastanawiał się, czy znała Leannę, która także spędziła pierwsze lata swego koczowniczego życia w stolicy Montany.

- I postanowiłaś tu zamieszkać?

- W końcu tak. - Znowu na niego patrzyła. - Studiowałam w Missoula, medycynę kończyłam w Seattle, przez jakiś czas tam mieszkałam. Wyszłam za mąż, rozwiodłam się, a ponieważ odziedziczyłam farmę, postanowiłam zamieszkać tutaj.

- Nie masz dzieci?

Pokręciła przecząco głową i skrzywiła się lekko.

- On... nie był gotowy. - Zrobiła palcami cudzysłów w powietrzu, ale zaraz wzięła się w garść i pokręciła głową. - To nieważne, i to

już od trzech lat, i powtarzam sobie, żeby skończyć ze złośliwościami, choć mój były to wymarzony obiekt. - Wzruszeniem ramion zbyła mężczyznę, z którym kiedyś tak wiele ją łączyło. - A ty? Gdzie matka Eliego? - Upiła łyk piwa.

- Odeszła. Nie daje znaku życia. Zamyśliła się nad jego słowami.

- Doskonale sobie radzimy - zapewnił stanowczo.

Choć z jej twarzy nie dało się niczego wyczytać, był gotów się założyć, że mu nie uwierzyła. A najgorsze, że miała rację. Przypomniawszy sobie niedawny wybuch rozpaczy Eliego, kiedy mały błagał go, żeby dowiedział się, gdzie jest Leanna. Boże drogi, pękało mu wtedy serce i nie mógł opędzić się od myśli, że Eli ucierpiał bardziej, niż mu się wydawało.

Nagle ktoś przerwał im rozmowę.

- Ej! Doktor Lambert!

Trace odwrócił się i zobaczył, że w ich stronę idzie recepcjonistka z przychodni. Przeciskała się między stolikami z kieliszkiem wina w jednej ręce, a za drugą trzymała dwudziestoparoletniego chłopaka z kilkudniowym zarostem na twarzy, we włóczkowej czapce na głowie.

- Cześć, Heather - odparła Kacey.

- To jest Jimmy - przedstawiła swojego towarzysza i powędrowała wzrokiem do Trace'a. - A pan jest ojcem Eliego, tak? - Skinęła głową jakby do siebie. - Jak on się ma? Och!

W tej chwili mały podbiegł do stolika.

- Potrzebuję pieniędzy!

- Jak my wszyscy, brachu - skomentował Jimmy.

Eli spojrzał na niego spode łba, jakby chciał zapytać: a kim ty jesteś, do diabła?

- Na nas chyba już czas. - Trace odsunął swoje krzesło.

- O rany. - Jimmy uważnie przyjrzał się Kacey. - Pani mi kogoś przypomina.

- Panią Wallis! - zawołał Eli i spochmurniał, gdy sobie przypomniawszy, że już jej nie ma.

- Shelly Bonaventure - podsunęła Heather. Jimmy pstryknął palcami.

- Tak jest. Jezu, jest pani jej sobowtórem czy co?

- Czy co - odparła Kacey i nagle podobnie jak Trace zapragnęła stąd wyjść. Sięgnęła po kurtkę leżącą na wolnym krześle.

Ale chłopak miał rację. Trace jak przez mgłę kojarzył Shelly Bonaventure - aktorkę, ale jej fotografie od tygodnia były na okładce wszystkich pisemek w sklepie, w którym robił zakupy, a kiedyś trafił na reportaż o jej śmierci, gdy skakał po kanałach, szukając prognozy pogody.

- Pochodziła z tych okolic, prawda? - rzucił Jimmy.

- Chyba z Heleny - odparła Heather.

- Heleny - powtórzył Trace i odszukał wzrok lekarki. Jak Leanna. Jak Kacey.

- Na mnie już czas - oznajmiła Kacey. - Dzięki.

Heather wodziła wzrokiem od lekarki do Trace'a i Eliego i z trudem stłumiła uśmiech.

- Możemy odwiedzić Sarge'a? - powtórzył Eli, gdy Trace zakładał mu kurtkę.

- Jutro, bracie.

- Aleja chciałbym teraz. - Eli pomknął wzrokiem na drugą stronę ulicy, do przychodni weterynaryjnej.

- Doktor Eagle go operuje.

Eli wydał dolną wargę, ale już nie protestował. Kacey powiedziała Heather, że zobaczą się w pracy w poniedziałek i we trójkę wyszli w lodowatą noc. Śnieg padał leniwie, temperatura oscylowała w okolicach kilku stopni poniżej zera.

Odprowadzili ją do samochodu. Uśmiechnęła się do Trace'a, szukając kluczyków w torebce.

- Dzięki za pizzę.

- Nie ma sprawy. Eli... - Szturchnął synka. - Nie masz doktor Lambert nic do powiedzenia? - Mały zamrugął ze zdumieniem. - No wiesz, lody? - przypomniał Trace.

- Ach, tak. Dziękuję. - Eli przypomniał sobie, że jest dobrze wychowanym chłopcem.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Uważaj na rękę, dobrze? - Jeszcze raz zerknęła na Trace'a. - Doktor Lambert brzmi bardzo oficjalnie, nie uważasz? Kacey.

- Kacey. - Powtórzył.

A potem otworzyła drzwiczki forda edge i usiadła za kierownicą.

Cały czas trzymając synka za rękę, patrzył, jak odjeżdżała. Po chwili zabrał Eliego do stojącego niedaleko pikapa. Gdy wyjeżdżali z miasta, myślał o Kacey, Leannie, Jocelyn Wallis i Shelly Bonaventure.

Dwie nie żyją.

Jedna zaginęła.

A czwarta, Kacey, czujne rozglądała się na boki, przechodząc z Elim przez jezdnię.

Trzy z nich łączyło coś z Heleną. Wszystkie były do siebie podobne.

Zatrzymując się na światłach niedaleko knajpy Shorty's, zastanawiał się, co, i czy w ogóle cokolwiek, je łączyło.

Wróciła!

Słyszał zgrzyt klucza w zamku, skrzypienie podłogi w kuchni, jej kroki, gdy krzątała się po pomieszczeniu.

Zadziwiająco, jak dobrej jakości był dźwięk. Usiadł wygodniej w fotelu i słuchał z oddali, jak włącza radio i rozrywa coś - papier? No tak, oczywiście! Poczta!

Choć nie zainstalował kamer - jeszcze się na to nie odważył - oczami wyobraźni widział Acację, jak przechadza się po domu, zdejmując buty... nalewa wody do wanny...

Co za dziewczyna...

Wyobrażał sobie, jak upina włosy na czubku głowy, zdejmuje ubrania, ciska je na podłogę w łazience, a potem naga, z sutkami nabrzmiałymi od zimnego powietrza, wchodzi do wanny pełnej parującej wody.

Ciekawe, czy dołąła odrobinę płynu do kąpieli i zanurzyła się w pachnącej pianie? A może zapaliła świece i patrzyła, jak płomienie odbijają się w mlecznych szybach w oknie? Czy zanurzy się tak bardzo, że zwilgotnieją niesforne kosmyki na karku? Czy na jej długich nogach zaśnieją krople wody, gdy skrzyżuje je na obramowaniu staroświeckiej wanny na lwich łapach?

Zwilżył usta językiem, przesunął palcem po wąskiej bliźnie na skroni, tam, gdzie właśnie ona, jego własnym nożem, przecięła mu skórę.

Krew dudniła mu w uszach, gdy w słuchawkach rozległ się cichy plusk. Nie miał na to czasu, miał jeszcze tyle do zrobienia, a jednak... Opadł do tyłu, zamknął oczy. Serce biło mu szybko, oddychał płytko, jego członek budził się do życia...

Wyobrażał sobie kolumnę jej szyi i nóż, ten nóż, którym naznaczyła go na zawsze, lśniące ostrze przecinające jej białą skórę. Jej oczy, szeroko otwarte ze zdumienia, krople krwi lśniące jak klejnoty na białej szyi,

zanim popłyną jasnym strumieniem w dół, przez obojczyk, na piersi, do wody, która zabarwi się szkarłatem, piana pociemnieje, zbrukana, gdy Acacia osunie się do wanny...

Jęknął cicho, zatracił się w wizji, poczuł, jak narasta dreszcz rozkoszy...

Teraz!

- Nie. - Zaskoczył go jego własny głos, ale powiedział sobie, że musi być cierpliwy, nie może teraz ulegać prymitywnym zachciankom. - Poczekaj - upomniął się, ale w duszy, w najmroczniejszych zakamarkach serca, wiedział, że nie wytrzyma długo. Acacia Collins Lambert to sprawa osobista.

Przez małe mikrofony nasłuchiwał cichego plusku wody i wyobrażał ją sobie, że leży w kałuży własnej, krzepnącej krwi. Już wkrótce jej życie dobiegnie końca.

Po raz kolejny dotknął blizny, przesunął palcem po białej linii na skroni. Choć ledwo widoczna, przypominała mu, co trzeba. Zmrużył oczy i zerknął w lustro na ścianie przy biurku.

Przez chwilę wydawało mu się, że widzi ją w zwierciadle.

Acacia!

Patrzyła w lustro i śmiała się z niego! Jakby go oczekiwała!

Zaskoczony, odwrócił się gwałtownie.

Ale nikogo tam nie było. Oczywiście, że nikogo nie było. Zobaczył tylko wieszak, a na nim bluzę z kapturem.

Oddychał nerwowo. Wrócił spojrzeniem do lusterka i do blizny, którą po sobie zostawiła.

Niewiele osób dostrzegало białą linię.

Jeszcze mniej o nią pytało.

Ale on wiedział.

I pamiętał.

Co dzień.

## **Rozdział 18**

A niech mnie.

Trace odsunął się od monitora. Przed chwilą dowiedział się, sprawdzając dostępne bazy danych, że Jocelyn Wallis także urodziła się w Helenie w Montanie.

Cztery na cztery. Niemożliwe, żeby to był zbieg okoliczności, zwłaszcza w tak małym mieście.

A trzy z nich znałeś osobiście. Też zbieg okoliczności?

Co to wszystko ma znaczyć, do cholery?

Nic?

Niemożliwe. Drukarka wypluwała kolejne arkusze. Na razie wziął kilka pierwszych kartek, czytał po raz kolejny, starał się odnaleźć związek. Na darmo. Podniósł ręce, przeciągnął się, poruszył głową żeby rozluźnić napięte mięśnie karku. Ziewnął, wyłączył komputer, zerknął na zegarek. Było już po północy, Eli dawno zasnął przed telewizorem. Trace już wcześniej chciał zanieść go do łóżka, ale mały protestował, twierdził, że bez Sarge'a nie chce spać u siebie. Martwił się o psa.

Wyszedł z bocznego pokoiku, który służył mu za gabinet, i zobaczył synka śpiącego na kanapie. Rozczochrany, z ciemnymi rzęsami na policzkach, Eli wyglądał jak aniołek, tylko że zamiast skrzydeł miał niebieski gips.

Za jego sprawą zmieniło się całe życie Trace'a.

Zanim został ojcem, Trace O'Halleran słynął z zamiłowania do alkoholu i niewłaściwych kobiet. Wyszalał się za wszystkie czasy, ale usatkwował się, gdy tylko w jego życiu zjawiał się Eli i wszystko stanęło na głowie. Zawsze słyszał, że po dzieciach wszystko się zmienia, ale nigdy w to do końca nie wierzył. Póki sam nie został ojcem.

Pochylił się, by podnieść synka z kanapy. Eli spał jak suseł, gdy niósł go na piętro.

W pokoju panował bałagan. Wszędzie poniewierały się książki i zabawki, ubrania leżały obok, a nie w koszu na brudną bieliznę, łóżko było rozścielone. Przez okno wpadało szare światło, dziwna poświata zimowej nocy zalewała kolorową kołdrę.

Trace delikatnie ułożył synka na łóżku i otulił kołdrą. Eli westchnął i odwrócił się na drugi bok. Jego syn.

Trace zacisnął usta na myśl o tym wszystkim, co ukrywał przed chłopcem. Domyślał się, że prędzej czy później będzie musiał powiedzieć mu prawdę. Eli miał prawo wiedzieć, że Trace nie jest jego biologicznym ojcem. Ale kiedy się o tym dowie, zaczną się pytania, równie trudne jak te z wczoraj, gdy poruszony Eli błagał, żeby odnalazł matkę.

Pytania, na które Trace nie znał odpowiedzi.

Bo Leanna nigdy mu nie powiedziała, kim był biologiczny ojciec Eliego. Trace podejrzewał, że sama tego nie wiedziała, a nawet jeśli, nie miało to dla niej znaczenia. Ich związek zaczął się burzliwym romanssem po spotkaniu w barze i zbyt wielu drinkach, a skończył ciążą. Trace postąpił jak dżentelmen - ożenił się z Leanną i adoptował jej synka. Z czasem nawet pogodził się z tym, że albo poroniła, albo od początku kłamała co do ciąży, bo dziecko, które, jak zapewniła, było owocem ich związku, nigdy nie przyszło na świat.

Choć to i tak nie miało znaczenia.

Zaczęły się kłótnie i oskarżenia, aż pewnej nocy po prostu wyszła i nie wróciła. Obudził się w pustym łóżku. Zniknął jej samochód i ciuchy, jej telefon, laptop i kosmetyki.

Zostawiła tylko chłopca.

I dobrze.

Patrzył na śpiącego malca i nie wierzył, że inne dziecko mógłby kochać bardziej. Nie pojmował, czemu odeszła, ale kiedy przysłała papiery rozwodowe i zrzekła się prawa opieki nad synkiem, podpisał bez wahania.

Początkowo dzwoniła i czasami wpadała z wizytą ale w miarę upływu lat - coraz rzadziej. Nie pamiętał kiedy ostatnio z nią rozmawiał. Eli dzwonił do niej pół roku temu, ale okazało się, że telefon jest odłączony.

Trzeba było ją wtedy odnaleźć.

Eli zasługuje na to, żeby poznać matkę, choćby była bezwzględna suką.

Nie wiadomo, co się z nią dzieje. Może nie żyje. Jak Shelly Bonaventure. Jak Jocelyn Wallis.

Postanowił, że rano wykona kilka telefonów i postara się ustalić, gdzie aktualnie przebywa Leanna. Nie dalej jak w zeszłym miesiącu, gdy szukał nowej książeczki czekowej, znalazł w szufladzie biurka kilka starych numerów telefonów. Jeden z nich był w Phoenix - tam zdaje się zamieszkała jedna z jej przyjaciółek. Drugi zaczynał się od numeru kierunkowego stanu Washington, co go zaskoczyło.

Jego myśli znowu powędrowały do doktor Acacii „Kacey” Lambert, więc upomniał się, że ma dzisiaj naprawdę dosyć. Nie dzieje się nic złego. Czasami dzieją się dziwne rzeczy i tyle. Rozpiął koszulę, ściągnął dzinsy i skarpetki, rzucił się na łóżko, zamknął oczy i westchnął przeciągle.

Burczenie w brzuchu przypomniało, że od banana o szóstej rano nie miała niczego w ustach. Trzy kawy nie zaspokoili głodu. Otworzyła szufladę biurka, w której trzymała batoniki muesli, znalazła snickersa i obiecała sobie, że na kolację zje sałatkę z tuńczyka i mnóstwo warzyw.

Może.

Stosuj się do własnych zaleceń. W myślach niemal słyszała ten frazes z ust babki. Rozwinęła batonik z papierka. Ileż razy pouczała pacjentów, że powinni odżywiać się zdrowo, pić co najmniej półtora litra wody dziennie i unikać cukru?

- Za często - mruknęła do siebie i, nie zwracając uwagi na stertę papierów na biurku, wbiła zęby w czekoladowy batonik i westchnęła z rozkoszy.

Od rana nie czuła się najlepiej, ale przypisywała to niespokojnej nocy, pełnej majaków o włamywaczach i ciemnych pikapach, z którymi przeplatały się o wiele miłsze wizje Trace'a O'Hallerana.

Skarciła się, że to ojciec pacjenta, a więc absolutnie zakazany owoc, ale po wczorajszym spotkaniu u weterynarza i wspólnej kolacji z nim i Elim nie mogła przestać o nim myśleć.

Zdażyła skończyć batonik, zanim do gabinetu zajrzała Nadine, recepcjonistka pracująca w weekendy.

- Dzwoniła kolejna pacjentka, nowa, Elle Alexander. Spóźni się piętnaście minut, za to przyszła Helen Ingles i pyta, czy dasz radę ją przyjąć.

Kacey skinęła głową.

Nadine, szczupła sześćdziesięciolatka, miała ostro zarysowany podbródek, brwi wyskubane w cienkie kreseczki, okulary w fioletowych oprawkach i siwe, niesforne włosy. Błede usta wykrzywiał grymas dezaprobaty.

- Coś jeszcze? - zapytała Kacey.

- Dzisiaj rano przyszłam pierwsza i znowu zepsuł się przełącznik! Nie było światła!

Odwieczny problem.

- Mogłabyś zadzwonić do właściciela?

- Nagrałam mu się na sekretarkę i napisałam maila - odparła skromnie. Nadine Kavanaugh, emerytowana wojskowa, przywiązywała wielką wagę do detali i nie znosiła, gdy ktoś, jak to określała, nie umiał „wziąć się w garść”. Zasady są po to, żeby ich przestrzegać.

- Dobrze. - Kacey odwróciła się energicznie, cisnęła opakowanie do kosza na śmieci i sięgnęła po kitel. Wstając, dostrzegła, jak cienkie



brwi Nadine zbiegają się z dezaprobatą nad oprawkami okularów. Najwyraźniej nie aprobowała zmian w planie dnia. Ani w niczym innym, szczerze mówiąc.

- Zaprowadzę panią Ingles do dwójki - zdecydowała nieco zbyt stanowczo. - A panią Alexander do jedyńki, kiedy w końcu przyjedzie.

- Niech Randy ją przygotowuje, zaraz przyjdę.

Posapując z oburzeniem, Nadine zamknęła za sobą drzwi do gabinetu. Kacey słyszała jej energiczne kroki, gdy wracała do recepcji.

Włożyła kitel, upewniła się, że ma w kieszeni stetoskop, i w ostatniej chwili sprawdziła pocztę elektroniczną. Liczyła, że może ktoś już odpisał w sprawie aktów urodzeń podobnych do niej kobiet, choć wiedziała przecież, że wszystkie urzędy są nieczynne od trzech dni. Przypomniało jej się ostrzeżenie dziadka: Ejże, panienko, co nagle, to po diable. I rzeczywiście, nie było żadnych nowych wiadomości. Może rzeczywiście przesadza. Fakt, że ginęły kobiety bardzo do niej podobne i że matka zachowywała się dziwnie podczas rozmowy o rodzinnej przeszłości, to jeszcze nie powód, by wariować.

Wylogowała się i pokonała krótki odcinek do pokoju zabiegowego, w którym już czekała Helen Ingles. Pacjentka uskarżała się na wieczne zmęczenie.

- Mam już tego po dziurki w nosie - wyznała, choć zaklinała się, że skrupulatnie sprawdza poziom glukozy, odżywia się odpowiednio i regularnie ćwiczy. - Ale może to dlatego, że zamieszkała ze mną córka z ośmioletnim synkiem. Jest z mężem w separacji, nie ma pracy. - Jej oczy pociemniały ze zmartwienia.

- No właśnie, porozmawiajmy o tym.

Kacey przez następne dziesięć minut wysłuchiwała jej narzekania. Ustaliła, że złe samopoczucie Helen jest wynikiem zarówno cukrzycy, jak i problemów, zleciła kolejne badania i poradziła wizytę u psychologa.

- Psychologa? - Helen była przerażona. - Ale ja nie jestem wariatką.

- Pani życie gwałtownie się zmieniło, a to są zawsze trudne chwile. Proszę, tu jest wizytówka lekarza. Radziłabym umówić się na wizytę. -Widząc jej wahanie, dodała: - Komu to może zaszkodzić?

- Chyba mojej dumie. Zawsze uważałam, że sama sobie ze wszystkim poradzę.

- Czasami wszyscy musimy się komuś wygadać. - Kacey zostawiła ją by sobie to przemyślała, a sama wzięła z półki przy drzwiach kartę nowej pacjentki, czekającej w jedyńce. Elle Alexander miała

trzydzieści pięć lat, dziesięć kilo nadwagi i uskarżała się na chroniczny kaszel, który nie dawał jej spać. Jej poprzedni lekarz mieszkał w Coeur d'Alene, w Idaho.

Z głową pochyloną nad kartą chorobową Kacey zapukała do drzwi.

- Pani Alexander? Jestem Acacia Lambert.

Pacjentka siedziała na stole lekarskim, nie sięgała nogami do podłogi. Pulchna, rudowłosa, pogodna, zarumieniona, uśmiechnęła się szeroko.

Kacey poczuła, jak serce staje jej w piersi, bo kobieta była do niej na tyle podobna, że od razu rzuciło się to w oczy. Znowu?, pomyślała z niedowierzaniem.

- Dzień dobry - zagaiła Elle.

Kacey powtarzała sobie, że przesadza, wszystko wyolbrzymia. Za bardzo przejęła się słowami Heather, że Shelly Bonaventure mogłaby być jej siostrą bliźniaczką i obawami Rosie Alsgaard, że to ona jest umierającą biegaczką którą Trace O'Halleran później zidentyfikował jako Jocelyn Wallis.

Być może uznałaby wszystko za przypadek, ale teraz, patrząc na Elle Alexander i widząc minę Randy'ego Yatesa, gdy zdejmował pacjentce ciśnieniomierz z ramienia, zaczęła mieć wątpliwości.

- Panie są spokrewnione? - zapytał pielęgniarz. Elle roześmiała się i spojrzała na lekarkę.

- Och, nie! - Zbyła go machnięciem ręki. - Po prostu mam jedną z tych twarzy, no wie pan, każdemu kogoś przypominam. - Wzruszyła ramionami. - To moje przekleństwo - uśmiechnęła się znowu. - Zresztą nie jesteśmy aż tak bardzo podobne. Po pierwsze, mamy inną budowę ciała.

To akurat była prawda. Kacey była o pięć centymetrów wyższa i dziesięć kilo szczuplejsza, ale rysy, zarys kości policzkowych, podbródek, kształt oczu obie miały takie same. Włosy Elle były jaśniejsze, ale niewykluczone, że to sprawa farby, jej oczy wydawały się też bardziej niebieskie niż zielone, ale było w niej coś... a poza tym była w odpowiednim wieku.

Odpowiednim? Do czego?

- Ale wie pani, czasami sobie myślę, że mogłabym założyć klub sobowtórów - powiedziała nagle. - Odkąd tu zamieszkaliśmy, spotkałam kilka osób bardzo do mnie podobnych.

- Czyżby? - rzuciła Kacey obojętnie, czując, jak serce bije jej coraz szybciej.

- No, tak! Weźmy tę biedną nauczycielkę, która zginęła na urwisku, do tego jeszcze ta kobieta w mojej siłowni. Jest instruktorką, zaraz, jak ona się nazywa... chyba Gloria. - Zirytowana, zmarszczyła brwi. - Chodzę tam dopiero od niedawna, więc nie znam wszystkich z Fit Forever, a teraz jeszcze pani. - Wzruszyła ramionami, jakby nie widziała w tym niczego dziwnego.

Randy wpisywał dane do systemu na swoim laptopie, a Kacey starała się nie zwracać uwagi na dzwonek alarmowy w głowie, ostrzegawczy głosik, który szeptał: Coś tu jest nie tak. Koncentrowała się na badaniu, osłuchiwała płuca pacjentki, poprosiła, żeby zakasłała, dowiedziała się, że kaszel dokucza jej od trzech miesięcy, i to mimo kilku kuracji anty-biotykowych, i dwukrotnie pobrała wymaz z gardła.

- Leczyła się pani w Coeur d'Alene?

Elle podała jej nazwisko lekarza, po krótkich poszukiwaniach wyciągnęła z torebki jego wizytówkę.

- Byłam u niego, zanim się tu przeprowadziliśmy - wyjaśniła.

- Miała pani prześwietlenie płuc? Przecząco pokręciła głową.

- Nie.

- Więc od tego zaczniemy, wykluczmy zapalenie płuc i infekcję paciorkowcem

- Zapalenie płuc? Niemożliwe, żebym... - Wydawała się bardzo poruszona. - W życiu nie miałam zapalenia płuc! Zapalenie oskrzeli, owszem, parę razy, ale płuc...

- Zobaczymy, co wykaże prześwietlenie. Nasze laboratorium jest w sobotę nieczynne, ale wypiszę zlecenie, wpadnie pani w poniedziałek i zaraz prześlą mi wyniki. A wymaz prześlemy do laboratorium. - Zerknęła na Randy'ego. - Załatw to z radiologią. - Wsunęła dwie próbki do dwóch osobnych torebek. Elle ubierała się, Randy ciągle wpisywał dane do komputera i Kacey niezauważenie wsunęła jedną z nich do kieszeni fartucha. - A to sprawdzimy pod kątem paciorkowców. - Drugą torebkę położyła na stoliku obok jego laptopa.

Randy zapisywał wszystko, nie podnosząc głowy.

- Jasne.

- Dobrze. - Kacey ponownie skupiła się na pacjentce, gdy Randy wyszedł z torebką z próbką. - Skontaktuję się z panią, gdy dostaniemy wyniki posiewu i obejrzę zdjęcia rentgenowskie, a na razie przepiszę pani mocniejszy antybiotyk, to powinno zadziałać. - Wypisała receptę

i zaprosiła Elle na kolejną wizytę. - Proszę ustalić termin w recepcji-

- Oczywiście.

Mimo wrażenia, że nielegalna próbka pali ją w kieszeni fartucha, Kacey zapytała:

- Dorastała pani w Coeur d'Alene?

- W Boise. Czemu pani pyta?

- Bez powodu. - Kacey wzruszyła ramionami, jakby kierowała nią zwykła ciekawość, choć w głowie miała gonitwę myśli. Jesteś przewrażliwiona. Nawet nie jest do ciebie tak bardzo podobna, nie w tym stopniu, co Jocelyn Wallis i ta aktorka.

- Spędziłam w Idaho całe życie - dodała Elle. - Od urodzenia. I chyba dlatego tak trudno było nam podjąć decyzję o przeprowadzce. Ale Tom, mój mąż, dostał tu pracę, więc przyjechaliśmy. Dzieciaki ledwie przyzwyczyły się do szkoły, a tu coś takiego. - Posmutniała. - To przez kryzys, wiadomo. Nie oszczędza nawet prawników.

- Na pewno szybko znajdzie pani nowych przyjaciół, a nasze szkoły są bardzo dobre.

- Mam taką nadzieję. Nasz syn przyzwyczył się bez problemu, ale córka... jej jest ciężej. Ma trzynaście lat, sama jeszcze nie wie, kim jest... nie jest jej łatwo - westchnęła.

- Grizzly Falls to wspaniałe miasteczko.

- Oby pani miała rację. - Nie wydawała się specjalnie przekonana.

- Proszę dać sobie trochę czasu.

- Chyba nie mam innego wyjścia. - Elle wzruszyła ramionami i zaczęła się ubierać, a Kacey poszła do gabinetu i czekała, aż wyjdą Elle Alexander, jej ostatnia pacjentka, Randy Yates i Nadine.

Powtarzając sobie, że robi z igły widły, zamknęła za sobą drzwi. Od dziecka fascynowały ją teorie spiskowe i dawniej zawsze kłóciła się o nie z matką a ostatnio z byłym mężem. JC uważał, że oszalała, gdy pół żartem, pół serio dowodziła, że do Kennedy'ego strzelało kilka osób, że księżna Diana padła ofiarą zamachu, że Kurt Cobain nie popełnił samobójstwa.

Mimo logicznych argumentów byłego męża.

Upewniła się, że w przychodni nikogo nie ma, i wyjęła drugą próbkę z kieszeni fartucha. Zdawała sobie sprawę, że wyciąga pochopne wnioski, ale mimo tego wypisała skierowanie do laboratorium z prośbą o profil DNA Elle Alexander.

I jeszcze ta instruktorka w Fit Forever... Gloria Jakaś tam. Elle twierdziła, że jest do niej bardzo podobna. Kace postanowiła, że wybierze się tam i sprawdzi na własne oczy, czy to Jedna z nich".

- Dziwne - powiedziała na głos i zgasiła światło.

## **Rozdział 19**

Mimo nieprzeciętnej inteligencji czasami miał wrażenie, że Bóg, opatrność, czy jak to nazwać, jest przeciwko niemu. Zbiegał po starych skrzypiących schodach. Jego nozdrza wypełnił zapach piwnicy, kurzu i brudu. Otworzył drzwi i wszedł do swego królestwa. Odruchowo zamknął je za sobą i usiłował się uspokoić.

- Raz. - Oddychaj. - Dwa. - Oddychaj powoli, głęboko. Zdenerwowany, liczył powoli, najpierw do dziesięciu, potem do

dwudziestu, ale cały czas z całej siły zaciskał pięści, napinał barki, widział czerwone plamy przed oczami. Cały płonął. Otworzył szufladę, w której przechowywał pożółkłe dokumenty, zgromadzone dowody, które wkrótce zamierzał zniszczyć. Starego komputera, który wypluł te dane, już dawno nie było, dyskietki z tamtych czasów i tak straciły znaczenie, pełne uszkodzonych, niemożliwych do odczytania plików.

Zostały tylko te papiery, które tak pieczołowicie przechowywał. I spali je wszystkie, co do jednego, gdy tylko one zginą, Nieświadome.

Oczywiście ciągle istniało ryzyko, że któraś z nich przypadkiem odkryje prawdę i ta myśl nie dawała mu spokoju. Nie mógł do tego dopuścić, nie pozwoli na to, postanowił, czując, jak powraca gniew.

Miał ochotę coś, kogoś, kopnąć, więc podszedł do drążka treningowego, który sam zainstalował, włożył specjalne buty do ćwiczeń, podciągnął się i zaczął trening. Robił brzuszki, wisząc głową w dół, czuł Jak kręgosłup się rozluźnia, a mięśnie brzucha spinają, gdy unosił się do sufitu.

Musiał się rozładować. Zacisnął zęby, gdy poczuł na skórze krople potu.

Zaplanował wszystko idealnie, od lat powoli, ukradkiem, załatwiał sprawę Uzurpatorek. Zdjęcia, które im robił, tuż przed śmiercią, to najlepszy dowód jego cierpliwości i ostrożności, a także czasu, który

poświęcił na to zadanie. Jednak co jakiś czas nawet w najlepszym planie zdarza się nieprzewidziana przeszkoda.

Weźmy tę sytuację z Elle Alexander. Przecież nie mógł przewidzieć, że jej zahukany mąż zdobędzie się na odwagę i znajdzie pracę tutaj? Akurat w Grizzly Falls! To wszystko komplikowało i obawiał się, że cholerna Elle pokrzyżuje mu plany. Była przecież u Acacii Lambert, a to komplikowało sprawę.

Poradzisz sobie z tym. Myśl!

Mięśnie napięły się boleśnie, gdy podciągał się w górę, utrzymał pozycję, opadł na sekundę i powtórzył ćwiczenie. Teraz nie mógł sobie pozwolić na błędy. Masz jeszcze czas. Skup się! Ponownie dźwignął się w górę. Mięśnie brzucha bolały niemiłosiernie.

Opuścił się powoli i nie zważając na obolałe mięśnie, zmusił się do kolejnej serii, przestał dopiero wtedy, gdy brzuch i plecy płonęły żywym ogniem, a pot skapywał na podłogę.

Dobrze. Teraz jest dobrze.

Odetchnął głęboko i zwinnie opuścił się na ziemię. Był sprawny i silny; w szkole i na studiach trenował zapasy, wspinał się, uprawiał speleologię, nurkował, jeździł na nartach.

I nigdy przed niczym się nie cofał, przed żadnym wyzwaniem.

Nawet największym w życiu.

I teraz nie pozwoli, by coś pokrzyżowało mu plany.

Nic, nawet to niepokojące uczucie, które odzywało się co jakiś czas. Że ktoś wie.

- Dość tego! - powiedział na głos, chcąc rozproszyc idiotyczne obawy, które czasami zakradały się do jego serca.

I tak musiał przyspieszyć. Myślał, że ma dużo czasu, że zdoła uniknąć wszelkich podejrzeń, teraz jednak czuł ucisk w klatce piersiowej, wiedział, że musi działać szybko. Czas mu się kończył.

Dobrze chociaż, że wiedział, która będzie następna.

W końcu wszystko poukładało mu się w głowie. Od samego początku miał plan B, bardziej ryzykowny, niosący ze sobą większe prawdopodobieństwo zdemaskowania, ale w tej chwili nie miał innego wyjścia. Musiał pozbyć się Elle.

Wszystko się ułoży. Pozbył się już tych, które mieszkały daleko, więc pozostały mniej skomplikowane zadania w okolicy.

Oczywiście będzie musiał działać ostrożnie, jak zawsze. Jeden błąd i wszystko przepadnie, zanim ukończy swoją misję, zanim będzie wolny. Nie mógł sobie pozwolić na pychę i lekceważenie policji; do tej pory po prostu miał szczęście, zresztą wszystko działo się w różnych okręgach, różnych stanach. Ale aktorka wywołała niezłe zamieszanie. Sława oznaczała, że śmierć Shelly Bonaventure badano dokładniej, ale jej styl życia gwarantował, że uznają to za samobójstwo.

Miał szczęście; zdawał sobie z tego sprawę.

Ale teraz będzie inaczej.

Teraz musiał działać tu, w pobliżu.

Niewykluczone, że policja doda dwa do dwóch.

Uśmiechnął się na tę myśl. Czasami jest to więcej niż cztery. Zerknął na stos fotografii, dowody śmierci tyłu Uzurpaterek, i poczuł w żyłach dreszczyk emocji. Wkrótce dołączy do nich kolejna.

Był coraz bliżej ostatecznego celu.

Wziął czysty ręcznik z równiutkiej sterty, leżącej na półce, koło butów, wytarł się, włożył gruby szlafrok. Spokojny, opanowany, ponownie usiadł za biurkiem przed monitorem komputera. Przeglądał wszystko, co miał na temat Elle, a potem długo patrzył na jej zdjęcie.

Będzie musiał ją śledzić, ale to nic trudnego. Była wiecznie roztargniona, bez trudu sobie z nią poradzi.

Stanie się jego priorytetem.

Był pewien, że przy odrobinie cierpliwości nadarzy się odpowiednia okazja.

A on będzie gotowy.

Wszelkie obawy, które miała w związku z adopcją psa, rozwiały się bez śladu, gdy w sobotę odebrała Bonziego ze schroniska i przywiozła do domu. Pies, spokojny z natury, obwąchał cały dom, uznał, że na wpół uschnięty krzew różany przy garażu to jego ulubione miejsce do podlewania i od razu zaakceptował psie posłanie, które mu kupiła. Chodził za nią krok w krok, stukając pazurkami, ciekawie przekrzywiając łeb, i obserwował błyszczącymi ślepiami. W niedzielę przekonała się, że dwukilometrowe spacery dziennie wystarczą by resztę czasu zachowywał się spokojnie.

- No, rzeczywiście wspaniały z ciebie stróż - mruknęła, gdy szykowała sobie kolację. Bonzi ziewnął w odpowiedzi. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Trace'a O'Hallerana i zapytać o Eliego i Sarge'a,

ale doszła do wniosku, że to pretekst, który zbyt łatwo można przejrzeć.

Ku swemu zdumieniu musiała przyznać, że miło wspomina piątkowy wieczór w pizzerii. Od tego czasu często łapała się na myślach... nie, powiedzmy szczerze, fantazjach o farmerze i jego synku. Już kilka razy sięgała po słuchawkę, by zadzwonić i zapytać o Sarge'a, zawsze jednak rezygnowała w ostatniej chwili. Ale nie mogła przestać o nim myśleć. W każdym razie - nie bez wysiłku. Miała też wiele pytań o synka, o jego nieobecną matkę. Choć teraz Trace chyba nikogo nie miał, przez pewien czas był związany, mniej lub bardziej ściśle, z Jocelyn Wallis, ba, przecież to on ją zidentyfikował, gdy leżała w szpitalu, daremnie walcząc o życie.

Jak blisko byli?

- To nie twoja sprawa - powiedziała na głos, to jednak nie powstrzymało jej myśli. Od rozpadu małżeństwa właściwie z nikim się nie spotykała, po JC na jakiś czas miała dość mężczyzn. Wyczuwała jednak, że Trace O'Halleran mógłby to zmienić.

I to w mgnieniu oka.

Elle nacisnęła pedał gazu. Jej minivan mknął nieoświetloną drogą jednak nie bała się, choć od dawna było ciemno. Od szesnastego roku życia jeździła „niebezpiecznymi” górskimi drogami; to nic takiego. Więc mimo gołoledzi, skrzęcej się w świetle reflektorów i rąbka księżyca na atramentowym niebie, jechała pewnie.

Docisnęła pedał gazu i spojrzała na otaczający ją krajobraz, prawdziwą zimową zaczarowaną krainę. Szosa wiała się czarną wstążką przez ośnieżone pola, mijała zagajniki osik i sosen, których gałęzie uginały się pod białymi czapami.

Zerknęła na zegar na tablicy rozdzielczej. Dochodziło wpół do jedenastej - wracała do domu dobre dwie godziny później, niż planowała. Zabawiła dłużej, niż się spodziewała, w galerii handlowej w Spokane, i jeszcze dłużej w Coeur d'Alene, gdzie przez sentyment wstąpiła na szybką kolację. I to był błąd. Tom pewnie już się martwi. Powinna do niego zadzwonić.

Nie zdążyła, dopadł ją atak kaszlu, Odłożyła telefon, rozwinęła cukierek na kaszel o smaku wiśniowym i wsunęła do ust. Czuła też, że ma podwyższoną temperaturę, ale nie wspominała o tym Tomowi i dzieciom, po co ich denerwować?



Pewne rzeczy po prostu trzeba było zrobić, a jeśli nie ona, to kto?

W sezonie świątecznym zawsze miała ręce pełne roboty, a dodatkowo w tym roku, po przeprowadzce, w nowym domu, nowym otoczeniu, presja była jeszcze większa. Obiecała sobie, że ich domek będzie najpiękniej udekorowany na całej uliczce Aspen Circle.

Zmrużyła oczy, gdy mijał ją samochód jadący w przeciwnym kierunku, i odetchnęła głęboko. Na drodze było mało aut. Nikt jej nie wyprzedzał, ale co jakiś czas widziała w tylnym lusterku dalekie światła za sobą. Przynajmniej nie była sama na tym pustkowiu.

Chciała jak najszybciej wrócić do Toma i dzieci. Obiecał się nimi zająć, gdy wyskoczyła do Spokane na świąteczne zakupy. W centrum handlowym znalazła istne cudo, idealne uzupełnienie jej trzódki świecących reniferów, nowego Rudolfa, który sprawi, że staremu odpadnie świecący nos, gdy go zainstaluje na trawniku, koło małego świerka.

O tak, Rudolf II był fenomenalny - i przeceniony. Tańszy o dwadzieścia procent z kuponem, który wycięła z gazety przed wyjazdem. Nie mogła się doczekać, kiedy ustawi go na oszronionym trawniku, i miała nadzieję, że sąsiedzi docenią jej starania. W zeszłym roku dzieciaki z sąsiedztwa uznały, że zabawnie będzie, gdy Rudolf I wdrapie się na samiczkę ze swego stada.

Zdaniem Elle to wcale nie było zabawne. O nie. Szczyt bezguścia. No, ale to byli krety. Więc może pod tym względem przeprowadzka do Grizzly Falls wyjdzie im na dobre.

Ponownie zaniósł ją kaszel i pomyślała, że cholerne antybiotyki mogłyby już zacząć działać. No dobra, zażywa je dopiero jeden dzień, ale męczy się z tą infekcją już od dawna. Zresztą żaden wirus nie zdołałby jej zatrzymać w domu w czasie wyprzedaży. I tak ominął ją czarny piątek i sobota, za to w czarną niedzielę, czy jak to się tam nazywa, w końcu zaszalała.

Nie zwalniając, sięgnęła po iPod, podłączyła go do stacji w samochodzie i znalazła osobiście stworzoną playlistę - specjalną wiązaną piosenek świątecznych. Rozległa się muzyka i Elle także zaczęła śpiewać, a jej dodge pokonywał kolejne kilometry.

Jedynym problemem poza tym paskudnym kaszlem - czyżby to naprawdę zapalenie płuc? - było to, że nie знаła jeszcze tutejszych dróg. Jak wspomniała lekarce, spędziła w Idaho trzydzieści pięć lat życia, no, poza tym jednym latem, gdy pojechała do Los Angeles i marzyła, że ufarbuje się na blond, zamieszka blisko plaży, w Malibu, Venice albo

innym miejscu o egzotycznie brzmiącej nazwie, i nauczy się jeździć na wrotkach w minispódniczce. Błąd, wielki błąd.

Za gorąco, za tłoczno, za dużo innych pięknych blondynek.

Cztery miesiące później wróciła do Boise z przysłowiowym podkulonym ogonem i uznała, że może nie tak źle jest być „burakiem z prowincji”, jak sama o sobie mówiła.

A zresztą właśnie wtedy poznała Toma, prawda? Tom Alexander był miłością jej życia. Był, gdy się poznali i pobrali, bo po dwunastu latach małżeństwa i dwójce dzieci namiętność może przygasnąć.

Pograżona w myślach o mężu, kątem oka dostrzegła tablicę drogową.

Cholera!

Zorientowała się, że przegapiła swój skręt. Zwolniła, gdy tylko droga się rozszerzyła, i zawróciła. Jezu, czemu te drogi są tak kiepsko oznakowane? Co gorsza, było ciemno, od dawna nie widziała nawet jednej latarni. Zerknęła w lusterko i zobaczyła, że samochód, który od dawna za nią jechał, był teraz o wiele bliżej, też zawrócił w stronę miasta i jechał dwupasmówką wzdłuż brzegu rzeki.

Ponownie zerknęła na tablicę rozdzielczą, na zegar. Nie dotrze do domu przed jedenastą, powinna zadzwonić. Tom będzie się martwił.

Samochód za nią przyspieszył, kierowca niemal oślepił ją długimi światłami.

- Dupek - mruknęła i włączyła bluetooth. Oczywiście zestaw padł. Świetnie.

Zapomniała go naładować. Na tym właśnie polegał problem, w dzisiejszych czasach za dużo rzeczy trzeba łądować, a jak do tego dochodzą obowiązki rodzinne, prowadzenie domu, wolontariat w szkole i oczywiście ta cholerna grypa czy co to tam jest, człowiek może o czymś zapomnieć.

Sięgnęła po telefon, wybrała numer domowy i czekała. Tom odebrał po trzecim dzwonku.

- Cześć - rzucił. Najwyraźniej poznał jej numer. W tle słyszała odgłosy telewizora. - Gdzie jesteś?

- Sama chciałabym wiedzieć. Ale na właściwej drodze. Chyba. -Na drogowskazie było, że tędy do Grizzly Falls, prawda? Samochód za nią był coraz bliżej, siedział jej na ogonie. - Rany, jakiś dupek za mną oślepia mnie długimi światłami.

- Przepuść go, niech cię wyprzedzi.

O nie. Niech dupek ją goni. Była zmęczona i chciała jak najszybciej znaleźć się w domu, nie potrzebowała jeszcze dostawać światłami po oczach. Rzuciła do telefonu:

- Jestem jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut od domu. Nie mogłam się oprzeć wyprzedzącom. Jak dzieci?

- Oburzone, że o dziesiątej kazałem im iść spać. Nie bardzo im się chce wracać do szkoły. Stałem się - teatralnie zniżył głos - znieawidzonym Zapędzaczem do Łóżka.

- Nie znoszą tego.

- Też mi nowina.

Roześmiała się i pokonała zakręt, trzymając kierownicę jedną ręką. Samochód za nią nie zwolnił, ba, był coraz bliżej, tuż na jej zderzaku! Jej opony poślizgnęły się, ale zaraz odzyskała panowanie nad wozem, natomiast śmiech przeszedł w kolejny atak kaszlu. Jezu, miała już tego dosyć!

- Dobrze, Tom - wykrztusiła, dzieląc uwagę między samochód na zderzaku i atak kaszlu. - Muszę kończyć. O cholera! Tom! - kaszlała coraz głośniejszym głosem, oczy jej łzawiły, a samochód zmierzał prosto na ogrodzenie.

Bum!

Rozległ się zgrzyt metalu, samochód potoczył się do przodu, pas bezpieczeństwa wrzynał jej się w ciało.

- Co do cholery... - Spojrzała w tylne lusterko. Wielki pikap był tuż za nią. Walnął w nią? Co to za kretyn? Nie miała czasu się nad tym zastanawiać, samochód wpadł w poślizg. - Ty draniu! - Upuściła telefon, zacisnęła obie dłonie na kierownicy.

Za późno!

Straciła panowanie nad wozem, była coraz bliżej obramowania i lodowatej wody w rzece. Cholera!

Dała się ponieść, powoli manipulowała kierownicą, aż przednia opona uderzyła w barierkę. Coraz mocniej naciskała hamulec, starała się zachować spokój, choć myślała, że serce wyskoczy jej z piersi, a spocone dłonie ślizgały się na kierownicy.

- Elle? - Jak przez mgłę słyszała Toma w telefonie, który spadł na podłogę.

- Drań mnie stuknął! - krzyknęła.

- Co?

- Mówię, że... O Boże!

W lusterku widziała tuż za sobą potężnego pikapa. Reflektory lśniły złowieszczo. Co to ma być? Dobry Boże, znowu chce w nią uderzyć!

Przejechała na przeciwległy pas, odzyskała panowanie nad wozem, znowu wpadła w poślizg, znowu uderzyła w barierkę.

A pikap ciągle był za nią.

- Tom! - wrzasnęła do słuchawki. - Dzwon na policję! On chce mnie... o Jezu! - Zakręt był zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej, ostry skręt przed mostem.

Silnik pikapa ryczał ogłuszająco, nic nie widziała w blasku jego reflektorów. Kretyn ją wyprzedzał!

Dobrze, niech jedzie! Koniecznie zapamiętaj numery rejestracyjne...

O Boże, jego zderzak jest tuż przy jej bocznych drzwiach! Za blisko! I nagle z przerażeniem zrozumiała, że kierowca wcale nie chciał jej wyprzedzić. Planował znowu ją staranować!

Nie miała wyboru. Mimo że nie do końca odzyskała panowanie po ostatnim poślizgu, docisnęła pedał gazu. Za późno! Bum!

Kolejne uderzenie w zderzak, tak silne, że poczuła ból w karku.

Samochód zjechał na prawo. Niemal stała na hamulcach, ale koła gnały dalej, coraz bliżej barierki i rzeki.

Most... Gdyby zdołała dojechać do mostu...

Bum! Przy akompaniamencie zgrzytu rozdieranego metalu czuła, jak samochód odrywa się od nawierzchni. I spada po zaśnieżonym zboczcu, i ląduje w wartkiej, lodowato zimnej rzece.

## **Rozdział 20**

Po spędzeniu piątkowego wieczoru z Kacey długi weekend ciągnął się Trace'owi w nieskończoność. Większość czasu między pracą na farmie i odwiedzaniem z Elim Sarge'a, który powoli powracał do zdrowia, spędził na próbach niemyślenia o nowej lekarce syna. Po Jocelyn powiedział sobie, że na jakiś czas ma dość kobiet, przynajmniej dopóki Eli nie podrośnie, a teraz proszę, był w cholernej oborze i myślał o doktor Acacii Lambert i zastanawiał się, jak mógłby znów się z nią spotkać.

- Nie bądź głupi - powiedział sobie, kończąc karmienie bydła, które w najzimniejsze dni było zamykane w długiej oborze.

Starął się nie myśleć ojej lekkim uśmiechu i błysku humoru w oku. Zaczynanie z nią czegokolwiek wywołałoby tylko problemy, a tych miał już aż nadto.

Zastanawiał się nawet, czyby do niej nie zadzwonić, ale zrezygnował. Poza tym to nie była przecież randka - po prostu poszli razem coś zjeść, dla dobra Eliego. Zaczął myśleć o tym, jak interesowała się jego synem. Wydawało mu się, że to coś więcej niż troska lekarza, ale może tylko sobie wmawiał.

Interesowała się też Trace'em. Był już z niejedną kobietą i rozpoznawał symptomy. Ale była ostrożna. Więc lepiej to po prostu zostawić. Poza tym już mu wystarczy problemów. Ręka Eliego miała się coraz lepiej, ale kaszel nie chciał mu przejść, był głęboki i dudniący. Temperatura skoczyła mu do trzydziestu ośmiu stopni, przynajmniej poprzedniej nocy. Trace postanowił znów ją zmierzyć, jak chłopiec się obudzi, ale zaczął się niepokoić.

Ale na razie miał robotę. Zapach bydła, łajna i uryny mieszał się z zapachem siana w stuletnim drewnianym budynku zapewniającym jego zwierzętom zarówno miejsce na paszę, jak i schronienie. Najstarszą, środkową część budowli, gdzie kłębiło się teraz bydło, zbudowano z długo leżakowanego cedru. Wznosiła się na trzy piętra, a wysoko pod dachem bele siana sięgały aż pod krokwie. Przez lata dodawano do niej kolejne dobudówki - z jednej strony przewiewny dach oparty na palach, z drugiej zabudowaną szopę ciągnącą się przez całą długość budynku.

Tego ranka bydło, niespokojne po nocy spędzonej w zamknięciu z powodu ostatnich burz, ryczało i przepychało się do koryta. Rudo-brunatne i czarne cielska pokrywała gęsta, kudłata sierść, mokre nosy zagłębiały się z upodobaniem w rozrzucone siano.

- Spokojnie. Starczy dla wszystkich - zawołał do wyjątkowo natarczywej sztuki o białym pysku.

Kiedy uznał, że bydło zostało odpowiednio oporzędzone, odwiesił widły na gwóźdź przy drzwiach i odruchowo zagwizdał na psa.

- No dobra, to nie było mądre - wyszeptał.

Sarge wciąż jeszcze był w klinice weterynaryjnej i miał tam zostać, dopóki Jordan Eagle nie stwierdzi, że czuje się na tyle dobrze, aby wrócić do domu.

Zostawił włączone światło i wyszedł na zewnątrz. Słońce jeszcze nie wstało, na niebie lśniły gwiazdy. Przebrnął przez śnieg do stajni, gdzie nakarmił i napił konie. Pogłaskał najmłodszego wałacha po karym nosie. Koń ze względu na swoją maść nosił imię Jet, ale gdy Trace go kupił, Eli uparł się, by nazwać wałacha Jetfire po jednym z transformerów.

- Cześć chłopcze! - Wsypał miarkę paszy i podrapał konia za uchem. - Może wypuszczę was dzisiaj na zewnątrz.

Miejmy nadzieję, pomyślał, bo zwierzęta zaczynały się denerwować. Nie winił ich. Też nienawidził zamknięcia.

- Później - rzucił do małego stada i znów ruszył na zewnątrz, po własnych śladach, do domu, gdzie piecyk rozgrzewał już kuchnię i parzyła się kawa. Strząsnął śnieg z butów, a potem zsunął je, przytrzymując palcami piętę, i wniósł do domu.

Gdy buty grzały się już przy ogniu, nalał sobie filiżankę kawy i chociaż był pewien, że jest zbyt wcześnie, sprawdził, czy nie ma żadnych wiadomości na poczcie głosowej. Oczywiście nie było. Miał nadzieję, że ktoś, kto znał Leannę, zadzwoni do niego i powie, gdzie jest.

Spojrzał na kartkę z biurka z numerami telefonów do Leanny. Sprawdził, która godzina, i zadzwonił pod numer w Waszyngtonie, ale nikt nie odbierał. Nie odezwała się też poczta głosowa. Następnie zatelefonował pod numer z Phoenix, też bez rezultatów, ale tutaj przynajmniej mógł zostawić wiadomość na sekretarce po tym, jak odezwał się komputerowy głos „proszę zostawić wiadomość po sygnale”.

Nieśpiesznie wyjaśnił, kim jest, że był mężem Leanny i chciałby się z nią skontaktować. W końcu zadzwonił do prawnika z firmy, z której usług Leanna korzystała podczas ich rozwodu, niejakiego Kelvina Macadama z Bennett, Stowe i Eissworth w Boise, ale oczywiście tego dnia był nieosiągalny. Na tym skończyły mu się pomysły.

Tyle mu wyszło ze ścigania duchów byłych żon. Pociągnął łyk kawy i włączył niewielki telewizor, który stał na wózku do dzielenia mięsa, który jego mama wykorzystywała jako stolnicę.

Chciał wysłuchać prognozy pogody. Sięgnął do lodówki po karton mleka i do szafki po paczkę cheeriosów. Szukając łyżki, usłyszał wiadomość o miejscowym konkursie na najładniejsze ozdoby świąteczne, po czym prowadząca wiadomości powiedziała:

- Wracając do poważniejszych tematów - kobieta straciła życie w wypadku samochodowym, gdy jej samochód wpadł do rzeki Grizzly, nieopodal mostu North Fork. Elle Alexander, matka dwójki dzieci, zo-

stała odwieziona do szpitala St. Bart's. Na miejscu lekarze stwierdzili zgon. Okropne, pomyślał. Coraz więcej złych wiadomości.

Wysypał resztę płatków do miski i postawił na stole dla syna, po czym zgniół pudełko i odstawił na ganek do surowców wtórnych. Kiedy wrócił do kuchni, na ekranie przemawiała już inna reporterka, na urwisku Boxer Bluff. Za nią, w świetle reflektorów, widać było niski kamienny murek, a wokół niego ułożone kwiaty, świece, baloniki, a nawet pluszowe zwierzątka, wszystkie zamrożone na kość w lodowym pomniku dla Jocelyn Wallis.

Trace wpatrywał się w ekran, na którym reporterka skinęła w stronę pamiątek. Jej krótkie, prawie czarne włosy rozwiewał wiatr, ścisnęła mikrofon w dłoniach w rękawiczkach. Patrząc w kamerę, relacjonowała:

- Posterunek policji okręgu Pinewood wydał oświadczenie z informacją, że śmierć Jocelyn Wallis, nauczycielki ze szkoły podstawowej Evergreen w Grizzly Falls, mogła być wynikiem przestępstwa. Władze nie twierdzą, że śmierć Jocelyn Wallis nastąpiła w wyniku zabójstwa, ale dalej prowadzą postępowanie.

Trace stał zadziwiony, wpatrując się w twarz Jocelyn Wallis, która pojawiła się na ekranie. Coś skręciło mu się w środku, gdy patrzył na jej uśmiechniętą twarz, a potem na najazd kamery na długi ceglany budynek szkoły jego dziecka.

I znów kamera pokazała reporterkę stojącą u szczytu Boxer Bluff, nieopodal parku. Następnie przesunęła się z jej twarzy na kotłujące się wodospady i zaśnieżoną półkę skalną nad rzeką, gdzie los Jocelyn został przypieczętowany.

- Biuro szeryfa okręgu Pinewood prosi wszystkich, którzy widzieli Jocelyn Wallis biegającą w parku albo cokolwiek, co mogło się wydawać podejrzanym w dniu jej śmierci, o kontakt. Numer telefonu zamieszczamy też na naszej stronie internetowej.

Nagle ekran podzielił się na dwie części. Z jednej strony wciąż pokazywano reporterkę na mrozie, a z drugiej dwójkę prezenterów w studio.

- Tu Nia Del Ray z wiadomości KMJC - odezwała się reporterka. - Oddaję głos do studia, Drake.

- Jezu - wyszeptał Trace, nie mogąc uwierzyć swoim uszom i wpatrując się wciąż w ekran. Co powiedziała ta reporterka?

Władze nie wykluczają, że śmierć Jocelyn Wallis nastąpiła w wyniku zabójstwa.

Zabójstwo?

Na miłość boską, kto chciałby zabić Jocelyn? I czemu?

Podzielony ekran znów zlał się w jeden, a w wiadomościach zaczęto mówić o pożarze w niewielkim miasteczku na południu.

Trace pomyślał o synu i o tym, jak blisko był z Jocelyn. I tak ciężko było powiedzieć mu o tym, że zmarła, ale jak wyjaśnić siedmiolatkowi morderstwo, którego sam nie rozumiał? Zapomniał o prognozie pogody, nalał mleka do płatków i wspiął się na schody do pokoju Eliego.

Gdy dotarł do szczytu schodów, nawiedziła go kolejna myśl. Jeśli Jocelyn rzeczywiście zamordowano, to jego uznają za podejrzanego. Nie było innej opcji. Chodził z nią. Cholerna szkoła zadzwoniła do niego, gdy dziewczyna nie pojawiła się w pracy. Był u niej w domu. Wiedział, gdzie trzymała zapasowe klucze, i zidentyfikował ją w szpitalu.

Świetnie, pomyślał, otwierając drzwi do pokoju syna. Eli leżał na wznak, w skopanej pościeli, z włosami sterczącymi na wszystkie strony i ręką w gipsie ułożoną na brzuchu. Spał mocno. Nazwisko Trace'a O'Hallerana na pewno będzie na liście głównych podejrzanych. Przy-najmniej przez jakiś czas.

Patrzył, jak chłopiec oddycha spokojnie, jakby nic go nie trapiło.

Jaka szkoda, że to się zaraz zmieni.

Kiedy Kacey wychodziła do pracy w poniedziałkowy poranek, doszła do wniosku, że nie mogłaby nie adoptować tego psa. I zamierzała, przynajmniej na początku, przyjeżdżać do domu na lunch i bawić się z nim przez jakieś pół godziny, by urozmaicić dzień i jemu, i sobie.

Co się tyczy umiejętności stróżujących Bonzi'ego, trzeba je było jeszcze sprawdzić, ale zapewniał jej towarzystwo i czuła się przy nim w domu bezpieczniej. Umieściła jego posłanie w swojej sypialni i lepiej się czuła, słysząc jego pochrapywanie w nocy.

- To była dobra decyzja - powiedziała sobie, przejeżdżając przez kafejkę drive-thru na skraju miasta i kierując się do biura.

W ciągu weekendu myślała o Trasie O'Halleranie i jego synu. Prawdę mówiąc, kilka razy przyłapała się na tym, że fantazjuje o tym mężczyźnie. Dobrze się z nim rozmawiało w piątek i był przystojny jak sam diabeł, ale postanowiła nie skupiać się na tym za bardzo. Próbowwała zająć się domowymi zajęciami, zabawą z psem i wyszukiwaniem informacji o Shelly Bonaventura, Jocelyn Wallis i w końcu Elle Alexander.



Elle twierdziła, że urodziła się i wychowała w Boise. Kacey sprawdziła, czy nie majakiejś wzmianki o jej narodzinach w Helenie w Mon-tanie, ale wyglądało na to, że Elle nie kłamała i wszystkie podejrzenia Kacey nie miały sensu.

Zmarło kilka kobiet, które wyglądały jak ona. I urodziły się nieopodal. I tyle. Czego się spodziewała? Że wszystkie były spokrewnione? To mało prawdopodobne, a nawet jeśli, czy to takie dziwne? Mogła mieć całe mnóstwo dalekich krewnych w tych okolicach.

Dziesięć minut po tym, jak kupiła latte, zaparkowała pod kliniką akurat gdy na wschodzie zaczynało jaśnieć. Powiedziała sobie, że musi przestać szukać związku.

Z gorącą kawą w jednej i laptopem w drugiej ręce, namęczyła się, zamykając samochód, a potem ruszyła do budynku.

Pierwszy pacjent miał się pojawić dopiero o ósmej, więc wciąż jeszcze miała czas, by przejrzeć pocztę i przygotować się do pracy.

Ale gdy wchodziła do swojego gabinetu, Heather podbiegła do niej z recepcji.

- Słyszałaś? - zapytała robiąc wielkie oczy.

- O czym?

- Że jedna z naszych pacjentek zginęła w ciągu weekendu!

- O Boże, nie! - Kacey serce prawie stanęło.

- Nigdy jej nie widziałam, ale była tu w sobotę. Właśnie miałam się skontaktować z laboratorium w sprawie jej wyników.

Kacey zamarła.

- Kto? - Ale już wiedziała. Natychmiast.

- Elle Alexander. Pamiętasz? - zapytała wstrząśnięta.

Kacey czuła się tak, jakby ktoś uderzył ją obuchem. Elle? Ta kobieta była tak pełna życia. Zamężna, matka martwiąca się o swoje dzieci bardziej niż o własne zdrowie. Nawet mimo natarczywego kaszlu tryskała energią.

- Co się stało?

- Ześlizgnęła się z drogi. Nieopodal mostu North Fork, prosto do rzeki. Wracła ze Spokane, gdzie była na przedświątecznych zakupach, mówili w wiadomościach. Widziałam rano, jak ćwiczyłam na stepperze! - Heather zadrżała. - Wyobrażasz to sobie?

- Nie - przyznała Kacey, a serce jej się ścisnęło. - Były z nią dzieci?

- Nie sędzę. Ale cała historia jest w gazecie, leży na twoim biurku.

- Dzięki. - Wstrząśnięta Kacey poszła do gabinetu i usiadła przy biurku. Przeczytała artykuł, raz i drugi, wciąż wspominając wyrazistą twarz Elle i jej uśmiech.

Jako lekarz często stykała się ze śmiercią. Ludzie żyli i umierali. Na tym polegał krąg życia. Wiedziała o tym i to akceptowała, chociaż nigdy się nie uodporniła na to, że ludzie odchodzą. Ale taka młoda kobieta, w kwiecie wieku, z dwójką dzieci... to po prostu okropne.

I jeszcze coś ją martwiło. Uparta myśl, która wzbudzała niepokój. Elle przypominała ją tak jak wcześniej Shelly Bonaventure i Jocelyn Wallis.

Pomyślała o próbce śliny, którą pobrała od kobiety, i o tym, że zleciła zbadać jej DNA. Uznała, że to był dobry pomysł. Może nie do końca klasyczna teoria spiskowa, ale coś było nie tak... działo się coś dziwnego.

- Sama możesz odsłuchać nagranie z telefonu alarmowego - rzuciła Alvarez, wchodząc z Pescoli do świetlicy udekorowanej świątecznie po sam sufit. Sala obwieszona była lampkami choinkowymi, girlandami sztucznych gałązek ze złotymi bombkami i czerwonymi wstążkami. Z sufitu zwieszały się na linkach srebrne płatki śniegu, kręcąc się w powietrzu niczym przynęty z zapomnianych wędek.

- Na miłość boską czy to w ogóle jest dozwolone w budynkach użyteczności publicznej? - jęknęła Pescoli, widząc, że dzbanek z kawą też udekorowano czerwoną wstążką. - Tego już naprawdę za wiele.

Alvarez zerwała wstążkę i nalala sobie kawy do kubka wziętego z półki. Pociągnęła długi łyk i wróciła do tematu wypadku samochodowego przy moście North Fork.

- Tom Alexander uważa, że jego żonę zepchnięto z drogi rozmyślnie. Twierdzi, że rozmawiał z nią gdy ktoś uderzył w jej samochód.

- Naprawdę? - Pescoli sięgnęła po swój ulubiony obtłuczony kubek. - Czyli co? Twierdzi, że słyszał, jak umierała?

- Mniej więcej.

- Dobry Boże. Wyobrażasz to sobie?

- Nie - skrzywiła się Alvarez. - Więc to nasza sprawa. Zabójstwo.

- Potencjalne zabójstwo. Rany.

Nim zdążyły zagłębić się dalej w rozmowę, usłyszały stukanie obcasów i ujrzały Joelle, ubraną od stóp do głów w świąteczną czerwień.

- Wesołych Świąt! - zawołała. Blond włosy miała przyozdobione kwiatami poisenttii. Odłożyła trzy różowe pudełka, które niosła.

Pescoli zauważyła, że takie same kwiaty, jak we włosach, Joelle przypięła także do szkarłatnych dziesięciocentymetrowych szpilek.

- Mam nadzieję, że nie przejadły wam się jeszcze słodycze! - Posłała im szeroki uśmiech.

- Skąd-zapewniła ją Pescoli.

Joelle podniosła sztuczne drzewko, które po naciśnięciu guzika zaczęło kręcić się i świecić niepokojąco.

- Dzieci mojej kuzynki Beth rozłożyły się na grype, więc nie mogli przyjechać na obiad z okazji Dnia Dziękczynienia, a wujka Buda z żoną, wiecie, oni są już po osiemdziesiątce, zasypało, więc też się nie pojawili. Moja siostra Jennifer znów jest na jednej z tych swoich głupich diet, zdaje się, że je tylko owoce i miód, więc efekt jest taki, że miałam zdecydowanie za dużo jedzenia. - Joelle zaczęła otwierać pudełka. W środku był placek dyniowy, tarta z jagodami i plastikowy pojemnik pełen słodkich ciasteczek w kształcie rogów obfitości, indyków i kapeluszy Pielgrzymów. Pescoli nie była pewna, ale wydawało jej się, że zauważyła przynajmniej jednego króliczka wielkanocnego, który najwyraźniej skręcił w złym kierunku w drodze do zamrażalnika jakieś sześć miesięcy wcześniej.

Gdy Joelle się nachyliła, Pescoli mignęły jej złote kolczyki. Dobry Boże, na każdym osiemnastokaratowym kółku siedział maluteńki elf.

Joelle szybko rozłożyła ciasteczka na talerzu, a słysząc dzwonki telefonów, zamarła na chwilę, po czym ściągnęła usta w ciup.

- Obowiązki wzywają - rzuciła, wruszając ramionami, po czym ruszyła do wyjścia, gdy do stołówki weszło kilku funkcjonariuszy drogówki.

- Ona jest jedyna w swoim rodzaju - wyszeptała Pescoli, ale Alvarez jej nie słuchała, więc sięgnęła po ciasteczkowy czarny kapelusz i odgryzła kęs aż po rondo ze złotą klamrą.

Zamyślona Alvarez zignorowała wszystkie przysmaki i odezwała się dopiero, gdy Pescoli nalewała sobie kubek mocnej kawy.

- Wóz tej Alexander jest na parkingu. Pomyślałam, że go obejrzę.

- Idę z tobą. - Pescoli zastanawiała się nad wypadkiem. Może mąż był po prostu w szoku, tak załamany zdarzeniem, że próbował oskarżyć o wypadek samotnego samochodu na śliskiej drodze kogokolwiek. A może usiłował zatrzeć ślady. Może wiedział o tym wypadku więcej,

niż mówił. Może też spodziewał się, że ekipa dochodzeniowa znajdzie dowód na to, że jego żonę rzeczywiście zepchnięto z drogi.

Jesteś zbyt podejrzliwa. Za długo już w tym siedzisz.

Dokończyła ciasteczko i powiedziała:

- Zanim wyjdziemy, chciałabym, abyś przesłuchała tę taśmę. A potem sprawdzimy billingi telefoniczne i zobaczymy, skąd dzwoniło. - Wzięła łyk kawy i wciągnęła powietrze przez zęby. - Ależ to mocne.

- Brewster ją parzył. Nie lubi, cytuję... „takiej pitu-pitu gównianej kawy” - odezwała się Alvarez.

- Mocne słowa jak na bogobojnego człowieka. Alvarez wzruszyła ramionami.

- Ale policjanta.

- I diakona w kościele.

- Twojego szefa - przypomniała jej Alvarez.

- I wrzód na dupie. - Chciała dodać więcej, ale tym razem ugryzła się w język i zaczęła zastanawiać, jaki prezent powinien dostać od Świętego Mikołaja zastępca szeryfa.

Pierwsze, co jej przyszło do głowy, to trutka na szczury albo bilet w jedną stronę do Mozambiku czy na Antarktydę, chociaż w gruncie rzeczy nie darzyła faceta aż taką niechęcią. Był całkiem niezłym gliną, tyle że zbyt opiekuńczym, gdy chodziło o córki, zwłaszcza Heidi, która, zdaniem Pascoli, była dwulicową manipulantką. Rany, Heidi idealnie owinęła sobie Jeremy'ego wokół jednego ze swoich idealnie wymanikiurowanych palców. Pascoli pragnęła, by Jeremy poszedł po rozum do głowy i znalazł kogoś innego. Brewster pewnie nie doceniłby paczki prezerwatyw pod firmową choinką, zwłaszcza gdyby miały karteczkę, że to dla jego kochanej córki.

Alvarez zamierzała wyjść ze świetlicy w chwili, gdy otworzyły się tylne drzwi i wszedł szeryf wraz ze swoim wiernym psem.

- Dobry - zaciągnął, uśmiechając się tak, że uniosły mu się końce wąsów.

- Dobry - odpowiedziała Pascoli, a Alvarez uśmiechnęła się trochę sztywno.

- Słyszałem, że macie potencjalne zabójstwo. - Wskazał swój gabinet, i Sturgis, machając ogonem, pobiegł w tamtą stronę.

- Na to wygląda - odparła Alvarez.

- Może. - Pascoli nie była taka pewna.

- Właśnie to sprawdzamy - dodała Alvarez.

- Dobrze - skinął głową szeryf. - Och, dzięki za odwiedziny. Mam nadzieję, że moja rodzina cię za bardzo nie wykończyła. Bliźniaczki, chociaż mają ledwie siedem lat, mogą naprawdę dać w kość. Wyobraź sobie, jak to będzie wyglądało, jak skończą piętnaście.

Pescoli nie chciała się nad tym zastanawiać. Wiedziała, jak wygląda piętnaście... szesnaście i siedemnaście... a do tego bliźniaczki?

- Ależ skąd, są urocze - zapewniła Alvarez, aż Pescoli zmierzyła ją wzrokiem.

Urocze? Alvarez uważa, że dzieci skoligacone z Graysonem mogą być urocze? I to mówi kobieta, która twierdzi, że nie chce mieć dzieci?

- Meldujcie o rozwoju wypadków przy North Fork - odezwał się Grayson.

- Jasne - odparła Alvarez, gdy Grayson wszedł do swojego biura, a one poszły dalej korytarzem.

Pascoli otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Alvarez uniosła rękę i ją uprzedziła:

- Wiem. - Rzuciła okiem w stronę drzwi szefa, a na jej twarzy nie malowały się żadne emocje. - Wyjaśnię ci to później, dobra? Na razie muszę pracować nad śledztwem i wiem znacznie więcej od ciebie na temat telefonów komórkowych Elle i Toma Alexander. Złożyłam już podanie o billingi z obu telefonów z ostatnich dwóch miesięcy. Na wypadek, gdyby dzwonił do ubezpieczyciela albo kochanki.

- Albo ona do kochanka.

- Właśnie. Powinnam dziś dostać te informacje.

- Dobra robota - odezwała się Pascoli.

- Jak zawsze.

## **Rozdział 21**

Następnego ranka sprawdził samochód zaparkowany w osiemdziesięcioletniej szopie dla owiec. Pikap stojący obok starego traktora John Deere, z którego wyciekał olej, stał ukryty w tym przewiewnym szarzejącym budyneczku, jakieś sto jardów w dół wzgórza od domu. Z tego co widział, nie było żadnych nowych, niepokojących uszkodzeń. Nie dostrzegł też żadnych śladów farby, które mogły zostać po zderzeniu z wozem tej głupiej zdziry.

Szybko odkręcił potężny stalowy zderzak. Sam go zespawał na koszt kratownicy blokującej przejście dla bydła i uważał, by przykręcając go do chevroleta, zawsze częściowo zasłaniać rejestrację z Idaho, kto kiedyś ukradł. Specjalnie wybrał samochód z numerami z Idaho, bo nie wyróżniały się w tych okolicach. I był z siebie dumny, że znalazł pikapa tej samej marki i w tym samym stylu, co ten, z którego ukradł tablice.

Boże, ależ zimno!

Wewnątrz nieogrzewanej szopy jego oddech unosił się obłoczkiem pary, a palce mu grabiały. Pracował szybko. Tak jak zwykle zamienił stare skradzione numery na swoje, z Montany. Zdjął też z siedzeń pokrowce z owczej skóry, odsłaniając czarną tapicerkę, które zawsze zakładał na wypadek, gdyby ktoś zauważył wnętrze wozu, gdy był w „pracy”. Na koniec musiał tylko usunąć nalepki ze zderzaka. Sam je zrobił, tyle że były na magnes i w każdej chwili mógł je zdjąć. Wiedział, że samochód musi być zawsze zamaskowany, chociaż w ciągu dnia jeździł srebrnym lexusem, kupionym u dilerka w Missouli, zarejestrowanym na jego nazwisko, z prawdziwą rejestracją z Montany.

Kiedy uznał, że pikap nie wygląda już podejrzanie, zaniósł zderzak na drugi koniec szopy, uruchomił szlifierkę i kiedy upewnił się, że usunął już wszelkie ślady farby z zepchniętego samochodu, sięgnął po puszkę czarnej farby i pomalował go na nowo. Musiał poczekać, aż obeschnie, a potem zamierzał schować go wraz z pokrowcami i „nalepkami” w kryjówce za żłobem, który w bezwietrzne dni wciąż jeszcze czuć było suffolkami, tagheesami i innymi rasami owiec popularnymi przed pół wiekiem.

Zdawał sobie sprawę, że jest przesadnie ostrożny, ale nie chciał popełnić błędu, nie doceniając policji. Nie byłby w stanie realizować swoich zadań przez ponad dziesięć lat, gdyby nie był ostrożny. A mimo to zdarzały się problemy. Chociaż był genialny, czego dowodziły wyniki testów na inteligencję, i znacznie mądrzejszy od ojca, nie mógł ryzykować zbytnej pewności siebie.

Na razie szło dobrze.

I wtedy to poczuł.

Mrowienie na karku - ostrzeżenie.

Dziwne uczucie, że jest obserwowany przez niewidzialne oczy w lodowatej szopie.

Krew zaczęła mu pulsować w żyłach. Odwrócił się gwałtownie, patrząc za ramię, przyglądając się zasnutym pajęczynami rogom i za-

cienionym odrzwiom, ale nikogo tu nie było. Zmrużył oczy, wyglądając przez brudne okienko na zaśnieżone pola.

Nie zauważył nic podejrzanego.

Po prostu był zdenerwowany.

Wszystko przez ten pośpiech.

Jego praca była teraz niebezpieczniejsza niż kiedykolwiek. Jęk wiatru w krokwiach brzmiał niczym kpiący, upiorny śmiech. Nagle pot zrosił mu czoło.

Nie pozwól, by wyobraźnia płatała ci figle - wziął głęboki oddech. -To ty tu dowodzisz. Ty decydujesz, kto umrze. Nie zapominaj o tym. Uspokoił się pod wpływem tych myśli.

Zadowolony, że jego tajemnica pozostała nieodkryta, zamknął szopę i potruchtał do domu, gdzie zamierzał wziąć prysznic, ogolić się i skupić na kolejnym dniu. Chciał obejrzeć wiadomości, w których na pewno będą mówić o „wypadku”. Zamierzał wysłuchać tego, co dziennikarze i biuro szeryfa mają do powiedzenia.

Żył dla tych chwil, kiedy już elegancko uprzątnął kolejną Uzurpatorkę i wciąż był szum wokół sprawy. A potem zainteresowanie słabło i przestawali o niej mówić.

To dobrze, upomniał się, przeskakując po dwa schodki naraz. Im mniej zainteresowania, tym lepiej. Shelly Bonaventure była tego najlepszym przykładem. Gdy była martwa, mówiono o niej znacznie więcej, niż za życia. Mimo to upajał się, słuchając opisów śmierci, uwielbiał obserwować zaskoczenie na twarzach śledczych. Czuł dumę, że znów, dążąc do celu, zdołał oszukać policję.

Ale musiał być ostrożny. Zawsze. Czas był najważniejszy. Problem polegał na tym, że większość żyjących jeszcze Uzurpaterek mieszka w okolicach Montany i ktoś mógłby łatwiej je połączyć. Och, kilkoma zajął się na samym początku, lata temu. Za każdym razem wyglądało to na tragiczny wypadek, ale teraz będzie musiał pracować tutaj. Musiał być jeszcze ostrożniejszy, bo tak duża liczba wypadków mogłaby wywołać podejrzenia.

Znów poczuł, że ktoś go obserwuje, zagłębia w jego myśli, ale to było głupie. Szalone. Zamknął oczy i skupił się.

Weź się w garść! Nie popadaj w paranoję. To nic. Nic!

W końcu jego puls wrócił do normy.

Sprawdził godzinę i stwierdził, że zrobiło się zbyt późno, by móc podsłuchać Acację, najbardziej problematyczną z nich wszystkich.

Samo myślenie o niej przyprawiało go o dreszcze, które uznawał za niepokojące, ale też dziwnie podniecające.

- Zbyt ryzykowne - powtórzył.

To właśnie przez nią dowiedział się lata temu o Uzurpatorkach. To ona zupełnie niechcący doprowadziła go do nich, a je do śmierci. Pewnie powinien jej podziękować.

Prawie roześmiał się w głos i pożałował, że nie może jej teraz posłuchać i zobaczyć, ale zdawał sobie sprawę, że to bez sensu. Wyszła z domu, pewnie dojechała już do kliniki.

Uśmiechnął się.

Może powinien zostać jej „pacjentem”.

Już niedługo. Uśmiechnął się do siebie i poczuł, że jego fiut drgnął. Naprawdę niedługo.

- Wiem, że jest troszkę podobna do pozostałych kobiet. I co z tego? - powiedziała dwie godziny później Pascoli, gdy po ponownym spotkaniu z Alvarez jechały na parking policyjny. Wyglądało na to, że tego dnia jej partnerka dopatrywała się nie wiadomo czego. Twierdziła właśnie, że Elle Alexander wyglądała jak Shelly Bonaventure i Jocelyn Wallis. Z tym Pascoli nie zamierzała się zgadzać.

Ale musiała przyznać, że nagranie rozpaczliwej rozmowy Toma Alexandra z telefonu alarmowego brzmiało autentycznie, że wychodził z siebie z przerażenia, a gdy pojawił się tego ranka na posterunku, jego postawa tylko potwierdziła to wrażenie. Wpadł wstrząśnięty na posterunek i zażądał rozpoczęcia śledztwa w sprawie śmierci jego żony. Ale przestał się złościć, gdy zaczął rozmawiać z Pascoli. Przystojny i elegancki, był uosobieniem zrozpaczonego męża, wciąż w szoku.

- Była dobrym kierowcą, przyzwyczajonym do trudnych warunków drogowych. Naprawdę, potrafiła pokonać najgorsze śnieżyce! I ja to wszystko słyszałem! Rozmawiałem z nią przez telefon, gdy tamten w nią uderzył. Była przerażona i musiała upuścić telefon, bo nie odpowiadała, a ja słyszałem zgrzyt metalu o metal. O Boże... to było... ogłuszające. A potem krzyczała, wciąż powtarzała moje imię, ale nie mogła mnie usłyszeć! - W tym momencie osunął się na krzesło, ukrył twarz w dłoniach i zaczął szlochać. - Potem znów słyszałem krzyki i szum... chyba wody... a potem... potem już nic. Telefon się rozłączył. Na miłość Boską co ja zrobię? Elle... o Jezu, Elle.



Pescoli nie zamierzała wygłaszać frazesów. Nie powiedziała mu, że „wszystko będzie dobrze”, czy że „wiem, że jest panu teraz ciężko, ale to przejdzie”. Nie po tym, jak sama przeżyła to samo, gdy jej pierwszy mąż został zastrzelony.

Co z tego, że na służbie. Nie obchodziło jej, że został cholernym „bohaterem”. Wiedziała tylko, że nie żył, zostawił ją z małym synkiem i dziurą w sercu tak wielką że mógł przez nią przejechać czołg. Już nigdy nie będzie mogła z nim porozmawiać, usłyszeć jego śmiechu, patrzeć, jak nosi Jeremy'ego na szerokich ramionach ani kochać się z nim długo w noc. To był moment. Pierwsze lata po śmierci Joe były ciężkie. Tak ciężkie, że pomyliła miłość z pożądaniem i wyszła za Luke'a „Luc-ky'ego” Pescoli, który okazał się wszystkim, tylko nie Szczęściarzem..

Więc nie starała się go pocieszać. Powiedziała tylko „Współczuję, panie Alexander” i podsunęła mu paczkę chusteczek.

Zdołała jakoś spisać jego zeznania i teraz jechała z Alvarez na parking komisariatu. Alvarez wyjaśniała, że detektyw Jonas Hayes z departamentu policji w Los Angeles nie był przekonany co do tego, że Shelly Bonaventure popełniła samobójstwo, chociaż wskazywała na to większość dowodów.

- Pewne rzeczy mu się nie zgadzają - dodała, parkując na miejscu dla pojazdów uprzywilejowanych.

- Zupełnie jak w przypadku Jocelyn Wallis - powiedziała Pescoli, wciąż nie chcąc przyznać, że między odległymi o tysiące kilometrów sprawami jest jakiś związek.

No dobrze, kobiety były do siebie podobne. Obie urodziły się w Helenie, w tym samym szpitalu. Ale nie umarły z tego samego powodu, jeśli nie liczyć tego, że obie truto. Ale śmierć Shelly Bonaventure wynikała z przedawkowania, a Jocelyn Wallis spadła z klifu, łamiąc sobie kręgosłup i miażdżąc organy wewnętrzne i dlatego zmarła. Żadna z nich nie umarła z powodu zatrucia.

- Poprosiłam detektywa Hayesa, by przesłał mi wyniki testu DNA Shelly Bonaventure - powiedziała Alvarez.

- By je porównać z Jocelyn Wallis? Serio?

- I Elle Alexander.

- Ale jej śmierć wyglądała zupełnie inaczej - zauważyła Pescoli.

- Wiem. Może zabójca zaczyna się denerwować.

- Jak dla mnie to szukanie wiatru w polu. I do tego zajmie mnóstwo czasu. Naprawdę uważasz, że to konieczne?

- Nie wiem - przyznała Alvarez. - Może to tylko błędny trop. Ale przynajmniej będziemy wiedziały, czy te kobiety są ze sobą powiązane genetycznie. - Otworzyła drzwi dżipa i schowała kluczyki. - Po prostu chcę rozważyć wszystkie możliwości.

- Wydaje mi się, że przesadzasz.

- Jasne. Ale kobiety giną.

- No dobra, dobra. Rozumiem. - Pescoli pohamowała warknięcie.

Alvarez była na pewno dobrym glina, opierała się na dowodach i nauce, a tylko z rzadka na instynkcie. Tym razem postanowiła zaufać i jemu. Nie jest to takie złe.

Weszły na parking, gdzie mechanicy i eksperci zajmowali się wozem Elle Alexander. Wokół rozbitego samochodu leżało mnóstwo mokrych zabawek, ubrań i na wpół rozpuszczonego papieru do pakowania prezentów. Przemoczone, pogniecione torby na zakupy porwały się i tylko plastikowe przetrwały upadek do lodowatej rzeki.

Tylny zderzak wyglądał tak, jakby ktoś go staranował, a eksperci kręcili się wokół samochodu, szukając dowodów. Znalaziono torebkę i telefon Elle Alexander, a przemoczone rachunki w portfelu wskazywały, że tuż przed wypadkiem była na zakupach.

- Coś z olbrzymią siłą uderzyło w tył wozu - odezwał się Bart, jeden z ekspertów.

Chudy, żyłasty mężczyzna z łysiną, w okularach, które zdawały się za duże do jego twarzy wycierał dłonie w ręcznik i wpatrywał się we wrak.

- Wygląda na to, że inny pojazd. Nie ma żadnych śladów wskazujących na to, by w coś uderzyła, na przykład jelenia, nim samochód wpadł do rzeki. Mogła gwałtownie skrócić, ale coś w nią uderzyło z tyłu. Coś dużego, jechało szybko, sądząc z wgnieceń.

- Mąż twierdzi, że wóz był w idealnym stanie. Kupili go niecałe pół roku temu.

Bart kiwał głową, jakby wszystkie słowa Pescoli potwierdzały jego spostrzeżenia.

- No cóż, wygląda na to, że ktoś to zmienił.

- Tak - westchnęła Alvarez. - Teraz musimy ustalić, kto. Bart uśmiechnął się słabo.

- Cieszę się, że to nie moja robota, tylko twoja.

Wtorek minął spokojnie, a środę, jej dzień wolny od pracy w klinice, Kacey spędziła na zabawie z Bonzim, płaceniu rachunków i sprzątaniu domu.

Po krótkim namyśle zadzwoniła do Trace'a O'Hallerana. Nie odebrał, więc nagrała na sekretarce pytanie o Elięgo i podała swój numer komórki.

Właściwie to nie był żaden podstęp. Niepokoila się o zdrowie chłopca. I to bardziej o objawy grypy niż rękę. Ale nie mogła się okłamywać. Oczywiście, że miała nadzieję na rozmowę z Trace'em. Nie mogła o nim zapomnieć.

Późnym przedpołudniem postanowiła zrobić coś w sprawie tajemniczych sobowtórów i wybrała się na siłownię Fit Forever, by spotkać się z trenerką o imieniu Gloria. Porozmawiała ze słodką osiemnastolatką w recepcji i powiedziała, że rozważa zapisanie się do klubu. Recepcjonistka o jasnoblonde warkoczach, która tryskała entuzjazmem typowym dla młodych i, jak podejrzewała Kacey, zarabiała procent od sprzedaży, objaśniała jej zalety członkostwa w Fit Forever. Gdy Kacey stwierdziła, że nie zamierza zapisywać się od razu, dziewczyna straciła trochę zapału i po przekazaniu jej kilku ulotek skupiła się na następnym potencjalnym kliencie.

Kacey szybko przejrzała ulotki. I rzeczywiście, jedną z trenerek była Gloria Sanders-O'Malley, kobieta, o której wspominała Elle. Kacey ruszyła korytarzem, zupełnie jakby już należała do klubu. Nie chciała, aby ktoś ją prowadził. Stając przy olbrzymim oknie oddzielającym korytarz od sali ćwiczeń, ujrzała kobietę, która musiała być Gorią Sanders-O'Malley. Było coś upiornego w patrzeniu, jak ta kobieta prowadzi ćwiczenia na rowerkach. Na szczęście żadna z ćwiczących nie wyglądała jak Kacey, ale Gloria miała takie same kości twarzy jak ona. Krótkie ciemnokasztanowe włosy postanowione na żel i ciało prawdziwej atletki.

Gdy lekcja się skończyła, Kacey weszła do sali i przedstawiła się jako potencjalna klientka. Gloria była uprzejma, ale chyba nie zauważyła ich podobieństwa, a Kacey o tym nie wspomniała.

Może tylko jej się zdawało.

Nie wiedząc, co o tym sądzić, wróciła do domu i spędziła kilka godzin przy biurku, nad laptopem. Nie przyszedł jeszcze mail z urzędu, więc postanowiła zadzwonić do swojej znajomej z college'u, o której wiedziała, że pracuje w urzędzie w Helenie, do tego w dziale informatycznym.

Lata temu Riza pomogła Kacey w opanowaniu komputera w zamian za pomoc w literaturze i hiszpańskim.

Dopiero po trzykrotnym przełączeniu i prawie siedmiu minutach czekania Kacey uzyskała połączenie. Najwyraźniej Riza zdążyła się rozwieść i wróciła do swojego panieńskiego nazwiska.

- Cześć Rizo, tu Kacey Collins... no, właściwie Lambert.

- Cześć. Jak się miewasz? - W tle wciąż było słychać stukanie klawiszy.

- Dobrze, dobrze. - Nadrobiły zaległości towarzyskie i okazało się, że owszem, Riza się rozwiodła z mężem, chłopakiem z czasów szkolnych, za którego wyszła zaraz po studiach, a teraz była wolna i mieszkała z nowym facetem, muzykiem. Kacey powiedziała jej, że rozstała się z JC i że mieszka teraz w Grizzly Falls.

- Najwyższy czas, żebyś się pozbyła pana Mądrali - odparła Riza. - Nigdy go nie lubiłam.

- Może należało mi powiedzieć.

- I tak byś nie posłuchała.

I pewnie miała rację, pomyślała Kacey.

- To o co chodzi? - zapytała Riza. - Nie dzwonisz tak po prostu. Musi być jakiś powód.

- No cóż... tak... - Kacey zabrała się do tłumaczenia. - Posłuchaj, potrzebuję pomocy. W okolicy zmarło kilka kobiet, a część z nich urodziła się w Helenie, w szpitalu Valley, który, z tego co wiem, zamknięto jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat temu. Chciałabym ustalić, czy były też inne. Kobiety... no, podejrzewam, że tylko kobiety, urodzone trzydzieści- trzydzieści osiem lat temu, które obecnie nie żyją.

- Wiesz, że mam tylko dostęp do danych z Montany.

- Chętnie zacznę od tego.

- To wszystko dane publiczne - odparła Riza. - Ale mogę trochę przyspieszyć proces. Nie powinnam wpakować się w duże kłopoty, ale nigdy nic nie wiadomo. Ludzie są tutaj strasznie drażliwi i za wszystko są opłaty.

- Czy to, że jestem lekarzem, jakoś pomoże?

- Tak. To oznacza, że pewnie będzie cię na to stać. - Zaśmiała się i spytała o adres mailowy Kacey. - Wiesz, to zdecydowanie poza procedurami. Tak przynajmniej powie moja szefowa, jeśli się o tym dowie. Ale ona uważa, że prawie wszystko, co robię, jest poza procedurami,

więc nie wspominajmy o tym. I nie martw się opłatami... tym też się zajmę.

- Nie dziwię się, że stan ma problemy.

- Jasne.

Porozmawiały jeszcze chwilę, a potem Riza obiecała, że jeśli tylko zdoła coś ustalić, to przekaże jej informacje.

- Krok pierwszy - powiedziała Bonziemiu, a potem odchyliła się na krzesło, by rozprostować kręgosłup. - Może powinniśmy iść na spacer do parku. Przyniesź smycz.

Pies leżał na swoim pościeli, ale na hasło „spacer” poderwał się i pobiegł do tylnych drzwi.

Siedział jak przykuty przy biurku, ze słuchawkami na uszach, a serce waliło mu jak oszalałe. Acacia robiła się podejrzliwa, postanowiła sprawdzić akty urodzenia i zgonu. Mógł ją co prawda śledzić w domu i pracy, ale nie był w stanie przewidzieć wszelkich jej ruchów ani myśli. To tylko kwestia czasu, kiedy zorientuje się, co on robi.

Mogła wszystko zniszczyć!

A jeszcze tyle zostało do zrobienia!

Słyszał, że wzięła psa i to go niepokoiło. Zakradanie się do jej domu, chociaż robił to ledwie kilka razy, stało się teraz znacznie trudniejsze.

To tylko kolejny problem do rozwiązania. Nic poważnego.

Da sobie z tym radę. Przecież ze wszystkim potrafi sobie dać radę. Ale to... to łączenie przez nią zgonów. Do tego nie mógł dopuścić.

Zerwał z uszu słuchawki i spojrzał na ścianę śmierci, sporą przestrzeń, do której przyczepił niedawno wszystkie zdjęcia Uzurpaterek. Na niektórych było widać zaskoczenie, gdy orientowały się, że zostały nabrane. Inne robiły przerażoną minę, gdy uświadamiały sobie, że to ich ostatnie chwile, na kilku, jak na zdjęciu Elle Alexander, której śmierć obserwował z dystansu, widać było tylko rozmazaną sylwetkę. Zatrzymał się, by sfotografować komórką tonący samochód, po czym odjechał dalej.

Tyle lat pracy.

Tyle wysiłku.

Prawie skończył... i teraz ona miała to wszystko zepsuć? Nie ma mowy!

Kopnął z wściekłością kosz na śmieci, aż plastik wgniół się, uderzając o ścianę. Z wnętrza wysypały się papiery, które zamierzał spalić, puste pudełka i przepalona żarówka.

Musiał coś zrobić.

Musiał ją zatrzymać.

Zadzwoił telefon, a on zacisnął zęby, widząc, że to jego cholerna siostra. Zawsze dzwoniła w najmniej odpowiednich momentach. Zupełnie jakby go śledziła, czuła jego frustrację i musiała mu o tym powiedzieć.

Ona tylko próbuje ci pomóc dostosować się. Powinieneś być wdzięczny.

Ale nie był. Bo wszyscy w rodzinie wiedzieli, że on nigdy nie będzie taki, jak reszta. Nie mógł. Od samego początku był inny i doskonale o tym wiedzieli.

Spojrzał w lustro - przystojny, ale już nie spokojny, zarumieniony, z białą blizną na skroni, która zdawała się pulsować w gorączce.

Taki podobny do nich, a jednak tak różny.

Jak mógł do tego dopuścić?

Telefon znów zadzwonił.

Uspokój się. Odbierz... Siostra jest sojuszniczką nawet jeśli o tym nie wie.

Spróbował zapanować nad tętnem.

- Hej - powiedział.

- Cześć. - Jak zwykle była zdyszana, pewnie znów użerała się z „kolejnym przedsiębiorcą-kretynem”. Zawsze używała tego wykrętu, aby wyjaśnić swój podły nastrój.

- Coś się dzieje? - Nie chciał jej naciskać, ale nie miał czasu na pogaduszki.

- O tak, sporo. Chodzi o mamę i tatę... Oni... nie chcą nic zmieniać, i, no wiesz, tata nie jest już tak silny, jak kiedyś, a mama nie chce się przenieść ani umieścić go w miejscu, gdzie mogliby mu pomóc. On teraz potrzebuje więcej pomocy, niż ona jest w stanie mu zapewnić... -Głędziła i głędziła, jak zawsze, gdy chodziło o ten temat, temat, który przyprawiał go o dreszcze.

Jęczała nad uporem rodziców, gdy w końcu jej przerwał:

- To czego ode mnie oczekujesz?

- Porozmawiaj z mamą.

- Już rozmawiałem.

- Jeszcze raz. Z jakichś przyczyn ciebie słucha. Można by pomyśleć, że skoro ja jestem najstarsza, to moje zdanie powinno mieć jakieś znaczenie, ale nie...

- Dobrze - przerwał jej biadolenie o tym, jak to nikt jej nie słucha. - Przyjadę, jakoś przed weekendem.

- Im szybciej, tym lepiej.

- Wiesz, ja też mam życie. I pracę. Bardzo stresującą pracę.

- Dobrze, dobrze, tylko daj mi znać.

- Okej.

- Ach i jeszcze jedno. Mama kogoś dla ciebie znalazła. Jęknął.

- I wyobraź sobie - dodała siostra, a w jej głosie dało się słyszeć lekkie podniecenie. - To pielęgniarka. Wyobrażasz sobie? Po tym wszystkim, co mówiła o tym zawodzie? Podejrzewam, że spotkała ją gdy była z tatą na jego dorocznych badaniach.

- Nie interesuje mnie, co robi. - Nie miał nastroju na romansowanie, zwłaszcza z kimś, kogo wynalazła jego wścibska matka. Nie teraz, gdy miał tyle do zrobienia.

- Tylko ostrzegam. Nazywa się Karalee Rierson, jest ruda. Zamarł. Ten niepokój, który czuł od chwili, gdy podsłuchiwał rozmowę

Acacii, narastał, uwierał i wwierał się w jego mózg. Spojrzał na stertę zdjęć, które zebrał przez lata, i zaczął je rozkładać, aż trafił na kopię prawa jazdy Karalee Winters. Nie... To niemożliwe! Przelknął gwałtownie i zaczął przeglądać stare papiery. Powinien był o tym pamiętać. Czy jej panięńskie nazwisko nie brzmiało Karalee Falcone... Tak, znalazł.

- Co o niej wiesz? - zapytał głosem, którego sam nie rozpoznawał.

- Zdaje się, że kiedyś była zameżna, mieszkała w Oregonie, ale nie jestem pewna. I było coś o krótkim małżeństwie, które według mamy jest zupełnie nieistotne.

Stąd to nazwisko - Winters.

- Ale nie ma dzieci. Jestem pewna, że mama zdradzi ci wszystkie szczegóły, gdy się spotkacie.

Poczuł, jak żołądek mu się skręca. Wszystko się waliło.

- Na pewno - odparł. - Słuchaj, muszę lecieć.

- Dobrze, dobrze. Jak zawsze straszliwie zajęty. Ale jak się spotkasz z rodzicami i przekonasz ich do przeprowadzki, to daj mi znać.

- Jasne - obiecał i się rozłączył.

Wpatrywał się w zdjęcie Karalee Falcone Winters Rierson. Nawalił. W jakiś sposób pominął tę informację. A teraz ona poznała jego rodziców... to takie niebezpieczne. Zgniół kopię prawa jazdy w pięści i powiedział sobie, że musi się sprężyć.

I musi zacząć od choliernej Acacii Lambert, a potem skupić się na Karalee i wszystkich jej nazwiskach. Nie miał wyboru.

## Rozdział 22

Nie dość, że Riza coś wyciągnęła, to i Kacey uzyskała pewne informacje w szpitalu. Mając te nowe, ogólne dane, pojechała do Heleny. Riza, która miała też dostęp do danych departamentu transportu, obiecała zdobyć więcej informacji - akty śmierci i urodzin, zdjęcia, wszystko, co znajdzie.

- Wiesz, że mogą mnie za to wylać z roboty - ostrzegła Kacey.
- Albo obie będziemy musiały poszukać niezłego obrońcy. Roześmiała się.
- Nie szkodzi. Uwielbiam to. Oglądam *CSI*, *Kości* i wszystkie te seriale kryminalne. Zobaczę, co uda mi się znaleźć, tylko nie rozgłaszaj tego za bardzo.
- Jasne - obiecała Kacey, zastanawiając się, jak długo zdoła dotrzymać tej obietnicy.

Rozłączyła się i zaczęła znów wybierać numer, a potem odłożyła słuchawkę, uznając, że kolejna rozmowa z matką nic nie da. Czy tego chciała, czy nie, musiała spotkać się z Maribelle twarzą w twarz.

Dotarła do Heleny przed zmrokiem. Ulice były czyste, chodniki wysprzątane, a na wszystko opadała nowa porcja śniegu.

Minęła katedrę św. Heleny o jasno oświetlonej gotyckiej fasadzie. Dwie wieże zdawały się przebijać ciemniejące niebo. To miasto, w którym dorastała, w którym czuła się pewnie i teraz, gdy nadchodził zmrok, miała wrażenie, że została przez nie zdradzona. Coś było nie tak. Spojrzała we wsteczne lusterko i aż podskoczyła, widząc za sobą ciemnego pikapa, podobnego do tego, który kilka dni temu uderzył w nią i sprawił, że wpadła w poślizg.

Olbrzymi, dziwny zderzak był podobny, ale nie mogła dostrzec rejestracji, nawet tego, czy jest z Montany, czy nie. Zaszło jej w ustach, gdy patrzyła w odbicie w lusterku, a gdy skręcił i ruszył w inną stronę, odetchnęła z ulgą.



Nie popadaj w paranoję. Nikt cię nie śledzi.

To, że według ostatnich danych Elle Alexander została zepchnięta z drogi, wcale nie znaczy, że ty też jesteś celem.

- Jeszcze nie - powiedziała nerwowo.

Rozluźniła się nieco, sprawdzwszy jeszcze raz, że nie jedzie już **za** nią półciężarówka z potężnym zderzakiem. Nim wyjechała z miasta, nadłożyła jeszcze trochę drogi i zatrzymała się na światłach pod szpitalem Valley, kilka przecznic od Broadwayu. Potężny budynek z żelaza i szkła wznosił się na cztery piętra w górę, a w jego szybach odbijały się światła miasta. Gdy światło się zmieniło, Kacey dodała gazu, rozważając, jakie znaczenie dla tej sprawy miał szpital, w którym urodziły się przynajmniej trzy podobne do siebie kobiety.

Kierując się w stronę ośrodka Rolling Hills, uznała, że zajmie się tą kwestią później. Teraz musiała się zmierzyć z Maribelle i jej kłamstwami.

Trace zaczekał, aż Eli przyjedzie szkolnym autobusem, po czym obaj pojechali do miasta odebrać Sarge'a, ubranego w coś, co przypominało abażur do lampy i uniemożliwiało mu lizanie ran i rozerwanie JZWÓW. Na szczęście pies czuł się coraz lepiej.

- Wygląda jak kosmita! - zawołał Eli, posyłając uśmiech psu, który przybiegł na trzech łapach do recepcji weterynaryjnej.

- Teraz obaj macie dodatkowy sprzęt - roześmiał się Trace, rzucając znaczące spojrzenie na niebieski gips Eliego. Widniało tam już kilka imion i trochę brudu na brzegu, którego nie udało mu się doczyścić.

- Sądzę, że to był szop pracz, może nawet kilka - stwierdziła Jordan Eagle, gdy Trace płacił rachunek.

- Ważne, że wyzdrowieje - odparł Trace. - Dziękuję.

Jordan poklepała Sarge'a po głowie, a gdy Trace zagwizdał na niego, pies niezgrabnie pobiegł za panem. Trace pomógł mu wejść do samochodu i ruszyli do domu.

Gdy dojechali, Eli, chociaż szczęśliwy, że znów ma swojego psa, natychmiast padł na kanapę. Od wyjścia z autobusu marudził, że źle się czuje i chociaż zwykle miał mnóstwo energii na popołudniowe zajęcia, tego dnia ledwo się ruszał. Praktycznie od razu zasnął, a Sarge zwinął się na podłodze u jego stóp.

Trochę to niepokoiło Trace'a, bo chłopiec był zwykle pełen wigoru, ale w końcu wciąż jeszcze walczył z przeziębieniem czy grypą czy

co to tam było, musiał się pogodzić ze śmiercią Jocelyn i jeszcze goiła mu się ręka. Przynajmniej w ciągu ostatnich kilku dni nie wspominał o Leannie. Może kanapa nie była takim złym pomysłem.

Pozwolił dziecku spać, a Sarge łaskawie postanowił towarzyszyć panu w popołudniowym karmieniu. Trace wypuścił zwierzęta na dzień, ale teraz, gdy zaczynało się ściemniać, nakarmił je i zamknął w oborze.

Nim wrócił do domu i zrobił jednodaniowy obiad, Eli się obudził. Zjedli w kuchni, ale Eli marudził i nie chciał wypić soku jabłkowego, który nalał mu ojciec.

Później Trace zapakował naczynia do zlewu i zabrał się z Elim do pracy domowej. Szybko skończyli, bo Eli kaszlał i nie mógł się skupić. Stwierdził, że chce wrócić na kanapę. Trace zmierzył synowi temperaturę, wciąż w okolicach trzydziestu ośmiu stopni. Zagonił go pod prysznic, a potem zgodził się, by wypił napój gazowany, ale bez kofeiny, i zapakował do łóżka. Chłopiec nie protestował, chociaż elektroniczny zegarek przy łóżku wskazywał dopiero kwadrans po siódmej. Zwykle broniłby się zaciekle, a tego dnia po prostu zasnął. Naprawdę działało się z nim coś niedobrego.

A zdrowie syna było tylko jednym z wielu problemów Trace'a.

Dopiero kiedy zszedł na dół, zauważył, że mruga lampka na automatycznej sekretarce. Odsłuchał jedyną wiadomość - głos Kacey pytał o Eliego.

- To miłe - pomyślał na głos i włączył ponownie wiadomość, by jeszcze raz usłyszeć jej głos i zapamiętać numer.

Pomyślał, czy by do niej nie zadzwonić, ale gdy podniósł słuchawkę, zawahał się.

I o czym będziecie rozmawiać? O pogodzie? Niebieskim gipsie syna? Kobiecie, z którą chodziłeś i która wyglądała tak jak ona? Śmierci Jocelyn? A może przyznasz się, że śniłeś o niej wczoraj w nocy i obudziłeś się gotowy do działania?

Pomyślał o Leannie. I Jocelyn.

I odłożył słuchawkę.

- Acacia! Na Boga, co ty tu robisz? - zawołała jej matka, przyciskając dłoń do piersi.

Maribelle otworzyła drzwi na korytarz i, sądząc z wyrazu twarzy, nie spodziewała się ujrzeć córki.

- Uznałam, że musimy porozmawiać.

- A telefon nie wystarczył? - Maribelle odezwała się ostrożnie, wycofując się do pokoju.

Pozwoliła Kacey wejść do wnętrza jej trzypokojowego apartamentu, ale Kacey wyraźnie wyczuła chłód - nie była tu mile widziana.

No trudno, pomyślała, idąc po grubej białej wykładzinie do ciemnoniebieskiej kanapy stojącej przed włączonym gazowym kominkiem. Niektóre meble Kacey pamiętała jeszcze z młodości. Większość ozdób, krzesła, lampy i stoły były nowe, kupione po tym, jak jej matka sprzedała dom, w którym Kacey dorastała. Maribelle robiła wyprzedaż garażową wszystkiego, czego nie chcieli nowi właściciele.

- Musiałam porozmawiać z tobą twarzą w twarz. - Serce Kacey łomotało mocno.

Nigdy nie umiała się postawić Maribelle, ale w gruncie rzeczy mało kto umiał, a do tego jeszcze wciąż miała problem z żołądkiem, który teraz zacisnął się mocno.

- Może chciałabyś filiżankę herbaty albo kieliszek wina? Mam bardzo przyjemne czerwone wino, już otwarte...

- Nie, mamo, chcę tylko porozmawiać.

Ogrzewała tył nóg przy kominku, gdy Maribelle, w dzinsach, złotym swetrze i z zaniepokojoną miną usiadła na brzegu kanapy, nieopodal otwartej książki i częściowo opróżnionego kieliszka wina.

Kacey wyciągnęła z torebki kopertę, otworzyła ją i wysypała zawartość na stolik do kawy Maribelle. Były to zdjęcia Shelly Bonaventure, Jocelyn Wallis i Elle Alexander.

- Co to?

- Zauważyłaś coś, mamo? Wszystkie te kobiety są do siebie bardzo podobne. Do tego stopnia, że mogłyby być siostrami.

- No i?

- I wszystkie są martwe. Zmarły w przeciągu ostatniego tygodnia w różnych wypadkach.

Jej matka lekko pobladła. Sięgnęła po wino.

- I wyglądają jak ja, mamo. Nie mów, że tego nie widzisz. I jest jeszcze ta kobieta. - Wyciągnęła ulotkę z siłowni Fit Forever, otwartą na zdjęciu Glorii Sanders-O'Malley i położyła obok pozostałych. - Jest instruktorką fitness, wciąż żywa.

- Co sugerujesz? Kacey spojrzała na matkę.

- Uważam, że to nie jest przypadek. Sprawdzalam. Trzy z tych kobiet urodziły się w szpitalu Valley, tutaj, w Helenie. Tak jak ja. Nie jestem pewna co do Elle. Jej pochodzenie jest niejasne, ale niestety, nie ma jej już z nami, aby to wyjaśnić. Twierdziła, że zawsze mieszkała w Idaho, ale...

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. Uważasz, że ktoś zabija kobiety podobne do ciebie?

- Kobiety, które są do mnie podobne i urodziły się w tym samym cholernym szpitalu! - Wnętrznosci jej się skręcały, ale musiała wiedzieć, a Maribelle, jeśli nawet nie ukrywała czegoś specjalnie, była zaniepokojona.

- Wiele osób jest do siebie podobnych.

- Wiem. Chciałam to zignorować. Ale szpital... Mamo, czego się dowiem, jeśli tam pójde?

- Nie wiem. Niczego.

- A co ustalę, mając próbkę mojego DNA? I próbki tych kobiet?

- Co?

Kacey nie odpowiedziała. Nie musiała. Widziała zmianę w oczach matki, gdy ta zrozumiała, że jej córka nie blefuje. Chude ramiona opadły. Nagle Maribelle wyglądała na swój wiek..

- O Boże... - Wykręciła ręce i spojrzała w bok, za okno i w noc.

- Powiedz, czego nie rozumiem - zażądała Kacey. Maribelle potrząsnęła głową.

- Bałam się, że ten dzień w końcu nadejdzie.

- Czemu?

Maribelle zamknęła oczy i westchnęła głęboko. Dla efektu? Czy z głębi serca? Boże, kto to mógł wiedzieć?

- Miałam nadzieję, że nigdy nie będę musiała tego wyznać - powiedziała.

Kacey zacisnęła zęby, czekając, pragnąc krzyknąć, podczas gdy jej matka powoli dukała kolejne słowa.

- Stanley nie jest... nie był... twoim prawdziwym ojcem. Zdaje się, że już się tego domyśliłaś.

- Chodzi ci o to, że nie był moim biologicznym ojcem - dodała Kacey, a serce waliło jej mocno.

- Tak. - Maribelle wstała, a zawartość kieliszka zaczęła niebezpiecznie chlupotać. - Nikt nie wiedział, nawet Stanley, przynajmniej na początku.

Zmierzyła córkę spojrzeniem, zupełnie jakby to była wina Kacey.

- Czemu mi nie powiedziałaś?

- Bo to by zabiło Stanleya - prychnęła Maribelle, jakby uważała, że Kacey jest opóźniona, że do tej pory tego nie zrozumiała.

- Kiedy miałaś jakieś siedem lat... i było jasne, że nie przypominasz nikogo z jego rodziny ani mojej, zaczął być podejrzliwy i pokłóciliśmy się. Zagroził, że zrobi test na ojcostwo, więc... więc mu powiedziałam. Od tego momentu nasze małżeństwo, a właściwie to, co jeszcze z niego zostało, było tylko fasadą.

W uszach jej huczało.

- Zostaliśmy razem dla ciebie. Kochał cię - powiedziała Maribelle z nutką żalu w głosie. - Nie miało znaczenia, że nie jesteś jego krwi. Byłaś jego kochaną dziewczynką. - Odchrząknęła i odwróciła wzrok. - Nie mogliśmy się rozwieść... nie było o tym mowy... ani o separacji. - Pokręciła głową. - W owym czasie w miasteczku tej wielkości sprawy miały się inaczej. Moi rodzice... - Machnęła ręką. - Tak było lepiej.

Kacey nie była tego taka pewna. Nie wyobrażała sobie, jak mogłaby trwać w związku z Jeffreyem bez miłości. Nie ma mowy. Ale Maribelle zacisnęła stanowczo zęby. W postawie obronnej.

- Taty już nie ma - zauważyła Kacey, a w środku jak zawsze coś zabolowało, gdy wspomniała mężczyznę, którego uważała za swojego ojca. - Mogłaś... mogłaś mi powiedzieć.

- Wtedy było już za późno.

- Teraz nie jest. - Żołądek dawał się jej we znaki.

Wszystkie te oszustwa. Kłamstwa. Jej historia medyczna niezgodna z rzeczywistością. Całe życie zafalszowane. A jednak wszystko to miało jakiś dziwny sens. Tyle wyjaśniało, zwłaszcza to, czemu zawsze była tak blisko z rodzicami, chociaż oni od dawna nic do siebie nie czuli.

- Kto jest moim biologicznym ojcem? - zapytała.

Jej matka dopiła wino i odstawiła pusty kieliszek na kominek.

- Czy to ważne?

- Oczywiście. I to pod tyłoma względami, że nawet nie wiem, od czego zacząć. Mamo, ktoś morduje kobiety! Kobiety, które, jak podejrzewam, mogą mieć takie samo DNA.

- To właśnie problem z całą tą... nauką!

- Na miłość boską! Byłaś pielęgniarką - przerwała jej gwałtownie Kacey. - Wierzysz w naukę!

- No cóż, poszła za daleko. Stała się zbyt inwazyjna. Nie ma już żadnej prywatności. Moim zdaniem ludzie doskonale by sobie bez tego dali radę.

- To moje życie, mamó! Maribelle zaczęła rozcierać ramiona, jakby nagle zrobiło jej się zimno.

- Naprawdę nie chcę o tym rozmawiać.

- Omijałaś temat przez trzydzieści pięć lat! - Kacey nie mogła uwierzyć w to, co słyszała. Całe jej cholerne życie było kłamstwem. -A teraz kobiety giną!

- W wypadkach! - Coś błysnęło w oczach Maribelle. - Naprawdę uważasz, że ktoś zabija kobiety, które wyglądają jak ty, z powodu DNA? Na miłość boską Kacey. Posłuchaj, co mówisz.

- Kim on jest?

- Nie ma powodu, by mieszać w to twojego ojca. Kacey prawie się udławiła:

- On nie jest moim ojcem! Byłaś żoną mojego ojca! Ale kim jest ten człowiek?

Czy jeszcze żyje? - Była wściekła.

- Tak.

- Jesteś z nim w kontakcie?

- Oczywiście, że nie.

- Czy wie o mnie? - zapytała, a gdy jej matka nie odpowiedziała, dodała. - A te inne...

Przed oczami stanęły jej twarze kobiet, które zginęły, kobiet o rysach takich jak jej.

- Czy wie o nich? Czy są... - Potrząsnęła głową.

Nie, nie... to wszystko było nie tak. Nagle zaczęła wątpić, czy w ogóle dobrze zrobiła, przyjeżdżając tu. Ale teraz nie mogła już się wycofać. Głosem niepodobnym do swojego zapytała:

- Czy chcesz mi powiedzieć, że ten... ten facet krążył tutaj i za-ładniał kobiety, a potem je po prostu zostawiał...

Ale Maribelle zamilkła.

- Mamó? - Czuła, że chodziło o coś więcej. - Czego mi nie mówisz? Wyznanie wyczerpało Maribelle, aż usiadła na kanapie. Wpatrywała

się w ogień, ale Kacey była przekonana, że nie widzi złotych płomieni okalających ceramiczne polana. Nie, błędziła gdzieś myślami, sięgała w przeszłość, w miejsce, o którym tylko ona wiedziała.

- To nie tak. Musisz zrozumieć. To porządny, szlachetny człowiek. Ważny członek społeczności. Ludzie biorą z niego przykład... A myśmy się kochali...

W jej pamięci romans zamienił się w coś czystego i wyjątkowego, jedyne w swoim rodzaju. I wciąż tak o tym myślała, ponad trzydzieści lat później.

- Wszyscy tak myślą. To właśnie dlatego ludzie zdradzają swoich partnerów, bo nowy związek jest taki podniecający i czysty.

- Ale nasz... - Naję ustach pojawił się błogi uśmiech.

Wciąż wierzyła, że to, co dzieliła z tym mężczyzną było wyjątkowe. Maribelle przełknęła głośno i posłała Kacey twarde spojrzenie.

- Nie zrozumiesz tego. Nie możesz.

- Nie traktuj mnie jak idiotki, mamó! - Myśl, że była bardzo istotną częścią tej sytuacji, doprowadzała ją do szału. - Kim on jest?

Cisza.

- Maribelle?

- Obiecałam sobie, że nigdy tego nie powiem. I nie złamałam tego przyrzeczenia.

- I tak się dowiem - nacierała Kacey. - Ibędzie znacznie gorzej, jeśli zmuszona będę szukać.

Maribelle spuściła wzrok.

- David nie wie.

David Spencer. Potencjalny facet jej matki.

- Nie powiem mu - oznajmiła głucho Kacey. - Ale jeśli się dowie z innych źródeł, to nic na to nie poradzę. Nie zamierzam żyć w tym kłamstwie ani chwili dłużej!

Maribelle odezwała się cichutko:

- Jesteś zła!

- Zła i sfrustrowana. Okłamywałaś mnie. Przez całe moje cholerne życie.

- Przepraszam. Naprawdę. - Próbowала pohamować łzy. - Wtedy było inaczej. Byłam młoda, łatwowerna...

- A do tego zamężna. Maribelle skrzywiła się.

- Były też problemy. Po pierwsze, nie mogłam zajść w ciążę, nie, żeby nie próbowała, ale wiesz, twój ojciec, to znaczy Stanley i ja... Nasze małżeństwo przechodziło wtedy trudne chwile. Na zajęciach poznałam studenta medycyny, który był... - Nie dokończyła. - No cóż... Był wszystkim tym, czym Stanley nie był. My... hm... zaczęliśmy się spotykać, i kiedy postanowiliśmy z tym skończyć, okazało się, że jestem w ciąży. - Uniosła głowę, a w oczach lśniły jej łzy. - Byłam taka

szczęśliwa. Bałam się, że jestem bezpłodna, ale nigdy się nie badałam, Stanley też nie, a potem pojawiłaś się ty, cudowne dziecko! - uśmiechnęła się delikatnie przez łzy i uniosła dłonie. - To było błogosławieństwo. Przynajmniej dla mnie. Spójrz tylko na siebie. Tak bardzo chciałam dziecka i się pojawiłaś!

Kacey pomyślała o ciężko pracującym ojcu, przy którym dorastała, dziadkach, których dom odziedziczyła, i wszystko wydało jej się złe, niewłaściwe.

- Tata zawsze będzie...

- Wiem. - Maribelle złapała kieliszek i poszła do kuchni, gdzie na granitowym blacie stała otwarta butelka czerwonego wina. - Chcesz trochę? - zaproponowała, szukając w szafce drugiego kieliszka.

Kacey potrząsnęła głową. Już i tak nie potrafiła jasno myśleć. Gdy Maribelle nalewała sobie wina lekko trzęsącymi się dłońmi, Kacey stanęła po drugiej stronie blatu.

- To kim on jest, mamó? - Maribelle odstawiła butelkę. - Chyba mam prawo wiedzieć?

Matka pokręciła nóżką kieliszka, by wprawić wino w ruch, powąchała je i dopiero pociągnęła łyk.

- Pewnie tak - zgodziła się w końcu. - Wielokrotnie o tym myślałam, ale po prostu nie mogłam ci powiedzieć.

- Wolałaś kłamać.

- Mówić wymijająco. Z czasem tak było łatwiej, trudniej znaleźć sposób, by... No cóż, w końcu uznałam, że najlepiej o tym zapomnieć.

- Muszę się z nim spotkać. Spojrzała na nią przerażona.

- Och, nie! On już dawno o tym zapomniał! No i chyba nie chcesz niepokoić jego żony!

- Żony? - powtórzyła Kacey.

- Tak. Żony. Którą... No, jeśli dobrze pamiętam, ma już od czterdziestu pięciu lat - odparła z żalem w głosie.

- I tak ustale, kim on jest. Bez względu na to, czy mi to powiesz, czy nie.

- Dobrze! - Maribelle była wściekła, ale zorientowała się, że Kacey mówi poważnie. Odetchnęła głęboko i powiedziała: - Nazywa się Gerald Johnson. - Uniosła wzrok, by sprawdzić, jakie wrażenie zrobi na Kacey to nazwisko. A gdy Kacey nie zareagowała, dodała: - Jest



poważanym kardiochirurgiem, który pomógł wynaleźć specjalny stent i nie, nie wie o tobie. Uznałam, że nic dobrego by z tego nie wynikło, gdybym mu powiedziała. Kiedy zakończył praktykę, przeniósł się z rodziną do Missouli. - Wzruszyła ramionami. - Wszyscy to wiedzą. W sekundę znajdziesz to w Internecie, więc nie zdradzam tu żadnych tajemnic, ale proszę, nie zwracaj mu głowy. Nie spodobałoby mu się to, Noreen i jej stadko też nie.

- Noreen to żona, a stadko to dzieci?

Przyrodnie siostry i bracia. Brakujący element. Jako jedynaczka zawsze marzyła o rodzeństwie, by grać z nimi w baseball, gry planszowe, karty, albo chociaż mieć drugą osobę do gier wideo...

- Ile ich ma?

- Dzieci? - Maribelle uniosła głowę i spojrzała córce w oczy. - Chyba piątkę. Nie, są bliźniaki, więc szóstkę. A może siódemkę? Nie pamiętam! - Spojrzała na stolik w salonie, gdzie dalej leżały zdjęcia przyniesione przez Kacey. - Kto wie, może jeszcze więcej.

To było niedopowiedzenie roku.

- Może znacznie więcej - wyszeptała Kacey.

Kim był ten człowiek? Lekarz, który nie dbał o antykoncepcję, nigdy nie używał prezerwatyw i miał serię romansów? Kobiety ze zdjęć były mniej więcej w jej wieku, plus minus kilka lat. Cóż to był za Casanova z Montany? Nie, coś się nie zgadzało.

I jeszcze z tego powodu miały ginąć kobiety?

- Muszę się z nim spotkać - powtórzyła.

- Nie! - Maribelle bawiła się kieliszkiem. Nagle wypadł jej z rąk i roztrzaskał się o granitowy blat, a czerwone wino prysło na jej ubranie i na podłogę.

- Och! Zobacz, co narobiłaś! Ten sweter kosztował majątek! - krzyknęła Maribelle i uciekła do sypialni.

Kacey zaczęła sprzątać. Usuwała bałagan znacznie większy niż tylko rozlane wino i potrzaskane szkło.

## **Rozdział 23**

Należało zabić matkę. Tu właśnie popełnił błąd. Teraz to wiedział. Siedział w półciężarówce zaparkowanej przed bramą ośrodka Rolling Hills. Wierzył, że Maribelle Collins zrobi wszystko, by zachować swój

sekret, ale teraz, gdy obserwował jak Acacia wyjeżdża z kompleksu, zaczął rozważać, czego się dowiedziała i jakie to spowoduje szkody. Na pewno wie za dużo.

Należało się tego spodziewać. Przewidzieć ten ruch. Czy było za późno? Pewnie tak.

Ale staruchę i tak należało uciszyć.

Nie powinno być z tym problemów, z tego co wiedział, miała problemy z sercem, brała tabletki z nitrogliceryną... Szkoda teraz na to czasu.

Musiał się dowiedzieć, co ustaliła jej cholerna córka. Jeśli odkryła prawdę, musiał ją powstrzymać, nim zrobi coś, co wszystko zniszczy.

Po raz ostatni rzucił okiem na wciąż otwarte bramy ośrodka i w myślach obiecał, że tu wróci. Czuł, jak pulsuje mu blizna, gdy naciągał na głowę kominiarkę. A potem odpalił silnik i ruszył z parkingu.

Daleko przed sobą zauważył tylne światła forda Acacii, ale nie obawiał się, że ją zgubi. Przyczepiany na magnes, odporny na wodę zestaw GPS, który zamontował pod tylnym nadkolem, był nie do zauważenia, dopóki nie postanowi zmienić opon, a nawet wtedy niekoniecznie.

A wówczas będzie za późno.

Włączył niewielki monitor i obserwował, jak kobieta skręca na autostradę na zachód. W stronę Grizzly Falls. Tak jak podejrzewał.

Rozluźniwszy się trochę, jechał za nią w bezpiecznej odległości. Gdy spojrział we wsteczne lusterko, zauważył, że z zatoczki wyjechał inny samochód i włączył światła. Zaniepokoił się.

To nic takiego! To zwykły samochód, jakiś kierowca, nie ma się czym przejmować.

Mimo to obserwował światła za sobą. To był sportowy wóz. Kilka samochodów wjechało między nich, ale za każdym razem, gdy spoglądał do tyłu, sportowy samochód był za nim, nie zbliżał się ani nie oddalał.

Ktoś jedzie po prostu w tę samą stronę co ty. To nic takiego.

Ale pomyślał o tych wszystkich chwilach, w których czuł się obserwowany jakby był ofiarą a nie łowcą.

Nawet jeśli wjedzie za mną na główną drogę, na zachód, to jest to tylko przypadek. Zbieg okoliczności. Po prostu jakiś kierowca zmierza do Missouli albo dalej. Uspokój się!

Ale skręcając na autostradę, zaciskał gorączkowo palce na kierownicy i obserwował ruch za sobą. Tak, szary sedan jechał za nim, ale to nie był samochód, który obserwował... Nie, ten, który go niepokoił, był czarny i sportowy, może BMW... ale nie skręcił na autostradę.

Dobrze.

Odetchnął z ulgą i natychmiast się rozluźnił. Po raz ostatni rzucił okiem we wsteczne lusterko, po czym skupił się na tym, na czym trzeba. Przycisnął gaz i pojechał za Acacją. Według jego sprytnego urządzenia była jakieś cztery kilometry przed nim. Zamierzał ją dogonić, a potem wyprzedzić.

Trace usłyszał jęk i serię ostrych kaszlnięć z pokoju Eliego.

Wbiegł na górę, włączył światło na korytarzu i otworzył drzwi. Eli leżał na łóżku, ale był spocony, miał zaczerwienioną twarz, a oczy zapadnięte.

- Hej stary - powiedział, próbując obudzić syna. - Eli? Eli otworzył jedno zaczerwienione oko.

- Jak się czujesz?

- Gardło mnie boli. Bardzo. - Zaniósł się głębokim kaszlem.

- Zmierzę ci jeszcze raz temperaturę - odezwał się Trace.

Eli nie bardzo chciał się zgodzić, ale w końcu ojciec przekonał go, by wsunął termometr do ust. Kilka minut później okazało się, że chłopiec ma ponad czterdzieści stopni gorączki. Zdecydowanie za dużo.

Trace szybko rozkruszył tylenol dla dzieci i rozpuścił go w wodzie, a potem namówił syna, by wypił całą szklanekę. Następnie wyszedł na korytarz i przymknął za sobą drzwi.

Wyciągnął z kieszeni komórkę i wybrał numer Kacey, zaglądając przez szparę do pokoju i licząc dzwonki.

Odbierz, myślał.

Był przyzwyczajony do opieki nad chorymi i rannymi zwierzętami, zajmował się cielakami, które źle weszły w kanał rodny, walczył z szelestnicą i zapaleniem płuc. Zdarzyło się nawet, że jego ukochana klacz zeszła na kolkę. Psy i koty żyły i umierały, rozumiał, że choroby i śmierć były częścią życia, ale teraz się bał.

Po trzecim sygnale zaniepokoił się, że Kacey nie odbierze, ale gdy już miał się rozłączać, odezwała się.

- Cześć. Trace?

Natychmiast przeszedł do rzeczy.

- Odebrałem twoją wiadomość. Słuchaj, Eli ma wysoką temperaturę. Ponad czterdzieści stopni, kaszle, nie może spać.

- Przywieź go do przychodni - odpowiedziała natychmiast. - Jestem akurat w drodze i będę tam za jakieś pół godziny. Może być?

- Jasne.

- Świetnie. Do zobaczenia.

Rozłączyła się. Tracie nie tracił czasu. Wszedł po pokoju syna, złapał kurtkę i owinął Eliego w śpiwór.

- Chodź, stary. Zabieram cię do doktor Lambert.

Kacey przez większą część drogi była pogrążona w myślach. Zapadła już ciemność, dawno minęła pora kolacji, ale ona nie była głodna. Grało radio, ale nie umiałyby wymienić żadnej z piosenek. Była zbyt pochłonięta własnymi myślami, powtarzaniem tego, co matka powiedziała o Geraldzie Johnsonie i jego rodzinie.

Przełączyła światła drogowe na mijania, bo nadjeżdżał samochód z przeciwnika. Nie zwracała specjalnej uwagi na inne pojazdy, jadąc na pamięć, myśli skupiając na niejasnej przeszłości. Kim, do cholery, byli Gerald Johnson i jego żona? Jaką rolę w ich małżeństwie i życiu grała Maribelle? Kim były ich dzieci, jej krewni, przyrodnie rodzeństwo?

Wyglądało na to, że Maribelle jest wciąż zakochana w Johnsonie, a z ich romansu uczyniła niezmiernie romantyczną i tragiczną historię, jakby należało ją objąć czcią.

Może Maribelle zaczynała brakować piątej klepki.

A co z człowiekiem, którego nadal uważała za ojca? Stanley Collins, ciężko pracujący stolarz. Pomyślała o dniu, w którym dowiedział się prawdy, chociaż oczywiście nie mogła go pamiętać, nie mogła sobie przypomnieć ani jednej sytuacji, która wskazywałaby na to, że przestał kochać swoje jedyne dziecko.

Nie mogła sobie przypomnieć nic, co by wskazywało na to, że odkrył prawdę. I to samo dotyczyło się jej dziadków. Jeśli nawet Stanley Collins wyjawiał im prawdę, oni także nie zmienili podejścia do wnuczki.

Ale miała niepokojące wrażenie, że ledwie drasnęła strup, który zarastał trudno gojącą i może nawet śmiertelną ranę.

Wyłączyła radio, w którym nieznana jej piosenkarka country śpiewała jedną z kolęd. Potrzebowała ciszy, by zebrać myśli i rozważyć, co robić dalej. Czy Jocelyn Wallis, Shelly Bonaventure albo Elle Alexander podejrzewały, że mają wspólnego ojca? Czy ich matki także zakochały się w miejscowym Romeo? Jakie było prawdopodobieństwo?

Była przemęczona. Spróbowała skupić się na trasie.

Nie było wielkiego ruchu, a z dróg uprzątnięto śnieg i tylko miejscami jego resztki lśniły w świetle księżyca. Wpatrując się w grę światła,

Kacey rozmyślała o kobietach, które straciły ostatnio życie, gdy nagle dostrzegła wciąż otwartą przydrożną kafejkę jakieś piętnaście kilometrów przed Grizzly Falls.

Zjechała tam, otworzyła okno i zamówiła latte bez kofeiny na chudym mleku u kobiety, która wyglądała tak, jakby zaraz miała zemdleć ze zmęczenia. W kafejce wyraźnie brakowało świątecznego nastroju mimo kolorowych światełek, namalowanych na szybach płatków i reklamy cynamonowej mieszanki Świętego Mikołaja.

Czekając w ciemnym samochodzie, liczyła, że gorące mleko ukoi jej żołądek. Z wdzięcznością przyjęła kubek i zostawiła napiwek. Barista posłała jej delikatny uśmiech, po czym zamknęła okienko i wyłączyła neon z napisem „otwarte”.

Kacey pociągnęła łyk, licząc, że rozgrzeje się od środka. Mimo ciągłego podkreślenia temperatury w małym suwie wciąż nie mogła się pozbyć chłodu, który zagościł w jej duszy, gdy poznała prawdę.

Gdy ruszała z parkingu, zauważyła szybko zbliżające się światła i odsuwając od siebie kubek z kawą gwałtownie zahamowała. Zatrzymała się na brzegu szosy, a przed jej maską przemknęła potężna ciemna półciężarówka. Trochę kawy wylało się na przykrywkę. Przez moment stał jej przed oczami pikap z potężnym zderzakiem, który wgniół jej tylny błotnik, a o którego kierowcy Grace Perchant powiedziała, że jest „zły”.

Kacey otrząsnęła się szybko. Upiła kolejny łyk kawy. Grace nie można wierzyć.

Twierdziła, że komunikuje się z duchami, czy jakoś tak. A to Montana, tu jest mnóstwo pikapów.

Przez moment rozważała pościg, by sprawdzić, czy potężny pojazd miał numer rejestracyjny z obcego stanu, z ósemką albo trójką. A potem zadzwonił Trace z informacją o Elim. Skupiła wszystkie myśli na chłopcu.

Dojechała do miasta w jakieś dwadzieścia minut i zatrzymała się na pustym parkingu przed przychodnią. Ta strona budynku pogrążona była w cieniu, a jedyne światło dawała słaba latarnia stojąca od frontu.

Zostawiła kubek po kawie w uchwycie, zamknęła samochód i podeszła do tylnych drzwi. Otworzyła sobie własnym kluczem i sięgnęła do włącznika światła.

Pstryk!

Ale nic się nie stało.

Znów go nacisnęła, ale w salach dalej było ciemno. Nie świeciły się nawet znaki ostrzegawcze. A we wnętrzu było chłodniej niż zwykle. Cholerny automatyczny wyłącznik!

Miała ochotę skrócić kark temu kretynowi - właścicielowi budynku! Ile razy już to zgłaszała? Raz nawet sama wezwała elektryka.

- Świetnie - mruknęła.

Oczywiście znała układ pomieszczeń, a w szufladzie trzymała latarkę, więc udało jej się przejść przez tylny korytarz, minąć gabinety, które nagle zdały jej się niebezpieczne i ponure, a dziwne kształty sprzętów wyglądały niczym roboty-potwory, które przyprawiały ją o dreszcze.

To tylko brak światła.

Dotykając ściany, minęła gabinety i obeszła róg. Kopnęła w miarkę i przygryzła język, by nie krzyknąć. Ale pozwoliła sobie na przekleństwo.

Zwykle cały sprzęt elektroniczny - telefony, faksy i komputery - rzucały lekką poświatę od przycisków, dając użytkownikom do zrozumienia, że wciąż działają, ale tym razem nic nie świeciło. Labirynt pokojów był kompletnie ciemny, jeśli nie liczyć salek, w których były okna, a przez ich żaluzje wpadało blade światło latarni z ulicy, rzucając pasiaste cienie na przeciwległe ściany i podłogi.

Budynek był bardziej upiorny, niż się spodziewała, ale z niewielkimi trudnościami udało jej się odnaleźć drzwi do swojego gabinetu. Oczy szybko przyzwyczyły się do półmroku, gdy podeszła do biurka, otworzyła drugą szufladę z prawej i sięgnęła w ciemność.

Czubki palców otarły się o chropowatą rączkę latarki. Modliła się, żeby baterie zadziałały. Włączyła ją i przy bladym świetle dotarła do skrzynki elektrycznej, gdzie wyskoczył główny bezpiecznik.

Dziwne.

Zwykle wyskakiwał bezpiecznik do gniazdek w recepcji, a w pozostałych salach prąd był. No, ale z drugiej strony starej instalacji nie zmieniano pewnie od czasów Kennedy'ego. Włączyła główny bezpiecznik. Natychmiast zapaliły się lampki alarmowe i uruchomiło się ogrzewanie.

Bum! Bum! Bum!

Przez salę przetoczyło się dudnienie. Zatrzasnęła drzwiczki, uświadamiając sobie, że to Trace O'Halleran i Eli. I rzeczywiście, chwilę później usłyszała głos Trace'a.

- Doktor Lambert? Kacey?

- Idę!

Biegła wzdłuż korytarza do recepcji, włączając po drodze świetlówki, które najpierw mrugały, a dopiero potem zaczynały porządnie świecić.

- Przepraszam - zawołała. - Mam tu problem z elektrycznością. Wciąż odcina mi prąd. Naprawdę doprowadza mnie do szału.

Gdy weszli do środka, zwróciła się do chłopca.

- Hej, Eli. Jak się czujesz?

Nie odpowiedział, a w zapalających się światłach dostrzegła, że gorączkuje. Zakaszła głośno i się skrzywił.

- Mówi, że boli go gardło - odezwał się Trace.

- Zobaczymy. - Zamknęła za nimi zasuwę i powiedziała. - Chodź, Eli.

Chłopiec miał na sobie piżamę, kurtkę i był owinięty w śpiwór.

Gdy weszli do gabinetu, zmierzyła mu temperaturę, zajrzała do gardła i uszu i osłuchiwała go. Przez ten czas Trace opierał się o biurko, zaciskając na nim palce.

Kacey zmusiła się do uśmiechu.

- Wygląda na to, że musimy cię zabrać do szpitala. - Starła się mówić dziarskim tonem.

- Szpitala? - powtórzył Trace.

- Nie!!! - Eli wziął przykład z ojca i natychmiast zaczął protestować, ale skończyło się to tylko kolejnym atakiem kaszlu. Aż zaczął łzawić.

- Myślę, że jednak tak. - Spojrzała na Trace'a, wzrokiem prosząc go o pomoc. - Dzięki temu szybciej ci się poprawi.

- Brzmi rozsądnie - zgodził się Trace.

Eli skrzywił się, gdy znów dostał ataku kaszlu.

- Boli, prawda? - zapytała chłopca. - Wiem. Poczujesz się lepiej.

- Pojedziesz ze mną? - dociekał Eli.

- Oczywiście - zapewniła Kacey. - Nie mogłabym tego przegapić.

- Ale nie muszę tam zostawać?

- Tylko na trochę. - odparła. - Ale to ustalimy, jak już tam dotrzemy, dobrze? - Idodała zwracając się do ojca: - Spotkamy się na izbie przyjęć w szpitalu St. Bart's. Tam go przyjmą.

- Jasne.

Dwie godziny później Eli spał w szpitalnym łóżku, podłączony do kroplówki. Jego stan uznano za stabilny. Pielęgniarki dbały o chłopca i zapewniły, że zadzwonią rano do Trace'a, a Kacey będą informować o stanie dziecka. Z tego, co rozumiał Trace, jego syn miał zapalenie oskrzeli, zapalenie gardła i podejrzenie zapalenia płuc. Kacey nalegała,

by chłopiec został w szpitalu na noc, gdzie będzie pod dobrą opieką, a gorączka pod kontrolą. Trace odetchnął na te wieści z ulgą ale wolałby zostać z nim w pokoju i przespać się na jednym z krzeseł.

- Zajrzę do niego jutro przed pracą - obiecała Kacey, gdy wyszli na parking, na którym stało kilka samochodów. Niebo było zasnuwane chmurami, a lodowaty wiatr dmuchał przez kanion ku rzece, w której odbijały się światła miasta.

- Nie będzie chciał tu leżeć.

- A kto by chciał? - Spojrzała na trzypiętrowy budynek. Nad wejściem wisiała girlanda z cedru. - Ale sądzę, że jutro go wypuszczą.

Trace odprowadził ją do samochodu, a gdy otworzyła drzwi, złapał ją za ramię.

- Dzięki, Kacey - rzucił.

- Nie ma sprawy.

- Mówię poważnie.

Spojrzała na niego wyczekująco, unosząc głowę tak, że pierwsze płatki śniegu spadły na jej rzęsy i rozpuściły się na policzkach.

W niebieskawym oświetleniu wyglądała trochę upiornie, miała bladą skórę, a oczy zdawały się trochę ciemniejsze niż za dnia. Przez ułamek sekundy przypominała mu Leannę.

A może Jocelyn?

Przeszedł go dreszcz.

- Nie ma sprawy, Trace - uśmiechnęła się. - Cieszę się, że zadzwoniłeś. Należało tu przywieźć Elięgo.

- Mogłaś mi po prostu nakazać, bym go tu przywiózł. Poszłaś krok dalej.

- No cóż, może chciałam go zobaczyć - uśmiechnęła się tak, że aż zrobiło mu się cieplej na sercu.

W tym momencie miał ochotę ją pocałować. Wokół niego padało coraz więcej śniegu, a on chciał ująć ją w ramiona, przycisnąć usta do jej warg i zobaczyć, co się stanie.

Ona też to czuła. Nie odrywała od niego wzroku, aż mu zabrakło tchu.

Nie rób tego - pocałowanie tej kobiety tylko utrudni sprawę.

A jednak czuł to. Coś się między nimi działo.

- Zadzwonię do ciebie, jak go rano zobaczę.

A potem, nim zdążył zareagować, wspięła się na palce, uściśnięła go i ucałowała w policzek.



Gdy próbowała wysunąć się z jego uścisku i wsiąść do samochodu, powiedział.

- Nie, poczekaj. - Znów zacisnął palce, a ona spojrzała na niego wyczekująco.

- Co?

- Mam coś, co chciałbym ci pokazać.

- Teraz?

- Tak, ale mam to w domu.

- Chcesz, żebym do ciebie przyjechała?

Zauważył w jej oczach zwątpienie. Może i uściskała go i pocałowała, ale podejrzewał, że raczej po to, by dodać mu otuchy. A teraz zaczynała mieć wątpliwości.

- Mam nowego psa i już za długo siedzi sam - powiedziała.

- W takim razie przyjadę do ciebie. Ale muszę zabrać coś z domu. -Zauważył, że Kacey chce zaprotestować, więc dodał. - Będę u ciebie za jakieś czterdzieści minut. To nie zajmie wiele czasu. Ale naprawdę uważam, że powinnaś to zobaczyć.

- Nie możesz mi po prostu powiedzieć? Poczuję, jak unosi kącik ust.

- Nie.

- Wiesz, gdzie mieszkam? Potrząsnął głową.

- Przeprowadziłem drobne badania. O tym też ci powiem. Zaufaj mi. Spojrzała na niego podejrzliwie, ale skinęła głową.

- Dobrze.

- Świetnie.

Gdy zamykała drzwi, usłyszał jeszcze dźwięki kolędy, po czym odjechała.

Uniósł dłoń w geście pożegnania, a potem pobiegł do samochodu. Nie zastanawiał się, czemu nagle poczuł potrzebę zwierzenia jej się. Może dlatego, że tak spojrzała mu w oczy, może przez to, jak opiekowała się jego synem, a może po prostu uznał, że powinna znać prawdę. Nie rozważał tej decyzji, tylko zaczekał, aż zniknęła mu z oczu, a potem wsiadł do pikapa i odpalił silnik.

Na parking wpadła z wyciem karetka i zatrzymała się obok drzwi do sali przyjęć. Z ambulansu wyskoczył sanitariusz i szybko wysunął nosze ze starszym mężczyzną podłączonym do kroplówki i tlenu.

Trace znów pomyślał o synku, który leżał na trzecim piętrze. Wiedząc, że Eli jest w dobrych rękach, ruszył szybko, ale ostrożnie, do domu.

Zostawił uruchomiony samochód przed domem i wbiegł tylnymi drzwiami do środka. Sprawdzał, jak się czuje Sarge. Pies, wciąż w kołnierzu na głowie, spał na swoim posłaniu w salonie, a na widok Trace'a uniósł łeb i zamachał ogonem.

- Leż spokojnie - powiedział owczarkowi, a potem zebrał zapiski z biurka, złapał laptop i wybiegł.

W samochodzie było ciepło. Wrzucił wsteczny i ruszył, nie zastanawiając się, co u licha robi.

## **Rozdział 24**

Kacey spojrzała na zegarek nad blatem kuchennym. Była w domu od pół godziny. W oczekiwaniu na Trace'a nakarmiła i wyprowadziła Bonziego, włączyła radio, by dotrzymywało jej towarzystwa, i zaczęła przeglądać Internet w poszukiwaniu informacji o Geraldzie Johnsonie, który przez większość życia mieszkał w Helenie, w Montanie, a później przeniósł się do Missouli.

Nietrudno było go znaleźć i w ciągu kilkunastu minut ustaliła, że był znanym kardiochirurgiem, jak powiedziała matka. Założył własną firmę, by wspomóc udoskonalanie stentów dla chorych na serce. Z tego, co rozumiała, wciąż tam pracował, wraz z kilkorgiem dzieci.

Jako że był ważnym obywatelem Heleny, łatwo znalazła zdjęcia całej rodziny. Jego żony, Noreen, i szóstki dzieci - dwóch córek i czterech synów. Okazało się, że jedna z dziewcząt zmarła dziesięć lat temu. Kacey wydrukowała nekrolog Kathleen Enid Johnson, która zginęła w wypadku na nartach, ledwie kilka miesięcy przed ślubem. Była piękną dziewczyną dwudziestodwulatką. I miała tę samą linię szczęki, te same kości policzkowe i oczy, co Gerald Johnson. W gruncie rzeczy większość jego dzieci z prawego łóża odziedziczyła po nim urodę, stwierdziła, przyglądając się zdjęciu. Podobnie jak ona i inne kobiety, żywe i umarłe, które były do niej podobne... Dobry Boże... Czy to w ogóle możliwe? Musiało tak być.

Prawda?

Spojrzała na wyjątkowo dobre zdjęcie Geralda i Noreen, małżeństwa, stojących obok siebie podczas gali charytatywnej kilka lat temu.

Oboje jak spod igły, on w smokingu i białym krawacie, ona w lśniącej srebrzystej sukni. Oboje siwi. On był szczupły, opalony, z kurzymi łapkami wokół oczu.

Może gra w golfa. Spędza mnóstwo czasu na słońcu.

Jego żona była bledsza, miała delikatny makijaż, a rysy ostre i wyraźne. Wysoka i szczupła, Noreen Johnson była na swój sposób piękna, chociaż trudniej było się dopatrzeć jej genetycznego wkładu w dzieci, może tylko te kręcone włosy jej córki, Clarissy, i jednego z synów, Tha-ne'a, trzeciego z kolei.

Gerald Johnson rzeczywiście dorobił się stadka dzieci.

I to jeszcze większego, niż sądził, jeśli jej teoria była zgodna z prawdą.

Zobaczyła światła i usłyszała warkot silnika samochodu Trace'a. Bonzi zaczął szczekać basem, gdy wyszła na ganek.

- Cicho! - nakazała psu, który szczeknął po raz ostatni w chwili, gdy Trace wyłączył silnik.

Serce zaczęło jej troszkę szybciej bić, co było kompletnie niedorzeczne. Bonzi stał obok niej, machając przyjaźnie ogonem i znów dowodząc, że nie nadaje się na psa stróżującego.

Na towarzysza? Tak. Ale obrońcę? Nie bardzo.

Już opuszczał głowę, czekając na pieszczotę, gdy Trace, ubrany w grubą kurtkę wędrował przez zasypany śniegiem trawnik w ten atletyczny, kowbojski sposób, który nigdy nie wydawał jej się pociągający.

Do dziś.

W jednej ręce trzymał laptop, co odrobinę zmieniało jego wizerunek.

- To chciałeś mi pokazać? - zapytała, gdy wszedł po schodkach i stanął w kręgu światła.

- Coś na nim, tak.

Zatrzymał się, by pogłaskać psa, po czym weszli do środka i skierowali się do kuchni. Trace uruchomił komputer.

- Masz sieć bezprzewodową?

- Aha.

- Hasło dostępu?

Kiedy potrząsnęła głową odparł.

- To ci założymy. - Posłał jej delikatny uśmiech. - Na wszelki wypadek.

Nie zamierzała się kłócić. Nie, biorąc pod uwagę wszystko to, co się działo.

- Masz na coś ochotę? Mam kawę, herbatę i... - Zajrzała do lodówki, gdy podłączał się do Internetu. - Dietetyczną colę i... a może piwo?

- Pewnie, piwo - odparł, ale nawet nie podniósł głowy. - No dobra, to lecimy. Spójrz na to.

Otworzyła dwie butelki, podała mu jedną i usiadła obok niego.

Na ekranie komputera było kilka zdjęć. W pierwszej chwili miała wrażenie, że to ta sama osoba, ale gdy przyjrzała się bliżej, zauważyła różnicę. Zaciśnęła palce na szyjce butelki i poczuła, jak żołądek jej się skręca.

- O co chodzi? - Ale doskonale wiedziała.

- To zdjęcia kobiet, które znam, a które są do siebie podobne. To ty - odparł. Rozpoznała zdjęcie ze strony kliniki. Na następnym była Jocelyn Walllis ze swoją klasą.

Trzecie przedstawiało kobietę, której Kacey nie знаła. Było zrobione z pewnej odległości i zeskanowane.

- To Leanna - wyjaśnił, ledwie poruszając ustami. - Matka Eliego. Powiększył fotografię, dzięki czemu dało się rozpoznać twarz, trochę rozmazaną.

Kacey przeszedł dreszcz, gdy wpatrywała się w tak podobne do niej twarze.

- Ożeniłeś się z nią i byłeś z Jocelyn... - Spojrzała na niego, a serce podskoczyło jej do gardła.

- Myślisz tak samo, jak gliny, ale nie miałem z tym nic wspólnego - odparł, potrząsając głową. - Najwyraźniej pociąga mnie pewien typ kobiet, ale nic ponadto.

- Więc gdzie ona jest? Leanna? - zapytała ostrożnie Kacey.

- Nie wiem.

Kacey usłyszała coś w jego głosie.

- Sądysz, że może być martwa - wyszeptała i nagle uświadomiła sobie, że słyszy tykanie zegara, pochrapywanie Bonziego w dużym pokoju, widzi twardą szczękę Trace'a i wyraźne napięcie na jego twarzy.

Znów przeczesał zmierzwione włosy.

- Prawdę mówiąc, nie wiem, co mam o tym myśleć. Wiem natomiast, że skoro ja jako ostatni widziałem się z Jocelyn, a gdy zadzwonili do mnie ze szkoły, poszedłem do jej domu, to już i tak jestem podejrzewany przez policję. Jeśli zobaczą zdjęcie Leanny, która mogła zginąć...

mogą połączyć te dwie sprawy. - Odchylił się na krześle. - Z drugiej strony, może by znaleźli Leannę i ustalili, że nic jej nie jest. To by było dobre. Ja nie mogę do niej dotrzeć. A Eli za nią tęskni.

Zaskoczona myślą że Trace mógł się ożenić z kimś tak podobnym do niej, Kacey wpatrywała się w zdjęcie na ekranie. To było zbyt dziwaczne. Jakaś część jej upierała się, że traci rozum, pozwala opanować się paranoi, ale nie ona jedna zauważyła jej niepokojące podobieństwo do tych kobiet, włącznie z byłą żoną Trace'a.

- Tęsknisz za nią? - zapytała.

- Za Leanną? - prychnął. - Nie bardzo. Nie, żebym odmawiał mojemu dziecku matki, ale nie Leanny. Odeszła i jasno dała do zrozumienia, że nie chce mieć z nami nic wspólnego. - Zacisnął szczęki - Trzymam ją za słowo.

- Musisz ją odnaleźć-zawołała nagle.

Może Leanna O'Halleran była brakującym ogniwem. Osobą która wiedziała, co się dzieje. Mogła być kluczem do sprawy.

- Jeśli da się odnaleźć. Zapewniam cię, że bardzo się starałem. -Pociągnął długi łyk piwa, a Kacey uznała, że nadeszła pora, by poinformować go o kolejnych złych wieściach.

- Leanna i Jocelyn nie są jedynymi kobietami, które zaginęły lub nie żyją a wyglądają jak ja.

- Nie wiemy, czy Leanna nie żyje - zaznaczył. - Ona jest... zbyt niedobra, by zginąć.

Kacey próbowała zachować kamienną twarz, ale najwyraźniej coś jednak zauważył, bo zapytał:

- Były inne?

Czy mogła mu ufać? Opowiedzieć mu tę na wpół opracowaną teorię? Miał rację. Był związany z jedną zaginioną i jedną która została zamordowana, ale w głębi serca Kacey nie mogła uwierzyć, by był niebezpieczny. Nie dla niej. Nie po tym, jak widziała, jak się opiekuje synkiem.

Nadszedł czas na decyzję.

Trace wpatrywał się w nią intensywnie, a ona postanowiła zawierzyć instynktowi.

- Wezmę tylko torebkę.

Wyciągnęła zdjęcia, które kilka godzin wcześniej pokazała swojej matce. Ostrożnie kładła je po kolei na stole, na którym jej babcia podawała swego czasu tyle posiłków.

- To Shelly Bonaventure - powiedziała.
  - Ta aktorka, która niedawno zmarła. Wiem, że jest trochę podobna do Jocelyn... i do ciebie. To było samobójstwo?
  - Tak brzmi wersja oficjalna.
  - Sądysz, że jest związana z tą sprawą? Serio? - Wyraźnie w to wątpił. - A poza wyglądem jaki ma związek z pozostałymi?
  - Urodziła się w Helenie, w Montanie, tak samo jak ja i Jocelyn Wallis. - Kacey wskazała zdjęcie, które wydrukowała z Facebooka Elle. - To Elle Alexander...
  - Kobieta, która zginęła w wypadku wczoraj w nocy.
  - Tak, a to jest kobieta, która wciąż żyje i pracuje w tutejszej siłowni. - Wyciągnęła ulotkę Fit Forever. - Trenerka, Gloria Sanders-O'Malley.
  - Też z Heleny? - Sięgnął po ulotkę i zaczął się przyglądać Glorii.
  - Nie wiem - przyznała Kacey. - Ale zamierzam z nią porozmawiać albo sprawdzić na jej stronie internetowej. Wielu ludzi podaje miejsce pochodzenia albo gdzie mieszkali na Facebooku i tym podobnych. A jeśli tam nie znajdę tych danych, to ją zapytam.
  - I co powiesz?
  - Jeszcze nie wiem - odparła.
  - Aha. Jasne. Jak komuś powiedzieć, że uważa się, że jest przewidziany do odstrzału przez psychopatę, zwłaszcza jeśli jeszcze nie ustalono związku między ofiarami?
  - Pracuję nad tym, a także staram się dojść, czy Elle dała mi błędne informacje, czy naprawdę nie wiedziała, gdzie się urodziła.
  - No, nie wiem - stwierdził po dłuższej chwili milczenia Trace.
  - Przyszedłeś do mnie - zauważyła. - Ze zdjęciami Jocelyn i Le-anny. Nie sądzisz, że to bardzo podejrzane, że tyle kobiet, które są tak do siebie podobne i mają po trzydzieści kilka lat, nagle umiera?
  - Owszem... ale co właściwie chcesz powiedzieć? Sądysz, że seryjny morderca szuka konkretnego typu kobiety? I że ofiarami nie są przypadkowe osoby? Że je śledzi? Może znał te osoby, gdy mieszkały w Helenie?
  - To mało prawdopodobne - zgodziła się, niezmiernie sfrustrowana. - Shelly wyjechała z Heleny, gdy była bardzo młoda, a Elle nawet jeśli tu była, nic o tym nie wiedziała. A jej świadectwo urodzenia jest z Idaho.
- Odsunął zdjęcie na bok.
- A więc nie pasuje.

- Pod tym względem. Ale mieszkała w tych okolicach. No, nie wiem. - Znow spójrzała na zdjęcie kobiety, z którą ożenił się Trace. -A co z Leanną?

Skrzywił się.

- Wspominała, że kiedyś mieszkała w okolicach Heleny, ale nic z tego nie pamiętała. Zdaje się, że jej rodzice się rozeszli, ale prawdę mówiąc, nie wiem o niej za wiele. Nie lubiła mówić o swoim dzieciństwie.

- Nie wiesz, gdzie chodziła do szkoły? Z kim się przyjaźniła? Zaczął się kręcić na krześle.

- Spotkałem ją w barze, zrobiło się gorąco, no i zaszła w ciążę. Pobraliśmy się kilka tygodni później. A potem straciła dziecko i się rozeszliśmy.

- I zostawiła Eliego?

- Właśnie taką jest kobietą. Nie, żebym akurat na to narzekał. Gdyby próbowała zabrać mi Eliego, walczyłbym do końca. To było bardzo krótkie małżeństwo. - Znow pociągnął łyk piwa.

Kacey obserwowała jego jabłko Adama, po czym skupiła się na zdjęciach.

Kolejna kobieta w zbliżonym do niej wieku, podobna do niej, która żyła nieopodal stolicy stanu Montany, możliwe, że się tu urodziła, a teraz zaginęła.

- Jest coś jeszcze - dodała. - Właśnie odkryłam, że mężczyzna, którego uważałam za mojego ojca, wcale nim nie jest. Moja matka miała romans z lekarzem z Heleny, ale nawet gdy mój tata to odkrył, dalej wychowywał mnie jak własną córkę.

- No i?

- Te kobiety nie tylko są do siebie podobne. Niektóre z nas są jak dwie krople wody. Pracownicy szpitala St. Bart's przez jakiś czas sądzili, że podłączona do aparatury kobieta to ja, nim nie ustalono, że to Jocelyn.

- Sądzisz, że jesteś spokrewniona z tymi kobietami? Że jesteście córkami jednego mężczyzny, który teraz co... postanowił was wykończyć? - Spojrzał na nią tak, jakby oszalała.

- Wiem, że to brzmi obłędnie, ale musi być jakiś związek. Nie zmyślam. Chodź do pokoju...

Zaprowadziła go do swojego komputera i pokazała informacje, które dostała od Rizey.

Trace przeczytał raporty, przejrzał strony, sprawdził zdjęcia z praw jazdy, obejrzał nekrologi i skrzywił się.

- Skąd to masz?

- Od przyjaciółki. Większość z tego jest ogólnie dostępna. Jeszcze raz przyjrzał się temu wszystkiemu.

- Jeśli masz rację... a nie sędzę... to... to jest chore. To może być tylko przypadek. Te zgony... - Uniósł plik aktów zgonów. - Wszystkie uznano za wypadki.

- Większość. Bibliotekarka z Detroit, instruktorka narciarska w Vail, samotna matka i niepracująca mama w San Francisco. Kolejne dwie w Seattle i trzy... w Boise.

- Same kobiety.

- O których wiemy... Ale sędzę, że to dopiero szczyt góry lodowej.

- Jeszcze nic nie wiemy. Niektóre zmarły ponad dziesięć lat temu. - Potrząsnął głową, nie mogąc uwierzyć w te dowody, ale wciąż na nie zerkał. - Czyli uważasz, że za wszystkimi tymi zgonami kryje się jedna, niezmiernie cierpliwa osoba. Która się nie spieszy, rozkłada w czasie. A teraz nagle morduje jedną po drugiej?

- Zwiększył tempo - odparła. - To się zdarza.

- Nie masz pewności.

- Jak sam powiedziałeś, wielu rzeczy nie wiemy, ale coś jest nie tak, a teraz zgony, „wypadki”, pojawiają się coraz częściej.

Gdy wciąż wyglądał na nieprzekonanego, przypomniała mu:

- Sam do mnie z tym przyszedłeś. To ty zauważyłeś, że wiążesz się z kobietami w jednym typie. Ja tylko idę o krok dalej. Uważam, że możemy mieć jakieś powiązania genetyczne. Prawdę mówiąc, zleciłam kilka testów DNA, by tego dowieść, ale niestety to trwa.

- Serio? - Spojrzał na nią powątpiewająco.

- Tak. Elle Alexander była moją pacjentką. - Wskazała jej zdjęcie. - Zleciłam test porównujący moje i jej DNA. Wiem już, że obie mamy grupę B minus, a to rzadkość, czyli coś jest na rzeczy. Jeszcze nie dowód, ale już coś.

Spojrzał znów na nią.

- A jeśli znajdziesz coś konkretnego?

Wtedy pójdę, albo pójdziemy, na policję. Na razie, jest jeszcze za wcześnie. Uznaliby, że jestem szurnięta. Trochę jak ty.

- Ja niczego nie wykluczam - odparł, chociaż nie wyglądał na przekonanego.

Dokończył piwo, zagłębiając się ponownie w informacje zebrane przez Kacey i zaczął rozmyślać. Włączył wiadomości, w których



poinformowano, że w wypadku Elle Alexander mógł brać udział inny samochód. Biuro szeryfa wystosowało oświadczenie, w którym prosiło, by wszyscy świadkowie wypadku, w którym wóz wpadł do rzeki, zgłosili się na policję.

- Sądzą, że ktoś zbiegł z miejsca wypadku - stwierdziła Kacey, gdy w wiadomościach zaczęto mówić o pogodzie.

- To mógł być po prostu wypadek.

- Mógł - zgodziła się.

- Chodzi mi tylko o to, że ktoś mógł uderzyć w jej samochód, ten wpadł w poślizg, a kierowca tamtego przeraził się i zwiął.

- Ale to oznacza, że jest przestępcą.

- Ale niekoniecznie jest powiązany z innymi zgonami.

- Naprawdę uważasz, że to wszystko przypadek?

- Robię tu tylko za adwokata diabła.

- Myślisz, że ja tego nie próbowałam? - zawołała. - Staralam się wytłumaczyć to sobie jakoś inaczej... Chciałabym się mylić, naprawdę, ale nie sądzę, aby tak było.

Wyłączyli wiadomości. A potem Trace, odmówiwszy drugiego piwa, zabrał się do ustawiania hasła na jej komputerze i routerze.

- Przynajmniej tyle mogę zrobić - powiedział jej, gdy zaprotestowała mówiąc, że już i tak zabiera mu zbyt wiele czasu. - W podzięce za wszystko, co zrobiłaś dla Eliego.

Nie sprzeciwiała się; prawdę mówiąc, była mu wdzięczna za pomoc. W szkole pomagała jej Riza i inni sprawni technicznie przyjaciele, a za czasów małżeństwa z JC, który uważał się za geniusza w każdym calu, to on zajmował się komputerami. Ale od kiedy przeprowadziła się do Grizzly Falls i zaczęła walczyć z domem, który miał nie dość odpływów, a co dopiero mówić o elektronice, musiała zajmować się tym sama, a czasem kogoś wynajmując, jak w przypadku popsutego pieca, pękniętej rury w łazience na górze czy nowych świateł nad garażem.

Trace wysunął biurko i zaczął oglądać kabelki, a ona obserwowała go przy pracy i skarciła się za przyglądanie się, jak jego dzinsy opinają mu biodra i pupę. Sweter podjechał mu do góry, odsłaniając część pleców, skórę, pod którą grały mięśnie.

Zmusiła się, by odwrócić wzrok, i pomyślała, że zachowuje się niczym nastolatka.

- Teraz powinno być dobrze - wyprostował się. - Gotowe. A teraz pokażę ci, jak wprowadzić hasło.

Nagle złapał ją za nadgarstek i ku jej zaskoczeniu mocno przycisnął do siebie. Położył jej dłoń na karku i wyszeptał do ucha:

- Wydaje mi się, że masz tu podsłuch.

- Co... - zaczęła, ale dalej trzymał ją mocno.

- To nie takie trudne - powiedział głośno. - Trzeba wprowadzić tylko kilka zmian! - Ale jej nie puszczał. Ledwie słyszalnym szeptem dodał: - Musimy rozmawiać tak, jakbyśmy się nie zorientowali, że są tu pluskwy, jasne? Rób to, co ja.

Odsunął głowę i spojrzał jej w oczy. Powoli skinęła.

- Jakie powinnam dać hasło? - zapytała, gdy ją puścił.

- Coś, co będziesz pamiętać. Siadaj. Aleja nie będę patrzył, to ma być tajemnica. Pokażę ci, gdzie je wpisać...

## Rozdział 25

Szlag! - Zerwał z uszu słuchawki i prawie rzucił nimi o ścianę. Całymi godzinami nagrywał wszelkie odgłosy dobiegające z tego domu i ustalił, że dziewczyna działa szybko. W jakiś sposób przez te kilka godzin po wyciągnięciu informacji od tej wiedźmy Maribelle, Acacia zdobyła sprzymierzeńca, zwierzyła mu się i jeszcze znalazła związek pomiędzy zgonami tych kobiet... ale o co chodziło w stwierdzeniu, że mężczyzna był związany z kobietami?

O kogo jej mogło chodzić? O Jocelyn Wallis? Kogoś innego?

Trudno było mu przysłuchiwać się rozmowie, ale zdołał wyciągnąć wnioski. Mężczyzna, którego słyszał, ten który pomagał jej z ochroną Internetu, to Trace O'Halleran, były Leanny i ojciec dziecka, którym zajmowała się Kacey.

Ale nie rozumiał, co ten facet tak późno robił u niej w domu i jeszcze grzebał przy jej komputerze! Czemu mu się zwierzyła, opowiedziała o tym, co powiedziała ta cholerna Maribelle i jeszcze pokazała wszystkie zebrane informacje?

Był wściekły, że tak schrzanił sprawę. Należało ją zabić na tym parkingu lata temu! Popęłił błąd, pozwalając jej żyć. I tej jej cholernej matce.

Należało założyć podsłuchy w całym domu Acacii, a nie tylko w kilku najważniejszych pokojach. Nie był w stanie rozszyfrować pierwszej

części jej rozmowy z O'Halleranem, bo radio grało za głośno, zagłuszając ich. Wszystko się wyjaśniało. Zdecydowanie za szybko.

To ona wszystko psuła, na pewno powie innym, w tym policji, i wszystko, nad czym tak ciężko pracował, zostanie zniszczone.

Nie mógł na to pozwolić. Nie po tylu latach ciężkiej, starannej pracy. Będzie musiał jeszcze bardziej przyspieszyć. Kimże ona była, by narażać go na większe ryzyko, zmuszać do zaniechania ostrożności?

Wbrew swoim planom i pragnieniu, by to ona była ostatnia, by wyciągnąć to z niej, sprawić, by poczuła przerażenie, płacąc w ten sposób za wszystkie grzechy, musiał zmienić plany. Ona musiała być następna.

Aż trząść się w środku. Wściekłość w nim buzowała. Otworzył szufladę biurka i wyciągnął z niej wąską kasetkę z zamkiem szyfrowym. Przekręcił tarczę, otworzył wieczko i wyciągnął nóż. Uniósł ostrze tak, że zaślniło w ciemnościach. Przypomniawszy sobie, jak stał z nią twarzą w twarz, gdy się odwróciła, znów poczuł przypływ siły, gdy się na nią rzucił, słyszał jej krzyk zaskoczenia, gdy zderzyły się ich ciała.

Boże, co za odjazd!

Przekręcił nóż w dłoni. Cienki. Ostry jak brzytwa. Idealny do obdzierania ze skóry, filetowania i zabijania. Jeden cios w serce czy płuca albo szybkie cięcie po gardle i umarłaby, patrząc mu w oczy, wiedząc, że to on pozbawił ją życia.

Ale nie udało mu się to siedem lat temu.

Była silniejsza, niż sądził, i jeszcze do tego im przeszkadzono.

Więc uciekła. A on postanowił czekać. Wyglądało na to, że popełnił błąd. Poczł, jak wzrasta mu ciśnienie krwi, jak wściekłość wypełnia żyły, a wspomnienia przybierają czerwoną barwę.

- Uspokój się - nakazał sobie cicho.

Podszedł do drzwi, złapał za klamkę, a potem puścił. Zamknął na chwilę oczy i spróbował się opanować. W końcu wrócił do biurka. Tak nie można. Szczycił się tym, że wszystko miał pod kontrolą. Musiał jakoś odzyskać równowagę.

To była sytuacja, z którą należało się zmierzyć, i tyle. Problem, który trzeba było rozwiązać. I to szybko. Zaczł wymyślać kolejny „wypadek”, ale nie tylko dla niej, dla nich obojga. Ranczer też musiał zginąć. Musieli umrzeć razem.

Kochankowie w płomiennej, acz śmiertelnej kłótni?

Morderstwo/samobójstwo?

Nieudany napad rabunkowy?

Kolejny wypadek samochodowy, w którym nikt nie przeżył? Zima i nadchodzące zamiecie tylko by dodały wiarygodności. Zacisnął pięści i przytknął je do oczu. Myśl!

Zbyt ciężko pracowałeś, by teraz się poddać!

Znów zaczął się zastanawiać, czy Parki się od niego odwróciły.

Oczywiście, że nie!

Ale nie mógł pozbyć się uczucia, że coś, albo ktoś, go obserwuje. Zupełnie jak śmiertcionośny wąż, który owija się wokół gałęzi, niewidoczny wróg, który czeka, gotów do ataku. Przeszedł go dreszcz. Powoli wypuścił powietrze z płuc. To było chore. Nie mógł pozwolić, by strach zniszczył mu plany.

To on tu dyktował warunki.

To on był obrońcą.

I żadna z Uzurpaterek nie mogła go przechytrzyć. Spojrzał na swoje buty antygravitacyjne, ale zrezygnował z wypacania frustracji. Na razie. Miał za dużo spraw do przemyślenia, zbyt wiele do zaplanowania. Krzywiąc się, nasunął słuchawki na uszy i zaczął się wsłuchiwać, pragnąc tylko naprawić bardzo stare zło.

Trace pogłośnił radio w kuchni i telewizor w salonie. Zagłuszani przez kolędy z jednej i wiadomości z drugiej strony mogli porozmawiać. Pokazał jej malutkie mikrofony, które znalazł, w tym te w łazience i sypialni. Gdy Kacey je ujrzała, pobladała.

- Kto? - zapytała cicho. - Po co?

- Ktoś, kto chce wiedzieć, co robisz.

- Powinnam iść z tym na policję. Skinął głową.

Zaczęła się trząść.

- Był w moim domu!

Przyciągnął ją do siebie i wyszeptał do ucha.

- Pytałaś kto... potrafisz odpowiedzieć na to pytanie?

- Nie... raczej nie. Zwykle jestem tu sama, a dopóki nie było Bonziego, z nikim nie rozmawiałam, no chyba że przez telefon, bo to były raczej jednostronne konwersacje.

Byli spleceni w uścisku, a Trace potwierdził to, mówiąc do niej niczym kochanek, by nikt ich nie usłyszał.

- A może jacyś zgorzkniali narzeczeni albo twój mąż?

- Nie JC. Już o mnie zapomniał, poza tym nie zniżyłby się do czegoś takiego. Już dawno po rozwodzie. I nie miałam żadnego chłopaka od pierwszego roku w college'u.

- Jakiś niezadowolony partner biznesowy, ktoś, komu nie odpowiadało leczenie, przyjaciółka, która ma ci coś za złe?

- Mówię ci, że nie mam wrogów.

- Może ktoś, kogo niepokoisz.

- Dopiero zdobyłam te informacje. Nic... nic nie zrobiłam. - Potrząsnęła głową ale przed oczami stanęły jej zdjęcia kobiet wyglądających jak ona, niektóre były żywe, inne martwe. - Ale to musi być on. To musi chodzić o sobowtóry.

Niechętnie wyplątała się z jego ramion i osunęła na kanapę.

- Czy ktoś próbował cię skrzywdzić?

Przed oczami stanął jej napastnik, mężczyzna w czerni, w kominiarce na twarzy, wyskakujący z ciemnej klatki schodowej na wielopiętrowym parkingu. Ogarnęło ją przerażenie, tak jak wtedy.

- Kacey? - naciskał Trace.

Odetchnęła głęboko, a Trace widząc, że zamierza mu coś opowiedzieć, wyprowadził ją na ganek, gdzie zaczęła mówić szeptem:

- Był taki przypadek. Ale to było jakieś siedem lat temu, gdy mieszkałam w Seattle, chodziłam jeszcze na studia. - Zadrżała, wspominając tamten dzień.

Była przeziębiona i słała się na nogach. Zrobiło się późno, spędziła jakieś straszne godziny w bibliotece, przed komputerem, bo jej własny padł z powodu jakiegoś wirusa.

Wyszła tuż przed zamknięciem biblioteki, przeszła na parking, gdzie stał jej samochód i pojechała windą na szóste piętro.

Nie widziała, jak krył się przy schodach. Była zbyt zajęta szukaniem kluczyków w torebce i rozmyślaniami o ciepłym łóżku i gorącej wodzie z cytryną i miodem koniczynowym, zdaniem jej babci - lekiem na całe zło.

Gdy podeszła do samochodu, zauważyła, że światła na parkingu są przygaszone. Zorientowała się, że ktoś stłukł dwie żarówki, a szkło rozsypało się po betonowej podłodze.

Zaniepokoiło ją to, że odłamki szkła mogły się wbić w opony.

Wtedy usłyszała coś niepokojącego - kasznięcie? Skrzyp podeszwy? Zaczęła się odwracać. Zauważyła coś kątem oka. Jakiś mężczyzna

wyskoczył z cienia przy schodach. Ubrany w czerni, dobrze przylegający kostium, z kominiarką na głowie. Skacząc w jej stronę, uniósł dłoń.

W urękawiczonej dłoni załśnił nóż.

Krzyknęła, uderzyła go torebką i próbowała uciec. Za późno. Padła pod jego ciężarem. Bum, uderzyła czołem w beton. Gdy się siłowali, po twarzy ciekła jej krew. Adrenalina dodawała jej sił, walczyła dziko, wrzeszcząc i klnąc. Złapała jego nadgarstek, by odsunąć nóż od gardła.

- Suka! - prychnął, ale rozległ się też inny dźwięk. Jakies dwa piętra wyżej ktoś odpalił silnik.

To odwróciło na moment uwagę atakującego, a ona zdołała przekręcić się, wykrecić mu nadgarstek i skierować nóż w górę tak, że gdy spojrział w dół, rozciął sobie kominiarkę nad okiem i skaleczył się w skroń.

- Ratunku! Na pomoc! - krzyczała, słysząc, że samochód jedzie w ich kierunku.

On także to usłyszał. Zaklął głośno i odrzucił ją od siebie, po czym poderwał się na nogi i uciekł w chwili, gdy biały volkswagen wyjechał z za rogu i skierował się prosto na nią.

Uniosła rękę, a kierowca, kobieta mniej więcej w jej wieku, zahamowała gwałtownie i wyskoczyła z wozu.

- Wszystko w porządku? Co się stało? - Cofnęła się na widok zakrwawionej twarzy Kacey, ale już wykrcęła numer alarmowy.

Kacey na nowo przeżywała całe zajście, znów czuła ten lodowaty strach, który przyprawił ją o wypieki i zrosił kark potem.

Opowiedziała Trace'owi o tym, co się stało, jak udało jej się ujść z życiem, o tym, że atak wydawał się przypadkowy, jakby to był jakiś wariat czekający na okazję. Nie chciał jej okraść. Zostawił torebkę. Gwałt? Może. Ale widziała z za kominiarki jego oczy - stalowoniebieskie, o rozszerzonych źrenicach, lodowate i mordercze. Nie wiedziała, czy początkowo planował ją porwać i napastować seksualnie albo torturować, ale była pewna, że w tamtej chwili chciał ją zabić.

- I policja go nie znalazła? - zapytał trzeźwo Trace.

- Nie. Wiem, że go zraniłam, ale nie znaleźli żadnej krwi poza moją. Więc on dalej gdzieś tam jest.

- I podkłada ci pluskwy? - Trace wskazał głową zamknięte drzwi, za którymi wciąż tkwiły ukryte podsłuchy.

- Czemu? - wyszeptwała głośno.

Gdy Trace nie odpowiedział, stwierdziła:

- Śmierć Shelly Bonaventure była dobrze zaplanowana, miała wyglądać na samobójstwo. Jocelyn Wallis wpadła do rzeki. Miniwan Elle Alexander ześlizgnął się z drogi... Te zabójstwa zostały starannie opracowane i przemyślane.

- Jeśli to były zabójstwa - zauważył, ale Kacey była wciąż skupiona na jednym.

- Gdy walczyłam z tym wariatem na parkingu, wydawało mi się, że to jakiś bezmyślny wykolejeniec. Nie wyglądał na kogoś, kto zaplanowałby starannie czyjeś zabójstwo.

- Masz tu jakąś ochronę?

- Nie mam alarmu, jeśli nie liczyć Bonziego.

- Broń?

- Strzelba dziadka.

- Chcesz iść na policję?

- Nie - odpowiedziała natychmiast. - Jeszcze nie.

- To zostanę do rana. Weź psa na górę, a ja prześpię się na kanapie, ze strzelbą. Otworzył drzwi i weszli do środka. I dobrze, bo Kacey dostała dreszczy.

Nie wiedziała, co sądzić o tym, że Trace zostaje na noc. Co ona wiedziała o Trasie O'Halleranie? Wydawał się miłym człowiekiem, dobrym ojcem, ale to za mało, by oddać mu broń i pójść na górę spać. Nie po tym, co się wydarzyło.

- A może ty zatrzymasz psa, a ja wezmę strzelbę? - wyszeptała. Prawie się uśmiechnął.

- Sprytnie - stwierdził, sięgając po koc, który zawsze leżał na kanapie. - Wiesz co, weź jedno i drugie.

Śnieg padał wielkimi mokrymi płatkami na ziemię nad brzegiem rzeki. Było ciemno. Drżąca Kacey stała na lodowatym brzegu. Wiatr wył w kanionie i podwiewał jej koszulę nocną. Była boso. Wpatrywała się w kipieli i drżała z zimna.

- Kacey! - usłyszała, jak ktoś woła jej imię, a gdy się odwróciła, ujrzała Grace Perchant z Bane, jej wilczurem.

- Zło - wyszeptała na wiatr Grace. - Zło.

- Kto? - próbowała zapytać Kacey, ale nie mogła dobrać głosu, gęsty śnieg zamienił się w całun, a Grace i jej pies zniknęły w ciemnościach.

Strach złapał ją za serce, a gdy spojrzała znów w wodę, ujrzała pod jej powierzchnią twarze. Wpatrywały się w nią z przerażeniem, niewyraźne i pobladłe. Shelly Bonaventure z rozmazanym makijażem, Elle Alexander z oskarżycielskim spojrzeniem, a nawet jej własna twarz, unosząca się na powierzchni, jakby bez ciała. Jej rysy nieustannie się zmieniały, ale to wciąż była ona. I Leanna O'Halleran także, obok twarzy Trace'a, która wykrzywiała się w ponurym uśmiechu... Wpatrywał się w nią przez wodnisty całun, a obok przepłynęło nagie ciało Jocelyn. Jej piersi były zwiotczałe, ciemne sutki sterczące, a poszarpana, świeża blizna w kształcie litery Y po autopsji kałała bladą skórę.

Kacey próbowała krzyknąć, ale nie mogła. Próbowała się cofnąć, ale jej stopy zdawały się przykute do brzegu, a śnieg, który ciągle padał, zrobił się najpierw różowy, potem czerwony, aż w końcu zaczęły padać duże krople krwi.

Dobry Boże!

Pies warknął i szczeknął, a gdy spojrzała na drugą stronę rzeki, ujrzała Grace, która wyglądała niczym szkielet. Jej blade włosy łopotały na wietrze, a gdy zuchwa opadła, odsłaniając ciemną dziurę, staruszka wyszeptwała:

- Trzymaj się z daleka... on jest złem!

Wychudzone teraz zwierzę przy jej nodze warknęło, gdy krwawe płatki zaczęły opadać na to, co zostało z jego futra.

- Kto? - zawołała znowu, gdy poderwał ją warkot psa. Kacey usiadła gwałtownie na łóżku.

W pokoju było ciemno. Pościel była rozrzucona.

Bonzi stał przy oknie i wpatrywał się w ciemność. Miał zjeżoną sierść na grzbiecie, nie machał ogonem, a nos przyciskał do szyby, aż pojawiły się na niej dwa obłoczki pary.

Serce jej zamarło.

- Bonz...? - odezwała się cicho, wstając z łóżka.

Stanąła przy oknie, obok strzelby, którą naładowała i oparła wcześniej o futrynę. Na zewnątrz nie widziała nic podejrzanego.

Zbliżał się świt, ale zabudowania stały w ciemności, na tle jasnego śniegu, a tylko przy garażu było jasno od światła lamp. Czyżby ktoś tam się czaił? Za rogiem starej stodoły? A może dalej, w ciemnym zagajniku, który graniczył z polami uprawianymi przez jej dziadka? Padał drobny śnieg. Delikatny i miękki.

Nic. To nic. Może jakiś kot albo zając...



Ale serce waliło jej mocno. Nerwy miała napięte jak postronki. Wspomnienie snu męczyło ją jeszcze, okropne obrazy zmarłych kobiet, krwawy śnieg i złowieszcze ostrzeżenie Grace.

Zło...

Ujrzała własne odbicie w oknie, poblady obraz, który przypominał jej kobiety ze snu. Czy to prawda? Czy Gerald Johnson mógł być ojcem tych wszystkich kobiet, które odnalazła i które teraz ktoś jedną po drugiej zabijał?

Usłyszała z dołu jakiś dźwięk. Serce podskoczyło jej do gardła, po czym uświadomiła sobie, że to musi być Trace.

- Kacey? - zawołał cicho i zaczął się wspinać po schodach. - Wydawało mi się, że słyszałem...

Pojawił się w drzwiach, praktycznie je wypełniając. Jego nagie ramiona prawie dotykały futryny, a starte dżinsy zwisały nisko na biodrach.

- Psa. - Rozejrzał się po ciemnym pokoju i zapytał: - Wszystko w porządku?

- Tak. - Próbowała zapomnieć jego upiorną minę ze snu. - Bonzi mnie obudził.

Na dźwięk imienia pies w końcu odwrócił się, a potem, najwyraźniej uznając, że potencjalny wróg przestał być ważny, podszedł do brzegu łóżka, oczekując, że Trace podrapie go za uszami.

Trace spojrzął na Kacey.

- Rozejrzę się wokół domu.

- Nie... to pewnie jakieś zwierzę. Może wiewiórka albo jelen. Pies jeszcze nie zna tego miejsca. - Odsunęła się od okna i pogłaskała psa. - To tylko nerwy. Miałam wyjątkowo paskudny sen.

- Ale już w porządku? - Położył wielką dłoń na jej ramieniu. Ciepłą i spokojną. Prawie się w niego wtuliła, ale się powstrzymała. Nie miała czasu na uzalenie się nad sobą.

- Na tyle, na ile może - odparła, wsuwając kaptcie i łapiąc szlafrok z haczyka na drzwiach łazienki. Jakaś myśl próbowała przebić jej się do świadomości, coś o kobietach ze snu, o tym, co je łączy, ale nie mogła jej złapać.

- Zrobię kawę - zaproponowała i skierowała się na dół. Za nią ruszył pies, a pochód zamykał Trace.

To wszystko zdawało się takie normalne. Takie cholernie rodzinne.

Jeśli nie liczyć niebezpieczeństwa, prawdziwego czy też wyobrazonego, które czaiło się za drzwiami. I ukrytych mikrofonów. A może nawet mężczyzny, z którym teraz była, który poślubił kobietę mogącą być jej bliźniaczką kobietę, która zaginęła. Miał też związek z Jocelyn, kolejną podobną do niej dziewczyną która nie żyła. Została zamordowana.

Bez względu na to, jakie snuła o nim marzenia, musiała o nich zapomnieć - pomyślała, zapalając światło na parterze.

Trace złapał swoją koszulkę leżącą na bujanym fotelu. Wbrew wrażeniu, że zbliżenie się do niego może być niebezpieczne, Kacey obserwowała, jak jego mięśnie napinają się pod kręconymi włosami, które miał na klatce piersiowej i które wąskim pasem zarastały mu też muskularny brzuch.

Zaschło jej w gardle i odwróciła się w stronę kuchni, by zapomnieć o tym widoku. Włączyła już kawę, nim Trace w swetrze, kurtce i butach podszedł po starym linoleum do tylnych drzwi.

- Wezmę psa i się rozejrzę - powiedział, gwizdząc na Bonziego, który najwyraźniej ucieszył się na spacer. - Gdy upewnię się, że wszystko w porządku, pojedę do siebie.

- Dobrze. Ja muszę tu zrobić jeszcze kilka rzeczy i będę ruszać do szpitala.

Skinęła głową i spojrzała na zegar. Nie było jeszcze szóstej.

- A co z policją? - zapytał prawie niedosłyszalnie.

Skinęła głową. Planowała się z nią skontaktować, tylko jeszcze nie była pewna kiedy.

Gdy wyszedł, a kawa parzyła się powoli w ekspresie, Kacey wskoczyła pod prysznic. Po pięciu minutach była już sucha, na wpół ubrana i spięła włosy w kok. Nałożyła tylko odrobinę szminki, pokryła rzęsy tuszem, wsunęła dzinsy i narzuciła sweter, po czym wróciła do kuchni. Trace akurat strząsał śnieg z butów na tylnym ganku. Otworzył drzwi, a Bonzi, zadowolony, że mógł sobie ulżyć i pobiegać po śniegu, wpadł do środka.

- Ładny ranek. - Trace wszedł do środka i potrząsnął głową na znak, że nie zauważył na zewnątrz nic niepokojącego.

Nalała im po filiżance kawy i podała mu jedną. Pili w milczeniu, świadomi podsłuchujących ich mikrofonów.

Trace dopił kawę i odstawił filiżankę do zlewu. Kacey poszła w jego ślady, gdy zapytał:

- Wychodzisz?

- Tak. - Złapała kluczyki.

Może i nie wierzyła mu w pełni, ale nie zamierzała zostawać sama w domu, mimo że był z nią Bonzi.

## Rozdział 26

Woda kapiała na podłogę jego stanowiska podsłuchowego. Śnieg topniał mu na ubraniu. Wrócił od Acacii, gdzie spędził noc na podglądaniu jej domu przez lornetkę do nocnej obserwacji.

O'Halleran spędził z nią noc! Widział jego samochód, gdy obchodził okolicę. Śnieg padał mocno, prawie natychmiast zacierając po nim ślady. Przeszedł na tył domu i czekał, sypały duże chłodne płatki śniegu, a jego ogarniała gorąca furia, gdy uświadomił sobie to wszystko, co ona opowiedziała O'Halleranowi. Gdy zapaliło się światło w jej pokoju, szybko wycofał się głębiej w krzaki i pobiegł do samochodu. Nie musiał jechać daleko, wbiegł do swojej kryjówki, chcąc podsłuchać rozmowę, ale nie dowiedział się niczego ponad to, co powiedzieli wcześniej. Krew gotowała mu się w żyłach. Chciał, by Acacia zginęła. Zaraz. Natychmiast!

Zerwał z uszu słuchawki i rzucił w kąt. Gdyby tylko zdołał usłyszeć więcej. Pierwsza część była jasna, ale potem pogłościli telewizor i radio.

Czyżby zgadli? Znaleźli małe mikrofony? Wiedzieli, że słuchał?

Niemożliwe.

Wkurzony wyruszył do niej rano i co się okazało? Że O'Halleran w ogóle od niej nie wyszedł. Miała sprzymierzeńca. O'Hallerana! Byłego Leanny. Jak to się mogło stać? Nie był pewien, ale wiedział, że musi ich oboje zabić. Razem. Jakoś... Leanna... Zaciśnął zęby. Acacia znalazła dużo imion. Za dużo!

A O'Halleran powiedział jej o Leannie. Leanna... która zostawiła swoje dziecko z O'Halleranem... Swoje dziecko...

Zastanawiał się nad tym przez kilka chwil, próbując się opanować.

O'Halleran już teraz bał się, że policja uzna go za podejrzanego. Był powiązany z Leanną i Acacią i wyglądało na to, że także z Jocelyn Wallis.

Nie mylił się. Oczywiście, że zostanie uznany za podejrzanego! Ranczer był idealnym podejrzanym. O wszystko można było oskarżyć O'Hallerana. A z odrobiną pomocy z zewnątrz tak właśnie się stanie.

Ktoś musiał tylko poprowadzić sprawę w dobrą stronę.

Pescoli podjechała na posterunek. Samochód wpadł poślizg na lodzie, a ona zakłęta, niewspółmiernie ostro do sytuacji. Słyszając własne słowa, próbowała zapanować nad wściekłością na cały świat i na siebie.

Bianca miała mononukleozę. Tak. Chorobę pocałunków. I chociaż Pescoli liczyła, że zarazi się nią również jej chłopak, to niestety tak się nie stało. Chris był zdrow jak ryba i czepiał się jak rzep. Chris, który nie pojawiał się u nich w domu, gdy była tam Regan, nagle uznał, że jego życiową misją jest opieka nad Biancą i zapuścił u nich korzenie.

- Zbieraj się do szkoły - powiedziała mu wczoraj Pescoli, gdy pojawił się w domu w południe.

Poszedł sobie, ale wrócił wieczorem i kręcił się po domu, podczas gdy Bianca spała na kanapie.

A co gorsza, to ta głupia żona Lucky'ego, Michelle, stwierdziła, że Bianca nie wyglądała za dobrze, gdy była u nich w święta i zasugerowała, że Pescoli powinna ją wysłać do lekarza.

Co z tego, że Pescoli próbowała już wszelkich metod, by przekonać Biancę, aby poszła do swego pediatry, doktora Lundella, ale natykała się na mur oporu.

- Jestem za stara! - krzyczała na nią Bianca. - Nic mi nie jest! Zostaw mnie w spokoju!

No dobrze, może powinna była bardziej nalegać. Ale miała wrażenie, że Bianca tylko udaje, żeby spędzać czas z Chrisem, a że w pracy tyle się działo, to nie zwracała na to odpowiedniej uwagi. Nie było to żadne wytłumaczenie i teraz czuła się okropnie, ale taka była prawda. Była też dobra strona tej sytuacji - okazało się, że jej córka nie zażywa narkotyków ani nie jest chora na nic poważnego.

Ale Bianca leżała chora w domu, Jeremy też tam siedział i nie robił nic sensownego, a Chris na pewno pojawi się przy najbliższej okazji. Ona też musiała tam pojechać.

Spojrzała na zegarek. Siódma rano. Może zdołałaby zrobić to i owo, nim ktoś w domu się obudzi. Zamierzała pracować tak długo, jak zdoła, a potem pojechać do domu i sprawdzić, jak wygląda sytuacja. Wkurzało ją że to właśnie Michelle zdołała przekonać jej córkę. A do tego Bianca wróciła do domu w stroju bardziej frywolnym niż prostytutka - obiektywnym zdaniem Pescoli - a ubrania te oczywiście pomagała jej wybrać Michelle. Dobry Boże...

I jeszcze Jeremy grający w swoje gry wideo, bez żadnego planu na przyszłość...

Wyszła na gęsto padający śnieg. Schyliła głowę i ruszyła po schodach na posterunek. Zaciskała zęby, myśląc o synu. Co on sobie wyobrażał? Nie zamierzała zgodzić się na to, żeby po prostu siedział w domu i nic nie robił. Nawet Luke by się na to nie zgodził. A jeśli Jeremy nie podniesie tyłka z kanapy i nie zacznie robić czegoś ze swoim życiem, to Pescoli wybuchnie. Naprawdę niewiele już brakowało, by gry wideo, które były mu najwyraźniej niezbędne do życia, zostały oddane na cele charytatywne. Pescoli była pewna, że jakiś biedny dzieciak ucieszyłby się z *Mordobicia*, *Zagłady* i *Końca Świata*, czy jak tam nazywały się te gry. Jakoś tak. Idealne prezenty pod choinkę.

Temat Jeremy'ego przypomniał jej o Heidi Brewster, a ta o zastępcy szeryfa i fakcie, że wyciągnęła jego nazwisko w loteryjce na Tajemniczego Mikołaja.

Strząsnęła śnieg z butów i ruszyła pogrążonym w półmroku korytarzem do swojego biurka. Zatrzymała się zaskoczona widokiem Alvarez przy pracy. Siedziała w kręgu światła lampki, pochylona nad czymś, z ciemnymi włosami ściągniętymi na karku.

Pescoli nacisnęła włącznik przy drzwiach i salę zalało światło jarzeniówek, które wszystkiemu nadawały ostry, nieprzyjemny charakter.

Alvarez uniosła głowę.

- Ktoś ma dziś muchy w nosie.

- Skąd wiesz?

Alvarez posłała Pescoli spojrzenie, które uświadomiło jej, że stoi na rozstawionych nogach, z rękami splecionymi na piersi i patrzy na wszystko spoode łba.

- Jak Bianca? - zapytała Alvarez.

- Śpi. Mam nadzieję, że sama, bo Chrisa nie da się utrzymać od niej z daleka, od kiedy uznał, że jest jej aniołem stróżem.

- Jej chłopak?

Pescoli zakłęła, po czym opowiedziała swojej partnerce o najnowszym planie chłopaka jej córki, który uważał, że musi jej pilnować dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Jakby nagle to on stał się zaniepokojonym rodzicem i nie obowiązują już żadne zasady. A do tego Jeremy... jeśli nie gra w te swoje gry wideo, zabijając setki robotów zombie, to sexsesuje z Heidi Brewster. Naprawdę byłam zaskoczona, gdy Jeremy zostawił swoją komórkę

na wierzchu. Zdjęcia. Heidi. Jeśli zdjęcie jest warte tysiąc słów, to te tworzą zupełnie nowe słownictwo. Niektóre z nich są... właściwie nie wiem nawet, jak je określić.

Alvarez wpatrywała się w nią wielkimi oczami, starając się jej coś przekazać.

- Brewster? - powiedziała głośno Pescoli, uznając, że pewnie stoi za nią.

- Nie wiesz, jak je określić - odezwał się sucho.

Pescoli odwróciła się wolno na pięcie i spojrzała z niepokojem na zastępcę szeryfa. Na widok jego kamiennej twarzy jej gniew trochę osłabł. Może i na to nie wyglądał, ale wiedziała, że ledwo się hamuje.

- Jest całkiem ubrana! - przyznała Pescoli, unosząc rękę.

- No to? - warknął.

- Są po prostu zakleszczeni ustami z moim synem. Synem, który dostanie niezłego kopa w tyłek. Nic więcej nie mam na ten temat do powiedzenia.

Otworzył i zamknął kilka razy usta, niczym ryba, po czym wykazał się niezmiernym opanowaniem, bo tylko machnął ręką i odszedł. Gdy zniknął za rogiem, Alvarez zapytała:

- Nie wiedziałaś, jak określić pocałunek?

- Na jednym ze zdjęć nachyla się do aparatu, patrzy w ten specyficzny sposób i zasysa lizak. Było też kilka podobnych.

- Może oprawisz jedno i podarujesz Brewsterowi w prezencie jako Tajemniczy Mikołaj? - zaproponowała Alvarez.

- Jest to jakiś pomysł. To czemu siedziałaś tu całą noc? Zamierzam się stąd szybko urwać, bo muszę podziałać w domu.

- Rozmyślałam nad sprawą.

- No i?

- I chyba nie dość przycisnęłam O'Hallerana. Przyjęłyśmy po prostu do wiadomości jego zapewnienia, że nie umawiał się tak naprawdę z Jocelyn, ale może nie powiedział nam wszystkiego.

Pescoli rozważała to chwilę.

- Facet pracuje właściwie sam, nie musi się nigdzie meldować.

- Nie dość, że był związany z ofiarą to jeszcze jego zaginiona żona jest bardzo podobna do innych ofiar.

- To co, chcesz do niego zadzwonić? - spytała Pescoli.

- Myślę, że to najwyższa pora na następną rozmowę. Pescoli spojrzała na zegarek.

- Jest dopiero wpół do ósmej. O której tu przyjechałaś?
- Kilka godzin temu. Czy to Joelle...? Z korytarza dobiegł je kobiecy śpiew:  
- *Nadchodzi Śnieżynka Suzi w sukience śnieżnobiałej. Puk puk, puka w twoje okienko, byś wiedział, że w mieście jest.*
- Wymyśliła to, czy naprawdę mamy taką kolędę? - zadrwiła Pescoli.
- Zdaje mi się, że jednak mamy. - Alvarez sięgnęła po telefon, ale ten rozdzwonił się, nim zdążyła go podnieść. Posłała Pescoli spojrzenie i włączyła na głośnomówiący.
- Alvarez.
- Detektyw Alvarez - odezwał się damski głos. - Tu doktor Kacey Lambert. Alvarez posłała Pescoli pytające spojrzenie, ale ta tylko potrząsnęła głową.
- Tak?
- W moim domu są mikrofony, podsłuchy. Nie wiem w jaki sposób, ale podejrzewam, że to może mieć związek z ostatnimi... wypadkami.
- Mikrofony? - powtórzyła szokujące słowo Alvarez.
- Takie malutkie. Ukryte.
- Uważa pani, że ktoś ją podsłuchuje?
- Na to wygląda.
- Ma pani jakieś podejrzenia, kto to?
- Nie... - W jej głosie nie było przekonania, a Pescoli słyszała, że kobieta już wątpi, czy słusznie zrobiła, dzwoniąc.
- Może pani podjechać na posterunek? - zapytała Alvarez. - Chciałabym uzyskać trochę więcej informacji.
- Może później. Jestem teraz w szpitalu, sprawdzam stan pacjenta. I muszę jechać do kliniki. Zadzwoń później i to przemyślę. Chciałam po prostu was uprzedzić.
- Rozłączyła się.
- Mikrofony? - powtórzyła Pescoli.
- Była dość zdenerwowana. - Alvarez znieruchomiała, a potem wskazała na ekran, na którym wyświetlały się zdjęcia ostatnich ofiar. - Wiesz, jest do nich trochę podobna.
- Jak każdy... - jęknęła Pescoli.
- Nie. Ale tu jest związek. Rozbrzmiał głos Joelle:

- *Jeśli chcesz ulepić bałwana, chętnie ci pomogą, a jak masz ochotę na przejażdżkę saniami, to w drogę.*

Pescoli ukryła twarz w dłoniach i jęknęła. Nagle rozległ się nad nią głos Joelle:

- Spójrzcie na ten śnieg!

Pescoli i Alvarez spojrzały za okno.

A potem Alvarez sięgnęła po słuchawkę i zadzwoniła na komórkę Trace'a O'Hallerana.

Kacey schowała komórkę do torebki. Teraz, gdy nagłośniła sprawę, zaczęła mieć wątpliwości. Było jej trochę głupio. Nie zamierzała powiedzieć policji wszystkiego. Nie chciała, aby przeszkodzono jej we własnych poszukiwaniach.

Ale te mikrofony... Chciała, aby jak najszybciej zniknęły z jej domu i chciała, aby zajęła się tym policja.

Otrząsnęła się i skierowała do pokoju Eliego. Wsunęła głowę do środka. Chłopiec spał. Weszła cicho i sprawdziła informacje na karcie pacjenta. Przez chwilę obserwowała jego równy oddech, a potem ruszyła na poszukiwania pielęgniarki.

- Eli O'Halleran ma niższą temperaturę i znacznie lżej oddycha.

- Czuje się dużo lepiej - zgodziła się z nią pielęgniarka. Kacey odetchnęła z ulgą.

- To dobrze. Niedługo przyjedzie jego ojciec i wypiszemy chłopca.

- Ta grypa atakuje gwałtownie. Mamy kilka innych przypadków, które nie wyglądają tak różowo.

Kacey porozmawiała z nią o tym, zastanawiając się równocześnie, czy powinna poczekać na Trace'a. Ale biorąc pod uwagę, że Eli czuł się lepiej i nie musiała się nim już martwić, uznała, że pojedzie do kliniki. W jej głowie rodził się plan, a żeby go zrealizować, musiała wyjść wcześniej z kliniki. Wszystko zależało od tego, jak wyglądał jej terminarz na popołudnie. Kiedy ostatnio sprawdzała, nie było wielu pacjentów. Miała nadzieję, że nic się do tej pory nie zmieniło.

Zadzwoniła do Trace'a na komórkę i usłyszała pocztę głosową. Pewnie jeszcze zajmował się zwierzętami. Szybko opisała mu stan Eliego, a potem dodała, że zadzwoniła na policję i poinformowała ich o mikrofonach.



Następnie pojechała do kliniki. Parking zasypany był świeżym śniegiem. Trzeszczał jej pod nogami, gdy wyszła z samochodu. W środku spotkała Heather, która właśnie otrzepywała śnieg z ramion.

- Pada jak cholera! - Heather zmarszczyła nos.

- Chciałabym wyjść wcześniej - odparła Kacey. - Sprawdzisz zapisy na popołudnie? Chyba nie mam wielu pacjentów i może kogoś dałoby się przesunąć.

- Z powodu śniegu? - zapytała Heather, siadając do biurka i włączając komputer.

- Podobno ma przestać po południu.

Pudło, pomyślała Kacey, ale odparła tylko:

- Mam kilka spraw do załatwienia.

- No cóż, masz Herberta Longa z podejrzeniem zapalenia zatok. Jego żona powiedziała, że wyjdzie wcześniej z pracy. Około czwartej. I że wcale nie chciał przyjść.

Kacey jęknęła cicho.

- Może Martin go przyjmie?

- Może. To jedyny umówiony pacjent.

- Daj znać, jak przyjdzie Martin.

Kacey poszła do swojego gabinetu. Chciała jak najszybciej spotkać się z Geraldem Johnsonem, a to oznaczało wycieczkę do Missouli, co przy dobrej pogodzie zwiastowało krótką podróż, a przy tym śniegu trochę dłuższą.

Przed oczami stanął jej znów Trace wracający do domu z przechadzki z Bonzim. Śnieg topił mu się na czuprynie. Wiedziała, że coś się między nimi dzieje, coś, co może prowadzić do czegoś więcej... Ta myśl zachwycała ją ale i niepokoiła. Ten facet kręcił się wokół tyłu jej sobowtórów. Czy była głupia, że mu ufała? Czy tak samo zrobiły przed nią inne ofiary?

Nie wierzyła w to ani chwili. Ufała sobie na tyle, by ufać Trace'owi, ale mimo to wciąż zastanawiała się nad związkiem Trace'a z tyloma podobnymi do niej kobietami.

- Więc nie wie pan, gdzie przebywa pana żona? - zapytała Trace'a wyższa detektyw, nie spuszczać z niego oka.

Potężna kobieta o rudawych włosach siedziała po drugiej stronie starego stołu w niewielkim pokoju do przesłuchań. Jej twarz nie zdradzała nic, ale co chwilę spoglądała na zegarek.

- Była żona, i nie - odparł stanowczo Trace. - Straciłem kontakt z Leanną.

Trace przyjechał na posterunek „odpowiedzieć na kilka pytań” po tym, jak partnerka Pescoli, Alvarez, niższa kobieta latynoskiego pochodzenia zostawiła mu wiadomość na poczcie głosowej.

Jedną po drugiej dostał tę i wiadomość od Kacey. Ta od Kacey była dobra - powiedziała, że antybiotyki zadziałały i Eli dochodził do siebie, co potwierdziła jego wizyta w szpitalu po tym, jak nakarmił zwierzęta i zabrał Sarge'a na spacer po śniegu.

Spędził trochę czasu z synem, który był znacznie żywszy, a potem porozmawiał z lekarzem, który zgodził się wypisać Eliego tego popołudnia, gdy tylko skończy uzupełniać dokumenty. Trace odetchnął z ulgą i udał się na policję.

Gdy przyjechał, detektyw Alvarez zaprowadziła go do niewielkiego pokoju o betonowych ścianach, bez okien, z małym stołem i plastikowymi krzesłami. Po tym, jak poinformowała go, że będą nagrywać jego zeznania, powiedziała, że przyniesie kawę, co pewnie miało nadać ich rozmowie luźniejszy charakter. Niech będzie. Nie zamierzał nic ukrywać. Chciał, aby policja odkryła prawdę. Teoria Kacey, że ofiary mogą być ze sobą spokrewnione i z nią również, przerażała go. Śmiertelnie go przerażała.

Ale i tak chciał jak najszybciej skończyć to przesłuchanie. Nie chciał, aby Eli zostawał w szpitalu dłużej, niż to konieczne. Już i tak bał się zostawać sam z powodu Leanny. Trace nie zamierzał pogarszać jego stanu, nie pojawiając się, gdy obiecał.

Alvarez wróciła z na wpół wypełnionymi papierowymi kubkami i postawiła je na stole. Usiadła i wyciągnęła kopertę z teczki stojącej przy jej biurku. Trace nie sięgnął po kawę, ale jej aromat sprawił mu ulgę, tłumiąc zapach potu i środka dezynfekującego, którym czuć było salkę. Tak jakby dopiero co ją sprzątnięto, ale mimo to nie udało się zabić smrodu strachu, desperacji i winy.

Opowiedział im dokładnie o swoim krótkim małżeństwie, o tym, jak stracił kontakt z Leanną i jak sam wychowywał Eliego.

- To małżeństwo skończyło się jeszcze przed ślubem - stwierdził. - Nawet nie jestem pewny, czy była naprawdę w ciąży. Nie widziałem wyniku testu ani nie byłem z nią u lekarza, chociaż przysięgała, że do niego poszła. Ale nie dostałem potem żadnego rachunku, więc może mnie oszukała.

- Czemu? - zapytała Alvarez.  
- Wydaje mi się, że miała już dość opieki nad dzieckiem. - Mówiąc to, żołądek mu się skręcał, ale tak to widział. - Leanna nie nadawała się na matkę.  
- A na co? - zapytała wyższa detektyw, Pescoli.  
- Była piękna i egoistyczna. Miło się uśmiechała. Ale zimno.  
- Hm... - Pescoli pociągnęła długi łyk kawy. - Jesteś jej byłym.  
- Pytała mnie pani - zauważył. - Mówię tylko to, co myślę.  
- A co do Elięgo. Nie jest pana biologicznym dzieckiem, a ona tak po prostu go z panem zostawiła? A co z prawdziwym ojcem?

Trace rozpiął kurtkę, bo zrobiło mu się ciepło.

- Z tego co zrozumiałem, nigdy nie było o nim mowy. Może nawet nie wiedział o dziecku. Ale adopcja jest legalna. Eli jest moim synem.

- A co z rodziną pańskiej byłej żony? - zapytała Pescoli.

- Nigdy ich nie spotkałem. Byliśmy ze sobą niecałe sześć miesięcy. Skąd tyle pytań o Leannę?

Nie musiał pytać. Nie zdziwiło go też, gdy Pescoli otworzyła kopertę i pokazała mu zdjęcia Jocelyn Wallis i Leanny O'Halleran, zrobione do prawa jazdy.

- Jako że był pan ostatnią osobą, z którą związana była Jocelyn Wallis, chcielibyśmy więcej się o niej dowiedzieć, tak samo jak o pańskiej zaginionej żonie.

Nie próbował jej tym razem poprawiać. Wiedział, że próbuje go podejść, wyprowadzić z równowagi. Jeśli zamierzała nazywać Leannę jego żoną, to trudno.

- No to proszę - powiedział, po czym odpowiadał jasno i zwięźle na pytania obu detektyw. Kiedy zapytały o Elle Alexander, odparł zgodnie z prawdą: - Nigdy jej nie spotkałem. Słuchajcie, mogę podpisać jakieś oświadczenie, albo co? Jestem tu już ponad godzinę. Mam sprawy do załatwienia i muszę odebrać syna ze szpitala.

Zawahały się i wymieniły spojrzenia.

- Oskarżacie mnie o coś? Potrzebuję prawnika? Powiedziałem wszystko, co wiem.

Pescoli znów spojrzała na zegarek, a Alvarez zmierzyła go wzrokiem, jakby próbowała zajrzeć do jego duszy. I chociaż to nie była jego kolej, Trace dodał:

- Właściwie to powinniście wiedzieć coś jeszcze. Ja... spotykam się z Acacią Lambert, panią doktor pracującą w klinice w mieście. Spotkałyście ją w szpitalu. Mówiła, że dzwoniła do was i powiedziała o ukrytych mikrofonach.

Alvarez poderwała głowę, a Pescoli wyteńczyła słuch.

- To prawda - odezwała się Alvarez.

- Może zauważyłyście, że ona wygląda tak jak te kobiety - wskazał na zdjęcia Leanny i Jocelyn. - I jak Shelly Bonaventure, ta aktorka, która niedawno zmarła, a także jak Elle Alexander. Kacey to zauważyła i ja też. Kiedy byłem u niej wczoraj wieczorem, znaleźliśmy podsłuchy. Małe mikrofony były ukryte w jej pokoju, łazience i sypialni. Nie widziałem żadnych w kuchni ani w salonie, ale mogłem czegoś nie zauważyć. Była zszokowana. Ktoś ją podsłuchuje. I ona uważa, że to ma związek z tym śledztwem. - Machnął ręką nad zdjęciami.

Alvarez i Pescoli wymieniły spojrzenia. A potem odezwała się Pescoli:

- Powiedziała, że zadzwoni do nas później, jak to już przemyśli. Nie dziwota, że zadzwoniły, uświadomił sobie Trace.

- Trzeba usunąć stamtąd te mikrofony. Albo wy to zrobicie, albo ja. Ale gdy tylko to się stanie, ten ktoś się o tym dowie.

- Wspomniałaś Shelly Bonaventure - powiedziała Pescoli. - Ona zmarła w Los Angeles.

- Ale pochodziła stąd. Urodziła się w Helenie. Kacey uważa, że mogło być więcej ofiar i że mogą być ze sobą spokrewnione.

- Spokrewnione... - powtórzyła Alvarez. Trace zaczął się denerwować. Wstał gwałtownie.

- Naprawdę muszę iść. Niech Kacey opowie wam więcej, jak zadzwoni.

- Myślisz, że jej teoria nie ma sensu? - zapytała Pescoli, a Alvarez ściągnęła usta w ciup.

- Nie mam pojęcia - przyznał szczerze. - Ale coś tu jest nie tak i martwię się o Kacey.

- A co z twoją byłą żoną? O nią się nie martwisz? - zaciekała się Alvarez.

Prychnął.

- Do diabła, nie. Jedno, co wiem o Leannie, to że potrafi o siebie zadbać.

## Rozdział 27

O'Halleran to nie nasz podejrzany - stwierdziła Pescoli, wsuwając płaszcz.

- Wiem - skinęła głową Alvarez. - To nie mogło być tak proste.

- Nigdy nie jest.

Ominęły mężczyznę w kajdankach, którego prowadziła Trilby Van Droz z policji drogowej.

- Nie mam nic do powiedzenia! - upierał się facet o tłustych włosach i trzydniowym zaroście. - Nie ukradłem żadnej ciężarówki, a to była moja strzelba. Nie wiem jak ta fajka trafiła na tylne siedzenie, ale nie była moja! Nie mam pojęcia, co chcecie mi tu wcisnąć.

- Mów tak dalej - powiedziała zmęczonym tonem Trilby.

- Daruj sobie, co? - jęknął facet. - W końcu są święta.

- Do środka! - Otworzyła drzwi do jednego z pokoiów przesłuchań. - Wszystkiego najlepszego!

Pescoli uśmiechnęła się, ale uśmiech znikł jej z twarzy, gdy przeszły do recepcji i ujrzały oplecione światelkami biurko Joelle, na którym kręciła się powoli jodełka przybrana łańcuchami i światelkami, a pod nią leżały prezenty.

- W stołówce jest keks - zawołała Joelle, gdy doszły do drzwi wejściowych. Tym razem we włosach miała wpiętego elfa. - Według przepisu mojej praprababci!

Posłała im szeroki uśmiech akurat w chwili, gdy do środka weszło dwoje nastolatków.

- Jakiś wariat próbował mnie przejechać! - Dziewczyna w dużych okularach i z warkoczami była wyraźnie wstrząśnięta. - Obok sklepu Safeway. Musiał być pijany! Ochlapał wszystko śniegiem!

- Prowadził zieloną hondę. Zgrabną i niską za szybko wszedł w zakręt i poślizgnął się - dodał chłopak w wystrzępionej czapce. -Wszyscy to widzieli.

- Byłam na cholernym przejściu dla pieszych! A on wpadł na nie jak szaleniec!

- Skakał po pasach. - Chłopak machnął ręką.

- Gdyby Leanny mnie nie odciągnęła, to już by mnie nie było! -krzyknęła dziewczyna.

Była bliska hiperwentylacji i Pescoli zamierzała się właśnie włączyć do rozmowy, ale Joelle już podsunęła dziewczynie paczkę

chusteczek i sięgnęła po słuchawkę. Skinęła ręką sygnalizując, że Pescoli i Alvarez mogą iść.

- Spokojnie skarbie - odezwała się z matczynym uśmiechem, gdy dziewczyna się rozpląkała. - Wszystko będzie dobrze. Zaraz sprowadzę kogoś, kto ci pomoże.

Jako że sytuacja została opanowana, Pescoli otworzyła drzwi i skuliła się przed zimnym podmuchem powietrza. Alvarez zapięła wyżej kurtkę, odbierając telefon komórkowy.

- Alvarez. - Podążała za długimi krokami Pescoli.

Pescoli nałożyła rękawiczki i wsunęła ręce głęboko w kieszenie, by uchronić je przed chłodem. Ruszyły do oddalonej o trzy przecznice knajpki serwującej kanapki.

Tylko kilku pieszych zdecydowało się zmierzyć z taką pogodą. Samochodów też było niewiele i podzwiewkiwały łańcuchami na kołach.

- Dobrze. Tak. Może być mail. Dzięki! - Alvarez rozłączyła się i posłała spojrzenie Pescoli. - Raport DNA Shelly Bonaventure. Hayes zdołał pociągnąć za kilka sznurków i to załatwić. Zaraz go prześle.

- Jeśli to ma jakiegokolwiek znaczenie.

- Sprawdzimy.

Potrzebowały jakiegoś śladu, pomyślała Pescoli, gdy przeszły przez parking do knajpki. Dowody w tej sprawie po prostu nie trzymały się kupy.

- Myślisz, że dom Acacii Lambert naprawdę jest na podsłuchu?

- Coś w tym musi być - stwierdziła Alvarez.

- Nic z tego nie rozumiem. Łapię coś do zjedzenia i lecę sprawdzić co z dzieciakami.

- A ja spróbuję znaleźć byłą panią O'Halleran. Zobaczymy, co ma do powiedzenia.

- Dobrze. Ciekawe, czemu podrzuciła dziecko O'Halleranowi i uciekła, jeśli to prawda. Na razie mamy na to tylko jego słowa. - Weszły do środka.

Gorące powietrze, zapach przypraw i pieczonego mięsa sprawił, że Pescoli aż zaburczało w brzuchu. Stały w kolejce.

Chwilę to trwało, ponieważ parze starszych państwa przed nimi się nie śpieszyło. Mężczyzna niedosłyszał, a kobieta niepokoiła się kwestią alergii. W końcu zdecydowali się na sałatkę z tuńczyka i peklowaną szynkę. Ale na tym się nie skończyło. Byli z mniej więcej czternastoletnim wnuczkiem, który co prawda nie był w szkole, ale miał słuchawki na uszach, wysyłał esemesy i grał na komórce. Poinformowanie, że chce

kanapkę z indykiem - bez pomidorów, bez sałaty, bez cebuli, z dodatkowymi frytkami - i przekazanie tej wiadomości babci było dla niego okrutnym wyzwaniem.

W końcu, gdy za Alvarez ustawiła się już spora kolejka, cierpliwa kobieta za kontuarem przyjęła wreszcie zamówienie starszej pary. Pescoli zamówiła sałatkę z kurczakiem i szpinakiem dla Alvarez i jakąś zdrową butelkowaną herbatę, a dla siebie kanapkę Reubena z dodatkową kiszoną kapustą i dietetyczną colę. Zabrały lunch na posterunek. Pescoli wyszła do domu, a Alvarez zjadła swój lunch przy biurku, sprawdzając przy okazji maile. Przyszedł raport DNA od Jonasa Hayesa, więc wysłała go do laboratorium.

Godzinę później wróciła Pescoli i skinęła na Alvarez, by dołączyła do niej w stołówce, gdzie, zgodnie ze słowami Joelle, stał keks.

Połowę już zjedzono, leżało kilka odciętych kawałków, a reszta, udekorowana plasterkami ananasa i wisienkami, czekała tylko, by się do niej zabrać. Na stole położono serwetki ze Świętymi Mikołajami i rozsypano mnóstwo okruszków.

- No i jak poszło? - zapytała Alvarez, podczas gdy Pescoli rozpakowywała kanapkę.

- Bianca spała. Jeszcze nie pojawił się Chris Schultz. Dzięki Bogu za jego drobne dary. Jeremy grał w swoje gry i chciał pół mojej kanapki.

- Dałaś mu?

- Nie ma mowy. Zjadłam połowę w domu i przyniosłam tu resztę. Upiekłam ser dla Bianki i pokazałam mu, jak to zrobić. Pewnie i tak zje jej, ale przynajmniej się o tym dowiem. Muszę coś z tym chłopakiem zrobić.

Pescoli wgryzła się w kanapkę i kompletnie zignorowała nie tylko ciasto według przepisu praprababci, ale również świąteczne ozdoby i olbrzymi plakat, który Joelle przypięła do tablicy korkowej. Plakatem tym Joelle przypominała wszystkim o Tajemniczych Mikołajach i o przyjęciu, które miało się odbyć w ostatni tydzień przed świętami. Było jeszcze mnóstwo czasu, by zdecydować, co kupić zastępcy szeryfa. Jak to dobrze, że można było wydać tylko dziesięć dolców. Zdaniem Pescoli to nadal za dużo.

- Doszedł raport DNA? - zainteresowała się.

- Jest w laboratorium. Zobaczymy. Kazałam porównać go z tym Jocelyn Wallis. I powiedziałam, że to pilne.

- A oni odparli, że masz się wypchać?

- Są raczej zajęci.

- Robią, co mogą.

- Myślisz, że lekarka naprawdę jest potencjalną ofiarą? - Pescoli wciąż nie mogła w to uwierzyć. - Tylko dlatego, że wygląda jak inne i twierdzi, że ktoś ją podsłuchuje, nie oznacza, że jest związana z tą sprawą.

- Jeśli nie liczyć O'Hallerana.

- I znów wracamy do niego. - Pescoli zamyśliła się. Niektórzy wielokrotni mordercy znani byli z tego, że polowali na

konkretny typ ofiary. Ileż razy to się już potwierdziło. Ted Bundy był tego najlepszym przykładem. Ale stwierdzenie, że seryjny morderca poszukiwał ofiar o konkretnym profilu DNA, to już trochę za dużo. Czym innym było, gdy wariat leciał na długie włosy czy niebieskie oczy, a czym innym szukanie kobiet o konkretnym DNA czy wspólnych przodkach.

Jak w ogóle można było coś takiego ustalić? Przecież nawet policji z dostępem do laboratorium kryminalistycznego ciężko było zdobyć profil DNA.

Jeśli DNA było istotne, to jedynym wytłumaczeniem był wspólny przodek.

- Bez względu na to, czy związek pomiędzy ofiarami wynika z DNA, wspólnego przodka, czy czegokolwiek innego, zastanawiam się, czy nie należy pogadać z Graysonem o poinformowaniu opinii publicznej.

Alvarez próbowała nie okazywać emocji, słysząc imię szefa. Przecież nie mogła. Bez względu na to, czyjej się to podobało, czy nie, pracowały dla niego, ale coś było nie tak.

- Chyba powinnyśmy - powiedziała - pogadać z Graysonem.

- Ale to jest podejrzane - stwierdziła Pescoli.

Na razie wiedziały tylko, że ktoś próbował otruć Jocelyn Wallis. Inne potencjalne ofiary to aktorka z Kalifornii Południowej i kobieta, której samochód zsunął się do rzeki, pewnie z pomocą jakiegoś kierowcy, który uciekł z miejsca wypadku. Nie miały nic konkretnego, co łączyłoby te sprawy z jednym zabójcą. Może dopatrywały się tu za wiele. Nie mogą nawet dowieść, że mają do czynienia z seryjnym zabójcą nie poinformowały FBI. Alvarez zmierzyła wzrokiem ciasto i jakby czytając w myślach Pescoli, dodała:

- Sprawdzam to w innych jednostkach. Nie tylko w naszym stanie. Zaczęłam od Idaho, Oregonu, Waszyngtonu i Kalifornii. Prosiłam, by sprawdzili, czy mieli ostatnio jakieś dziwne przypadki zgonów, których



ofiary miały związek z Heleną. Zdobyłam też kontakt do rodziców Elle Alexander, by upewnić się, czy rzeczywiście pochodzi z Idaho.

- Marnie to na razie wygląda, co?

Alvarez potrząsnęła głową nie chcąc dać się zbić z tropu.

- Jeśli Shelly Bonaventure jest z tą sprawą związana, to nasz podejrzany sporo się kręci. Może ma pracę, dzięki której podróżuje po kraju. A jeśli tak, to może zostawiać za sobą ofiary. Pojedyncze wypadki.

- A jeśli Bonaventure, która zdaniem policji z Los Angeles, popełniła samobójstwo, nie jest jedną z naszych ofiar? - zapytała Pescoli, kończąc kanapkę.

Alvarez się skrzywiła.

- To wracamy do punktu wyjścia.

O drugiej po południu zadzwoniła żona Herberta Longa i z niesmakiem stwierdziła, że jej mąż musi odwołać wizytę. Kacey, której nie udało się przekonać doktora Martina, by wziął jeszcze jednego pacjenta, bo miał ich już i tak zbyt wielu, aż podskoczyła z radości. Mogła pojechać do Missouli wcześniej, niż planowała, a chociaż nad górami okalającymi dolinę zbierały się czarne chmury, przestało śnieżyć, zgodnie z tym, co mówiła Heather.

Kacey wzięła wodę z lodówki, włożyła płaszcz i ruszyła do samochodu. Na lunch zjadła kanapkę z tuńczykiem, ale nie miała apetytu. Zadzwoniła do Trace'a pod pretekstem pytania o Elię i dowiedziała się, że rozmawiał z policją o mikrofonach.

- Zdaje się, że chcą oczyścić twój dom - powiedział. - I pewnie poszukać odcisków palców.

- Powinnam ich uprzedzić o Bonzim.

- Chcą abyś przyjechała.

- Dobrze. Zadzwonię później.

Nie powiedziała mu o swoich planach, chociaż miała to na końcu języka. Ale na pewno próbowałby ją odwieść od tego pomysłu albo się przyłączyć, a chciała to zrobić sama.

Postanowiła spotkać się z Geraldem Johnsonem twarzą w twarz i zobaczyć, co jej nowo poznany tata ma do powiedzenia na swój temat, a także ustalić, czemu jej matka tak się nad nim rozpływała.

Wyglądało na to, że przynajmniej w nostalgicznej pamięci Maribelle ich romans był wyjątkowy, cudowny, a ich tragiczny związek porównywalny, jeśli nie gorętszy, z tym Antoniusza i Kleopatry czy Romea i Julii.

Niesamowicie tragiczna opowieść o Geraldzie i Maribelle.

- No bez przesady - jęknęła pod nosem i ruszyła na 1-90. Zastanawiała się, co też ma powiedzieć ojcu, który zdaniem Maribelle, nie wiedział nawet o jej istnieniu.

No super.

Odwagi ubywało jej wraz z pokonywanymi milami. Przeprowadziła swoje prywatne śledztwo. Wszystkie prawowite dzieci Geralda żyły w promieniu pięćdziesięciu mil od rodziców. Żadne z nich nie wyjechało na uniwersytet na wschodnim wybrzeżu ani nie ożeniło się i przeniosło za pracą do San Francisco, Birmingham czy Chicago.

Nie, wszyscy, którzy przetrwali, żyli blisko tatusia i, jak podejrzewała, pieniędzy, które zgromadził. Zganiła się za te podejrzenia, gdy dojechała na przedmieścia Missouli. Ale starannie przeprowadziła to śledztwo - Gerald Johnson był świetnie sytuowanym człowiekiem.

Zbierając o nim informacje, odkryła, że większość żyjących dzieci pracowała dla niego. Najstarsza, Clarissa, zrobiła MBA na Stanfordzie i zajmowała się marketingiem. Była zameżna, miała dwójkę dzieci i w firmie pracowała od lat. Po Clarissie w ciągu trzech lat urodzili się Geraldowi dwaj synowie - Judd i Thane. Obaj prawnicy - Judd pracował dla firmy, a Thane był zewnętrznym konsultantem i prowadził własną działalność. Żaden nie był żonaty. Potem były bliźniaki - Cameron i Colt. Kacey nie zdołała się o nich wiele dowiedzieć, ale mogła się założyć, że oni też pracowali na rzecz firmy. Ostatnia była nieszczęsna Kathleen, która zginęła tuż przed zamążpójściem. W kilku miejscach wspomniano jednak o siódemce dzieci, więc Kacey pogrzebała głębiej. Kiedy przejrzała stare nekrologi, znalazła informację o jeszcze jednej córce. Agatha-Rae, „Aggie”, zmarła w wieku ośmiu lat z powodu upadku. Urodziny Agathy-Rae przypadały dokładnie na tydzień przed Kacey, więc gdyby żyła, byłyby w tym samym wieku. Kacey zadrżała i złapała mocniej kierownicę. Trudno się dziwić, że jej matka nie wypowiadała się jasno o dzieciach Geralda.

Znów zaczął padać śnieg, więc włączyła wycieraczki. Korzystając z przenośnego GPS-a, przeprawiła się przez Mossoulę, jak na Montanę raczej spore miasto, leżące nad rzeką w dolinie otoczonej ośnieżonymi szczytami. Mijała restauracje i witryny sklepowe, stary tartak przerobiony na sklepy, aż w końcu przejechała przez duży most i wjechała do Strefy Przemysłowej Johnson.

Pomiędzy niskimi budynkami biegły świeżo odśnieżone chodniki, otaczające kilka zamarzniętych sadzawek z pałkami wodnymi i kaczkami. Śnieg znów zaczął sypać.

Chociaż budynki wyglądały identycznie, wydawało się, że były pogrupowane, jakby każdy segment odpowiadał innej części imperium Geralda Johnsona z łącznikami otoczonymi parkingami.

Pieniądze, pomyślała niechętnie, jadąc krętą drogą i przyglądając się kolejnym grupom budynków - „Produkcja”, „Badania i rozwój”, „Technologia”, a w końcu, „Administracja”.

- Bingo - wyszeptała, parkując na miejscu oznaczonym dla gości. Po raz ostatni powtórzyła sobie, po co tam przyjechała, i złapała teczkę.

Na zewnątrz wiatr zaciął ostrym śniegiem, który wpadał jej we włosy i zdawał się ranić policzki. Przeszła szybko wzdłuż łącznika do drzwi i weszła do dużego atrium, gdzie mieściła się recepcja. Na podłodze leżała szara wykładzina, a białe ściany obwieszane były dyplomami i zdjęciami.

Szeroki kontuar odgradzał gości od biur widocznych w głębi.

- W czym mogę pomóc? - zapytała ją dwudziestokilkuletnia dziewczyna.

Miała drobnutką twarz i krótkie włosy, spod których widać było liczne kolczyki w uszach. Siedziała przy biurku, na którym stał duży komputer i nic więcej. Według plakietki nazywała się Roxanne Jamison.

- Chciałabym się spotkać z Geraldem Johnsonem. Dziewczyna zmarszczyła brwi.

- A jest pani... umówiona? - zapytała, przeglądając coś w komputerze.

- Nie.

- Przykro mi, musi pani być umówiona.

- Proszę mu powiedzieć, że chciałaby się z nim spotkać Acacia Collins Lambert.

I proszę powiedzieć, że jestem córką Maribelle Collins.

Recepcjonistka uniosła brwi.

- Dobrze...

Nacisnęła guzik na eleganckim telefonie i sceptycznym tonem przekazała wiadomość.

- Tak... tutaj w lobby... oczywiście, panie Johnson. - Spojrzała na Kacey z większym szacunkiem i powiedziała. - Spotka się z panią natychmiast. Zaprowadzę panią do jego biura.

Wysunęła się z za biurka i otworzyła drzwiczki w kontuarze. Poprowadziła Kacey przez kilka korytarzy, minęły szklane drzwi, aż dotarły do biura z podwójnymi drzwiami z orzecha, otwartymi zapraszająco.

Kacey ogarnął nagle lęk, gdy weszła do biura za panną Jamison.

Gerald Johnson siedział przy biurku. Podwinięte rękawy koszuli ukazywały opalone ramiona, siwe, lekko przerzedzone włosy miał starannie zaczesane i wpatrywał się w drzwi.

Wstał.

- Panie Johnson, pani Lambert - poinformowała recepcjonistka.

- Dziękuję Roxie. Wychodząc, zamknij drzwi, proszę. Recepcjonistka tak też zrobiła, a Johnson, wysoki na ponad sto

osiemdziesiąt centymetrów, wciąż dobrze wyglądający, skupił się na córce, której nigdy nie spotkał. Nie uśmiechnął się, powiedział tylko:

- Witaj, Acacio. Spodziewałem się ciebie.

Ręce zaciskał kurczowo na kierownicy, serce waliło mu jak oszalałe, a pot przesiąkał przez koszulę mimo padającego za oknem śniegu, gdy pędził na złamanie karku swoim lexusem.

Wiedziała!

Ta suka zrozumiała.

Zorientowała się, że ścierwem, który je splodził, był Gerald Johnson i teraz nadchodziła ostateczna rozgrywka.

Należało ją zabić wcześniej!

Cała jego praca... miała iść na marne.

Całe planowanie, ostrożność... miały wyjść na jaw.

Odetchnął głęboko, aby się uspokoić, i zaczął powtarzać, że to tylko kolejne małe wyzwanie, drobna przeszkoda. Da sobie z tym radę.

Zamrugął.

Ale nie zwolnił, mijając jadącego w przeciwnym kierunku, do Grizzly Falls, prawie pustego vana podpisanego „Szpital św. Bartłomieja”.

Kilka minut później musiał zwolnić, bo w Missouli był spory ruch.

Weź się w garść - powiedział do siebie, hamując na światłach, by przepuścić jakąś kobietę tak skupioną na rozmowie telefonicznej, że nie zwracała w ogóle uwagi na sytuację na drodze.

Rzucił okiem w lusterko wsteczne, ale nikt go nie śledził, żaden podejrzany kierowca kryjący się za ciemnymi okularami. Nie było też żadnych podejrzanych mężczyzn w płaszczach, opierających się o la-

tarnie, facetów siedzących na ławce w parku, czytających gazetę, a tak naprawdę śledzących każdy jego ruch.

Oczywiście, że nie!

Tak bywa tylko w filmach!

Liczył uderzenia serca i nadepnął na gaz, gdy tylko światło zmieniło się na zielone. Dalsza jazda była upiornie powolna, podczas gdy jego myśli galopowały. Stawały mu przed oczami obrazy z tymi, których nazywał swoim rodzeństwem, a także ze zmarłymi i tą suką która właśnie dążyła do tego, by wszystko zniszczyć.

Zmusił się do spokoju, którego wcale nie czuł, i wjechał na parking firmy ojca. Jej samochód był zaparkowany nieopodal budynku administracyjnego.

Żołądek mu się skręcił i musiał sobie powtórzyć, że nie wszystko stracone.

Jeszcze nie.

## Rozdział 28

Spodziewałeś się mnie? - Kacey spojrzała zaskoczona na mężczyznę, który przynajmniej z genów był jej ojcem.

Przecież Maribelle powiedziała, że Gerald Johnson o niej nie wiedział. Z drugiej strony zdarzało jej się kłamać... mieć sekrety...

- Więc wiesz, że jestem twoją biologiczną córką? Myślałam, że to jakaś wielka tajemnica.

- Tak powiedziała Maribelle? - Zdawał się wręcz rozbawiony.

Skinął, by weszła do gabinetu. Stało tam potężne biurko, okna były od podłogi do sufitu, a z boku starczyło nawet miejsca na skórzaną kanapę i komplet foteli. Za oknem widać był kolejne oczko wodne, a w oddali góry, których szczyty zdawały się rozrywać szare niebo. Śnieg przesłaniał powoli widok. Jedyne, co wyraźnie rysowało się za oknem, to parking, na którym zauważyła terenowego cadillaca, BMW i jaguara.

Nie dość, że parking, to jeszcze luksusowy, pomyślała.

- Powiedziała, że nawet nie wiesz o moim istnieniu - odezwała się Kacey.

- A ty jej uwierzyłaś.

- No pewnie. A teraz ty mówisz coś zupełnie innego.

Skinął, by podeszła bliżej. Kacey zdjęła płaszcz i powiesiła na jednym z dwóch krzeseł dla interesantów, po czym usiadła ostrożnie na drugim. Na bocznej ścianie wisiały oprawione elegancko nagrody, certyfikaty i dyplomy medyczne.

- Domyślałam się, że moja matka zadzwoniła i ostrzegła cię, że zamierzam cię odnaleźć.

- Tak.

- Więc wszystkie jej tajemnice, to naleganie, by cię w to nie wciągać, to było co? Zaslona dymna? Po co?

- Twoja matka starała się zachowywać tak, jakby dziecko - ty - było Stanleya. Oczywiście w to nie wierzyłem. Przez lata starała się o dziecko, a potem... gdy się do siebie zbliżyliśmy, zaszła w ciążę, więc szybko się domyśliłem. - Odetchnął głęboko. - Nasz romans i tak zbliżał się ku końcowi. Ja miałem przenieść firmę z Heleny tutaj, więc... - Nachylił się, kładąc ręce na biurku. - Nie widziałem sensu w ciągnięciu tego. Każde z nas było w związku małżeńskim, żadne nie chciało się rozwieść, więc... po prostu się skończyło. A ja pozwoliłem, aby twoja matka sądziła, że o tobie nie wiem. Tak było łatwiej.

- Dla kogo? - zapytała ostrożnie.

- Dla wszystkich. Włącznie z tobą.

- Jak rozsądnie. - W jej głosie rozbrzmiał gniew. - Nic o mnie nie wiesz.

- Tu się mylisz. Oczywiście, że się o tobie dowiedziałem, ale nic nie mówiłem. I tak skończyliśmy nasz związek z twoją matką i przynajmniej jedno z nas było szczęśliwe.

Kacey zacisnęła zęby. Gerald Johnson miał o sobie bardzo dobre mniemanie.

- Uznałem, że najlepiej będzie udawać, że nie uważam cię za moją córkę. Miałem rodzinę, żonę, firmę do prowadzenia.

- A mama?

- Dostała to, czego zawsze pragnęła. Dziecko. - Gerald spojrzał jej w oczy. - Było dobrze.

- Naprawdę? - Żołądek jej się skręcił na myśl o wszystkich kłamstwach, jakie usłyszała w życiu. - A co z moim tatą? Tym, który mnie wychował?

Gerald zacisnął mocniej usta i stracił coś ze swego stoickiego spokoju.

- Co? Przychodzisz teraz do mnie, bo jego nie ma? Potrzebujesz ojca? A może to wcale nie taka altruistyczna wizyta. Może chcesz czegoś innego?

- Nie wiem, o czym mówisz - odparła, chociaż doskonale wiedziała i to ją wkurzało.

- Rozejrzyj się. - Zatoczył ręką wokół.

- Szanowny panie Johnson, powiedzmy to sobie jasno. Nie chcę od ciebie nic poza prawdą. Ludzie umierają a ja sędzę, że ty masz na to odpowiedź.

- Umierają? Dobry Boże, jesteś równie melodramatyczna jak twoja matka.

- Może, ale to nie zmienia faktów. - Wstała, nie mogąc dłużej siedzieć przed nim.

Zmarszczył brwi.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Zaczniemy od Shelly Bonaventure.

- Kto? Tej... aktorki? Co z nią?

- Nie znasz jej?

- Oczywiście, że nie. Czemu miałbym ją znać? Wiem o niej tylko dlatego, że moja córka Clarissa czyta te wszystkie kolorowe pisma.

- Urodziła się w Helenie.

- No i?

Nagle zaczęła mieć wątpliwości. Czy mogła się mylić? Naprawdę zdawał się nie wiedzieć, o co chodzi.

- Znałeś Jocelyn Wallis?

- Jaką Jocelyn? Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Nagle coś mu się przypomniało. - Chwileczkę. Coś czytałem o kobiecie, która ostatnio zmarła. Upadła podczas przebieżki?

- Albo została popchnięta. Nie znam szczegółów - przyznała Kacey. - Wiem tylko, że jej śmierć bada policja, podejrzewają zabójstwo.

- A co to ma ze mną wspólnego?

- Chodzi o podobieństwo. Spójrz... - Wyciągnęła zdjęcia dwóch kobiet, o których już mówiła, i położyła na biurku. - Te dwie i Elle Alexander, która była moją pacjentką - dołożyła zdjęcie Elle. - Pewnie mama, rozmawiając z tobą nie wspominała o tym?

- Powiedziała, że wymyśliłaś sobie jakąś misję, ale byłem zajęty, nie słuchałem jej gadania.

- Może należało.

- Uznałem, że mówi, że chcesz, abym cię uznał.

- Zupełnie nie o to chodzi.

- Nie znam tych kobiet. Nie spotkałem żadnej z nich.

- Sądzę, że mogą być ze mną spokrewnione.

- Co? Te kobiety? - Znów spojrzął na zdjęcia. - Przeze mnie? - Prychnął śmiechem, jakby to był jakiś ponury żart. Poczerwieniał. - Co chcesz tym osiągnąć?

Czegoś jej nie mówił. Widziała to w jego oczach. Próbował coś ukryć. Chodziło o coś więcej, tylko nie wiedziała jeszcze o co dokładnie.

- Próbujesz mnie ukarać? - zawołał.

- Ukarać...

- Za to, że nie uznałem cię tak jak Roberta - powiedział to tak, jakby to była oczywista sprawa.

- Kim jest Robert? - Kacey zamrugła.

- Wiesz.

- Nie wiem.

Zmierzyli się wzrokiem, aż w końcu się odezwał.

- Mój syn? Robert Lindley? O to tak naprawdę chodzi, prawda? Przeszedł ją lodowaty dreszcz. O czym on mówił?

Gdy nie odpowiedziała, dorzucił:

- Syn Janet.

- Przepraszam, ale kim jest Janet? Skrzywił się lekko.

- Jednak nie odrobiłaś pracy domowej, co? Robert jest kilka lat starszy od ciebie i... uznałem go, gdy Janet rozwiodła się ze swoim mężem.

Jak mogła to przegapić?

- On też pracuje dla firmy, jak reszta. Zajmuje się badaniami i rozwojem. Świetny umysł techniczny.

A więc był jeszcze jeden przyrodni brat. Nagle życie jedynaczki wydało jej się bardzo odległe.

- Kiedy zadzwoniła twoja matka, uznałem, że chcesz, aby cię włączyć do rodziny, żebyś dostała to, co uważasz za prawnie ci należne z firmy.

Kacey prychnęła.

- Wierz mi, nie jestem tu z powodu twojej firmy. Tylko z powodu tych kobiet - zwołała, wskazując zdjęcia. - Mówisz, że nie jesteś ich ojcem. Że nie jesteś z nimi spokrewniony.

- Dokładnie to mówię - odparł, ale rozejrzał się z niepokojem. Chociaż moment później patrzył na nią tak, jakby zwariowała, było coś więcej, w jego spojrzeniu coś się kryło. - Nie mam pojęcia, o co ci może chodzić.



Uznał syna, a teraz ją bez mrugnięcia, ale uważał, że nie ma nic wspólnego z zabitymi kobietami. Jakby nie wierzył, że może być z nimi spokrewniony.

Czyżby się myliła? Nie miał braci, sprawdziła. A jego jedyna siostra zginęła, mając dwadzieścia kilka lat, więc jeśli nie on... to...

Spojrzała na dyplomy na ścianie i zorientowała się, że skończył studia czterdzieści lat temu.

I nagle uderzyło ją to, niczym taran, ta myśl, która męczyła ją od czasu koszmaru - on nie znał tych kobiet, bo nie wiedział, że je spłodził.

Co mówił JC, jej mąż, lata temu?

„Powinienem być zostać dawcą spermy, jak inni studenci medycyny. Zarobiłbym majątek. Kobiety szukają mężczyzn takich jak ja. Właściwie nadal mógłbym to zrobić. Mam odpowiedni rodowód, intelekt, wysoki iloraz inteligencji... a do tego jestem wysportowany i przystojny”.

Kacey przypomniała sobie te słowa, jakby słyszała je przed chwilą. A Gerald Johnson, przed siedemdziesiątką był silnym, przystojnym mężczyzną...

- Nie jestem spokrewniony z tymi kobietami - powtórzył, ale w jego głosie słychać było nutkę niepewności.

- Nie byłeś dawcą nasienia jakieś trzydzieści pięć, czterdzieści lat temu, podczas studiów?

- To wariactwo! Tylko dlatego, że te kobiety są do siebie trochę podobne...

- Nie tylko trochę - przerwała. - Inie tylko do siebie. Ta - wskazała palcem zdjęcie Jocelyn Wallis - jest do mnie tak podobna, że gdy przywieziono ją na ostry dyżur, część moich współpracowników sądziła, że to mnie coś się stało. Spójrz na nie! - Podsunęła mu zdjęcia. - Widziałam zdjęcia twojej rodziny. Jest niesamowite podobieństwo.

Mięsień zaczął mu drgać w szczęce, gdy przyglądał się kolejnym zdjęciom. Wyciągnął nawet okulary do czytania. W końcu, jakby zniesmaczony, rzucił okulary na biurko. Zacisnął usta.

- Po co tu przyjechałaś, Acacio? By potwierdzić, że mogę być ojcem tych kobiet, bo zrobiłem coś za młodu?

- A więc byłeś dawcą spermy.

- Wymyślasz jakąś teorię spiskową według której ktoś zabija ludzi - kobiety - którzy są do siebie podobni i którzy mogli być poczęci dzięki sztucznemu zapłodnieniu? I uważasz, że to ja byłem dawcą? - Prychnął.

- Ktoś próbował mnie zabić - odparła Kacey. - Dawno temu. Nie zgwałcić, nie okraść, ale zabić. Do niedawna sądziłam, że to przypadek. Ale teraz nie jestem już taka pewna. Wczoraj odkryłam w moim domu podsłuchy. Ktoś umieścił w nim malutkie mikrofoniki i nie wiadomo co jeszcze. A tymczasem kobiety, które wyglądają jak ja, padają ofiarami dziwnych wypadków. Śmiertelnych wypadków, które, gdy im się lepiej przyjrzeć, okazują się wcale nie wypadkami. Shelly Bonaventura i Jocelyn Wallis mają związek z Heleną. Sądzę, że jeśli tam pojedę, znajdę klinikę leczenia bezpłodności, w której zostały poczęte. Pewnie znajdę też informacje o Elle. Po prostu urodziła się gdzie indziej. - Kacey nachyliła się nad biurkiem. - Ile jeszcze znajdę, Geraldzie? Pięć? Dziesięć? Sto?

- To szaleństwo - warknął, czerwieniejąc na twarzy. - Nie ma seryjnych zabójców mordujących dzieci poczęte w jakiejś klinice!

- Tylko te, których jesteś ojcem - odparła z uporem.

- To jeszcze bardziej szalony pomysł.

Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć, ale była pewna, że jest na dobrym tropie. Ale musiała to od niego usłyszeć.

- Jak się nazywa ta klinika? - zapytała. - I tak to odkryję. Możesz mi zaoszczędzić trochę czasu, nim ten, kto się za tym kryje, zabije mnie.

- Nie zostałam poczęta przez sztuczne zapłodnienie. Możesz mi wierzyć.

- To nie zmienia faktu, że grozi mi niebezpieczeństwo. Jestem przekonana, że kiedy porównam moje DNA z tymi kobietami, to wyjdzie, że jesteśmy spokrewnione przez ojca...

- Dość tego! - Wstał. Przy stu osiemdziesięciu pięciu centymetrach wzrostu górował o jakieś piętnaście centymetrów. Zmierzył ją spojrzeniem. - W młodości byłem dawcą nasienia. Owszem. Ale nie ma żadnych dowodów na to, że którakolwiek ze zmarłych jest moim dzieckiem. Uważam, że ta teoria jest szalona. A wręcz oszczerza. Spotkałem się dziś z tobą bo uznałem, że nadeszła pora na to, aby cię uznać, ale wyraźnie się myliłem.

- Nie obchodzi cię los tych kobiet?

- Nie. A teraz, jeśli już skończyłaś ze swoimi szalonymi pomysłami, muszę się zająć pracą. Ważną pracą. Ta fabryka nie tylko zatrudnia wielu ludzi z tych okolic, ale nasze produkty, z których wiele sam wymyśliłem, ratują życie!

- A mógłbyś uratować jeszcze kilka, gdybyś pomógł mi odnaleźć kobiety, których jesteś ojcem.

Sięgnął po słuchawkę.

- Skończyliśmy tutaj.

- Idę na policję. Zesztywniał, ale się opanował.

- Wyśmieją cię. Lepiej uważaj, co mówisz, Acacio, bo jeszcze zamkną cię w wariatkowie - uśmiechnął się zimno. - W naszej rodzinie znane są przypadki szaleństwa.

Ktoś zastukał gwałtownie, po czym do gabinetu weszła wysoka kobieta na trzycalowych obcasach. Miała wysokie kości policzkowe i nos taki sam jak mężczyzna za biurkiem. Weszła, jakby biuro należało do niej.

- Przepraszam, że przerywam, tato, ale byliśmy umówieni. Ach! Nie wiedziałam, że masz gościa. Roxie już wyszła - uśmiechnęła się do Kacey.

Gerald wstał.

- Niczego nie przerywasz. Clarrie. Właściwie to może dobrze, że przyszłaś. Chciałbym, abyś poznała swoją siostrę. Clarisso, to Acacia. Acacio, moja córka Clarissa.

W co on się wpakował? Trace znów zaczął się nad tym zastanawiać, patrząc na Eliego śpiącego na kanapie i Sarge'a obok, wciąż z kołnierzem na szyi. Trace opuścił posterunek ze świadomością że detektywi Pescoli i Alvarez były zawiedzione, iż nie znalazły dowodu na to, by aresztować go za śmierć Jocelyn i zniknięcie Leanny. Ale nie to go teraz martwiło.

Nie, myślał o Kacey i o tym, w co się władowała.

Oczywiste było, że w jej domu nie jest bezpiecznie i to bez względu na to, czy miała psa czy strzelbę dziadka. Ktoś dostał się do środka i założył podsłuchy... Po co? I co, jeśli w ogóle, miało to wspólnego ze śmiercią innych kobiet?

Coś tu śmierdziało.

- To co powiesz na makaron z serem? - zapytał syna.

Elli miał pić mnóstwo płynów, ale na stoliku przy kanapie stały liczne nietknięte napoje, bo wciąż bolało go gardło.

- Nie jestem głodny.

- No ale musisz coś zjeść i musisz pić, dużo. - Trace otworzył butelkę z witaminizowaną wodą i podał dziecku. - Przecież obiecałeś to pielęgniarce, gdy wychodziliśmy ze szpitala. Nie chcę, abyś tam wracał.

- Nie ma mowy! - skrzywił się chłopiec. Miał chrypę i wciąż kaszłał, ale zrozumiał aluzję i pociągnął kilka łyków.

Nauczycielka Eliego przysłała mu pracę domową ale Trace uznał, że tym zajmą się później. Najpierw chłopiec musi wyzdrowieć. Poprzednia noc była straszna dla wszystkich.

A teraz, gdy miał syna z powrotem w domu, zaczął myśleć o Kacey, kobiecie, którą ledwie znał, ale mnóstwo już o niej fantazjował.

Eli niechętnie jadł, wypił trochę soku i większość czasu spędzał na kanapie, oglądając ulubiony program dla dzieci. Dużo spał, ale temperaturę miał coraz niższą jakieś trzydzieści osiem stopni.

Trace czułby się znacznie lepiej, gdyby wiedział, że Kacey nic nie grozi. Próbował się do niej dodzwonić, ale przełączyło go na pocztę głosową więc rozłączył się, nie zostawiając wiadomości.

- Uspokój się, ona też musi pracować - powtarzał sobie.

Ale wciąż miał złe przeczucia. Nie wiedział, w co wierzyć, ale te ukryte mikrofony były prawdziwe. Temu nie dało się zaprzeczyć.

Clarissa jakby oklapła. Najpierw spojrzała na ojca, a potem na Kacey.

- Mówisz poważnie? - Zmrużyła oczy.

- A jak sądzisz? - Z jakiś przyczyn Gerald zdawał się lekko rozbawiony, jakby lubił się droczyć ze swoją pierworodną.

- Tato, naprawdę...

- Jest córką Maribelle. - Gerald powiedział to tak, jakby jego romans z matką Kacey był czymś oczywistym.

- Tą pielęgniarzką która dla ciebie pracowała? Pamiętam ją... - Tym razem Clarissa przyjrzała się Kacey uważniej. Zupełnie jakby porównywała ją w myślach do siebie. Z twarzy zniknęło zaskoczenie, pojawiła się odraza.

- O Boże, tato, powiedz, że to jakiś chory dowcip - Podeszła do biurka ojca, wciąż wpatrując się w Kacey.

- Nie. Acacia jest moją córką. Tak samo jak ty.

- Ale... nie... Jezu, a mama wie?

- Pewnie podejrzewa.

- Nie wiesz?

- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

- Na miłość boską. Najpierw Robert, a teraz... teraz ty? - Odwróciła się do Kacey. - Co tu robisz?

- Szukam odpowiedzi - powiedziała Kacey i dodała: - Miło mi cię poznać. Clarissa uniosła brwi.

- Przepraszam, że zachowałam się tak nieelegancko. Ale to spory szok. - Spojrzała na ojca. - Co z tobą? Ile jeszcze ich będzie?

Gerald zassał powietrze przez zęby.

- O nie... - Clarissa spojrzała na biurko i leżące tam zdjęcia. Zmarszczyła brwi, podnosząc fotografię Shelly Bonaventure. - Czy to nie ta aktorka z serialu o wampirach, który leciał w telewizji kilka lat temu? Którą tak lubił Lance?

- *What blood Has to do with it* - dodała Kacey, a Gerald złapał resztę zdjęć. Ale za późno. Mleko się rozlało.

- A to kobieta, która upadła podczas przebieżki. - Clarissa spochmurniała. - Kim była trzecia, tato?

- Elle Alexander, moja pacjentka - odparła Kacey. - Miała dwoje dzieci.

- Te wszystkie kobiety zmarły niedawno, prawda? O co chodzi? -zapytała ojca, a potem odwróciła się do Kacey. - Ipo co tu przyjechałaś?

Gerald odetchnął głęboko.

- Chyba pora na spotkanie rodzinne. - Był blady i po raz pierwszy od chwili, gdy Kacey weszła do jego gabinetu, wyglądał na swoje lata. Zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się, a knykcie wydawały się wyraźniejsze.

To tylko wrażenie, stwierdziła.

- Judd jest na miejscu - powiedział. - Robert też, prawda?

- Nie jestem pewna - odezwała się niechętnie Clarissa. - Dopiero wróciłam ze spotkania w księgowości, a Robert był rano w laboratorium... Nie ma Camerona i Colta. Cam był w Spokane, spotykał się tam z dystrybutorem, a Colt... - Spojrzała na zegarek. - Chyba już wylądował. Był wcześniej w Seattle, rozmawiał z dyrektorem katedry kardiologii z tamtejszej akademii medycznej.

Serce Kacey zamarło, gdy usłyszała o mieście, w którym została zaatakowana i szpitalu, w którym się uczyła, miejscu, gdzie JC pracował na kardiologii. Cóż za ironia, że mężczyzna, który ją spłodził, także był kardiologiem.

Ale to musiał być zbieg okoliczności. Przecież Seattle to duże miasto. Mimo to zrobiło jej się jakoś nieswojo. Clarissa mówiła dalej.

- Z Thanem jak zwykle nie wiadomo. - Wyjrzała za okno i dodała: - Nigdy nie wiadomo.

- Powiedz wszystkim, którym zdołasz, że spotkanie będzie w sali posiedzeń. Zostaw Coltowi wiadomość na poczcie głosowej, niech przyjedzie prosto z lotniska i sprawdź, czy Cam może się połączyć z nami przez Skype.

- A Thane?

- Do niego też zadzwoń. Może zdoła przyjechać, a jak nie, to skypować.

- Thane nie skypuje - przypomniała mu Clarissa i Kacey odniosła wrażenie, że ten brat, trzeci z kolei i drugi syn z prawego łoża, nie przestrzegał reguł narzucanych przez ojca. Buntownik albo czarna owca. Tyle że mimo wszystko trzymał się blisko rodzinnej firmy. - A co z mamą?

- Na razie jej o tym nie mówmy. - Gerald zastanawiał się moment, po czym dorzucił: - Ja się tym zajmę.

- Świetnie - prychnęła sarkastycznie Clarissa - to zawsze się doskonale sprawdza. Gdyby Lance zrobił mi to, co ty mamie, mnie nie starczyłoby nawet publiczne upokorzenie go u *Jerry'ego Springera* czy w innym programie do wyciągania brudów. Wybebeszyłabym go. Najlepiej nożem do masła.

- Współczucie nigdy nie było twoją silną stroną - odezwał się sucho jej ojciec. Clarissa wzruszyła ramionami.

- Po prostu wiem, co czuję. A że ktoś ukradł mi w tym tygodniu strzelbę, to będę musiała się ograniczyć do patroszenia. A może łyżka byłaby lepsza?

- Przestań - ostrzegł ją.

- Mówię tylko, że nie pozwalam sobą pomiatać. Ty też nie. Gdyby mama cię zdradziła i urodziła stado bękartów, to byś jej nie wybaczył.

- Twoja matka nigdy by...

- No właśnie. Przynajmniej ona ma odrobinę klasy. - Po czym zwróciła się do Kasey. - Gratuluję. Ciężko jest poruszyć to mrowisko, ale wygląda na to, że wsadziłaś kij i poruszyłaś je do głębi.

I wściekła wyszła z gabinetu.

Gerald rzucił ostatnie spojrzenie na zdjęcia zmarłych kobiet.

- Clarissa ma rację. Obawiam się, że wszczęłaś coś, czego będziesz żałować. Kacey nie zamierzała dać się zniechęcić, nie, kiedy zaszła już tak daleko.
- Nie boję się. - Ale to było kłamstwo i oboje zdawali sobie z tego sprawę.

## Rozdział 29

Wyglądało na to, że Gerald Johnson i Clarissa zapomnieli o Kacey, gdy zaczęli planować spotkanie rodzinne.

- Przepraszam - odezwała się Kacey, wkładając płaszcz.

- Sala jest na końcu północnego korytarza. Spotkanie zaczyna się za moment - ostrzegła ją Clarissa.

- Nie wychodzę - odparła Kacey. Jeszcze nie. - Muszę tylko zadzwonić.

Gdy opuszczała gabinet, posłali za nią ponure spojrzenia. A myślała, że to ona popada w paranoję. Może to przypadłość rodzinna!

Podeszła do sali posiedzeń i stwierdziła, że drzwi są zamknięte. Wykręciła numer na posterunek policji.

- Poproszę z detektyw Alvarez - odezwała się, gdy zgłosił się operator. - Tu doktor Lambert, dzwonił do mnie.

Natychmiast ją połączono i odezwała się detektyw Alvarez.

- Alvarez.

- Tu Kacey Lambert. Wiem, że rozmawiała pani z Trace'em O'Halleranem, który znalazł podsłuchy.

- Tak. Chcielibyśmy się tym dziś zająć. Może być dziś po południu?

- Późnym popołudniem? - zapytała Kacey. - Jestem za miastem i zajmie mi to jeszcze trochę czasu. Ale naprawdę chciałabym, aby te mikrofony zniknęły.

- Proszę zawiadomić, kiedy będzie pani wracać.

- Dziękuję. - I naprawdę tak myślała.

Następnie zadzwoniła do Trace'a, który odebrał natychmiast, jakby miał telefon przy uchu.

- Kacey - odezwał się, a sposób, w jaki wymówił jej imię, sprawił, że od razu zrobiło jej się cieplej na sercu.

- Cześć. Policja przyjedzie dziś do mnie i zabiorą te podsłuchy. Chyba. A przynajmniej im się przyjrzą. Chcę, aby je zabrali.

- Dobrze. Jesteś w pracy?

- Nie w klinice. Mam spotkanie. - Nie chciała mu jeszcze mówić wszystkiego. Nie wiedziała, co myśleć o Johnsonach. - Powiedziałam policji, że zadzwonię do nich, jak będę wracać.

- Do mnie też zadzwoń.

- Pewnie.

- Kacey...

- Tak?

- Uważaj na siebie - powiedział, wyraźnie wyczuwając w jej słowach więcej, niż zamierzała zdradzić.

- Do zobaczenia wieczorem - odparła i się rozłączyła. Schowała telefon do torebki i spojrzała z niepokojem na zbliżających się do niej Geralda i Clarissę.

- Sprawdź, co u dzieciaków - powiedziała Pescoli Alvarez. - Tu nic się nie będzie działo aż do powrotu doktor Lambert.

- Pójdę do domu, żeby przegonić Chrisa, jeśli się zjawił, ale potem wracam tutaj.

Alvarez machnęła ręką. Teraz musiały czekać. Czekać na wyniki z laboratorium. Na to, aby ktoś oddzwonił. Czekać, czekać, czekać...

Usiadła przy biurku i spojrzała na swoje notatki, te wypalone w jej pamięci fakty, które trzeba było jakoś połączyć. Brakowało jakiegoś wspólnego mianownika. Przejrzała spis swoich pomysłów, rozważań i bazgrołów, a potem raporty i uznała, że pozostało jej tylko jedno. Podzwonić. Naciskać. Liczyć na to, że ktoś tam zechce podzielić się jakimiś informacjami.

Spojrzała na numer do rodziców Elle Alexander w Boise. Dzwoniła już dwa razy i zostawiała wiadomość, ale nikt nie oddzwonił. Rozumiała, że są w żałobie. Może uznali, że wystarczyło, iż policja rozmawiała z mężem Elle, Tomem. Wielu ludzi nienawdziło, gdy policja mieszała się w ich sprawy, nawet jeśli było to konieczne.

Wykręcając numer, przemyślała to, co musi powiedzieć. Gdy już spodziewała się, że po tylu dzwonekach znów odezwie się automatyczna sekretarka, usłyszała zaniepokojony damski głos.

- Halo? Pani Morris? - zapytała Alvarez, spoglądając na swoje notatki.

Rodzicami Elle byli Brenda i Keane Morrisowie, oboje na emeryturze. On był pilotem, a ona nauczycielką w liceum.



- Wiem, że dzwoni pani z Montany. Mam powiadomienia - wiem, że to biuro szeryfa z okręgu Pinewood. Dzwoniła już pani. Chodzi o Elle, prawda?

- Tak, proszę pani. Badamy przyczyny śmierci pani córki.

- Czyli uważacie, że to nie był po prostu okropny wypadek? - powiedziała bardzo cichutko.

- Nie wiemy. Musimy się upewnić.

Kobieta zaczęła płakać, a Alvarez bardzo jej współczuła. To była najtrudniejsza część pracy.

- Czy mogę zadać pani kilka pytań?

- Proszę - odetchnęła głęboko.

- Rozmawialiśmy z pani zięciem, Tomem Alexandrem. Elle rozmawiała z nim, gdy nastąpił wypadek.

- Tom kochał Elle. Jest załamany. Wszyscy jesteśmy.

- Tom powiedział, że pani córka uważała, że inny samochód jechał niebezpiecznie. Mówił pani o tym? - zapytała Alvarez.

- Mówił, że Elle wydawało się, że kierowca próbuje ją zabić. Nie wiem. Czasami, gdy się prowadzi, ma się takie wrażenie, prawda?

- Tak.

- Uderzył w nią. Tom powiedział, że mu to powiedziała. I że świecił bardzo mocno. Ale potem upuściła telefon... Zadzwoił pod numer alarmowy. Powiedziała mu, żeby to zrobił.

- Czy pani córka miała jakiś wrogów?

- Och nie. Nie Elle. Wszyscy kochali Elle. Jej najbliższa przyjaciółka z liceum, Jayne Drummond, wciąż mieszka w okolicy i przyjechała do mnie. Rozmawialiśmy o tym, jak wszyscy kochali Elle. - Matce Elle znów załamał się głos. - Jeśli pani chce, to może pani z nią porozmawiać.

- Ma pani też syna.

- Bruce. Jest żonaty. Mieszka na Florydzie. Mogę pani podać jego numer.

- Dziękuję.

Alvarez zapisała numery telefonów do Jayne Drummond i Bruce'a Morrisa. Następne pytania, jakie zamierzała zadać, były tak dziwne, że aż nie wiedziała, jak to zrobić.

- Pani Morris, prowadzimy tu sprawę śmierci innej młodej dziewczyny z Grizzly Falls. Upadła albo została wypchnięta przez barierkę

- Och, jakże współczuję jej rodzinie - oświadczyła szczerze Brenda.

- Im także chcielibyśmy pomóc zamknąć tę sprawę - naciskała Alvarez. - Ta kobieta, Jocelyn Wallis, była niezwykle podobna do pani córki. Do tego stopnia, że ktoś pytał, czy są spokrewnione. - Drobne kłamstewko, ale na tyle bliskie prawdy, że Alvarez nie czuła wyrzutów sumienia. - To pewnie po prostu dziwny przypadek, ale chciałam zapytać, czy mogły być spokrewnione. Może się znały?

To było strasznie naciągane i Alvarez słyszała w swoim głosie wstyd. No, ale zdjęcia, które opisał Trace O'Halleran, rodziły więcej pytań niż odpowiedzi. Gdyby zdołała połączyć te dwie podobne do siebie kobiety, może coś by się wyjaśniło.

- Nie...

- Czy Elle urodziła się w Boise?

- Tak.

- A czy ma jakiś związek z Heleną? Gwałtowny wdech...

- Nie...

Alvarez przyspieszył puls. Coś tam było.

- Przepraszam, ale wydaje mi się, że coś pani chodzi po głowie.

- To nie... ja nie... ja nie rozumiem, jak to możliwe.

- Mogłaby mi pani wytłumaczyć, co pani ma na myśli?

- Ojej... Mój mąż... ojej - westchnęła. - Okazało się, że mój mąż nie może mieć dzieci, więc pojechaliśmy do kliniki w Helenie. Nie ma jej już. Ale wtedy była i pojechaliśmy tam, i znaleźliśmy... dawcę.

- Dawcę nasienia? - upewniła się Alvarez.

- Tak. Tak. Ten sam dawca dał nasienie dla obojga moich dzieci.

- Elle i Bruce'a.

- Nigdy nikomu nie mówiliśmy. Bruce wciąż nic nie wie. Elle też nie wiedziała. Wiem, że powinnam powiedzieć synowi, ale jakoś nigdy nie mogłam znaleźć odpowiedniego momentu. A teraz Elle już nie ma...

- Jak się nazywała ta klinika?

- Nie wiem. Zawsze mówiliśmy o niej po prostu klinika. Nie widzę związku.

- Pewnie żadnego nie ma. Chciałam się tylko upewnić. Może mi pani jeszcze coś na ten temat powiedzieć?

Kobieta wzięła kilka głębokich wdechów.

- To... No nie wiem. Pewnie ta informacja nic pani nie powie, ale pamiętam numer dawcy - siedem dwa siedem. Mój mąż zawsze to pa-

miętał, bo był pilotem i kiedy pracował, latał na takim typie samolotu. Uznał wtedy, że to szczęśliwy numer.

- Jak wybrali państwo dawcę?

- Był studentem medycyny, o ciemnych włosach i niebieskich oczach. Tego samego wzrostu co Keane i był wysportowany. Chcieliśmy, aby nasze dzieci były podobne do nas obojga.

W jej głosie było słycać „czy to tak dużo”?

- Rozumiem.

- A ta druga kobieta... która upadła?

Alvarez nie chciała odpowiadać na pytania, nim nie ustalili, do czego prowadzą. Nie chcąc się rozwodzić nad tematem, powiedziała:

- Nie znam pochodzenia pani Wallis, ale wiem, że była nauczycielką w Grizzly Falls i wszyscy ją lubili.

- Zupełnie jak Elle - westchnęła. - Ja też byłam nauczycielką. To takie bolesne, prawda?

- Tak, proszę pani. - Alvarez mówiła szczerze, a jej rozmówczynie usłyszała współczucie.

- Jeśli Elle została zamordowana... jeśli to prawda, to ich znajdziecie i powiecie mi o tym?

- Tak - obiecała Alvarez.

- Dziękuję.

Gdy Brenda Morris rozłączyła się, Alvarez przez kilka minut siedziała nieruchomo. Dawca spermy. Czy to możliwe?

Czy te kobiety naprawdę mogły być ze sobą spokrewnione? Była to teoria, w którą nikt nie chciał uwierzyć. Czy Elle Alexander, Shelly Bonaventure, Jocelyn Wallis, Leanna O'Halleran i może Kacey Lambert, a także inne... mogły być spokrewnione? Mieć tego samego ojca? Czy to je łączyło?

Złapała telefon i wykręciła numer Pescoli, która odebrała dopiero po piątym dzwonku. Była wkurzona.

- Co?

- Mam coś.

- No?

- Nie, naprawdę coś mam - powiedziała Alvarez. - Wrócisz na posterunek?

- Mam tu sporo do pokrzyczenia - odparła. - Naprawdę sporo. -Wrzasnęła do kogoś po drugiej stronie.

- To krzycz szybko - odparła Alvarez, a potem rozłączyła się, rozważając, do czego się zabrać.

Czy te wszystkie kobiety - ofiary - były poczęte w tej samej klinice leczenia bezpłodności? Czy ich matki mogły wykorzystać tego samego dawcę? Dawcę siedem dwa siedem?

Ale co by to oznaczało? Nawet jeśli to prawda, to co to znaczyło? Czemu umierały? Czemu je zabijano?

Czy...

Czy w ogóle je zabijano...

Ale właśnie tak myślisz, prawda? Coś w tym jest. Wiesz, że coś w tym jest. Bez względu na to, czy Pescoli ci wierzy, czy nie.

Złapała telefon i zadzwoniła do laboratorium, ale znów ją odprawili z kwitkiem. Rozłączyła się i zadzwoniła wprost do Ashley Tang.

- Potrzebuję wyniki DNA na wczoraj. Czy w tym laboratorium nie ma nikogo, na kim można polegać?

Lekarka medycyny sądowej odparła:

- Pracują nad tym. Wiesz, jak jest.

- Nie obchodzi mnie, jak jest! Potrzebuję odpowiedzi.

- Cóż, już coś dla ciebie mam. Nie DNA, ale jakieś wyjaśnienie.

- Dawaj.

- Pamiętasz tę truciznę znaną w organizmie Jocelyn Wallis? Sądzę, że była w kawie.

- Rozmyślnie? Nie przez przypadek?

- Raczej rozmyślnie.

- Miała ją zabić?

- Nie sądzę. Dawka była za mała, ale z drugiej strony w słoiku z kawą mogło być tego jeszcze sporo. Jeszcze nie sprawdzaliśmy.

Alvarez pomyślała o Kacey Lambert. Mikrofony. Może Jocelyn też była podsłuchiwana? Ale morderca usunął pluskwy, nim sprawdzili mieszkanie?

- Sprawdzę jeszcze jedną kawę - powiedziała Alvarez. - Dzięki. Wkrótce się do ciebie odezwę.

Tym razem gdy się rozłączyła, czuła, jak krew szumi jej w uszach. Czyżby doktor Lambert była na celowniku mordercy? Na to wyglądało.

- Pescoli. Wracaj tu! - powiedziała głośno.

- Zawsze przesadzasz - stwierdził Jeremy, rzucając jej ponure spojrzenie z kanapy. Uniósł telefon. - To tylko zdjęcie. Nie ma w nim nic złego.

- Gdyby zobaczył je ojciec Heidi, to raczej by się z tobą nie zgodził - odparła Pescoli.

- Pokazałaś mu je!

- Jak miałam to zrobić? Jest w twoim telefonie. Ale wie o nim. Skup się. Przesyłanie takich zdjęć netem to nie jest dobry pomysł.

- Ale to przecież nie jest nielegalne.

- Nic takiego nie powiedziałam. Mówię tylko, że to nie jest dobry pomysł. I tyle.

- To tylko mój telefon. Mój. Który sprawdzasz bez pytania. To jest naruszenie prywatności!

- Naruszenie prywatności? - Pescoli machnęła ręką wskazując z oburzeniem otaczający ją bałagan będący efektem grania Jeremy'ego - puste puszki po napojach, talerz z resztką jego kanapki z serem - a może Bianki - to trzeba było jeszcze ustalić. Kilka par butów rozrzuconych po podłodze. - Wszystko, co robisz, jest naruszeniem prywatności.

- Świetnie. Wyprowadzę się. - Ruszył do sypialni.

- Dzięki Bogu! Jednak mnie wysłuchał!

- Mamo...? - rozległ się głos Bianki. Pescoli poszła do pokoju córki.

Bianca leżała w łóżku. Spojrzała na nią okrągłymi, lekko zapłakanymi oczami.

- Czemu Chris nie może przyjść?

- Może, gdy tu jestem.

- Ale chcę, żeby teraz tu był. Przynosi mi wodę.

- Dam ci szklankę wody. Jadłaś kanapki?

- Jakie kanapki?

- Jeremy! - wrzasnęła Pescoli, wychodząc z pokoju Bianki i pędząc do syna.

- Zapytałam ją! Powiedziała, że nie chce! - krzyknął w odpowiedzi. Pescoli wróciła do pokoju córki. Spojrzała na owinięte w koce dziecko.

- A na coś masz ochotę? - zapytała.

- Zupę.

- Może być z puszki?

- Rosół z kluskami.

Ruszyła do kuchni przygotować danie córce, gdy usłyszała:

- Dzięki, mamó - odetchnęła i prawie się uśmiechnęła, przypominając sobie, czemu właściwie ma dzieci.

Pół godziny później była z powrotem na posterunku. Gdy weszła do biura, Alvarez właśnie odkładała słuchawkę.

- Co masz? - burknęła Pescoli, a partnerka streściła jej teorię dawcy nasienia.

- No i? - zaciekała się Alvarez.

Pescoli skinęła głową myśląc nad tym wszystkim.

- Rany - rzuciła. - Co to właściwie oznacza?

- Pracuję nad tym. Ale jest związek. Wspólny mianownik.

- Jeśli...

- Pescoli! - Głos Corta Brewstera brzmiał tak, jakby skosztował czegoś paskudnego.

- Brewster - odparła spokojnie, spoglądając w jego stronę.

- Do mojego biura - a potem, jakby sobie przypomniał, dodał: -proszę.

- Cholera - wyszeptała, po czym ruszyła za zastępcą szeryfa. Brewster nie usiadł za biurkiem, stał za nim, a Pescoli poszła w jego ślady.

- Rozmawiałem z Heidi. Mówi, że nie było żadnych zdjęć.

- Ach...

- Myślę, że może mijać się z prawdą - przyznał. Pescoli uniosła brwi. To nowość. - Nie jest tajemnicą że nie podoba mi się to, iż twój syn spotyka się z moją córką. On jest jak pies w czasie rui i gdybym mógł, to bym mu odstrzelił zad.

- Już raz próbowałeś - przypomniała mu Pescoli.

- Nie mam ochoty, aby kręcił się wokół mojej córki bezrobotny nieudacznik, Heidi zasługuje na coś więcej. On ma na nią zły wpływ. Nie zawsze się zgadzamy, ale musimy ze sobą pracować. Staram się zachować profesjonalizm i tego samego oczekuję od ciebie. - Zamilkł, a gdy Pescoli nie odpowiedziała, dodał: - To wszystko.

Odwróciła się i odeszła, rozgoryczona, sfrustrowana i trochę przytłoczona. Nie, żeby dała to po sobie poznać Cortowi. Cholernik. Nagle zateśniła za Joe. Jak dobrze by było, gdyby był przy niej. Nie byli idealnym małżeństwem, musiała przyznać, że sprawy nie szły najlepiej, gdy zginął. Ale nie obraziłaby się, gdyby to on zajmował się teraz sprawą jej syna. A potem pomyślała o Santanie. Mężczyźnie, którego

kochała. Może powinna się do niego wprowadzić. Na co czekała? By zaakceptowały go jej dzieci? Ha. Nie w tym tysiącleciu.

Próbując zapomnieć o rozmowie z Brewsterem, Pescoli wróciła do Alvarez.

- Mam zadzwonić do rodziców Jocelyn Wallis i spytać, czy jej ojciec był dawcą nasienia?

- Już zostawiłam wiadomość - odparła Alvarez. - Poprosiłam o telefon. Ale sądzę, że nadeszła pora, by iść z tym do Graysona.

Pescoli usłyszała w głosie Alvarez coś, czego wołałaby nie słyszeć.

- O co chodzi z tobą i szeryfem?

- O nic - odwarknęła.

Grayson wychodził już z biura, ale na widok Alvarez i Pescoli, wszedł z powrotem.

- O co chodzi?

- Uważamy, że zgony Elle Alexander i Jocelyn Wallis mają ze sobą związek - odezwała się Alvarez. - Imoże być ich więcej.

- Czy mam usiąść?

- Myślę, że tak - odparła sucho Pescoli. Dwadzieścia minut później Alvarez zakończyła:

- Mamy wiele pytań i kontaktujemy się z krewnymi zmarłych. To raz. Wszystkie ofiary to kobiety. Brenda Morris, matka Elle Alexander, powiedziała, że obydwie dzieci pochodzą od dawcy siedem dwa siedem. Jej syn, Bruce, jest na Florydzie i ma się dobrze. Czy jest na liście? Czy chodzi tylko o kobiety?

- Lista... - westchnął Grayson. - To oznacza, że jest ich więcej.

- Może dużo więcej - przyznała Alvarez.

- W każde cholerne święta Bożego Narodzenia - prychnęła Pescoli. - Czas na mordujących wariatów.

Grayson spojrział na Alvarez, a Pescoli spojrzała na jedno i drugie. Sturgis, pies Graysona, wyczołgał się spod biurka szeryfa, przeciągnął i ziewnął.

- Cholera - zaklął Grayson. - Zdobądźcie więcej informacji. Znów mamy tu seryjnego mordercę na wolności i będę musiał się skontaktować z FBI.

- Spotkamy się dziś z jedną z tych kobiet. - Alvarez wyjrzała przez okno.

- Sądźcie, że jest na liście? - zapytał Grayson. Alvarez spojrzała na Pescoli, a Pescoli na nią.

- Tak - odezwała się Alvarez. - Jestem przekonana.

### **Rozdział 30**

Sala posiedzeń wyglądała podobnie jak reszta budynku. Na szarym dywanie stał długi, przykryty szkłem stół otoczony skórzanymi krzesłami. Na jednej ścianie była wąska niska szafka, nad którą powieszono brązową rzeźbę przedstawiającą lecące gęsi. Dwie pozostałe wewnętrzne ściany były ze szkła, zasłonięte, a jedyna zewnętrzna składała się z okien z widokiem na otaczające góry. Ta część budynku znajdowała się na wzniesieniu, tak że zdawało się, iż sala jest na drugim piętrze.

Jeśli te stonowane kolory i widok miały zapewniać spokój, to wrażenie to zostało zniszczone w chwili, gdy do Kacey dołączył Gerald Johnson z dziećmi. Kacey posłano kilka spojrzeń, a chociaż niektóre były ciekawskie, to raczej nikt nie był zaskoczony.

Najwyraźniej Clarissa ostrzegła już wszystkich. Usiadła na prawo od ojca, zupełnie jak apostoł Jan na *Ostatniej Wieczery* Leonarda da Vinci. Wyciągnęła laptop, jakby to było zwyczajne spotkanie biznesowe, i zamierzała robić notatki albo przedstawić zebrane wiadomości.

Rzuciła okiem na Kacey, która usiadła naprzeciwko niej, a w jej wzroku widać było niechęć. No cóż. Była uosobieniem złośliwej, apodyktycznej pierworodnej, a kilka chwil z Kacey nie mogło tego zmienić. Krótkie włosy Clarissy były prawie czarne, z pasmami koloru pomiędzy krwistoczerwonym a fioletem, miała na sobie supermodny czarny garnitur i sięgającą kolan spódnicę.

Nim ktokolwiek zdążył się odezwać, do sali weszło dwóch mężczyzn. Bliźniacy, których nie było w biurze, dotarli. Byli w spodniach w kant, eleganckich koszulach i sportowych płaszczach. Pierwszy, o rozczochranych włosach i cieniu zarostu na kwadratowej szczęce, podszedł do Kacey i posłał jej ciepły uśmiech. Miał lekko skrzywiony nos, jakby był przynajmniej dwa razy złamany.

- Colt Johnson - przedstawił się, zupełnie jakby szykował się do rozmowy o sprzedaży. - Słyszałem, że jesteś naszą zaginioną siostrą.

- Niezupełnie - odparła Clarissa, ale ją zignorował.



Z tymi błękitnymi oczami i lekko falującymi włosami był bardzo podobny do ojca, tylko trochę bardziej wytworny. Ostrzejsze rysy miał po matce.

- Nie przejmuj się, Clarrie - ostrzegł, a ona prychnęła z niechęcią, gdy się uśmiechnął.

- Jestem Kacey Lambert. - Uścisnęła mu rękę. Colt uniósł grubą brew.

- No Kacey, wybrałaś sobie straszną rodzinę.

- Naprawdę?

- O tak. - Colt usiadł obok Kacey, a drugi bliźniak, krocący tuż za nim, przestawił się jako Cameron. Chociaż wyglądał tak samo jak Colt, dopiero się ogolił i był gładko uczesany.

- Tak dla jasności, ja jestem tym mądrzejszym bliźniakiem - powiedział, a jego brat wybuchnął śmiechem.

Clarissa zacisnęła zęby.

- To nie jest śmieszne.

- Oczywiście, że jest - odciął się Colt. - To cholerna zabawa. Witamy w rodzinnym cyrku Johnsonów.

Cameron uśmiechnął się lekko i skinął głową. Clarissa ściągnęła usta.

- Dobrze się bawisz? - spytał Cameron, ale zdawało się, że jego pytanie skierowane jest do wszystkich.

Gerald potrząsnął głową...

- Po prostu usiądź - zaproponował.

Cameron usiadł, zostawiając jedno wolne miejsce obok Clarissy, dokładnie naprzeciwko Colta, w chwili gdy przybył czwarty brat. Judd.

Rozpoznała go na podstawie zdjęć, które widziała. Był najwyższy z dotychczas przybyłych, miał szersze ramiona niż bliźniaki. I podczas gdy oni mieli budowę baseballistów, to on nadawał się na rozgrywającego. Miał krótkie włosy, tak czarne, że prawie niebieskie, i był gładko ogolony. W czarnym garniturze, świeżej białej koszuli wyglądał w stu procentach na prawnika korporacyjnego. Chociaż delikatnie rozluźnił krawat. A gdy na nią spojrzał, w jego błękitnych oczach czaił się niepokój.

Gerald powiedział:

- Judd, to jest...

- Acacia. Wiem. - Uściskał jej rękę. Był znacznie poważniejszy niż bliźniaki, gdy dorzucił: - Powinienem chyba powitać cię w rodzinie, ale nie wiem, czy to taki dobry pomysł.

- Tak?

- Zobaczysz - powiedział, uśmiechając się lekko i siadając na lewo od ojca.

Gerald spojrział na zegarek, a potem na córkę.

- Czy ktoś powiedział Robertowi? - zapytał, ale nim odezwała się Clarissa, otworzyły się drzwi i wszedł mężczyzna, którego Kacey nie rozpoznawała.

Na pewno Robert Lindley. Gerald dokonał prezentacji:

- Robert, to Acacia Lambert. Twoja przyrodnia siostra.

- Tak, słyszałem. - Skinął jej głową po czym usiadł obok Clarissy, a chociaż przypominał swoje przyrodnie rodzeństwo, w jego rysach brakowało tej wytworności, którą widać było u większości dzieci Noreen Johnson. Czoło Roberta było większe, wypuklejsze, pojawiły się zakola, chociaż w jego brązowych włosach nie było widać siwizny. Miał też niebieskie oczy, ale nos szerszy niż przyrodni bracia, brwi szersze i wyraźniejsze, a skórę bledszą. Z budowy był podobniejszy do Judda niż bliźniaków. Wysoki, muskularny, sprawiał wrażenie, jakby ćwiczył w każdej wolnej chwili.

- Gdzie Thane? - zapytał Gerald, pragnąc jak najszybciej zacząć.

- Nie mam pojęcia. Zostawiłem mu wiadomość - odparł Robert.

- Był tutaj - odezwał się Judd. - Widziałem go niecałe dziesięć minut temu. Parkował.

- Pojawi się, jak się pojawi. - Clarissa najwyraźniej miała serdecznie dość zachowania młodszego brata. - No to zaczynamy. Acacia Lambert. - wskazała Kacey. - Wasza przyrodnia siostra. Jej matką jest Maribelle Collins. Twierdzi, że do niedawna nie wiedziała o tym, że nasz ojciec jest też jej ojcem.

- Sądzę, że ja się tym powinienem zająć, Clarisso - przerwał Gerald.

Streścił szybko romans z matką Kacey, powiedział, że zdawał sobie sprawę z istnienia córki i ucieszył się, że została lekarzem, a także przyznał, że zna jej byłego męża, znanego kardiochirurga J.C. Lamberta. Ze wszystkich informacji to ta sprawiła, że Kacey się skrzywiła, ale starała się zachować niewzruszoną minę, chociaż wszyscy wokół byli coraz bardziej spięci. Gerald przeprosił swoje dzieci i zapewnił, że do-

gada się z ich matką, chociaż najwyraźniej nie mówił o Janet Lindley, matce Roberta.

Dziwnie się go słuchało, a Kacey zastanawiała się, ile z tego płynie z głębi serca, a ile jest udawane. Wyglądało na to, że wszyscy hamują emocje, włącznie z Kacey, podczas gdy w środku gotowała się ze złości na tego mężczyznę, o którego istnieniu jeszcze kilka dni temu nie wiedziała.

- Ale Acacia nie przyjechała tu tylko po to, by poinformować mnie o tym, że znalazła mnie oraz was. Ma inny problem. - Twarz mu się skurczyła, gdy wyciągnął z kieszeni zdjęcia martwych kobiet i położył je na stole. - Wszystkie te kobiety są do siebie podobne. Właściwie są bardzo podobne do Acacii i mają podobne cechy do was.

Acacia uważa, że te kobiety również mogą być waszymi przyrodnymi siostrami i zamierza tego dowieść. Chciałbym, abyście wiedzieli, że chociaż technicznie może to być prawda, to nie miałem więcej romansów podczas małżeństwa z waszą matką. Tak, spotykałem się z dziewczynami, nim się pobraliśmy, ale biorąc pod uwagę wiek tych kobiet, to prawdopodobnie, jeśli jestem ich ojcem, wynika to z tego, iż byłem kiedyś dawcą nasienia dla miejscowego banku spermy.

Jego dzieci, uprzedzone wcześniej przez Clarissę, nie okazały podczas tej przemowy zaskoczenia, a gdy wyjaśniał dalej, w ogóle przestały zwracać na to uwagę. Dopiero gdy wspomniał o tym, że Shelly Bona-venture, Jocelyn Wallis i Elle Alexander mogły zostać zamordowane, wyprostowały się i przybrały stanowczy wyraz twarzy.

Kacey przyglądała się wszystkim twarzom, ale wyglądało na to, że nikt nie słyszał o tej kwestii wcześniej.

Clarissa uniosła nagle dłoń, jakby zatrzymywała ruch.

- Czy ona... czy ty - poprawiła się, skupiając wzrok na Kacey - masz na ten temat jakąś dziwną teorię? Że jakiś drań, jakiś zabójca, na razie nieznany, załatwia dzieci rozplodowca? Dzieci rozplodowca, którym może być mój tata?

- Clarissa! - wysyczał Gerald.

Nim Kacey zdążyła odpowiedzieć, otworzyły się drzwi i do środka wszedł Thane. Miał taką budowę jak Judd, ale nie był równie wysoki i sądząc z postawy, taki poważny, jak jego brat.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział nonszalancko, po czym usiadł po drugiej stronie stołu niż ojciec. Przyjrzał się Kacey i powiedział:

- Ty jesteś Acacia.  
- Wszyscy mówią na mnie Kacey.  
- Niech będzie Kacey.  
- Jest córką Maribelle Collins i taty - dodała Clarissa. Thane wzruszył ramionami.  
- Tak powiedziałaś w wiadomości.  
- No to jest coś więcej. - Clarissa znów zmierzyła Kacey spojrzeniem. - Ona ma jakąś szaloną teorię według której, tata, który jak się okazuje, był dawcą spermy na studiach, ma więcej „dzieci”. - W powietrzu nakreśliła cudzysłowy długimi, czerwono zakończonymi palcami. - Isą one wykańczane według jakiegoś diabolicznego planu. Cemu Acacia postanowiła przekazać nam tę informację, pozostaje tajemnicą i dlatego wszyscy się tu zebraliśmy.  
- Czy tak? - Na cienkich wargach Thane'a pojawił się delikatny uśmiech.  
Był w dzinsach i swetrze, włosy miał wciąż mokre od śniegu i nie zamierzał ukrywać tego, że uważa całą sytuację za zabawną albo absurdalną, albo wręcz jedno i drugie.  
- Ogólnie rzecz biorąc, tak - odezwała się Kacey. - Zdjęcia na stole przedstawiają kobiety, które sądzę, że zostały spłodzone przez Geralda. Wszystkie niedawno zginęły. Przypuszczalnie zostały zamordowane.  
- Znam tę! - zawołał nagle Thane, wskazując Shelly Bonaventure. - Widziałem ją w filmie lata temu.  
- Ty i jeszcze jedna osoba - prychnęła Clarissa. Thane zmarszczył brwi.  
- Myślałem, że popełniła samobójstwo.  
- Taka jest wersja oficjalna - odezwała się Kacey.  
- Czyli teraz oficjalna wersja jest niezgodna z prawdą? - zapytał Judd. - Czy tak mówi policja?  
- Nie policja z Los Angeles, tylko biuro miejscowego szeryfa. A te kobiety - wskazała Elle Alexander i Jocelyn Wallis - pochodzą stąd. Jocelyn i Shelly urodziły się w Helenie, a Elle jeszcze sprawdzam.  
- To, że ludzie są do siebie podobni, nie oznacza, że są spokrewnieni - zauważył Cam.  
- Czy policja powiązała te zgony? Czy uznano je za morderstwa? -zapytał Judd.  
- Nie sądzę. Gdyby policja myślała tak jak ona, to już by tu była. -Robert nie spuszczał wzroku z Kacey i czuła jego nienawiść. Najwy-

rażniej weszła na teren, który Robert Lindley uznawał za swój i wcale mu się to nie podobało. Ani nikomu innemu.

Rozgorzała dyskusja. Wszystkie dzieci Geralda odniosły się sceptycznie do Kacey i jej teorii. Podejrzewała, że głównie obawiali się, iż zacznie stawiać żądania. Clarissa była nieprzyjemna, Cameron zjadliwy, Judd poważny, chociaż nieufny, słuchał tego, co Kacey ma do powiedzenia, a jego pytania były wyważone, bez krytyki, jak jego siostry czy Roberta Lindleya.

Thane nie mówił wiele, był najbardziej otwarty i w ciszy obserwował wymianę zdań. Czasem uśmiechał się, ale pod tą fasadą był wciąż niepokój. On także wątpił w jej słowa.

Robert dalej się denerwował.

- To idiotyczny pomysł. - Spojrzał na nią zimno. - Jak ktoś mógłby ustalić, że te kobiety są dziećmi Geralda? Bez testów DNA, albo jakichś przecieków z kliniki, skąd zabójca mógłby w ogóle wiedzieć, kogo wybrać?

- Ważniejszym pytaniem jest: po co - stwierdził Judd. Gerald znów zabrał głos.

- Klinika jest od lat zamknięta. Kto wie, gdzie przekazano informacje? - Chociaż dzieci słuchały go, wszystkie miały własne zdanie na temat tego, po co przybyła do nich Kacey i co chciała osiągnąć.

I żadnemu z nich się to nie podobało.

Czuła jak falami napływa od nich niechęć i przez kilka minut nawet ona miała wątpliwości.

- A co ma do powiedzenia policja? - zapytał Cameron i poczuła, jak wszystkie oczy spoglądają na nią.

- Badają to. Tylko tyle wiem.

- Wiec oni też się tutaj pojawią! - prychnęła Clarissa. - Tego nam tylko brakuje. Teraz, gdy patenty wygasły, konkurencja depta nam po piętach, czego jak czego, ale złej prasy nie potrzebujemy. To zachęci klientów do odejścia do konkurencji.

- To nie ma nic wspólnego z firmą - odezwał się Gerald. - To sprawa prywatna.

- Powiedz to Internetowi, blogom i miejscowym gazetom. To koszmar.

- Sądziłem, że ważne, aby o nas mówiono, bez względu na to, co mówią - odezwał się Cameron.

- Tak, ale jesteś kretynem. - Clarissa nie cofnęła się ani na moment. Jako kobieta z tytułem magistra ze Stanford, pierworodna, w rodzinie samych mężczyzn, była na pewno twarda.

Colt wyprostował się na krześle. Zamiast bronić brata, skupił się na kobietach, które zginęły.

- Czy są jeszcze jakieś ofiary?

- Tak sądzę - powiedziała Kacey, ale nie miała na to dowodów.

- Na początek trzeba zrobić testy DNA - dodał Judd. - Możemy o tym dyskutować cały dzień, ale dopóki nie ustalimy, czy te kobiety -popukał w stół - rzeczywiście są biologicznymi dziećmi taty, to cała ta rozmowa nie ma sensu.

- Judd ma rację - przyznał Colt.

Reszta nie była już taka zgodna i skupiała się na tym, że Kacey przyjechała narobić im kłopotów, żądać pieniędzy albo jedno i drugie.

- Więc po co tu przyjechałaś? Żeby nas sprawdzić? Ostrzec? Oskarżyć? - dopytywał Cameron. - Bo nie rozumiem.

- Bo tu nie ma czego rozumieć. - Clarissa zmarszczyła brwi. -Wie o firmie.

- Nie o to chodzi - odparła Kacey. - Uznałam, że powinniście wiedzieć, że ktoś morduje ludzi, którzy są z wami spokrewnieni.

- A kto to może być? Kto włożyłby tyle wysiłku, by znaleźć potencjalne dzieci Geralda z banku spermy, a potem zabijać je, pozorując wypadki? - powiedziała Clarissa, chowając laptop do torby. - To szaleństwo. I moim zdaniem powinnaś się z tym zgłosić do wariatkowa.

- Chwileczkę - odezwał się Gerald. - Nie bądźmy nieuprzejmi.

- A Clarissa umie inaczej? - zdziwił się Cameron. - Bo nie sądzę.

- Dość tego! - przerwał Judd, w końcu nie kryjąc zdenerwowania. - Nie musimy się wzajemnie obrażać. - Odwrócił się, by móc obserwować minę Kacey. - A więc chciałaś nas ostrzec.

Żołądek jej się skręcił, próbowała opanować emocje.

- I chciałam was spotkać. Byłam ciekawą jak wygląda ojciec, którego nigdy nie znałam i jako jedynaczkę fascynowała mnie idea rodzeństwa.

Clarissa potrząsnęła głową jakby chciała dać do zrozumienia, że ma ważniejsze sprawy na głowie, a Kacey tylko marnuje jej czas. Colt i Judd milczeli.

Cam zdawał się znudzony, a Robert był tak spięty, że jego szczeka aż pobieliała. Gerald także czuł napięcie i chociaż starał się okazywać spokój, zaciskał rękę na stole.

- Powodem, dla którego was odkryłam, był fakt, że tyle kobiet podobnych do mnie przebywa w Grizzly Falls. Kiedy mieszkałam w Seattle, nie spotkałam nikogo, kto byłby do mnie choć trochę podobny, a kiedy przeprowadziłam się tutaj, nagle są wszędzie. Dwie... trzy... cztery... to naprawdę dziwne. Nie pomyślałabym nawet o Shelly Bonaventure. I chociaż widziałam jej twarz i zauważyłam pewne podobieństwo, to ona mieszkała w Los Angeles. No i co z tego? Nawet gdy ludzie mówili mi, że jesteśmy podobne, nie uważałam tego za dziwne. Ale inne... - Spojrzała na zdjęcia na stole. - To one sprawiły, że się tym zajęłam.

Wyjaśniła, jak pomyłono ją w szpitalu z Jocelyn Wallis, że Shelly Bonaventure jest jej sobowtórem i jak ją zaniepokoiło to, że zaczęły umierać. Nie wspominała o tym, że jej dom jest na podsłuchu ani że ma wrażenie, iż ktoś ją śledzi. Już i tak część z nich uważała, że coś jej się pomieszało. Nie chciała, aby uznali ją za kompletną wariatkę.

Gdy skończyła, odezwała się ze wściekłą miną Clarissa.

- I co teraz? Przyjechałaś. Spotkałaś się z nami. Przedstawiłaś ojcu. Niesamowicie pokręciłaś życie naszej matki, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, że nigdy właściwie nie zaakceptowała Roberta jako naszego przyrodniego brata.

Robert prychnął, ale nic nie powiedział.

- Pewnie chcesz teraz, żeby zatrudnić cię w naszej firmie. A może chcesz przyjechać na świąteczny obiad? W gruncie rzeczy to mogłoby być nawet zabawne.

- I to jak - dodał Cameron. Kacey wstała.

- Myślę, że chciałam po prostu potwierdzenia. Dowiedzieć się więcej o sobie i powiedzieć wam, co się dzieje, że ludzie spokrewnieni z Geraldem Johnsonem giną.

- To tylko teoria - przypomniał jej Robert.

Skupiła się na nim jako jedynym nie w pełni związanym z rodziną.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia. W odróżnieniu od tego, co sądzicie - dodała, spoglądając na Clarissę - mam własne życie. I jest całkiem niezłe. I chciałabym, aby takie pozostało.

Już miała wyjść, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł wysoki, mający pewnie z metr dziewięćdziesiąt mężczyzna. Przystojny, o ostrych rysach i niebieskich oczach, rozejrzał się po pokoju i zatrzymał wzrok na Clarissie.

- Sądziłem, że spotykamy się dziś z budowlańcami - odezwał się niezadowolony.

- Wyjątkowa sytuacja rodzinna. - Clarissa zacisnęła usta, ale zebrała swoje rzeczy i zasunęła torbę na laptop.

- Jeszcze minutka, Lance - dodał Gerald.

Lance? Czyżby ten Lance, który zostałby „wybebeszony”, gdyby Clarissa przyłapała go na zdradzie? To byłby niezły wyczyn, pomyślała Kacey, bo mężczyzna wyglądał na twardego jak kamień. A może bardziej. Zupełnie jak ktoś, kto poluje z łukiem, wspina się na skały i dla rozrywki bierze udział w zawodach Ironmanów. Na tym potężnym ciele nie było ani śladu tłuszczu, a na ładnych rysach śladu uśmiechu.

Kacey podeszła do szafy, w której powiesiła płaszcz.

- Skończyłam - odezwała się w powietrze i wsunęła ręce w rękawy. - Możecie zatrzymać zdjęcia.

Lance, patrząc na nią z ciekawością zrobił jej miejsce, by mogła przejść.

To była tylko firma, pomyślała, ale jej rodzeństwo zachowywało się tak, jakby to było Cesarstwo Rzymskie Narodu Johnsonów a nie firma rodzinna.

Była zmęczona. Właściwie nic nie osiągnęła, jeśli nie liczyć tego, że Gerald i jego dzieci przestali być tylko dwuwymiarowymi obrazami z Internetu. Byli realni i miała wrażenie, że rozumiała ich trochę lepiej, co wcale nie było takie dobre.

Przynajmniej teraz wiedzieli o niej i jej misji. Ostrzegła ich, chociaż nie była pewna, czy też są celem. Przez chwilę zastanawiała się, czy któreś z nich mogło założyć podsłuchy w jej domu albo nawet być zabójcą ale na to nie wyglądało. Nawet jeśli najważniejszy w tej zagadce był Gerald Johnson.

Clarissa miała rację co do jednego. Na pewno wsadziła kij w mrowisko. Nie wiedziała, co z tego wyjdzie, ale raczej nie sądziła, aby nawiązała nowe związki rodzinne.

- A czego się spodziewałaś? - zapytała sama siebie, idąc do samochodu.

Buty zapadły jej się w półtoracalowej warstwie nowego śniegu. Naprawdę sądziła, że przyjmą ją z otwartymi ramionami? Albo że zdoła ustalić, które z dzieci Geralda było na tyle szalone, by popełnić morderstwo? I po co?



A może pozostawieni w sali ludzie sami byli celami?

Uznając, że żołądek boli ją z nerwów, wsiadła do samochodu i wyjechała z parkingu. Kilka minut później zadzwoniła do detektyw Alvarez i zostawiła jej wiadomość, że wraca do domu. A potem powtórzyła to Trace'owi. I zapytała o Eliego. Trace odparł, że chłopiec dalej pokasłuje i jest apatyczny, ale na pewno czuje się lepiej. Sąsiadka przysłała i dotrzymuje mu towarzystwa, podczas gdy Trace zajmuje się farmą. Gdy Kacey upewniła się, że z chłopcem wszystko w porządku, opowiedziała Trace'owi, gdzie była i kogo spotkała.

Gdy skończyła, stwierdził:

- Szkoda, że nie powiedziałaś, dokąd jedziesz. Brzmi, jakbyś odwiedziła gniazdo węży.

- Żmij - poprawiła, a on się roześmiał. Na ten dźwięk zrobiło jej się cieplej na sercu. - Musiałam spotkać go sama.

Po spędzeniu części popołudnia pod lodowatym spojrzeniem przyrodniego rodzeństwa miło było porozmawiać z kimś, kto jej ufał i o nią dbał.

- Chcesz, żebym przyjechał do ciebie wieczorem?

- Nie, niech zajmą się tym detektyw Alvarez i reszta.

- Mogę przyjechać. Jeśli Tilly zostanie z Elim, to spotkamy się u ciebie. Jeśli chcesz.

Z oddali dobiegł głos:

- Nie musisz mi wykręcać rąk, Trace. Najwyższy czas, abym pokazała temu młodemu człowiekowi, na czym polegają warcaby.

- Chcę - odezwała się Kacey.

- To do zobaczenia - odparł.

- Świetnie. - I znów jej głupie serce podskoczyło, a Kacey upomniała się, by nie szaleć. Dwa tygodnie temu nawet nie знаła Trace'a O'Hallerana i jego uroczego syna.

Dwa tygodnie temu jej życie było normalne. Toczyło się rutynowo.

A potem kobiety, które wyglądały jak ona, zaczęły umierać. A teraz, w końcu, z Trace'em u boku, nie walczyła już sama.

Gdy skręciła z głównej drogi na zjazd do Grizzly Falls, spojrzała we wsteczne lustro, zadowolona, że nikt jej nie śledzi. Włączyła radio, z ulgą oddalając się od tego chorego kłębowiska, które okazało się jej nową rodziną.

## Rozdział 31

Uspokój się.

Udawaj, że nic się nie stało.

No i poszła do Geralda. I co?

To było nie do uniknięcia. Tak jak policja.

A sprawy będą wyglądały jeszcze gorzej, gdy znajdą kolejną...

Spojrzał na ekran swojego systemu GPS i stwierdził, że Acacia z firmy Geralda pojechała do domu, dokładnie tak, jak przewidywał. A mimo to się niepokoił, ręce mu się pociły. Zagryzał wargę, rozmyślając o wszystkim, co mogłoby pójść nie tak.

Był tak sumienny...

Znów działał. Było tyle do zrobienia, a czas mu nie sprzyjał.

Na wszelki wypadek zamienił znów tablice rejestracyjne na półciężarówce na te skradzione z Idaho. Wycieraczki ściągały śnieg z przedniej szyby, gdy wspominał, jak zaskoczył kolejną. Jechała na biegówkach jedną ze swoich stałych tras. Musiał czekać na pustym parkingu przez kilka dni, nim się pojawiła.

W końcu wczoraj, gdy udawał, że sprawdza sprzęt, podjechała jej honda. Zaparkowała, założyła sprzęt, a on skinął jej na powitanie, gdy ruszała na nartach w las.

Zaczekał, aż zniknęła za zakrętem, po czym ruszył za nią. Szybko i sprawnie. Była wysportowana, zdziwiło go, ile czasu zajęło mu dogonienie jej, ale utrzymywał ją w zasięgu wzroku, aż dotarła do podjazdu wzdłuż strumienia.

Wtedy przyspieszył. Odpychał się mocno, czując, jak wiatr przewiewa mu kominiarkę i szarpie drzewa.

Jego narty mknęły po grubym puchu. Wbijał kijki w śnieg gładkimi, pewnymi ruchami i zmniejszał dystans między nimi. Była jakieś trzydzieści stóp przed nim, blisko strumienia. Widział nawet kabelki od jej iPod'a.

Dwadzieścia stóp.

Kolejny krótki podjazd. Idealnie.

Wbił kijki i mocno się odepchnął.

Pocił się.

Zmniejszał odległość między nimi. Dziesięć.

Uśmiechnął się skryty za kominiarką. Nie słyszała go, nie wiedziała, że za nią jedzie. Była tak zasłuchana, a może pochłonięta pięk-

nymi widokami, czy innymi głupotami, że jechała zupełnie nieświadoma.  
Jeszcze bliżej.

Czubki jego nart prawie dotykały końców jej. Wjeżdżali w głębszy las, gdzie brzozy i sosny zgrzytały na wietrze. Zauważył grubą, pokrzywioną sosnę o obłamanych gałęziach.

Idealna!

Gdy minęła zakręt strumienia, zrównał się z nią. Teraz szusowali równolegle. Zauważyła go, ponieważ w chwili gdy mijali drzewo, wzdrygnęła się. Odwróciła głowę, oczy zrobiły jej się okrągłe z przerażenia, otworzyła usta, by krzyknąć, a on ją pchnął.

Mocno.

Prosto w starą sosnę.

Teraz, gdy myślał o przerażeniu na jej twarzy, obrzydliwym odgłosie ciała uderzającego o korę, zgrzycie głowy rozbijającej się o wystającą gałąź, znów się uśmiechał.

O jedną Uzurpatorkę mniej na świecie. A teraz, pomyślał, wracając do rzeczywistości, zajmie się tą którą należało lata temu. Zapiekle go blizna, podczas gdy z głośników płynęła kolęda.

- Chrzanieni Trzej Królowie - wyszeptał, czując to podniecenie wynikające z oczekiwania na to, co miało nadejść.

Acacia.

Boże, chciałby ją zerznąć. Tylko po to, by pokazać, co może... No ale samo zabicie jej mu wystarczy. Obserwowanie, jak zaskoczona rozpoznaje go, jak oczy jej się rozszerzają z przerażenia, gdy uświadamia sobie, że on zaraz pozbawi ją życia.

Poczuł, jak kutas mu twardnieje. Jęknął i powoli wypuścił powietrze, rozluźniając palce na kierownicy. Znów musiał zaparkować z dala i podejść na raketach śnieżnych. Idealne rozwiązanie, bo padający śnieg będzie doskonałą zasłoną i ukryje jego ślady. Uśmiechnął się i ruszył w stronę wzgórz. Znał doskonałe miejsce.

- A więc to tyle? - dopytywała Alvarez rozmawiająca przez zestaw głośnomówiący. - Czarna farba, którą można kupić dosłownie wszędzie?

- Przykro mi. - W głosie Gusa nie było ani krztyny żalu. - Jest to co jest, czyli czarna farba matowa Premium, numer trzy zero osiem. Nie zmienili składu od piętnastu lat.

Rozmawiali o śladach farby znalezionych na samochodzie Elle Alexander i okazało się, że nie jest to lakier odpowiadający jakiemuś modelowi samochodu, ale farba ze sprayu, którą można było kupić wszędzie i użyć do wszystkiego, od malowania mebli, poprzez grille, a na modelach samochodów kończąc.

- Świetnie.

- Hej, robiłem, co mogłem.

- Wiem. Dzięki, Guz. - Rozłączyła się i zaczęła się zastanawiać nad tym, ile sklepów w okolicach Grizzly Falls sprzedawało ten rodzaj farby przez ostatnie piętnaście lat. Jakie miały szanse na to, że znajdą kogoś, kto ją ostatnio kupił? A co, jeśli farbę kupiono w Spokane, Boise albo Missouli? Czy jeszcze gdzie indziej?

Przynajmniej miała te informacje o kawie.

Alvarez była sama. Pescoli odebrała telefon od Jeremy'ego, akurat kiedy wychodziły. Jeremy oznajmił, że przyszedł Chris Schulz, więc musiała wrócić do domu. Alvarez powiedziała jej, żeby nie wracała, ale Pescoli wytłumaczyła jasno, że rozwiąże problem w domu i przyjedzie jak najszybciej. Wyglądało na to, że z jednej strony Pescoli była zła, a z drugiej zadowolona, że brat doniósł na chłopaka siostry. To był prawie znak dorosłości.

Alvarez znalazła dom Acacii Lambert i podjechała długim podjazdem, śladem samochodu na śniegu. Ku przykremu zaskoczeniu, na miejscu był już Trace O'Halleran. Byli też technicy, zaparkowali przy garażu. Jeden z chłopaków, Rudy, stał przed ich wozem, palił i rozmawiał z Trace'em. Partnerka Rudy'ego, Eileen, została w samochodzie, by nie marznąć.

Alvarez zmierzyła spojrzeniem Trace'a. Nie był zabójcą. Dowodziło tego alibi. Ale siedział w tym aż po swoje seksowne oczy, tylko nie wiedziała jak. Jeszcze nie.

O co chodziło z nim i kobietami, które mogły zostać splodzone przez dawcę siedem dwa siedem?

Chwilowo nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Gdy otworzyła drzwi dżipa, usłyszała nadjeżdżający samochód. Chwilę później przed domem zatrzymała się sama doktor Acacia Lambert. Podeszła do zebranych w momencie, gdy Eileen wyszła z samochodu.

Omówili plan przeszukania domu. Mieli znaleźć podsłuchy, spróbować ustalić, z czym się łączą ale nic nie ruszać. Kacey i Trace mieli rozmawiać tak, jakby byli w domu sami, omówić wydarzenia dnia, podczas

gdy technicy będą przeszukiwać wszystkie pokoje, rozglądając się za podsłuchami i może kamerami. A na koniec poszukają odcisków palców.

Kacey liczyła oczywiście, że od razu usuną mikrofony, a Alvarez jej się dziwiła. Ale widziała sens w tym, by je zostawić. Ruszyli na poszukiwania.

Jeśli Trace się pomylił i w domu były jednak kamery, to cała ta szopka i tak była na nic. A jeśli facet był blisko, istniało niebezpieczeństwo, że i tak ich zauważy i domyśli się, że na niego polują. Mógł mieć jakiś punkt obserwacyjny.

Weszli na ganek, ale natychmiast się zatrzymali, słysząc głębokie szczekanie.

- Hej Bonz, to ja! Cicho - zawołała Kacey, ale pies szczekał, dopóki nie weszła do środka. Dopiero wtedy przestał szczyrzyć kły i zaczął machać ogonem i witać się ze wszystkimi.

Chociaż wyglądał agresywnie, zniżył łeb i czekał, aby każdy go pogłaskał.

Kacey wyprowadziła go, a potem nakarmiła i skierowała się do swojego pokoju. Podczas gdy Rudy i Eileen pracowali, Trace i Kacey włączyli kilka telewizorów, by zagłuszyć część hałasu i weszli w rolę.

Alvarez naciągnęła lateksowe rękawiczki, zebrała trochę mielonej kawy, a także nasiona wciąż znajdujące się w młynku i w słoiku, i włożyła je do plastikowych torebek. Nie spodziewała się znaleźć żadnych odcisków palców tego, kto podłożył podsłuchy, ale uważała, że należy być metodycznym. Kto wie? Może im się poszczęści.

Znalezienie dowodów na to, że jakiś wariat chciał załatwić Acacię Lambert, pogrywał sobie z nią i podsłuchiwał, nie oznaczało jeszcze, że jej teoria o tym, iż te zgony są ze sobą powiązane, była prawdziwa. Czy także Acacia Lambert była dzieckiem dawcy siedem dwa siedem? Alvarez zamierzała ją o to zapytać, gdy skończą sprawdzać dom.

Kiedy Kacey i Trace rozmawiali przy komputerze, Alvarez napisała w notatniku krótkie pytanie i położyła go przed lekarką.

„Czuła się pani ostatnio źle?”

Trace O'Halleran zmarszczył brwi i zaczął wodzić wzrokiem od jednej kobiety do drugiej.

Kacey zawahała się, a potem odpisała. „Żołądek”.

Alvarez napisała na to:

„Może trucizna. W żołądku Wallis znaleziono arszenik”.

- W czym? - powiedziała bezgłośnie Kacey. Alvarez odpisała:

„W kawie. Raczej mała ilość”.

- Cholera - szepnęła Kacey. Mikrofon pewnie tego nie wyłapał. Na jej twarzy pojawił się teraz gniew i napisała szybko:

„Musimy porozmawiać”.

Alvarez skinęła głową i napisała: „w moim samochodzie”. A potem pogłośniła telewizor tak, że nic już nie dało się usłyszeć i zabrawszy opisane i schowane do torebek kawę, dzbanek i młynek, przeszła przez kuchnię na zewnątrz.

Wiatr był mocny, śnieg zaczął, a gałęzie tłukły o dach. Otworzyła samochód i weszła do środka. Chwilę później pojawili się Trace i Kacey.

- Dobrze, tu jest bezpiecznie - powiedziała Alvarez, włączyła silnik i zignorowała radio. Trace wyciągnął się na tylnym siedzeniu, Kacey usiadła obok kierowcy. Alvarez ustawiła nawiew.

- Podejrzewam, że może być pani truta, aczkolwiek pewnie tylko na tyle, by wywołać mdłości. A moje podejrzenia biorą się stąd, że znaleziono ślady arszeniku w krwi Jocelyn. Ten facet z nią pogrywał. W jakiś sposób dosypał to do jej kawy.

- Chory bydlak - stwierdził Trace.

- Sądzi pani, że wsypał też do mojej? - zapytała Kacey.

- Zobaczymy.

- Podejrzewam, że ten „chory bydlak” może być ze mną spokrewniony - powiedziała Kacey, powoli dobierając słowa.

- Jak to? - zapytała Alvarez.

Wtedy Kacey, z pewnymi oporami, opowiedziała im o tym, że jest owocem romansu jej matki i Geralda Johnsona, lekarza. Opowiedziała o swoich odkryciach z tego popołudnia w Missouri, o firmie Geralda, o wrażeniach dotyczących się Geralda i jego dzieci, a na koniec dodała, że Gerald Johnson był dawcą nasienia w nieistniejącej już klinice.

Alvarez milczała chwilę, delektując się uczuciem, że sprawa wreszcie zaczyna być rozwiązywalna.

- Już podejrzewałyśmy, że sprawa związana jest z dawcą nasienia - powiedziała Alvarez, zaskakując tym Kacey i Trace'a. - Dowiedzieliśmy się od rodziców Elle Alexander.

Wyjaśniła im szybko, czego się dowiedziała, a potem spojrzała poważnie na Kacey.

- Ale pani musi zniknąć. Złożyć zeznania na posterunku, a potem zniknąć, ukryć się. Przynajmniej dopóki nie ustalimy, czy jest pani celem i o co chodzi z Johnsonem i jego dziećmi.

- Jeden z nich jest taki jak ja. Robert Lindley. Jego matka też była kochanką Johnsona. A jedno z dzieci, dziewczyna o imieniu Kathleen, zginęła, mając dwadzieścia kilka lat w wypadku na stoku.

- Kolejny wypadek - rzekła Alvarez.

- Sądziś, że też ją zabito? - zapytał Trace.

- Może.

- A co z innymi dziećmi?

- Kathleen zmarła dawno temu. A Agatha, gdy miała osiem lat. Reszta, z tego co wiem, nie otarła się o śmierć.

- I tyle. Ale teraz musi pani przestać bawić się w detektywa. To zbyt niebezpieczne. - Alvarez była niewzruszona. - To nasza robota. Zajmiemy się tym.

- Jezu - jęknęła Pescoli, klękając przy zwłokach narciarki biegowej, która najwyraźniej uderzyła w pień sosny przy brzegu strumienia. Pescoli jechała do domu Lambert, gdy dostała wezwanie.

Zmarła miała rudawe włosy i chociaż twarz była zmiażdżona z powodu uderzenia, to Pescoli poczuła, jak przechodzi ją dreszcz strachu.

Rysy ofiary wypadku, chociaż blade i zamarznęte, były podobne do tych Jocelyn Wallis, Elle Alexander, a nawet Shelley Bonaventure.

- Cholera - rzuciła, gdy fotografowano ciało, a potem schowano do worka i zabrano do samochodu zaparkowanego obok czerwonej hondy zarejestrowanej na Karalee Rierson, która mieszkała dziesięć mil na wschód.

Jakie było prawdopodobieństwo?

Porozmawiała z parą, która znalazła zwłoki, dwudziestokilkuletnimi nowożeńcami, którzy spacerowali po okolicy i trafili na ciało. Prawie ją przegapili, bo była przysypana śniegiem, ale mężczyzna zauważył coś czerwonego pod świeżym śniegiem i poszedł sprawdzić.

Byli przerażeni, ale zadzwonili od razu na policję. Telefon odebrał Kayan Rule i został wysłany na miejsce. Gdy zobaczył ofiarę, posłał po kogoś z wydziału zabójstw. Pescoli była najbliżej, więc podjechała na parking i podeszła ćwierć mili do miejsca, gdzie ofiara zginęła w oczywistym wypadku.

Na miejsce przybyła ekipa techniczna i zabrała się do szukania dowodów, ale Pescoli nie podejrzewała, by wiele znaleźli. Narzędziem

zbrodni było drzewo. Wciąż dostrzegali ślady krwi na wyjątkowo groźnej gałęzi na wysokości twarzy.

To mógł być wypadek. Może narciarz był nieuważny albo się zagapił. Ale Pescoli nie wierzyła w to ani przez chwilę. Uznała, że zmarła okaże się kolejną ofiarą zabójcy, który toczył prywatną wojnę z dziećmi dawcy siedem dwa siedem, kimkolwiek on był.

Nie, zabójca był jeszcze dokładniejszy. Dotychczas atakował tylko kobiety. Brat Elle Alexander, Bruce, zdaniem jego rodziców wciąż żył i miał się dobrze.

Błąd?

Raczej nie.

A teraz, gdy wróciła do swojego dżipa i czekała, aż odholują małą hondę Karalee Rierson, otworzyła komórkę i zadzwoniła do Alvarez. Gdy jej partnerka nie odebrała, zostawiła jej krótką wiadomość.

- Zdaje się, że mamy kolejną.

A potem patrzyła, jak wciągają na lawetę zaśnieżoną hondę.

Kolejny „wypadek”.

Kolejna martwa kobieta.

Pewnie spokrewniona ze starym siedem dwa siedem. Cokolwiek to znaczyło...

## **Rozdział 32**

Otruta?

Truto ją a ona nawet sobie tego nie uświadomiła? Z Trace'em u boku Kacey siedziała na krześle w pokoju przesłuchań na posterunku i słuchała, jak Alvarez mówi o znalezieniu w kawie Jocelyn Wallis arszeniku. Kacey pomyślała o własnych symptomach i o tym, że nigdy nie przyszło jej do głowy, że może chodzić o truciznę. Była lekarzem i zauważyłaby, gdyby objawy były intensywne, ból silniejszy... ale mimo to...

To miało sens.

Teraz.

Przesłuchanie trwało już drugą godzinę. Detektyw Alvarez po ostrzeżeniu ich, by nie mieszały się do śledztwa, zaczęła prowadzić wszystko zgodnie z zasadami. Trace, chociaż udawał, że jest spokojny, był poirytowany, zaciskał mocno szczęki. Podczas rozmowy dwa razy wyszedł z sali, by zadzwonić do Lilly i dowiedzieć się, jak się ma jego



syn. Nie musiał przychodzić z Kacey i nawet proponowała, by wrócił do domu, ale on uparł się zostać.

Alvarez już dwa razy wysłuchała teorii Kacey o zmarłych kobietach spokrewnionych z Geraldem Johnsonem. Gdy pojawiła się jej partnerka, szybko jej to streściła.

- Gerald Johnson - powtórzyła Pescoli, potrząsając głową. - Myślisz, że to też jego sprawa?

Pokazała zdjęcia. Kacey skuliła się w sobie, widząc drastyczne zdjęcia. Ale nie z powodu obrażeń kobiety - w Akademii Medycznej i podczas pracy widziała już gorsze - lecz z powodu tego, co ujrzała poza krwawymi szczątkami. Włosy ofiary, wystające z zakrwawionej czapki, były rudobrazowe, tak podobne do włosów Kacey, jak to tylko możliwe, a otwarte oko było w odcieniu zielonym, ale też pasującym do ofiar.

Gdyby twarz tej kobiety nie została pokiereszowana, to byłaby tak podobna do Kacey, że mogłaby być jej siostrą.

Co, pomyślała ponuro, było pewnie prawdą.

- Znasz ją? - zapytała Alvarez. Kacey potrząsnęła głową.

- Chyba nigdy jej nie widziałam.

- Pytałam jego, - Alvarez wskazała brodą Trace'a, zaglądając mu w oczy.

Trace zacisnął szczęki.

- Nie. - Oddał zdjęcia Pescoli, która wciąż stała przy biurku.

- Kim ona była? - zapytała Kacey.

Pescoli myślała przez chwilę, po czym powiedziała:

- Biorąc wszystko pod uwagę, możemy wam chyba powiedzieć, ale zachowajcie to na razie dla siebie. W tej chwili informujemy rodzinę. Nazywa się Karalee Rierson. Jest miejscowa. Pielęgniarka. Rozwiedziona. Kilka razy. Nie miała dzieci. Przez jakiś czas mieszkała w Oregonie. - Zamilkła na chwilę, jakby coś rozważała. - Dorastała w Helenie.

- Dobry Boże - wyszeptała Kacey. Zrobiło jej się niedobrze. Kto za tym wszystkim stał? Czemu zabijał?

- Doktor Lambert pojechała dziś spotkać się z Geraldem Johnsonem - powiedziała Alvarez, a potem skinęła Kacey, by wyjaśniła wszystko jeszcze raz.

- Pojechała pani na spotkanie z Johnsonem i jego dziećmi, by spróbować wykryć mordercę? - zapytała z poważną miną Pescoli.

Stała oparta o ścianę, pod kamerą.

- Prawdę mówiąc, pojechałam, by się z nimi spotkać, pokazać im zdjęcia i powiedzieć, co wiem. Chciałam zobaczyć, jak zareagują zwłaszcza Gerald, który zdaje się, że wiąże to wszystko. - Znów zrobiło jej się zimno na myśl o reakcji jego i jej przyrodniego rodzeństwa.

Chociaż nie znała ich dobrze, wiedziała, że nigdy się nie zaprzyjaźnią a może nawet nigdy więcej się z nimi nie zobaczy. Jej ciekawość została zaspokojona. I jeśli o nią chodziło, to oni nie byli jej rodziną.

- Gerald zaniepokoił się, gdy pokazałam mu zdjęcia zmarłych i chociaż nie sądzę, aby miał na to ochotę, to przyznał się, że był dawcą nasienia, co nie spodobało się większości dzieci.

- No myślę - wyszeptała Pescoli.

- Od tej pory trzymaj się od nich z daleka - poradziła Alvarez.

- Myślicie, że są niebezpieczni? - spytał Trace.

- Myślmy, że to sprawa policji - powiedziała stanowczo Pescoli. - Oczywiście doceniamy, że udało ci się ustalić, kto był dawcą. My mieliśmy tylko numer.

Omówili spotkanie z klanem Johnsonów, po czym Kacey powiedziała detektywom o Glorii Anders O'Malley, instruktorce fitness.

- Ona wygląda jak pozostałe i urodziła się w Helenie.

- Widziałam ją na siłowni. - Alvarez spochmurniała. - Przypomina pozostałe.

- Na miłość boską o ilu ofiarach albo potencjalnych ofiarach mówimy? - zawołała Pescoli. - To jakieś szaleństwo. - Potrząsnęła głową. - Przepraszam, kontynuujcie.

- Kiedy ustaliłam, że jest więcej takich kobiet jak ja, których ojcem może być Gerald Johnson, postanowiłam się z nim spotkać i zobaczyć, jaki jest. Nie sądziłam, że spotkam jego dzieci, ale gdy Clarissa wpadła do gabinetu ojca i zorientowała się, kim jestem, zwołali rodzinne spotkanie.

- Należało najpierw przyjść do nas - odparła Pescoli.

- Z czym? Jakąś niedopracowaną teorią na temat ludzi, którzy są podobni do mnie i ktoś ich zabija? Kilka dni temu nie wiedziałam nawet, że Stanley Collins nie był moim biologicznym ojcem.

Wciąż pałała złością do matki za tę zdradę.

- Wiesz jeszcze o jakiś potencjalnych ofiarach? - zainteresowała się Alvarez.

- Mam przyjaciółkę, która przegląda dokumenty stanowe. Nie podam jej imienia - postanowiła kryć Rizeę. - Isząc z tego, co zdołałam ustalić, możliwe, że zginęły też inne osoby... Zupełnie jakby ten facet

zaczął lata temu i zataczał coraz mniejsze kręgi, a teraz skupił się na tym kawałku Montany. Kobiety miały wypadki tak daleko stąd, jak w Detroit, na Zachodnim Wybrzeżu, w Seattle i San Francisco. Nie miałam czasu, aby wszystko sprawdzić, ale mam nazwiska, adresy i daty śmierci.

Sięgnęła do torebki i wyjęła kopertę z informacjami od Rیزی. Podsunęła to Alvarez, ale nie puściła brzegu koperty. Detektyw zmarszczyła brwi i położyła palce na drugim jej końcu. W środku były dane bez jakichkolwiek odniesień do Rیزی czy biura, z którego pochodziły, ale wystarczyłoby, aby policja trochę pogrzebała, by ustalić skąd są. Musiała postawić sprawę jasno. - Moja przyjaciółka ryzykowała dla mnie pracę. Musicie obiecać, że nie wpadnie w żadne kłopoty.

- To śledztwo policyjne - przypomniała wszystkim obecnym w salce Pescoli.

Kacey przytrzymała kopertę.

- Kobiety giną. Z tego co wiem, nie zginął żaden mężczyzna, a to jest naprawdę dziwne, biorąc pod uwagę, że Gerald Johnson ma ładnych kilku synów.

- Nikt nie straci pracy ani nie wpakuje się w kłopoty - obiecała Alvarez, a Kacey puściła kopertę.

- Ktoś natychmiast się tym zajmie - powiedziała Pescoli i wyszła z sali.

Alvarez dalej prowadziła przesłuchanie. Gdy spytała, czy Kacey ktoś kiedyś prześladował albo czy działo się kiedyś coś niepokojącego, Kacey przypomniała sobie znów o ataku w Seattle. A potem przypomniała sobie jeszcze wypadek i ostrzeżenie Grace Merchant.

- To pewnie nic takiego - zaznaczyła. - Ale był taki wypadek, czy może prawie wypadek. Raczej stłuczka. Drogi były śliskie i samochód jadący z przeciwka stracił przyczepność i zjechał na mój pas. Duży van, jechał w przeciwną stronę i otarł się o mój zderzak. Zupełnie jakby zrobił to rozmyślnie. I chociaż oczywiste było, że to nie moja wina, odjechał, zamiast zatrzymać się i spisać oświadczenie dla ubezpieczyciela.

Alvarez, która robiła notatki, zapytała.

- Nie widziałaś kierowcy?

- Poza tym, że był mężczyzną o ciemnych włosach, to nie. - Kacey potrząsnęła głową i ujrzała kątem oka, jak Trace się spina. - Właściwie prawie cały czas miał odwróconą głowę. Odniosłam wrażenie, że już go kiedyś widziałam, ale... nie wiedziałam gdzie. Wyglądał jak niektórzy z synów Geralda Johnsona, ale może przesadzam.

- A znasz markę i model samochodu?

- Byłam zbyt skupiona na tym, by utrzymać się na drodze. Duży, raczej krajowy. Chyba Chevrolet albo Ford, ale nie dam głowy. Zauważyłam natomiast, że miał bardzo duży zderzak, jakby stalowy, ale pomalowany na czarno, i mam wrażenie, że miał numery spoza Montany. Jeden z nich to albo trzy albo osiem. A może B? Tylne tablice były bardzo brudne, a nie miałam kiedy jej się przyjrzeć. To wszystko trwało moment.

- A czy jest szansa, że zostało trochę farby z jego zderzaka na twoim samochodzie? - nagle z zainteresowaniem zapytała Alvarez.

- Może... widziałam czarne ślady i wgniecenie na zderzaku.

- Chcielibyśmy zatrzymać twój samochód. Spróbować ustalić, co to za farba. Pamiętasz coś jeszcze?

- Nie... och, ale był świadek! - Czemu nie pomyślała o tym wcześniej. Bo nie wiązała tego z wypadkami. Sądziła, że kierowca nie próbował jej skrzywdzić. Ale teraz...

- Grace Perchant. Wychodziła akurat z psem.

- Rozmawiałaś z nią?

Kacey przypomniała sobie ostrzeżenie Grace: Nie rozmawiaj z nim. To zło. Chce cię skrzywdzić. Próbowła zapomnieć słowa bladej kobiety, ale nachodziły ją w snach.

- Powiedziała, bym nie próbowała go ścigać, że kierowca to „zło”. A gdy zapytałam, kto to, nie potrafiła mi podać nazwiska, tylko że chce mnie skrzywdzić.

- Jak to Grace - stwierdziła Alvarez. - Sprawdzimy to.

Kacey wyciągnęła pęk kluczy i odczepiła od nich kluczyki do samochodu.

- Będę potrzebowała samochodu.

- Jutro oddamy - obiecała Alvarez, odsuwając krzesło i sygnalizując, że przesłuchanie wreszcie się skończyło. - I skontaktuję się z Grace Merchant.

Trace przez większość przesłuchania nic nie mówił, ale wraz z upływem czasu coraz bardziej niepokoił się o bezpieczeństwo Kacey. Gdy dowiedział się, że mogła zostać otruta, i obejrzał upiorne zdjęcia przyniesione przez Pescoli, podjął decyzję.

Otworzył Kacey drzwi i wychodząc za nią powiedział:

- Wróć do mnie.

- Och tak? - Na zewnątrz śnieg padał gęsto, a wiatr wiał od gór. Podczas ich pobytu na posterunku zapadła noc.

- Nie ma mowy, żebyś została sama w domu. Bez względu na to, czy masz psa.  
- Naprawdę? - spytała, ale nawet w półmroku ulicy zauważył, że tylko żartuje.  
- Nie podoba mi się to, co się dzieje - powiedział poważnie.  
- Mnie też nie.  
- Więc bez dyskusji? Spojrzała na niego.  
- Ja nie zamierzam, ale musimy zabrać psa i kilka rzeczy, a rano muszę dotrzeć do pracy.

- Myślę, że dam sobie z tym radę. Moi sąsiedzi, Lilly i Ed Zuków, pilnują wszystkiego aż do mojego powrotu.

Podczas ostatniej rozmowy Tilly powiedziała Trace'owi, że Ed zajął się końmi i byłem, a ona smażyła kurczaka. Trace słyszał w tle syk patelni i głośno nastawiony telewizor. Ed niedosłyszał. Zadowolony, że jego syn czuje się na tyle dobrze, by prosić Tilly, by upiekła mu ciasteczka, trochę się zrelaksował.

Ale ta ulga zniknęła wraz z przedłużającym się przesłuchaniem.

Nie wiedział, kto stał za tymi „wypadkami”, ale fakt, że Kacey miała służyć za kolejny cel, utwierdził go w przekonaniu, że nie powinna zostawać sama. Ktoś dostał się bez problemu do jej domu, możliwe, że ją truł, podsłuchiwał jej prywatne rozmowy i wiedział, kiedy jest sama.

Trace cały się spiał na samą myśl o podsłuchu.

Czy to możliwe, by podsłuchujący był też zabójcą.

Na pewno. Trace nie miał wątpliwości Żadnych. Otworzył samochód i pomógł jej wejść do szoferki. Posłała mu uśmiech z siedzenia pasażera, a on poczuł to charakterystyczne już ukłucie w sercu, które pojawiała się, gdy był przy niej. W innych okolicznościach uznałby, że się zakochuje. Ale tutaj nie mógł o tym nawet myśleć. Nie, kiedy kobiety, które wyglądały jak ona, ginęły. Gdy wsiadł do samochodu, Kacey stwierdziła:

- Nie wiem, czy zostanie z tobą jest dobrym pomysłem.

- Eli byłby zachwycony.

- Nie o tym mówię - posłała mu spojrzenie. - Idoskonale o tym wiesz. Nagle uświadomił sobie, jak mała jest szoferka jego samochodu, jak ich oddechy zaparowują szybę.

- Tak.

Włączył ogrzewanie w samochodzie i ruszył. Jechał powoli za ciężarówką wyładowaną choinkami.

- Po prostu muszę wiedzieć, że jesteś bezpieczna. I dlatego chcę, abyś została u mnie.

- Chcesz mnie chronić.

- Mniej więcej.

Uśmiechnęła się lekko i była to najbardziej seksowna rzecz, jaką w życiu widział.

- Wiesz co, O'Halleran? Może to ja będę chronić ciebie. Albo coś w tym guście.

- Chcę zaskoczyć Geralda Johnsona i zobaczyć, co ma do powiedzenia - powiedziała Pescoli, gdy weszła wraz z Alvarez do jej biura.

- Dobrze. Sprawdziłam wcześniej to i owo. Dokończmy to i pokażmy Graysonowi, żeby mógł skontaktować się z FBI.

- Phi, też mi pomysł - prychnęła Pescoli.

Alvarez złapała zebrane z Internetu dane i potem z Pescoli zaczęły szukać innych kobiet urodzonych od dwudziestu pięciu do czterdziestu lat temu w Helenie, które zginęły w wypadkach. Było tego trochę, ale one wybrały jakiś tuzin.

- To takie dziwne - stwierdziła Alvarez.

- Bardziej niż dziwne. I jest jeszcze mnóstwo do przejrzenia. Jeśli to nasz facet, to strasznie dużo się kręcił.

- Co oznacza, że miał pieniądze i mnóstwo wolnego czasu. Spojrzały na siebie.

- Jedno z dzieci Geralda Johnsona? - zapytała Pescoli.

- Nie najmłodsze. Miałby tylko sześć lat, gdy nastąpił pierwszy śmiertelny „wypadek”.

- Chyba że pierwsze wypadki to prawdziwe wypadki albo to nie nasze ofiary... Te zgony zaczęły się nasilać jakieś piętnaście lat temu, mniej więcej w czasie, gdy najmłodsze dzieci Johnsonów, bliźniaki, miały po dwadzieścia dwa lata, czyli w momencie, kiedy kończyłyby college, jeśli do niego poszły.

- I skończyli na garnuszku tatusia? - zastanawiała się głośno Alvarez. - Ale czemu? I jak ktokolwiek mógł ustalić, gdzie szukać córek siedem dwa siedem?

Skrzywiła się.

- Może podczas pobytu w college'u pracowali w klinice i stamtąd uzyskali informacje?

- Może. Albo wręcz je wykupili, gdy dowiedzieli się, że ojciec był stałym dawcą nasienia dla miejscowej kliniki. Wiesz, co mówią.

- Wszystko ma swoją cenę. Włącznie z danymi osobowymi. - Pescoli pomyślała o swoim synu i jego fascynacji Internetem. Martwiła się, że gra na komputerze i marnuje czas albo szuka pornografii, a co jeśli hakował komputery i włamywał się na prywatne konta?

- Jak sądzisz? Czy któryś z Johnsonów jest maniakiem komputerowym?

### **Rozdział 33**

Drogi były zakorkowane, a śnieg padał nieprzerwanie. Trace'owi i Kacey zajęło ponad godzinę zabranie psa, komputera i rzeczy na noc. Samochód Trace'a poślizgnął się dwa razy, ale udało im się w końcu dotrzeć do starej farmy, którą Trace nazywał domem.

Kacey nigdy wcześniej jej nie widziała, potężnego kwadratowego domu na wzgórzu. Śnieg przykrywał grubą warstwą dach, sople zwisały z okapu, a lodowaty wiatr kołysał drzewami w niewielkim sadzie.

Trace wjechał do garażu na tyłach domu. W oddali widać było budynki gospodarcze, a lampy dawały słabe, wręcz upiorne światło.

Trace złapał torbę Kacey, zagwizdał na jej psa i wysiadł. Bonzi wypełzł za nim i zaczął skakać w śniegu, a Kacey ruszyła za nimi.

Pokonali trzy schodki na szeroki ganek, otrzepali buty ze śniegu i weszli do środka. Natychmiast otoczyło ich ciepło i zapach płonącego drewna i przypraw. Zdjęli płaszcze, a pies zaczął się rozglądać po domu.

- Cześć młody - zawołał męski głos z wnętrza domu. – Ktoś ty?

Rozległo się ostre szczekanie.

- Hej, Sarge. Starczy! Wygląda na to, że masz przyjaciela. - Iśmiech.

- Jak się czuje Eli? - zapytał Trace, wchodząc do salonu, gdzie na kominku płonął ogień, a przed bardzo głośno grającym telewizorem siedziała starsza para. Kobieta robiła na drutach, a mężczyzna przechylał głowę w stronę telewizora.

- Zasnął po obiedzie - powiedziała Tilly, wsuwając motek wełny do torby i przyglądając się uważnie Kacey. Po czym krzyknęła do męża - Ed, ścis� to! Nie słyszę własnych myśli.

Ed prychnął, zamrugał i zrobił tak, jak mu kazano. Ed Zukov był potężnym mężczyzną i jedyne, czego potrzebował, by udawać Świętego Mikołaja, to sztuczna broda i czerwona kurtka.

Trace szybko wszystkich przedstawił.

- Miło mi cię poznać - powiedziała Tilly, ale w jej uśmiechu nie było ciepła. Ed natomiast wstał i szczerze uścisnął dłoń Kacey, a potem usiadł z powrotem na kanapie.

Tilly przekazywała Trace'owi dalsze informacje o synu.

- Biedny chłopiec był wykończony. Pewnie przez te leki.

- Zajrzę do niego - odparł Trace i pobiegł na górę. Sarge i Bonzi pobiegli za nim.

- Ładny pies - rzucił Ed. - Twój?

- Już tak. Adoptowałam go. Ed uniósł siwiejące brwi.

- To pies stróżujący?

- Nie bardzo - uśmiechnęła się.

- Na polowanie? Kacey potrząsnęła głową.

- Bonzi? Nie sądzę. Pewnie nigdy się nie dowiem.

Jakby na dźwięk swego imienia Bonzi zbiegł po schodach i położył się przy kanapie.

- Tak, dobry chłopiec - powiedział Ed.

Sarge, wciąż z kołnierzem na głowie, zwinął się przed kominkiem.

- Czyż on nie wygląda głupio? - wyszeptał Ed i roześmiał się głęboko.

Tilly poklepała męża po kolanie.

- Pora ruszać. Śnieżyca jest coraz gorsza.

Ed podniósł się i skrzywił, próbując nadażyć za żoną.

- Nie robię się młodszy - stwierdził, gdy zbierali swoje rzeczy, wkładali kurtki i owijali szyje szalikami ręcznej roboty.

- I pamiętaj, że w lodówce masz kurczaka, tłuczone ziemniaki, fasolkę i sos.

- To cudowny kurczak, Tilly - uśmiechnął się Ed. W podzięcie żona poklepała go lekko.

- Nie chcę się chwalić, ale on ma rację - uśmiechnęła się i dodała. - Chodzi o paprykę. Colonel ma może swoje jedenaście ziół i przypraw, aleja mam paprykę!



- Nikt już nie pamięta takich starych przypraw! - Ed wskazał brodą Trace'a i Kacey. - Tych dwoje jest za młodych. Zdecydowanie za młodych!

Nałożył kapelusz i wyszedł na ganek, gdzie stały jego buty.

- Dziękuję za opiekę nad Elim i nakarmienie zwierząt - powiedział Trace.

- Nie ma sprawy - odpowiedziała Tilly z uśmiechem, który zniknął, gdy spojrzała na Kacey. Podczas gdy Ed wkładał buty, odciągnęła na bok Trace'a i powiedziała mu coś, patrząc sceptycznie na Kacey.

- Chodź, matko. Ruszamy - zawołał Ed, otwierając drzwi. Do środka wpadł podmuch lodowatego powietrza. - Mario Przenajświętsza, lepiej ruszajmy do domu. W wiadomościach mówili, że będzie okropna śnieżycy i chyba tym razem się nie pomylili. Nabierz wody do wanny i zlewów, na wypadek, gdyby odcięło prąd. Po co ma ci jeszcze wody brakować?

Wyszli, a drzwi zamknęły się za nimi z hukiem. Kacey widziała, jak za oknem wiatr szarpie gałęziami. Śnieg kręcił się jak dziki. Przy ścianie domu i budynków gospodarczych rosły zaspę.

Ed miał rację, zapowiadała się okropna śnieżycy, nawet jak na standardy Montany.

Kiedy starsi państwo odjechali, Trace zamknął drzwi. Kacey wyciągała już z lodówki przygotowane przez Tilly jedzenie.

- Niech zgaśnie - odezwała się, wyglądając zza drzwi lodówki. - Tilly odciągnęła cię na bok, aby cię przede mną ostrzec. Jestem pewna, że uważa, iż trochę za bardzo przypominam twoją byłą żonę.

Trace wzruszył ramionami.

- I Jocelyn.

- Ha. - Zamknęła drzwi. - To teraz ja jestem w tym typie. - Na myśl o tym, jak zginęła Jocelyn, poczuła wyrzuty sumienia. Uświadomiwszy sobie, że jest zmęczona, głodna i ma nerwy napięte niczym postronki, powiedziała: - Przepraszam. Chyba to mój czuły punkt.

- To, że jesteś lekarką, zrobiło na Tilly duże wrażenie.

- No super - skrzywiła się, słysząc jak ostro to zabrzmiało. - Chyba jestem bardziej głodna i złośliwa, niż sądziłam.

- Może to arsenik - zauważył poważnie.

- Nie. Nic mi nie jest. Nawet jeśli znajdą go w kawie, to ostatnio nie piłam jej w domu za wiele. A co z tobą? Wypiłeś filiżankę dziś rano.

Potrząsnął głową.

- Albo nic tam nie ma, albo w porannej porcji mi go nie dałaś.

- To mamy się z czego cieszyć. - odezwała się wesoło.

- To prawda - uśmiechnął się szeroko, aż serce jej podskoczyło. -Dobrze, podgrzeję to.

Sięgnął po naczynia.

- Mogę sprawdzić, jak się czuje Eli?

- Ależ proszę.

Trace sprawdzał, co u syna natychmiast po ich przyjeździe, ale minęło już ponad pół godziny. Bonzi, który zwiedził już cały parter domu i przyjrzał się Sarge'owi, chciał za nią iść, ale kazała mu zostać, a zapach kurczaka zaprowadził go do kuchni. Sarge także usiadł przy stole i przyglądał się uważnie, licząc, że Trace upuści jakiś smaczny kęs. Kacey starała się nie myśleć o tym, jaka bójka rozpęta się, jeśli kawałek kurczaka upadnie na podłogę.

- Bądź grzeczny - powiedziała swojemu psu. U dołu schodów zdjęła buty i weszła na piętro.

Pokój Eliego był po jednej stronie korytarza, obok pustego pokoju, który najwyraźniej służył za składzik. Trzeci pokój był otwarty na oścież, a gdy zajrzała do środka, światło z korytarza ukazało nieużywane meble, plastikowe miednice i pudła.

Łazienka była na końcu korytarza. Obok największej sypialni. Zajrzała do wnętrza i zobaczyła starannie posłane duże łóże i niewielką komodę, na której stał płaski telewizor. Najwyraźniej to był pokój Trace'a.

Po drugiej stronie korytarza, pomiędzy łazienką i składzikiem, były uchylone drzwi i Kacey wywnioskowała z liczby leżących tam zabawek, że tu królował Eli. Uchyliła bardziej drzwi i zajrzała do środka. Syn Trace'a leżał zaplątany w kołdrę, na brzuchu. Oddychał głośno, a ręka w gipsie leżała na poduszce. Weszła do środka, uważając, by nie nadepnąć na żadną zabawkę, ale pod jej stopą zazgrzytała deska. Eli jęknął cicho i przewrócił się na plecy. Zamrugał i uniósł głowę zdziwiony.

- Mamusia? - zapytał sennie. Kacey ścisnęło się gardło.

- Nie. - Usiadła na brzegu łóżka i dotknęła palców wystających z gipsu. - Nie skarbie, to Kacey. Doktor Lambert. Pamiętasz mnie.

Wciąż jej się przyglądał i widziała, jak nadzieja znika z jego twarzy. Zmusiła się do uśmiechu i odgarnęła mu włosy z czoła.

Spojrzał na szafę, była ciemna, z dokładnie zamkniętymi drzwiami, a potem na okno, jakby próbował się zorientować, gdzie jest.

- Ale...

- Już w porządku - powiedziała, gdy zrozumiała jego zawód. Przełknął głośno i przygryzł dolną wargę, by się nie rozplakać.

Kacey też zaczęły piec oczy.

- To jak się czujesz?

- Dobrze.

- Chciałbyś czegoś? - Poza matką?

- Nie. - Potrząsnął głową i opadł na poduszkę.

- To zaśnij spokojnie, a ja zajrzę do ciebie później. Dobrze?

Wyglądało na to, że jest zbyt zmęczony, by z nią dyskutować. Zamknął oczy, owinał się mocniej kołdrą i chociaż przez moment zdawał się jeszcze coś rozważać, po chwili oddychał znów miarowo, pewnie śniąc o tym, że obok jest jego matka. Patrząc na Eliego, Kacey przysięgła sobie, że jeśli kiedyś spotka Leannę, to urwie jej łeb.

Przestań! Może ona nie żyje. Może właśnie dlatego Trace nie może się z nią skontaktować, a ona sprawia wrażenie, jakby porzuciła syna.

Może Leanna też stała się ofiarą wypadku, jak inne. Może po prostu nie znaleziono jeszcze ciała.

Przeszedł ją zimny dreszcz, ale mimo to denerwowała się na kobietę, która porzuciła syna.

Kiedy uznała, że Eli śpi już głęboko, wróciła na dół, skąd rozchodził się zapach kurczaka.

Zaburczało jej w brzuchu, gdy weszła do kuchni. Trace, wyciągając ostrożnie miskę z mikrofalówki, spojrział przez ramię.

- Ijak?

- Był zdezorientowany. Myślał, że jestem Leanną- stwierdziła Kacey.

- Trochę jak Tilly. Uśmiechnęła się na te słowa.

- Twojemu synowi wybaczę. Bierze leki i jest jeszcze dzieckiem. Ale z Tilly... no nie wiem.

- Jakoś się przyzwyczai - odparł.

Podał obiad, a Kacey siadając na zużytych krześle, które miało pewnie co najmniej pięćdziesiąt lat, musiała przyznać, że kurczak Tilly jest przepyszny. Nie jadła lepszego posiłku od obiadu dziękczynnego z Maribelle, a może jeszcze dłużej.

Zjedli w milczeniu. Kurczak był soczysty, a fasolka przyprawiona sosem sojowym i czosnkiem. Nawet tłuczone ziemniaki z masłem i kwaśną śmietaną rozplywały się w ustach i nie potrzebowały sosu, który na nie nalała.

- No dobrze - zgodziła się Kacey, kiedy na talerzu już prawie nic nie zostało. - Muszę przyznać, że umie gotować. I robić na drutach. I chyba mówiłeś, że grać w warcaby?

- I znacznie więcej. Daj jej szansę.

- Jeśli ona da mnie.

- Tu nic nie mogę obiecać - uśmiechnął się. - Wyjdę sprawdzić jak zwierzęta. Upewnię się, że są dobrze zamknięte. Idziesz ze mną?

Wyjrzała za okno.

- Wiesz, chyba sobie daruję - odparła. - Zostanę z Elim i uprzątnę tutaj.

- Nie ma sprawy.

Patrzyła, jak wkłada kurtkę. Co w nim było tak pociągającego? Zawsze interesowali ją profesjonaści, z miasta. Jak JC?

A może chodziło o mężczyzn takich jak synowie Geralda Johnsona? Nie tyle o właściwie o mężczyzn jako takich, ale o tych w garniturach, pod krawatem, spiętych?

- Nie - powiedziała głośno.

Trace z obydwojema psami przy nodze ruszył na zewnątrz sprawdzić czy bydło i konie są odpowiednio przygotowane na noc. Tymczasem Kacey sprzątnęła kuchnię, a potem usiadła z laptopem na kanapie. Telewizor wciąż hałasował tak, że groził utratą słuchu, więc zaczęła grzebać między poduchami kanapy, by znaleźć pilota, i ściszyła.

Na ekranie prezenter opisywał pogodę w Montanie, Idaho i Kanadzie. Machnął ręką wyjaśniając, jak arktyczne powietrze napływa z Saskatchewanu i Alberty, niosąc nawet trzy stopy śniegu, które miały spaść w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

- Wygląda na to, że białe święta nastąpią kilka tygodni za wcześnie - odezwał się wesoło, po czym połączył się z reporterką marznącą przy jakiejś autostradzie. Chwilę później na ekranie pojawiło się zdjęcie Elle Alexander.

- Biuro szeryfa z okręgu Pinewood prosi o pomoc w odnalezieniu samochodu, który mógł zepchnąć minivana dodge'a na miejscowych numerach z drogi do rzeki Grizzly - odezwała się prezenterka, podczas gdy na ekranie pojawiła się rzeczona droga, tuż przed mostem North Fork, gdzie w śniegu leżały kwiaty i stały znicze oznaczające miejsce, gdzie Elle Alexander straciła życie. Chwilę później redaktor informował o śmierci samotnej narciarki, której nazwiska nie podano

jeszcze ze względu na to, iż policja próbuje skontaktować się z jej rodziną.

Kacey westchnęła i wyłączyła dźwięk w telewizorze, wsłuchując się w gwizd wiatru i uderzające o dom gałęzie. Gdy spojrzała na zegar, stwierdziła, że Trace'a nie ma już pół godziny. Uznała, że pewnie zaraz wróci.

Wróciła do kuchni i wyglądając przez okno, zaczęła sobie powtarzać, że musi się uspokoić. Przyjrzała się prowadzącej do obory ścieżce.

Obok była druga, mniejsza, która obiegała dom i prawie zniknęła pod świeżym śniegiem.

Dziwne.

Ale przecież byli tu Tilly i Ed z Elim i Sarge'em. Może któreś z nich wyprowadziło Sarge'a? Pewnie Tilly, biorąc pod uwagę, jak wąska była ścieżka. Nie pasowała do wielkich buciorów Eda.

Tyle że wciąż sypał śnieg, sprawiał, że ślady wydawały się mniejsze.

Hm...

Powtórzyła, że nie może się tym przejmować, nie może pozwolić, aby ostatnie wydarzenia tak na nią wpływały. Tutaj była bezpieczna. Z Trace'em.

A mimo to cały czas miała wrażenie, że coś jest nie tak.

- To tylko nowe miejsce - wyszeptała, żałując, że w domu nie został żaden z psów. Po raz ostatni spojrzała na ścieżkę i wróciła do salonu, gdzie buzujący na kominku ogień trochę ją uspokoił.

Zwinęła się na kanapie, uruchomiła laptop i poszukała więcej informacji o Geraldzie Johnsonie, jego firmie i rodzinie. Twojej rodzinie.

- Nigdy - powiedziała głośno, gdy nagle światła przygasły na moment, ajakaś gałąź zaczęła uderzać w ścianę domu tak, jakby próbowała się wedrzeć do środka.

Znów spojrzała na drzwi i pożałowała, że nie ma z nią jeszcze Trace^<sup>^</sup>. Dręczyły ją te odgłosy - zgrzytanie drzewna, dźwięki typowe dla starych domów, piszczenie i jęki gałęzi ocierających się o siebie. Powtarzając sobie, że nerwy ją zawiodą opanowała atak paniki i skupiła się na poszukiwaniach. Znalazła wszystkich członków rodziny Johnsona i przypomniała sobie wrażenie, jakie na niej zrobili.

Jej ojciec był dla niej zagadką. Silny. Mądry. Wykształcony, stanowczy. Mężczyzna, który rozwiązywał problemy i stawiał czoło wyzwaniom.

Bezwzględny?

Pewnie tak.

Jeśli chodzi o jego pierworodną, Clarisę, to przynajmniej na pierwszy rzut oka zdawała się łatwiejsza do rozgryzienia. Dumna i arogancka, uszczypliwa, a czasem po prostu złośliwa, wyszła za przypominającego Thora Lance'a. Dobrali się jak w kocu maku. Kacey zastanawiała się, czy którekolwiek z nich miało choć odrobinę poczucia humoru. Ale mieli dzieci. Kacey trudno było sobie wyobrazić kogoś mniej matczynego niż Clarissa Johnson Werner, ale widziała ją tylko w gniewie. Miała wrażenie, że chodzi o coś więcej, że Clarissa ukrywa pod tą opryskliwą fasadą jakieś bardziej ponure emocje.

Następny był Judd, spokojniejszy, ale gdy się na niego patrzyło, nasuwało się przysłowie „cicha woda brzegi rwie”. Kto mógł powiedzieć, co on sobie myśli i do czego jest zdolny? Prawnik, jak Thane, ale na pewno był bardziej sztywny, typ korporacyjny, a sądząc z tego, co o nim przeczytała, rozwiódł się, a żona przeniosła się do Portland. Nie miał dzieci.

Thane był zagadką. Cichy. Przyjaźniejszy niż pozostali, lekko rozbawiony. Czarna owca, która jednak nie uciekła. Łobuz, ale nie do końca. Jedyne, który nie był pod pantoflem ojca. Przynajmniej nie całkiem. Nie ożenił się. Może przynajmniej z nim mogłaby porozmawiać. Był najmniej nieprzystępny. Postanowiła to zapamiętać.

Co do bliźniaków, to nie wiedziała, co o nich sądzić. Cameron, który tyle razy przyglądał włosy, odnosił się wobec niej nieprzyjaźnie. Natomiast Colt też nie był bardzo dobrze nastawiony. Uśmiechy, które jej posyłał, były zimne, jakby bawił się jej kosztem. A może tylko jej się zdawało?

Żaden z bliźniaków nie ożenił się, a przynajmniej ona nic o tym nie wiedziała. Ale w gruncie rzeczy w ogóle wiedziała o nich niewiele, zajmowali się sprzedażą w firmie ojca i jeździli po całym kraju i do Kanady. Czy mogli być zboczeni?

- Nie sądzę - wyszeptała, ale postanowiła poszukać głębiej i sprawdzić, czy ich wyjazdy nie wiązały się z miejscami, w których następowały wypadki kobiet, urodzonych dzięki klinice leczenia bezpłodności w Helenie, w Montanie.

- To jakieś szaleństwo - powiedziała, skupiając się tym razem na Robertcie Lindleyu, dziwaku, przyrodnim bracie najbardziej podobnym do niej. Był od niej starszy i nie znalazła żadnych informacji o jakimś małżeństwie.

Oczywiście nie miała wiele czasu, by się zagłębiać w ich życie, ale taka informacja powinna być łatwa do znalezienia. Robert też odnosił się do niej niechętnie. Czowała brak zaufania od chwili, gdy wszedł do sali. Czy wciąż czuł się wykluczony, mimo że przynajmniej w firmie należał do rodziny?

Ale nie spotkała wszystkich dzieci Geralda Johnsona. Dwie z trzech córek zginęły w wypadkach. Aggie jako dziecko, Kathleen, gdy jeszcze była na studiach.

Kacey zaczęła się nad tym zastanawiać.

Ofiary wypadku.

Czy można było o czymś takim mówić, gdy chodziło o córki Geralda Johnsona?

Ale Clarissa. Ona przetrwała. Jak widać była prawą ręką ojca. Jaki to miało sens?

- Żaden - powiedziała głośno, a światła znów przygasły. Przeszedł ją dreszcz i z trudem opanowała wrażenie, że ktoś albo

coś jest na zewnątrz. Coś groźnego, czekającego i obserwującego.

Śnieżyca była okropna! Wiatr trząsał szybami, hulał w krokwiach obory, sprawiając, że bydlę wciąż się kręciło. Bonzi, chociaż wyglądał na groźną bestię, okazał się tchórzem.

- Siedźcie tutaj - powiedział zwierzętom i psu. - Damy sobie radę. Ale Bonzi podkulił ogon pod siebie, gdy kolejny podmuch uderzył

w budynek. Trace zignorował go i zaczął owijać z powrotem rury, które były wystawione na mróz. Musiał się upewnić, że bydlę będzie dostawało wodę, a rura nie pęknie.

Światła błysnęły raz, potem drugi... No super, pomyślał, a jeszcze nawet nie poszedł do koni. Ostatnie, czego potrzebował, to stracić oświetlenie.

Bonzi skulił się ze strachu i jęczał, ale Trace dalej opakowywał rury. Miał nadzieję, że w stajni wszystko będzie wyglądało lepiej.

A więc się rozłączyli. Doskonale.

Ze swojego punktu obserwacyjnego patrzył przez lornetkę na dom i widział, jak starsza para odjeżdża. Przyglądał się O'Halleranowi, jak szedł z obydwoma psami do obory. Jeśli nie liczyć dziecka, to Acacia była teraz w domu sama.

A z chłopcem da sobie radę.

W końcu wszystko szło tak, jak powinno. Znow widział BMW, które jak sądził, śledziło go noc wcześniej. Powtarzał sobie, że tylko mu się wydaje, ale dziś znow mógłby przysiąc, że ktoś za nim jedzie.

Weź się w garść! Widzisz tu kogoś? Słyszysz? Widziałeś jakieś BMW w ciągu ostatnich kilku godzin?

Nie!

Denerwujesz się po prostu, bo właśnie nadeszła ta noc. Czas na zemstę. Już niedługo, za chwilę, życie Acacii będzie w twoich rękach.

Mimo zimna i wiatru poczuł, jak jego kutas twardnieje na myśl o niej leżącej pod nim, wijącej się ze strachu, o oczach wpatrzonych w nóż, którym przetnie jej idealne gardło.

Nie! To nie może tak być. Nie chodzi o seks i nie może być noża. To ma wyglądać jak wypadek. Jak w przypadku innych. Nie możesz teraz przestać. Skup się na planie... ona jest jedną z nich, dzieci Geralda Johnsona, które nie są odpowiednie psychicznie, są ułomne. Wszystkie... pewnie nawet Clarissa. Jej też nie można zostawić, mimo że jest sojuszniczką. W końcu i ona będzie musiała zginąć... Ale teraz skup się. Najpierw musisz ją obezwładnić, potem ogłuszyć O'Hallerana i zaciągnąć do domu. Potem sprawić, aby to wyglądało na morderstwo/samobójstwo, a na koniec spalić doszczętnie dom. Nim dojedzie tu ochotnicza straż pożarna, będzie za późno.

Wpatrując się w okna, zauważył, jak Kacey krąży po domu. Za każdym razem, gdy ją widział, krew zaczynała mu szybciej płynąć na myśl o tym, że to już niedługo. A teraz Acacia była w kuchni i wyglądała przez okno, wprost na niego. Serce mu zamarło.

A potem uświadomił sobie, że ona go nie może zobaczyć przez gęsty śnieg, że nie wie, iż on ją obserwuje i planuje jej śmierć. Zganił się w myślach. Nie rozpraszaj się. Nie pozwalaj, by ogarnęła cię paranoja! Masz misję. Nie pozwól, aby strach czy pożądanie cię rozproszyły... Bądź silny!

Zassał powietrze przez zęby, czując, jak chłód pali mu płuca, zmusił się do jasnego myślenia. Skupić się. A potem znow ją zobaczył i ogarnęła go nowa siła. Zupełnie jakby mógł z nią rozmawiać na odległość.

Prosiłaś się o to, suko. Chciałaś mnie odnaleźć...

Poczuł, jak śmiech wykrzywia mu wargi, gdy tak przyglądał się farmie. Większość okien była ciemna, zwłaszcza tych na drugim piętrze. Przełożył strzelbę z jednej ręki do drugiej i nagle uświadomił sobie,



jak rozwiąże jej kwestię. Znow przeszył go wiatr, a światła w domu przygasły na chwilę.

A ona znow spojrzała w jego stronę. Jej piękną twarz wykrzywiał niepokój, ach, gdyby tylko wiedziała...

Szykuj się Acacio, pomyślał ponuro, kierując się do drzwi domu. Nadchodzę.

Gdzie u licha był Trace? Ile czasu można było zajmować się końmi i bydłem, które Ed już nakarmił?

- No chodź - zawołała i zaczęła się zastanawiać, czy nie ubrać się i iść go poszukać. Ale nie chciała zostawiać Eliego samego. A jeśli znow się zbudzi i zacznie wołać matkę? Czując się jak idiotka, postanowiła zadzwonić do Trace'a na komórkę. Wykreśliła numer i czekała.

Gdy w kuchni rozdzwonił się telefon, aż podskoczyła. A potem uświadomiła sobie, że to telefon Trace'a. Zostawił swój cholerny telefon na blacie.

Nic mu nie jest! Nie może być!

Światła znow przygasły. Tym razem Kacey zabrała się do roboty.

Pamiętając radę Eda, nalala wody do wanny na dole, w kuchni znalazła wiadra i latarkę. Ogień już płonął, a przy palenisku leżało przygotowane drewno. Wróciła do salonu.

Brzdęk!

Rozległo się na górze. Na piętrze.

- Eli? - zawołała, a serce zaczęło jej walić jak młotem. Zaczęła wbiegać po schodach, gdy wysiadł prąd. Natychmiast zrobiło się ciemno i tylko ogień dawał odrobinę światła.

Wcześniej nie zwracała uwagi na syk ogrzewania i szum lodówki, ale teraz zrobiło się kompletnie cicho. Przeróżający spokój przerywany tylko wyciem wiatru i stukaniem gałęzi o ścianę budynku. Czekala, licząc na to, że usłyszy, jak włącza się generator, modliła się, by znow zabłyśły światła, a piec ruszył.

Nic.

I co teraz?

Przejął ją chłód, zupełnie jakby wiatr przedostał się nagle do środka. Dostała gęsiej skórki na myśl o wszystkim, co mogło wydarzyć się w ciemnościach, bez ogrzewania, światła, z szalonym mordercą grasującym po okolicy...

- Przestań - nakazała sobie ostro.

Wymacała drogę do kuchni, gdzie zostawiła latarkę. Stłukła sobie kolano i zakłęła cicho, po czym sięgnęła odruchowo do włącznika. Namacała latarkę i ją włączyła. Słaby strumień światła wskazywał na to, że baterie były na wykończeniu.

Eli

On będzie wiedział, gdzie są baterie. A poza tym musiała go zabrać na dół, by siedział w ciepłe, przy ogniu. Wyjrzała na zewnątrz, ale tam też nie było ani krztyny światła.

- Trace, wracaj! - Światło musiało też wsiąść w oborze i stajni... Na pewno zaraz wróci, a tymczasem...

Weszła na górę przy słabym świetle latarki. Ciemności zdawały się wylewać z każdego kąta. Minęła róg i znów usłyszała uderzenie. Co to do cholery było? Eli?

Próbując opanować strach, wbiegła po pozostałych schodach i wskoczyła do pokoju Eliego. W łóżku nie było nikogo. Koce leżały na podłodze.

- Eli! - krzyknęła, rozglądając się wokół jak szalona. - Eli! Otworzyła szafę, ale nie było tam nic poza ubraniami. Pobiegła do

łazienki i pokoju Trace'a, a światło latarki bladło z każdą chwilą. Nigdzie nie było śladu chłopca.

- Eli! - O Boże, gdzie on się podział?

Wpadła w panikę. Strach łapał ją za gardło, a pot oblewał mimo chłodu. Zajrzała do trzeciego pokoju, sprawdziła za meblami, pod narzutami, przejrzała pudelka i sprawdziła pod łóżkiem. Co jakiś czas wołała chłopca, po czym pomyślała, że może on boi się tak jak i ona i powiedziała:

- Skarbie, tu Kacey. Gdzie jesteś? - Dobry Boże, zgubiła go!

## **Rozdział 34**

Pescoli pędziła samochodem.

Nie obchodziło jej, że Missoula jest poza jej jurysdykcją. Nie obchodziło, że FBI miało przejąć sprawę.

Chciała odpowiedzi i to natychmiast. Więc w czasie, gdy Alvarez rozmawiała przez telefon z młodszym detektywem, który miał za zadanie ustalić wszystko na temat życia Geralda Johnsona, Pescoli wysilała wzrok, by wypatrzyć drogę w zamieci.

Właśnie w takich chwilach tęskniła za papierosem i gdyby Alvarez nie miała takiego świra na punkcie zdrowia, to Pescoli, która stwierdziła, że w jej skrytce w samochodzie nie ma już ani jednego marlboro light, zatrzymałaby się przy jakimś sklepie, kupiła paczkę papierosów i wielki kubek dietetycznej coli. Potrzebowała takiego zestawu, by działać.

Gerald Johnson mieszkał na zamkniętym osiedlu, nieopodal prywatnego klubu golfowego, do którego wpisowe kosztowało więcej niż jej cały dom, a składka pochłaniałaby większość jej pensji. Miała tylko nadzieję, że drań był w domu.

Uzbrojone w pomysły Kacey Lambert i niepewne dowody Alvarez, jechały spotkać się z tym facetem i nim potrząsnąć. Chociaż długo nie mogła uwierzyć w teorię Alvarez o tym, że ofiary są ze sobą spokrewnione, teraz zajęła się sprawą pełną parą. W końcu przyjęła do wiadomości szalony pomysł, że kobiety ginęły dlatego, że były córkami dawcy nasienia numer 727. A czemu, to zupełnie inna sprawa. Najważniejsze było kto. Pogoda była obrzydliwa, no ale w końcu tak wyglądała zima Montana, czego innego oczekiwać?

- .. .dobra, rozumiem - odparła Alvarez, a z radia padła wiadomość o napadzie i uciekającym podejrzanym. - Szukaj dalej. Cokolwiek znajdziesz na Johnsona, jego dzieciaki, o klinice... dzwoń.

Rozłączyła się i spojrzała na Pescoli.

- Leona się tym zajmuje. - Leona Randolph była młodszą detektyw, którą niedawno przydzielono do ich departamentu. Doskonale opanowała wszystkie nowinki techniczne i potrafiła posługiwać się Internetem tak, że Pescoli trudno było w to uwierzyć. Dziewczyna była ledwie kilka lat starsza od Jeremy'ego, ale znacznie od niego dojrzała, a do tego miała ambicje i wiedziała, do czego dążyć. Jej syn mógłby się od niej uczyć!

- Wydaje mi się, że zjazd jest za jakąś milę - odezwała się Alvarez.

Śnieg sypał tak, że prawie nic nie było widać. Pescoli musiała zwolnić. Samochody toczyły się w ślimaczym tempie. A teraz, gdy wiedziała, że czas jest na wagę złota, że morderca działał coraz szybciej, wstrzymywała ją burza śnieżna.

- Tam jest prywatna droga do Cougar Springs - wskazała Alvarez.

Przebiły się przez śnieg i drogę prowadzącą przez rzadki las. Pescoli pokazała przy bramie odznakę i wymieniła nazwisko Geralda Johnsona. Gdy tylko otwarto bramę, wrzuciła niski bieg i zaczęła podjazd pod górkę. Jakies ćwierć mili później minęły trzypiętrowy dom z cedru

i szkła. Tej nocy parkowało przed nim tylko kilka samochodów. Jadąc dalej, minęły potężne domy przyklejone do zboczy wzgórza. Wiele z nich stanowiły letnie rezydencje, teraz ciemne, a tylko w niektórych oknach paliły się światła - te należały do ludzi, którzy mieszkali tu cały rok albo przyjechali na święta.

- Ciężkie życie - stwierdziła Pescoli.

- Nudne - dodała Alvarez.

- Mogłabym się skusić na jakiś rok czy dwa tej nudy.

- Pewnie. Po tygodniu zaczęłabyś łązić po ścianach. A po dwóch wróciła do służby. - Posłała znaczące spojrzenie partnerce. - Kogo próbujesz nabrać? Mnie? A może siebie?

- Chyba nas obie - wymamrotała.

- Co cię gryzie?

- Moje dzieci, a co?

Chciałaby zwalić swoją złość na tę sprawę i częściowo tak było, ale to Jeremy, który zdawał się zwinięty w wielkie zero, i Bianca, która miała coraz gorsze stopnie i coraz bardziej skupiała się na chłopcach, byli przyczyną zmartwień. No i nie pomagało to, że Santana zaczął naciskać.

- Skreć tutaj - zarządziła Alvarez.

Pescoli skreśliła, wpadła w lekki poślizg i w końcu stanęła przed domem Geralda Johnsona.

- Czas na przedstawienie - powiedziała Pescoli, parkując przed garażem, w którym pomieściłaby się cała flota samochodów.

Alvarez zadzwoniła, gdy nagle otworzyły się drzwi i pojawił w nich Gerald Johnson. Bardziej atletyczny i energiczny niż na którymkolwiek ze zdjęć, jakie widziały.

- Szanowne panie, Floyd poinformował mnie, że jedziecie. - Odsunął się od drzwi. - Proszę wejść. Oczekiwałem władz od chwili, gdy Acacia opuściła moje biuro.

Pescoli i Alvarez weszły do domu Johnsonów i w chwili, gdy pytały go o klinikę, dla której był dawcą spermy, na schodach pojawiła się jego żona i natychmiast do nich zeszła.

- Nie Geraldzie! Nie wiem, czego chcą ci ludzie, ale nic im nie mów!

- Jesteśmy tutaj z powodu kilku zgonów kobiet - wyjaśniła Alvarez. - Zgony te, które początkowo uznano za wypadki, były omawiane w telewizji.

Wyciągnęła kopertę ze zdjęciami.

- Elle Alexander, której samochód zepchnięto z drogi, Jocelyn Wallis, która, jak sądzimy, została zepchnięta z Boxer Bluff, możliwe, że Shelly Bonaventure...

- Ta aktorka z tego upiornego serialu o wampirach? - zapytała zaskoczona Noreen Johnson.

Pescoli skinęła głową.

- A ostatnio mieszkająca w okolicy kobieta o nazwisku Karalee Rierson.

- Karalee - pisnęła Noreen, zasłaniając usta.

- Zna ją pani? - zapytała Alvarez.

- Słyszałam o niej.

Alvarez podała Noreen zdjęcia, a ta tylko rzuciła okiem na fotografię Karalee Rierson i prawie zemdlą.

- O Boże. Ona była pielęgniarką w klinice, gdzie Gerald... - Spojrzała na niego.

- Sądzimy, że te zabójstwa zostały upozorowane na wypadki.

- Zabójstwa? - powtórzyła. - Morderstwa? Ale co my mamy z tym wspólnego? Ja... nie znam tych innych. Tylko Karalee.

- Podejrzewamy, że wszystkie mogą być dziećmi pana Johnsona.

- Co? Jego dziećmi? - Noreen machnęła ręką. - To szaleństwo! Gerald, nie rozmawiaj z tymi ludźmi!

Alvarez obserwowała tę kobietę, na której twarzy rozpacz walczyła z wyparciem i wściekłością. W eleganckich dżinsach i srebrzystym swetrze, który sięgał bioder, wyglądała na bardzo szczupłą, wręcz chudą, a brylantowa biżuteria na szyi, nadgarstku i palcach podkreślała kości i ścięgnię widoczne pod opaloną skórą. Siwe włosy miała ostrzyżone krótko, skórę na twarzy napiętą, a do tego mocny makijaż.

- Nie znamy tych kobiet! Zamieniłam ledwie kilka słów z tą dziewczyną Kary. Gerald, powiedz coś! - Skinęła na męża, po czym dodała. - Będziemy rozmawiać tylko w obecności prawnika. Znam swoje prawa. - Wyciągnęła z kieszeni telefon i nacisnęła jakiś guzik. - Dzwonię do Judda. - Wyciągnęła palec wskazujący do Geralda. - Ani słowa więcej.

Rozłożył ręce.

- Ale one mnie o nic nie oskarżają.

- To nic. Są podstępne. Widziałam *Prawo i porządek!* - Przyłożyła słuchawkę do ucha. - O nie.

Spojrzała na męża.

- Judd nie odbiera! - A potem patrząc w sufit, zostawiła wiadomość. - Judd? Tu mama. Zadzwoń, jak tylko będziesz mógł. To pilne!

- Na miłość boską Noreen, pomyśli, że wylądowałem w szpitalu! - zaprotestował Gerald.

- I dobrze! - Nacisnęła kolejny guzik, poczekała chwilę, po czym zaczęła przewracać oczami. - Nie mogę też dodzwonić się do Clarissy! Gdzie ona się podziewa?

- Noreen, musisz się uspokoić.

- A ty masz mi nie mówić, co mam robić! Gerald zwrócił się do policjantek:

- Chodźmy do mojego pokoju. - Wskazał im podwójne drzwi na prawo od schodów. Nad gazowym kominkiem wisiał wielki płaski telewizor, na którym leciał sport, a na stole obok fotela stała napoczęta szklanka whisky.

- Tu mama. Oddzwoń! Pilne! - krzyknęła Noreen, jakby podnosząc głos, mogła dotrzeć do nieodbierającej osoby. Stukając szpilekami weszła sztywno do pokoju. - Nie mogę się do nikogo dodzwonić! Gdzie oni wszyscy są?

- Skarbie, najlepiej będzie, jeśli się trochę uspokoisz - zaproponował jej mąż.

Wskazał policjantkom krzesła, a sam wyłączył telewizor i usiadł w fotelu. Obraz zgasł na moment, a potem pojawił się na nim portret rodzinny.

- Nie uspokoję się! - Noreen ścisnęła dalej telefon. - Czemu mam wrażenie, jakby moje dzieci mnie unikały? Nie odbierają ode mnie telefonów!

Zmierzyła Alvarez wzrokiem.

- Czemu tu jesteście?

- Noreen, proszę... - Jej mąż uniósł rękę, próbując sprawić, by zamilkła. - Pozwól, że się tym zajmę. - Po czym zwrócił się do Alvarez i Pescoli. - Jak mówiłem, spodziewałem się waszej wizyty, bo Acacia Lambert przyjechała dziś do mojego biura. Powiedziała mi to samo, co wy teraz.

- Kto przyjechał do twojego biura? - przerwała Noreen, krążąc po pokoju. - Jaka Acacia? O czym ty mówisz, Geraldzie? - Ale w jej spojrzeniu było coś więcej niż ciekawość, była też trwoga.

- Moja córka - powiedział cicho.

Jego żona zamarła.

- O czym ty, do diabła, mówisz? - Wyszeptała, mierząc groźnym spojrzeniem policjantki. - Naszą córką jest Clarissa.

- Nie nasza, Noreen. Moja - poprawił, a Alvarez miała wrażenie, że widzi, jak on się poci. - IMaribelle - dodał.

- Maribelle? Ta pielęgniarka, która kiedyś dla ciebie pracowała? -Noreen prawie drżała z gniewu.

- Acacia ma teraz prawie trzydzieści pięć lat - odezwał się cicho Gerald.

Coś w Noreen pękło. Nagle ramiona jej opadły, a w oczach zalśniły łzy.

- Wiedziałam, że byliście... blisko. Oczywiście, że wiedziałam, ale... - Głos jej zadrżał. - A ja zostałam z tobą. I to nawet po tym fiasku, gdy go uznałeś, zatrudniłeś, obnosiłeś się z nim, jakby był twoim ulubionym zwierzątkiem. A ja żyłam w takim upokorzeniu. Zgodziłam się nawet na to, żeby ta dziwka, matka twojego bękarta, tu przyszła, do mojego domu. - Wskazała grubym dywanem leżącym na podłodze. - To upokorzenie też przetrwałam! Ale ... kolejne? - Łzy potoczyły jej się po policzkach. - Nie rób mi tego... nie mów im... nie wierzę, nie po tej żalostnej Lindleyowej i jej chłopaku...

- Mój syn ma na imię Robert i jest mężczyzną.

- Co jest z tobą nie tak? Czemu to robisz? I to z dziewczynami! Przysięgałeś, pamiętasz? Na życie naszych dzieci, że zerwałeś z tą cholerną Collins!

- Bo tak było.

Zadrżała i wyglądała tak, jakby zaraz miała zwymiotować.

- Ale miałeś z nią dziecko. A ona też była zameżna. Pewnie powiedziała, że to jej męża. - Gdy Gerald nie odpowiedział, dodała: - Co jest z tobą nie tak? Nie dość, że dorobiłeś się jednego bękarta, to nie, nie wystarczyło. Teraz pojawia się kolejny! Czy nasze dzieci wiedzą? -Skurczyła się nagle. - O Boże, były tam, gdy ona się pojawiła, prawda? - Gdy nie odpowiedział, podniosła głos. - Prawda?

- Pewnie dlatego nie odbierała telefonów - odezwał się. - Powiedziałem im, że ci dziś powiem. Spojrzał na szklanę szkockiej. - Tylko nie zebrałem się jeszcze na odwagę.

- Jakże łatwo jest napłodzić dzieci, ale żeby powiedzieć o tym żonie, to już nie ma odwagi! - wyszeptała Noreen.

- Proszę, posłuchaj - odetchnął głęboko.

Noreen skrzyżowała ramiona na drobnych piersiach i wysunęła szczękę, ale milczała, gdy tłumaczył, co wiedział o Acacii i że nie mieszał się w jej życie, ale gdy się pojawiła i spytała, przyznał, że był dawcą nasienia.

- Więc wiedziała pani, że był dawcą? - zapytała Pescoli.

- To było dawno temu - odparła Noreen. - Ale tak. Wiedziałam... - Machnęła ręką. - Ale to było inne. Nie chodziło o związek, tylko o zwykłe kliniczne działanie. Nie żaden romans ani płodzenie bękartów z dziwkami! - Znów zaczęła płakać. - Nie rozumiem. To nie wyjaśnia, czemu tu jesteście. Nawet jeśli... nawet jeśli splodził te kobiety, że użyję tego określenia. Skąd w ogóle o tym wiecie?

- To jedyne, co łączy wszystkie ofiary - powiedziała Pescoli.

- Ofiary? - Noreen była przerażona i zszokowana. - O Boże! Czemu te kobiety? Czemu teraz? I co to ma z nim wspólnego?

- Właśnie dlatego tu jesteśmy, aby to wyjaśnić - odezwała się Alvarez.

Uspokój się - nakazała sobie Kacey. - Eli musi gdzieś tu być.

- Eli! - krzyknęła głośniej. - Eli, skarbie, gdzie jesteś?

Jak szalona przeszukiwała dom. Latarka świeciła coraz słabiej, podczas gdy ona przechodziła z pokoju do pokoju i wołała syna Tra-ce'a. Serce waliło jej jak młotem, strach dodawał sił, gdy sprawdzała pod łózkami, a nawet w szafach, dobry Boże, nawet w zsybie na brudną bieliznę prowadzącym do piwnicy.

Ale bez skutku.

- Eli, chodź. Gdzie jesteś?

W domu z każdą chwilą robiło się zimniej. Po raz kolejny przeszła przez piętro, do trzeciego pokoju, gdzie usłyszała świst wiatru wpadającego przez niedomknięte okno. Próbowwała je zamknąć, ale się nie dało.

Napierając na nie usłyszała... co? Włosy zjeżyły jej się na karku. Wstrzymała oddech i zaczęła słuchać.

Kolejny dźwięk. Z parteru! Kroki?

- Eli! - Biegając do korytarza, uderzyła kolanem w starą cedrową skrzynię, po czym zbiegła po schodach.

Wpadła do salonu. Na kominku płonęły drwa.

- Eli? - zawołała, a jej głos wydał się nienaturalnie głośny mimo wiatru. - Kochanie?

Ale nie zobaczyła nikogo.



Ani Eliego. Ani Trace'a. Ani psów.

Za to poczuła czyjąś obecność... Coś innego, jakby zapach świeżego nocnego powietrza w ciemnościach. Nie rób tego. Nie strasz się.

Nagle stanęła jej przed oczami noc, w którą napadnięto ją na parkingu. Okropne wspomnienia bólu i strachu.

Weź się w garść! Szukaj dalej! Gdzie u licha jest syn Trace'a?

Zebrała się w sobie i wręcz krzywiąc się, gdy mijała ciemne kąty, przeszła przez kuchnię aż do schodów. Stopnie do piwnicy skrzypiały, a nozdrza wypełnił jej suchy zapach starego kurzu. Coś załaskotało ją w policzek.

- Och! - Prawie spadła ze schodów, gdy pajęczyna otarła się o jej twarz i wczepiła we włosy.

Próbując opanować kołatanie serca, wydusiła z latarki trochę światła, by sprawdzić, czy pod schodami, między drewnem albo na półkach nie kryje się chłopiec.

Zgrzyyyt!

Prawie upuściła latarkę, gdy światło odbiło się w oczach myszy, która uciekła gdzieś w szparę w ścianie.

- O Boże... Cholera! Eli! - znów zawołała, ale nie słyszała nic poza biciem swojego serca, wyciem wiatru i uderzeniami gałęzi o ścianę budynku.

Nie cierpiała ciemności, od zawsze. Nie, nieprawda. Dopiero od napadu, kiedy to jej napastnik wyskoczył z cienia.

I znów przypomniwała sobie te straszne chwile i kolana się pod nią ugięły. Złapała się belki podtrzymującej schody i upuściła latarkę. Ta odtoczyła się, oświetlając jakieś krzesła i ścianę pokrytą starym cementem.

Nie myśl o nim. Nie myśl o napadzie! To przeszłość.

Ale teraz nie mogła już zapomnieć o napastniku, o tym, jak twarde miał ciało, gdy przyciskał ją do betonowej podłogi, jak czuć go było jakąś wodą po goleniu, potem i dymem papierosowym. Był taki wysoki i silny... zbudowany jak... ci mężczyźni, których dziś spotkała, jej bracia! Niektórzy mieli taką samą atletyczną budowę. Czy nie myślała, że Judd nadawał się na zawodnika footballu, a nawet Lance, mąż Clarissy, budził skojarzenia z panterą.

A inni?

Co z Robertem albo Thane'em i bliźniakami? I wszyscy mieli te zimne niebieskie oczy.

Serce jej waliło, z trudem łapała powietrze, czując na języku smak strachu. Osunęła się na ziemię, podpełzła po latarkę, złapała ją i zmusiła się do wstania.

Musisz znaleźć Elięgo!

Zebrała się w sobie i weszła na górę.

Może wyszedł z łóżka i poszedł za Trace'em do obory. Może był zagubiony... przecież nazwał ją mamusią. Może pod wpływem leków zszedł na dół i wyszedł na zewnątrz...

Jak?

Zauważyłabyś go. Usłyszała.

To było niedorzeczne. Potrzebowała pomocy!

Włożyła płaszcz, rękawiczki, buty, zapaliła świeczkę, którą znalazła w salonie i z telefonem w ręku podeszła do drzwi. Wykreśliła numer detektyw Alvarez.

Co miała powiedzieć? Że zgubiła dziecko? Że Trace nie wrócił z obory?

To było głupie.

Ale co z tego.

- Przewrotny zawsze ubezpieczony - powiedziała, wyglądając przez okno, czując, jak upływają sekundy, a śnieg sypie coraz bardziej. Gdy detektyw nie odebrała, Kacey rozłączyła się, nie zostawiając wiadomości.

Jeszcze nie.

Postanowiła, że najpierw odnajdzie Trace'a. Gdy otworzyła drzwi, zimno uderzyło ją tak mocno, że natychmiast przemarła. Żałowała, że nie wzięła szalika i czapki. Miała wrażenie, że znów poza wyciem wiatru słyszy łańcuchy, zupełnie jakby szli tędy zakuci w kajdany więźniowie.

To tylko wyobraźnia. Idź dalej.

Starając się opanować strach, ruszyła ścieżką którą widziała wcześniej. Teraz ślady były ledwie widoczne pod śniegiem, ale szła dalej, nie w stronę zabudowań, ale za róg domu, gdzie zauważyła więcej śladów.

Trudno było określić coś z całą pewnością. Spojrzała w górę. W gasnącym świetle latarki dostrzegła nie tylko sosnę, której gałąź obijała się o ścianę domu, ale też drabinę przeciwpożarową zwisającą z okna jednego z pokoi.

Drabina chwiała się na wietrze, a jej łańcuchy dzwoniły jak kości umarłych.

Serce jej zamarło. Od razu wiedziała, że Eli, mimo złamanej ręki, zdołał jakoś zejść po drabinie i zniknął gdzieś w lodowatą noc.

## Rozdział 35

Noreen Johnson osunęła się na ławeczkę przed fortepianem, ale Alvarez widziała, że jeszcze nie zrezygnowała z walki.

- Na miłość boską Geraldzie, czemu nie umiesz utrzymać na sobie spodni! Najpierw Robert i ta okropna Lindleyowa... i jeszcze musiałeś go zatrudnić, żeby mi codziennie przypominać o swojej zdradzie, a teraz... kolejna? Jak mogłeś? - Dostała wypieków.

- Co się stało, to się nie odstanie - westchnął Gerald. - Możemy o tym pomówić innym razem. A teraz panie detektyw mają pewnie jakieś pytania.

- To koniec - wyszeptała. - Nasze życie, takie, jakie prowadziliśmy, skończyło się.

Gerald odchrząknął i spojrzał na Pescoli i Alvarez.

- Jak mogę pomóc? - zapytał, nachylając się do nich. Alvarez zadała mu serię pytań. Gerald Johnson zapewnił, że nigdy

nie spotkał żadnej z ofiar, nie wiedział, że mogą być jego potomkami, nie podejrzewał tego nawet, dopóki nie pojawiła się Acacia. Nie miał pojęcia, czy miały jakiś wrogów, ale był pewien, że jego dzieci były równie zaskoczone tą informacją jak on.

Pescoli nic nie mówiła, obserwując, ale Alvarez zauważyła, że kilka razy spojrzała na zdjęcie, które pojawiło się jako wygaszacz telewizora. Może po prostu chciała się w ten sposób uspokoić, ale samo słuchanie, bez zadawania pytań, nie było w jej stylu.

Alvarez znów spojrzała na telewizor. Nie było tam nic specjalnego. Zdjęcie miało jakieś dwadzieścia pięć, może trzydzieści lat i przedstawiało Geralda i Noreen oraz ich dzieci w takich samych strojach - chłopcy mieli białe koszule, granatowe marynarki i spodnie khaki, a dziewczynki były w czerwonych sukienkach. Ktoś dopisał na zdjęciu ich imiona.

- Nie mamy wam nic do powiedzenia - upierała się Noreen, patrząc znacząco na męża. Znów spróbowała dodzwonić się do dzieci, ale bezskutecznie. - Gdzie oni są? - wyszeptała. - Nie wiedzą że ich potrzebuję?

- Mieli państwo siedmioro dzieci? - zapytała Pescoli.

- Ja miałam siedmioro - prychnęła Noreen. - Gerald, jak widać, miał więcej.  
- A co się stało z państwa córkami? Agathą i Kathleen? - zapytała Pescoli.  
- Nie chcę o tym mówić - wyszeptała Noreen. Zamknęła oczy, a twarz stężała jej z bólu.

- Agatha urodziła nam się późno - powiedział Gerald. - Przy porodzie były komplikacje i dość szybko wiedzieliśmy, że coś było nie tak. Że będzie... opóźniona umysłowo. Ale była...

- Aniołem. - Noreen zmierzyła Pescoli wzrokiem. - Nie wiem, co to ma do rzeczy.

- Jak umarła?

Noreen w pierwszej chwili nie chciała odpowiedzieć, ale potem odparła:

- To był wypadek. Wyszłam do sklepu. Nie było mnie może pół godziny. Clarissa, najstarsza, miała pilnować młodszych... - Westchnęła i spojrzała w okno, ale Alvarez wiedziała, że nie podziwia śniegu. Wspominała to, o czym wolałaby zapomnieć. - Z tego co zrozumiałam, chłopcy bawili się, jak to chłopcy. Zawsze byli bardzo aktywni. Aggie... miała spać. To była pora jej drzemki... - Noreen zamrugowała i potrząsnęła głową. - Boże, nie mogę.

Gerald kontynuował.

- Nie wiemy dokładnie, co się stało, ale, jak powiedziała Noreen, chłopcy szaleli, mieli drewniany miecz i biegali po schodach. Aggie obudziła się, wyszła z pokoju i jeden z bliźniaków...

- Cam - dodała ponuro Noreen.

- Wpadł na nią. - Gerald zacisnął zęby. - Zaplątała się w swój kocyk i... spadła ze schodów. To był wypadek.

Alvarez i Pescoli wymienili spojrzenia.

Wypadek. Tak jak Shelly Bonaventure przez przypadek przedawkowała? Jocelyn Wallis przypadkowo wypadła za barierkę i zginęła? Elle Alexander przez przypadek ześlizgnęła się z drogi do rzeki? Albo jak Karalee Rierson przez przypadek wpadła na drzewo?

Wychodząc z siebie z obaw o Elię, Kacey ruszyła w stronę obory. Ledwie zrobiła kilka kroków, zauważyła kątem oka jakiś ruch. Serce jej mocniej zabiło.

Eli?

Odwróciła się.

Nie, za wysoki, uświadomiła sobie, widząc wysoką ciemną postać mężczyzny, który wychodził na ganek. Trace? Dzięki Bogu!

Ogarnęła ją ulga i ruszyła w jego stronę.

- Trace... - zaczęła, gdy nagle głos zamarł jej w gardle. Strach zmroził krew.

Zaniepokoił ją sposób, w jaki się do niej zbliżał. Widok ten przyprawił ją o dreszcze. Padający śnieg zasłaniał obraz, ale teraz, gdy się zbliżył, wiedziała, że to nie Trace. Ubrany od stóp do głów na czarno, z dziwnymi goglami na kominiarce, strzelbą w jednej ręce, ruszył biegiem w jej stronę.

Nie!

Zacząła biec, najszybciej jak mogła przez gęsty śnieg, ale nie mogła nigdzie dotrzeć. Usłyszała go za sobą zbliżał się. Na płaskim terenie miałyby jakieś szanse, ale ona biegła przez zasy, a on już wydeptaną ścieżką. Zbliżał się.

O Boże!

Przerażona wyciągnęła z kieszeni telefon i kliknęła ponowne wybieranie numeru.

- Trace - próbowała przekrzyczeć wiatr.

- Suka! - prychnął tuż za jej plecami, a ona rzuciła się do przodu, oczekując, że w każdej chwili kula przeszyje jej kręgosłup.

Szybciej! Szybciej! Szybciej! Napędzała ją adrenalina.

- Trace! - krzyknęła znowu.

Gdyby tylko miała broń, nóż, kamień, cokolwiek! Bęc!

Ból eksplodował z tyłu głowy. Kolana się pod nią ugięły i upadła. Rozrzuciła ramiona. Telefon wypadł jej z ręki i wpadł w zaspę. Śnieg zasłonił twarz, a oczy zdawały się wypadać z czaszki. Umieram, pomyślała. Straciłam ich wszystkich...

Traciła przytomność, gdy nagle poczuła na sobie jego ręce. Złapał ją za kostki i zaczął ciągnąć po śniegu i lodzie. Słyszała, jak oddycha. Przeklina. Marudzi.

- ...wyniosła zdzira... wszystko psuje... lekarka... jasne... myślisz, że jesteś taka sprytna...

Próbowała walczyć, stawiać opór, ale jej mózg nie chciał współpracować i czuła, jak mężczyzna ciągnie ją po schodach do domu, a jej podbródek podskakuje na każdym zamarzniętym stopniu.

Bum, bum, bum!

Rozcięła podbródek. Chrząstka w jej nosie pękła. Ból przeszył twarz. Z oczu popłynęły łzy. Jęknęła. Skóra piekła. Krew skapywała po ganku. Z trudem zachowywała przytomność.

Kim on był? Zastanawiała się, ale wiedziała, że to nie ma znaczenia. Fakt, że jeszcze żyła, oznaczał, że miał wobec niej jakieś plany... obrzydliwe, straszne plany.

Myśl, Kacey, myśl! Nie poddawaj się. Nie pozwól, aby ogarnęła cię ciemność! Trzymaj się...

Ciągnął ją po podłodze kuchni, aż do salonu, w którym wciąż płonęło drewno na kominku. Tam przewrócił ją na plecy.

- Czekałem na to od lat - warknął i dopiero teraz uświadomiła sobie, że jej nie postrzelił. Nie przeżyłaby postrzału w głowę. Ale na kolbie strzelby widać było krew i włosy.

- Cholera, żałuję, że nie udało mi się ciebie zabić poprzednio. Na parkingu, pomyślała. Ten ubrany na czarno mężczyzna to ten sam, który zaatakował ją lata temu! Kim on był?

- No ale teraz nie mógłbym się tym cieszyć. - Ten głos... o Boże... to był jeden z bliźniaków!

Cameron? Colton? Czy to ważne? Spojrzał na nią przez szparki w kominiarce. Pomyślała, że pewnie uśmiecha się teraz, czuje wyższość.

- Nie będę się spieszył. Zamrugła, próbując się skupić.

- Wiesz, jesteś jedną z nich - powiedział. - Uzurpator, które spłodził Gerald. Kobiet, które są nieudane.

Co? Ból był potworny, ale wciąż nie traciła przytomności, rozglądając się wciąż za bronią czymkolwiek, czego mogłaby przeciw niemu użyć. Co prawda wciąż trzymał ją jedną ręką za kostki, a drugą ścisnął strzelbę. I wciąż nadawał.

- Jak Aggie ze swoimi „ograniczeniami” i Kathleen z jej depresją. Mówili, że ma skłonności samobójcze. Ale to było gorsze. Znacznie gorsze. Błąd genetyczny. Błąd, który nosiły wszystkie kobiety z rodu Geralda. Może na początku tego nie widać, ale w końcu wychodzi na jaw.

- To szaleństwo - odezwała się z trudem, wiedząc, że musi odciągnąć jego uwagę. - To ty zwariowałeś.

Skrzywił się, a potem otrząsnął.

- Nie - ostrzegł, potrząsając głową. - Nie rób tego. Odetchnął gwałtownie, a ona uświadomiła sobie, że on się gubi, że

traci to drobne połączenie z rzeczywistością które jeszcze miał. Zaciśnął palce na jej kostkach.

- Nieważne, co myślisz, Acacio. To nigdy nie było ważne. Bo jesteś jedną z nich. Tych, które mogłyby wszystko popsuć. Zwariowanych kobiet.

On był stuknięty. Wymyślił sobie jakąś chorą wizję kobiet, które spłodził jego ojciec.

- A co z Clarissą? - zapytała przez spuchnięte, obolałe wargi.

- Z czasem... wszystko musi być zgodnie z planem... wypadki... w odpowiednim czasie...

Musiała uciec temu szaleńcowi! Musiała uratować siebie i Eliego! Ogień strzelił głośno.

Nagle, jakby uświadomił sobie, że mówi od rzeczy, rozejrzał się szybko i spojrzął na nią wściekle.

- Dość tego! Koniec z tobą! Teraz!

Kacey z całą siłą skręciła ciało.

- Cholera! - Wyślizgnęła się z jego uchwytu. Była wolna!

Wycelowwała w krocze i kopnęła z całej siły.

- Aaaaaaaa!!! - Trafiła idealnie, a on aż się zwinął. - Cholera! -Próbował złapać powietrze. - Ty cholerna... suko...

Cofnęła się, nim zdążył wrócić do siebie. Próbując wstać, oparła się o kanapę. Wciąż nie mogła zebrać myśli. Gdzie u licha był Trace? Udało jej się podnieść i ruszyć w stronę kuchni. Musiała uciec. Znaleźć Trace'a i Eliego! O Boże, czy ten potwór zdążył już ich zabić?

Jej napastnik jęczał, wyrzekał i przemieszczał się. Usłyszała jego kroki.

- .. .suka... zapłacisz mi...

Telefon Trace'a był na blacie w kuchni... gdzieś w ciemnościach... gdyby tylko zdołała tam dotrzeć... złapać i wybiec w noc, może jej się uda! Zadzwoń na policję albo do Alvarez, albo... Głowa wciąż potwornie ją bolała, a mózg działał z trudem. Ale mimo to rzuciła się naprzód.

Klik!

Usłyszała charakterystyczny dźwięk przeładowywanej strzelby.

- Nigdzie nie pójdziesz - wycharczał. - Nie po tylu latach czekania.

Telefon był jakieś trzy stopy od niej! Poczwała, jak zimna lufa przylega jej do pleców.

- Rusz się, a pociągnę za spust - rzucił.

Zamarła. Na zewnątrz wiał wiatr. Zastanawiała się, jakie ma szanse. Tutaj były noże... ostre, śmiertelnie niebezpieczne ostrza... Jeśli tylko zdoła je odnaleźć w ciemnościach...

- Rana tutaj - przyłożył lufę do jej kręgosłupa, w krzyżu, tuż powyżej pośladków - sprawi, że będziesz się długo wykrwawiać. I będziesz czuła, jak życie z ciebie ucieka.

Zacisnęła oczy.

Ale nie rozległ się huk. Nie poczuła bólu. Czemu nie pociągnął za spust?

Bo chce, aby to wyglądało na wypadek. Tak jak pozostałe. Rana postrzałowa w plecy oznaczałaby morderstwo. Więc myśl Kacey. Jesteś w kuchni! Noże są na kuchence...

- Nawet o tym nie myśl - wyszeptał, jakby umiał czytać jej w myślach. - Jeśli będę musiał, odstrzelę ci tę piękną dupcię do diabła.

- To czemu po prostu... BUM!

Jej mózg wypełnił ból i osunęła się na podłogę.

## **Rozdział 36**

Trace ścisnął widły. Serce waliło mu mocno, a oczy przyzwyczajały się do ciemności. Wokół czuć było obornik i mocz. Światła zgasły, gdy był jeszcze w oborze i owijał tę cholerną rurę. Dokończył robotę, chociaż zajęło mu to więcej czasu, niż planował, a potem ruszył do stajni.

W domu na razie jest ciepło. Wiedział, że z każdą chwilą robi się w nim zimniej. Chciał jak najszybciej wrócić do Kacey i Eliego. Miał nadzieję, że Kacey nabrała wody i wzięła chłopca do salonu, gdzie kominiek dawał ciepło.

A potem wszedł do stajni i poczuł, że coś jest nie tak.

Nie chodziło o brak prądu ani o to, że rury mogą zamarznąć. Nie. Tu czaiło się jakieś niebezpieczeństwo.

Konie były niespokojne, wręcz wystraszone. Kręciły się w boksach. Słyszał szelest słomy, nerwowe prychnięcia, czasem nawet zaniepokojone rzenie. Sarge też dziwnie się zachowywał. Chodził na sztywnych



łapach. Raz nawet zawarczał, patrząc w stronę składzików, gdzie leżało zboże. Bonzi, który nie znał okolicy, nie był tak niespokojny, ale czujny. Świadom, że coś się czai w ciemnościach.

Trace'owi zaschło w gardle.

Zwierzę?

Człowiek?

Poczuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach. Zwierzę wywołałoby inną reakcję u jego psa. Tutaj niebezpieczeństwo stanowił człowiek czający się w ciemnościach.

Zastanawiał się, czy krzyknąć. Może po prostu ktoś schronił się tu przed śnieżycą. Ale czemu nie poszedł do domu? Jakiś zbieg? A może ktoś przestraszony?

Albo ktoś, kto chciał czynić zło?

Nagle serce mu zamarło.

Pomyślał o strzelbie, którą schował głęboko w szafie i amunicji zamkniętej w szafce nad kuchnią. A potem o Kacey, siedzącej w domu z jego synem.

Sarge znów warknął. Trace coś usłyszał... ciche skrzypnięcie deski podłogowej. Cały się spał.

Krew zaczęła mu dudnić w uszach, złapał widły niczym włócznię i zaczął powoli iść w ciemnościach.

- Nie możesz umrzeć, do cholery! - wyszeptał szorstko damski głos. - Kto się zajmie Elim? No kto?

O Boże, teraz miała zwidy, słyszała głosy aniołów, pomyślała Kacey, a ból przeszył całe jej ciało. Opanowała odruch wymiotny, a gdy otworzyła zapuchnięte oko, ujrzała tylko ciemność. Leżała na podłodze w kuchni, kręciło jej się w głowie. Spróbowała podnieść się na kolana, ale głowę przeszył jej okropny ból.

Wstawaj! Weź się w garść.

W domu było cicho, jeśli nie liczyć wycia wiatru. Napastnik uciekł. Ale wróci. Wiedziała o tym. Tak samo jak wiedziała, że Eli i Trace są w niebezpieczeństwie.

Jeśli w ogóle jeszcze żyli.

Wsluchiwała się w wewnętrzny głos.

Ale był cicho.

I znów spróbowała się podnieść.

W domu Johnsonów Alvarez wyglądała w ciemną noc. Gdzie on był? Gdzie był zabójca, który poczynił tyle szkód? Co robił?

- A Kathleen? - zapytała Pescoli.

- Ona... zginęła w wypadku na nartach. - Gerald skrzywił się, jakby czuł gorycz w ustach.

- Wypadku na nartach - powtórzyła Alvarez. - Czy był przy niej wtedy któryś z braci?

- Co? - Noreen zamrugła i zaczęła nerwowo skubać kołnierzyk. -Co pani sugeruje?

Uśmiech Pescoli był zimny.

- Niech zgadnę. Czy to był Cameron?

- Nie! - Twarz Noreen poszarzała, a z oczu znów popłynęły łzy. - To znaczy tak, był tam. Ale oprócz niego była też większość rodziny!

- Jak wygodnie - prychnęła Pescoli, obserwując z irytacją tę parę, której całe życie oparte było na sekretach.

Cameron? Jeden z bliźniaków? Czy to jego podejrzewała Pescoli? Alvarez myślała o dwóch tak podobnych mężczyznach, których praca pozwalała im podróżować po kraju. Przystojni i inteligentni. Ale czy zabójczy? Postanowiła spytać matkę:

- Czy wie pani, co dokładnie wydarzyło się w dniu, w którym zginęła Kathleen? Noreen spojrzała na swojego męża, a potem przygryzła wargę.

- Oczywiście... Cameron pojechał na ostatni zjazd z Kathleen, ale to nie znaczy... tam były setki, pewnie tysiące ludzi. - Brzmiało to tak, jakby za wszelką cenę próbowała w to wierzyć.

Alvarez starała się przypomnieć sobie wszystko, co wiedziała o Cameronie Johnsonie. Pracował w rodzinnej firmie, mieszkał na obrzeżu Grizzly Falls, w drodze do Missouli...

- Biedna Kathleen - westchnęła i znów załapała się łzami. - W końcu znalazła mężczyznę, który pokochał ją mimo...

- Mimo czego? - zapytała Pescoli.

- Nic. - Noreen potrząsnęła szybko głową. - Nic.

Spojrzała na męża, ale ten załamał ręce i z ponurą miną powiedział:

- Kathleen walczyła z chorobą dwubiegunową - przyznał smutno. Ręce mu się trzęsły. - Byłem lekarzem, nie mogłem w to uwierzyć. W owym czasie nie wiedzieliśmy, jak to nazwać. Mówiliśmy, że miała

napady manii i depresji. Nie mogłem pogodzić się z tym, że tak cierpiała.

Naprawdę? Zaczęła się zastanawiać Alvarez. Drugie dziecko, które zginęło w wypadku, także miało problemy ze zdrowiem psychicznym? Czyżby to był związek? Mało prawdopodobne. Ale z drugiej strony w tej sprawie wszystko wydawało się trochę nie takie.

- Gerald, czy ty tego nie widzisz? - przerwała mu Noreen. - One... one mówią, co chcą. Chwytają się wszelkich sposobów! - Zmierzyła wściekłym spojrzeniem Pescoli. - Oskarżają Camerona o to, że zabił Kathleen! Możesz w to uwierzyć? Camerona?

Aż drżała z oburzenia.

- A do tego próbują te inne wypadki, w których zginęły tamte kobiety, także z nim połączyć. Jakby był do tego zdolny... To niewiarygodne! - Noreen zaczęła znów krążyć po pokoju. - Ale to nieprawda. To nie może być prawda! - Odwróciła się na pięcie i wycelowała w Pescoli palec. - Wynocha! Ale już! Wynoście się z mojego domu. Jesteście podłe! Obie! - Zanosiła się łzami.

- To jeszcze nie koniec. - odezwała się, wstając Pescoli. Alvarez zrozumiała aluzję, sprawdziła telefon i ruszyła do drzwi

w chwili, gdy za oknem rozbłysły światła samochodu. Przez wycie wiatru przebił się ryk potężnego silnika samochodu.

Na ustach Noreen zagościł delikatny, smutny uśmiech.

- Dzięki Bogu! - zawołała, kładąc rękę na sercu. - Przyjechał Judd.

Judd?

Najstarszy syn? Czemu?

Gerald próbował zatrzymać żonę, ale ta pobiegła do przedpokoju. W drzwiach stanął wysoki mężczyzna z ponurą miną. Nie dało się nie zauważyć rodzinnego podobieństwa, sposób noszenia i rysy Judd miał prawie takie same jak jego ojciec. Przytulił szybko matkę, po czym zmierzył wzrokiem wszystkich zebranych.

- Co tu się dzieje? - zapytał niskim głosem.

- To policja - powiedziała jego matka takim tonem, jakby był kawalerzystą jadącym jej na ratunek. - Przyjechały tu zadawać najróżniejsze pytania o kobiety, które zginęły... - Najnowszą ofiarą jest... jest Karalee... Rierson. Z kliniki. Och... och nie... - Potrząsnęła głową. - O Boże... próbowałam ją umówić na randkę z twoim bratem... Nagle

dotarło do niej... myśl ta sprawiła, że prawie się zatoczyła. Zaczęła oblizywać wargi i kładąc rękę na gardle, wyszeptała. - Ale to niemożliwe...

- Matko - ostrzegł ją Judd. - Przestań mówić. - Po czym zwrócił się do policjantek. - Jestem prawnikiem. Nie chcę, aby rozmawiały panie z moimi rodzicami pod nieobecność adwokata, a ja nie mogę ich reprezentować. Rozumiem, że chodzi o prawo karne, bo inaczej by was tutaj nie było. Skontaktuję się z Hermanem Carltonem, moim przyjacielem, na pewno panie o nim słyszały.

Herman Carlton pracował w Spokane, ale zajmował się też Montaną. Oczywiście, że o nim słyszały. Zdaniem Alvarez Carlton był cholernym obrońcą i żalostną ludzką kreaturą. Ale w sądzie oznaczał kłopoty. Duże kłopoty.

- Chwileczkę - odezwał się Gerald. - Przecież nikt nikogo o nic nie oskarża.

Pescoli przerwała mu i zwróciła się do Noreen.

- Ten syn, z którym umówiła pani Karalee Rierson. O którego chodzi?

- Mamo, nie! - Judd był stanowczy. Noreen zamilkła.

- To był Cameron - odezwał się cicho Gerald, patrząc na zrozpaczoną żonę.

I nagle wszystkie fragmenty układanki zaczęły do siebie pasować.

Gdy Judd próbował coś powiedzieć, Gerald uniósł dłoń, jakby chciał zatrzymać te wszystkie zaprzeczenia. Po czym rzekł do policjantek:

- Słyszałem, jak moja rodzina rozmawiała z Clarissą przez telefon. -A gdy Noreen wyprostowała się gwałtownie, dodał. - To koniec, skarbie. Nie możemy dłużej chować głowy w piasek.

- Jesteś draniem, Geraldzie - krzyknęła. - Wiesz o tym, prawda? Pierwszoligowym draniem! I nigdy do niego nie dzwoniłam! - Noreen potrząsnęła głową. - Cam nie wiedział, że rozmawiałam z Karalee.

- Oczywiście, że wiedział. Bo powiedziała mu o tym na pewno Clarissa. Są ze sobą blisko - odezwał się Gerald. - A jeśli powiedziała jemu, to jestem pewien, że wie o tym cała rodzina.

Spojrzał na Judda.

- Wiesz?

Judd skrzywił się, ale nie odpowiedział. Dla Alvarez było to wystarczające potwierdzenie.

- No synu - nalegał ojciec.  
- Judd? - odezwała się błagalnie Noreen.  
- No dobra, słyszałem - wykrzywił się z niesmakiem. - Clarissa nie potrafi dotrzymać sekretów. Nigdy tego nie umiała.  
Noreen jęknęła cicho. Gerald westchnął smutno.  
- Nie możesz go dłużej chronić - powiedział Juddowi.  
- Gdzie on jest? - zapytała Pescoli.  
- Nie wiem. - Gerald potrząsnął głową. - Trzymaj się zwykle z dala.  
- Zadzwoń do niego! - nakazała Pescoli.  
- Próbowałem się do niego dodzwonić, jadąc tutaj - stwierdził Judd. - Nie odbiera.

- Spróbuj jeszcze raz! - Alvarez nie chciała jej przerywać, ale wiedziała, że nic więcej nie osiągną. Dowiedziały się więcej, niż się spodziewały. A teraz musiały działać. I to szybko. Musiały powstrzymać Camerona Johnsona, nim popełni kolejną zbrodnię.

- Nie mamy na to czasu - Alvarez spojrzała na Pescoli.  
- Masz rację. - Pescoli posłała rodzinie Johnsonów ostatnie ponure spojrzenie i ruszyła do drzwi. - Musimy znaleźć tego sukinsyna.

Klik!

Trace usłyszał charakterystyczny odgłos odciąganej kurki i zamarł. Nikt nie mógł go w ciemnościach zobaczyć. Ktokolwiek tu był, nie miał szans go namierzyć. To dawało mu przewagę. Trace znał tę stajnię jak własną kieszeń.

Chyba że bydlak ma noktowizor.

Cholera!

Sarge znów warknął. Trace poczuł, jak pies się spina. Zaciśnął palce na widłach. Zaczął przesuwając się w miejsce, gdzie miał szansę na przynajmniej odrobinę osłony.

Pokaż się, ty chory gnojku.

I wtedy to zobaczył. Delikatny ruch, cień w ciemnościach. Zmrużył oczy, próbując wypatrzyć człowieka. Zamachnął się, gotów do ciosu i wtedy zamarł.

Eli.

A co, jeśli w ciemnościach krył się jego syn? Albo... jeśli ten ktoś porwał jego syna i zamierzał użyć go jako tarczy? Zrobiło mu się słabo. A potem pomyślał o Kacey i poczuł się jeszcze gorzej. Może była

w domu, z bronią przyłożoną do głowy i czekała na koniec? Serce waliło mu jak młotem, gdy próbował coś dostrzec, ale bez skutku.

- Na co czekasz? - zapytał szyderczo niski, męski głos. - Sądziś, że możesz mi zrobić krzywdę tymi głupimi widłami?

A potem roześmiał się. Zimno. Okrutnie.

A więc drań go widział. Trace'owi krew się zagotowała.

- Kim jesteś? - Czy to ważne?

- Eli?

- Nie! Nie jestem Eli... och, twój dzieciak? - zamilkł. - Co ty sobie idiotycznego wyobrażasz?

A więc nie miał chłopca. Dobrze!

- Wypuść Kacey!

- No ale to by nie miało sensu, co? Tyle czasu na to czekałem. Trace skurczył się w sobie. Szalenciec ją dopadł! Chciał ją zabić,

jeśli jeszcze tego nie zrobił. Ogarnęła go wściekłość i zaczął się znów rozglądać za czymkolwiek. Ale nie było nic widać, nawet zapałki!

- Czekaj na ciebie. Dlatego sądzę, że byłoby lepiej, gdybym zabił cię w domu, razem z nią. Żeby wyglądało, że to jej sprawka. No wiesz, wypadek.

A więc wciąż żyła?

- Oszalałeś - ale nie dość, by strzelić w zamkniętym pomieszczeniu, co mogłoby spowodować rykoszet. Chyba nie.

Sarge znów warknął.

- Każ temu kundlowi się cofnąć! - zawołał głos. - Albo rozwalę mu tę kudłatą czachę.

- Pokaż się! - zażądał Trace.

- Wżyciu.

- To idź do diabła!

Wziął zamach. Wyszedł zza słupa i pchnął z całej siły widły. Przeleciały w ciemności, a on skoczył z powrotem do kryjówki.

- Aaaaaach!!!! - rozległ się przerażający krzyk. - Ty bydlaku! Bum!

Przed oczami Trace'a rozbłysło światło. Zadudniło. Przerażone konie zaczęły rzeć! Psy czekały. Ból ostry jak ogień piekielny przeszył udo Trace'a, a siła uderzenia była tak wielka, że upadł. Uderzył głową w podłogę i na chwilę stracił przytomność, pochłaniała go przyjemna ciemność.

Nie poddawaj się. Zginiesz, jeśli odleczysz! Myśl o Elim! Myśl o Kacey!

Kurz i ostry zapach palonego prochu wypełniał mu nozdrza, gdy próbował dojść do siebie. Psy szalały - szczekały i warczały. Konie kopały i rżały ze strachu w boksach, a wokół roznosił się ciężki zapach strachu.

- Ty zasańcu! - warknął.

Trace słyszał, jak napastnik jęczy gdzieś nieopodal rynny ze zbożem. Psy biegały w kółko, a Trace liczył, że zdołał porządnie go zranić.

- Zginiesz, O'Halleran i to nie będzie miłe! - prychnął zabójca. -Słyszysz mnie? Jesteś już martwy, bydlaku! Ty i ta twoja suka!

Kacey wstała i próbowała opanować myśli. Miała watę zamiast mózgu, twarz ją paliła, a głowę przeszywał ból. Złapała klamkę, by się podtrzymać.

Gdzieś tam jest Trace i Eli... i ten psychol... Jęknęła i zaczęła oddychać głęboko, by oczyścić umysł. Bum!

Na zewnątrz rozległ się huk wystrzału. Co? Kacey zdusiła okrzyk. Trace? O Boże. Eli?

W ciemnościach ruszyła do kuchni na poszukiwania telefonu Tra-ce'a. Proszę... proszę... jej palce trafiły na coś, co zadzwoniło i upadło. Jego klucze. Ale obok... tak! Znalazła telefon i wykręciła ostatni numer, jaki pamiętała, numer detektyw Alvarez.

Połączyło ją z pocztą głosową.

Cholera! Zostawiła krótką wiadomość:

- Ten drań tu jest! Potrzebujemy pomocy... o Boże... przyślijcie... - Spróbowała opanować narastającą panikę i opanowała się tak, jak przy pacjentach. - Detektyw Alvarez, tu Kacey Lambert. Jestem u Trace'a O'Hallerana przy Old ill Road. On tu jest. Zabójca tu gdzieś jest. Zaatakował mnie i słyszałam strzały na zewnątrz. Nie wiem, gdzie są Trace i Eli. Proszę, przyślijcie pomoc. Na cito! Em... nie znam adresu, ale to jakieś ćwierć mili od Red Wing Corner, milę od drogi krajowej. Proszę, przyślijcie pomoc!

Serce jej waliło, gdy wykręcała numer policji. Nie mogła czekać na odpowiedź Alvarez. Gdy odezwała się operatorka, wyjaśniła szybko sytuację. Kobieta powiedziała, by Kacey nic nie robiła i nie rozłączała się.

- Wysyłam natychmiast funkcjonariuszy. Będą za dziesięć minut.

- To za długo - krzyknęła Kacey. - Proszę, niech się pośpieszą!

W głębi serca wiedziała, że nie ma szans, aby zdążyli na czas. Rozłączyła się i rozejrzała po domu. Nie miała odwagi iść do stajni bez broni. Ale nie mogła też zwlekać. A co, jeśli Trace był ranny? Była pewna, że to nie Trace strzelał. To pewnie ten zboczeniec, który złapał Eliego i przywalił jej kolbą.

O Boże, a co jeśli jeden z nich jest ranny... albo gorzej...

Nie myśl o tym. Nie masz czasu na takie rozważania. Ruszaj się. Uratuj Trace'a! Ratuj jego syna!

Podczas poszukiwań Eliego znalazła w szafie strzelbę Trace'a. A teraz, mimo bólu, ruszyła po ciemku na górę, używając telefonu Trace'a jako słabej latarki. Przeklinała, ale parła na przód. Musiała ich uratować. Weszła do pokoju Trace'a. Rozbiła łokieć o róg komody. Aż dotarła do szafy. Była tutaj! Wiem... Tu!

Zacisnęła palce na lufie i wyciągnęła strzelbę. Stary winchester był zakurzony, ale nie dbała o to. Modliła się, aby był załadowany.

Pusty!

Oczywiście. Przecież miał syna. Był ostrożny. Jak szalona przeszukała szafę. Ale nigdzie nie było kul. Ani na półkach, ani w szufladach.

- No dalej, dalej! - Na stoliku nocnym, w szufladce też nie było broni ani amunicji.

Uciekały cenne sekundy. Serce jej waliło, mózg pękał...

- Gdzie, na Boga, gdzie? - Nie miała odwagi blefować i zabrać do stajni nienaładowanej strzelby.

Ogarnął ją strach. Zeszła na dół. W salonie ogień na kominku przygasał. Gdzie mógł trzymać amunicję? Z dala od broni, to na pewno. W bezpiecznym miejscu, do którego nie mógł się łatwo dostać syn. Niedaleko drzwi, bo używał jej tylko na zewnątrz? Szybko przeszukała szuflady w kuchni i nagle w świetle telefonu ujrzała rączkę drugiej latarki!

Błagam, pomyślała. Trace mógł się tam wykrwawiać właśnie na śmierć...

Włączyła latarkę i kuchnię zalał szeroki snop światła. Zabrała się szybko do pracy. Przeszukała pozostałe szuflady, a potem zauważyła szafkę nad lodówką. W takim samym miejscu amunicję chował jej dziadek. Czyżby?

Szybko wdrapała się na blat i otworzyła drzwiczki. Obok prawie pustej butelki whisky było metalowe pudełko. Zamknięte. Nie miała



szans otworzyć go bez klucza... ale Boże, gdzie? Rozejrzała się wokół i ujrzała kluczyki Trace'a, które zrzuciła wcześniej na podłogę. Szybko zsunęła się na podłogę i złapała pęk kluczy. Trzęsącymi się palcami szukała odpowiedniego, aż w końcu trafiła na cieńszy od innych.

- Błagam, niech to będzie ten. - Wsunęła go do zamka. Klik! Dzięki Bogu. Otworzyła pudełko i znalazła naboje.

- Skosztuj tego, ty nędzna gnido - powiedziała cicho. Dziękując w myślach dziadkowi za lekcje, jakich jej udzielał lata

temu, przeładowała szybko strzelbę, wsunęła do kieszeni dodatkowe naboje i pomodliła się, by nie musiała ich używać. Po czym ruszyła w śnieżycę.

- Kurde! - zaklął głośno przeciwnik Trace'a.

Kim był ten szaleniec? To nie miało znaczenia. W tej kwestii miał rację. Na razie Trace musiał tylko znaleźć sposób na to, by zatrzymać tego wariata, nim dokona dalszych szkód.

Powoli podciągnął się do ściany i próbował coś wymyślić.

Mimo wiatru słyszał, jak niedoszły zabójca oddycha głośno.

- Cholera! - jęknął znowu, a potem wydał skowyt, gdy wysuwał z rany widły.

- Ty cholerny bydlaku! - W jego głosie słychać było ból. - Zapłacisz mi za to. Słyszysz, O'Halleran?

Trace nie odpowiedział, tylko cicho przesunął się w stronę ściany. Konie były przerażone, kopały i wierzgały. Sarge, a może Bonzi? Też się denerwował i warczał ostrzegawczo. Nie! Nie rób tego!

- I pies - odezwał się zabójca. - Też zginie! Gdzie jesteś, ty kundlu? - W jego głosie zabrzmiało zadowolenie. - A, tu jesteś, głupku. No chodź - zaczął mówić przymilnie. - Zobacz, co tu mam!

Trace'a ogarnęła wściekłość. Gdyby tylko zdołał dopaść tego drania, zabiłby go. Czuł upływ krwi, sięgnął do nogi i pomacał ranę. Ale nie zamierzał czekać, aż ten maniak zabije jego psa, a potem pójdzie dopaść Kacey i Eliego.

Nie miał wątpliwości, że to ona była głównym celem. Jego syn, tak jak Sarge i sam Trace, byli tylko dodatkową przeszkodą którą trzeba uprzętać na drodze do głównego celu - doktor Acacii Lambert.

Trace cofał się, a w głowie kręciło mu się od napływu adrenaliny. Dotarł do ściany.

- Chodź pieseczku. - Zabójca próbował ukryć jęk bólu. Był poważniej ranny, niż chciał się przyznać.

Dobrze. Cierp bydlaku. A w ogóle, to najlepiej zdechnij.

Trace sięgnął nad głowę i namacał rączkę łopaty, o szerokim, ostrym ostrzu idealnym do podbierania gnoju i zbierania śniegu, a dziś, miał nadzieję, do zabicia psychopatycznego mordercy.

- Chodź, chłopcze. - Bydlak kłaskał, zbliżając się coraz bardziej, wciąż niewidoczny w ciemnościach.

Trace zacisnął palce na gładkim drewnianym trzonku. BUM!

Wrota stajni uderzyły o ścianę. Konie aż zarżały ze strachu. Trace podskoczył, gdy owiało go chłodne powietrze.

- Co do cholery? - Morderca odwrócił się od psa. Nie! Trace'a ogarnęła panika. Kacey nie!

Tylko ona była w domu... i Eli. A zabójca o tym wiedział.

- Uciekaj! - krzyknął Trace.

- Siostró - odezwał się wręcz radośnie zabójca. - Najwyższa pora!

## **Rozdział 37**

Niech to wszyscy diabli!

Alvarez odsłuchiwała wiadomość od Kacey Lambert i przeklęła w myślach. Wściekła wystukała numer alarmowy i dowiedziała się, że już odebrano telefon i wysłano policjantów na adres Trace'a O'Hallerana, a także że słyszano strzały. Kiedy się rozłączyła, wykręciła numer Kacey, ale przełączyło ją od razu na pocztę głosową.

- Za późno - odezwała się ponuro do Pescoli. - Wygląda na to, że jest już w domu O'Hallerana.

- Co? Nie! - Noreen wydała z siebie potworny krzyk. Alvarez, która stała z Pescoli przy wyjściu, spojrzała przez ramię.

- Bałem się tego - powiedział Judd. - Wiesz, że zawsze było z nim coś nie tak, mamó. Od początku. Kiedy zepchnął Aggie ze schodów.

Alvarez uniosła dłoń, powstrzymując partnerkę przed urwaniem klamki.

- To był wypadek - odezwał się Gerald, znów osuwając się na fotel. Alvarez wróciła do pokoju.

- Oczywiście - odparł Judd. - Oczywiście, że to był wypadek. Ale właśnie to się stało.

- Powiedziałeś - odezwał się Gerald, wpatrując się w zmrużone oczy Judda - że Aggie zaplątała się w kocyk.

- Wiem. Tak było - odparł gładko Judd, zupełnie jakby wcześniej to sobie obmyślił. - A potem podbiegł Cam i ją przewrócił. Zaplątała się w kocyk i spadła.

Noreen zadrżała.

- I zginęła. - Gerald zmierzył wzrokiem syna.

- Musimy ruszać - odezwała się stanowczo Pescoli. Alvarez podeszła do niej i otworzyła drzwi.

- Nie ruszajcie się nigdzie - rzuciła Pescoli do Geralda, jego żony i najstarszego syna.

- To nie Cameron - zawyła Noreen, ale skupiona twarz Judda Johnsona mówiła wszystko.

Jego matka, która nagle jakby opadła z sił, osunęła się w jego ramiona. Łzy płynęły jej strumieniami, a ramiona drżały, gdy powtarzała w kółko.

- To nie... to nie może być Cameron... Nie może! Pescoli już wyszła.

Alvarez zobaczyła jeszcze, jak Gerald siedzi w swoim fotelu, podpira głowę ręką a w drugiej trzyma szklaneczkę szkockiej.

- Poprowadzę - rzuciła Pescoli.

Gdy Alvarez wsiadała na miejsce pasażera, Pescoli już zdążyła uruchomić silnik i nim jej koleżanka zapięła pas, były w drodze.

- Co do cholery się stało? - zapytała Pescoli.

- Coś się dzieje w domu O'Hallerana - odparła Alvarez, myśląc o mężczyźnie, który był najprawdopodobniej zabójcą. - Wygląda na to, że Cameron Johnson postanowił działać. I zacząć od mieszkających tam ludzi.

- Zabijając siostry zrodzone z nasienia z banku spermy?

- I każdego, kto stanie mu na drodze - odpowiedziała Alvarez, powtarzając to, co usłyszała na nagraniu.

- Ten kretyn jest kompletnym szaleńcem! - stwierdziła Pescoli. Jechała tak szybko, jak tylko się dało, a gdy wyjechały na główną drogę, spojrzała na Alvarez.

- Pewnie nie masz przy sobie papierosa? - Alvarez posłała jej spojrzenie w stylu „możesz pomarzyć”, a potem znów wykręciła numer Kacey Lambert i czekała.

Znów odezwała się poczta głosowa.

Trace zacisnął ręce na trzonku łopaty.

- Ciekaw byłem, czy się pojawisz - odezwał się zabójca.

W drzwiach, doskonale widoczna na tle zasp, stała Kacey na szeroko rozstawionych nogach, że strzelbą w rękę. Ale nie mogła widzieć tego, co działo się w środku. Nie mogła zgadnąć, gdzie oni są.

Klik. Ten drań odciągnął kurek.

Co też Kacey sobie myślała?

- Cofnij się! - krzyknął Trace.

Zerwał łopatę ze ściany i zaczął się nią podpierać. Próbował się do niej doczołgać, by ją ratować, odepchnąć, osłonić swoim ciałem, zrobić cokolwiek, byle tylko ją ochronić!

- Za późno - rozległ się ponury śmiech.

- Uważaj! - Ciągnąc za sobą bezużyteczną nogę, parł naprzód i czuł, że zostawia za sobą strumyczek krwi. - On ma broń!

- Ja też - odparła spokojnie. Zbyt spokojnie. - Nie podnoś się! Bum!

Z lufy jej strzelby wystrzelił ogień, a ona aż się cofnęła.

Trace rozpląszczył się na podłodze, zanim jeszcze pociągnęła za spust. Zakręciło mu się w głowie, gdy wykręcił szyję, by obserwować drzwi.

Bum! Klik! Bum! Klik! Bum!

Zabójca strzelał raz za razem. Ściany się trzęsły, a konie rżały i prychały z przerażenia. Podkute podkowy waliły w przegrody boksów. Psy także ujadły jak szalone.

A nad tym wszystkim rozległ się pojedynczy przeszywający serce krzyk.

Kacey!

Przewrócił się na brzuch i próbował wstać, pokuśtykać, ale nie mógł oprzeć się na nodze. Mógł co najwyżej czołgać się w tym dymie i strachu. Kolejny przeraźliwy jęk. Jakby wyrywano jej duszę.

- Nie! - wrzasnął. - Nie!

Rozległ się za nim wesoły chichot. Zabójca czerpał chorą przyjemność z dzieła zniszczenia.

Ty chory zboczeńcu, dopadnę cię.

- Trace!

Co?

- Trace! - Rozległ się przerażony głos Kacey, odległy, zagłuszany wiatrem. Zupełnie jakby naprawdę odchodziła z tego świata.

Ale ona żyje! Wciąż jeszcze jest szansa!

- Trzymaj się - nakazał cicho. - Trzymaj!

Podpierając się łopatą, włókł się do wejścia, przez które lodowate powietrze wiewało do stajni śnieg. Gdzieś za sobą słyszał nierówne kroki zabójcy, ale pełzył dalej, nie dbając o to, że w jego głowę może być wycelowana strzelba.

Dotarł do drzwi i wtedy ją zobaczył. Nie ruszała się. Drobną postać leżącą na śniegu. Wiatr rozwiewał jej włosy.

Nie! Nie! Nie!

O dobry Boże... niech ona żyje...

- Kacey - wyjąkał. - Boże, proszę... Kacey.

I wtedy znów usłyszał za sobą kroki mordercy. Czy ten bydlak zamierzał go teraz zabić?

Miał wrażenie, że drgnęła.

O Jezu!

Tak, znowu. Drżała jej jedna stopa. Podpełził bliżej i z przerażeniem ujrzał jak wokół niej na śniegu pojawia się coraz większa ciemna plama.

- Czemu? - wyszeptał. Ogarnęła go wściekłość. Czemu przysłała mu na ratunek?

- Za późno, kochaneczku. - Mężczyzna za nim oddychał z trudem. Gdzieś w oddali, zdecydowanie za daleko, słychać było policyjne syreny.

Wyczerpany Trace spojrzął przez ramię na potężną postać w drzwiach. Na ramieniu miał strzelbę, na oczach noktowizor i opierał się o odrzwia. Trace zauważył, że za jego lewym ramieniem pojawiają się ciemne plamy. A więc jednak widły na coś się przydały.

- Już nie żyjesz, skurwysynu - zasyczał morderca.

I wtedy Trace zauważył na śniegu broń. Tuż obok dłoni Kacey. Wciąż trzymając łopatę, Trace rzucił się do przodu i wyciągnął

rękę. Spudłował. Dotknął lufy, ale tylko zakopał ją głębiej w śniegu. Morderca roześmiał się okrutnie.

- Niezła próba, bydlaku! Klik!

Trace poderwał się.

Zamachnął się łopatą i wylądował jakąś stopę od strzelby. Złapał ją i prawie zemdlął z wysiłku. Myślał tylko o Kacey. Słodkiej Kacey. Która próbowała go uratować i przez to zginęła.

- Zmów paciorek, kowboju - zawołał morderca, podchodząc bliżej i celując wprost w Trace'a. - Zaraz dołączysz do swojej dziewczyny.

Ze stajni dobiegł potworny warkot. Morderca odwrócił się zaskoczony. Z wnętrza wyskoczyły nagle oba psy. Warcząc, z opuszczonymi głowami i uszami położonymi po sobie, zaczęły krążyć wokół mordercy niczym głodne wilki.

- Cholera! - Morderca się nie wahał, wycelował w większego psa. Bonzi!

- Nie! - krzyknął Trace, próbując poderwać się na nogi, ale upadł. Bonzi skoczył, ukazując potężną pierś i brzuch. Zabłyśły białe kły.

Bum!

Zabójca drgnął. Pisnął. Strzelba wypadła mu z ręki. Bum!

I znów się obrócił i rozrzucił ręce.

Padł na kolana. Na jego piersi pojawiła się krew. Głowa opadła mu i wpatrywał się w plamę, jakby nie mógł w to uwierzyć.

- Gdzie on jest? - zapytała kobieta ostro.

Trace, z coraz większymi zawrotami głowy, spojrzał przez ramię.

Co? Kim była... Podeszła bliżej, że strzelbą przy ramieniu - jego strzelbą - celując w rannego. Kacey? Ale...

Spojrzał na kobietę, którą kochał - Kacey - leżała blada na śniegu.

- Gdzie do diabła jest Eli, Cameronie? - zapytała ta nowa Kacey, celując do rannego. Może Trace miał halucynacje. Dwie...

Ta nowo przybyła... Kacey? Wciąż się zbliżała. Ale to nie może być... Podeszła do rannego mordercy i odkopnęła dalej jego broń. Niedoszły zabójca jęknął po raz ostatni, a potem przestał się ruszać.

Odwróciła się od niego i spojrzała w oczy Trace'a, a potem ujrzała, że krwawi.

- O Jezu! Trace!

Robiło mu się ciemno przed oczami, tracił przytomność, ale wciąż obserwował, jak ona biegnie do niego niczym na zwolnionym filmie. Padła przy nim na kolana.

- O Boże, jesteś ranny!

- Kacey... - wyszeptał i wyciągnął do niej rękę, chcąc ją przytulić, poczuć jej ciepło, zapach jej włosów... Ale oczy mu się zamykały, kręciło mu się w głowie i odpływał coraz dalej...

- Czekaj... Niech zobaczę, jak ciężko jesteś ranny. O dobry Boże... Trace. - Usłyszał jak gwałtownie nabiera powietrza i zobaczył, że wpatruje się w kobietę obok niego. - O rany... kto? - wyszeptała, a potem odchrząknęła i podeszła bliżej do kobiety, która mogłaby być jej bliźniaczką. Nachyliła się nad ciałem, szukając pulsu. Przysunęła ucho do jej nosa.

- Nie żyje - mamrotała, a potem oderwała wzrok od ciała, które było tak podobne do niej. Ścisnęła go za ramię i powiedziała cicho. - Musimy cię zabrać do szpitala.

Odpląwał. Powieki miał jak z ołowiu.

- Ale Eli? Gdzie jest Eli?

- Nie wiem - przytuliła go mocno.

Czuł jej zapach, jej ciepło, mokry policzek przy jego policzku, a świat kręcił się wokół niego niczym jedna z tych śniegowych kul.

- Nie! - Musiał odnaleźć syna. Musiał!

- Znajdziemy go - obiecała, przekrzykując wycie syren. - Tylko się trzymaj. Jasne? Trace? Trace! Musisz zostać ze mną.

Ale nie zdołał. W jednej chwili słyszał jej głos, a w drugiej odpląwał gdzieś, zastanawiając się, jak to możliwe, że kobieta, którą kochał, była podwójna - jedna żywa, druga martwa. Zapadł się w siebie... słyszał głosy... mężczyzn, kobiet... ale nie mógł odpowiedzieć.

Kacey żyła... żyła... ale Eli... Kochał ich oboje...

- Nie opuszczaj mnie Trace O'Halleranie! - krzyknęła gdzieś z daleka. - Cholera, Trace, szukałam cię trzydzieści pięć lat i lepiej żebyś mi tu nie umarł. Słyszysz? Wracaj do mnie. - Głos jej się załamał. - Och Trace, no dalej. Kocham cię. Na miłość boską kocham cię!

Ja też cię kocham. Traciła go.

Tu i teraz Trace O'Halleran umierał w jej ramionach.

Była już pewna, że martwa kobieta obok niego, to jego była żona, Leanna, pewnie kolejne dziecko z próbówki Geralda Johnsona, matka Eliego.

- Trzymaj się - zawołała, gdy wokół niej rozległo się wycie syren. Nie rozglądała się, ale modliła, by był ambulans z odpowiednim

sprzętem. Trace stracił sporo krwi, ale nie zamierzała pozwolić mu umrzeć. Szybko ściągnęła mu spodnie i za pomocą latarki obejrzała ranę. Z rany sączyła się krew. Podejrzewała, że kula rozorała tętnicę udową. Położyła dłoń na dłoni i przycisnęła je do rany.

- Tutaj! Hej! - usłyszała głos nieopodal domu. A potem rozległy się kroki i ciężkie oddechy.

- Przejmiemy go, proszę pani - odezwał się ktoś i poczuła rękę na ramieniu.

- Ale jestem lekarzem...

- Jezu Chryste, kolejna! - Nachylił się nad ciałem Leanny.

- Ona nie żyje.

- Hej! Tutaj! - zawołała kobieta stojąca obok zwłok Camerona. - Rany Boskie, co tu się stało? Istna apokalipsa!

- Proszę pani, zajmę się tym - odezwał się ratownik.

- Ale...

- Jest pani lekarzem, wiem. - Był stanowczy. - Hej Annie - zawołał przez ramię.

- Przydałaby mi się pomoc! Ta jest w szoku. - Spojrzał na Kacey.

Rancho O'Hallerana zamieniło się w istny dom wariatów.

Wszystko zaczęło się, nim Alvarez i Pescoli zdążyły dojechać. Kiedy dotarli, prawie ścięły skrzynkę na listy. Przed bramą stały dwa samochody policyjne i karetka, czekając, by przetransportować rannych.

Na tyłach domu, walcząc z pogodą, sanitariusze zajmowali się Trace'em O'Halleranem. Wyprawiono grupę poszukiwawczą by odnaleźć zaginionego syna O'Hallerana. Cameron Johnson, ubrany cały na czarno i z noktowizorem, leżał martwy. Zginął od dwóch strzałów z winchestera, oddanych podobno przez Kacey Lambert.

Kacey drżała opatulona kocem. Sama przyznała, że postrzeliła Camerona, gdy ten odmówił złożenia broni. Była blada jak śmierć i wyraźnie w szoku. Zapewniła, że Cameron zabił wcześniej kobietę wciąż leżącą na śniegu obok nich. Kobietę, która mogłaby być jej siostrą bliźniaczką.

- Sądzę, że to Leanna - odezwała się tępo Kacey, wpatrując się w martwe rysy kobiety.

- Nie żyje - potwierdził sanitariusz.

- Muszę z nim jechać - upierała się Kacey, gdy dwóch ratowników wzięło Trace'a na nosze i zabrało do karetki.

- Możesz jechać z nami - odezwała się Pescoli.

- Hej! - Trilby Van Droz skinęła głową w stronę głównej drogi. - Wygląda na to, że mamy towarzystwo.

Na końcu podjazdu zaślniły światła, ale Pescoli nie była w stanie rozpoznać samochodu.

- To prasa.



Samochód dziennikarzy.

No pewnie. Super. Tylko tego im brakowało.

- Muszą się cofnąć, dopóki nie dowiemy, się kto zginął - krzyknęła do Van Droz Pescoli.

- Sądzę, że O'Halleranowi nic nie będzie - powiedziała Alvarez.

- Ale Eli, musimy go znaleźć - nalegała Kacey.

- Leanna... miałam wrażenie, że jest ze mną w domu... że mnie ostrzega... ale to chyba niemożliwe. Sądziłam, że to anioł.

Pescoli spojrzała na swoją partnerkę.

- Może nią też powinien się zająć lekarz.

- Nic mi nie jest - odparła Kacey, ale miała mocno poranioną twarz, zdartą skórę i podbródek cały we krwi.

- Dobra, ruszamy - zawołała Pescoli.

Gdy minęła je karetka, pomaszzerowały do jeepa. Kacey wsiadła do tyłu. Alvarez na miejsce pasażera, a Pescoli za kierownicę.

Mimo że Cam Johnson był martwy, Pescoli wciąż miała wrażenie, że musi się spieszyć. A fakt, że zaginęło dziecko, nie poprawiał jej nastroju. Gdzie on u licha mógł być? Wciąż było zbyt wiele niewiadomych, za dużo dowodów do zebrania i wersji porównywanych z tym, co mówiła Kacey, by Pescoli mogła się uspokoić. I chociaż lekarka była na wpół oszalała z niepokoju o chłopca i bardzo przejęta tym, że Trace O'Halleran może nie przeżyć, ponowiły zabrać ją na posterunek.

Po wycieczce na ostry dyżur.

To prawda, pomyślała Pescoli, mijając samochód miejscowych dziennikarzy, że Kacey Lambert zadzwoniła pod numer alarmowy i zostawiła Alvarez kilka wiadomości głosowych. To lekarka ściągnęła na miejsce policję, ale nie zastosowała się do nakazów i wzięła sprawy w swoje ręce.

Czy ocalała życie O'Hallerana? Pewnie tak.

Ale nie żyły dwie inne osoby, a dzieciaka nadal nie odnaleziono.

Wstępne zeznania Kacey zgadzały się z tym, co do tej pory ustalili technicy, ale na razie było jeszcze za wcześnie. Wciąż trzeba było wiele spraw wyjaśnić.

Skierowała się do Grizzly Falls.

Noc była ciemna i tylko w kilku domach, które dysponowały własnymi generatorami, paliły się światła. Pomoc drogowa zatrzymała się, by wyciągnąć z rowu jakiś samochód. Pescoli rozkręciła ogrzewanie

na pełen regulator, w jeepie było upiornie gorąco, ale Kacey Lambert wciąż drżała, opowiadając po raz drugi całą historię i martwiąc się głośno o Eliego.

- Jeśli coś mu się stanie, to nigdy sobie tego nie wybaczę - powiedziała wpatrując się w okno. - Nigdy.

Dwie minuty później, akurat gdy dojeżdżały do Grizzly Falls, Alvarez odebrała telefon. Konwersacja była raczej jednostronna.

- Co? Gdzie... Dzięki Bogu... - Odwróciła się do tyłu. - Mamy go.

- Kogo? Eliego? - zawołała Kacey.

- Tak jest. Jest bezpieczny.

- Dzięki Bogu. - Kacey zadrżał głos i pociągnęła głośno nosem. Pescoli dalej mocno trzymała kierownicę, ale poczuła, jak ogarnia ją ulga.

- Cii! - Alvarez uniosła rękę. - Tak, dobra, przywieźcie go do biura. Tam się spotkamy. - Rozłączyła się i nawet ona, która zwykle zachowywała pełen profesjonalizm, uśmiechnęła się. - Nic mu nie jest.

Pescoli spojrzała w tylne lusterko i dostrzegła, że w oczach jej pasażerki lśnią łzy radości.

- Dobrze - mówiła dalej Alvarez. - Nie znam wszystkich szczegółów, ale wygląda na to, że został porwany przez swoją matkę i zostawiony u sąsiadów, Eda i Matyldy Zukowów. Od tamtej chwili próbowali się z kimś skontaktować. Wygląda na to, że Leanna O'Halleran przecięła ich kabel telefoniczny i ukradła ich komórki, by zrealizować jakąś misję.

- Chciała dopaść Camerona - powiedziała cicho Kacey. - Wiedziała.

- Najwyraźniej - zgodziła się z nią Alvarez. - Więcej dowiemy się od Zukowów. Przyjadą na posterunek wraz z chłopcem.

Pescoli skrzywiła się, gdy oślepił ją samochód z przeciwka.

- Więc przez większość życia chłopca jej nie było, a potem nagle pod wpływem jakiegoś niesamowitego kosmicznego matczynego instynktu wraca akurat w odpowiednim momencie, by pozbyć się wariata? - Pescoli posłała spojrzenie swojej partnerce. - Co wiedziała?

Alvarez potrząsnęła głową. Może nigdy się tego nie dowiedzą.

Kacey trzy razy powtórzyła swoje zeznania, a potem odpowiedziała na serię pytań, chociaż było oczywiste, że nawet szeryf jej wierzy. Chcieli zabrać ją prosto do szpitala, ale uparła się, by najpierw złożyć zeznania. Gdy tylko dojechały na miejsce, udała się do łazienki, by się umyć, łyknęła trzy mocne środki przeciwbólowe i zalepiła brodę trochę

zbyt dużym plastrem, który dostała od recepcjonistki. Zadzwoiła do szpitala, ale dowiedziała się tylko, że Trace jest operowany.

Policjantka Van Droz przyprowadziła Zukovow i Eliego do pokoju, w którym Kacey była przesłuchiwana, akurat w chwili, gdy po raz kolejny powtórzyła wszystkie wydarzenia wieczoru. Kacey uściśnęła chłopca, a łzy napłynęły jej do oczu.

- Dzięki Bogu jesteś bezpieczny - wyszeptała i zmierzwiła mu włosy.

- Widziałem mamusię - powiedział Eli i przygryzł dolną wargę.

- Wiem skarbie.

- Przyszła mnie zabrać.

- Słyszałam - odparła Kacey i uśmiechnęła się z trudem. Widok leżącej na śniegu Leanny, o poszarzałej cerze i nieruchomym spojrzeniu był jak patrzenie we własny grób.

- Podpisała mi gips - dodał z dumą.

Kacey spojrzała na Tilly, która skinęła głową podczas gdy Ed odwrócił wzrok. Eli pokazał zamaszysty napis: „Kocham cię, mama”.

- Jest piękny - odparła, myśląc o tym, jak Leanna uratowała ich wszystkich. Zastanawiała się, czy rzeczywiście słyszała jej głos, czy tylko tak jej się zdawało. Nie miało to wielkiego znaczenia, bo tak czy inaczej zamierzała zająć się synem Leanny.

- Masz ochotę na gorące kakao? - zapytała Eliego Pescoli. A ten spojrzał pytająco na Kacey i Zukovow, a uzyskawszy pozwolenie, poszedł za wysoką rudowłosą policjantką.

Gdy chłopiec wyszedł, Zukovowie streścili wydarzenia.

Leanna pojawiła się u nich, niosąc Eliego. Najwyraźniej przedarła się z nim przez śnieg, a potem uszkodziła ich samochód oraz kabel telefoniczny i ukradła komórki. Zabrała też komputer, więc nie mieli jak się porozumieć ze światem i poinformować kogoś, że postanowiła dokończyć jakieś sprawy.

Tilly powiedziała, że Leana przyznała się, iż wie o zabójcy, który mordował córki Geralda Johnsona, bo uważał, że większość z nich miała poważne problemy psychiczne. Był przekonany, że musi chronić dobre imię rodziny i stworzył bardzo skomplikowany plan, który miał to zapewnić. Wobec Kacey i Leanny żywił wyjątkową niechęć, ponieważ w Leannie zakochał się, nie wiedząc kim ona jest, a Kacey nienawidził za to, że zrodziła się z romansu jego ojca. Nienawidził też Roberta Lindleya, ale najpierw zamierzał zająć się wszystkimi „nieświadomymi”, jak je nazywał, a dopiero potem skupić na Robercie.

Podczas tej przemowy Kacey przypomniała sobie, jak Cameron drwił z niej po tym, jak uderzył ją kolbą. Uważał, że Leanna i inne córki Geralda są nienormalne, podczas gdy to jego choroba umysłowa sprawiła, że postanowił je zabić.

Tilly zakończyła opowieść, mówiąc, że Cameron przyznał się do wszystkiego Leannie, gdy próbował ją zabić wiele lat wcześniej, ale ona zdołała uciec i znalazła Trace'a. Zostawiła mu syna, bojąc się, że w innym wypadku wyładowałby na nim swoją złość. Ale z obawy o Elię wróciła i uratowała chłopca, którego, jak sądzili wszyscy, opuściła.

- Byliśmy przerażeni i uwięzieni. Chcieliśmy, aby Eli był bezpieczni. Straszliwie się o was niepokoiśmy. Ed próbował nawet uruchomić nasz stary traktor, licząc, że zdoła dojechać do Foxxow, naszych sąsiadów z północy i zawiadomić policję.

- Ale to cholerstwo nawet nie odpaliło na mrozie - stwierdził Ed.

Oboje wyglądali na wyczerpanych i zagubionych.

Pescoli wróciła z Elim, który był zajęty topieniem pianek w swojej czekoladzie. Przyniosła też kawę. Kacey sięgnęła po kubek, by się chociaż rozgrzać.

Odwróciła się do Eda i Tilli i zapytała o coś, co ją męczyło...

- Czy to znaczy... że Eli jest synem Camerona?

- Powiedziała, że nie. Podkreślała to bardzo - odparła Tilly, a Ed jej przytakiwał.

- Jestem synem tatusia - dodał Eli.

- Oczywiście, że tak. - Kacey podeszła do niego i uściskała go mocno. Nie chciała, aby słyszał to pytanie. Tak się cieszyła, że był bezpieczny. Wiedziała, że potem będzie trzeba mu odpowiedzieć na pytania o jego mamę i zamierzała się tego podjąć. Chciała być z nim i z Trace'em. Nie wiedziała, co sądzić o Leannie, ale nie mogła zaprzeczyć, że kobieta poświęciła życie, by ratować syna.

Zadzwoił telefon Alvarez.

- Muszę odebrać - powiedziała i wyszła do pokoju obok. Wróciła po jakiś dziesięć minutach.

- Wygląda na to, że możemy oskarżyć Camerona Johnsona o znacznie więcej zbrodni. Grupa, która poszła przeszukać jego dom, znalazła ukryty pokój w piwnicy. Są tam zdjęcia ofiar, informacje o wszystkich potencjalnych ofiarach. Część z nich już nie żyje, niektóre uciekły.

Kacey pomyślała o Glorii Sanders-O'Malley, instruktorce fitness.

- Muszę zadzwonić do Jonasa Hayesa z Los Angeles. - Alvarez zwróciła się do Pescoli. - Wygląda na to, że możemy powiązać Camerona Johnsona z tak zwanym samobójstwem Shelly Bonaventure.

- To on mnie zaatakował w Seattle - powiedziała Kacey. - Sam się przyznał. Westchnęła i potrząsnęła głową...

- Jeśli to już wszystko, to czy mogę pojechać do szpitala? Pescoli skinęła głową. - Odwiozę cię.

Kacey zwróciła się do Eliego.

- Chodź, pojedziemy zobaczyć twojego tatę.

Jak się okazało, nie tylko Kacey chciała jechać do szpitala. Pescoli i Alvarez zamierzały przesłuchać Trace'a, gdy się zbudzi, a Ed i Tilly, chociaż zmęczeni, także postanowili udać się z nimi.

Ale powrót do znajomych sal szpitalnych wydawał się Kacey surrealistyczny. Niby wszystko było takie samo jak wtedy, gdy była tu poprzednio, a jednak zdawało się inne. Zmienione. Powiedziała sobie, że to pewnie z powodu uderzenia kolbą strzelby w głowę, ale chodziło o coś więcej, o to, że spotkała się twarzą w twarz z mordercą i go zabiła. Nie żałowała, że odebrała życie Cameronowi Johnsonowi, bo on próbował zabić Trace'a, ale czuła się wstrząśnięta. Poświęciła swoje życie zawodowe leczeniu, ratowaniu życia, a teraz rozmyślnie jedno odebrała.

Uspokój się, powiedziała sobie, po czym zostawiła Eliego z Tilly

i Edem, i poszła na salę pooperacyjną do czego, jako pracownik szpitala, miała prawo. Tuż za nią szły Pescoli i Alvarez, ale dały jej chwilę, by mogła побыć z nim sam na sam.

Dopiero odzyskiwał przytomność. Miał zabandażowaną nogę. Uratowano ją chociaż tętnica udowa została uszkodzona. Jęknął i powoli otworzył oczy.

- Cześć - wyszeptała, nachylając się nad nim. Z wyraźnym trudem próbował skupić wzrok.

- To ja. - Wzięła go za rękę. Serce jej krwawiło na jego widok. Kochała go, a przez kilka upiornych minut sądziła, że straci na zawsze. - Trace?

Uśmiechnął trochę głupio, ale nadal nie był w pełni przytomny.

- Kacey? - wyszeptał.

- Tak, to ja.

- Eli?

- Nic mu nie jest. - Poczula, jak napływają jej łzy do oczu. - Jest tutaj, chciałby cię zobaczyć. Są też Zukowowie.

Chyba mu ulżyło, a potem znów uśmiechnął się głupio.

- Och. Tilly, Ed.

- Tak. - Wiedziała, że Trace nie zapamięta wiele z tego przebudzenia, może nawet nic, ale i tak ścisnęła go mocno za rękę. - Trace, muszę ci coś powiedzieć.

- Yhm... - Znów odpływał.

- Po pierwsze, Leanna okazała się jednak dobra. Nawet więcej. Sądzę, że uratowała ci życie. - Nie odpowiedział. Pewnie nie słyszał. -I jeszcze coś... - dodała, nachylając się nad nim. - Kocham cię - uśmiechnęła się, chociaż czuła, jak łzy spływają jej po policzkach. - Wiem, że to szalone, ale naprawdę, kocham cię.

- Wiem... - wyszeptał. - Wyjdiesz za mnie.

Nadal był niezbyt przytomny. Nie wiedział co mówi, ale te słowa sprawiły, że zrobiło jej się bardzo ciepło na sercu.

- Porozmawiamy o tym, jak poczujesz się lepiej.

Nagle otworzył oczy, które akurat w tym momencie były zupełnie przejrzyste.

- Już mi lepiej - powiedział, wyciągnął rękę i przyciągnął jej twarz do swojej tak, że prawie stykali się nosami. - Iwyjdiesz za mnie, doktor Lambert.

Nim zdołała coś powiedzieć, przycisnął swoje usta do jej w pocałunku, który był równie potężny, co rozpaczliwy.

- I bez dyskusji - dodał i opadł na poduszki.

- Pozorant - prychnęła. Nie odpowiedział.

Poczula, jak jej opuchnięte wargi rozciągają się w uśmiechu i chociaż nie powiedziała tego głośno, pomyślała. Wyjdę za ciebie, Trace O'Halleranie. Możesz na to liczyć.

## Epilog

No już, już, będziemy śpiewać kolędy! - Joelle w idiotycznych, czerwonych filcowych rogach renifera zaganiała wszystkich do lobby.

Pescoli podniosła głowę znad gazet i aktów zgonu dwóch sióstr Camerona Johnsona, które zmarły w młodości... w wypadkach.

- Nie śpiewam. Mam pracę.

- Och, przestań być takim Scrooge'em! - krzyknęła Joelle, po czym odeszła, postukując obcasami butów, których nie powstydzilaby się Barbie... no i Michelle. Tak, młoda żona Lucky'ego byłaby zachwycona tymi butami.

Został już tylko tydzień do świąt i Joelle była gotowa. Kolędy, ciasteczka, łańcuchy, a nawet kręcąca się choinka. Cóż więcej mogła jedna kobieta zrobić w biurze rządowym?

Nie żeby Pescoli zwracała na to uwagę. Miała dość na głowie. Po pierwsze Santana coraz mocniej naciskał. Okazało się, że Brady Long zostawił mu część swojej potężnej posiadłości i uznał, że mogłaby się tam wprowadzić razem z nim, dziećmi i psem.

Gdyby to było takie proste.

Nie, pomyślała, przeglądając informacje na ekranie komputera.

Nie była przekonana, chociaż jej dzieciom na pewno przydałby się ojciec. Jeremy, nie mogąc już wytrzymać jej marudzenia i znudzony życiem, postanowił jednak wrócić od stycznia do szkoły, a Pescoli modliła się, by nie zmienił znów zdania. Jeśli chodzi o jego związek z Heidi Brewster, to wciąż trwał, ale dzieciaki przestały się z tym tak obnosić, a ona nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle. Pewnie zależało, jak na to patrzeć.

Bianca wyzdrowiała na tyle, by wrócić do szkoły i zaczęła rozmawiać z jakimś innym chłopcem, który zajrzał do nich nawet kilka razy,

grał w drużynie koszykówki i zwracał się do niej: pani Pescoli. Chris wciąż kręcił się w okolicy, ale wyglądało na to, że ten romans jest już na wykończeniu. I w samą porę.

A jeśli chodzi o to nieszczęście z Tajemniczym Mikołajem, to Pescoli postanowiła zachować się odpowiednio i kupiła butelkę wina ubraną w malutką czapeczkę, którą Joelle, Pescoli była tego pewna, byłaby zachwycona. Jak dla niej była trochę przesłodzona. Pinot Noir z Oregonu było na wyprzedazy, mieściło się w dziesięciodolarowym limicie i wydawało jej się swego rodzaju gałązką oliwną. A przynajmniej miała taką nadzieję. W końcu musiała dla tego drania pracować.

Więc życie nie wyglądało tak źle. Tylko Alvarez znów popadła w swoje świąteczne zniechęcenie. Coś się z nią działo, jak w każde święta. Nigdy nie wracała na Boże Narodzenie do Oregonu i stwierdziła, że w tym roku będzie pracować w święta, by ludzie z rodzinami mogli wziąć wolne. A gdy Pescoli zaprosiła ją do siebie, odmówiła, tłumacząc, że chce spędzić czas wolny z Jane Doe, swoim nowym kotem.

Pescoli próbowała wypytywać swoją partnerkę, czemu tak unika wszystkiego związanego z Gwiazdką ale Alvarez, jak zawsze, wykręcała się od pytań albo zmieniała temat.

Jeśli chodziło o Alvarez, to święta Bożego Narodzenia były tematem tabu.

Pescoli wyjrzała przez okno i stwierdziła, że wciąż pada. Przynajmniej nie było już takich zawiei i ilość pracy na posterunku wróciła do normy. Jeśli chodzi o Camerona Johnsona, szalonego seryjnego mordercy, FBI przejęło sprawę, zabrało wszystkie dane, notatki i informacje z komputera z sekretnego pokoju Johnsona i pracowało nad sprawą. Wyglądało na to, że Cameron całymi latami skupiał się na tym, by wytępić córki dawcy siedem dwa siedem. W jego notatkach śledczy znaleźli informacje o czterdziestu dwóch kobietach, z których niektóre mieszkały aż w Nowej Anglii.

Badania DNA wykazały, że ofiary z Montany i nie tylko, jak Shelly Bonaventure w Los Angeles, rzeczywiście były dziećmi Geralda Johnsona. Sprawy innych ofiar „wypadków”, „nieświadomych” wymienionych z nazwiska w notatkach Johnsona, były badane. Jeśli pobrano próbki DNA przed pochowaniem, porównywano je, a jeśli nie, prowadzono ekshumację. W kilku przypadkach nie dało się pobrać DNA, bo kobiety zostały skremowane.



Był też inny dowód materialny, który łączył Camerona Johnsona z morderstwami. Czarna farba znaleziona na fordzie Kacey i miniwanie Elle Alexander pasowała do tej na specjalnie pomalowanym sprayem zderzaku, który był ukryty w jego szopie i pasował idealnie do półciężarówce Johnsona. Znaleziono też skradzione tablice rejestracyjne, co wyjaśniało, czemu tak trudno było odnaleźć samochód.

Pescoli odchyliła się na krzesło, aż skrzypnęło. Usłyszała, jak ktoś zaczyna śpiewać kolędę.

Spojrzała na zegarek. Zbliżało się przedstawienie i wszystko było już przygotowane.

Wciąż męczyło ją kilka kwestii związanych ze sprawą. Miała wrażenie, że chodziło o coś więcej, niż tylko to, co już odkryły. Mimo że wszystkie tropy prowadziły do Camerona Johnsona.

Zgodnie z tym, co twierdziła Kacey Lambert, Pescoli wierzyła, że to on zaatakował ją na parkingu w Seattle, lata temu. A teraz wieść głosiła, że pani doktor zamierza wprowadzić się, ot tak, do Trace'a O'Hallerana, podczas gdy Pescoli nie mogła się na to zdecydować wobec mężczyzny, którego kochała od lat.

Zamknęła oczy i westchnęła, rozważając wszystkie wątpliwości. Była prawie pewna, że to rozgryzła. Cameron Johnson był szaleńcem przez duże S. Nie było co do tego wątpliwości. Wyraźnie też się rozkręcał, coraz bardziej ryzykował, ale to niczego nie wyjaśniało. Skąd miał te wszystkie informacje na temat kliniki i ofiar? Naprawdę sam je odkrył? Nie sądziła.

A do tego wyglądało na to, że Leanna O'Halleran ukradła pistolet, którego użyła tamtej nocy, a pistolet ten należał do Clarissy Werner. Pescoli przesłuchiwała Clarisę i jej męża i oboje byli przekonani, że Leanna z rozmysłem wzięła właśnie tę broń, by pokazać co sądzi o rodzinie Johnsonów. Wyglądało też na to, że Leanna O'Halleran jeździła takim samym modelem BMW jak Clarissa, pewnie by dokuczyć Johnsonom.

Może. A może nie... Były też inne kwestie, które należało ustalić... Pescoli znów spojrzała na zegarek i prychnęła niezadowolona. Alvarez uniosła pytająco brwi. Wcześniej tego dnia, gdy poszły na kawę, spytała:

- Nie zamierzasz odpuścić, co?

- Nie. - Pescoli zdecydowała się na potrójną czekoladową mocę z odrobiną mięty, bo w końcu zbliżały się święta.

Alvarez zamówiła zieloną herbatę. Obrzydliwość.

Ale Alvarez tak wtedy, jak i teraz, była zaciekawiona.

- Co planujesz? - zapytała.

- Już to zrobiłam. Za jakieś piętnaście minut przyjdzie Gerald Johnson i chyba przyprowadzi swojego ulubionego prawnika.

- Judda?

- Yhm. I mam dla niego niespodziankę.

- Nie mogę się doczekać.

- No to chodź. - Pescoli wstała.

W tym momencie na posterunek weszli Gerald i Judd. Judd był ubrany tak, jakby szedł do sądu, a Gerald miał sweter, kurtkę zimową, dzinsy i zmęczenie wypisane na twarzy.

- Nie rozumiem, czemu upierała się pani, żebyśmy tu przyszli - odezwał się Judd do ojca. Spojrzał na Pescoli i dodał. - Powiedziałem już wszystko o bracie.

Pescoli zaprowadziła ich do pokoju przesłuchań, a Judd zeszywniał.

- O co chodzi?

- O prawdę. - Pescoli włączyła magnetofon. - Sprawdziłam kilka rzeczy. Niektóre kwestie nadal nie są zrozumiałe. Może zdoła je pan wyjaśnić.

- Chętnie - odezwał się Gerald. Judd nie był tak chętny do współpracy.

- Tato - ostrzegł ojca. - Nie sędzę, aby to był dobry pomysł. Pescoli zignorowała go i wskazała im krzesła, a Alvarez zamknęła drzwi.

- Kiedy mówiliście o wypadku Aggie sprzed lat, wywiązała się dyskusja - zaczęła Pescoli. - Powiedział pan, że zaplątała się w kocyk, potknęła i spadła ze schodów.

- Nie - odparł Judd. - Pamiętam, że Cameron się o nią oparł i wtedy spadła. Nikt nie był w stanie jej złapać.

- Powiedział pan także, że została popchnięta - dodała Pescoli.

- Chyba trochę jednego i drugiego. - Judd zmrużył oczy i lekko zeszywniał. - Nie rozumiem.

- A ja tak - odparł Gerald. - Wróciłem tamtej nocy do domu i Cameron był bardzo wzburzony. Powiedział, że nie chciał tego zrobić, nie chciał popchnąć Aggie, ale nie miał wyjścia. Nie mogłem tego zrozumieć. A wersja Thane'a była trochę inna. Stwierdził, że to ty, Judd, wpadłeś na Camerona, który wpadł na Aggie. A Colt powiedział, że pchnął Camerona na Aggie, ale Cameron zdołał się uratować.

- Byliśmy dziećmi... - Wzruszył ramionami Judd. - To było dawno temu. Nie sądzę, aby ktokolwiek jeszcze pamiętał dokładnie, co się stało.

Pescoli podeszła do drzwi i znów je otworzyła. Do środka weszła Clarissa Johnson Werner.

- Wezwano mnie - wyjaśniła, jakby przepraszała brata, po czym stwierdziła stanowczo. - Mylisz się. Ja pamiętam. Byłam tam.

- O co chodzi? - zawołał Judd. - Tylko nas słuchałaś.

- Obserwowałam na monitorze - odparła stanowczo. - Ikłamiesz. Widziałam, co się wtedy stało i to była twoja sprawka, Judd. Pewnie nie chciałeś, aby Aggie spadła, ale to ty pchnąłeś Camerona tak, że na nią wpadł. Rozmawiał przez telefon, wysłałam, aby zobaczyć, co się dzieje a ty... pchnąłeś go.

- O co w tym chodzi? - zapytał ponuro Judd. - To był wypadek podczas dziecinniej zabawy.

Zaczął się pocić. Ze skroni spływała mu cienka strużka.

- A potem, na stoku, na którym zginęła Katheleen - mówiła dalej Clarissa. - Byłeś tam. Jechałeś z Cameronem i Kathy. Widziałam, jak z nimi rozmawiasz, a potem Cam powiedział mi, że wyzwał cię, abyś ścigał się z Kathy poza wyznaczoną trasą gdzie śnieg nie był ubity. Powiedziałeś mu, że Kathy, tak jak Aggie, nie jest normalna, że jest szalona, podczas gdy to Cam był niezrównoważony.

- O czym ty mówisz? - Pot zrosił mu również górną wargę. - To jakieś szaleństwo. Rozgrzebujecie stare czasy, a ja nie zamierzam tego słuchać ani chwili dłużej.

Pescoli spodziewała się takiej reakcji. Odezwała się spokojnie.

- Chcemy z moją partnerką wszystko dokładnie ustalić. Wiemy, że to Cameron zabijał i może działał sam. Ale wydaje mi się, że ktoś mu pomógł. Na początku sądziłam, że jego brat bliźniak, Colt. W końcu kto miał lepsze alibi? Ale potem odkryłam, że korporacja twojego ojca, pod przykrywką kilku innych firm, wykupiła starą klinikę leczenia bezpłodności. I zgadnij, kto podpisał się na wszystkich dokumentach?

Judd nawet nie drgnął.

- Kupujemy mnóstwo firm. Zwłaszcza małych. Pescoli odchyliła się na krześle.

- Chciałbyś nam powiedzieć, jak wyglądał twój związek z bratem Cameronem?

- Mój brat był szalony.

- Jedna siostra opóźniona umyślowo, a druga cierpiąca na chorobę dwubiegunową Ha. Wygląda na to, że nie tylko kobiety w tej rodzinie mają problemy z psychiką. Dlatego uważam, że Cameron miał kogoś, kto mu pomagał... dawał psychicznego... kopa.

- To pani chyba ma problem z psychiką. - Judd miał wypieki na twarzy, a jedną dłoń zacisnął w pięść. Poderwał się z krzesła i podszedł do drzwi.

- Rozmowę uznaję za zakończoną.

- Jeszcze się spotkamy, panie Johnson - odezwała się Pescoli.

- Chyba w piekle. - Wybiegł z pokoju, a chwilę później wyszli za nim ze stroskanymi minami Gerald i Clarissa.

Gdy zostały same, Pescoli odwróciła się do Alvarez.

- No to co?

Alvarez uśmiechnęła się lekko.

- No cóż, przygwoździmy go, prawda?

- Możesz na to liczyć.

Wyszły razem z pokoju, a Alvarez spojrzała na Pescoli.

- Kolejnych Wesółych Świąt, partnerko.

- Kolejnych Wesółych Świąt.

## Podziękowania

*Jak zawsze wiele osób pomogło mi przy pisaniu tej książki. I jak zawsze w znacznym stopniu były to te same osoby, wspaniałe jak zawsze: Nancy Bush, Alex Craft, Matthew Crose, Niki Crose, Michael Crose, Kelly Foster, Marilyn Katcher, Ken Melum, Robin Rue, John Scognamiglio, Larry Sporks i wiele innych. Oczywiście wszelkie błędy, które mogły znaleźć się w książce, to już tylko moja wina.*